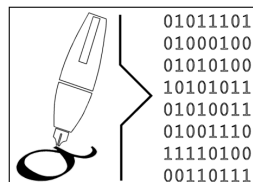


COLIN FORBES

SYNDYKAT ZBRODNI

Przełożył: Juliusz P. Szeniawski



Tytuł oryginału:

THE STOCKHOLM SYNDICATE

Data wydania polskiego: 1991 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1981 r.

ROZDZIAŁ 1

Śmiertelna gra rozpoczęła się. Dochodziła północ, Jules Beurain ruszył przez Grande Place. Szedł na pozór swobodnie, ale czujnie rozglądał się na wszystkie strony, z napięciem obserwując okna, dachy i podcienia bram w poszukiwaniu najmniejszego ruchu.

— Nie podoba mi się ten pomysł — ostrzegął go sierżant Henderson. — Ich najlepsi snajperzy mogą walić do pana jak do siedzącej kaczki.

— Nie siedzącej, tylko w ruchu — zaprotestował Beurain i dodał: — Wzdłuż całej trasy rozstawisz swoich ludzi.

— Nie mogę zagwarantować, że wypatrzą go wcześniej niż on pana — nie ustępował Szkot. — Dużo nie trzeba, wystarczy jedna kula. . .

— Nie ma o czym mówić, Jock — uciął Beurain. — Musimy to przeprowadzić. Uprzedź swoich chłopców, że chcę go mieć żywego.

Właśnie rozpoczęli tę akcję. Ciepłej czerwcowej nocy Bruksela wydawała się niemal zupełnie wyludniona. Tylko na obrzeżach placu stało kilku turystów, którzy jeszcze nie mieli ochoty iść do łóżek, a nie bardzo wiedzieli, co ze sobą począć. Beurain zmierzał ku przeciwniejszej, zaciemnionej stronie placu. Miał czterdzieści lat, pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, ciemne brwi i gęste włosy, zaczesane do tyłu nad wysokim czołem; w jego postawie było coś wojskowego, a wrażenie to potęgowały silnie zarysowane szczęki i krótko przystrzyżony wąs.

Pochodził z Liege, jego matka była Angielką, ojciec Belgiem. W wieku trzydziestu siedmiu lat doszedł do stopnia nadinspektora belgijskiej policji, kierującego pionem do walki z terroryzmem. Rok później, kiedy jego żona, Julie, dostała się w ogień terrorystów próbujących porwać samolot na lotnisku w Atenach i zginęła na miejscu, wycofał się z pracy w policji. Wtedy stworzył Teleskop.

W jednym z okien drgnęły zasłony. Trzecie piętro, znakomity punkt strzelecki. Rozsunęły się do końca. Jakiś mężczyzna w samej kamizelce wychylił się przez okno, oparł łokciami o parapet i powiodł spojrzeniem po placu. Beurain stracił zainteresowanie jego osobą. Okno było oświetlone, sylwetka mężczyzny wyraźnie rysowała się na jasnym tle. Żaden zawodowiec nie popełniłby takiego błędu.

Po raz trzeci pokonywał tę drogę i po raz trzeci o tej samej porze. Przedtem zmieniał zawsze zarówno trasę, jak i godzinę przejścia. Był to jedyne sposób na

przeżycie, jeśli Syndykat postawił na kimś krzyżyk. Przystanął u wylotu rue des Bouchers, wąskiej, brukowanej uliczki, pełną pod górę od rozległej, otwartej przestrzeni placu. Potwornie chciało mu się palić.

— Żadnych papierosów — ostrzegął go Henderson. — To bardzo ułatwia strzał z większej odległości. A nam chodzi o to, żeby mu sprawę utrudnić, zmusić, żeby podszedł jak najbliżej. . .

Po raz ostatni obejrzał się przez ramię. Turyści są zupełnie nieszkodliwi, stwierdził i wzruszywszy ramionami zapuścił się w rue des Bouchers. Instykt podpowiadał mu, że atak nastąpi właśnie w tym wąskim zaułku. Wiodło od niego kilka dogodnych dróg ucieczki — przecznic, podwórek, przejść między domami.

— Niech pan się trzyma cienia — mówił Henderson. — Trudniej mu będzie celować. . .

Dbając o miarowość kroku, zaczął piąć się uliczką w górę. W strategicznych punktach wzdłuż całej trasy Henderson rozstawił dwudziestu swoich ludzi. Jednych na poziomie ulicy, innych w górnych oknach z widokiem na obie strony. Kilku na pewno obstawiało dachy. I jeszcze gdzieś tutaj musiał mieć swój punkt dowodzenia, umożliwiający łączność za pomocą walkie-talkie ze wszystkimi członkami oddziału. W tym momencie, kilkanaście metrów w przodzie, pojawił się jakiś pijaczyna. Szedł powolnym, chwiejnym krokiem w stronę Beauraina, podśpiewując sobie coś pod nosem. Przystanął, oparł się o ścianę i podniósł do ust butelkę — lewą ręką. To był Stig Palme, jeden z chłopców Hendersona. Prawą rękę zostawił sobie wolną, by w każdej chwili móc chwycić za broń. Kiedy Belg go mijał, stał nadal oparty o ścianę. Schemat obstawy zaczynał się klarować. Palme stanowią dodatkowy odwód, miał zawrócić i zataczając się podążyć za Beaurainem jako osłona tyłów. Pozostawał jeszcze jeden problem — było zbyt jasno.

Noc była bardzo ciepła, przez otwarte okna dobiegała paplanina znad zastawionych kolacją stołów, śmiech kobiet i brzęk szkła. Na ulicę padały jasne smugi światła. Nie miał innego wyjścia, musiał je przecinać — sunący wolno cel strzelniczy.

Miał na sobie zwykłą ciemną koszulkę polo, granatowe spodnie i buty na kuczukowej podeszwie. Marynarkę przerzucił przez lewą rękę. I wtedy ujrzał coś, co go poważnie zaniepokoiło.

Nieco z przodu, przy skrzyżowaniu z pierwszą przecznicą, stała kryta półciągarówka. W poprzek jej tylnych drzwiczek biegł wielki biały napis *Masarz*. Każda połowa drzwiczek miała u samej góry okrągłe okienko przypominające iluminator. Dlaczego zakładał, że Syndykat wysłał tylko jednego człowieka? A jeśli otoczyli jego trasę całą grupą, której zadaniem było precyzyjnie naprowadzić mordercę na cel? A przede wszystkim, kto o tej porze odbiera dostawę mięsa? Coś otarło mu się o nogę.

Nie podskoczył, nie zatrzymał się. Spojrzał w dół. Tłusty kocur jeszcze raz otarł się o niego i potruchtał do przodu, wymachując kila ogona jak proporcem

i przystając co kilka kroków, jakby sprawdzając, czy Beaurain gdzieś się nie zapodział. Mijając wylot jakiejś bocznej uliczki. Beaurain dostrzegł parę kochanków, splecionych w uścisku. To też mógłby być świetny kamuflaż dla strzelca. Żeby tak ten Palme, którego śpiew ledwie do niego docierał, był choć trochę bliżej. Ale para nawet nie drgnęła aż do chwili, kiedy stracił ja z oczu. A teraz już za późno na cokolwiek. Jeśli to oni, Palme będzie musiał jakoś sobie z nimi poradzić. Wzrok Beauraina przykuły okienka w tylnych drzwiczkach furgonetki. Przeciwnik mógł spokojnie go śledzić, gdy tymczasem on cały czas musiał obserwować wszystko naraz — i półciężarówkę, i wyloty ulic, i skrzyżowania, i okna nad restauracjami.

Nagle wszystko rozegrało się właśnie tak: jak to zupełnie wykluczali. Morderca wybrał bezpośrednie podejście. Pojawił się nie wiadomo skąd na rogu ulicy, tuż obok półciężarówki, niski, mocno zbudowany, w lekkim płaszczu przeciwdeszczowym, i obiema rękami zaczął podnosić na wysokość oczu wielkiego Lugera z lufa paskudnie pogrubioną nakręconym tłumikiem.

Beaurain zdołał tylko kątem oka dostrzec jego twarz — nalaną, o zimnych oczach — gdyż w tej samej chwili odrzucił już marynarkę i padał na bruk, turlając się zwinnie w bok. Zabójca miał dwa wyjścia: przesunąć broń poziomym łukiem i zniżyć ją na cel albo najpierw ją zniżyć, a dopiero potem przesunąć w bok. Wybrał to drugie. I popełnił błąd. Podarował w ten sposób Beaurainowi dwie dodatkowe sekundy.

Unosząc w górę pistolet gazowy, trzymany dotychczas pod marynarką, Beaurain jednym płynnym ruchem wycelował i strzelił. Pocisk trafił niedosłatego mordercę w pierś, eksplodował i zasnuł mu gazem całą twarz. W tej samej chwili drzwiczki furgonetki odskoczyły na boki. Henderson jednym susem znalazł się przy napastniku. Obiema dłońmi chwycił za rękę, w której trzymał broń, i potężnym szarpnięciem wykręcił ją w górę i do tyłu. Rozległ się stłumiony chrzęst. Mężczyzna otworzył usta do krzyku.

Palme w osłupiającym tempie znalazł się tuż obok. Zaciśniętą pięścią trafił w otwarte usta, dusząc w nich krzyk, i z całych sił rąbnął kolanem w brzuch. Gdyby nie to, że napastnik tkwił nadal w żelaznym uścisku Hendersona, impet tego ciosu złożyłby go wpół. Henderson był w przeciwgazowej masce, ale Palme zaczynał odczuwać skutki działania gazu i musiał się cofnąć.

Z wnętrza furgonu wyskoczyło jeszcze kilku szturmowców, także w maskach. Otoczyli ciasno obu mężczyzn i pomogli Hendersonowi przenieść i wciągnąć jeńca do samochodu. Tyłne drzwiczki półciężarówki zatrzasnęły się natychmiast za nimi. Henderson zerwał maskę z twarzy i podał ją przez okienko kierowcy. Palme podniósł z ziemi Lugera mordercy, wręczył Hendersonowi i wskoczył do kabiny na miejsce obok kierowcy. Furgonetka ruszyła. Beaurain podniósł i otrzepał marynarkę, schował pistolet gazowy.

— W tej bocznej uliczce stoi pański samochód — powiedział Henderson, ale uwagę Beauraina przykuło co innego. W oknie najbliższej restauracji pojawiła się

na moment głowa kobiety, która nachyliła się do kelnera podającego jej ogień. Miała bardzo ciemne włosy, siedziała sama przy stoliku.

— Lepiej znikajmy stąd, sir — ponaglił Henderson.

Dopiero kiedy znaleźli się w samochodzie, a Beurain usiadł za kierownicą, Henderson trochę się rozluźnił i przekazał posiadane informacje. Beurain uruchomił swego Mercedesa 280E i ruszył okrężną trasą, która miała ich wyprowadzić z miasta na południe.

— Facet, którego złapaliśmy, to Serge Litow. Śledziłem go kiedyś w Paryżu.

— Nasłali na mnie Rosjanina? Coś mi tu nie pasuje. Choć faktycznie dotarli do nas słuchy, że przeszedł na drugą stronę. Czy wiemy, na czyją?

— Spodziewałem się raczej, że wyślą Bauma. To jeszcze groźniejszy facet.

— Rzeczywiście dziwne — przyznał Beurain. — A jak to zrobiłeś, że ulokowałeś się dokładnie tam, gdzie trzeba?

— Po trosze zwykłe szczęście, po trosze wynik rozpoznania. Przeczesałem cały ten sektor i niedaleko stąd natrafiliśmy na ukryte Suzuki. Potężna maszyna, doskonale nadająca się do błyskawicznej ucieczki. Kazałem więc Petersowi przedstawić ją w inne miejsce i zaparkować nasz furgon w pobliżu tego skrzyżowania. Wydawało się to oczywiste. Nic się panu nie stało, sir?

— Wiesz co, Henderson? Nie mam pojęcia dlaczego, ale cały jestem mokry od potu.

— To przez tę upalną noc, sir.

— Nie wiem, czy przypadkiem nie pośpieszyliśmy się z tym odjazdem.

— Wydawało mi się, że według planu mieliśmy zniknąć z miejsca akcji i wrócić do bazy natychmiast, jak tylko ryba wpadnie w sieci.

— Nie, nie chodzi mi o furgonetkę. Miałem na myśli nas dwóch. Przypuśćmy, że Litowowi udałoby się mnie zabić. I że z kolei ty zabiłbyś jego, co przecież z ła-twością mogłoby się zdarzyć. Syndykat musiał przewidzieć taką ewentualność. Co w tej sytuacji robi?

— Stawia kogoś na czatach, żeby obserwował przebieg akcji i doniósł o jej wynikach. Ale czy tam w ogóle było jakieś miejsce, w którym mogliby bezpiecznie umieścić swojego człowieka?

— Restauracja po przeciwnej stronie tej bocznej uliczki. — Żeby wpuścić więcej chłodnego powietrza, Beurain wcisnął klawisz odsuwający automatycznie dach jego ukochanego 280E. — Ale pewnie się mylę — zakończył rozmowę i przyspieszył, by dogonić furgonetkę przewożącą Litowa, która do tej pory musiała już mocno ich wyprzedzić. Nie mógł jednak zapomnieć szczupłej, białej dłoni z cygarniczką, którą tamta dziewczyna wyciągała ku kelnerowi. Nie dawało mu spokoju, że nie zdołał zobaczyć jej twarzy.

ROZDZIAŁ 2

Siedząc samotnie przy stoliku pod oknem w Auberge des Roses, Sonia Karnell obserwowała zajście na rue des Bouchers w lusterku swojej puderniczki. Zrobione z najlepszego szkła i zawsze idealnie czyste, było jednym z narzędzi bardzo pomocnych w jej fachu. Podczas gdy pozostali goście w restauracji spożywali ze smakiem kolację, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje wokół nich, Sonia Karnell grała rolę próżnej trzydziestolatki, która nie może się powstrzymać od ciągłego zerkania w lusterko.

Widziała błyskawiczny i zdecydowany atak na Serge'a Litowa. Mordercza skuteczność operacji Teleskopu wywarła na niej duże wrażenie; uznała, że musi to włączyć do swego raportu. Odczekała dziesięć minut i poprosiła o rachunek.

Opuszczając restaurację zignorowała pełne podziwu męskie spojrzenia. Ruszyła spieszenie do wynajętego Peugeota, którego zostawiła ćwierć mili od restauracji. Drogi za miastem były o tej porze niemal zupełnie puste, toteż do celu swej podróży dotarła w niecałe dwie godziny.

Wjeżdżając do Brugii człowiek czuje się tak, jakby machina czasu przeniosła go pięćset lat wstecz. Stare miasto stanowi istny labirynt kanałów, średnio-wiecznych uliczek, zaułków i placyków. W miarę zbliżania się do Hoogste van Brugge czuła narastające zdenerwowanie. Jego powodem było oczekiwane spotkanie. Człowiek, do którego właśnie jechała, nie zwykł zbyt łaskawie traktować zwiastunów złych nowin.

O drugiej nad ranem zaparkowała samochód, przeszła pieszo krótką boczną uliczką, po czym skręciła w brukowany, ślepy zaułek noszący nazwę Hoogste van Brugge. Tu właśnie, pod numerem 285, zatrzymywał się doktor Otto Berlin podczas swych rzadkich wizyt w Brugii.

Kiedy wkładała klucz w zamek masywnych drzwi, nawet przez myśl jej nie przeszło obejrzeć się na dom po przeciwnej stronie ulicy.

Czuwał w nim pewien cierpliwy Flamand z kamerą filmową, wyposażoną w noktowizor. Uruchomił ją ujrzawszy nadchodzącą ciemnowłosą kobietę, choć wcale nie wiedział, czy ma ona cokolwiek wspólnego z domem pod numerem 285. A wyłączył dopiero wtedy, gdy zamknęła za sobą ciężkie drzwi. Okna w całym domu przesłaniały grube story.

— Nic z tego, Litow nawalił. A co gorsza, ci z Teleskopu złapali go żywego i wywieźli dokądś furgonetką, która czekała w pogotowiu.

Spodzielając się nieprzyjemnej reakcji swego szefa, postanowiła już na wstępie przebrnąć przez najgorsze. Doktor Otto Berlin siedział przy obitym rypsem stole, w małym pokoiku na pierwszym piętrze. Jedynym źródłem światła była stojąca na tym samym stole mleczna kula, ocieniona kawałkiem ciemnoczerwonego materiału. Sonia Karnell usiadła naprzeciw niego, podsunęła krzesło jak najbliżej blatu i wparła się w nie mocno plecami. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi ze strony mężczyzny, ciągnęła dalej, chcąc go jakoś ugłaskać. Choć urodziła się i wychowała w Sztokholmie, mówiła płynnie po francusku.

— Teleskop miał swoich ludzi dosłownie wszędzie. Widziałam wszystko z restauracji, w której kazał mi siedzieć Litow. Beaurain znów pojawił się pieszo... Wszystko wyglądało tak niewinnie i naturalnie... Ta furgonetka, na którą nie zwróciłam żadnej uwagi, a w której się ukryli... Wypadli całą hurmą, dokładnie w chwili, kiedy Litow miał strzelić zupełnie na pewniaka. Po każdym można by się tego spodziewać, ale po Litowie? Jak on mógł wpaść w taką pułapkę?

— Wcale w nią nie wpadł.

Doktor Otto Berlin z pewnością przekroczył już czterdziestkę, ale chyba jeszcze nie dobił sześćdziesiątego roku życia. Był bardzo gruby, strąki włosów zwisały mu w nieładzie na czoło. Nosił czarny wąsik opadający w dół ku kącikom ust i niezwykle silne okulary w rogowej oprawie, z wypukłymi soczewkami szkieł. I czarne rękawiczki ze świńskiej skóry. Odpowiedź padła w tym samym języku, którego użyła dziewczyna. Otworzyła ze zdumienia szeroko oczy.

— Nie wpadł?! — powtórzyła. — Ależ... jestem pewna, że to był Litow!

— Owszem, to był Litow — zgodził się Berlin.

— Skoro to był Litow, to już nic nie rozumiem! — wybuchnęła. — Miał za zadanie zabić Beauraina i uciec.

— Nic podobnego. Jego zadaniem było przeniknąć do Teleskopu i zlokalizować główną bazę. Dopiero wówczas będziemy mogli opracować plan zniszczenia tej piekielnej organizacji i całego jej diabelskiego pomiotu.

— I Litow — ciągnęła z niedowierzaniem Sonia Karnell — tak po prostu ma się dać zabrać do tej bazy, ustalić jej położenie i pędem wrócić do nas z tą informacją? Bo prysnąć z takiego miejsca, to dla Litowa, oczywiście, jak splunąć...

Berlin pochylił się nad stołem. Jego wielki cień wypełził na cały sufit. Wierchem dłoni wymierzył dziewczynie policzek.

— Nigdy więcej nie mów do mnie takim tonem.

— To tylko dlatego — wyjąkała — że to dla mnie szok. To, że mi pan nie ufa.

— Znasz przecież zasady naszej pracy, droga Soniu. — Mruczał teraz przymilnie jak kot, ale w jego głosie nadal dźwięczała gardłowa nuta zdradzająca groźbę czającą się w słowach. — Każdy wie tylko tyle, ile jest nieodzowne do wykonania konkretnego zadania. Chyba pora zbierać się do wyjścia. Zaparkowałaś samochód

na T'Zandzie? To dobrze. Po drodze uprzedzimy naszą siatkę, całą siatkę, żeby w pełnym pogotowiu oczekiwali na następne posunięcie Beauraina.

Policzek, który otrzymała, nie sprawił jej właściwie bólu: ot, taka sobie niedźwiedzia pieszczota. Gdyby uderzył ją naprawdę, wylądowałaby na podłodze pod ścianą, zapewne z przetrąconym karkiem. Wstała z krzesła, patrząc z niesmakiem na jego pomięty i wyświechtany garnitur. Berlin wyjął z szafki dwa ręczne granaty, dokładnie je sprawdził i poutykał w kieszeniach marynarki. Były odblokowane, w każdej chwili gotowe do użycia.

Zszedł pierwszy wąskimi schodami, przeciskając się między poręczą balustrady i ścianą z odpadającym tynkiem. Sonia Karnell spojrzała na zegarek. Była 2.30 rano. Berlin wolał podróżować i załatwiać swoje sprawy nocą. „Zmrok mnie zawsze ożywia”, lubił mawiać półzartem.

Włączyła kieszonkową latarkę, którą zawsze nosiła w torebce, i wyszła za Berlinem na ulicę. Domy przy Hoogste van Brugge, wszystkie przylegające ściśle do siebie i zbudowane przed wiekami, przypominały ustawione na sztorc pudełka zapalek, węższym bokiem zwrócone w stronę ulicy. Berlin wyciągnął z kieszeni beret i wcisnął na głowę.

— To hasło ma dotrzeć do całej siatki, na wszystkie poziomy? — upewniła się. — Aż do samej góry?

— Aż do samej góry — potwierdził.

Zimne oczy za grubymi soczewkami nie zmieniły wyrazu, kiedy oświetliła je na sekundę latarką. Berlin znał powód jej zaskoczenia, wiedział, skąd ta potrzeba upewnienia się. Hasło, które kazał rozesać, wydawano rzadko. Stawiało ono na nogi całą armię obserwatorów, nakazywało im śledzić i donosić o wszystkich poczynaniach, działaniach, ruchach i rozmowach Julesa Beauraina, szefa Teleskopu. Hasło to brzmiało: ZENIT.

Miało ono dotrzeć do recepcjonistów w hotelach, obsługi dworców lotniczych i kolejowych, pracowników stacji benzynowych, celników i urzędników odprawy paszportowej w portach. Teoretycznie Jules Beaurain nie mógłby zrobić nawet kroku, żeby nie doniesiono o tym natychmiast doktorowi Berlinowi.

Ale hasło to miało trafić także do ludzi zajmujących znacznie bardziej eksponowane stanowiska. Co najważniejsze — i to właśnie tak wstrząsnęło Sonią Karnell — miało dotrzeć do ludzi kontrolujących banki i cały przemysł, którzy równie skwapliwie, ponaglani tym samym strachem, co najędzniejszy bagażowy, będą od tej chwili informować o wszystkich swoich najdrobniejszych nawet kontaktach z Julesem Beaurainem. Cała zachodnia Europa dowie się, że jego los został przesądzony. Następne hasło będzie rozkazem wykonania wyroku śmierci.

* * *

Na pierwszym piętrze domu naprzeciwko Fritz Dewulf krzątał się przy swojej kamerze jak w ukropie. Zdjęcia kobiety powinny wyjść zupełnie dobrze. A mężczyzny nawet jeszcze lepiej — tego Dewulf był pewien. Złapał na taśmę jego całą twarz, gdy facet rozglądał się po ulicy. Miał nadzieję, że to właśnie ten człowiek zainteresował doktora Goldschmidta, bo doktor płacił według wartości — rynkowej wartości.

— Ciekawe, komu to, w odpowiednim czasie, doktor Goldschmidt ma zamiar sprzedać te piękne zdjęcia — mruknął do siebie, usadawiając się wygodnie, by kontynuować swe nocne czuwanie. Istniało pewne prawdopodobieństwo powrotu właściciela domu numer 285, choć Dewulf raczej w to wątpił: w sposobie, w jaki tłuszcioch odchodził przed swego domu, było jakieś zdecydowanie sugerujące, że nieprędko pojawi się z powrotem. W każdym razie nie w ciągu najbliższych kilku godzin. Nagle wpadła mu do głowy pewna myśl i uśmiechnął się pod nosem. A może doktor Goldschmidt sprzeda film właśnie temu grubasowi, który robił w nim za główną gwiazdę? Takie rzeczy już się zdarzały.

Było to przypuszczenie, które nigdy nie powstałoby mu w głowie, gdyby miał choć blade pojęcie o tożsamości osób zamieszanych w tę sprawę.

* * *

Berlin siedział bez słowa i bez ruchu na przednim siedzeniu wynajętego Peugeot, zmierzającego w stronę Gandawy i Brukseli. Sonia Karnell, która prowadziła niemal każdy samochód z wprawą i brawurą zawodowca Formuły I — był to jeden z wielu jej talentów cenionych przez Berlina — mocno się pilnowała, żeby nie przerwać milczenia. Doświadczenie nauczyło ją zwracać baczną uwagę na nastroje szefa; najdrobniejszy błąd w ich ocenie mógł spowodować niebezpieczny wybuch. Kiedy podejmował jakąś decyzję, potrafił czasami nie odezwać się słowem nawet przez godzinę.

— Ciemność pomaga mi się skoncentrować — wyjaśnił jej kiedyś. — Pewnie należą do stworzeń wiodących nocny tryb życia. W większości ludzi noc budzi strach. A ja ją lubię.

Po obu stronach drogi ciągnęły się szerokie pola bez jakiegokolwiek śladu ludzkich siedzib w zalegającej ciemności. Sonia skrzyła z głównej szosy, zwalniając przed ostrym zjazdem, po czym ostrożnie, na długich światłach, ruszyła w dół wąską drogą wysypaną żwirem. Berlin drgnął, jak wyrwany ze śpiączki.

— Już dojechaliśmy? — spytał z pewnym zdziwieniem.

— Tak, rozmyślał pan — odparła w sposób, w jaki ktoś mógłby powiedzieć „spiał pan”.

— Na wszelki wypadek od razu zawróć...

Tylko dużym wysiłkiem woli powstrzymała wybuch irytacji. W przeciwieństwie do Berlina, który zdawał się nigdy nie czuć zmęczenia, była wykończona i o niczym tak nie marzyła, jak o tym, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Przecież to oczywiste, że najpierw by zawróciła. A przez „wszelki wypadek” Berlin chciał powiedzieć, że gdyby wpadła w jakieś tarapaty, to on musi mieć możliwość natychmiastowego odjazdu — i zostawi ją, żeby radziła sobie sama. Nie budziło to w niej buntu; rozumiała tę konieczność.

Natomiast do szału doprowadzał ją fakt, że uważał za konieczne o tym przypomnieć.

Przełączyła światła na postojowe i zgasiła silnik, zostawiając kluczyki w stacyjce. Następnie bez słowa sięgnęła pod fotel. Położyła mu na kolanach swego Lugera i odwróciła się, żeby otworzyć drzwiczki.

— Przed wejściem na pokład sprawdź, czy Frans i ta suka na pewno są sami.

Ta przestroga wprowadziła ją w osłupienie. Musiało się zanosić na coś naprawdę niezwykłego, skoro traktował ją w ten sposób. Uznała, że to pewnie z powodu zbliżającego się kulminacyjnego momentu akcji przeciwko Teleskopowi. Zaciśnęła w rękę latarkę i zesza rzadko używaną ścieżką. W nos uderzył ją smród kanału. Teraz znów w górę, na nabrzeże, przy którym cumował Frans Darras. Kiedy dotarła do szczytu ścieżki, snop światła jej latarki padł na wielki kadłub barki. W tym samym momencie oślepił ją blask reflektora. Rany boskie, nic nie widzę! — pomyślała gorączkowo. Policja?! A ja mam w torebce automatycznego Walthera i zapasowy magazynek! Ostoniła ręką oczy. Gdzieś z pobliza dobiegł głos Fransa mówiącego po francusku:

— To ona, Roso. Możesz wyłączyć światło.

Nadal zupełnie oślepiona, Sonia Karnell dała wreszcie upust swojej wściekłości.

— Ty głupia dziwko! Mogłaś zawołać, zamiast oświetlać całą okolicę tą pieprzoną lampą!

Z ciemności wyłonił się Frans z obrzynkiem w rękę i ujawszy dłoń Soni, jej własną latarkę wskazał wejście na barcę.

— Mamy ZENIT, Frans. Dlatego przyjechałam.

— ZENIT!

— Ciszej, człowieku!

Frans wziął od Rosy reflektorek i podał jej strzelbę.

— Pilnuj pokładu — polecił, a zwracając się do Soni spytał przyciszonym głosem, wskazując w kierunku zaparkowanego samochodu. — On tu jest?

— Tak. I nie będzie zachwycony tym idiotyzmem z lampą. Zeszli pod pokład.

— To moja wina. Kazałem jej włączyć światło, sam stanąłem w ciemności ze strzelbą. Słyszeliśmy silnik samochodu. Skąd mogliśmy wiedzieć, że to wy, a nie policja albo tamci?

— Jacy tamci?

Sonia zdołała się opanować i zadać to pytanie normalnym tonem, ale odwróciła wzrok w obawie, żeby nie wyczytał w nim szoku, w jaki wprawiły ją jego słowa.

— Jak to jacy? Z Teles... — urwał nagle w pół słowa. — Już nadaję ten sygnał — wymamrotał otwierając szafkę. — Jak dokładnie ma brzmieć? Zapiszę sobie.

— I dobrze zrobisz — odparła zimno, obserwując teraz każdy jego gest. — Nadasz do wszystkich komórek siatki: *Jules Beaurain, były nadinspektor policji belgijskiej, zamieszkały w Brukseli w pobliżu Boulevard Waterloo, Zenit, powtarzam, Zenit.*

Darras wyciągnął z dolnej półki szafki kłęb zmiętego ubrania, pomajstrował coś w rogu przy samej górze i na pozór solidnie umocowana tylna ścianka odsunęła się w bok, otwierając dostęp do potężnego nadajnika. Nacisnął inny guzik i z pokładu wysunęła się automatycznie iglica anteny, pełznąc w górę wzdłuż masztu anteny telewizyjnej, aż jej czubek rozpułynał się w ciemności nocy. Nadajnik był gotów do pracy, a jego moc w zupełności wystarczała, by wysłany stąd sygnał dotarł do każdego zakątka zachodniej Europy. Darras nastawił zegar na trzy minuty; nie wolno mu było ich przekroczyć. Wozy radiolokacyjne potrzebowały zwykle pięciu minut, żeby namierzyć źródło wychwyconych sygnałów.

— Wracam do samochodu — powiedziała Sonia wciąż lodowatym tonem. — Pamiętaj, że podczas nadawania barka ma być w ruchu?

— Miałem odbić, jak tylko zejdziesz na ląd.

— No, to się pośpiesz!

Wchodząc na pokład po lepiących się od brudu schodkach, poczuła pod stopami drżenie oznajmujące, że Darras włączył rozklekotany silnik. Rosy nigdzie nie było widać. Sonia zsunęła się ze skarpy nabrzeża, po czym zarośniętą pokrzywami ścieżką wdrapała się z powrotem na żwirową drogę. Berlin siedział przy wyłączonych światłach postojowych i trzymał w ręku Lugera. Podał go jej bez słowa. Kiedy sięgnęła do kluczyków w stacyjce, zatrzaskał jej dłoń w żelaznym uścisku.

— Nie było cię dłużej niż zwykle. Co to było z tym światłem? Jak najzwyczajniej — doktor Otto Berlin nie znosił zbędnych słów — zdała mu sprawozdanie. Pochylony lekko do przodu, wysłuchał jej z wyraźną uwagą.

— I co o tym wszystkim sądzisz? — spytał na koniec.

— Jestem zaniepokojona. Nie lubię tej Rosy, ale to akurat nie ma nic do rzeczy. Wydaje mi się jednak, że ona ma spory wpływ na Fransa.

— A sam Fransa?

— Sam Frans niepokoi mnie jeszcze bardziej. Odnoszę wrażenie, że zaczyna gonić w piętę. Jestem pewna, że nie miał zamiaru odbić od brzegu przed rozpoczęciem nadawania.

— To właśnie w twojej opowieści najbardziej mnie uderzyło — odparł Berlin w zamyśleniu. — Teraz możesz zapalić silnik.

— Sądzi pan, że powinniśmy usunąć Darrasa z siatki? — spytała ruszając zwirową drogą ku głównej szosie.

— To znacznie poważniejsza sprawa — orzekł Berlin. — Chyba trzeba przysłać im kogoś w odwiedziny.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy Serge'a Litowa wtaszczo do furgonetki i tylne drzwiczki zatrzasnęły się za nim z hukiem, odczuwał już silny ból w złamanej przez Hendersona ręce. Ale jedną z umiejętności, które posiadał w swym twardym życiu, była sztuka znoszenia bólu, toteż w chwili, gdy samochód ruszał, nadal dysponował pełną jasnością umysłu.

Położono go na noszach na obitej skórą kozetce przyśrubowanej do podłogi pod lewą ścianą. Na drzwiach furgonetki widniał wprawdzie napis *Masarz*, ale wewnątrz wyposażono ją raczej jak zaimprovizowaną karetkę pogotowia. Pochylił się nad nim jakiś mężczyzna w masce chirurgicznej na twarzy, zbadał mu ramię i odezwał się po angielsku:

— Zrobię panu zastrzyk z morfiny, żeby uśmierzyć ból. Czy pan rozumie, co do pana mówię?

Litow obrzucił spojrzeniem dwóch pozostałych pasażerów karetki, siedzących pod przeciwległą ścianą. Obaj mieli na sobie kominiarki, rozpięte pod szyją granatowe koszule i dzinsy. Jeden z nich trzymał na kolanach pistolet maszynowy. Dwie pary oczu wpatrywały się w niego zimno i beznamiętnie, gdy zastanawiał się, czy odpowiedzieć w tym samym języku. Ta decyzja mogła zaważyć na jego przyszłości. Po angielsku mówił lepiej niż płynnie; ukryłby w ten sposób swoją prawdziwą narodowość.

— A skąd mogę wiedzieć, czy w tej strzykawce jest rzeczywiście morfina? — spytał.

— Obawia się pan, że może to być pentotal sodowy? Żeby zaczął pan mówić? Jako lekarz nie mógłbym tego zrobić, zwłaszcza w pańskim stanie. — Anglik mówił łagodnym głosem, a w jego oczach, które patrzyły uważnie sponad maski, było coś, co w Litowie — wbrew wszystkiemu, co mu kiedykolwiek wpojono — wzbudzało zaufanie. — A poza tym, czeka pana lot. Dlaczego nie miałby go pan odbyć we w miarę komfortowych warunkach?

Natychmiast po ułożeniu go na noszach przykuto mu zdrową rękę kajdankami do drążka. W podobny sposób przytwierdzono w kostkach obie nogi, a klatkę piersiową przypięto dodatkowo skórzanym pasem. Był zupełnie bezradny, a fale przeszywającego bólu groziły w każdej chwili utratą przytomności.

— Rób pan ten zastrzyk — odparł szorstko. Lekarz odczekał, aż samochód na chwilę przystanie, zapewne pod światłami, po czym z wprawą przetarł środkiem odkażającym złamaną rękę i wbił igłę. Po pewnym czasie, na jakimś innym płaskim odcinku drogi, nastawił złamanie i założył szynę.

Czas płynął, a furgonetka mknęła naprzód; kierowca właśnie przyśpieszył, jakby zostawił za sobą ostatnie zabudowania miasta. Litow za wszelką cenę starał się jak najdokładniej ustalić dwa elementy: kierunek, w którym się posuwali — choćby orientacyjny — i szybkość jazdy. W ten sposób mógłby z grubsza obliczyć przebytą odległość.

Na początku wielokrotnie przystawali, prawdopodobnie pod światłami, teraz jednak jechali już bez przerwy, chyba jakąś autostradą. Bardzo starannie wybrał moment — gdy w pewnej chwili samochód przystanął, a trio siedzące na kozetce naprzeciwko spojrzło w stronę kabiny kierowcy, jakby sprawdzając, czy nie zanosi się na jakieś kłopoty — i zerknął ukradkiem na zegarek. Pozostawienie mu zegarka było poważnym przeoczeniem z ich strony.

Samochód ruszył dalej i jego trzech strażnicy wyraźnie się rozluźnili. Litow przymknął oczy. Uwzględniając szybkość furgonetki i dwanaście krótkich postojów, obliczył, że pokonali około dwustu kilometrów. Musieli ujechać spory kawał drogi od Brukseli. Na zachód, w kierunku wybrzeża? Dawno by do niego dotarli. Na południe, ku Francji? Już jakiś czas temu musieliby przekroczyć granicę, co oznaczało punkt kontroli dokumentów, a niczego takiego nie było. Na północ, w stronę Holandii? Te same kontrargumenty. Do granicy z Holandią było znacznie bliżej niż dwieście kilometrów. To samo odnosiło się do Niemiec. Pozostawał zatem tylko jeden kierunek i jeden obszar wchodzący w rachubę: południowy wschód i Ardeny.

* * *

Beurain pojechał tą samą trasą i dawno już wyprzedził furgonetkę. Minał właśnie Namur, gdzie brzegi Mozy opadają pionowymi urwiskami do samej wody. O tej porze szosa była niemal zupełnie pusta, Mercedes Beuraina zdawał się szybować w ciemności. Za Namur skręcił na Marche-en-Famenne i Bastogne, gdzie Amerykanie stoczyli w czasie drugiej wojny słynną bitwę z Niemcami. Znaleźli się teraz w odludnej okolicy, wśród wysokich wapiennych wzgórz, parowów i gęstych lasów.

— Jock — odezwał się Beurain, zwalniając przed ostrą serpentyną na drodze — tam, w Brukseli, miałem na pozór kupę szczęścia. Gdyby Litow był o sekundę, dwie szybszy, to mnie wieźlibyście teraz tą furgonetką.

— Byliśmy dobrze przygotowani. Pan sam był bardzo szybki.
— A ten motocykl? Trudno go było znaleźć?
— Nie bardzo, choć przyznam, właśnie czegoś takiego szukaliśmy. Stał oparty o ścianę domu w jednej z uliczek tuż przy tamtym skrzyżowaniu.
— Ach tak. . . — Beaurain spojrział kątem oka na profil Hendersona. Piaskowe włosy miał krótko przycięte, był gładko ogolony, a jego kościec znamionował siłę. Stanowcze usta, wydatne szczęki i czujne oczy, które niczemu nie wierzyły na słowo. Beaurainowi poszczęściło się, że zdołał go pozyskać, gdy Henderson odszedł z SAS — choć w rzeczywistości było akurat na odwrót. To Henderson porzucił SAS, by wstąpić do Teleskopu. Bomba, od której zginęła w Belfaście jego narzeczona, skłoniła go do zmiany całego trybu życia. Wyszkolenie i doświadczenie, jakie zdobył w SAS, czyniły z niego idealnego dowódcę kluczowej sekcji Teleskopu, zwanej potocznie sekcją szturmową.
Rozległ się brzęczyk radiotelefonu. Beaurain podniósł słuchawkę. Najpierw coś zatrzeszczało, a potem już zupełnie czysto zabrzmiał męski głos.
— Mówi Alex Calder. Czy są jakieś nowiny na temat przesyłki? — mówił po francusku, starannie odmierzając słowa.
— Tu Benedykt — odparł Beaurain. — Proszę oczekiwać przesyłki za trzydzieści minut. Czy dokumenty spedycyjne gotowe?
— Oczywiście, sir. Możemy wyprawić towar dalej dokładnie w chwili jego przybycia. Zwłaszcza teraz, gdy znamy już godzinę dostawy. Do widzenia.
Beaurain odłożył słuchawkę i zwrócił się do Hendersona:
— Helikopter czeka tylko na dostarczenie Litowa. Wszystko musi się odbyć jednym płynnym ruchem. To warunek powodzenia.
— Myślałem nad tym, co pan powiedział na rue des Bouchers. Doszedłem do wniosku, że ma pan rację. Syndykat rzeczywiście powinien być mieć w pobliżu jakiegoś obserwatora.
— Co oznacza, że w tej chwili już wiedzą o pojmaniu Litowa. Trzeba się zastanowić, jak na to zareagują.
— Mnie co innego nie daje spokoju. — Szkot poruszył się niespokojnie w fotelu. — Jeszcze o tym panu nie wspomniałem, wszystko działo się tak szybko.
— O czym mi nie wspomniłeś?
— Że kiedy wyrwaliśmy Litowowi Lugera, rewolwer nie był odbezpieczony.
Wjechali już głęboko w ardeńskie lasy. Księżyc w pełni chybotął się jak gigantyczny lampion między palisadą sosen porastających z obu stron drogi. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu kilometrów nie napotkali żadnego innego pojazdu. Kiedy zbliżyli się do kolejnego zakrętu, reflektory Mercedesa wyłoniły z ciemności kamienne słupy i otwartą na oścież bramę z kutego żelaza. Ozdobny napis na metalowej tabliczce przybitej do lewego słupa głosił: *Château Wardin*.

* * *

Château Wardin. To tu właśnie wszystko się zaczęło, przebiegło przez myśl Beaurainowi, kiedy znaleźli się na krętej alei dojazdowej za bramą. To tu powstał Teleskop. Przez trzy dni po pogrzebie swojej żony nie ruszał się z mieszkania w Brukseli, nie otwierał nikomu drzwi, nie odpowiadał na telefony, nic nie jadł i pił tylko wodę mineralną. Po upływie tych trzech dni wyszedł na świat, złożył rezygnację ze stanowiska szefa grupy antyterrorystycznej i zwrócił się do właściciela Château Wardin o wsparcie finansowe.

Baron de Graer, prezes Banque du Nord i jeden z najbogatszych ludzi w Europie, zaopatrzył Beauraina w fundusze wartości miliona funtów szterlingów. Jego teść, właściciel jednego z londyńskich banków handlowych, dostarczył drugiego miliona. Ale to właśnie Château Wardin, ofiarowany mu na dokładkę przez barona de Graer, postawił do dyspozycji Beauraina tereny poligonowe dla szturmowców, gdzie Henderson zrobił z nich najsprawniejszych komandosów Europy.

Rekrutację przeprowadzono ze znacznie większą starannością, niż robi to przy naborze nowych pracowników większość tak zwanych zawodowych służb tajnych. Do wszystkich podstawowych kryteriów dodano kryterium motywu — kandydatów, mężczyzn i kobiet, poszukiwano wyłącznie wśród osób, które poniosły podobne straty jak Beurain; wśród mężów, którzy utracili żony, i żon, które utraciły mężów, w tej dwudziestowiecznej rzezi, zwanej na pośmiewisko czasem pokoju. Henderson przyprowadził ze sobą kilku ludzi ze Special Air Service, bacząc pilnie, by motywem, który nimi kierował, nie była chęć zarobku. Szkot gardził najemnikami.

Już wkrótce Teleskop przeprowadził trzy większe akcje. Na lotnisku w Rzymie zastrzelono czterech porywaczy, którzy uprowadzili samolot Air France. Nikt nie zauważył snajperów Hendersona: ulotnili się z miejsca akcji karetką pogotowia, przebrani za sanitariuszy. W Düsseldorfie policja oblegała bank, w którym terroryści przetrzymywali zakładników. Nikt nigdy nie doszedł do tego, w jaki sposób nie zidentyfikowani osobnicy w maskach typu kominiarek dostali się na pierwsze piętro budynku, po czym zbiegli na parter i zlikwidowali grupę bandytów uzbrojonych w granaty i pistolety maszynowe. W Wiedniu — porwanie dokonane przez ormiańskich terrorystów. Nie zidentyfikowani strzelcy wyborowi zabili pod osłoną nocy wszystkich Ormian i rozplynęli się w ciemności jak duchy. Ale po każdej z tych akcji — i wielu, wielu innych — policja natrafiała na ten sam przedmiot pozostawiony jako znak rozpoznawczy. Teleskop.

Większość rządów europejskich była wrogo nastawiona do tej prywatnej organizacji, która potrafiła dokonać tego, czego oni nie byli w stanie. W obawie jednak, by fakt istnienia Teleskopu nie przedostał się do publicznej wiadomości,

zgodzono się na kompromis. Zezwolono, by zasługi za uwieńczone powodzeniem akcje w Rzymie, Düsseldorfie i Wiedniu przypisały sobie ich własne służby bezpieczeństwa.

— Politycy wyszliby na strasznych głupców, Julesie — tłumaczył René La-tour, szef francuskiego kontrwywiadu, swemu staremu przyjacielowi, Julesowi Beaurainowi, przy obiedzie, który jedli razem w czasie jego wizyty w Brukseli. — Pamiętasz, jak jakieś trzy lata temu powiedziałem ci, że ze względu na moją dalekowzroczność prezydent nazywa mnie swoim teleskopem?

— Nie, nie pamiętam — skłamał Beaurain.

— Przypomniało mi się to podczas pewnego zebrania, na którym przedstawiciele wszystkich naszych służb specjalnych debatowali nad Teleskopem i zachodzili w głowę, kto może być szefem tak niezwyklej organizacji.

— Co ty powiesz — zbył go wówczas Beaurain i, ignorując badawcze spojrzenie przyjaciela, zmienił temat.

Informacja. Belg od samego początku przewidywał, że sprawą najwyższej wagi dla jego organizacji, jeśli ma działać odpowiednio szybko i bezwzględnie, będzie stały, błyskawiczny dopływ poufnych i tajnych informacji. I to była jedyna dziedzina, w której posługiwano się pieniędzmi. Wypłacano pokaźne sumy starannie dobranej siatce szpiegów we wszystkich rodzajach środków masowego przekazu, w wielu agendach rządowych i w wielu krajach. I zawsze korzystano z kanału z dwiema wodoszczelnymi grodziami: telefon pod numer, spod którego ktoś dzwonił pod inny numer.

Ale to Château Wardin z jego różnorodnością ustronnych terenów, zamaskowanym pasem startowym i lądowiskiem dla helikopterów, stanowił klucz do Teleskopu. Tu właśnie Beaurain miał swoją główną bazę.

Natychmiast po przepuszczeniu furgonetki brama Château Wardin szczelnie się zamknęła. Litow nadal był całkowicie przytomny. Skoncentrował się, próbując za wszelką cenę odgadnąć, co się dzieje, dlaczego zwolnili. Przed ostrym zakrętem, niemal pod kątem prostym, który pokonali już w znacznie spokojniejszym tempie, jechali ze sporą prędkością jakąś krętą drogą. Musieli znajdować się w dość odludnej okolicy, bo od dłuższego już czasu nie słyszał żadnych innych pojazdów.

Jeszcze coś wskazywało na to, że chyba zbliżają się do miejsca przeznaczenia — lekkie poruszenie wśród strażników. Jeden z nich podszedł do Litowa, żeby sprawdzić kajdanki i skórzany pas. Lekarz pakował do torby swoje przybory. Furgonetka toczyła się teraz bardzo wolno, nieustannie pokonując liczne obustronne zakręty. Litowa zaczęła niepokoić uwaga lekarza: Czeka pana lot. . .

Polecenia, jakie otrzymał osobiście od doktora Berlina, były jasne i niedwuznaczne: Zostaniesz schwytyany przez ludzi z Teleskopu, którzy następnie zawiozą cię na przesłuchanie do swojej bazy. O nią właśnie mi chodzi, o jej dokładną lokalizację. Ustalisz, gdzie ta baza się znajduje, zaprzęgiesz do roboty swoje rozlicz-

ne zdolności i uciekniesz. Obojętne, ilu z nich miałbyś przy tym zabić. A wracając do twojego pojmania w Brukseli — z całą pewnością cię nie zabiją ani też nie zranią bardziej, niż to będzie konieczne. . .

Właśnie ta ostatnia przepowiednia nie przestawała zdumiewać Litowa i omal nie skłoniła go wówczas do zapytania Berlina, skąd bierze tę pewność; tyle tylko, że doktorowi Berlinowi nie zadawało się pytań. Skąd ten Berlin mógł wiedzieć, że ci ludzie dołożą wszelkich starań, by zachować Litowa przy życiu?

Furgonetka pokonała serpentyny krętej alei dojazdowej, obsadzonej drzewami i gęstymi krzewami. W odległości pół mili od bramy zostawiła za sobą ostatni zakręt. Aleja wyprostowała się i w świetle księżyca wyłonił się wielki zamek w stylu burgundzkim z dachem krytym szarą dachówką. Miał wysokie, strzeliste, półkoliście zwieńczone okna i ogromny taras, do którego prowadziły kamienne schody.

Kierowca skręcił na ścieżkę wiodącą wokół zamku i zapuścił się nią w głąb gęstego lasu. Dopiero kiedy Château Wardin dawno już zniknął za zasłoną drzew, wyjechał na obszerną polanę i tam się zatrzymał.

Napięcie Litowa rosło. Tylne drzwiczki odskoczyły na boki i w tej samej chwili bębunki uszu poraził mu piekielny jazgot — ryk uruchamianych rotorów śmigłowca.

W nozdrzach poczuł silny, żywiczny zapach sosen. Strażnicy chwycili jego nosze i wynieśli z samochodu. Ujrzał nad sobą półkole gęstego lasu i aureole księżyca, który skrywał się właśnie za ciemną chmurą.

Jego przypuszczenia okazały się słuszne — znajdował się gdzieś w Ardenach. Kiedy przenosili go z furgonetki, przy drabince do wjazdu helikoptera zobaczył Beauraina. Typu maszyny nie udało mu się ustalić.

Zdążył jeszcze skorzystać z ostatniej szansy i rozejrzał się na wszystkie strony, nim wniesiono go do wnętrza śmigłowca. Helikopter stał pośrodku polany otoczonej sosnowym lasem, dygocąc niczym gigantyczny owad rwący się do lotu. Nigdzie ani śladu drogi czy zabudowań. Odszukanie tego miejsca później, nawet z powietrza, było zupełnie nierealne. Długa, prosta szosa, kręta boczna droga, zapewne dom, chyba dość duży, i znajdująca się gdzieś w pobliżu polana w sosnowym lesie. Takich miejsc mogło być w Ardenach dziesiątki, a może i setki.

Wniesiono go po pochylni do tylnej części helikoptera i położono na kolejnej skórzanej kozetce zabezpieczonej z boku metalową poręczą. Huk silników zagłuszył zupełnie pomruk unoszącej się pochylni wjazdu. Nagle zapadła całkowita ciemność. Jeden ze strażników wyjął kajdanki i przykuł nosze do metalowej poręczy. Działali, dranie, bardzo metodycznie. Jakby trzask zapinanych kajdanków był sygnałem do startu, maszyna wzbila się w noc.

* * *

W przedniej kabinie, odizolowanej od kabiny załogi i ładowni, w której znajdował się Litow i jego strażnicy, Beurain z Hendersonem pili kawę przygotowaną przez Luizę Hamilton. Ciemnowłosą dwudziestosiedmioletnią Angielkę, ubraną w spodnie od dresu i bluzę, które nie do końca maskowały jej znakomitą figurę. Mocno zarysowane kości policzkowe świadczyły o sile charakteru. Nigdy nie rozstawała się z pistoletem kalibru 9 mm produkowanym w Herstal; spoczywał w jej torebce także i teraz, gdy siedziała naprzeciwko Beuraina. Jak w czasie każdej podróży, która z konieczności unieruchamiała ich we wnętrzu pojazdu, śmigłowca czy samolotu, Luiza Hamilton zdawała Beurainowi sprawozdanie z przebiegu dnia i spisywała, co jej podyktował.

— Alex twierdzi, że to proste złamanie — zaczęła. — Poboli kilka dni, ale zagoi się bez śladu, jeśli tylko nie będzie przy tej ręce grzebał. — Beurain był za bardzo zmęczony, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Henderson także nie odezwał się ani słowem.

— Czytałam jego akta, Julesie — Luiza nie dawała za wygraną. — Ma na swym koncie takie rzeczy, że ciarki chodzą po plecach. Naprawdę myślisz, że pięknie?

Beurain popatrzył na nią ponad stołem. Osiągnęli właśnie pułap dwóch tysięcy stóp i maszyna przeszła gładko do lotu w poziomie. Pilot otrzymał ściśle instrukcje i wypełniał je co do joty. Za okienkiem po prawej jaśniały pierwsze pasma brzasku, zapowiedź kolejnego pięknego dnia. Beurain pociągnął łyk kawy.

— Wcale nie musi pękać.

— Jak to, nie musi? Więc o co, u diabła, w tym wszystkim chodzi?

— Szef ma rację — odezwał się Henderson. — Wcale nie ma potrzeby dobierać mu się do paznokci, choć być może spuścimy go parę razy ze schodów, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać. Jedyne, co Litow musi, to dać się nabrać.

* * *

Według prowizorycznych obliczeń Litowa helikopter przebywał w powietrzu około trzech godzin. Dokładniej nie zdołał ustalić, bo nie mógł dojrzeć zegarka. Nie znalazł też sposobu na określenie kierunku lotu. Wszystkie okna szczelnie zaciemniono, uniemożliwiając mu orientację wedle położenia księżyca czy wschodzącego słońca. Raz jeden pojawił się Beurain z kimś, kogo Litow uznał za jego szefa sztabu. Rzucili okiem na jeńca i zamienili kilka słów z lekarzem i strażnika-

mi.

Zmęczenie zaczęło już podkopywać jego niezwykłą wytrzymałość i z coraz większym trudem walczył ze snem, gdy poczuł nagle, że helikopter zniża lot. Trzy godziny. Mogli być w Anglii, we Włoszech, w Hiszpanii — dosłownie wszędzie. Lekarz wstał ze swego fotela i podszedł do Litowa.

— Zawiążę panu oczy — powiedział. — Ale natychmiast po przybyciu na miejsce zdejmę panu opaskę.

Litow zacisnął powieki i poczuł dotyk tkaniny zawiązywanej szczelnie wokół głowy. Helikopter szybko tracił wysokość i opadał teraz zupełnie pionowo. Lekarz włożył mu zatyczki do uszu i Litow przestał słyszeć cokolwiek poza wyłumionym dudnieniem silników. Lekki wstrząs i maszyna wylądowała. Kilka minut później ktoś pochwycił jego nosze i Litow poczuł, że wyniesiono go na otwarte powietrze.

Nie pozbawiono go jednak węchu; pierwszą rzeczą, która przykuła jego uwagę po opuszczeniu helikoptera, był gryzący zapach dymu palonego ogniska. Angielskiego ogniska. Jakże miałby zapomnieć ten zapach? Pracował kiedyś w ambasadzie Związku Radzieckiego w Londynie. Ogniska palono oczywiście i w innych rejonach Europy, ale... Noszowi przystanęli na chwilę i lekarz wyjął mu z uszu zatyczki. To znaczy chyba lekarz. Transportujący go mężczyźni ruszyli dalej. Przez kilka minut panowała niczym nie zmacona cisza. Wyłączyli silniki helikoptera. Żadnych odgłosów przejeżdżających samochodów. I nagle ciszę tę zakłócił dobiegający z góry ryk dużego odrzutowca wzbijającego się w powietrze. Zanotował to sobie w pamięci. Był to tylko okruch informacji, ale Berlin zbierał wszelkie okruchy.

— Uwaga na schody — powiedział ktoś po niemiecku.

Niemcy? Tak, może nawet Austria. Baza Teleskopu mogła się znajdować w obu tych krajach. Zachrzęścił żwir; po raz pierwszy od opuszczenia helikoptera usłyszał odgłos ich kroków. Zapach dymu z ogniska ulotnił się. W skupieniu chłonał wrażenia, usiłując nie przegapić żadnej z ewentualnych wskazówek.

Nosze przechyliły się wyraźnie, głowę miał teraz znacznie niżej niż nogi. Naliczył chyba sześć schodków, po czym nosze powróciły do poziomu. Tupot nóg na kamiennej posadzce, następny lekki przechył i znów kroki, tym razem jednak mocno stłumione — zapewne znaleźli się wewnątrz domu i szli po dywanie. Szczęk otwieranego zamka, stuk noszy stawianych na jakimś twardym podłożu, zgrzyt domykanych ciężkich drzwi, ponowny szczęk zamka, tym razem zamykającego. I zdjęto mu opaskę.

* * *

Każdy dzień był precyzyjną kalką poprzedniego; tak precyzyjną, iż Litow nabrał niemal całkowitej pewności, że jest przetrzymywany gdzieś na terenie Niemiec i że sam Teleskop kierowany jest głównie przez Niemców, co — o ile wiedział — nikomu do tej pory nie wpadło do głowy. Na przykład ten autobus. Pomieszczenie, w którym go więziono, mierzyło sobie szesnaście na dwanaście stóp, miało kamienną podłogę i kamienne ściany i małe okienko wysoko pod sufitem, na wprost łóżka, jedynego tu mebla. Szyba w okienku była chyba z kuloodpornego szkła, ale samo okienko trzymano stale uchylone.

To właśnie przez ten luźnik słyszał codziennie zatrzymujący się autobus, zawsze dokładnie o 15.50. Słyszał wysiadających i wsiadających pasażerów, a przynajmniej tak właśnie rozszyfrował dobiegające go dźwięki, choć nigdy nie udało mu się zorientować, w jakim języku rozmawiają. Było jeszcze coś, czego nie mógł rozgryźć.

Codziennie o 15.55 gdzieś w pobliżu zatrzymywał się inny pojazd, mniejszy, sądząc po odgłosie pracy silnika. Przystawał na jakieś dwadzieścia pięć sekund, potem rozlegało się trzaśnięcie metalowych drzwiczek i pojazd odjeżdżał.

Litow daremnie łamał sobie nad tym głowę. Jego frustracja była tym większa, że miał pięć stóp i sześć cali wzrostu, a okienko znajdowało się na wysokości sześciu stóp nad podłogą. Nie było mowy, żeby udało mu się przez nie wyjrzeć. A stanąć nie miał na czym. Jedynym sprzętem w tym, przypominającym celę, pomieszczeniu było łóżko pod przeciwległą ścianą, solidnie przyśrubowane do kamiennej posadzki. Także w przyległej, maleńkiej i nieskazitelnie czystej toalecie nie znalazł niczego, co nadałoby się do tego celu.

Jednego był zupełnie pewien: budynek, w którym go przetrzymywano, musiał znajdować się gdzieś na wsi, a okienko jego celi musiało wychodzić na wiejską drogę. Tylko jedno dziennie połączenie autobusowe sugerowało dość odludną okolicę. Próba podniesienia krzyku w chwili, kiedy autobus się zatrzymywał, także nie wchodziła w rachubę — z doprowadzającą do szału perfidią tę właśnie porę wybierał sobie na odwiedziny przesłuchujący go mężczyzna. Zjawiał się codziennie, dokładnie o 15.30, nieodmiennie w towarzystwie uzbrojonego strażnika, przynosząc ze sobą krzesło, które po zakończeniu rozmowy zabierał.

Beaurain osobiście przedstawił mu przesłuchującego, tego samego dnia, kiedy umieścili go tutaj, czyli Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie. — To jest doktor Calder. Oczekujemy odpowiedzi na pewne pytania, które panu zadamy. Do chwili ich uzyskania pańskie racje żywieniowe zostaną ściśle ograniczone.

To był dla Litowa cios tylko do pewnego stopnia niespodziewany, ale jednak cios. Nie palił, alkoholu nie brał nawet do ust, za to lubił sobie zjeść i zazwy-

czaj siadał do trzech gorących posiłków dziennie. Skulony na brzegu swej pry-
czy, przyglądał się uważnie obu mężczyznom, z którymi zostawił go Beaurain.
Jeden z nich był najwyraźniej zwykłym strażnikiem — ponieważ stale miał na
twarzy kominiarkę, Litow nie rozpoznał w nim Stiga Palmego, człowieka, który
obezwładnił go na rue des Bouchers. Drugi, doktor, stanowił dla Litowa zupełną
zagadkę.

— Zapewne pan pali — posłużył się swym ojczystym angielskim i podsunął
Litowowi paczkę Silk Cutów. Litow potrząsnął przecząco głową, starannie tłū-
miąc radość. Nie mieli pojęcia, kim jest, nie figurował w ich aktach, bo inaczej
musieliby wiedzieć, że nie pali.

Doktor Calder nie miał maski. Usiadł na drewnianym krześle, założył nogę
na nogę i zabrał się do zapalania staromodnej fajki. Ubrany był w tweedową ma-
rynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, szare spodnie, koszulę w bladą krat-
kę i ciemnozielony krawat. Miał gęste kasztanowe włosy i takież wąsik, ogorzałą
twarz pobrużdżoną wieloma zmarszczkami i szare, wolno poruszające się oczy
o łagodnym spojrzeniu. Litow dawał mu sześćdziesiąt kilka lat.

— Czy możemy rozpocząć od pańskiego prawdziwego nazwiska? — spytał
po dłuższej chwili.

— James Lacey.

— Tak powiada pański paszport. Jeśli pan woli, możemy do tego powrócić
i spróbować jeszcze raz. Gdzie pan się urodził?

— Nie pamiętam. . .

Stojący obok i uzbrojony w pistolet maszynowy strażnik wykonał gest nie
wróżący nic dobrego, ale Calder go powstrzymał.

— Nasz gość ma prawo odpowiadać, jak mu się żywnie podoba. W końcu
nigdzie nam się nie śpieszy. Mamy czasu co niemiara — ile dusza zapragnie.

Calder przywodził na myśl człowieka, który specjalnie guzdrze się z robotą,
żeby wypełnić sobie jakoś dzień, i zupełnie nie dba o to, czy uda mu się dopiąć
swego. Tak bardzo odbiegało to od tego, czego się spodziewał Litow. Żadnych
gróźb, żadnych oznak, że mogliby się uciec do tortur. Calder stawiał kolejne py-
tania, co kilka minut na nowo rozpałał wygasłą fajkę i nie reagował ani na odpo-
wiedzi Litowa, ani wtedy, gdy Litow ich w ogóle nie udzielał. Po półgodzinnej
wizycie Calder wstał, ziewnął i spojrzał z góry na siedzącego jeńca.

— Widzę, że to potrwa. Wie pan co, panie Lacey? Miałem tu już kiedyś faceta,
też bardzo upartego. Odwiedzałem go całe dwa lata, nim poszedł po rozum do
głowy. Do zobaczenia jutro o tej samej porze.

Po czym drzwi otworzyły się i zamknęły, przekrecono klucz w zamku po ich
zewnątrznej stronie i Litow pozostał sam na sam ze swoimi myślami. Dwa la-
ta! Dwa lata! Żeby przestać o tym myśleć, skoncentrował się na poszukiwaniu
sposobu, w jaki mógłby dojrzeć autobus, który zatrzymywał się w pobliżu tego
domu.

Krzesło Caldera... Po kilku popołudniowych przesłuchaniach Litow uznał, że jeśli w ogóle ma wyjrzeć przez uchylne okienko z drewnianymi listwami żaluzji, to musi stanąć na tym właśnie krześle. Nasuwały się zatem dwa problemy. Po pierwsze, Calder musiałby zapomnieć je zabrać po którejś ze swoich wizyt i po drugie, wizyta ta musiałaby trwać bardzo krótko. Calder przychodził o 15.30, a autobus zatrzymywał się dokładnie o 15.50.

Nad łóżkiem było coś w rodzaju judasza, wmurowana w ścianę szklana cegła. Stanąwszy na łóżku Litow dokładnie przyjrzał się małemu prostokątowi, ale niewiele mu to dało. Bez wątpienia był nieustannie pilnowany przez zmieniających się kolejno strażników i nawet gdyby pojawiła się okazja wyjrzenia przez okienko, to i tak zostałyby to zauważone. Kiedy jednak po upływie tygodnia nadarzyła się taka szansa, bez namysłu z niej skorzystał.

* * *

Był to siódmy dzień pobytu w celi, ale Litowowi, któremu mocno dawał się we znaki ból w złamanej ręce i dieta składająca się wyłącznie z soku pomarańczowego i wody, wydawało się, że od jego uwięzienia w Brukseli minęło raczej siedem miesięcy. Calder zjawił się punktualnie o 15.30 i przystąpił do irytującego obrzędu rozpalania fajki. Kiedy dymiała już jak należy, spojrzął na Litowa i przyglądał mu się bez słowa przez całą minutę, co także należało do obowiązującego rytuału przesłuchania.

— No i jak, zdecydował się pan? — spytał w końcu.

— Na co? — Litow zerknął spod oka na strażnika, zastanawiając się, czy nie dałoby się rąbnąć go kolanem w krocze i wyrwać mu broni, lecz niestety, wszystko mieli dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Strażnik zachowywał odpowiednią odległość, pistolet maszynowy trzymał na piersi tak, że w pół sekundy mógł go wycelować w więźnia. Calder jak zwykle postawił swoje krzesło sześć stóp od łóżka, żeby Litow nie mógł go dopaść i użyć jako zakładnika, grożąc skreśleniem mu karku. Ci faceci z Teleskopu najwyraźniej znali się na swojej robocie. I wtedy właśnie popełnili pierwszy błąd.

— Żeby wyjawić nam swoje prawdziwe nazwisko — odparł Calder.

— John Smith.

— Jasne, oczywiście. Jak to świetnie się składa, że nigdzie nam się nie śpieszy — mruknął refleksyjnie Calder i zjrzał do swojej fajki.

— Zupełnie nie wiem, co w nią dzisiaj wstąpiło. Płata mi figle od chwili...

Drzwi celi otworzyły się na oścież i stanął w nich zamaskowany strażnik.

— Telefon do pana, panie doktorze — powiedział. — Przepraszam, że prze-

szkadam, ale podobno nie mogą poczekać, aż pan skończy.

Calder podniósł się powoli z krzesła.

— No cóż, musi nam pan wybaczyć, panie Smith — powiedział i opuścił celę, a za nim obaj strażnicy. Drzwi zatrzasnęły się i zostały zamknięte od zewnątrz. Litow nie ruszył się z miejsca, podejrzewając, że lada chwila ktoś się pojawi, ale nic takiego nie nastąpiło. Krzesło stało tam, gdzie je doktor postawił. Zapomnieli o krześle!

Spojrzał na zegarek. 15.47. Trzy minuty do przyjazdu autobusu. Odczekał jeszcze dwie, ciągnęły się w nieskończoność. Zerknął na szklaną cegłę. Jeśli go obserwowali, to wpadną natychmiast do celi. Ale nie pozostało mu nic innego, jak podjąć to ryzyko. Za wszelką cenę musiał, po raz pierwszy od siedmiu dni, rzucić okiem na świat na zewnątrz. Musiał zobaczyć ten autobus. Zanotował w pamięci dokładne miejsce ustawienia krzesła, poderwał się błyskawicznie, przystawił je do okna i szybko na nim stanął.

Tak jak przypuszczał, była to wiejska droga, wąska, asfaltowa, porośnięta po obu stronach trawą i obsadzona drzewami. Niemal w tej samej chwili zza zakrętu wyłonił się zwykły czerwony autobus. Zatrzymał się, drzwi otworzyły się automatycznie i wysiadły z niego trzy osoby — dwie kobiety z koszykami pełnymi zakupów i mężczyzna z labradorem na smyczy. Autobus stał zaledwie kilka sekund, po czym ruszył i zniknął mu z pola widzenia. Ale w okienku nad przednią szybą Litow dostrzegł tabliczkę z nazwą przystanku końcowego.

Jak urzeczony przyglądał się odchodzącym drogą pasażerom. Na drodze pojawił się następny pojazd, podjechał bliżej i stanął niemal pod samym oknem. Nie wyłączając silnika, kierowca w uniformie zabrał się do opróżniania wolno stojącej skrzynki pocztowej. Litow nie mógł oderwać wzroku od napisu wytłoczonego na boku również czerwonej furgonetki. — E II R. Furgonetka pocztowa Jej Królewskiej Mości Elżbiety II. Patrzył za nią w ślad, dopóki i ona nie zniknęła mu z oczu, zszedł z krzesła, odstawił je dokładnie na poprzednie miejsce, po czym położył się na łóżku i przymknął powieki.

Guildford. Taka była stacja docelowa autobusu. Baza Teleskopu znajdowała się w Surrey, w Anglii. Kiedy jeszcze raz przeanalizował swoje wcześniejsze szacunki czasu spędzonego na pokładzie helikoptera, wszystko się zgadzało. Przechowywano go w jakimś wiejskim domu przy linii autobusowej do Guildford.

— Nie ma co, chwycił pierwszą nadarżającą się okazję — zauważył Henderson, wyraźnie zadowolony.

— To przeciwnik, którego nie należy lekceważyć — zgodził się Beaurain.

— Jego akta powiadają, że... — Calder odszukał wzrokiem odpowiedni ustęp w trzymanej w ręku teczce — ... w roku 1975 został przydzielony do ambasady radzieckiej w Londynie, gdzie działał do roku 1977... i tak dalej, i tak dalej.

— Co sugeruje, że powinien dość przyzwoicie znać południową Anglię — dokończył za niego Henderson. — Agenci Special Branch kilkakrotnie śledzili go

do Woking, a to jest bezpośrednio na północ od Guildford. Oczywiście za każdym razem dali się zgubić, banda patałachów.

Beurain, Henderson i doktor dopili swoich drinków z dużą ilością lodu. Był kolejny niemiłosiernie upalny dzień lata.

— Potrzymamy go jeszcze kilka dni — powiedział Beurain. — Jeszcze kilka sesji z panem doktorem i możemy go puścić. — Spojrzał przenikliwie na Hendersona. — Lepiej już teraz zacznij planować największą cichą obławę, jaką uda ci się zmontować. Litow skieruje się do bazy Syndykatu, ale będzie się spodziewał, że jest śledzony.

— On jest mistrzem w gubieniu ogona — mruknął Henderson.

— Właśnie. Dlatego będziesz musiał zastosować sztafetę. Stań na głowie, ale nie wolno ci dopuścić, żeby nam się wymknął.

— W takim razie już mnie tu nie ma, sir.

— A ja — wtrącił Calder — muszę wracać do Litowa. Będzie pan gdzieś tutaj, sir?

— Dzisiaj już nie. Jestem umówiony w mieście i wrócę bardzo późno.

Beurain ruszył do frontowego wejścia, skinął głową strażnikowi, który otworzył mu drzwi, i zbiegł po schodach tarasu do swojego Mercedesa. W fotelu obok kierowcy czekała na niego Luiza. Prowadzącą w las odnogą alei dojazdowej wracał mężczyzna w mundurze kierowcy angielskiego autobusu.

Beurain odpowiedział na jego pozdrowienie i wrzucił bieg. W miejscu, gdzie aleja wypadała na główną drogę, skręcił w prawo i mijając drogowy znak BRUKSELA 240 KM dodał gazu.

— No więc, Luizo, drugą rundę wygraliśmy. Pierwszą, być może, należałoby uznać za remisową, ale druga należy do nas.

Imponujące dwuskrzydłowe drzwi Banque du Nord przy Boulevard Waterloo w Brukseli były zamknięte. Beurain zostawił Luizę w samochodzie i nacisnął dzwonek w ustalony z góry sposób. Lewe skrzydło drzwi uchyliło się na kilka cali. Umundurowany strażnik rozpoznał Beuraina, wpuścił go szybko i natychmiast zamknął drzwi z powrotem.

— Monsieur le Baron oczekuje pana — powiedział i poprowadził go do niewielkich połączonych drzwi. Podczas oczekiwania na windę zdjął ze ściany słuchawkę i rzucił do niej kilka słów. Beurain z zadowoleniem obserwował te wszystkie środki bezpieczeństwa; strażnik informował obstawę z wyższych pięter, że Beurain jest już w drodze.

— Na górze będzie ktoś na pana czekał — powiedział i odsunął się na bok, przepuszczając Beuraina do windy. Kabina zatrzymała się na drugim piętrze, gdzie czekał na niego drugi strażnik, tym razem ktoś, kogo Beurain nie znał. Przyjrzał się uważnie Beurainowi, porównał jego twarz ze zdjęciem, które trzymał w ręce, i dopiero wtedy poprowadził go po marmurowej posadzce długiego korytarza do masywnych, wykładanych drewnem drzwi na jego końcu. Strażnik

wpuścił go do środka; drzwi wyposażone były w jeden z tych zamków, które pozwalają je otworzyć przekręceniem gałki tylko od wewnątrz.

— Jules, mój drogi, jakże miło znów pana widzieć! Jeszcze raz przepraszam, że pozwoliłem sobie zadzwonić do zamku i kazałem panu trudzić się taki szmat drogi, i to o tej porze. — Baron uścisnął mu rękę i wskazał na telefon. — Widzi pan, nie mam zbyt dużego zaufania do tego urządzenia, zwłaszcza kiedy rozmowa ma dotyczyć czegoś ważnego.

Coś tu było nie tak. Beaurain wyczuł to w powietrzu, kiedy baron de Graer, prezes Banque du Nord, usadził go w obitym skórą fotelu, po czym bez słowa zabrał się do przyrządzania dwóch podwójnych szkockich z wodą sodową. Baron był niski i szczupły, siwizna wciąż jeszcze nawet nie przyprószyła mu włosów, a oko nad jastrzębim nosem nadal miało błysk jak u człowieka czterdziestoletniego, choć baron dawno już przekroczył ten wiek. W tym momencie Beaurain zorientował się wreszcie, skąd mu się wzięło wrażenie panującego tu napięcia. Usta barona, na których zwykle malował się uśmiech, były zaciśnięte w prostą kreskę, jak u kogoś, kto za wszelką cenę próbuje zachować panowanie nad sobą... albo jest ciężko przerażony. To drugie nie wchodziło oczywiście w rachubę.

— Cheers, jak mawiają Anglicy! — powiedział de Graer, wyraźnie siłąc się na pogodny ton, i usiadł w sąsiednim fotelu. Beaurain nie spuszczał z niego badawczego spojrzenia i zachował milczenie.

— Tak mi przykro, że kazałem panu tłuc się taki kawał drogi, i to bez należytego uprzedzenia...

Wyraźnie wyszukiwał preteksty, żeby jak najdłużej odwlec moment, kiedy będzie musiał wyjawić Beaurainowi cel wezwania. To było zupełnie do niego niepodobne: de Graer był człowiekiem ogromnego charakteru.

— Nie musi pan sobie robić wyrzutów — odparł Beaurain, obserwując uważnie barona. — I tak miałem przyjechać do Brukseli na spotkanie z Voisinem.

— Komisarzem policji?

Baron zadał to pytanie ostrym tonem, w którym słychać było wyraźne zderzenie. Co tu się, u diabła, działo? Beaurain doznał przedziwnego uczucia, jakby cały świat zatrząsł się w posadach, uczucia niepewności i zagrożenia, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu. Czyżby zaczynał być przewrażliwiony, zbyt ostro reagował na ludzi i nastroje? Może jednak Luiza miała rację, kiedy mówiła, że bardzo przydałby mu się urlop.

— Owszem — odparł z największą swobodą, na jaką potrafił się zdobyć. — Tematem spotkania jest koordynacja działań zmierzających do wytypowania terroryzmu. Powinni wziąć w nim udział szefowie zainteresowanych agend ze Stanów i całej Europy. Czy coś się stało, panie baronie?

— Może się zdarzyć, że nie zostanie pan wpuszczony na to zebranie. — Baron jednym haustem dopił swoją whisky i wbił wzrok w przeciwległą ścianę pokoju.

— Otrzymałem wyraźne zaproszenie do wzięcia w nim udziału i nie spodzie-

wam się, żeby ktokolwiek robił mi w tym trudności. Skąd, u licha, coś takiego mogło w ogóle przyjść panu do głowy?

Tym razem bankier spojrział Beaurainowi prosto w oczy. W jego wzroku czał się. . . tak, strach, strach na pograniczu zaszczucia. A więc jednak. Przesunięciem palca poluźnił sztywno wykrochmalony kołnierzyk koszuli.

— Są sprawy, o których nic pan nie wie, Julesie. Potęga tak wielka, że da się ją porównać tylko do gigantycznej ośmiornicy, która oplotła swoimi mackami wszystkie dziedziny życia i wszystkie szczeble społeczeństw Zachodu. Dziś rano Syndykat nadał w świat hasło, w którym wymienia z nazwiska niejakiego Julesa Beauraina, byłego nadinspektora policji w Brukseli. To hasło brzmi: ZENIT.

Wstał i podszedł szybko do barku. Napełnił powtórnie swoją szklaneczkę, dodając tylko symboliczną kroplę wody sodowej. A potem zrobił coś jeszcze, co zupełnie nie pasowało do sytuacji — usiadł za swoim wielkim biurkiem, jakby prowadził oficjalną rozmowę z jednym z interesantów. Beaurain też się podniósł, odstawił starannie swoją szklankę na biurko i zaczął powoli przechadzać się po gabinecie, sztywno wyprostowany. Postawa ta była na tyle charakterystyczna, że baron natychmiast ją rozpoznał. Beaurain tak właśnie się zachowywał, kiedy swego czasu kierował akcjami grupy antyterrorystycznej.

— Czy zechciałby mi pan wytłumaczyć — zaczął spokojnie — skąd pan w ogóle ma informacje na temat jakiegoś hasła wydanego przez Syndykat, którego samo istnienie nie zostało jeszcze, o ile wiem, udowodnione? I co to za idiotyzm — dokończył rozmyślnie ostrym tonem — z tym jakimś tam zenitem?!

— Hasło ZENIT oznacza, że wymieniona w nim osoba ma pozostawać pod stałą obserwacją, że o każdym jej ruchu, każdym słowie, każdym spotkaniu — dosłownie o wszystkim, aż do najdrobniejszego szczegółu — należy niezwłocznie powiadomić Syndykat.

Beaurain przystanął przed biurkiem barona i zapalając niespiesznie papierosa, niemal bez ruchu świdrował de Graera badawczym spojrzeniem, jakby miał do czynienia z podejrzanym.

— Przykro mi, Julesie, ale uważałem, że muszę pana ostrzec. . .

— Milczeć! Milczeć i odpowiadać na moje pytania!

— Jak pan śmie tak do mnie mówić!- zawołał z oburzeniem de Graer, zrywając się z krzesła i sięgając do przycisku dzwonka, który sprowadziłby jego sekretarza.

— Jeśli naciśnię pan ten dzwonek, zrzucę tego, kto tu się pojawi, z tych pańskich marmurowych schodów. A potem pewnie złamię panu rękę w nadgarstku. Na miłość boską, czy to ma znaczyć, że pan jest jednym z nich, że należy pan do Syndykatu?!

— Nie! Jakże coś takiego mogło panu w ogóle. . .

— No to, w jaki sposób dowiedział się pan o hasle ZENIT? Kto je panu przekazał?

— Zadzwoń do mnie jakaś kobieta. Nie mam pojęcia, kim jest ani skąd do mnie dzwoni. Nie wiem nic o jej. . .

— A dlaczego to niby — przerwał mu Beaurain — Syndykat miałby dzwonić do pana, de Graer, skoro pan nie ma z nimi podobno nic wspólnego?

— Nie będzie się to panu podobało. . .

— To mi się nie podoba od samego początku.

— Banque du Nord ma w Syndykacie pewne, zupełnie znikome udziały. To właśnie dzięki temu byłem w stanie przekazywać panu od czasu do czasu jakieś informacje o nich i ich zamierzeniach. Musi pan przecież wiedzieć, że po tym, co przeszedłem, nigdy nie mógłbym im pomagać w żaden poważniejszy sposób.

Po tym, co przeszedłem. Beaurain z trudem zmusił się do zachowania poprzedniej szorstkości, usłyszawszy z ust barona ten zwrot. Zaledwie przed dwoma laty żona i córka de Graera zostały uwięzione w Château Wardin przez irackich terrorystów, którzy mieli nadzieję wymienić je na dwóch swoich towarzyszy przetrzymywanych w jednym z belgijskich więzień. Było to na krótko przed złożeniem przez Beauraina rezygnacji z dowodzenia brygadą antyterrorystyczną. Negocjacje z porwaczami spartaczono, a w efekcie niezdarnej próby odbicia zakładniczek żona i córka barona poniosły śmierć.

Wkrótce po tym brutalnym mordzie baron przekazał Château Wardin — wraz z jego dziesięcioma tysiącami hektarów dziewiczego lasu, wzgórz i urwisk — sekcji szturmowej i innym formacjom Teleskopu. Nie chciał już nigdy oglądać tego miejsca, nawet z daleka.

— Właśnie z powodu tego, przez co pan przeszedł — odparł Beaurain wciąż z zimną rezerwą w głosie — nie jestem w stanie pojąć, jak może pan mieć cokolwiek wspólnego z tym diabolicznym Syndykatem. Powiedział pan, że Banque du Nord ma w Syndykacie swoje udziały — „zupełnie znikome”. Jak mam to, na miłość boską, rozumieć?

— Że wnieśliśmy tylko zupełnie nieznaczny wkład finansowy.

— Do Syndykatu?!

— Owszem. . . A teraz proszę, niech mnie pan wysłucha, Julesie. Kiedy zwrócono się do mnie w tej sprawie, uznałem przyjęcie ich propozycji za dobry pomysł. Otwierało mi to kanał pozyskiwania informacji, informacji, które mogłem następnie przekazywać wam. I tak właśnie postąpiłem.

— To prawda. Tak jak prawdą jest i to, że nigdy nie zdradził pan, skąd te informacje pochodzą.

— Sądziłem, że sposób, w jaki je uzyskiwałem, nie znalazłby uznania w pańskich oczach.

— W jakiej formie złożono wam tę propozycję?

Bankier zaczynał się pocić; jego czoło zrosiły maleńkie kropelki wilgoci. Atmosfera w luksusowym gabinecie była jak naelektryzowana. Patrząc na de Graera, Beaurain odniósł wrażenie, że robi mu się nie do wytrzymania gorąco. Baron

zrobił ruch w kierunku barku, rozmyślił się i stanął niezdecydowany za biurkiem.

— W jakiej formie Syndykat złożył tę propozycję pańskiemu bankowi?

— Telefonicznie, na mój prywatny numer. Bóg jeden raczy wiedzieć, skąd go wzięli. Mają swoich ludzi dosłownie wszędzie.

— Kto ją złożył?

— Kobieta, do której mam dzwonić z każdą informacją o panu. Tak, Julesie — o panu! Mam im przekazać słowo w słowo wszystko, o czym rozmawiamy w tym pokoju.

— Czy ta kobieta jakoś się nazywa?

— Już na samym wstępie kazała mi zwracać się do siebie per „Madame”.

— Akcent?

— Mówi po flamandzku.

— Co konkretnie proponowała?

— Wykup udziału, który miałby przynosić kolosalne zyski od zainwestowanej sumy. Była mowa o trzystu procentach rocznie.

— W jaki sposób ukrył pan to przestępstwo przed pozostałymi członkami rady nadzorczej banku?

— Zapłaciłem całą sumę gotówką podjętą z mego prywatnego konta.

— Pan kłamie, de Graer!

To oskarżenie smagneło starego barona jak policzek. Drgnął, jakby naprawdę mu go wymierzono, i krew odpłynęła mu z twarzy. Wydawało się, że w oczach się postarzał. Beaurainowi zrobiło się żal przyjaciela, ale nie mógł dopuścić, żeby współczucie zmąciło mu ocenę sytuacji. Musiał przełamać barierę, której istnienie intuicyjnie wyczuwał.

— Jak pan śmie tak do mnie mówić, Beaurain. . .

— Wiem, kiedy pan kłamie. Całe życie upłynęło mi na nauce rozpoznawania takich właśnie rzeczy. Teraz pan kłamie — albo nie mówi mi wszystkiego. No więc, jak to było naprawdę?

— Zagroziła, że Yvette może spotkać coś złego.

— Kogo?

— Yvette, moją siostrzenicę, córkę mojej siostry. Po tym, co się stało z moim własnym dzieckiem. . . Na miłość boską, Julesie, niech pan ma litość!

— Rozdepczę ich wszystkich jak robactwo, choćbym miał na to poświęcić całą resztę życia. Po prostu muszę wiedzieć, jak stoją sprawy między nami, komu jeszcze mogę ufać.

— Obawiam się, że teraz już nikomu. Grozi panu wielkie niebezpieczeństwo.

— Czym konkretnie groziła pańskiej siostrzenicy? — Beaurain nadal mówił beznamiętnie, spokojnie i monotonnie, z nadzieją, że uda mu się rozbroić bombę terroru podłożoną w sercu jednego z najpotężniejszych banków Brukseli. De Graer nie odpowiedział mu słowami. Pociągnął za łańcuszek przy kamizelce i wydobył z kieszonki pęk kluczyków. Wybrał jeden z nich, włożył do zamka szuflady

biurka, otworzył ją i wyjąwszy kopertę, podał ją Beaurainowi. Beaurain znalazł w niej kartonik, który na pierwszy rzut oka wziął za zwykłą kartę pocztową, dopóki dokładniej nie przyjrzał się umieszczonemu na nim rysunkowi. Rysunek był prymitywny, niewprawy, przerażający i piekielnie sugestywny. Przedstawiał siedzącą na łóżku lalkę. Bez głowy. Z kikuta szyi ściekały wielkie krople krwi. Na podłodze koło łóżka przyklejono zdjęcie głowy dziecka. Beaurain podniósł wzrok na bankiera.

— To ona? — spytał.

— Tak, to jest Yvette. — De Graer nie był w stanie ustać na miejscu. Spojrzeniem biegł wciąż w stronę barku i tylko najwyższym wysiłkiem woli zmuszał się do pozostania za biurkiem. — Czy może pan sobie wyobrazić, jak się czułem, kiedy to dostałem?

— Ostrzegł pan siostrę?

— Ona absolutnie nie może się o niczym dowiedzieć! — Bankier był już bliski paniki. — Jak pan wie, jej mąż jest znanym adwokatem. Podniósłby wielki szum, a to natychmiast naprowadziłoby ich na bank. Spełniłem wszystkie ich żądania, dostarczyłem środków finansowych, więc Yvette jest bezpieczna.

— Ma pan taką nadzieję.

— Do diabła, Julesie! Niech pan tak nie mówi! Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, ale Syndykat wszędzie ma swoich ludzi. Nie ulega żadnej wątpliwości, że i w tym budynku mają swego agenta, który obserwuje każdy mój krok.

— Czy powiedział pan tej Madame, która do pana dzwoni, o Teleskopie? — spytał powoli Beaurain.

— Na miłość boską, czy uważa pan, że zdradziłbym organizację, którą sam pomogłem stworzyć?! Co za pytanie! — De Graer wytarł czoło chusteczką, najwyraźniej było mu już wszystko jedno. Zdobył się w końcu na najwyższy wysiłek i wziął się w garść. — Tylko Teleskop może zniszczyć Syndykat. Policja i służby bezpieczeństwa są zupełnie bezradne — nie są nawet do końca przekonani, że ta nowa ośmiornica w ogóle istnieje. Sam doszedłby pan do tego wniosku, gdyby mógł pan wziąć udział w międzynarodowej naradzie u komisarza policji.

— Ależ ja biorę w niej udział.

— Zostanie pan zatrzymany przed drzwiami. Jeden z bardzo wpływowych uczestników tej narady także otrzymał hasło ZENIT i polecenie wykluczenia pana z tego spotkania. Proszę mnie nie pytać, kto to taki — nie wiem. I proszę mnie też nie pytać o źródło tej informacji.

— A zatem koniec pańskiej współpracy z Teleskopem?

Na twarzy de Graera po raz pierwszy pojawił się nikły uśmiech. Jeszcze raz pociągnął za złoty łańcuszek, wyjął z kieszonki kamizelki pęk kluczyków i otworzył znacznie głębszą szufladę. Wyciągnął z niej spory skórzany neser i położył na biurku. Uniósłszy wieko, Beaurain ujrzał równiutkie rzędy paczek banknotów wypełniające szczelnie wnętrze neserera. Franki szwajcarskie. Wystarczył jeden

rzut oka, żeby stwierdzić, że banknoty nie mają kolejnych numerów. Prane pieniądze, których źródło było nie do wyśledzenia. Opuścił wieko, zamknął neseser i spojrzał na bankiera.

— Kolejna darowizna na rzecz Teleskopu, Julesie. Równowartość pięciuset tysięcy funtów szterlingów.

— Dziękuję, panie baronie, zupełnie szczerze dziękuję. A teraz proszę o numer telefonu, pod którym ma się pan kontaktować z tą Madame.

— Ona się o tym dowie! Yvette, moja siostrzenica. . .

— Nie dowie się, ale być może uznamy za konieczne wyśledzić ją i wyłączyć z akcji. Raz i na dobre.

De Graer wahał się tylko chwilę, nim przerzucił kołnотatnik na biurku, wyjął z niego jedną kartkę i podał ją Beaurainowi. Wymyślił dla Madame imię Paulina.

— To pańskie „raz i na dobre” zabrzmiało niczym wypowiedzenie wojny — zauważył, patrząc z nieszczęśliwą miną, jak Beaurain przepisuje numer do swego notesu.

— Groziła śmiercią temu dziecku, prawda? No! I będzie pan musiał donieść tej Madame o mojej wizycie — skoro jest pan przekonany, że mają w banku swojego szpiega. A więc dobrze, oto co pan jej powie: przyszedłem do pana jako do starego przyjaciela, bardzo zaniepokojony, gdyż w okolicy Grand Place próbowano mnie zamordować. Zabójcy udało się zbiec, a ja sprawiałem wrażenie wstrząśniętego. — Wziął do ręki neseser. — Jeszcze raz dziękuję za dar na rzecz Teleskopu. A nim sobie pójdę. . . Czy to już wszystko na temat Syndykatu, co ma mi pan do powiedzenia?

De Graer zawahał się i zeszywniał.

— Wszyscy udziałowcy, akcjonariusze. . .

— Sponsorzy tej międzynarodowej bandy kryminalistów. . .

Bankier jeszcze raz drgnął, nim skończył mówić.

— Mniej więcej za dwa tygodnie odbędzie się walne zebranie. Będę musiał wybrać się w tym celu do Skandynawii, ale dokąd dokładnie — tego mi nie powiedziano.

— Proszę dać mi znać, kiedy uzyska pan więcej szczegółów — powiedział Beaurain, podchodząc do drzwi. — I od tej chwili proszę dzwonić do Château Wardin wyłącznie z ulicznych automatów.

Strażnik z drugiego piętra zjechał z nim windą na dół. Czy od tego człowieka emanowała wrogość? Beaurain na wszystko patrzył teraz zupełnie nowym spojrzeniem. A strażnik rzeczywiście miał pod pachą kaburę z rewolwerem, nowość w Banque du Nord.

Nawet na niego nie spojrzał, kiedy Beaurain wysiadał z windy. Pozostał po prostu bez słowa w tyle, Beauraina przejął wartownik z parteru i, także milcząc, doprowadził do drzwi wyjściowych. Beaurain zawahał się przed wyjściem na

ulicę. Tamten z windy miał dość czasu, żeby zadzwonić i wezwać, kogo trzeba. Luiza Hamilton czekała na niego z miną nie wróżącą nic dobrego.

— Coś nie tak? — spytał, siadając za kierownicą.

— Ten pokurcz w granatowym Renault przed nami. Wlepił ci mandat. Powiedziałam mu, kim jesteś, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

— Zamienię z nim kilka słów. Dzieje się coś dziwnego. Później ci wszystko opowiem.

Policjant ubrany był po cywilnemu, miał wychudłą twarz i śniadą cerę. Na widok nadchodzącego Beuraina opuścił szybę.

— Właśnie miałem wezwać pomoc drogową, żeby pana odholowali.

— Pan wie, kim jestem?

— Tak, ale...

— Ja natomiast nie wiem, kim pan jest. Wykroczeniami drogowymi zajmują się wyłącznie umundurowani policjanci. Pańskie działanie jest bezprawnym nękaniem obywateli. Proszę mi pokazać nakaz.

— Nie będę panu niczego pokazywać.

— Wyciągam stąd wniosek, że nie pracuje pan wcale w policji, więc wywołokę pana zaraz z tego samochodu i spróbuję znaleźć jakiś dokument stwierdzający, kim pan właściwie jest.

Wystraszony miną Beuraina, mężczyzna pokazał mu legitymację policjanta. Beurain skinął głową, wepchnął mu mandat do kieszeni na piersi marynarki i odszedł szybkim krokiem, wściekły i zaskoczony. Od czasu rezygnacji świadczone mu zawsze takie same grzeczności jak wtedy, gdy był jeszcze szefem brygady antyterrorystycznej. Czy ta nagła zmiana była wynikiem hasła ZENIT, które otrzymał de Graer? Wskoczywszy za kierownicę swojego 280E, nie odezwał się ani słowem do Luizy, tylko przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył z piskiem opon.

— Mamy ogon — powiedziała po chwili Luiza. — Kremowy Fiat z dwoma facetami w środku. Stał zaparkowany tuż za nami. Kiedy tamten wypisywał mi mandat, widziałam, jak daje im jakiś znak.

Beurain spojrzął we wsteczne lusterko. Już trzech cywilnych agentów odkomenderowano do jego obserwacji. Machina terroru ruszyła.

ROZDZIAŁ 4

Zajechali przed komendę główną policji. Beaurain zaparkował przy chodniku i zabrał Luizę ze sobą do poczekalni. Normalnie kazałby jej odstawić samochód do domu i tam na siebie poczekać, ale teraz doszedł do wniosku, że tutaj będzie bezpieczniejsza.

— Zaopiekuj się panną Hamilton, Pierre — poprosił dyżurnego sierżanta.

Ponieważ był już spóźniony na konferencję zwołaną przez komisarza Voisina, wbiegł szybko po schodach, zostawiając Luizę samą w szarej i smutnej poczekalni.

Chwilę później jeden z mężczyzn, którzy śledzili Mercedesa, wyszedł z budki telefonicznej przed budynkiem, a Pierre, sierżant dyżurny komendy, odłożył słuchawkę swojego aparatu. Zerknął spod oka na siedzącą tyłem do okien Luizę i opuścił swoje stanowisko. Punkt zgłoszeń w komendzie pozostał pusty, przez nikogo nie obsługiwany, i nigdzie w zasięgu wzroku nie było żywego ducha.

W wejściu stanęli mężczyźni z kremowego Fiata, spojrzeli na opuszczone stanowisko dyżurnego i skręcili do poczekalni. Jeden z nich zatrzymał się w progu, pilnując korytarza. Luiza podniosła wzrok znad książki, którą zawsze nosiła w torbie i wyjęła właśnie dla zabicia czasu — i zamarła.

— Pani Luiza Hamilton?

Mężczyzna, który się do niej zwracał, był wysoki i kościsty, miał na sobie jasny trenecz, kapelusz z miękkim rondem i ciemne okulary. Luiza wstała szybko z krzesła, spoglądając kątem oka w stronę pokoju zgłoszeń. Pokój był pusty. Uznała to za mocno podejrzaną, podobnie jak wygląd obu mężczyzn. Ten przy drzwiach od ulicy był niższy i potężniej zbudowany od swego kompana, żył gumę i nieustannie lustrował wzrokiem pusty korytarz.

— Czy mogę zobaczyć pańską legitymację? — spytała, przesuwając się nieznacznie w bok. Kościsty nie zagradzał jej drogi, toteż krok po kroku zaczęła powolutku wycofywać się ku drzwiom.

— Tutaj nie muszę się przed panią legitymować! Chwileczkę! A dokąd to?! Andre!

Luiza wymknęła się na korytarz.

Andre był następną przeszkodą, którą należało wyminąć. Zaczął się cofać do

drzwi wyjściowych i nie wyglądało na to, żeby udało jej się wydostać z komendy, nim ją dogoni. Kiedy był już o krok, odwróciła się i z pełną premedytacją przeorała mu łydkę stalową skuwką obcasa swojej szpilki. Andre zatkał sobie usta ręką, żeby nie wrzasnąć z bólu.

Luiza rzuciła się biegiem, odepchnęła zewnętrzne drzwi i wypadła na dwór. Owionęło ją ciepłe powietrze. Zapadał wieczór, ulica była zupełnie wyludniona, ale Mercedes nadal stał przy krawężniku. Podbiegła do niego z kluczykiem w ręce i w tej samej chwili usłyszała za plecami mrozący krew w żyłach krzyk Andre: — Nie dała się aresztować, będę strzelać!

Wepchnęła kluczyk do zamka, jednym szarpnięciem otworzyła drzwiczki i dała nura za kierownicę, zatrzaszkując drzwiczki za sobą. Dopiero wtedy obejrzała się na budynek komendy, wkładając jednocześnie kluczyk do stacyjki i włączając silnik.

Niski, krępy Andre wybiegł kulejąc z bólu na chodnik przed komendą i próbował wycelować do niej z rewolweru o pękatej lufie. Kościsty dopadł go w ostatniej chwili i zaczął się z nim szamotać, podbijając mu broń w powietrze.

— Żadnej strzelaniny, Andre! Piotr ją zatrzyma.

Piotr? Musiało mu chodzić o tamtego faceta, który wlepił jej mandat przed Banque du Nord, bo w lusterku zobaczyła teraz kilka metrów za sobą jego granatowego Renaulta. Kremowy Fiat stał zaparkowany zderzak w zderzak przed Mercedesem, blokując jej wyjazd. Ale Piotr zostawił małą lukę — dla zachowania pozorów? — i zapalał właśnie silnik swojego samochodu, żeby podjechać bliżej i zamknąć ją w potrzasku.

Wrzuciła wsteczny bieg. Piotr za jej plecami ujrzał, że Mercedes zamierza go staranować i wpadł w popłoch. Gwałtownie cofnął samochód usuwając się Luizie z drogi i rąbnął w zaparkowaną z tyłu ciężarówkę. Tymczasem Andre i jego kompan byli już w połowie chodnika. Luiza przerzuciła bieg, skrzyła kierownicę i z piskiem opon wyprysnęła na jezdnię. Należało się urwać, nim zdążą się pozbierać i ruszyć w pościg. Miała szczęście; dopadła pierwszego skrzyżowania i skrzyła w lewo, w zatłoczoną ulicę, tuż przed zmianą świateł na czerwone. Teraz ani Fiat, ani Renault nie były w stanie jej dogonić ani odnaleźć. Ale czy mieszkanie Julesa będzie bezpieczne?

* * *

— Niestety, nie może pan wejść, sir.

Beaurain mocniej zacisnął w ręce neseser otrzymany od de Graera. Uśmiechem pokrył konsternację, w jaką wprowadziła go odpowiedź policjanta. Do tej pory

nie bardzo wierzył w to, co usłyszał od barona. *Może się zdarzyć, że nie zostanie pan wpuszczony na to zebranie.* Przyszło mu na myśl, żeby po prostu odsunąć żandarma na bok, ale ten odpinał już kaburę, w której załśniła kolba pistoletu. Beaurain znał tego człowieka od piętnastu lat; wiedział, że to sumienny pracownik, ale tępak bez wyobraźni i własnej inicjatywy.

— Chcielibyście dosłużyć tu do emerytury, Georges? — spytał od niechcienia. Policjant spuścił wzrok i zaczął z zakłopotaniem przestępować z nogi na nogę, jakby piły go za ciasne buty.

— Mam swoje rozkazy.

— Kto je wydał?

— Sam komisarz Voisin osobiście postawił mnie przed tymi drzwiami... — W tym momencie Beaurain lewą ręką wyrwał mu pistolet z kabury, prawą odepchnął na bok i zatrzasnął za sobą drzwi, wpadł do dużej sali, do której żandarm tak zacięcie bronił dostępu.

Pośrodku stał długi, drewniany stół, przy którym siedziało kilkanaście osób. Zebraniu przewodniczył komisarz Camille Voisin, zwalisty mężczyzna o szerokich, niemal pozbawionych warg ustach i małych oczkach biegających na wszystkie strony, jakby do wtóru pulchnym dłoniom, które ani na moment nie pozostawały bezczynne. Beaurain przesunął spojrzeniem po reszcie obecnych. Znał wszystkich od lat, byli to wysocy funkcjonariusze służb bezpieczeństwa z zachodniej Europy oraz Ed Cotel z CIA.

— Najmocniej przepraszam za spóźnienie — powiedział swoim najsympatyczniejszym tonem, zauważając jednocześnie, że nie przygotowano dla niego miejsca — ale miałem pewne trudności z dotarciem na to zebranie.

— Pan nie bierze w nim udziału, Beaurain — odparł Voisin, wstając z fotela, by zademonstrować swoją irytację i całą zwalistą postać. Wytrzeszczył na Beauraina oczy i dokonał jednego z tych swoich absurdalnie oczywistych spostrzeżeń, z których był szeroko znany. — Pan ma w ręku pistolet!

— Celująco! To pistolet tego idioty przed drzwiami, który próbował mnie tu nie wpuścić.

— Taki właśnie otrzymał rozkaz.

— Zaproszenie do mnie wystosował osobiście sam minister. Chce się pan z nim porozumieć w tej sprawie?

Voisin odwrócił się ku pozostałym i rozłożył bezradnie ręce o palcach jak serdelki, jakby brał ich na świadków, że ma bardzo ciężkie życie. Na stole stał telefon, ale Voisin nawet nie spróbował z niego skorzystać.

— Jules, chodź, siadaj koło mnie. — Stary przyjaciel Beauraina, Ed Cotel, wziął krzesło spod ściany i postawił je obok swego. Beaurain uchylił drzwi i wepchnął pistolet z powrotem do kabury oszołomionemu strażnikowi. — Pilnujcie dobrze, żeby znowu tego nie zgubić — powiedział poważnym tonem. Siadając obok Amerykanina, wymienił pozdrowienia z obecnymi: René Latourem z fran-

cuskiego kontrwywiadu, dziwnym akcentem w tym zgromadzeniu policjantów; Harrym Fondbergiem ze Sztokholmu, szefem Säpo, szwedzkiej służby bezpieczeństwa; Peterem Hausenem, bystrym szefem Kriminalpolizei z Wiesbaden. Voisin nie spuszczał z niego swoich małych oczek, więc Beaurain zdecydował się iść za ciosem.

— Jest mi ogromnie miło, że zostałem zaproszony do wzięcia udziału w tym spotkaniu, ale może, choć w kilku słowach, zapozna mnie pan z jego tematem.

— Voisin niczego nie ujmie w kilku słowach, choćby mieli mu za to podwoić pensję — skomentował głośno Ed Cottel.

— Porządek spotkania przewiduje dwa tematy — warknął Voisin. — Pierwszy, to zlokalizowanie i zniszczenie Teleskopu, prywatnej armii terrorystów działającej na terenie Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. Mój minister polecił nam zidentyfikować przywódcę tej wywrotowej organizacji, zlokalizować ich bazę i źródła finansowania.

— Pański minister może to polecić panu — przerwał mu Cottel — ale nie Waszyngtonowi ani, jak mi się zdaje, żadnemu innemu przedstawicielowi reprezentowanych tu krajów. Co więcej... — dodał w chwili, kiedy Voisin już otwierał usta, żeby coś powiedzieć — co więcej, muszę zakwestionować pańską definicję Teleskopu.

— Ależ ja bynajmniej nie próbowałem sugerować, że polecenie mojego ministra jest wiążące dla kogośkolwiek z panów... — wtrącił pośpiesznie Voisin.

— Muszę zakwestionować pańską definicję — ciągnął Cottel — ponieważ to właśnie ludziom z Teleskopu, jak sami się nazwali — może dlatego, że sięgają wzrokiem dalej niż niektórzy z nas — należy przypisać zasługę zlikwidowania w ciągu ostatnich dwóch lat co najmniej czterdziestu pięciu czołowych terrorystów, biorących udział w uprowadzeniach samolotów, okupowaniu ambasad i porwaniach zakładników. Wielu moich kolegów z uznaniem odnosi się do Teleskopu i tego, czego ta organizacja zdołała dokonać.

— Czy sugeruje pan, że nie powinniśmy podejmować żadnych działań przeciwko tym piratom? — spytał Voisin, wyraźnie rozzłoszczony szmerem aprobaty, z jaką spotkała się wypowiedź Cottela. Amerykanin nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

— Panie komisarzu, czy nie powinien pan zapoznać Julesa Beauraina z drugim punktem porządku naszego spotkania?

— Równoległa dyskusja w celu ustalenia, czy inna przestępcza organizacja, określana mianem Sztokholmskiego Syndykatu, rzeczywiście istnieje.

— Pewnie, że istnieje — odparł Cottel z niesmakiem — i wszyscy dobrze o tym wiemy, tylko nie bardzo mamy ochotę się do tego przyznać. Wiemy z całą pewnością, że do Europy przerzucono miliony dolarów w celu jej finansowania. Podejrzewamy, że pewne amerykańskie korporacje transnarodowe przekazały Syndykatowi ogromne sumy pieniędzy. Co więcej — podniósł głos, ponownie

zamykając Voisinowi usta — co więcej — powtórzył — fundusze stojące do dyspozycji Syndykatu są tak ogromne, że ten, czy ci, którzy rządzą tą organizacją, posiadają wpływy i możliwości niemal bez precedensu w całej dotychczasowej historii. Panowie, proponuję, aby odłożyć na bok Teleskop i za główny cel naszego spotkania uznać koordynację poczynań mających na celu wytropienie i zniszczenie Syndykatu. — Przeniósł wzrok na komisarza. — Skończyłem, panie Voisin. Przynajmniej na razie.

— Zgadzam się z panem Cottelem — powiedział Peter Hausen.

— Komisarzu Voisin, popieram mego kolegę, pana Petera Hausena, a co za tym idzie, pana Cottela — rzucił sucho przedstawiciel francuskiego kontrwywiadu.

— Czy będziemy podnosić i liczyć rączki? — spytał spokojnie Beaurain.

— To nie będzie konieczne — burknął Voisin, któremu wyraźnie zależało, żeby uniknąć wszelkich dalszych starć ze wspólnym frontem, jaki się przeciwko niemu zawiązał. — Oczywiście podstawowy wymóg, stojący przed nami, to zdobycie dowodów, że Syndykat w ogóle istnieje.

— Niech pan założy, że pan je ma, i startuje z tego miejsca — powiedział szorstko Ed Cotel, zapalając papierosa.

— W takim razie, kto za tym stoi? — spytał Voisin.

— Kreml — odparł Cotel.

* * *

Było dokładnie wpół do ósmej, kiedy Luiza Hamilton zajechała przed dom przy Boulevard Waterloo, w którym mieszkał Beaurain. Pewna, że nikt jej nie śledził, wstawiła Mercedesa do starego garażu i weszła do mieszkania na pierwszym piętrze.

Salon był elegancko urządzone, wyglądał na mieszkanie wdowca, tyle tylko, że panował w nim porządek i był czysto wysprzątny. Po przeżyciach w komendzie policji nie miała ochoty nic jeść, zrzuciła buty i opadła na kanapę. Powoli zaczęło do niej docierać, co się właściwie wydarzyło. Wciąż jeszcze brzmiał jej w uszach krzyk tamtego policjanta: Nie dała się aresztować, będę strzelał!

Cała brukselska policja знаła doskonale Julesa Beauraina. Powszechnie go lubiano, bo był ludzkim szefem i wszyscy wiedzieli, że jest nieprzekupny. Po jego rezygnacji wielu funkcjonariuszy — zwłaszcza w komendzie głównej, gdzie nadal bywał częstym gościem — doskonale poznało Luizę, mając ją za „przyjaciółkę Julesa”. Żaden z nich nic nie wiedział o jej powiązaniach z Teleskopem. Rozległ się dzwonek telefonu.

— Oui? — rzuciła do słuchawki.

— Luiza Hamilton, n'est-ce pas? Proszę wsiąść do pierwszego samolotu i wrócić do swego ojczystego kraju.

— Kto mówi? Uwielbiam takich, którzy dzwonią i nie mają odwagi się przedstawić — odparła lodowato Luiza.

Głos należał do kobiety, zapewne tuż po trzydziestce. Mówiła po angielsku płynnie, ale z akcentem, którego Luiza nie mogła rozpoznać. Niech potrzaska dzióbkiem trochę dłużej, pomyślała.

— Gdyby pani się ociągała, to mamy fachowców od łamania nóg. Potem zabierają się za ręce. Pani jest mańkutem, n'est-ce pas?

— A może wpadłaby pani i przekazała mi tę wiadomość osobiście? — zaproponowała Luiza. — Z największą radością porozmawiałabym sobie z panią twarzą w twarz.

— Kiedy staniesz twarzą w twarz ze swoją zeszpeconą buziuchną, zmienisz nutę! Masz to jak w banku! — Zakończył jadownicę głos i połączenie zostało przerwane.

Luiza powoli odłożyła słuchawkę, odruchowo notując w pamięci godzinę. Beaurain miał zastrzeżony numer. Jak tej babie udało się go zdobyć?

Następną, jeszcze bardziej alarmującą myślą było pytanie, skąd to babsko wiedziało, że ją tu zastanie. W mieszkaniu Julesa była po raz pierwszy od ponad tygodnia. Mogli przyjechać jej śladem z komendy policji, ale przecież zadała sobie ogromny trud, żeby ten ślad im się urwał. Pozostawało zatem tylko jedno, równie niepokojące rozwiązanie. Mieszkanie musiało być pod stałą obserwacją.

Podeszła do okna i wyjrzała zza firanki. Wąska uliczka w dole była zupełnie pusta. Przesunęła spojrzeniem po oknach na pierwszym piętrze domu naprzeciwko, ale w nich także wisały firanki. Czy kryły stanowisko obserwatorów?

Przeszła do kuchni, żeby uspokoić się przygotowaniem obiadu. Gdzieś, w tym samym mieście, jakaś inna kobieta także pewnie siadała właśnie do obiadu odłożywszy słuchawkę telefonu.

* * *

— Czy twój telefon ją wystraszył? — spytał doktor Otto Berlin, wyjadając łyżeczką drugą połowę melona.

— Nie! — Sonia Karnell zwlekała chwilę z odpowiedzią, uznała jednak, że i tym razem bezpieczniej będzie powiedzieć prawdę. Berlin zawsze wyczuwał ukryte znaczenie wszystkich niedopowiedzeń. Zwykłe kłamstwo w ogóle nie wchodziło w rachubę. — Rozmawiała ze mną jak ktoś, kto spodziewał się takiego

ostrzeżenia i z góry przygotował sobie odpowiedź.

— Tak jak ty. Jest twarda, bezwzględna i znakomicie wyszkolona. Szkoda, że to właśnie ona będzie kozłem ofiarnym.

Sonia Karnell, lat trzydzieści dwa, pięć stóp i sześć cali wzrostu, krótkie ciemne włosy, była z pochodzenia Szwedką, urodziła się i wychowała w Sztokholmie, władała płynnie sześcioma językami, w tym angielskim. Pomimo wieczornego upału Berlin przyodził swą obszerną postać w tradycyjny czarny garnitur. Podczas rozmowy wpatrywał się nieustannie w Sonię, by nie uronić żadnej jej reakcji. Zawsze pilnie obserwował ludzi ze swego otoczenia, zwłaszcza najbliższego — a nikt nie stał bliżej niego niż Sonia Karnell — jak ktoś, kto najbardziej w życiu obawia się zdrady.

— Czy przylecieliśmy tu dzisiaj tylko po to, żebym mogła do niej zadzwonić?

— Jedz melona, to pomaga uzupełnić ubytki wilgoci. Owszem, przylecieliśmy tu również po to, żebyś tam zadzwoniła. Gdyby odebrał Beaurain, te same pogrożki pod adresem Hamilton przekazałabyś jemu. Ale w ten sposób może osiągniemy większy skutek. Jeśli o tym, co się stało, Beaurain dowie się dopiero po fakcie.

— Kozioł ofiarny? Co to ma znaczyć?

— Daj mi zjeść obiad. Plan opiera się na założeniu, że za dwa tygodnie odbywa się w Szwecji pierwsze walne zgromadzenie wszystkich członków Syndykatu. Mamy kłopot, ponieważ Teleskop postawił sobie za cel zniszczenie naszej organizacji.

— A jak to się ma do mojego telefonu? Nie rozumiem.

— Cierpliwości! — Oczy za soczewkowatymi szklami przyglądały się jej badawczo. — Mam wtyczki w różnych policjach europejskich, informatorów z najwyższych szczebli. Istnieje milczące porozumienie między Beaurainem i niektórymi z jego dawnych kolegów, popierającymi stosowane przez niego metody. To właśnie taki policyjny kontakt doniósł mi, że to Beaurain jest szefem Teleskopu i że twardo postanowił zniszczyć Syndykat. Zatem my musimy go w tym ubiec — zniszczyć jego, i to przed zgromadzeniem w Sztokholmie, bo inaczej może nastąpić katastrofa. Beaurain zaczyna zbyt śmiało sobie poczynać.

Sonia Karnell odgarnęła krótko przycięte ciemne włosy z czoła i żeby przypodobać się Berlinowi, zabrała się do swego melona. Ten upał był nie do wytrzymania! — A po co te pogrożki pod adresem flamy Beauraina?

— Dla odwrócenia uwagi. Nim nasze oddziały przystąpią do ataku, potrzebujemy tylko jednego — musimy wiedzieć, gdzie znajduje się główna baza Teleskopu. Już wkrótce powie nam to Serge Litow.

— A co z tą dziewczyną?

— Zajmie się nią Günther Baum. To porządnie wytrąci Beauraina z równowagi.

Przerwała jedzenie, nie będąc w stanie przełknąć ni kęsa. — Chce pan nasłać na nią to zwierzę?

— To nam zapewni uzyskanie pożądanego skutku — rozwścieczy Beauraina. Pod wpływem silnych emocji łatwiej popełnia się błędy. Przeróżaj tych, których się da. Tych, których się nie da, wytrącaj z równowagi.

— Wracamy do Brugii?

— Owszem, choć na dość krótko. Do powrotu Litowa z informacją o położeniu bazy Teleskopu. W końcu muszę od czasu do czasu zająć się antykwariatem, jeśli mamy mieć z czego żyć!

* * *

— I ta kobieta ci groziła? — spytał Beaurain, chodząc w tę i z powrotem po swoim salonie. Była dziesiąta. Narada u Voisina jak zwykle ciągnęła się godzinami. Beaurain był mocno wzburzony: tym, że komuś udało się zdobyć jego numer telefonu, tym, że grożono właśnie Luizie, a przede wszystkim — niepojętym zajęciem w komendzie policji.

— Bredziła coś o łamaniu rąk i nóg — odparła spokojnie Luiza — i cięciu twarzy. Prawdziwa damulka. Chętnie spędziłabym z nią kilka minut sam na sam. Aha, i wszystko to byłoby nieaktualne, gdybym wsiadła do najbliższego samolotu do Anglii. Ona próbowała zastraszyć nie mnie, tylko ciebie, Julesie.

— Kto to, u diabła, mógł być?

— Oczywiście ktoś z Syndykatu. Zaczynają nas naciskać ze wszystkich możliwych stron.

— Jakbyś wiedziała! Aby dostać się dzisiaj na to zebranie, musiałem odepchnąć na bok wartownika, którego postawiono przed drzwiami, żeby mnie nie wpuścił. Tylko Syndykat mógł w tym maczać palce.

Luiza poderwała się z kanapy. — Chyba nie myślisz, że wciągnęli w to komisarza Voisina?

— Rzeczywiście, to chyba mało prawdopodobne. Ale ktoś z obecnych na tej naradzie musiał go poprosić, by mnie z niej wyłączył. Łatwo sobie wyobrazić, jak komisarz z największą przyjemnością przychyła się do takiej prośby. Sam jest zbyt leniwy, żeby wykazać jakąkolwiek inicjatywę. Już nie wiem, co o tym myśleć. Syndykatowi nigdy nie powinno się było udać przeniknąć do głównej komendy brukselskiej policji — a jednak tak się stało. Ci dwaj mężczyźni z całą pewnością nie byli policjantami. Nie mogę tylko pojąć, jak to załatwili, że w tym czasie nikt nie obsługiwał punktu zgłoszeń.

— Chwilę przed ich pojawieniem się słyszałam, jak sierżant dyżurny odkłada słuchawkę. Kiedy weszli do poczekalni, już go nie było.

— Kiedy tam przyjechaliśmy, dyżur pełnił Pierre Florin! — Beaurain rąbnął

zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń.

— Od dawna pracuje w policji?

— Psiakrew, od dwudziestu lat! Och, będę miał do niego parę ładnych pytań!

— Tej kobiecie udało się jednak wyprowadzić cię z równowagi.

— Z równowagi wyprowadza mnie łatwość, z jaką Syndykat przenika do najbardziej niedostępnych miejsc i organizacji — odparował. — Musimy natychmiast wypuścić Litowa i zobaczyć, dokąd nas zaprowadzi.

— Miałaś go trzymać dłużej — zaprotestowała, chwytając go mocno za ramiona. — Pozwalasz im narzucić sobie tempo działań.

— Nie zapominaj o tym, co Henderson odkrył tamtej nocy, kiedy Litow próbował mnie zastrzelić — że pistolet nie był odbezpieczony.

U takiego zawodowca?! Podchwycili okazję, którą sam im stworzyłem, i próbują ją wykorzystać. My chcemy wykorzystać Litowa, żeby zaprowadził nas do Syndykatu, oni mają nadzieję, że uda mu się uciec i podać im dokładne położenie naszej bazy. Litow tkwi pośrodku i pewnie zdaje sobie z tego sprawę. Po dzisiejszych wydarzeniach przyśpieszę wszystko i go wypuszczę.

Przerwał mu naciskany kilkakrotnie raz po raz dzwonek do drzwi. Luiza zeszywniała. — Kto to może być? — spytała przyciszonym głosem.

— Ed Cotel. Kazałem mu dzwonić w umówiony sposób. Obiecał jeszcze dzisiaj wpaść.

— Mam nadzieję, że to rzeczywiście Ed — powiedziała Luiza, wyjmując z torebki pistolet.

— Masz rację, od tej chwili niczego nie przyjmujemy za pewnik. Ed przyjechał tu w podwójnej misji: ma pomóc w wytropieniu Syndykatu, o którego istnieniu jest przekonany, a także w likwidacji Teleskopu.

Przed drzwiami rzeczywiście stał Ed Cotel, a kiedy Beaurain wpuścił go, Amerykanin, który dobrze znał Luizę Hamilton, uściskał ją i skinieniem głowy przyjął zaproponowaną podwójną szkocką.

— Na myśl o tym nowym Syndykacie włos mi się jeży na głowie — powiedział. — Po tym wlokącym się w nieskończoność zebraniu rozmawiałem z Waszyngtonem, z kimś, komu można ufać. Każdy nowy element tej łamigłówki, który odkrywamy, przeraża mnie coraz bardziej.

— Dlaczego powiedziałaś na naradzie, że za Syndykatem kryje się Kreml?

— Bo umiem popukać na komputerze.

Ed Cotel był szczupłym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce. Jego cechami charakterystycznymi były sępi nos, silny akcent kalifornijski i pewna powściągliwość zachowania, uzewnętrzniająca się w noszonych przez niego garniturach wyłącznie od Brooks Brothers. Przypominał Beaurainowi raczej Anglika niż Amerykanina. Miał tak niezależne poglądy, że Belg był dość zdziwiony, iż to jego właśnie wydelegowano do współpracy z europejskimi służbami bezpieczeństwa.

— Popukać na komputerze? Co chcesz przez to powiedzieć, Ed? Na jakim znowu komputerze?

— To chyba największy komputer świata. Zawiera dane o wszystkich liczących się postaciach z dziedziny handlu, przemysłu i polityki, w tym także Rosjanach. Słyszałeś kiedy o Wiktorze Raszkynie?

— To taki Kissinger Kremla, tyle tylko, że zadziwiająco unika rozgłosu, do tego stopnia, że światowa prasa w ogóle nie ma pojęcia o jego istnieniu — odparł Beaurain.

— Teraz jest pierwszym sekretarzem ambasady Związku Radzieckiego w Sztokholmie. — Cottel opuścił wzrok na swoją szklankę. — Pierwszy sekretarz ambasady! Śmiechu warte. Pupilek Leonida Breżniewa i główny spec od kryzysów — od ich zażegnania i rozniecania — i tylko pierwszy sekretarz jakiejś tam ambasady. To oczywiście zwykły kamuflaż. Dużo podróżuje ten nasz Wiktor — dodał z zamyśleniem.

— Powiedziałaś, że umiesz pukać na komputerze — przypomniał mu Beaurain. — Co to ma wspólnego z tym Rosjaninem?

— W trakcie tej operetki u Voisina wspomniałem o pieniądzech przesłanych ze Stanów na finansowanie operacji Syndykatu w Europie. Dostałem cynk, kiedy byłem w Waszyngtonie, poszedłem do komputera i wyciągnąłem dane o niedawnym transferze pięciu milionów dolarów, które pewien bank z Arizony przelał na konto jednego z tutejszych, belgijskich banków. Końcowym odbiorcą tej sumy był niemal bez wątpienia Wiktor Raszkin. Czy wiesz — dodał od niechcenia — że Raszkin jest w tej chwili w Brukseli? Przyleciał ze Sztokholmu z kilkoma innymi osobami prywatnym samolotem. Maszyna stoi na lotnisku pod obserwacją.

— A dokąd tutaj się udał? Wygląda na to, że wiesz więcej o tym, co się dzieje na moim podwórku, niż ja sam.

— Tylko dzięki komputerowi. Straciliśmy Raszkina z oczu w chwili, kiedy opuścił z przyjaciółmi lotnisko.

— Z przyjaciółmi?

— Mężczyzną i kobietą. I zanim spytasz — nie wiemy, co to za jedni, i nie mamy ich rysopisów. Jak widzisz, Julesie, nie zawsze jesteśmy aż takimi bystrzakami. — Przeniósł wzrok na sufit, starannie unikając ich spojrzeń. — I jeszcze coś, co może cię zainteresować. Po zakończeniu narady Voisin zatrzymał mnie jeszcze na chwilę. Napisałem kiedyś w raporcie na temat Teleskopu, że istnieje chyba pewna szansa zidentyfikowania członków tej organizacji, a przynajmniej jej przywódców. Chcesz usłyszeć coś więcej na temat głupstwa, jakie palnąłem?

— To już zależy od ciebie — odparł Beaurain, ostentacyjnie nie okazując najmniejszego zaciekawienia. Na twarzy Luizy zwiniętej znów w kłębek na kanapie, dostrzegł jednak wyraz napięcia.

— Napiłbym się jeszcze odrobinę kawy, jeśli masz siłę ruszyć się z miejsca — powiedział.

— Oczywiście.

Wyszła do kuchni, skąd przez otwarte drzwi mogła nadal słuchać prowadzonej rozmowy. Wzmianka Cottela o możliwości zidentyfikowania członków Teleskopu spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Czy to możliwe?! Jakże, u diabła, mógłby tego dokonać?

— Może jeszcze jednego, Ed? — Beaurain napełnił ponownie szklaneczkę Amerykanina i usiadł na kanapie na miejscu Luizy, skąd mógł go łatwiej obserwować, nie sprawiając przy tym wrażenia nadmiernie zainteresowanego. — A więc, rozmawiałeś po naradzie z Voisinem. Musiałeś się dobrze ubawić.

— W swoim raporcie przedstawiłem sugestię, że kluczowe postaci Teleskopu, zarówno mężczyźni jak i kobiety, może łączyć fakt utraty najbliższych osób w terrorystycznych atakach — żon, sióstr, mężów, narzeczonych. Zaproponowałem sporządzenie listy wszystkich osób, które — w wyniku napadów bandyckich i terrorystycznych — poniosły ostatnio takie straty. Istnieje spora szansa, że wśród tych osób uda się wypatrzeć prawdopodobnych kandydatów. Bo jestem pewien, że ten właśnie motyw kierował ludźmi, którzy utworzyli Teleskop — rozczarowanie niekompetencją rządów. Do diabła, Julesie, to jeden z najpotężniejszych motywów wszystkich ludzkich działań — zemsta!

— Żeby sporządzić taką listę, trzeba by lat. . .

— Chyba że zaprzęgnie się do tego komputer, do którego mam dostęp.

— Och, teraz rozumiem. I powiedziałeś Voisinowi?

— Nie. Voisin poprosił mnie tylko, żebym użył komputera do zrobienia tej listy. Jeśli mu odmówię, poprosi o to kogoś innego. No, muszę już iść. Pędzę na lotnisko, żeby złapać nocny samolot do Stanów. — Cotel wstał z krzesła. — Nie będę tam siedział długo. I nie zapomnij o Wiktorze Raszkinie.

— Na miłość boską, czy uważasz, że on jest członkiem Syndykatu?

— Członkiem — nie, ale przypuszczam, że to przez niego przechodzą wszystkie fundusze dla tych, którzy rządzą organizacją. — Podrapał się w głowę. — Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale czy słyszałeś kiedyś o „Komecie”?

— Nie, ale brzmi mi to z rosyjska.

— Zgadza się. Jeden z naszych satelitów śledzi trasę, którą posuwa się wzdłuż brzegów Bałtyku. To olbrzymi wodolot. Normalnie Rosjanie używają ich na dużych rzekach, takich jak Wołga, ale ten zapuścił się aż na wybrzeże Polski. To wcale nie tak daleko od Szwecji. Dokąd płynie i po co? Nikt nie ma najmniejszego pojęcia i dlatego właśnie jest to takie niepokojące. No, to tymczasem. . .

Po wyjściu Cottela Beaurain usadowił się w fotelu, aparat telefoniczny zaś ulokował między nakryciami, które Luiza rozłożyła na stole. — Czy to ty, Jock? Tu Jules. Ten ruchliwy ładunek, który przyjeśliśmy ostatnio, załadować jutro rano do pociągu z Brukseli Midi. Tak — Midi. — Midi to jeden z trzech dworców kolejowych stolicy Belgii. — Wysłać odpowiednią liczbę ludzi, żeby mieli nad nim całodobowy nadzór na całej trasie przejazdu. Jasne? Po drugie, uzupełnić zapa-

sy na pływającym zbiorniku paliwa i czekać na dalsze instrukcje. Zrozumiałeś? I zachowajcie najdalej idącą ostrożność. Ktoś może próbować rozniecić ogień, a wszędzie mnóstwo łatwo palnych materiałów.

Odłożył słuchawkę, zestawiał telefon ze stołu i podniósł wzrok, uświadomiwszy sobie nagle, że wszystkie odgłosy dobiegające z kuchni ucichły, jak nożem uciął. Luiza stała o krok od niego, z dużą drewnianą chochlą w dłoni. Beaurain zasłonił się obiema rękami jakby w samoobronie.

— Wiem, że nakryłaś do stołu, ale niczego ci tu nie poprzestawiałem.

— Chcę wiedzieć, co tu się dzieje. I to szybko, bo mi się wszystko przypali.

— Słyszałaś moją rozmowę.

— Szyfrowany bełkot. Po pierwsze, gdzie jest w tej chwili Jock? Odnoszę wrażenie, że wprawiłeś wszystko w ruch.

— Jock był w naszej bazie polowej w pobliżu dworca, ale w tej chwili jest już pewnie w drodze do Château Wardin.

Spojrzała na zegarek, sprawdzając, jak długo jeszcze obiad ma się gotować, i usiadła mu na kolanach. — Przez „ruchliwy ładunek” rozumiem Litowa, którego mają odstawić na Midi i pozwolić mu uciec. Boję się, że nam się urwie.

— Stąd moja wzmianka o „całodobowym nadzorze”, ogromnej sieci wywiadowców, którymi Jock ma obstawić wszystkie możliwe drogi ucieczki Litowa. Bo że będzie próbował nam uciec, to więcej niż pewne. A ponieważ wie, że go śledzimy, musimy tak to rozegrać, żeby myślał, że mu się udało. I patrzeć, dokąd nas zaprowadzi. Jutro czeka nas wielki dzień. Ciekawość zaspokojona?

— Jeszcze nie. — Poglaskała go delikatnie po policzku drewnianą chochlą i ciągnęła dalej: — A ten „pływający zbiornik paliwa”? To „Burza Ognia”? Tak? Gdzie ten jacht jest teraz?

— W połowie drogi między wybrzeżem Szkocji a cieśninami Bałtyku. Trzymałem go tam w pogotowiu od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o Syndykacie Sztokholmskim. Jock przez radio każe im uzupełnić zapasy, zrobić przegląd uzbrojenia i amunicji, a przede wszystkim wziąć na pokład sekcje szturmową. Pracowita noc szykuje się temu naszemu Jockowi. A teraz jestem głodny.

— Jak zwykle. Będą kurczaki, takie, jak lubisz, a la Jules Beaurain. Jutro pewnie będziemy się przyglądać, jak wykreślają na mapie każdy ruch Litowa.

— Nie tylko. Potem pojedziemy do Brugii odwiedzić Pośrednika. Może od niego uda nam się dowiedzieć, kto naprawdę kryje się za Syndykatem.

ROZDZIAŁ 5

Doktor Henri Goldschmidt, zwany Pośrednikiem, kolekcjoner i handlarz numizmatów, był jednym z notabli Brugii. Beaurain oceniał go na jakieś sześćdziesiąt lat i tylko ocena mu właśnie pozostała — doktor zazdrośnie strzegł swego prywatnego życia i nikt nie ośmielał się stawiać mu niedyskretnych pytań. Karą za to było niezwłoczne skreślenie śmiałka z listy osób, z którymi doktor utrzymywał jakiegokolwiek stosunki towarzyskie.

— Zostali wykluczeni z mojego milieu — powiedział kiedyś o kimś. — A gdy ktoś raz zostanie z niego wyłączony, nie ma już oczywiście powrotu.

Władał płynnie ośmioma językami, w tym francuskim, angielskim i niemieckim. Potokowi wymowy dopomagały ruchy kształtnych dłoni, z opanowaniem i rozmysłem podkreślające ważne punkty wypowiedzi. Był powiernikiem domów królewskich, amerykańskich milionerów i francuskich przemysłowców. Mniej powszechnie wiadomo, że pozostaje w równie dobrych stosunkach z wieloma największymi europejskimi gangsterami. Do tego właśnie człowieka wybierał się Jules Beaurain.

* * *

Wielki helikopter firmy Sikorsky wystartował z Château Wardin godzinę przed zapadnięciem zmroku. Litow — który miał za sobą swe ostatnie „przesłuchanie” przez doktora Alexa Caldera — leżał na noszach, tak jak poprzednio, z prawą ręką fachowo zabezpieczoną szyną i bandażami, a lewą przykutą kajdankami do drążka. Obie nogi miał w ten sam sposób przymocowane do noszy.

Towarzyszyło mu dwóch strażników w zwykłych bojowych mundurach szturmowców: dzinsach, butach na kauczukowych podszwach, wiatrówkach i całkowicie maskujących twarz kominiarkach. Jednym z nich był Stig Palme, drugim dwudziestodwuletni Niemiec, Max Kellerman. Jeszcze przed rokiem Max Kellerman stał u progu błyskotliwej kariery adwokackiej. I wtedy właśnie, podczas akcji policji, którą ostrzeżono o szykującym się napadzie na jeden z banków

w Bonn, jego narzeczona padła ofiarą terrorystycznej kuli. Policja nigdy się nie dowiedziała, że nie zidentyfikowanym informatorem był Jules Beaurain. Sam Beaurain także nigdy nie zdradził tego Maxowi Kellermanowi.

— Gdyby Kellerman dowiedział się, że to na skutek mojej informacji policja wkroczyła do akcji — wyjaśnił to kiedyś Luizie — mógłby mnie obarczyć winą za śmierć swojej narzeczonej.

Zanim Litow opuścił celę, którą zajmował przez ponad tydzień, ponownie zawiązano mu oczy. Znowu dysponował tylko słuchem i węchem, żeby zwerifikować wszystkie okrucy informacji, jakie zdołał zebrać o głównej bazie Teleskopu. Kiedy przenoszono go z budynku na pochylnię luku załadunkowego helikoptera, w nozdrza uderzył go ten sam zapach dymu z ogniska. Niesiono go tą samą drogą — poczuł i usłyszał, jak z dywanu zeszli na kamienną posadzkę i schody; potem odgłos kroków ucichł zupełnie, co oznaczało, że znaleźli się na trawniku. Gryzący swąd dymu nie wydał mu się niczym dziwnym. Z czasów swojego oddelegowania do pracy w Londynie pamiętał, że Anglicy te smrodliwe ogniska palili przez całe lato.

— Tylko nie zapomnijcie w porę dobrze nadymić — Beaurain upomniał Stiga. — Litow to bystrzak. Nie wolno dopuścić, żeby podczas przeprowadzki do helikoptera wyczuł zapach ardeńskich sosen.

Przyszli po niego o trzeciej rano. Nim zamaskowany strażnik zawiązał mu oczy opaską, udało mu się sprawdzić godzinę. Jeśli zabierali go z powrotem tam, skąd przywieźli, to lot z Anglii powinien potrwać około trzech godzin.

* * *

Kiedy Sikorsky wylądował, Litow, przykuty do noszy w ładowni maszyny, doznawał tych samych wrażeń co poprzednio, tyle tylko, że w odwrotnej kolejności, jakby od końca. Wstrząs, kiedy helikopter siadał na ziemi, chwila przerwy, gdy łopatki wirników przestały się obracać, a potem cichy pomruk dźwigni hydraulicznych automatycznie opuszczających pochylnię ładowni.

Opaskę zdjął mu jakiś strażnik w kominiarce zasłaniającej dokładnie całą twarz. Ci ludzie znają się na swojej robocie — zdążył tylko skonstatować z uznaniem, i już znoszono go po pochylni w pełne światło dnia. Wciągnął nozdrzami silny zapach ardeńskich sosen, a nad głową ujrzał wierzchołki drzew otaczających zamaskowane lądowisko. Strażnicy przenieśli go do znajomej furgonetki z napisem *Masarz* na tylnych drzwiczkach, położyli na tej samej skórzanej kozetce pod lewą ścianą, zamknęli drzwi i usiedli naprzeciwko z pistoletami maszynowymi na kolanach.

— Wieziemy pana na dworzec Midi — odezwał się po angielsku Kellerman, kiedy samochód ruszył. — Oto pańskie dokumenty, panie Jamesie Lacey, czy jak tam pan się nazywa.

Litow nie wierzył własnym uszom. Kellerman pochylił się nad nim i do kieszeni na piersi wsunął mu jego własny portfel. Może to jakaś sztuczka, może chcą zamącić mu w głowie, żeby się odprężył, nim poddadzą go torturom albo próbie wytrzymałości?

Ale kiedy samochód nabierał szybkości, coś mu mówiło, że strażnik nie kłamał. Tylko czemu mieliby go w ogóle wypuszczać?

— Znajdzie pan tam wszystkie swoje pieniądze — powiedział strażnik, wskazując ruchem ręki na kieszeń Litowa. — Franki belgijskie, marki niemieckie, guldeny holenderskie. Teleskop to nie Syndykat — my nie kradniemy.

Litow zeszywniał, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Do diabła! Co tu było grane?! Po raz pierwszy ktoś z nich zdradził się, że należą do Teleskopu. I po co ta rzucona mimochodem wzmianka o Syndykacie? Żeby zbadać jego reakcję? Teraz już był pewien — uwalniano go w nadziei, że zaprowadzi ich do kwatery głównej Syndykatu. Z trudem ukrył zadowolenie. Czekala ich niespodzianka, oj, bardzo niemiła niespodzianka.

* * *

Upłynęło niewiele czasu od owej przygody Luizy z dwoma nieznanymi mężczyznami w poczekalni pokoju zgłoszeń, gdy Pierre Florin, sierżant dyżurny w komendzie głównej policji w Brukseli, poprosił o tygodniowy urlop. Z uwagi na długoletnią służbę jego prośbę natychmiast rozpatrzono pozytywnie. Widok Beauraina, wbiegającego po schodach na naradę u komisarza Voisina, i świadomość, że Luiza jest jego bliską przyjaciółką, mocno go wystraszyły.

Niemal całe siedem dni spędził w swojej kawalerce w południowej dzielnicy Brukseli. Pewnego wieczoru odwiedził go jeden z fałszywych policjantów.

— Dlaczego wzięłeś urlop, Florin? — spytał ostro. — Zwracasz na siebie uwagę, to zupełnie nieodpowiedni moment.

— Boję się. Beaurain. . .

— Jesteś głupcem! Beaurain nie pracuje już w policji.

— Ale nadal ma ogromne wpływy. — Florin nie mógł spokojnie usiedzieć w miejscu, kręcił się bez celu po pokoju i przestawiał nerwowo jarmarczne pamiątki z urlopu w Ostendzie. — Wolałbym, żeby nie wziął mnie w obroty — ciągnął, utwierdzając swego gościa w przekonaniu, że przy lada przesłuchaniu zacznie sypać. — Chcę dostać swoje pieniądze.

Mężczyzna o kościstej twarzy wyjął z kieszeni zaklejoną kopertę i upuścił ją na podłogę, zmuszając Florina, żeby się po nią schylił. Po czym wyszedł bez słowa i doniósł o swoich wątpliwościach doktorowi Berlinowi.

* * *

Potrwało kilka dni, zanim Berlinowi udało się skontaktować z Güntherem Baumem, Niemcem z NRD, którego specjalnością było usuwanie zbędnych osób. Baum zjawił się bez zapowiedzi w mieszkaniu Florina, w towarzystwie bezbarwnego indywiduum z czarnym neserem w ręce. Baum miał na sobie eleganckie amerykańskie ubranie i duże przeciwsłoneczne okulary. Przed drzwiami mieszkania Florina wyjął z neserera Lugera z tłumikiem, schował go za plecy, a drugą ręką nacisnął dzwonek.

Günther Baum był mężczyzną średniego wzrostu, dość dobrze zbudowanym, każdy jego ruch był starannie przemyślany. — Nigdy się nie śpiesz — przestrzegał często swego pomocnika. — To zwraca na człowieka uwagę. — Nosił słomkowy kapelusz, co w połączeniu z ciemnymi szklami maskowało mu całkowicie górną część twarzy, ukazując tylko nos byłego boksera, małe, wąskie usta i mięsistą szczękę. W zagięciu lewej dłoni trzymał zdjęcie Pierre'a Florina. Do każdej roboty trzeba podchodzić metodycznie.

Florin uchylił drzwi, obrzucił nieznanego nerwowym spojrzeniem i chciał je z powrotem zamknąć.

— Wydział kryminalny — powiedział Baum. — Wiadomość z komendy. Chodzi o zajście sprzed mniej więcej tygodnia. Czyba nas pan wpuści?

— Oczywiście. . .

Baum mówił po francusku, monotonicznie, krótkimi zdaniami, jak ktoś najzupełniej pewien, że zostanie uznany za tego, za kogo się podaje. Florinowi nawet do głowy nie przyszło poprosić go o pokazanie legitymacji. Przeszli dalej do mieszkania, Florin przodem, za nim Baum i na końcu asystent Bauma z pustym neserem. Asystent starannie zamknął drzwi.

— Jest pan sam? — spytał Baum.

— Tak, rzadko. . .

— Proszę iść dalej. Kazano nam zajrzeć do pańskiej sypialni. Złożono doniesienie, że bywa u pana kobieta, która zadaje się z nieodpowiednimi osobami.

— To absurd!

— Jesteśmy tego pewni. Proszę iść dalej. Niech pan otworzy tę szafę. Muszę mieć pewność, że jesteśmy sami.

Znaleźli się w ciasnej sypialni. Florin reagował na polecenia Bauma jak robot.

Otworzył szafę. Baum przyłożył mu wylot tłumika do podstawy czaszki. Belg zeszywniał, czując dotyk zimnego metalu.

— Niech pan powoli wejdzie do szafy — rozkazał Baum tym samym monotonnym głosem. — W ten sposób nie będzie nam pan przeszkadzać w przeszukiwaniu mieszkania.

Obezwładniony strachem Florin wszedł do szafy, wciskając twarz między wiszące w niej ubrania. Baum tylko raz nacisnął spust.

Nim ciało Florina zdążyło wypaść na zewnątrz, zatrzasnął drzwi szafy i przekręcił klucz. Bez słowa wręczył Lugera swemu pomocnikowi, który natychmiast schował go do neseseru, sam zaś zdjął rękawiczki i wepchnął je do kieszeni. — Pora iść — powiedział.

Stosowali zawsze taką procedurę, kiedy „pracowali z bliska”. Baum nigdy nie trzymał rewolweru w ręku ani sekundy dłużej, niż to było konieczne, aby nie dać się przyłapać na jego posiadaniu; obowiązek transportowania obciążającej broni należał do jego pomocnika. Było to ryzyko, za którego ponoszenie Baum dobrze go opłacał.

— A teraz do tego faceta z barki, który tak niepokoi doktora Berlina. Trzeba przecież dbać o dobre samopoczucie swego pracodawcy, no nie?

* * *

O 9.30 furgonetka z napisem *Masarz* zatrzymała się przy chodniku przed dworcem Brussels Midi. Rozkuty z kajdanek Litow usiadł na kozetce naprzeciwko Maxa Kellermana, który celował mu w brzuch ze swego pistoletu maszynowego. Rosjanin nadal nie mógł do końca uwierzyć, że zaraz zostanie uwolniony, ale dobiegające z zewnątrz odgłosy stołecznego ruchu zdawały się to potwierdzać.

— Kiedy wysiądzie pan z samochodu, proszę się nie odwracać i nie oglądać za siebie — ostrzegł go Kellerman — bo będzie to ostatni widok w pańskim życiu. Jedna krótka seria i już nas nie ma. I jeszcze jedno: na dworcu mamy dość swoich ludzi, żeby poradzić sobie z wsadzeniem pana do pociągu — wszystko jedno jakiego.

Stig Palme, nadal zamaskowany tak jak Kellerman, pociągnął zasuwkę zamka tylnych drzwiczek, uchylił je odrobinę i wyjrzał na zewnątrz. Otworzył drzwiczki szerzej, wypuścił Litowa na ulicę i zamknął je z powrotem.

Kellerman zerwał się z miejsca, rozpiął i błyskawicznie zdjął kombinezon, który miał na sobie. Ściągając z głowy kominiarkę, drugą ręką podniósł klapę kozetki, na której podróżował Litow, wy dostał stamtąd filcowy kapelusz, wcisnął sobie na głowę, szybko wyjął jeszcze popielaty płaszcz przeciwdeszczowy i wa-

lizkę. Rogi walizki miały twarde stalowe okucia, co pozwalało wykorzystywać ją także jako zaimprovizowaną broń. Sekundę później odsunął płytę oddzielającą skrzynię furgonetki od kabiny kierowcy.

— No i co? — spytał.

— Grzeczny chłopczyk. Poszedł prosto do kas.

Kellerman przebiegł na tył samochodu i wyskoczył na ulicę. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przeszedł przez wahadłowe drzwi i znalazł się w hali kasowej. Litow stał przy okienku pierwszej klasy, miał przed sobą tylko jedną osobę. Czekał obejrzał się przez ramię. Tuż za nim ustawiła się kobieta z pudłem na smyczy. Mruczała coś do siebie, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu pieniędzy na bilet. Była elegancko ubrana, co uzasadniało jej obecność w kolejce po bilety pierwszej klasy. Litow dostrzegał takie szczegóły. Głupia stara krowa, pomyślał. Baby nigdy nie mają przygotowanych pieniędzy.

Mężczyzna przed nim odszedł od okienka. Litow zerknął szybko na zegar i przyciszonym głosem poprosił o bilet.

— Jedno miejsce w ekspresie „Ile-de-France” do Amsterdamu. W jedną stronę i dla niepalących. Chyba zdążę go złapać?

— Bez problemu. — Kasjer wypisywał już numer wagonu i miejsca. — „Ile-de-France” wjeżdża na peron o 9.43. W Amsterdamie będzie pan o 12.28.

Stojąca za Litowem kobieta z pudłem nadal grzebała w torebce i nadal pomrukiwała pod nosem. Zirytowała Litowa — takich jak ona powinno się zamykać. Zapłacił za bilet i ruszył w kierunku peronów, przeczesując bacnym spojrzeniem przewalający się tłum, próbując wypatrzeć ukrytych obserwatorów, bo tego, że jest obserwowany, był zupełnie pewien.

Wszystko wydawało się zupełnie normalne. Pośpiech pasażerów przemierzających we wszystkich kierunkach wielką halę kas, ogólna atmosfera frustracji i podenerwowania, głos megafonów w tle, recytujący nie kończącą się litanię przyjazdów i odjazdów pociągów z całej Europy.

Kobieta przy okienku z biletami pierwszej klasy przeprosiła kasjera. Nie może znaleźć portmonetki. Może tymczasem zechciałby załatwić następną osobę... Zerknęła spod oka na drugi koniec hali i zobaczyła Litowa kierującego się ku peronom. Za chwilę zniknie jej z oczu. Odeszła spiesznym krokiem od okienka, powstrzymując pudła wrywającego się radośnie do przodu, i po chwili znalazła się tuż obok Maxa Kellermana, który udawał, że czyta gazetę. Pozwoliła pudłowi biec dalej, a sama zatrzymała się raptownie, robiąc to w taki sposób, że smycz zaplątała się Niemcowi wokół nóg.

— Strasznie przepraszam — wymamrotała po francusku, wyplątując go ze smyczy. — Colette uwielbia mężczyzn. Ekspres do Amsterdamu o 9.43. Zatrzymuje się na pięciu stacjach: Bruksela Północna, Antwerpia Wschodnia, Roosendaal, Rotterdam i Haga. Potem już Amsterdam... .

— Przekaż to Hendersonowi — odparł półgłosem Kellerman. — Powiedz mu,

że jadę za nim.

Ruszył szybkim krokiem do krótkiej kolejki, która uformowała się przy okienku z biletami pierwszej klasy. Rozkojarzona dama po sześćdziesiątce, z białym pudłem na smyczy, skierowała się w stronę budki telefonicznej.

* * *

Do przyjazdu „Ile-de-France”, luksusowego transeuropejskiego ekspresu do Amsterdamu, pozostało bardzo niewiele czasu, a na stacji Brussels Midi zatrzymuje się on tylko na trzy minuty. Mimo to Serge Litow przespacerował się wzdłuż peronu, po czym nagle wrócił do hali kasowej.

Max Kellerman — z walizką, w jasnym płaszczu i kapeluszu — pozostał w miejscu na wypadek, gdyby Litow zjawił się ponownie w ostatniej chwili i wsiadł do pociągu. Mógł przecież stanąć gdzieś z boku i obserwować drzwi, żeby sprawdzić, czy jest śledzony. Mogło też być i tak, że wykupienie biletu do Amsterdamu było tylko pierwszym z trików, mających na celu zgubienie cieni, o których Litow musiał wiedzieć, że nie odstępują go ani na krok.

Wróciwszy do hali kasowej Litow podszedł szybko do budki telefonicznej, zamknął się w niej dokładnie i wykręcił numer kierunkowy do Brugii. Rozejrzał się uważnie na wszystkie strony, czy ktoś go nie obserwuje. Nikogo takiego nie wypatrzył. Nie zauważył kobiety z pudłem, która usiadła na pobliskiej ławce i ostentacyjnie jadła kanapkę. Gdyby mimo wszystko zwrócił na nią uwagę, ta kanapka tłumaczyłaby jej obecność: wykupiwszy bilet, miała przed sobą długie oczekiwanie na pociąg i wolała ten czas spędzić w hali biletowej.

— Jeśli wyjdzie z dworca, idziesz za nim, Alphonse — rzuciła między jednym a drugim kęsem do siedzącego obok mężczyzny.

— Nie wydaje się, żeby chciał złapać ekspres do Amsterdamu.

— Ma jeszcze trochę czasu — odparła spokojnie Monique.

— Dużo bym dał, żeby wiedzieć, z kim i o czym rozmawia — mruknął Alphonse.

Zamknięty w budce Litow uzyskał połączenie z numerem w Brugii i natychmiast rzucił do słuchawki:

— Tu Serge, pański przyjaciel ze Stampen. Puścili mnie. Po prostu. Ot, tak.

— Tu Berlin. Mów krótko, czekam na ważny telefon. Gdzie jesteś?

— Na dworcu Brussels Midi. Kupiłem bilet do Amsterdamu. Jaka trasa i czy może mi pan dać jakieś wsparcie? Oni na pewno...

— To byli nasi przyjaciele? — przerwał ostrym tonem Berlin. — I znasz ich rodzinne miasto?

— Tak, tak, nie mam już czasu. Muszę złapać ten ekspres. A może nie?
— Ależ tak. Dalszą część podróży odbędziesz drogą powietrzną, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. W Kopenhadze będzie ktoś na ciebie czekał. Pomoże ci we wszystkich trudnościach, jakie możesz napotkać. Do widzenia.

* * *

W niewielkiej kamieniczce w Brugii doktor Otto Berlin odłożył słuchawkę i spojrzał ponad stołem na Sonię Karnell, która właśnie nalewała kawę. Odczekał, aż poda mu filiżankę i dopiero wtedy zaspokoił jej ciekawość.

— Serge Litow rozpoczyna swoją ucieczkę. Jest w tej chwili na Midi w Brukseli. Puścili go wolno. Twierdzi, że wie, gdzie znajduje się główna baza Teleskopu.

— Ależ to cudownie!

— Doprawdy? — Berlin przesunął spojrzeniem po szarych ścianach i połączonych ramach, w których panujący tu mrok nie pozwalał dostrzec obrazów. Wysokie kamieniczki po przeciwnej stronie ulicy odcinały cały dopływ światła. — O tym, czy mu się udało, dowiemy się dopiero wtedy, gdy go przesłuchamy. Teraz najważniejszą sprawą jest przerwanie nici między nim a obławą Teleskopu. Wsiądzie w pierwszy samolot do Kopenhagi. Sprawdź, o której przylatuje, i załatw kogoś, żeby tam na niego czekał. Kogoś, kto potrafi uciąć każdy ogon. Dzisiejszy dzień będzie bardzo niebezpieczny — dla wszystkich. W tym także dla szacownego doktora Henriego Goldschmidta, Pośrednika.

* * *

Wartownik z okna na pierwszym piętrze zauważył nadjeżdżającego Mercedesa 280E, który między sunącymi gęsto samochodami lawirował w stronę masywnej drewnianej bramy wjazdowej do bazy polowej Teleskopu, w pobliżu dworca Brussels Midi. Powiadomił strażników na dole i brama rozwarła się gładko do wewnątrz, wpuszczając Beauraina na podwórze. Siedząca obok niego Luiza Hamilton obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak brama zamyka się z powrotem, odgradzając ich od ulicznego ruchu.

— Ciekawe, gdzie jest teraz Litow — mruknęła.

— Chodźmy na górę, to się dowiemy.

Brukowane podwórko było dość małe, ze wszystkich stron zamykał je wysoki, sześciopiętrowy budynek. Wszystkie pomieszczenia z oknami wychodzącymi na podwórze należały do Teleskopu. Wynajęto je fikcyjnie na nazwisko barona de Graera. Prócz Mercedesa Beauraina stała tu tylko furgonetka rzeźnika, zatankowana do pełna ze stojącego w rogu dystrybutora i ustawiona przodem do bramy, aby mogła wyjechać bez chwili zwłoki.

Henderson przebywał w pokoju operacyjnym na pierwszym piętrze. W kącie stał potężny nadajnik radiowy, obsługiwany przez radiooperatora w słuchawkach na uszach. Szkot siedział przy biurku pod ścianą, na której wisiała ogromna mapa północnej Europy z wyrysowanymi czerwonym flamastrem wszystkimi możliwymi powietrznymi, drogowymi i kolejowymi trasami wiodącymi z dworca Brussels Midi. Podniósł się na powitanie.

— Co oznaczają te małe niebieskie szpilki? — spytała Luiza.

— Moich ludzi, z którymi mogę się skontaktować przez radio albo telefon w ciągu trzech minut.

— Tu aż się roi od tych szpilek!

— Żałuję tylko, że nie ma ich więcej — odparł lakonicznie Szkot. — Nadeszła chwila prawdy — powiedział, zwracając się do Beauraina. — Serge Litow, pseudonim Trędowaty, znajduje się na dworcu Brussels Midi. Dzwonił z budki telefonicznej i rozmawiał dwie minuty. Kupił bilet na T.E.E. do Amsterdamu, który odjeżdża o 9.43. — Spojrzał na wielki zegar ścienny. — Czyli właśnie w tej chwili.

* * *

Od momentu powrotu na peron, Litow rozegrał wszystko niezwykle chytrze. Z biletem w ręce podszedł do specjalnej tablicy, na której widniała kolejność wagonów Trans-Europ Express. Wagon numer trzy prowadzony był tuż za lokomotywą.

Max Kellerman — który pozostawił Litowowi kręcenie się po peronie, a sam nie ruszył się z miejsca — obserwował uważnie zza swojej gazety, jak Rosjanin spogląda na bilet, po czym przenosi wzrok na tablicę. To była pantomima przeznaczona dla ewentualnych obserwatorów.

Kellerman przebiegł w myślach stacje, na których zatrzymywał się ekspres przed przybyciem do Amsterdamu. Bruksela-Północ, Antwerpia Wschodnia, Roosendaal, Rotterdam i Haga. Na każdej z nich Henderson na pewno kazał już umieścić po jednym choć człowieku na wypadek, gdyby Litow wysiadł gdzieś po drodze. Kellerman miał pozostać w pociągu aż do Amsterdamu. Ekspres wtoczył

się na peron, pięć luksusowych wagonów za lokomotywą o opływowym kształcie, i stanął.

Litow wsiadł do wagonu numer 3 natychmiast po rozsunięciu się automatycznych drzwi, przepychając się grubiańsko obok kobiety, która właśnie zbierała się do wysiadania. To był stary trik: odczekać, aż drzwi zaczną się zamykać, i wyskoczyć z powrotem na peron, zostawiając swój cień w pociągu, który uwięzie go w siną dal. Ale Litow już po chwili zszedł po schodkach i stanął znów na peronie. Co on, do diabła, kombinuje?! Kellerman jednym okiem obserwował Litowa, a drugim zawisł na czerwonej wskazówce sekundowej peronowego zegara.

Zza jego pleców wyszedł spokojnym krokiem Alphonse i zajął stanowisko na sąsiednim peronie. Kellerman wsiadł do ekspresu tuż za jakąś kobietą, która omal nie spóźniła się na pociąg, tak że dla patrzących z boku wyglądali na parę. Znalazłszy się w środku, zajął miejsce w pobliżu przejścia do następnego wagonu, wagonu numer 3.

Nie ma żadnej dodatkowej zapowiedzi odjazdu T.E.E., żadnego wołania konduktora, żadnych gwizdków. Drzwi się zamykają i pociąg rusza. Litow nie spuszczał wzroku z sekundowej wskazówki zegara i bezbłędnie skalkulował sobie wszystko w czasie. Wskoczył do wagonu na sekundę przed zetknięciem się drzwi.

— Potrójny blef — mruknął pod nosem Kellerman, kiedy ekspres zaczął nabierać szybkości.

Do następnej stacji, Brukseli-Północ, było tylko kilka minut jazdy. Czy Litow wysiadzie już na pierwszym przystanku, mimo iż wykupił bilet aż do Amsterdamu? Z Brukseli-Północ dałoby się złapać taksówkę na lotnisko. Kellerman mógł się już właściwie odprężyć. Jego zadaniem było dojechać tym pociągiem do końca trasy, do samego Amsterdamu. A jednak intensywnie próbował wczuć się w położenie Litowa, rozszyfrować tok jego rozumowania, żeby przewidzieć, jak się zachowa na stacji Bruksela-Północ.

* * *

W tymczasowej kwaterze głównej operacji „Trędowaty” napięcie coraz bardziej rosło. Luiza chodziła tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu. Beaurain siedział obok Hendersona i, kiedy zapalał powoli papierosa, wyglądał na uosobienie spokoju. Zrobili już, co do nich należało. Teraz wszystko w rękach rozstawionych w terenie szturmowców Hendersona.

— Kogo masz w pociągu? — spytał.

— Maxa Kellermana. On potrafi być odrobinę niesubordynowany.

— To jeden z najlepszych ludzi, jakich mamy. Rusza głową. — Urwał na

dźwięk telefonu. Henderson podniósł słuchawkę i rozmawiał przez chwilę szybko po francusku.

— To był Louis. Trędowaty wsiadł do pociągu. A więc rozpoczął swoją ucieczkę. Teraz możemy tylko czekać na następną wiadomość.

* * *

O 9.53 T.E.E. wtoczył się na dworzec Bruksela-Północ i automatyczne drzwi otworzyły się z sykiem. To był dwuminutowy postój. Max Kellerman powziął decyzję. Wstał i ustawił się przy wyjściu, tym dalszym od wagonu numer 3.

Nikt nie rozpoznałby w nim człowieka, który ledwie kilka minut wcześniej wsiadł do tego pociągu. Zdjął płaszcz i kapelusz i schował je do walizki. Założył natomiast ciemne okulary i przeczesał palcami gęstą ciemną czuprynę ukrytą przedtem pod kapeluszem.

Wyskoczył na peron natychmiast po otwarciu drzwi, obejrzał się w lewo i nie dostrzegłszy nigdzie Litowa, odwrócił się na pięcie, udając pasażera, który ma właśnie wsiąść do pociągu. W ustach trzymał papierosa i z rozmysłem tak pstrykał gazową zapalniczką, żeby nie chciała zapalić; to tłumaczyło, dlaczego tak długo stoi przy schodkach do wagonu.

Wysiadzie na Północnej i pojedzie na lotnisko, doszedł do wniosku Kellerman w czasie tych kilku minut spędzonych w pociągu. — Po przymusowej bezczynności w celi będzie go roznosiło, będzie mu się śpieszyło do bazy. Mnie by się śpieszyło.

Postępował wbrew otrzymanym rozkazom. Miał pod żadnym pozorem nie wysiadać z pociągu przed jego przyjazdem do Amsterdamu. Postanowił jednak oprzeć się na wynikach własnych obserwacji poczyną Litowa na Midi. A poza tym, gdyby Litow wybierał się do samego Amsterdamu, z całą pewnością udawałby, że wysiada z ekspresu tu, na dworcu Bruksela-Północ — zszedłby na peron i markował kierowanie się do wyjścia.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się we wskazówki dworcowego zegara. Za dziesięć sekund zamkną się drzwi pociągu. Dziewięć, osiem, siedem, sześć... Litow go wykiwał. Został w pociągu. W ostatniej sekundzie Rosjanin zbiegł po schodkach na peron i ruszył szybko do wyjścia. Nie było mowy, żeby ktokolwiek ze śledzących zdążył zrobić to samo. Kellerman uśmiechnął się z ponurą satysfakcją i podążył za Litowem.

Tuż przy drzwiach ujrzał Joela Wilde'a, byłego członka SAS, umieszczonego przez Hendersona na dworcu Brussels Nord właśnie na taką okoliczność. Kellerman był wyższy rangą. — On jest mój — rzucił półgłosem mijając Wilde'a.

Znalazł się na zewnątrz w samą porę, by ujrzeć, jak Rosjanin opuszcza dworzec wyjściem po przeciwnej stronie hali rezerwacji. Dogonił go przy postoju taksówek.

— Na lotnisko, szybko — zawołał Litow przez okienko do kierowcy i wskoczył na tylne siedzenie.

Był tak pewny siebie, że zaniechał oczywistej ostrożności i nie odczekał z podaniem kursu do chwili znalezienia się wewnątrz taksówki. To do niego nie pasowało. Ale czy na pewno? Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny przetrzymywali go bez jedzenia, o samym soku owocowym i wodzie. Starannie o to dbali. Mógł być zatem skłonny do pewnej lekkomyślności i zadufania. Albo też tamtym telefonem z Midi załatwił sobie pomoc w usunięciu każdego cienia, jaki przyczepi się do niego po opuszczeniu ekspresu. Gdyby tak, to Joel da sobie radę z tą pomocą.

Wsiadając do taksówki, która właśnie podjechała, Kellerman obejrzał się przez ramię. Joel stał tuż za nim. Nigdy nie słyszało się drania — dopóki nie było za późno. Opuścił szybę i wychylił się przez okienko.

— Dojadę na lotnisko ze sporym zapasem czasu — powiedział. — Dzięki za wszystko.

— Nie ma za co. Ucałowania dla Sharon. Miękkiego lądowania.

Joel popatrzył w ślad za taksówką, po czym odwrócił się w stronę dworca. Nikt nie szedł do postoju taksówek. Nikt nie śpieszył do żadnego prywatnego samochodu. Ale w ciągu najbliższych kilku godzin Syndykat na pewno wyśle kogoś, żeby zdjął każdego, kto zbyt długo będzie podróżować tropem Litowa.

* * *

— Urwę mu jaja!

Henderson rzucił słuchawkę na widełki i napotkawszy rozbawione spojrzenie Luizy Hamilton klepnął się ręką po ustach.

— To był Joel Wilde, dzwonił z Brukseli-Północ. Trędowaty wysiadł z pociągu — rozważaliśmy tę możliwość — i pojechał taksówką na lotnisko. Co istotniejsze, Max Kellerman znów postanowił działać na własną rękę. Też wysiadł i pojechał za nim.

— Max zna się na swojej robocie jak mało kto — mruknął Beaurain.

— Ciekawe, dokąd ten Trędowaty polecą. . .

Henderson wstał i podszedł do ściany, żeby przyjrzeć się trasom powietrznym zaznaczonym na mapie. Przesunął niebieską szpilkę — Maxa Kellermana — na drogę do lotniska. Tuż przed nią wbił szpilkę z czerwonym łebkiem, oznaczającą

Litowa.

Beaurain stanął obok niego i porównał godzinę na swoim zegarku z godziną na zegarze ściennym.

— Już wkrótce się tego dowiemy. Niech ktoś spisze wszystkie samoloty, które startują z Brukseli w ciągu najbliższych dwóch godzin. Nie sędzę, żeby Trędowaty marudził na lotnisku dłużej, niż to się okaże konieczne. Pilnuj interesu do naszego powrotu, Jock. Wsiadamy do pociągu do Brugii i jedziemy zamienić kilka słów z moim starym przyjacielem, doktorem Goldschmidtem. Istnieje pewna szansa, że poda nam nazwisko człowieka, który rządzi Syndykatem.

ROZDZIAŁ 6

Günther Baum zastygł w bezruchu na przednim siedzeniu Renaulta, obok człowieka o wychudłej twarzy, który go tu przywiózł. Na kolanach kierowcy spoczywał czarny neseser z naładowanym Lugerem.

Tak jak podczas wizyty u Pierre'a Florina, Baum postępował z pełną ostrożnością. Nałożył ponownie słomkowy kapelusz i ciemne okulary, a w lewej ręce trzymał fotografię Fransa Darrasa i jego żony, Rosy. Do każdej roboty trzeba podchodzić metodycznie.

— Mam nadzieję, że oboje są na pokładzie — przerwał po chwili milczenie. — Przynajmniej znaleźliśmy barkę tam, gdzie miała być. Widać czubek anteny.

Wyciągnął dłoń w rękawiczce. Jego pomocnik nie odezwał się ani słowem. Wiedział, że przed przystąpieniem do wykonywania roboty Baum często myśli na głos, żeby w ten sposób upewnić się, czy czegoś nie przeoczył. Kiedy chodzi o dwie osoby naraz, zawsze trzeba wykazać nieco więcej finezji.

Baum wziął do ręki rewolwer, sprawdził, czy tłumik jest należycie umocowany, i otworzył drzwiczki samochodu. — Przyjdiesz z zestawem narzędzi dokładnie za trzy minuty. — Pomocnik szybko rzucił okiem na zegarek. W świetle Bauma liczyły się sekundy.

Baum wspinał się na skarpe powoli i ostrożnie. Na ścieżce schował Lugera za plecy i rozejrzał się dookoła. Barka była zacumowana, nie dostrzegł na niej nikogo, ale z kabiny pod pokładem dobiegały jakieś głosy. W całej okolicy nie było żywego ducha. Jedynym elementem sytuacji, którego Baum nie wziął pod uwagę, była obecność małego chłopca, siedzącego wysoko między gałęziami starej jabłoni. Wszedł na pokład barki i schował zdjęcie do kieszeni.

Frans i Rosa kłócili się tak głośno, że nie usłyszeli, jak Baum schodzi po schodkach do kabiny. Zresztą i bez tego trudno byłoby go usłyszeć. Przez kontrast z pełnym światłem dnia prawie nic nie widział we wnętrzu; panujący tu mrok sprawił, iż musiał zamrugać za ciemnymi szklami okularów.

— Mam wiadomość i pieniądze dla Fransa i Rosy Darras — powiedział.

Oboje mieszkańcy barki drgnęli wystraszeni i odwrócili się szybko w jego stronę. — To my. Kim pan jest?

— Stanać twarzą do ściany. — Baum wyjął zza pleców Lugera i wycelował

go dokładnie w przestrzeń między nimi. — Przyszedłem zabrać wasz nadajnik — ciągnął monotonicznie po francusku. — Stać twarzą do ściany, dopóki nie skończymy swojej roboty. Bądźcie grzeczni, a możecie być pewni, że nic złego was nie...

Oboje odwrócili się już twarzami do ściany. Frans instynktownie chwycił Rosę za rękę, żeby podtrzymać ją na duchu. Nie przestając mówić, Baum przyłożył mu wylot tłumika do podstawy czaszki i jeden raz nacisnął spust. Osuwające się ciało Darrasa nie dotknęło jeszcze ziemi, kiedy Baum przycisnął lufę do szyi sparaliżowanej strachem Rosy, która stała niezdolna uczynić najmniejszego ruchu. Baum nacisnął spust po raz drugi.

W tym momencie zjawił się jego asystent z neseserem i zestawem narzędzi. Baum natychmiast podał mu broń, która powróciła na swoje miejsce w neseserze. Czekał niemal bez ruchu, podczas gdy pomocnik zręcznie wymontowywał nadajnik i automatycznie wysuwaną antenę. Na brzegu kanału mały chłopiec siedzący wysoko na jabłoni nie ruszył się ze swojej gałęzi. Ssał pomarańczę. Kiedy Baum pojawił się u szczytu schodków prowadzących na pokład, pomarańcza wyśliznęła się chłopcu z rąk i ze stłumionym pacnięciem spadła na ścieżkę. Baum odwrócił się błyskawicznie, lustrując czujnym spojrzeniem cały ten odcinek ścieżki.

Ukryty w gałęziach drzewa, niecałe dwadzieścia stóp od niego, chłopiec obserwował błyski słońca odbijającego się w jego ciemnych okularach, kiedy Baum nadal przeszukiwał wzrokiem brzeg kanału. Chwilę później na pokładzie pojawił się jego współnik, z neseserem w jednej ręce, nadajnikiem w drugiej i anteną wepchniętą niewygodnie pod pachę. Pocił się z wysiłku.

— Coś słyszałeś? — spytał.

— Pora wracać do samochodu — odparł Baum.

Kiedy wyjechali na autostradę do Brukseli, minęli się z pociągiem pędzącym w przeciwną stronę. W przedziale pierwszej klasy siedzieli naprzeciwko siebie kobieta i mężczyzna i wodzili wzrokiem po przesuwanym się za oknem krajobrazie. Przed oczami mignął im kanał i kilka barek zacumowanych w pobliżu śluzy, ze sznurami suszącej się na pokładach bielizny i sterczącymi w górę masztami anten radiowych i telewizyjnych.

— Ci ludzie muszą prowadzić własny, zupełnie odrębny tryb życia — zauważyła Luiza. — Mają nawet własną telewizję.

Beaurain patrzył niewidzącym spojrzeniem przez okno, zaprzątnięty całkowicie rozmyślaniami o Goldschmidcie. Skinął głową, czysto machinalnie, ale słowa Luizy podświadomie zapadły mu w pamięć.

* * *

— Zamordowany strzałem w tył głowy? Pierre Florin?

Inspektor Flamen z wydziału do spraw zabójstw westchnął ciężko w duszy. Voisin miał nawyk powtarzania usłyszanych informacji.

— Nadinspektor Beaurain chciał się z nim widzieć natychmiast po jego powrocie z urlopu — dodał i zamilkł w oczekiwaniu na spodziewaną reakcję.

— Chce pan powiedzieć, były nadinspektor Beaurain. Czy to nie zadziwiający zbieg okoliczności, że policjant, z którym Beaurain tak bardzo chciał się zobaczyć, zostaje przed tym spotkaniem zamordowany?

— To może mieć jakieś znaczenie — zgodził się Flamen.

— Czy nie powinienem spotkać się z Beaurainem?

— Jak pan sobie życzy, sir, ale może lepiej, żebym najpierw ja z nim porozmawiał. W ten sposób uniknie pan wszelkich kłopotliwych sytuacji, że tak to ujmę.

— Ujął to pan dość trafnie, Flamen — odparł Voisin z wymuszonym uśmiechem. Najwyraźniej Willy Flamen rozumiał delikatność jego położenia, polityczną konieczność niepodejmowania żadnych decyzji, których skutki mogłyby się odbić nieprzyjemnym rykoszetem.

— Znalaziono go w jego własnym mieszkaniu — podjął Flamen. — Żadnych śladów włamania.

— To znaczy, że znał mordercę — wyciągnął dość pochopny wniosek Voisin.

— Na to by wyglądało — zgodził się taktownie Flamen, choć wiedział, że to wcale nie takie oczywiste. — Zabity strzałem w tył głowy — powtórzył na wpół do siebie. — Kojarzy mi się to z czymś paskudnym. Tylko zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, z czym.

* * *

— Lepiej będzie, jeśli wyjedziesz do Brukseli już teraz, nim w Brugii zaroi się od policjantów — powiedział doktor Berlin do Soni Karnell w małej kamieniczce przy Hoogste van Brugge.

— A co takiego ma się tu wydarzyć?

— Günther Baum wprowadza trochę porządku. Na barce Fransa i Rosy Daras. Zaczynali się opuszczać w robocie. Sama mnie ostrzegłaś, kiedy przekazałaś im hasło ZENIT dotyczące Beauraina.

Karnell szykowała się już do wyjścia. Kiedy pojęła sens jego słów, zmarszczyła brwi. — Ja miałabym w tym udział? Myślałam, że pan ich tylko ostrzeże.

— I to było ostrzeżenie! — Berlin podniósł głos i musnął palcami zawinięte końce swego wąsa. — Ostrzeżenie pod adresem wszystkich innych ludzi obsługujących naszą sieć łączności. Ale właśnie z tego powodu tutejsza policja lada chwila bardzo się uaktywni. A także dlatego, że postanowiłem dać Goldschmidtowi nauczkę za tego fotografa, który szpicluje w domu naprzeciwko.

— Znowu Baum? — spytała cicho. — Mam nadzieję, że nie.

— Masz za miękkie serduszko.

— Staje się pan coraz brutalniejszy i, prawdę mówiąc, nie bardzo mi się to podoba.

Berlin zmiękł trochę. Uznał, że może jej to powiedzieć: — Dirk dostarczy mi jedną z tych swoich zabawek. To człowiek subtelny i delikatny. A teraz pędź już, spotkamy się w Brukseli i stamtąd razem pojedziemy na lotnisko.

Skinęła głową i wyszła znaleźć taksówkę na dworzec. Dirk Mondy zastępował Berlina w Brugii pod jego nieobecność. Jaką to zabawkę miał dostarczyć Goldschmidtowi?

Kiedy ruszyła wąską, brukowaną uliczką, poczuła przyływ ulgi, że to nie Baum miał złożyć Goldschmidtowi wizytę. Już na samą wzmiankę o Baumie, którego nigdy nie widziała na oczy, skóra cierpła jej na plecach ze strachu. Gdyby pewnego dnia zjawił się na schodach swojego własnego mieszkania w Sztokholmie, pomyślała, wcale nie wiedziałabym, że to on.

* * *

Beurain i Luiza musieli poczekać kilka minut przed dworcem w Brugii, nim zjawiła się taksówka. Wsiadła z niej dziewczyna w wiatrówce. Sięgnęła do torby po portmonetkę i w tym momencie dostrzegła Beuraina. Na ułamek sekundy zamarła w bezruchu, po czym opanowała się, zapłaciła i odeszła pośpiesznie w stronę dworca.

— Proszę jechać do Holiday Inn — Beurain podał kierowcy nazwę hotelu, bo to było łatwiejsze, niż tłumaczyć, jak trafić do domu Goldschmidta stojącego przy sąsiedniej uliczce. — To jedno z najpiękniejszych miast w Europie — powiedział do Luizy, kiedy taksówka ruszyła. — Jest tu taka dzielnica z kanałami, mnóstwem starych mostków i wierzbami płaczącymi, których gałęzie sięgają do samej wody. Gdybym miał prowadzić jakiś podejrzany interes, wybrałbym właśnie takie miejsce.

— Zwróciłeś uwagę na dziewczynę, która wysiadła z tej taksówki na dworcu?

— spytała Luiza przyciszonym głosem.

— O tyle, o ile. Zdaje się, że była zupełnie niczego.

— Wytrzeszczyła na ciebie oczy, jakby zobaczyła upiora. Widziałeś ją już kiedyś?

— Nigdy w życiu. O, jesteśmy na miejscu. Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie zobaczę się z moim starym przyjacielem.

Holiday Inn stał na rogu zabytkowego placu T'Zand. Domy przy uliczce, przy której mieszkał doktor Goldschmidt, były bardzo stare, białe, miały wysokie, strome dachy. Wszystko wokół tchnęło takim spokojem, że pistolet, który miała w torbie, wydał się Luizie czymś absurdalnym.

— To tu.

Beaurain zatrzymał się przed jednym z domów, gdzie na ścianie obok drzwi widniała tabliczka *Avocat*. Bez nazwiska. Nacisnął dzwonek i rozejrzał się czujnie. Jakieś czterdzieści jardów dalej stał zaparkowany Volkswagen. Kierowca siedział w środku. Z tej odległości nie sposób było dojrzeć jego twarz. Drzwi uchyliły się, brzęknął zabezpieczający łańcuch.

— Poproszę o wizytówkę.

— Proszę bardzo, Henri. To ja, Jules.

— Ostrożny facet — szepnęła Luiza.

Dłoń ujęła wizytówkę w szczupłe palce, zdjęto łańcuch i wpuszczono ich do środka. Drzwi zamknęły się za nimi natychmiast i stanęli twarzą w twarz z doktorem Goldschmidtem, wysokim, przygarbionym nieco mężczyzną o grzywie srebrzystych włosów i zagiętym nosie. Miał na sobie garnitur, który mógł być skrojony wyłącznie przy Savile Row, i przyglądał im się uważnie zza szkieł w złotych oprawkach.

— Oboje jesteście uzbrojeni — powiedział łagodnym głosem. — Zgadza się, panno Hamilton? Nie, proszę nie spoglądać na Julesa. On pani nic nie podpowie. Zgadza się?

— Owszem, ale skąd. . .

— Doktor Goldschmidt znakomicie blefuje — Beaurain nie dał jej dokończyć. — Przechodząc przez drzwi przeszliśmy jednocześnie przez wmontowany we framugę wykrywacz metali; kiedy gość ma przy sobie jakiś metalowy przedmiot, zapala się ta mała żaróweczka na ścianie. Blef doktora polega na tym, że w żaden sposób nie można się dowiedzieć, czy ten metalowy przedmiot to broń. Sprowokował cię więc oskarżeniem w ciemno i wprawił w zmieszanie. Nim zajął się. . . kolekcjonowaniem cennych numizmatów, był jednym z najlepszych prawników Belgii.

— Ma pan zamiar ujawnić jeszcze wiele moich sekretów? — spytał żartobliwie, choć lodowatym tonem Goldschmidt.

— Na razie nie. Ale proszę nie wypróbować swoich sztuczek na mojej dziewczynie.

— Zechce pani przyjąć wyrazy najserdeczniejszych przeprosin, mademoiselle. Ma pan piękną asystentkę.

Wprowadził ich do małego, lecz wygodnie urządzonego pokoju od strony ulicy. Ściany zastawione były półkami pełnymi książek, podłogę wyściełał puszysty, niebieski, wełniany dywan. Goldschmidt przysunął Luizie obity skórą fotel i nie przestawał jej nadskakiwać z nadmierną wręcz atencją. Spojrzała mu prosto w świdrujące szare oczy i doszła do wniosku, że albo natychmiast ugruntuje swą pozycję, albo spotka ją lekceważenie, jakie okazuje się osobom o drugorzędnym znaczeniu.

— Czy obawia się pan, że ktoś może przyjść pana zabić, doktorze Goldschmidt?

— Nieustannie. W mojej profesji... — Odwrócił się do Beuraina, który przez okno obserwował zaparkowanego Volkswagena. — Powiedział mi pan przez telefon, że mogę rozmawiać z panną Hamilton tak, jakbym rozmawiał z panem.

— Zgadza się. — Beurain usiadł w drugim fotelu, a Goldschmidt usadowił się za wielkim, zabytkowym biurkiem na krześle z wysokim oparciem. W ten sposób patrzył na nich z góry. Stosował technikę onieśmiania w stosunku do tak wielu ludzi, że stało się to jego nawykiem. Nie potrafił się go wyzbyć nawet podczas rozmowy z przyjaciółmi.

— Zaczniemy od najważniejszego i przejdźmy do interesów. — Beurain wyjął długą grubą kopertę zawierającą pięćdziesiąt tysięcy zachodnioniemieckich marek w banknotach o wysokich nominałach. Położył ją na biurku. — Oto datek wspierający pańską ulubioną działalność charytatywną.

Goldschmidt przyjął kopertę, nie sprawdzając zawartości zamknął ją w szufladzie biurka i skinął głową. — Dziękuję. W jaki sposób mogę panu pomóc?

— Chciałbym zorientować się w skali działań Syndykatu, a także dowiedzieć się, kto nim rządzi i gdzie znajduje się kwatera główna tej organizacji.

— Terror. — Goldschmidt przeszedł od razu do sedna sprawy. — Terror to główna broń stosowana przez Syndykat, i to na skalę, jakiej nie oglądano jeszcze w Europie ani w Stanach. Mimo że Waszyngton nie przyjmuje do wiadomości istnienia tej organizacji. Przy całym moim doświadczeniu, nigdy w życiu nie zetknąłem się z taką sytuacją. — Spojrzał twardo na Beuraina. — Syndykat trzyma w garści ludzi sprawujących władzę w tym kraju, zarówno mężczyźni jak i kobiety. Ten, kto zostanie przezeń naznaczony, nie zdoła się uratować.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem takich słów z pana ust — powiedział z posępną miną Beurain. — Jakże udało im się to osiągnąć w tak krótkim czasie? — Przypomniał mu się baron de Graer i strach, który malował się na jego twarzy.

— Stosują różne metody, w zależności od tego, kto ma paść ofiarą. Czasami są to pieniądze, ogromne sumy, których znaczna część pochodzi ze Stanów. Kiedy

indziej posługują się terrorystycznym szantażem. Pamięta pan zabójstwo żony i córki barona de Graera podczas, tak zwanej, próby porwania w Château Wardin?

— Tak zwanej?

— Tak zwanej. Od samego początku wiadomo było, że jego żona i córka mają zginąć. Wygląda pan na wstrząśniętego, Julesie.

— Tak się przypadkiem składa, że znam osobiście barona de Graer. I w owym czasie byłem szefem grupy antyterrorystycznej. Bruksela sprzeciwiła się zastosowaniu przeze mnie przyjętej w takich sytuacjach metody wkroczenia dużą siłą ogniową. Nalegała na prowadzenie negocjacji. — W głosie Belga zabrzmiała nuta goryczy.

— Nawet gdyby przeprowadził pan tę akcję po swojemu — powiedział łagodnym tonem Goldschmidt — i tak nic by to nie dało.

— A co to, u diabła, ma niby znaczyć?

— Żona i córka de Graera zostały brutalnie zamordowane natychmiast po ich porwaniu. Cała reszta to tylko dymna zasłona.

— Dymna zasłona? — W głosie Beauraina zabrzmiał jakiś złowieszczy ton.

— Dowiedziałem się o tym dopiero kilka miesięcy później — powiedział gospodarz i odwrócił się na krześle, żeby wyjrzeć przez okno. — Morderstwa w Château Wardin były tylko demonstracją siły Syndykatu. Wielu wybitnych obywateli — do ministrów włącznie — otrzymało anonimowe telefony z informacją, że jeśli odmówią współpracy, dokładnie to samo może się przydarzyć ich najbliższemu. Jak pan widzi, ten spisek zawiązał się już dość dawno temu. — Odwrócił się od okna i spojrzał na siedzącego ze skamieniałym wyrazem twarzy Beauraina. — Jak już powiedziałem, nie znają żadnych hamulców w stosowaniu terroru, zastraszania i przekupstwa. Podejrzewam, że już wkrótce całe kraje będą rządzone przez tę szatańską organizację. I pan nie jest w stanie nic na to poradzić, Julesie. A może się mylę?... Nawiasem mówiąc, przed pańską wizytą zastanawiałem się, czy nie będzie panu przypadkiem chodziło o informacje o Teleskopie.

— Co pan na ten temat wie? — spytał Beaurain.

— Bardzo niewiele. Teleskop jest równie świetnie zorganizowany, jak trasy przerzutu alianckich lotników z Brukseli do granicy z Hiszpanią w czasie drugiej wojny światowej.

— Kierownictwo?

Goldschmidt nie odpowiedział od razu. Zdjął okulary w złotych oprawkach i zaczął je przecierać błękitną jedwabną chusteczką, przyglądając się z namysłem Beaurainowi. Po chwili przeniósł spojrzenie na Luizę, która starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Miała nadzieję, że nie zanadto obojętny. Goldschmidt założył z powrotem okulary.

— Nie wiem nic o kierownictwie tej organizacji.

— Wracając do Syndykatu...

— Syndykatem kieruje trzech rzadko widywanych ludzi. Jeden z nich handluje książkami, białymi krukami, i kiedy przyjeżdża do Brugii, zatrzymuje się w domu przy Hoogste van Brugge; to pięć minut spacerkiem stąd. Muszę wyznać, że to sąsiedztwo jest dla mnie mocno obraźliwe. Pokażę państwu na planie miasta.

Beaurain i Luiza spojrzeli przelotnie na mapę. Sąsiedztwo okazało się rzeczywiście zdumiewająco bliskie.

— Czy ci ludzie jakoś się nazywają?

— Ten z Brugii to doktor Otto Berlin. — Goldschmidt wyjął z szuflady kartkę papieru i zapisał na niej to nazwisko. — Drugim człowiekiem jest doktor Benny Horn, Duńczyk prowadzący antykwariat z rzadkimi książkami w Nyhavn, nadbrzeżnej dzielnicy Kopenhagi.

— Znam tę dzielnicę — powiedziała Luiza.

— No, to wspaniale, wprost świetnie. Tylko błagam panią, moja droga, niech się pani nie zapuszcza tam w pojedynkę. Trzecim jest pewien Szwed, niejaki doktor Theodor Norling, i on także zajmuje się handlem cennymi książkami. Mieszka w Gamla Stan, najstarszej dzielnicy Sztokholmu. Jeśli się nie mylę, zna ją pan dość dobrze, prawda, Julesie?

— Owszem. — Beaurain wziął kartkę i zerknął na zapisane na niej adresy. — Nie rozumiem, dlaczego wszyscy zajmują się starymi książkami. Czy to jakiś rodzaj kamuflażu?

— Mogą swobodnie i dużo podróżować pod pretekstem zakupu cennych woluminów dla poważnych klientów. Cenne woluminy! To zimni, wyrachowani mordercy! — Goldschmidt mówił z niezwykłą u niego gwałtownością. — Niech pan nie ufa nikomu, Julesie. Zdrada czai się dosłownie wszędzie. Jeśli Sztokholmski Syndykat nie zostanie szybko zniszczony, już wkrótce cały zachodni świat znajdzie się w jego władaniu.

— To z pewnością nieco zbyt mocno powiedziane. — Luiza miała jednak wątpliwości.

— Tak pani sądzi? — Kolekcjoner spojrział na nią twardym wzrokiem. — Syndykat działa jak wielka międzynarodowa mafia. Widzę, że najwyraźniej nie macie pojęcia, kogo już trzymają w garści.

— Skąd pochodzą ich fundusze? — spytał Beaurain.

— Tu jest pewien problem — odparł Goldschmidt. — Wiemy, że pewne transnarodowe korporacje przerzuciły z Ameryki do Europy miliardy dolarów w celu wsparcia działań Syndykatu. Potajemnie, oczywiście, ale były to sumy tak ogromne, że wywołały zaburzenia na rynkach walutowych, wpłynęły na relacje kursów walut, a tego nie da się ukryć. Tak więc, jak powiadam, wygląda to na Amerykanów. . .

— Ale pan tak nie uważa? — spytał Beaurain. — Jeśli nie oni, to kto?

— Gdybym tylko wiedział, który z tych trzech, Berlin, Horn czy Norling,

kieruje bieżącą działalnością całego Syndykatu. Naczelny wykonawca kryje się pod pseudonimem Hugo. To imię wymawia się szeptem. Kto znajdzie Hugona, ten chwyci Syndykat za gardło.

— Dlaczego używa pan nazwy Sztokholmski Syndykat? Dlaczego Sztokholmski?

Beurain z rozmysłem powrócił do swej starej roli nadinspektora maglującego podejrzanego, zaczął rzucać pytanie za pytaniem w takim tempie, że rozmówca odruchowo odpowiadał bez zastanowienia.

— Bo pod taką nazwą jest znany. W swoich dociekaniach wyśledziłem wiele kanałów przepływu ich funduszków, ale każdy z nich zawsze prowadzi do Sztokholmu.

— W jaki sposób ludzie kierujący Syndykatem wyciągają ze Stanów te miliardy dolarów? Tymi samymi metodami? Szantażem i zastraszeniem?

— Czasami. Wielu ludzi sukcesu skrzętnie kryje okoliczności towarzyszące robieniu przez nich kariery. Pewien Amerykanin stworzył nawet coś, co nazywa „bankiem szantażu”. Syndykat może się nim posługiwać. Plus przynętą ogromnych, niewidocznych — a co za tym idzie, wolnych od podatków — zysków z zainwestowania kapitałów w europejski przemysł przestępczy. Narkotyki i tak dalej.

— Czy Rosjanie mają z tym coś wspólnego? — spytał Beurain.

— Wiktor Raszkin, pupilek Breżniewa, jest pierwszym sekretarzem ambasady sowieckiej w Sztokholmie — odparł enigmatycznie Goldschmidt. Otworzył szufladę, w której schował kopertę z pieniędzmi od Beuraina, wyjął ją i wręczył ze słowami: — Niech pan to zatrzyma. Przeznaczony na finansowanie swoich dociekań. Jak pan wie, drogi Julesie, jestem dostawcą informacji. Czy mogę jednak raz zmienić profil i pozwolić sobie na przepowiednię?

— Chętnie wysłucham — odparł Beurain chowając kopertę do kieszeni. — I dziękuję.

— Doszły mnie słuchy, że w ciągu najbliższych dwóch tygodni odbędzie się walne zgromadzenie wszystkich liczących się członków i udziałowców Syndykatu. Amerykanie zlatują się do Europy — to spotkanie będzie gdzieś w Skandynawii. Otóż przewiduję, że w ciągu najbliższych czternastu dni nastąpi przerażające starcie między Teleskopem i Sztokholmskim Syndykatem. I tylko jedna z tych organizacji je przetrwa.

W chwili, gdy dopowiadał tych słów, rozległ się brzęk tłuczonego szkła i na biurku Goldschmidta wylądował wrzucony przez okno granat.

Beurain zareagował błyskawicznie. Gdyby odrzucił granat z powrotem na ulicę, mógłby spowodować prawdziwą rzeź wśród przechodniów. Chwycił złowrogi przedmiot, podbiegł do drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem i cisnął granat na sam koniec wąskiego korytarza, po czym natychmiast zatrzasnął masywne drzwi i znieruchomiał w oczekiwaniu na eksplozję.

— Wciąż ten sam znakomity refleks — zauważył z kamienną twarzą Goldschmidt. W kryzysowej sytuacji opuściło go całe poprzednie napięcie.

— To chyba ślepek — odparł Beaurain, nie spuszczając wzroku z sekundnika swego zegarka. Luiza, blada, lecz w pełni opanowana, wskazała ruchem głowy na okno.

— Chwilę przedtem słyszałam odgłos zapalnego silnika i jakiś samochód podjechał pod dom. Kiedy tu szliśmy, nieco dalej na ulicy stał zaparkowany Volkswagen. Z kierowcą w środku.

— Widziałem go. Idę sprawdzić.

— Tylko bądź ostrożny.

Beaurain po chwili wrócił podrzucając granat jak tenisową piłeczkę.

— Ślepek — potwierdził. — Bez zapalnika. Ciekawe, któż chciałby tak bardzo przestraszyć doktora Goldschmidta? Na tym skrawku papieru załączono wiadomość: Do wieczora masz się wynieść z Belgii.

— Bez wątplenia to wiadomość od doktora Berlina. Ma mi za złe kompletowanie dossier na temat jego działalności.

— Ten adres — powiedział szybko Beaurain. — Przy Hoogste van Brugge. Chyba zaraz się tam udamy. Jak ten Berlin wygląda?

Goldschmidt otworzył kolejną szufladę swego biurka.

— Mój fotograf, który wykonał te zdjęcia — miałem właśnie zamiar je państwu pokazać, gdy przeszkodził mi w tym granat — powiada, że Berlin jest bardzo gruby, ma około pięciu stóp i dziesięciu cali wzrostu, czarne, wiecznie przetłuszczone włosy i zawijany wąsik. Chodzi kołyszając się jak kaczka. Jest krótkowidzem, używa soczewkowych okularów w rogowej oprawie. Sądząc z tego opisu, typ dość odrażający.

— To opis bardzo precyzyjny.

— Jak na kogoś, kto woli unikać świateł reflektorów, to wygląd dość nietypowy — dodała Luiza. — Musi bardzo zwracać na siebie uwagę.

— Proszę, oto zdjęcia. Mogą je państwo zatrzymać. Są bardzo dobre, biorąc pod uwagę warunki, w jakich je zrobiono. Berlin ma asystentkę, która, jak państwo widzą, nosi bardzo charakterystyczną fryzurę — strzyże ciemne włosy krótko przy skórze i wygląda, jakby miała na głowie kask.

Beaurain i Luiza spojrzeli szybko na odbitki, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Asystentką Berlina była dziewczyna wysiadająca z taksówki, którą zajęli. Beaurain wsadził zdjęcia do kieszeni, w której miał już kopertę z markami.

— Dziękuję panu, Henri. Nie zdaje pan sobie chyba sprawy, jak bardzo nam pan pomógł. I od tej chwili proszę bardzo, bardzo uważać.

Przecięli na ukos T'Zand i zapuścili się w Zuidzandstaat, wąską uliczkę, niemal zupełnie wyludnioną.

— Przygotuj się na kłopoty — powiedział Beaurain, kiedy znaleźli się u wylotu mrocznej Hoogste van Brugge. Brukowany zaułek wciśnięty między dwa ciągi

starych kamienic był zupełnie pusty. Beurain przystanął na chwilę, sprawdzając numery domów po obu stronach kamiennego korytarza. Przy samym jego końcu stał zaparkowany Volkswagen, zajmując prawie całą szerokość uliczki.

— Wydaje mi się, że stoi właśnie pod numerem 285 — powiedział Beurain.

— Co by znaczyło, że to z niego rzucono ten ślepy granat. . .

— To możliwe. Przypominam: przygotuj się na kłopoty.

Ruszyli ramię w ramię, stąpając bezgłośnie na gumowych podszewkach po kamiennym bruku. Ściany domów, z których wnętrza nie dobiegał żaden odgłos życia, zdawały się napierać na nich z obu stron. Wkroczyli w zupełnie inny świat, a byli ledwie o minutę spacerem od gwarnego T'Zandu.

Znajdowali się w połowie drogi do Volkswagena, gdy Beurain wykonał szybki ruch ręką i natychmiast wcisnął się w podcienie bramy po lewej stronie. Luiza ukryła się we wgłębieniu muru po prawej ręce. Znakomity słuch Beuraina zarejestrował brzęk łańcucha przy otwieranych drzwiach. Zastygli w oczekiwaniu.

Z domu po prawej stronie wyszedł jakiś mężczyzna, rozejrzał się i podszedł szybko do Volkswagena. Wysoki, szczupły, poruszał się sprężysto i w niczym nie przypominał znanego im z opisu doktora Berlina. Odczekali, aż wsiądzie do samochodu i zniknie za rogiem. Beurain skinął głową i ruszyli dalej.

W tej chwili z tego samego domu wyszedł następny mężczyzna, gruby brunet o przetłuszczonych włosach i wąsach zawiniętych w dół przy kącikach ust. Niósł walizkę i idąc kołysał się jak kaczką. Na ich widok stanął, wyjął z kieszeni jakiś przedmiot, i jakby coś z niego wyciągnąwszy wziął prawą ręką zamach, jak gracz rzucający piłką w krykiecie.

— Wielki Boże! — krzyknęła Luiza. — To Otto Berlin!

— Padnij!

Luiza natychmiast wtuliła się płasko w bruk ulicy. Beurain padł na nią, chroniąc ją własnym ciałem. Pocisk rzucony przez Berlina wylądował czterdzieści stóp od nich. Cztery sekundy trwała zupełna cisza, po niej rozległ się ogłuszający huk rozrywającego się granatu. W powietrzu zawirowały odłamki kamienia, a nad głowami Beuraina i Luizy przetoczyła się fala uderzeniowa wybuchu. Jakiś okruch kamienia otarł się o włosy Beuraina, ale Berlin źle ocenił odległość i rzucił granat zbyt daleko, by wyrządził im poważną szkodę. Szczęście wyraźnie im dopisywało.

— Nic ci się nie stało?

Beurain zerwał się na równe nogi i wyszarpnął z kabury Smith and Wessona. Ale było już za późno. Otto Berlin biegiem zniknął za rogiem ulicy. Beurain odwrócił się do Luizy, która otrzępywała ubranie.

— Nie, nic. . . — odparła drżącym głosem.

— Na dworzec. . .

Beurain schował rewolwer. Na ulicy nadal nie było żywego ducha. Widać na

Hoogste van Brugge wybuchy granatów były czymś powszednim. A może niewiedocznym mieszkańcy zdążyli się już nauczyć, że warto pilnować własnego nosa.

— Dlaczego na dworzec? — spytała Luiza, kiedy Beaurain chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą z powrotem w stronę T'Zandu.

— Bo coś mi mówi, że on właśnie tam zmierza. Chce jak najszybciej zniknąć z Brugii. A na T'Zandzie widziałem postój taksówek.

— Dlaczego nie zabrał się tamtym Volkswagenem?

— A skąd ja to mogę wiedzieć?! Może Berlin kazał mu natychmiast pryskać z miasta na wypadek, gdyby samochód został rozpoznany. — Wybiegli na T'Zand.

— Bierzemy taksówkę — powiedział Beaurain.

Rozluźnił się dopiero wtedy, gdy taksówka ruszyła z miejsca.

— Gdyby tak udało nam się dopaść przynajmniej jednego z tych, których nazwiska podał nam Goldschmidt, rozgryźlibyśmy ten cholerny Syndykat. Otto Berlin idealnie by się do tego nadawał. Na pewno nic ci się nie stało?

— Chyba nadal jestem w jednym kawałku. — Do przyjazdu na dworzec nie odezwała się już ani słowem. Beaurain wyjmował właśnie pieniądze, żeby zapłacić za taksówkę, kiedy chwyciła go za rękaw. — Patrz! Jest! Wchodzi właśnie na dworzec! Nadal ma tę samą walizkę!

Rzucili się biegiem i okazując swoje bilety powrotne wpadli bez zatrzymywania się na perony. Odchodził właśnie ekspres do Brukseli. Wśród wsiadających w ostatniej minucie pasażerów ujrzeli baryłkową postać doktora Berlina, przeciskającego się do przedziału z przodu pociągu. Ledwie zdążyli wskoczyć do najbliższego wagonu, kiedy ekspres ruszył. Beaurain wyjrzał przez okno, żeby się upewnić, czy Berlin w ostatniej sekundzie nie wysiadł z powrotem. Peron był zupełnie pusty. Spojrzał na Luizę.

— To jest ekspres — powiedział. — Po drodze do Brukseli zatrzymuje się tylko raz, w Gandawie, to jest pół godziny drogi stąd. Mamy go. Nie wyskoczy w biegu z pociągu pędzącego siedemdziesiąt mil na godzinę.

ROZDZIAŁ 7

— Przeszukujemy cały pociąg, ale chciałbym, żeby tego nie zauważył. Zobaczmy, dokąd nas zaprowadzi. Zaczniemy od lokomotywy i posuwajmy się powoli do tyłu. Ty idziesz pierwsza, ja jakiś czas za tobą. To zmniejszy prawdopodobieństwo, że nas dostrzeże. W ekspresie była zajęta mniej więcej połowa miejsc. Przeszli szybko do samego przodu, ale Berlina nie znaleźli. Zaczęli powoli wracać ku tyłowi pociągu, starannie, jednego po drugim, oglądając wszystkich pasażerów.

— Przechodząc będę zaglądał po kolei do każdej toalety — powiedział Beaurain. — Gdyby któraś była zajęta, czekamy w dyskretnej odległości, żeby zobaczyć, kto z niej wyjdzie.

Zostało im jeszcze piętnaście minut, kiedy dotarli do końca pociągu. Berlina ani śladu. Zapalili oboje na korytarzu i skonsternowani spojrzeli na siebie. Za oknami przemykał zalany słońcem krajobraz, znów ujrzeli kanał i barki z masztami anten telewizyjnych i sznurami suszącej się bielizny.

— Nic nie rozumiem — powiedziała Luiza. — Sprawdziłeś wszystkie toalety, oboje przyjrzelіśmy się dokładnie każdemu pasażerowi. Więc, co się z nim, u diabła, stało?! Nie mógł przecież po prostu rozpułnąć się w powietrzu.

— A właśnie na to wygląda. . .

Postój w Gandawie w żaden sposób nie przyczynił się do rozwikłania tajemnicy. Kilka osób wysiadło, nieco więcej wsiadło, ale nie pojawił się nikt choćby odrobinę podobny do doktora Berlina. Kiedy pociąg ponownie ruszył, przeszli do pierwszego wagonu za lokomotywą, znaleźli jakiś wolny przedział, usiedli i popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

— Szukamy jeszcze raz? — spytała Luiza. — Musieliśmy coś przegapić.

— Zostajemy tutaj aż do Brukseli — zdecydował stanowczo Beaurain. — Na Brussels Nord wyskakujemy jeszcze w biegu, ustawiamy się przy wyjściu z peronów i jeszcze raz wszystkich sprawdzamy. Człowiek nie może wsiąść do pociągu i wyparować jak kamfora.

Na Brussels Nord ekspres opustoszał. Stojąc w niewielkiej odległości od Beauraina, Luiza obserwowała mijających ją pasażerów. Wielu miało liczne bagaże — zapewne byli to podróżni z Anglii, którzy w Ostendzie przesiedli się z promu na pociąg. Klócała się rodzinka, już umęczona podróżą i upałem; duża grupka

Belgów w beretach trajkocąca po francusku; obowiązkowy ksiądz z walizeczką.

Patrzyli długo w ślad za ostatnią osobą opuszczającą ekspres i dopiero wtedy podeszli do siebie i razem wyszli z dworca.

— Weźmiemy taksówkę do bazy Hendersona — powiedział Beaurain, kiedy znaleźli się na zalanym słońcem chodniku przed dworcem — i zobaczymy, jak im idzie śledzenie Litowa. Mam nadzieję, że lepiej niż nam Berlina.

Taksówkarz wysadził ich w miejscu oddalonym o kilka minut spacerem od bazy i resztę drogi pokonali pieszo. Kiedy stanęli w drzwiach pokoju na pierwszym piętrze, Beaurainowi wystarczył jeden rzut oka na Hendersona, żeby wiedzieć, że stało się nieszczęście.

— Pierre Florin, ten sierżant, którego chciał pan wziąć w obroty, został zamordowany w swoim własnym mieszkaniu. Komisarz Voisin chce się natychmiast z panem widzieć.

— Skąd wiesz o Florinie? — spytał Beaurain.

— Zadzwoiłem do pańskiego mieszkania, żeby sprawdzić, czy przypadkiem pan już nie wrócił. Telefon odebrał inspektor Willy Flamen z wydziału do spraw zabójstw.

— A co on, do cholery, robił w moim mieszkaniu?!

— Też mnie to ciekawiło, dopóki nie wyjaśnił, że miał pan u siebie włamanie. Dowiedział się o tym, kiedy zadzwonił do pana do domu, żeby przekazać wiadomość od Voisina, i natychmiast tam pojechał. Flamen też chce się z panem zobaczyć — ale będzie czekał u siebie w domu. Powiedziałem mu, że jestem znajomym i rozłączyłem się.

Beaurain wiązał tak wielkie nadzieje z Florinem; przede wszystkim liczył, że uzyska informację, kto mu zapłacił za opuszczenie stanowiska dyżurnego komendy w kluczowym momencie. Albo kto go tak zastraszył, że zdecydował się zaryzykować całą swoją karierę. Terror, mówił to przecież Goldschmidt, terror jest jedną z głównych broni Syndykatu.

— Jak wam idzie z Litowem? — spytał Szkota.

— Wsiadł do samolotu do Skandynawii. Kupił bilet do Helsinek. Max stał tuż za nim i lecą teraz razem — samolotem Skandynawskich Linii Lotniczych do Sztokholmu przez Kopenhagę. — Henderson wskazał ruchem głowy na mapę. — To tamta czerwona kreska.

— A więc punktem docelowym jego podróży może być Kopenhaga, Sztokholm albo Helsinki.

— Też tak sądzę — zgodził się Henderson. — Chyba że chce być sprytny, wsiądzie w Kopenhadze czy Sztokholmie i polecą stamtąd w zupełnie innym kierunku. Gdyby mu to przyszło do głowy, na obu lotniskach mam chłopców, którzy mu wsiądą na ogon. No i mamy jeszcze Maxa Kellermana, który podróżuje w tej samej pierwszej klasie.

— Gdzie się w tej chwili znajdują?

Henderson spojrział na zegar.

— W drodze do kopenhaskiego lotniska Kastrup. Lądują za pół godziny.

— W takim razie nie mam co czekać, idę zobaczyć się z Willym Flamenem.

— Beaurain wstał, ale jeszcze coś mu nie dawało spokoju. Jak ten Berlin zdołał im się wymknąć z pociągu? Henderson odwrócił się na obrotowym krześle.

— Może nie wyraziłem się zbyt jasno, sir. To komisarz Voisin chce się natychmiast z panem widzieć. Wyraźnie nalegał, żeby podał pan czas swego przybycia.

— Wyraziłeś się zupełnie jasno. Mimo to nadal mam zamiar najpierw zobaczyć się z Flamenem. Skontaktuję się z tobą później. Powiesz mi, co z Litowem. Idziemy, Luizo. — Już przy drzwiach wydał ostatni rozkaz. — I jeszcze jedno. Natychmiast ogłoście czerwony alarm dla wszystkich naszych ludzi w Brukseli.

Luiza nie zadawała żadnych pytań, póki nie wsiedli do Mercedesa. Belg miał zamyśloną twarz i jeszcze nie dał strażnikowi sygnału do otwarcia bramy.

— Julesie, o co chodzi z tym czerwonym alarmem? Czerwony alarm oznacza, że aż do odwołania wszyscy mają stać w pełnym pogotowiu, prawda?

— Ta prośba komisarza Voisina, żebyśmy natychmiast do niego przyjechali. . . — Beaurain wreszcie dał znak wartownikowi, zapalił silnik, przejechał pod łukowym sklepieniem bramy i włączył się w gęsty ruch uliczny. Luiza zwróciła uwagę na jego wzrok, nieustannie wędrujący do wstecznego lusterka, obu bocznych, na obie strony ulicy i znów do wstecznego lusterka. — Oraz to, że chce z wyprzedzeniem wiedzieć, o której u niego będę. To mi mocno śmierdzi hasłem ZENIT.

— Ależ on jest komisarzem policji! Jules, nie mówisz chyba poważnie? Naprawdę uważasz, że Voisin jest człowiekiem Syndykatu? — Ton jej głosu wyrażał niedowierzanie. — No wiesz, możesz sobie nie lubić tej tłustej wszy, ale pozwalając, żeby uprzedzenia maciły ci trzeźwy osąd? Hej, dokąd ty jedziesz? Minąłeś skręt do domu Flamera!

— Rzucimy okiem na komendę policji. Do Flamera pojedziemy potem. — Zwolnił i zaparkował przy krawężniku. — I zamienimy się miejscami. Ty poprowadzisz, a ja usiądę obok. Przygotuj się do jazdy na złamanie karku.

Luiza obeszła samochód i usiadła za kierownicą. Beaurain nie miał żadnych skrupułów wydając to polecenie. Luiza Hamilton była mistrzynią toru wyścigowego Brand's Hatch. Bez słowa wyjął z kabury pod pachą swego Smith and Wessona kalibru 0.38 i położył go sobie na kolanach.

O tej porze ruch w okolicy komendy bywał niewielki, co znaczyło, że 280E mógł zwrócić na siebie uwagę obserwatorów. A Beaurain nie miał żadnych wątpliwości, że Syndykat zna markę i numer rejestracyjny jego samochodu. Podejrzewanie Voisina rzeczywiście zakrawało na szaleństwo, sam nie bardzo wierzył w tę możliwość. Ale w uszach bez przerwy dźwięczały mu słowa Goldschmidta: Niech pan nikomu nie ufa. Zdrada czai się wszędzie.

— Skoroś taki podejrzliwy — powiedziała Luiza z nutą sarkazmu w głosie — to trzeba było wysłać naszych, żeby sprawdzili komendę.

— Pewnie masz rację. Ale prawdę mówiąc, przyszło mi to do głowy dopiero po wyjściu od Jocka. No, dojeżdżamy. Zaraz się wszystko okaże.

— O Boże! — Tylko dzięki swemu niezwykłemu opanowaniu Luiza nie szarpnęła wozem na bok. Nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa, by ostrzec Beauraina. W tym samym jednak momencie ujrzała, że Jules chwyta rewolwer, a drugą ręką opuszcza szybę.

— Jules... po obu stronach... dwa samochody...

— Ten tylko z kierowcą też?

— Tak, nazywali go Pietr. To ten policjant z granatowego Renaulta. Próbował mnie zastawić, kiedy ruszałam przed komendy.

— Jedź dalej powoli, tak jak teraz, udawaj, że niczego nie zauważyłaś. A kiedy krzyknę „teraz!”, wciskaj gaz do deski.

— Jak nas zobaczą, wezmą w krzyżowy ogień.

— Już nas zobaczyli. Nie przyspieszaj. Czekają, aż znajdziemy się dokładnie między nimi.

— Ta para w samochodzie po prawej... Ten krępy byk nazywa się Andre. To płatny morderca.

Sunęła powoli dalej, na pozór spokojnie, tylko oczami bacznie wodziła po obu stronach jezdni. Dwa samochody stały zwrócone przodem do nadjeżdżającego Mercedesa. Mogły nagle ruszyć i zajechać jej drogę, tworząc barierę nie do przebycia. Czyżby Jules był bardziej zmęczony niż sądziła? Zaparkowany po prawej Fiat zaczął ruszać ze swego miejsca przed wejściem do komendy policji.

Tak jak uprzedzała, brano ich w krzyżowy ogień. Kierowcy obu samochodów czekali na nich! Wiedzieli, że wcześniej czy później Beaurain zjawi się na spotkaniu z komisarzem Voisinem!

— Teraz!

Jej reakcja na okrzyk Beauraina była czystym odruchem. Wdepnęła na pedał gazu, uruchamiając rezerwy szybkości i mocy potężnego silnika. Fiat z dwoma mężczyznami kierował się tak, by zajechać jej drogę, zmusić do zatrzymania się i wystawić wewnątrz Mercedesa na grad pocisków.

Beaurain zobaczył po swojej stronie, jak chudzielec obok kierowcy unosi pistolet maszynowy. Kątem oka dostrzegł, że jest tak, jak przewidywał — Renault nadal stoi przy krawężniku. Nikt nie potrafi jednocześnie prowadzić samochodu i celnie strzelać. Pietr wysuwał swoją broń z tłumikiem przez opuszczone okienko samochodu.

Beaurain strzelił cztery razy do zbliżającego się Fiata. Mercedes, prowadzony pewną ręką Luizy, rwał do przodu jak torpeda. Trzy z czterech kul Beauraina trafiły człowieka z pistoletem maszynowym. Strzaskaną przednią szybę Fiata spryskała krew. Beaurain jeszcze raz nacisnął spust. Fiatem zarzuciło gwałtownie w bok. Trafiony kierowca przestał nad nim panować.

— Nie ruszaj głową!

Beaurain odwrócił się w lewo, oparł rękę na krawędzi fotela Luizy i strzelił jeszcze dwa razy. Jeden z pocisków sięgnął celu. Głowa Pietra eksplodowała fontanną krwi i opadła na kierownicę. Przez okno pędzącego 280E Beaurain widział to wszystko jak na rozmazanym obrazie. Sekundę później przemknęli przed wejściem do komendy, z której nikt nie wyściubił nawet nosa, pomimo głośnej kanonady i przeraźliwego pisku opon.

Jeszcze jeden zręczny manewr Luizy i wyminęli toczącego się rozpedem Fiata, zostawiając całe krwawe pobojowisko za sobą. Beaurain obejrzał się przez ramię, ale nie dostrzegł żadnych objawów pościgu. Wyglądało to tak, jakby na czas akcji siepaczy Syndykatu usunięto z komendy wszystkie wozy patrolowe i cały personel.

— Muszę przyznać, że się spisałeś — powiedziała Luiza, po raz kolejny zmieniając kierunek jazdy na wypadek pościgu. — Ja nie miałabym pojęcia, od kogo zacząć.

— Od Fiata, bo miał pistolet maszynowy i był w ruchu. No dobrze, teraz do mieszkania Willy'ego Flamena.

* * *

— Wyjedź z Brukseli, Jules. A jeszcze lepiej, w ogóle z Belgii. I zabierz ze sobą Luizę. Choćby jeszcze dziś wieczorem. Morderstwo, z zimną krwią popełnione na Florinie, powinno być dla was wystarczającym ostrzeżeniem.

Willy Flamen przyglądał się Beaurainowi i Luizie znad filiżanki kawy, którą pili do kanapek przyrządzonych przez jego żonę. Znany był z odwagi i zawsze mówił to, co myślał. To czyniło jego radę jeszcze bardziej niepokojącą.

— Każesz nam uciekać? To zupełnie do ciebie niepodobne, Willy. A poza tym, na spotkaniu u Voisina uzgodniliśmy przecież, że mam się zająć zbadaniem działalności Syndykatu. — Na twarzy Beauraina pojawił się wymuszony uśmiech. — W końcu, na miłość boską, celem tej odprawy było potwierdzenie jego istnienia.

— Ostatnie wydarzenia powinny być dla was wystarczającym dowodem — zauważył Flamen i umilkł na chwilę, by zapalić fajkę. Beaurain przypomniał sobie, że robił to zawsze w chwilach kryzysowych. — A czekają cię jeszcze gorsze rzeczy, jeśli jesteś w stanie uwierzyć, że to w ogóle możliwe.

— Mów, podnieś nas na duchu — zażartowała Luiza.

Flamen wycelował w nią ustnik swojej fajki.

— Proszę bardzo, może was to ubawi. Jules zapowiedział w komendzie, że chce porozmawiać z Florinem, sierżantem, który miał dyżur tuż przed odejściem na urlop. Jak wiecie, Florina znaleziono zamordowanego we własnym mieszka-

niu. Kiedy je przetrząsał, znalazłem tam notes. . . należący do ciebie, Julesie. Jest na nim twoje nazwisko. Mały czarny notes, który łatwo się gubi, kiedy człowiek się gdzieś śpieszy. — Odchylił się na oparcie swego krzesła i pociągnął z fajki. Luiza z napięciem patrzyła na niego bez słowa.

— Jak słyszałem, ktoś włamał się do mojego mieszkania i dokładnie je splądrował — powiedział półgłosem Beaurain.

— Zgadza się — potwierdził Flamen. — Splądrował, żeby zatuszować kradzież notesu, który następnie podrzucono w mieszkaniu Florina. Voisin chce, żebym cię zatrzymał do przesłuchania — dodał mimochodem.

— W związku z czym? — spytał przez zaciśnięte zęby Beaurain.

— W związku ze śledztwem w sprawie śmierci Pierre'a Florina. Powszechnie wiadomo, że chciałeś go przesłuchać, a na miejscu zbrodni znaleziono twój notes. — Flamen wyjął z kieszeni mały czarny notesik i pchnął go po blacie stołu do Beauraina. — Rozumiem, że należy do ciebie?

— Przecież dobrze o tym wiesz.

— Czy wiesz, że Florina zamordowano strzałem w tył głowy? Jednym.

— Stary hitlerowski sposób zabijania.

— Jasne! — zawołał Flamen pstrykając palcami. — Cały czas chodziło mi to po głowie. Mogłoby to być czymś w rodzaju sygnatury oprawcy, Niemca wyszkolonego przez nazistów. A przy okazji, czy któreś z was bawiło ostatnio w Brugii? — spytał łagodnie. Raz po raz pykał z fajki ogromnymi kłębami dymu i wpatrywał się w okno, starannie unikając wzroku Beauraina.

— Owszem — odparł krótko Beaurain. — Dzisiaj. Dlaczego pytasz?

Odpowiadał jak najzwężlej i nie wspominał ani słowem, że towarzyszyła mu Luiza. Willy Flamen bywał bystry i niezwykle przebiegły.

— Ponieważ dziś rano na pokładzie swojej barki zostali brutalnie zamordowani Frans Darras i jego żona, Rosa. Dokładnie w ten sam sposób — strzałem w tył głowy. Po jednej kulce na głowę. Voisin poszedł na całego, powiązał te trzy morderstwa ze względu na technikę działania, a następnie, ze względu na osobę Pierre'a Florina, powiązał je z tobą. Fakt, że byliście dzisiaj w Brugii, nie przemawia raczej na waszą korzyść.

W tym momencie przerwał, żeby odebrać telefon. Słuchał przez chwilę, po czym zadał serię szybkich pytań. Temat rozmowy był zupełnie jasny. Po chwili rozłączył się, przeprosił swoich gości, nakręcił jakiś numer i telefonicznie wysłał grupę dochodzeniowo-śledczą. Kładąc słuchawkę odchrząknął i spojrzał na Beauraina i Luizę z niewesołym uśmiechem.

— Gdzie postawiłeś swojego Mercedesa, Julesie?

— W bocznej uliczce, w mało widocznym miejscu.

— To dobrze. — Przeniósł wzrok na sufit. — Niecałe piętnaście minut temu, przed komendą policji, ktoś urządził krwawą jatkę. Voisin dostaje piany na ustach, ale to w końcu nic takiego niezwykłego. Trzech mężczyzn zaatakowało samochód

przejeżdżający przed komendą. Wszyscy trzej nie żyją, a jeden z nich był uzbrojony w pistolet maszynowy. Jakaś głupia baba, która wyrzała z za firanki, kiedy było już niemal po wszystkim, powiada, że czterech zaatakowanych mężczyzn jechało Mercedesem. Nie wyszczególniła, że 280E. — Zamilkł, czekając na jakiś komentarz ze strony Beauraina.

— No i? — z przekorą spytał Beaurain.

— No i cieszę się, że oglądam was oboje w tak znakomitej kondycji. — Pochylił się nad stołem i natychmiast spowaźniał. — Uważam, bardziej niż kiedykolwiek, że powinniście wyjechać z Belgii. Przecież możesz sobie badać ten swój Syndykat w jakimś bezpieczniejszym kraju.

— Wymień choć jeden — odparł Beaurain. — Ale dzięki, Willy. — Uznał, że lepiej na tym poprzestać. — Czego zupełnie nie mogę rozgryźć, to ich systemu łączności. Bo że taki system mają, i to bardzo sprawny, nie ulega wątpliwości. Możesz się założyć o emeryturę. Czy ktoś nad tym pracuje?

Flamen wstał i przyniósł z kredensu mapę Belgii. Rozłożył ją na swoim biurku. — W ciągu ostatnich trzech miesięcy zanotowano niezwykle wzrost nielegalnych transmisji radiowych.

— Na tych obszarach, które oznaczono kółkami? — upewnił się Beaurain, studiując uważnie mapę.

— Tak. Jeden z moich współpracowników zestawił to wszystko do kupy na tej mapie, a ja ją od niego pożyczyłem, bo pomyślałem sobie, że może was zainteresować. Zupełnie nie mogę się w tym połapać.

— Ale uważasz, że to ma jakieś znaczenie? — spytała Luiza.

— Nie jestem tego pewien — przyznał Flamen. — Mamy całą flotyllę wozów radiolokacyjnych rozstawionych po całej Belgii. Niektóre z nich pracują dla potrzeb kontrwywiadu.

— I te otoczone kółkami obszary to tereny największej działalności w ciągu ostatnich sześciu miesięcy? — spytała Luiza. W trakcie tej wymiany słów Beaurain wpatrywał się w mapę z wyrazem skupienia na twarzy.

— Zgadza się — potwierdził Flamen. — Cały szkopał w tym, że radiostacje Syndykatu nadają w ruchu. To ogromnie utrudnia ich namierzenie. Muszą je mieć zainstalowane w jakichś dostawczych furgonetkach albo czymś w tym rodzaju, czymś, co wygląda zupełnie niewinnie, co nie zwraca na siebie uwagi na szosie czy autostradzie.

— Skąd wiecie, że to ma coś wspólnego z Syndykatem? Czy komuś udało się złamać szyfr? — Beaurain coś podejrzewał.

Flamen zawahał się na chwilę.

— To ściśle tajna informacja z innego wydziału. Szczerze mówiąc, aż do dzisiaj ja sam nie byłem tego pewien, a poza mną nikt inny jeszcze nic nie wie. Musi to więc pozostać między nami. Jednemu z naszych ludzi rzeczywiście to się udało. Dwa dni później został zamordowany. Strzałem w tył głowy.

* * *

— Wydadz rozkaz kapitanowi, żeby wprowadził „Burzę Ognia” do Kattegatu i szedł pełną parą, póki nie zakotwiczy u brzegu w okolicy Helsingoru.

Natychmiast po rozmowie z inspektorem Flamenem Beaurain i Luiza pojechali z powrotem do bazy Hendersona. Już od drzwi Beaurain zasypał go gradem poleceń. W ciągu kilku minut atmosfera w pokoju operacyjnym, już i tak dość napięta, stała się wprost naelektryzowana. W pewnej chwili Henderson odwrócił się na moment razem ze swym obrotowym krzesłem i spytał:

— Czy to wszystko ma oznaczać, że ewakuujemy z Belgii cały Teleskop, w tym także Château Wardin? Czy rzeczywiście trzeba się posunąć aż do tego?

— Jeśli mamy wystrychnąć Syndykat na dudka, musimy natychmiast rozpocząć operację, którą przecież tyle razy, wciąż na nowo, trenowałeś, Jock. Wycofamy się tak szybko, że nim zaczną coś podejrzewać, nie będzie już po nas nawet śladu.

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego?

— Właśnie do tego zmierzam. Stawiam wszystko na jedną kartę: że dwóch ludzi ma rację — Goldschmidt z Brugii i Ed Cotel z CIA. Obaj twierdzą, że za niecałe dwa tygodnie, gdzieś w Skandynawii, ma się odbyć walne zgromadzenie wszystkich członków Syndykatu. Teleskop musi zjawić się tam pełną siłą i stawić im czoło.

— Dlaczego Goldschmidt i Cotel mieliby mieć rację?

— Wcale nie muszą jej mieć — odparł Beaurain. — Ale my musimy natychmiast podjąć jakąś decyzję i zawsze będzie to, w mniejszym lub większym stopniu, hazard. Rzecz w tym, że ich informacje pochodzą z dwóch różnych źródeł — dosłownie z dwóch różnych kontynentów. A mimo to twierdzą dokładnie to samo. Zgadza się termin spotkania — w ciągu najbliższych dwóch tygodni, i miejsce — Skandynawia.

— I dlatego przemieszcza pan „Burzę Ognia” w stronę Bałtyku?

— „Burza Ognia” ma na pokładzie tylu ludzi i tyle sprzętu, że stała się pływającą filią Teleskopu. Mamy teraz na morzu siłę uderzeniową, którą możemy wysadzić niemal w dowolnym miejscu Skandynawii. Całe ryzyko tego kroku wynika z założenia, że właśnie tam nastąpi przewidywane przez Goldschmidta starcie między Teleskopem i Syndykatem. A teraz — powiedział, zwracając się do Luizy — złożymy krótką wizytę Edowi Cottelowi, który powinien już być z powrotem w Hiltonie.

— Jeśli dotrzecie tam żywi — zauważył pogodnie Henderson.

* * *

— A więc jednak Bałtyk, tak jak przewidywałem — powiedział do swego pierwszego oficera kapitan „Bucky” Buckminster, dowódca jachtu parowego „Burza Ognia”, odczytawszy zaszyfrowaną wiadomość. — Na razie przepływamy Kattegat i czekamy u wejścia do Sundu. . . — Przesunął żylastą ręką po rozłożonej na stole mapie, pokazując wytyczony kurs. — Po przybyciu na miejsce rzucamy kotwicę w okolicy Helsingoru, chyba że dostaniemy rozkaz ciągnąć pełną parą na Bałtyk. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Buckminster był wysokim, niespokojnym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce; przed odejściem na własną prośbę ze służby dowodził niszczycielem Royal Navy.

— Doskonale rozumiemy, że zamordowanie twojej córki w Bejrucie musiało być dla ciebie ogromnym szokiem, Bucky — powiedział mu jeden z przełożonych — ale może wstrzymałbyś się trochę z tą decyzją? Stracisz prawo do emerytury, kochasz morze, a kto ci da takie dowództwo jak to, z którego chcesz zrezygnować?

— Nikt, sir — skłamał Buckminster bez zająknięcia, patrząc admirałowi prosto w oczy. Nie mógł przecież ujawnić, że obejmuje dowództwo jednostki dysponującej siłą rażenia wcale nie mniejszą niż niszczyciel, z którym się rozstawał, choć ukrytą w kadłubie pełnomorskiego jachtu parowego, należącego nominalnie do belgijskiego milionera, barona de Graer.

Dla patrzących z góry błękitny basen potwierdzał wrażenie zbytku i luksusu. Tylko niezwykle spostrzegawczy pilot mógł zauważyć, że pokład rufowy ma wielkość lądowiska dla helikopterów i mógłby przyjąć nawet największy na świecie śmigłowiec, maszynę firmy Sikorsky nazywaną przez Amerykanów w Wietnamie kanonierką.

Tego samego spostrzegawczego pilota mogło zastanowić, po co belgijskiemu milionerowi na jego pływającej zabawce taki znakomity dźwig. A gdyby przypadkiem przelatował nad jachtem w momencie, gdy otwarty był gigantyczny luk, coś jeszcze mogłoby mu kazać szerzej otworzyć oczy ze zdziwienia: wielkość ładowni i jej zawartość — niewielki wodnopłat i ogromna łódź motorowa ze sterówką i kilkoma ślizgaczami.

Przed wyrażeniem zgody na przystąpienie do Teleskopu Buckminster udał się w tajemnicę do Belgii, by porozmawiać o — jak mu to przedstawiono — „pewnej interesującej propozycji wiążącej się z brutalnym i tragicznym zabójstwem pańskiej córki”. Po przybyciu do Brukseli dowiedział się ku swemu rozczarowaniu, że jego rozmówcą będzie Belg. Buckminster nie był w stanie sobie wyobrazić, że miałby przyjmować rozkazy od kogoś, kto nie jest Brytyjczykiem. Kolejny szok przeżył w chwili poznania Julesa Beauraina: ubrany w sportowe spodnie i koszulkę polo, gdy tylko otworzył usta i wypowiedział kilka słów, okazał się uosobie-

niem Anglika. Buckminster zgodził się objąć dowództwo „Burzy Ognia”, jeszcze nim zobaczył sam jacht.

Teraz wepchnął depeszę od Hendersona do kieszeni. Gdzieś w górze słychać już było potężne silniki ogromnego helikoptera.

— Punktualnie co do sekundy, sir, jak zawsze — zauważył pierwszy oficer, Adams, spoglądając na zegarek.

— Czy wiecie wszystko, co nam potrzebne? — spytał Buckminster.

— We wcześniejszej depeszy — nie wydawało mi się konieczne pana o niej powiadamiać — podano, że Anderson zabrał ze Szkocji dwie bazuki, dodatkowe pistolety maszynowe, zapas amunicji, kilka skrzynek granatów i wiele innej broni ręcznej. Jedyne, czego w tej przesyłce nie ma, to alkohol — dodał z krzywym uśmiechem.

Buckminster osłonił ręką oczy, przyglądając się nadlatującemu helikopterowi, którego sama wielkość wciąż od nowa go zdumiewała.

— Adams, ja tu decyduję, co jest, a co nie jest konieczne. W przyszłości proszę mi pokazywać wszystkie, powtarzam, wszystkie depesze, jakie odebrano na tym statku. — Jego reprimenda wywarła tym bardziej piorunujący skutek, że udzielił jej patrząc w niebo.

— Oczywiście, sir. Zrozumiałem.

— I jeszcze jedno. Na statkach, którymi dowodzę, nie pije się alkoholu. Dlatego też pański pseudożart nie znajduje mojego uznania.

— Bardzo przepraszam, sir, naprawdę strasznie mi przykro.

Buckminster opuścił rękę swym najlepszym gestem z pomostu nawigacyjnego niszczyciela i spiorunował wzrokiem pierwszego oficera.

— Byle tylko mi się to nie powtórzyło. A teraz zostawiam panu dopilnowanie, żeby Anderson i ta jego cholernie wielka zabawka siedli cało na naszym lądowisku.

Odwrócił się plecami do Adamsa, jeszcze raz przyjrzał się mapie i wyjętym z kieszeni ołówkiem wykreślił kurs. Sikorski osadził swe gigantyczne cielsko na płycie lądowiska. Morze było spokojne, wyglądało jak płachta zmarszczonego błękitnego jedwabiu, mieniającego się i migocącego w wiszącym na bezchmurnym niebie słońcu. Pochłonięty studiowaniem mapy Buckminster nawet tego nie zauważył.

Tak jak i nie rozmyślał wiele o tym, że pod pokładem wiezie grupę najbardziej niebezpiecznych komandosów świata — grupę, której jądro stanowili byli członkowie SAS, powiększoną o ludzi różnych narodowości, z których każdy miał własny, osobisty powód, by nienawidzić terroryzmu.

— Kto jest naszym przeciwnikiem i gdzie się znajduje? — Tylko to jedno pytanie sobie zadawał, kiedy „Burza Ognia” zaczęła nabierać prędkości i weszła na kurs do Helsingoru.

* * *

Dokładnie o tej samej godzinie — i także w palącym słońcu pod bezchmurnym niebem — radziecki wodolot o wyporności dwóch tysięcy ton, MV „Komet”, sunął z prędkością dwudziestu węzłów wzdłuż wybrzeży Polski w rejonie Gdańska. Kiedy Sobieski wszedł na mostek, kapitan Andriej Liwanow odwrócił głowę i z trudem powstrzymał się, by nie zdradzić wyrazem twarzy swej niechęci. Liwanow był rodowitym moskwianinem i napawało go to dumą. Konieczność przestawiania z ludźmi takimi jak Polacy kłóciła się z jego temperamentem.

— Jakież problemy, Sobieski? — spytał.

— Absolutnie żadnych, towarzyszu kapitanie.

— To wracajcie do kabiny nawigacyjnej i pilnujcie, żeby się nie pojawiły.

Piotr Sobieski, postawny mężczyzna około czterdziestki, o pogodnym i ekstrawertycznym usposobieniu, spojrzął spod oka na swego chwilowego — i nominalnego — dowódcę, po czym zapalił papierosa.

Jeśli pojawią się jakieś problemy, to nie będziesz mógł niczego przełknąć, a gdyby przydarzyło nam się coś naprawdę poważnego, dostałbyś sraczkę, pomyślał. Nie cierpiał Rosjan, mniej więcej tak samo, jak Liwanow Polaków. Ale nie odezwał się ani słowem. Zamiast tego dmuchnął dymem przez mostek, co jeszcze bardziej podziałało na nerwy drażliwemu Liwanowowi.

— Zabraniam palić na mostku! — krzyknął.

Do ujmy na honorze Rosjanina Sobieski dołączył osobistą zniewagę, rzucając papierosa pod nogi i rozgniatając go obcasem. W tym momencie kapitanowi dostarczono depeszę z wybrzeża. Nie wpłynęła ona na poprawę jego nastroju. Z brzegu pytano, dlaczego „Komet” płynie jak normalny statek i nie wykorzystuje swoich płatów nośnych.

Kapitan Liwanow stłumił złość. Najpierw operatora sonaru zastąpiono Sobieskim. Polak bezdyskusyjnie znał się na swojej robocie; Liwanow musiał przyznać, że jest przynajmniej równie dobry jak jego własny operator. Ale Sobieski był pupilkiem Wiktora Raszkina, a Wiktor Raszkin, cudowne dziecko świata rosyjskiej polityki, był pupilkiem Leonida Breżniewa.

To właśnie na rozkaz Wiktora Raszkina, drugiego po Breżniewie najpotężniejszego człowieka Związku Radzieckiego, „Komet” sunęła teraz wzdłuż południowego wybrzeża Bałtyku w drodze do Niemiec. I to sam wielki Raszkin zjawił się na jej pokładzie tuż przed wypłynięciem z Leningradu i przyprowadził ze sobą Sobieskiego.

— Podczas tej podróży, towarzyszu kapitanie, będzie obsługiwał sonar na waszym wspólnym statku — poinformował Liwanowa.

Liwanow o mały włos nie spytał, czy Sobieski ma do tego odpowiednie kwa-

lifikacje, ale w porę uświadomił sobie niebezpieczeństwo i ugryzł się w język. Założył po prostu, że tak. Nie odważył się podać w najmniejszą wątpliwość słuszność decyzji Raszkina.

— To mój asystent — powiedział Raszkin. — A także Polak. Nie patrzcie tak na mnie, towarzyszu Liwanow. Tworzymy z naszymi wschodnioeuropejskimi sojusznikami jedną szczęśliwą rodzinę. Dlaczego nie mielibyśmy ze sobą współpracować?

Czy w głosie Raszkina, gdy wygłaszał tę uwagę, dźwięczała nuta cynicznej ironii? Kapitan „Komety” zerknął wtedy na niego i napotkał przenikliwe spojrzenie szarych oczu. Liwanow nie rozumiał tego człowieka, którego wyraz twarzy tak przerażająco nagle ulegał zmianom. Mówiło się, że przed odbyciem stażu w KGB Wiktor Raszkin był aktorem.

Liwanow przypomniał sobie teraz tę rozmowę, gdy przepływał koło Gdańska i odczytywał depezę ze stacji brzegowej. Doskonale, zaraz im pokaże. Odesławszy Sobieskiego do kabiny obsługi sonaru wydał rozkaz i statek zaczął nabierać prędkości. Sam osobiście przesunął dźwignię, która z normalnego, głęboko zanurzonego statku przekształciła „Kometę” w potężną strzałę, ślizgającą się po powierzchni wody na swych płatach nośnych jak na gigantycznych nartach.

Wysłano nowe depeze — tym razem z gratulacjami. Liwanow postanowił je zignorować. Rozmyślał już o pasażerach, których polecono zabrać na pokład w najbliższym porcie, do jakiego miał zawinąć. O oddziale Stasi, owianej grozą służby bezpieczeństwa Niemiec Wschodnich.

ROZDZIAŁ 8

Beurain i Luiza znaleźli Eda Cottela w eleganckiej kafeterii na parterze Hiltona, gdzie właśnie kończył posiłek. Wychodząca na przeszkloną werandę z gęstą ścianą drzew i krzewów, Cafe d’Egmont sprawiała wrażenie, jakby znajdowała się w jakiejś pięknej wiejskiej okolicy. Można w niej było bezpiecznie rozmawiać — była niemal zupełnie pusta.

— Coś wam zamówić? — spytał bez ceremonii.

— Dziękuję, ja tylko kawę — powiedziała Luiza. Beurain także poprosił o kawę i odmówił czegokolwiek do jedzenia. Mieli za mało czasu; oboje chcieli jak najszybciej wrócić do Hendersona i dowiedzieć się, co z Litowem.

— Doszły mnie słuchy, Julesie, że mają zamiar oskarżyć cię o kilka mordów, gwałt i, Bóg jeden raczy wiedzieć jakie, jeszcze inne plugawe czyny. Muszę przyznać, że pod moją nieobecność nie siedziałeś z założonymi rękami.

— Kto ci naopowiadał tych ciekawostek? Voisin?

— A któż by inny? Przez cały czas, kiedy u niego byłem, nie mówił o niczym innym, tylko o tym, co to byłby za skandal, gdybyś w zaistniałej sytuacji miał nadal prowadzić dochodzenie przeciwko Syndykatowi. Myślę, że szczególnie rozłościło go moje uporczywe naleganie, żeby poinformował o wszystkim szefów policji i kontrwywiadów całej Europy Zachodniej. Nie ma co, w tym wysadzaniu cię z siodła poszedł na całość.

— Czy był... zdenerwowany? — spytał od niechcienia Beurain.

Cottel zmarszczył brwi i potarł swój jastrzębi nos, który zawsze tak podobał się Luizie.

— Teraz, kiedy mnie o to zapytałeś, dochodzę do wniosku, że odpowiedź brzmi „tak”. Zachowywał się jak człowiek, który czuje się zagrożony. — Pociągnął łyk kawy. — Cholera, zabrzmiało to chyba dość idiotycznie.

— Może i tak. Czy dokopałeś się jakichś nowych informacji o Syndykacie, Ed?

Cottel odczekał, aż kelner poda kawę jego gościom, i dopiero wtedy zaczął mówić.

— Przed wszystkim nasze najnowsze zdjęcia satelitarne Bałtyku ujawniają, że ten wielki radziecki wodolot „Kometa” pełźnie wzdłuż wybrzeży Polski

w kierunku Niemiec Wschodnich. Wygląda na to, że jego ostatecznym portem przeznaczenia może być Sassnitz. A stamtąd jest bardzo blisko do Trelleborga, niewielkiego portu w Szwecji. Tak się też akurat składa, że między Sassnitz i Trelleborgiem kursuje prom kolejowy.

— A co z tą listą dla Voisina? Tą, która miałyby go naprowadzić na ślad członków Teleskopu?

— A niech to wszyscy diabli! Zupełnie nie miałem kiedy się tym zająć. Nie masz pojęcia, jak w tych transatlantycznych podróżach czas przecieka człowiekowi przez palce. Wracasz i zaczynasz się zastanawiać, po coś tam w ogóle leciał. — Pociągnął kolejny łyk kawy. — Powiedziałem to Voisinowi, ledwie przekroczyłem próg jego gabinetu. Jakoś zdążyłem uprzedzić jego pytanie.

— Zawsze byłeś znakomitym taktykiem, Ed — mruknął Beaurain. — Czy masz już poparcie Waszyngtonu dla rozpracowania Syndykatu?

— Ujmując to jednym słowem, nie — odparł Amerykanin z ponurą miną i wytarł usta serwetką. — Tam, w domu, panuje przedziwna atmosfera, zwłaszcza w otoczeniu prezydenta. Nikt nic nie chce wiedzieć. Wszyscy, jak jeden mąż, powtarzają: Poczekaj do po wyborach, skoncentruj się na ujawnieniu Teleskopu. Po pierwsze dlatego, że dokonania Teleskopu mocno przyćmiły ich własne. Ale przede wszystkim właśnie z powodu wyborów. Faceta, który aktualnie mieszka w Białym Domu, trudno uznać za prezydenta stulecia, i jest wielu takich, którzy chcieliby go upuścić jeszcze przed konwencją wyborczą. Gdyby informacja o Syndykacie przeciekła do prasy... O tym, że jego działalność w znacznym stopniu finansują wielkie koncerny amerykańskie poszukujące źródeł ogromnych i nie opodatkowanych zysków... — Cotel pomachał serwetką, po czym zmiął ją w garści. — Pa, pa, żegnaj ponowny wyborze! Nici wiodące od Syndykatu biegną niemal do samego Pokoju Ovalnego.

— Mówisz poważnie? — spytał ostrym tonem Beaurain. — Jesteś tego pewien, czy tylko zgadujesz?

— Czy ja kiedykolwiek zgaduję? Mam jeszcze inne wieści.

— Mam nadzieję, że mniej zatrważające niż te, które już przekazałeś — odezwała się Luiza.

— Wiktor Raszkina musi mieć z tym coś wspólnego — powiedział Cotel, zniżając głos. — Ani na chwilę nie spuszcza z oka naszego Wiktorka, bo to bardzo niegrzeczny chłopiec. Mogę wam powiedzieć, że właśnie odleciał z Brukseli swoim odrzutowcem.

— Sam? — zaciekał się Beaurain.

— Nie, nie sam. W towarzystwie jakiegoś grubasa, tak szczelnie okutanego, że nie dało się dostrzec jego rysów twarzy, oraz jakiejś dziewczyny, nie rozpoznanej z przyczyn jak wyżej. — Dopił swojej kawy. — Zastanawiam się, czy któreś z was jest zainteresowane planem lotu podanym przez pilota Raszkina. Punkt docelowy.

— I tak nam go zdradzisz — powiedziała Luiza.

— Kopenhaga, a potem Sztokholm. I dlatego właśnie jutro rano wsiadam w pierwszy samolot do Sztokholmu. Jak wam będę potrzebny, znajdziecie mnie w Grand Hotelu.

— A będziesz nam potrzebny? — spytała z miną niewiniątka Luiza.

— Wszyscy będziemy sobie potrzebni, i to już niedługo — odparł tonem przepowiedni Amerykanin.

* * *

Odrzutowiec wykołował na kopenhaskim lotnisku Kastrup i stanął. W kabine pasażerskiej Wiktor Raszkin zapalił papierosa i spojrzał spod przymrużonych powiek na swoją towarzyszkę.

— Jaki będzie twój następny ruch, Wiktorze? — spytała. — Czy nasi przeciwnicy nie zaczynają za bardzo pokazywać zębów?

— Nasi przeciwnicy, a zwłaszcza Beaurain, reagują dokładnie tak, jak przewidywałem. — Przeniósł wzrok na czubek swego papierosa. — Najważniejsze, to przetrzymać go z dala od Danii przez kilka najbliższych dni. Nadchodzi spora partia towaru i za wszelką cenę musi bezpiecznie dotrzeć na miejsce.

— Ile tego jest?

— Według wartości ulicznej, coś koło czterdziestu milionów koron szwedzkich. No, chyba pora wsiadać, moja droga.

— Dokąd teraz? — spytała Sonia Karnell.

— Teraz dyskretnie odwiedzimy naszego przyjaciela, doktora Horna.

* * *

— Cześć, Jock, tu Max. Mówię z lotniska Kastrup. Nasz przyjaciel wysiadł tutaj, zamiast lecieć dalej do Sztokholmu.

— Skąd ta pewność? — spytał krótko Henderson.

— Bo jak kto chce lecieć dalej, to czeka w samolocie, a ten samolot właśnie wystartował. Bo w tej chwili patrzę na Serge'a Litowa. . .

* * *

Do hali rezerwacji wszedł wysoki i potężnie zbudowany mężczyzna — mierzył ponad sześć stóp, ale jak wielu ludzi uczulonych na punkcie swego wzrostu, nieco się garbił — i stanął na uboczu ze składanym parasolem w ręku. Na dużej głowie miał ciemnobrązowy kapelusz, którego rondo przesłaniało mu prawie połowę twarzy. Kiedy zwrócił się do Litowa, uczynił to po angielsku i w taki sposób, jakby nie miał z nim nic wspólnego.

— Gdzie jest ten człowiek, którym mam się zająć, sir?

Miał wyraźnie zarysowane, mięsiste szczęki, liczył sobie około sześćdziesiątki i był uosobieniem znakomicie prosperującego maklera giełdowego. Litow nie mógł uwierzyć, że to jest właśnie człowiek, którego przysłano mu do pomocy w usunięciu wszelkiego niepożądanego towarzystwa.

— Czy my się znamy? — spytał ostrym tonem, zapalając papierosa, by zasłonić ruch warg. Ten dureń nie podał hasła. Czy to była jakaś pułapka? Ale przecież Teleskop nie zwalniałby go tylko po to, żeby zaraz wciągnąć w pułapkę.

— Jestem, oczywiście, George Land. Jadąc z Londynu musi pan tak jak ja znać i doceniać uroki parku St. James o tej porze roku.

Prawie zupełnie nie poruszał ustami, a jednak Litow słyszał wyraźnie każde słowo. St. James's Park — to był identyfikator Landa.

— Cały urok parku St. James to jezioro — odparł. Słowo „jezioro” dopełniło weryfikującego hasła. — Skąd pan wie, że ktoś mnie śledzi? — Ton głosu Landa przyprawiał o gęsią skórkę, choć Litowa niełatwo było wytrącić z równowagi. Ideał angielskiego kamerdynera, a za chwilę wyprawi jednego ze swych bliźnich w podróż bez powrotu.

— Wiem, że ktoś pana śledzi, sir, ponieważ obserwowałem z zewnątrz drzwi wejściowe. Widziałem ukradkowe spojrzenia, jakie rzucał pan w pewnym kierunku. A ponadto, jeśli wolno mi o tym wspomnieć, sir, widzę teraz na pańskim czole krople potu.

Nieustanne używanie słówka „sir” w niczym nie polepszało sytuacji. Land był zimny i wyrachowany; jego powściągliwa grzeczność zaczynała działać Litowowi na nerwy, więc spytał zaczepnym tonem: — Widzi pan tego człowieka w budce telefonicznej?

— Widzę tego dżentelmena zupełnie wyraźnie, sir.

— Niech go pan usunie, byle na dobre. Natychmiast, jak tylko stąd odejdę.

— Byłoby wskazane, sir, żeby pozostał pan tu do momentu, kiedy znajdę się tuż przy budce. W ten sposób nie dostrzeże żadnej zmiany w zachowaniu obiektu swego zainteresowania, czyli pana.

Land lewą dłonią objął na chwilę trzymany luźno w prawej składany parasol.

Litow pojął wszystko, jakby przez całe życie trenował posługiwanie się tą bronią. Wewnątrz ukryty był mechanizm sprężynowy, który za naciśnięciem guzika wysuwał z czubka parasola sztylet.

— Zaczekam — przystał niechętnie.

— Była to niezwykle owocna rozmowa, sir — pożegnał się dyskretnie Land i ruszył samym środkiem niemal zupełnie pustej sali kas w stronę aparatów telefonicznych, jakby miał zamiar zadzwonić.

* * *

— Powiedziałem, że obserwuję w tej chwili Litowa — powtórzył Kellerman wewnątrz budki. — Wydaje mi się, że czeka na kogoś, kto ma go odebrać.

— Albo to jakaś jego nowa sztuczka — zauważył Henderson. — Nadal ma ten wykupiony bilet do Sztokholmu.

Przez salę rezerwacji szedł w kierunku telefonów jakiś wysoki, potężnie zbudowany Anglik. Był już na tyle blisko, że Kellerman widział jego mięsiste policzki. W takt niespiesznych, precyzyjnie odmierzanych kroków bujał składanym parasolem zwisającym mu z przegubu prawej ręki. Poza nim sala była zupełnie pusta. Pozostali pasażerowie odjechali do Kopenhagi autobusami linii lotniczych lub taksówkami, a w najbliższym czasie nie zapowiadano żadnych przylotów ani odlotów.

— Czeka tu na kogoś — powtórzył Kellerman — i...

— Powtarzasz się, Max — przerwał mu ostro Henderson. — Czy coś nie tak?

— Nie. Sądząc po jego zachowaniu, Litow zostanie w Kopenhadze. Może tylko na jedną noc. Przypuszczam, że spróbuje tutaj nam się urwać, po czym ruszy do następnego punktu, którym wcale może nie być Sztokholm.

— Uważasz zatem, że cię zauważył?

— Tego nie powiedziałem... — Kellerman zmarszczył czoło, próbując rozmawiać z Hendersonem i jednocześnie intensywnie myśleć. — Ale facet o doświadczeniu Litowa musi podejrzewać, że jest śledzony.

Nagle zrozumiał, co wciąż nie dawało mu tak spokoju. Ten zwalisty Anglik zmierzający do rzędu aparatów telefonicznych. Ani razu nie spojrzał na budkę zajęłą przez Kellermana! To po prostu nie było naturalne. Mówiąc wprost — z rozmysłem unikał spojrzenia na tę budkę, podchodząc do niej tym swoim miarowym krokiem, krokiem Komandora. W słuchawce rozległ się głos Beauraina, szorstki, stanowczy.

— Tu Beaurain. Masz kłopoty?

— Tak...

— Luiza zatrzyma się wieczorem w hotelu Royal. Do widzenia.

Kellerman przezornie nie uczynił niczego nie przemyślanego. Zwalisty typ był już bardzo blisko, a jego wielkie ponad miarę stopy nadal niosły go miarowo i zdecydowanie w tę stronę, choć w dalszym ciągu uporczywie wpatrywał się w drzwiczki pustej budki obok. Teraz Kellerman dostrzegł już także huśtający się składany parasol. Jeśli w ogóle było w tym wszystkim cokolwiek pewnego, to to, że facet nie jest pedałem.

Do ostatniej chwili Max zachował tę samą pozycję: słuchawka przy uchu, głowa na wprost odwrócona od drzwiczek, walizka przyciśnięta nogą do ściany budki. George Land po raz ostatni omiół spojrzeniem salę kas, upewnił się, że nadal jest zupełnie pusta, a Litow opuszcza ją właśnie, nie oglądając się za siebie. Zacisnął szczękę, aż uwidoczniły się mięśnie, i uruchomił ukryty mechanizm. Ostrze sprężynowego sztyletu wyskoczyło z czubka parasola, który trzymał teraz jak szermierz, szykujący się do zadania nagłego pchnięcia.

Rozchylił mięsiste wargi i obrócił się błyskawicznie, żeby jednym szarpnięciem lewej ręki otworzyć drzwiczki budki, zajmowanej przez Maxa Kellermana. Drzwiczki były otwarte. Kellerman pochylił się, żeby podnieść walizkę. Land utkwiał spojrzenie w szyi Niemca. Podsunął się bliżej i zacisnął rękę mocniej na rękojeści parasola, gotów do pchnięcia.

I w tym momencie wydarzenia przybrały zupełnie nieoczekiwany dla niego obrót. Kellerman wyprostował się gwałtownie i rąbnął go okutym rogiem walizki w prawe kolano. Land zachłysnął się z bólu, ale nawet nie pisnął. Wielką twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. Prawa ręka Kellermana zatrzasnęła się jak kajdanki na nadgarstku dłoni trzymającej parasol. Te kajdanki wykręciły nadgarstek i podbiły go w górę jednym, płynnym, dziewięćdziesięciostopniowym łukiem. Podniesione do pionu ostrze sztyletu uwięzło w gardle Landa i wysadziło mu oczy z orbit.

Kellerman przerzucił już uchwyt obu rąk na klapy marynarki Anglika, okręcił się razem z nim wokół własnej osi i, nim ciało zdążyło upaść na podłogę, wepchnął je do budki. Słuchawka nadal bujała się na przewodzie, gdy ciało Anglika zaczęło osuwać się po tylnej ścianie budki. Sterczące na zewnątrz nogi zakryły leżący na podłodze parasol.

Kellerman wyciągnął z kieszeni czapkę, wcisnął ją na głowę i ruszył szybkim krokiem przez wyludnioną salę, myśląc tylko o jednym — żeby dogonić Serge'a Litowa. Kiedy wyszedł na dwór, taksówka Litowa odjeżdżała właśnie z postoju. Wskoczył do następnej, zatrzasnął za sobą drzwiczki i dopiero wtedy rzucił do kierowcy:

— Za tamtą taksówką! I niech jej pan nie zgubi. Pasażer jest sprawcą wypadku na lotnisku.

Kierowca był nie w ciemną bitą. Zażądał od Kellermana dowodów, ale ruszył jednocześnie z miejsca, żeby nie stracić z oczu ściganego. Gdyby odpowiedzi

Kellermana go nie usatysfakcjonowały, zawsze mógł go odwiedzić z powrotem na lotnisko. Pasażer rozwiązał jego wątpliwości, samorzutnie udzielając wszystkich informacji.

— Przeczyta pan o tym wypadku w porannych gazetach. Ja jestem z Kryminalpolizei, współpracuję w tej sprawie z Belgami i waszą policją. Oto moja legitymacja. — Kellerman machnął mu przed nosem jakimś dokumentem, na który kierowca nie miał czasu spojrzeć. Żeby wzbudzić zaufanie i rozwiązać wątpliwości, trzeba mówić, nie przestawać mówić, dużo, z pewnością siebie. . .

— Tylko niech pan nie podjeżdża za blisko. Ten facet nie może się zorientować, że jest śledzony. To niesłychanie ważne. Oczywiście za współdziałanie w tej sprawie czeka pana spora nagroda. I bardzo pana proszę, żeby wykazał pan jak największą ostrożność, kiedy tamta taksówka zajedzie na miejsce. W żadnym wypadku nie możemy znaleźć się tuż za nią. Doskonale rozumiem, że to będzie trudne.

— Nie ma sprawy, dam sobie radę — odparł Duńczyk. Kellerman zapadł się w fotel i umilkł. Udało się. Na koniec daj im jakiś problem, żeby mieli się nad czym głowić — i dziób na kłódkę.

* * *

— Serge Litow powinien już tu być. Nie mam pojęcia, co go mogło zatrzymać. Jedyne, na co zawsze nalegam, to punktualność.

Duński antykwariusz, znany tym kilku swoim rodakom, z którymi utrzymywał kontakty, jako doktor Benny Horn, siedział w zaciemnionym pokoju przecierając okulary i spoglądając co chwila niespokojnie na fosforyzujące wskazówki swojego zegarka. Towarzysząca mu kobieta uśmiechnęła się w panującym tu mroku, nasłuchując dobiegającego zza otwartego okna łagodnego plusku wody w basenie portowym Nyhavn.

— Może miał jakieś kłopoty na lotnisku — denerwował się Benny Horn. — Załóżmy, że ktoś go śledził. . . To więcej niż prawdopodobne. . .

— W takim razie George Land już sobie z tym kimś poradził. To by tłumaczyło tę zwłokę.

— Chyba że Litow sam wdał się w jakąś burdę.

— Otrzymał rozkazy, które na pewno będzie respektował. — Rozbawił ją ten skory do irytacji i pedantyczny handlarz książkami, który wyjrzał z doktora Horna. Za otwartym oknem błysnęły reflektory, sprzed domu dobiegł odgłos zatrzymującego się samochodu i wyłączanego silnika. Sonia Karnell wyjrzała dyskretnie przez firankę i zobaczyła taksówkę. — Tylko sprawdź dobrze, czy go nikt nie

śledził! — zawołał za nią Horn.

* * *

— Jesteśmy już bardzo blisko Nyhavn — powiedział kierowca do Kellermana.

Przejechali taki labirynt ulic, uliczek i obstawionych starymi domami placów, że Max miałby trudności z naszkicowaniem tej trasy na planie miasta. Pewien był tylko tego, że posuwają się na północ. Co to, do cholery, jest ten Nyhavn? Odczekał chwilę, mając nadzieję, że Duńczyk doda coś jeszcze od siebie, i miał rację.

— Nyhavn to część starego portu. Po lewej od basenu są bary uczęszczane przez marynarzy, po prawej sklepy z pamiątkami, żerujące na turystach. Chyba to tutaj zmierza nasz przyjaciel.

Samochód, za którym podążali, był teraz jedynym pojazdem w zasięgu wzroku. Gdyby pojechali dalej, wcześniej czy później Litow po prostu musiałby się zorientować, że ma ogon. Jego taksówka skręciła ostro w prawo i Kellerman domyślił się, że znaleźli się w Nyhavn.

Środkiem ulicy biegł długi, prosty kanał, poziom wody znajdował się znacznie poniżej poziomu ulicy. Przywodził na myśl kanały w Amsterdamie. W górę sterczał z niego las masztów. Po obu stronach jasno oświetlonych ulic, biegnących brzegami basenu, stały rzędy siedemnastowiecznych domów.

Kierowca Kellermana zasłużył sobie na suty napiwek. Zamiast skręcić w prawo, w ulicę nad kanałem, pojechał prosto, minął koniec basenu i zatrzymał się dopiero za najbliższym rogiem. Tu nie było jasno świecących lamp, wszędzie panowała ciemność.

— Musiałby nas zobaczyć. Jestem pewien, że zatrzyma się gdzieś w tej okolicy, a do nabrzeża ma pan stąd tylko parę kroków.

— Dziękuję — powiedział Kellerman, wręczając mu pieniądze. — Czy może pan na mnie zaczekać? To nie potrwa długo.

Problem polegał na tym, że nie miał co zrobić z walizką. Gdyby ją zabrał, za bardzo zwracałby na siebie uwagę. Co więcej, w razie napaści mocno ograniczałyby mu ruchy, a wciąż jeszcze miał w pamięci atak na lotnisku. Broń, jakiej tam użyto, sztylet ukryty w parasolu, kojarzyła mu się silnie z metodami stosowanymi przez Bułgarów.

Pozbywszy się walizki, wrócił spacerem do rogu i wyszedł na rzęsiście oświetloną ulicę. Litow wchodził po małych schodkach do domu stojącego przy samym końcu. Sklepy z pamiątkami dla turystów po prawej, mówił kierowca. Rosjanin wchodził do jednej z kamienic właśnie po prawej. Łatwo ją było rozpoznać nawet

z daleka, bo każdy dom pomalowano na inny kolor. Niezwykle pomocny zwyczaj.

Pomocne było także i to, że po ulicy przewalały się tłumy ludzi. Kellerman przeszedł kawałek lewą stroną i ujrzawszy wiele krótkich schodków wiodących w dół do barów w piwnicach domów, zawrócił. Obszedł koniec basenu i ruszył prawą stroną, wzdłuż ciągu sklepików z bublami dla turystów, aż zrównał się z domem, w którym zniknął Litow. W jaskrawym świetle ulicznych lamp odczytał nazwisko wyryte wielkimi literami na mosiężnej tabliczce u szczytu schodów: *Dr Benny Horn*. Zlokalizował położenie bazy drugiego członka triumwiratu rządzącego Sztokholmskim Syndykatem.

Najwyższy czas na spotkanie z Luizą w hotelu Royal.

* * *

Serge Litow wszedł po schodkach przed domem w Nyhavn i z ulgą odczytał nazwisko wyryte na tabliczce po prawej stronie masywnych drzwi. Nacisnął dzwonek.

— Wchodź szybko.

Drzwi zamknęły się za nim i Litow znalazł się w zupełnej ciemności. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku i stuk zasuw. W następnej chwili w wąskim korytarzyku rozbłysło światło tak silne, że zamrugał oczami. Obejrzał się szybko za siebie. Z tyłu stała szczupła brunetka o włosach przyciętych króciutko na kształt kasku. W ręku trzymała rewolwer.

Litow spodziewał się, że spotka się z doktorem Berlinem, człowiekiem, który wysłał go z zadaniem spenetrowania kwatery głównej Teleskopu. Zamiast niego ujrzał w głębi korytarza mężczyznę w jarmułce, muszce i świetnie skrojonym garniturze, co silnie kontrastowało z niechlujnym ubiorem Berlina. Mężczyzna był ponadto starannie ogolony. Stał z rękami założonymi na wąskiej klatce piersiowej i przyglądał się Litowowi w sposób, który mocno go zirytował.

— Kim pan, u diabła, jest? — spytał obcesowo Rosjanin. — Przejechałem kawał drogi i jestem piekielnie zmęczony.

Urwał, czując na potylicy chłodny metal lufy Walthera Soni Karnell.

— Jest pan także piekielnie źle wychowany — zauważył z zimną rezerwą mężczyzna. — Jestem Benny Horn. To właśnie mnie z polecenia doktora Berlina ma pan złożyć sprawozdanie z wykonanego zadania, bo chyba tak właśnie określacie to w swoich kręgach.

Litow drgnął jak uderzony, smagnięty nutą szyderstwa w głosie Horna; w następnej chwili drgnął po raz drugi, czując dźgnięcie lufą w kark.

— Proszę wejść do tego pokoju i natychmiast zreferować, czego się pan do-

wiedział — rozkazał Horn i wszedł pierwszy do saloniku z oknami wychodzącymi na Nyhavn. Litow usiadł w fotelu wskazanym mu przez Horna, który sam zajął krzesło z wysokim oparciem, stojące za antycznym biurkiem. W przeciwieństwie do Berlina, który kręcił się zawsze po całym pokoju, Horn siedział sztywno wyprostowany i ponownie założwszy ręce na piersi wpatrywał się bez ruchu w nowo przybyłego.

— Kawy, Litow?

Nie czekając na odpowiedź, Sonia naląła filiżankę czarnej kawy i wsypała do niej czubatą łyżeczkę cukru. Pamięta, jaką piję, przebiegło przez myśl Litowowi. Rewolwer, który miała w ręce, gdzieś zniknął. W przeciwieństwie do przedpokoju, który był tak jaskrawo oświetlony, że zupełnie oślepił Litow ledwie widział Horna, tu, w saloniku zastawionym regałami z książkami, światło było przyćmione. Horn usiadł w głębokim cieniu. Oczekał, aż Litow wypije połowę swojej kawy, po czym zasypał go serią pytań, którymi strzelał z szybkością pistoletu maszynowego.

— Gdzie leży baza Teleskopu?

— W południowej Anglii, w pobliżu Guildford w hrabstwie Surrey.

— Skąd to wiesz?

Litow opowiedział im, jak zobaczył czerwony autobus z tabliczką *Guildford* nad przednią szybą. Horna bardziej zainteresowała stojąca skrzynka pocztowa. O której listonosz wybierał z niej listy? Czy widział kogoś, kto by wrzucał do niej list? Pytania sypały się jedno za drugim, zupełnie tak, jakby Horn wręcz żywił nadzieję, że przyłapie Litowa na kłamstwie. Litow nie mógł pojąć, skąd ta zajadłość.

— W jaki sposób określiłeś długość trwania lotu w obie strony? — zapytał Horn w pewnym momencie.

— Na szczęście zostawili mi zegarek.

— Zostawili ci zegarek?! Miałeś go przez cały czas? Ten, który masz na rękę?

Litow z trudem opanował rozdrażnienie, ale nadal pamiętał zimną rezerwę w oczach Horna i chłód lufy rewolweru przytkniętego do karku.

— Tak — powiedział. — Kiedy trzymali mnie w tym domu koło Guildford, przesłuchujący, Calder, nawet raz o tym wspomniał. Powiedział, że jeśli będę znał dokładny czas, to nie poczuje się tak bardzo zdezorientowany.

Litow bez końca musiał powtarzać relację ze wszystkich wydarzeń, jakie miały miejsce od chwili jego pojmania w Brukseli. I nagle Horn przerwał to przesłuchanie. Wstał, obszedł biurko dokoła i patrzył przez dłuższą chwilę z góry na Litowa, przecierając okulary.

— Zaczekaj tutaj — powiedział nagle. — Pod żadnym pozorem nie próbuj opuszczać tego pokoju.

Po czym wyszedł szybko z pokoju razem z Sonią Karnell, która zamknęła za nimi dźwiękoszczelne drzwi. Usiedli naprzeciwko siebie przy stole w pokoju od

tyłu.

— Co o tym myślisz? — spytał Horn, zdejmując jarmużkę.

— Ten autobus mnie przekonuje.

— Trzeba wysłać silny oddział specjalny, żeby ustalili dokładne położenie bazy i ją zniszczyli. — Urwał, gdyż w tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Sonia Karnell wymknęła się na korytarz i wróciła niemal natychmiast.

— To Danny — powiedziała.

W korytarzu stał kierowca taksówki, która śladem Litowa przywiozła z lotniska Kastrup do Nyhavn Maxa Kellermana.

* * *

Max Kellerman zajął pokój numer 1014 w Royal Hotel, ale nie rozpakowywał się, gotów w razie potrzeby natychmiast go opuścić. Zdecydował się na bar szybkiej obsługi, gdzie obsługa rzeczywiście zasługiwała na to miano, a kuchnia nie była znowu taka najgorsza. Wybrał go z kilku powodów. Po pierwsze, bar stanowił część zespołu sklepowo-recepcyjnego, zajmującego hol hotelowy, co oznaczało, że jedząc mógł jednocześnie dyskretnie obserwować recepcję. Zdążył się już w swoim życiu nauczyć, że czasem to daje dywidendę w cenie życia. Pozwalało zobaczyć, kto melduje się w hotelu bezpośrednio po nim.

Wszyscy płatni mordercy na całym świecie powszechnie stosowali metodę wynajmowania pokoju w tym samym hotelu, w którym zatrzymała się ich ofiara.

Jeśli — tak jak to zrobił Kellerman — zostawić na czas posiłku klucz w recepcji, a następnie dyskretnie ją obserwować, to czasami udaje się wypatrzyć osobę przejawiającą nami niezdrowe zainteresowanie. Wypytywany recepcjonista ogląda się zazwyczaj przez ramię, chcąc zobaczyć, czy klucz wisi na swoim miejscu. Nie sposób oczywiście mieć pewność, że chodzi właśnie o nasz klucz, ale w przypadku jakichś podejrzeń stanowi to dodatkowe potwierdzenie.

Kellerman przeciągał posiłek, delektując się skandynawską kuchnią. Powoli zaczynał odczuwać urok swobody i spokoju, pogodnej atmosfery panującej w duńskiej stolicy, tak wspaniale odświeżającej przez brak typowego dla europejskich stolic mrowia drapaczy chmur. Wielopiętrowy Royal Hotel był tu, rzecz dziwna, wyjątkiem. Jules Beaurain zjawił się w recepcji z Luizą Hamilton punktualnie o 22.30.

* * *

— Luizo, wybrałem się na miejsce tego morderstwa na barce w okolicy Brugii. Okazało się, że jednak jest świadek — mały chłopiec przesiadujący godzinami na drzewie, w szałasie, który tam sobie zbudował.

— Poczekaj chwilę, Willy, jest tutaj Jules.

Willy Flamen dzwonił do Royal Hotel w odpowiedzi na wcześniejszy telefon Beauraina do niego. Beaurain nie zastał wtedy inspektora, który nie dotarł jeszcze z pracy, ale jego żona obiecała dopilnować, żeby oddzwonił natychmiast po powrocie do domu. Beaurain stanął w drzwiach zaparowanej łazienki, gdzie właśnie skończył brać prysznic.

— To Willy Flamen — przekazała mu Luiza. — Mówi, że znalazł świadka tamtego morderstwa na barce.

— Już biorę słuchawkę. A ty zejdź na dół, żeby Max nie czuł się taki samotny. Ciągle jeszcze siedzi przy kawie w tej restauracji i obserwuje recepcję.

— Pora kończyć na dzisiaj — powiedziała, kiedy przysiadła się do Kellermana i zamówiła kawę. Dyżurował już tylko jeden kelner, nad pustymi stolikami unosiła się atmosfera nudy i zbliżającej się godziny zamknięcia.

— To nadchodzi zawsze wtedy, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa — odparł.

— Co?

— Przełom. Wydarzenie, które w pierwszej chwili nie znaczy zupełnie nic, a później znaczy wszystko. Czekanie jest kluczem do sukcesu. Każdy policjant ci to powie.

— Kiedy byłeś adwokatem w Monachium, stykałeś się z wieloma policjantami?

Nieuchwytny skurcz bólu na twarzy. Odpowiedział jej przez zęby, głosem, w którym wyczuwało się nutę groźby. Nie, nie pod jej adresem, tylko pewnego nieznanego mordercy. Wyglądała jak rzadko kiedy. — Przepraszam, Max. To w strzelaninie w Monachium zginęła twoja żona. Jaka ona była?

— Jedyna i niezastąpiona.

— Jeszcze raz przepraszam. Lepiej zamknę buzię na kłódkę.

— Nie musisz tego robić — uspokoił ją. — Siedzę tutaj nie bez powodu. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Syndykat nie obstawił lepiej lotniska, kiedy przyleciałem z Litowem.

* * *

— Gdzie Luiza? — spytał Beurain, przysiadając się do Kellermana w restauracji na parterze.

— Wpatrzyła kogoś i tyle ją widziałem.

— O czym ty, do cholery, mówisz? — spytał zaniepokojony Beurain.

— To dziwne — mruknął Niemiec. — Mówiłem właśnie, że to nadchodzi zawsze wtedy, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. Przełom. Miałem właśnie iść na górę, żeby panu o tym powiedzieć. Siedzieliśmy tutaj, kiedy do recepcji podeszła jakaś dziewczyna. Zobaczyliśmy, jak recepcjonista odwraca głowę mniej więcej w tę stronę, gdzie wiszą moje klucze. Potem tak manipulowała, żeby pióro stoczyło się na podłogę i facet musiał się po nie schylić, a sama w tym czasie przejrzała księgę gości. Trudno określić jej narodowość, tyle że to chyba jakaś Europejka. Za to miała bardzo charakterystyczną fryzurę — kruczoczarne włosy przycięte krótko przy samej głowie, jakby nosiła hełm. Potem wyszła stąd. Co się stało?

Spojrzenie Beuraina nagle stwardniało. — Czekam, aż dojdiesz do sedna sprawy — odparł ze spokojem, od którego robiło się nieswojo.

— Luiza ruszyła za nią do drzwi, czekając na mój znak.

— Dlaczego nie odwrotnie? Dlaczego to nie ty za nią poszedłeś?

— Z powodów, które zaraz panu przedstawię. — Niemiec wytrzymał spojrzenie Beuraina. — Podeszedłem do recepcji i skleciłem naprędce bajeczkę, że rozpoznałem w tej dziewczynie przyjaciółkę mojej żony. Facet natychmiast się otworzył — taki niezwykły zbieg okoliczności, i tak dalej. Dziewczyna szukała człowieka, którego portfel znalazł jej mąż. Opisała mnie bardzo dokładnie i powiedziała, że jej mąż spodziewał się, że zatrzymam się w tym hotelu. On sam — ten fikcyjny mąż — śpieszył się na umówione spotkanie i wpadnie do mnie jutro rano.

— To znaczy, że znała twoje nazwisko?

— Nazwisko i numer pokoju.

— A Luiza? — spytał Beurain.

— Dałem jej sygnał, żeby ruszała. „Czarny Hełm” wsiadła do samochodu, a Luiza pojechała za nią waszym wynajętym autem. Ja nie mogłem tego zrobić — w końcu mogło być i tak, że rozpoznano mnie podczas tego incydentu na lotnisku.

— Słyszałem, że ktoś jeszcze nazwał tę dziewczynę „Czarnym Hełmem”. A że było to pewne bardzo inteligentne dziecko, określenie to powinno być trafne. Ta dziewczyna odwiedziła w okolicach Brugii pewne małżeństwo — na barce, na której mieszkali. Wkrótce potem oboje zostali zamordowani.

ROZDZIAŁ 9

To, co usłyszał od Beauraina, wstrząsnęło Kellermanem. Zastygł w bezruchu, wpatrzony w ladę recepcji, przy której dziewczyna ochrzczona przez nich mianem „Czarnego Hełmu” tak gładko poradziła sobie z recepcjonistą.

— Jakie inteligentne dziecko? — spytał matowym głosem.

— Kiedy Luiza zesłała na dół do ciebie, rozmawiałem przez telefon z Willym Flamenem. Znalazł małego chłopca, który zbudował sobie w gałęziach drzewa szałas z widokiem na barkę Darrasów.

— Jaki to ma związek z „Czarnym Hełmem”?

— Jeśli nie będziesz mi przerywać, dopóki nie skończę, to zaraz się dowiesz — osadził go chłodno Beaurain. — Ten chłopiec mieszka w pobliżu i zdaje się, że jest samotnikiem. Ma zwyczaj wymykać się po zapadnięciu zmroku z sypialni i spędzać połowę nocy w swojej kryjówce. Barka Darrasów stała zacumowana w tym samym miejscu już od jakiegoś czasu.

— Może spełniała rolę punktu kontaktowego dla siatki Syndykatu.

— Mnie też to przyszło do głowy. No więc, ten chłopiec — zdaje się, że zrobił spore wrażenie na Willym — siedział ukryty w swoim szałasie, próbując pewnie rozgryźć, co ci Darrasowie robią tam tyle czasu. Było już późno i zupełnie ciemno, kiedy nadjechał jakiś samochód. Chłopiec zobaczył dokładnie dziewczynę, składającą Darrasom wizytę, bo ktoś zaświecił jej prosto w twarz szperacem. Jego opis doskonale pasuje do „Czarnego Hełmu”.

— Z Brugii do Kopenhagi jest spory kawał drogi.

— Skoro my z Luizą zdążyliśmy ją pokonać, to i „Czarny Hełm” mógł to zrobić, prawda? Ten mały siedział w swoim szałasie także tej nocy, kiedy zamordowano Darrasa i jego żonę, choć wtedy nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało. Prawdopodobnie widział mordercę i jego pomocnika wchodzących na barkę — sądząc z jego opisu wynika, że to dość dziwaczny tandem.

— To nad wiek rozwinięte dziecko jest prawdziwą kopalnią informacji — mruknął cynicznie Kellerman, nie do końca przekonany o grożącym Luizie niebezpieczeństwie.

— Morderca — ciągnął dalej Beaurain, ignorując tę uwagę — według tego chłopca, był ubrany jak Amerykanin. Do tego nosi słomkowy kapelusz i ciem-

ne okulary, jest przeciętnego wzrostu i średniej budowy ciała. Jego towarzysz jest chudzielcem — to wszystko, co na jego temat udało się Flamenowi wydobyć z małego. Działają w dość dziwny sposób. Chłopak na własne oczy widział, jak chudzielec wyjął z neseseru „wielką spluwę z bardzo grubą lufą”, jak to określił, i podał ją Amerykaninowi w chwili, gdy wchodzili na barkę. Według mnie, a Flamen przychyliła się do tej teorii, „Czarny Hełm” odwiedziła Darrasów kilka dni wcześniej, przekazała im jakieś polecenia. W efekcie stali się niewygodnym obciążeniem dla doktora Berlina, który kazał tym dwóm mordercom ich załatwić.

Kellerman podsunął filizankę filipińskiej kelnerce, która napełniła ją ponownie kawą. — To wszystko tylko domysły i spekulacje. W dalszym ciągu brak tu ostatecznego ogniwa wiążącego ich — i tę dziewczynę — z Syndykatem.

— Rysopis „Czarnego Hełmu” idealnie zgadza się ze zdjęciami dwóch osób wychodzących wspólnie z pewnego domu w Brugii, które pokazał nam Goldschmidt. Jedną z tych osób był doktor Otto Berlin. Drugą młoda kobieta. Właśnie „Czarny Hełm”.

* * *

— Heroina wartości czterdziestu milionów koron szwedzkich — powiedział Benny Horn. — To zdumiewające, ile pieniędzy można zapakować do jednej walizki.

Stał w wąskim korytarzu z walizką w prawej ręce naprzeciw Soni Karnell, która wróciła właśnie do domu, zamknęła za sobą drzwi, i chciała jak najszybciej opowiedzieć mu o wynikach odwiedzin w Royal Hotel. Horn czekał na nią jednak już od ponad godziny i jego zniecierpliwienie wzięło górę nad jej poczuciem dramatyzmu.

— Mam wiadomości.

— Mów, tylko szybko. Furgonetka do Helsingoru czeka przed domem. To wielka partia towaru. Nie zaznam spokoju, dopóki nie znajdzie się poza Kopenhagą.

— Wyposażona w przekazany przez Danny’ego rysopis człowieka, który śledził Litowa z lotniska Kastrup aż tutaj, sprawdziłam w King Frederik Hotel, gdzie Danny go wysadził. Jego pasażer rozegrał to sprytnie — to bez wątpienia profesjonalista. Nie zatrzymał się wcale w hotelu King Frederik. Musiałam zabrać się do poszukiwań, mając tylko nadzieję, że wybrał coś większego, a nie jakiś zapchlony pensjonacik.

— Do tej pory wszystko rozumiem — powiedział złagodniałym już tonem Horn.

— Zajrzałam do Palace Hotel. Opowiedziałam swoją historyjkę i podałam im rysopis od Danny'ego. Na moją korzyść działało tylko to, że o tej porze melduje się już bardzo niewielu gości. W Pałace Hotel nic. Ale w Royal Hotel szczęście się do mnie uśmiechnęło.

— I?

Podniecenie, z jakim relacjonowała przebieg zdarzeń, skłoniło Horna do powściągnięcia niecierpliwości. Musiała odkryć coś rzeczywiście ważnego. Wziąwszy pod uwagę, że chciał jak najszybciej wyjechać z Kopenhagi, było mu to pasudnie nie na rękę. Przesyłka z heroiną przypłynęła małą łodzią, która przybiła na chwilę w Nyhavn w czasie, gdy Sonia uganiała się po mieście za tajemniczym cieniem Litowa.

— Zatrzymał się w hotelu Royal — podjęła Sonia Karnell. — Facet doskonale pasuje do rysopisu. Ale udało mi się także przeczytać do góry nogami księgę gości. Jeszcze dwie osoby zameldowały się dziś w tym hotelu, nawet później niż on. Jedną z nich jest Jules Beaurain, drugą Luiza Hamilton.

Doktor Benny Horn powoli opuścił walizkę na dywan, wpatrując się bez słowa w Sonię.

* * *

— Masz dziś w tym mieście interesujące towarzystwo, Julesie — powiedział do słuchawki Ed Cottel. — Wiktor Raszkin przyleciał właśnie do Kopenhagi z Brukseli swoim odrzutowcem.

Beaurain usiadł na brzegu łóżka w hotelowym pokoju, słuchając uważnie swego amerykańskiego przyjaciela. Zadzwoił do Grand Hotel w Sztokholmie na los szczęścia, mając po cichu nadzieję, że Ed już tam przybył. Teraz przebiegło mu przez myśl, że Cottel nie bardzo przejmuje się zachowywaniem środków ostrożności przy korzystaniu z ogólnie dostępnej sieci telefonicznej.

Max Kellerman przycupnął na krawędzi drewnianego krzesła, sztywno wyprostowany i z grobową miną; widać było, że trawi go niepokój o Luizę. Od czasu, kiedy rozplynęła się w ciemności w ślad za „Czarnym Hełmem”, nie dała jeszcze znaku życia.

— Ed, czy Raszkin był sam, kiedy wysiadał z samolotu na lotnisku Kastrup, czy też ktoś mu towarzyszył? — spytał Beaurain.

— Owszem, wysiadła z nim jakaś dziewczyna. Z daleka trudno było obejrzeć ją dokładnie. Samego wielkiego pana R. też. Miała ciemne, krótko obcięte włosy. Koniec rysopisu.

— Dokąd się potem udali? I czy ten samolot stoi nadal na Kastrupie, żeby

zabrać ich gdzieś dalej? Na przykład jutro?

— Kiedy odjeżdżali z lotniska, mój człowiek znów ich zgubił. Czekają na nich dwa samochody. Jeden dla nich, drugi — z obstawą, żeby wkroczyła do akcji, gdyby ktoś próbował ich śledzić. Dziewczyna pojechała z panem R. A facet, z którym miałem nadzieję się tu spotkać, jest nieosiągalny w swoim mieszkaniu w Gamla Stan. Po szwedzku nazywa się tak Stare Miasto. To antykwariusz, specjalizuje się w białych krukach.

— A nazywa się jakoś?

— Doktor Theodor Norling. Pozostańmy w kontakcie, Julesie. No to tymczasem.

* * *

Beaurain odłożył słuchawkę po rozmowie z Edem Cottelem w Sztokholmie o 22.30. W Waszyngtonie zegar wskazywał dopiero 16.30, atmosfera panująca zaś w Owalnym Pokoju w Białym Domu była bardzo napięta. Prezydent, którego za niecałe sześć miesięcy czekały następne wybory, od dawna już przywykł patrzeć na świat oczami Kolegium Wyborców. Przy podejmowaniu każdej decyzji kierował się wyłącznie jednym kryterium: czy przysporzy mu ona głosów w listopadzie.

To, że już teraz nazywano go „jednym z najgorszych prezydentów w historii Stanów Zjednoczonych”, utwierdziło go tylko w postanowieniu, że zrobi wszystko, aby uraczyć kraj — i cały świat — następnymi czterema latami tej samej mikstury co dotychczas. Rozwalił się w fotelu, skrzyżowane w kostkach nogi położył na biurku i patrzył na dwoje swoich rozmówców. Poza nimi w gabinecie nie było nikogo.

Jego żona, Bess, siedziała nieruchomo w klubowym fotelu, pochylona leciutko do przodu w dość charakterystycznej pozie, którą pewien nieprzychylny dziennikarz opisał jako „Bess przyczajona do skoku i wietrząca krew”. Drugą osobą był mający równie złą prasę Joel Cody z Teksasu, jego główny doradca. Tematem rozmowy, którą zainicjowała — podobnie jak wiele, wiele innych rozmów toczonych w Białym Domu — żona prezydenta, był Ed Cotel.

— Jesteś pewien, Joel, że tego Eda dobrze sprawdzono przed wysłaniem go do Europy? — spytał prezydent.

— Aż do gumki w gaciach. To facet z Zachodniego Wybrzeża — dzięki Bogu, nie z północnego wschodu — i ma pewną słabość do tej prywatnej organizacji, Teleskopu, i celów, jakie sobie ona stawia, choć stara się z tym nie afiszować. Uważa także, że jedynym prawdziwym zagrożeniem jest Syndykat i że w jego

stronę powinniśmy skierować wszystkie nasze działa.

— Na miłość boską, Joel! — Bez krawata, w koszuli rozchełstanej na piersi, najpotężniejszy człowiek zachodniego świata zdjął z biurka nogi razem ze stertą dokumentów, które zasłały podłogę, i poderwał się ze swego fotela. — Do chwili wygrania wyborów nie chcę nic wiedzieć o żadnym Syndykacie! Chodzą słuchy, że niektórzy z głównych sponsorów finansowych naszej kampanii wyborczej mogą mieć w nim swoje udziały.

— Toteż, kiedy przyjdzie co do czego, rzucimy na pożarcie Teleskop, a nie Syndykat — powiedział Cody. — W ten sposób dostaniemy to, o co nam chodzi.

— Nie zechciałbyś tego wytłumaczyć jaśniej, Joel?

— Przekonasz się, że Joel wie, co robi — zapewniła swego męża Bess, po czym znów zamilkła.

— Cotel sympatyzuje z ludźmi z Teleskopu, kimkolwiek są — wyjaśnił Cody. — Co więcej, wiemy na pewno, że jest osobistym przyjacielem tego Belga, Beauraina, o którym się mówi, że jest jednym z szefów tej organizacji. Dlatego też, oficjalnie ustalając tożsamość kluczowych postaci Teleskopu dla potrzeb zachodnich służb bezpieczeństwa — by w odpowiedniej chwili mogły wkroczyć i ich zlikwidować — Cotel, tak naprawdę, będzie się starał jak najbardziej im pomóc. A ponieważ trzymamy go pod stałą obserwacją, więc teraz już lada chwila doprowadzi nas na ślad całej organizacji.

— A dlaczego nie wyślemy tego Harveya Sholto, którego tak nieustannie rekomendujesz? Mówiłeś, że ten Sholto zgrzyta zębami na samą wzmiankę o Teleskopie.

— O czym wiadomo na tyle powszechnie — wszedł mu gładko w słowo Cody — że Sholto w żaden sposób nie zdołałby się do nich nawet zbliżyć. Ed Cotel podjął się wykonania tej misji wyłącznie po to, żeby roztoczyć nad Teleskopem dyskretną opiekę, a tymczasem dopomoże nam w ujawnieniu i zlikwidowaniu tej przeklętej podziemnej szajki.

— To mi się podoba, Joel, to mi się podoba. — Uśmiech znany milionom zniknął nagle z twarzy prezydenta. — Tylko czy niczego nie przeoczyłeś? A jeśli Cotel dokopie się jakichś informacji i byłoby lepiej, gdyby do niego nie dotarły? Na przykład nazw wielkich korporacji, których prezesi wspierają finansowo Syndykat?

— Przygotowaliśmy się na taką ewentualność — uspokoił go z pewnością siebie Cody. — Gdyby Cotel próbował się nam wymknąć spod kontroli, wyślemy Sholto, żeby się nim zajął. Może zresztą wyślę go i tak, na wszelki wypadek.

— Nie chcę znać żadnych szczegółów — przerwał mu pośpiesznie prezydent. — Właściwie, to nawet nigdy w życiu nie słyszałem o Harveyu Sholto. I ponieważ zupełnie nie rozumiałem, o czym przed chwilą mówiłeś, zmieńmy temat rozmowy.

* * *

Luiza Hamilton była prawie pewna, że ciemnowłosa dziewczyna jej się wymknie. Ta sama dziewczyna, którą widziała przed dworcem w Brugii, kiedy wsiadali z Beaurainem do zwolnionej przez nią taksówki. Opuściwszy Kellermana niemal bez słowa, wyszła z hotelu bocznym wyjściem i usiadła za kierownicą wynajętego Citroëna.

W Kopenhadze, Sztokholmie, Helsinkach i Oslo mają czekać wynajęte samochody — polecił Beaurain Hendersonowi. Dziękując mu w duchu za tę zapobiegliwość, Luiza podjechała w pobliże głównego wejścia. Kilka sekund później czarnowłosa dziewczyna wyszła z hotelu, przywołała przejeżdżającą taksówkę i wsiadła do środka. Jadąc jej śladem i sprawdzając z grubsza pokonywaną trasę na planie Kopenhagi rozłożonym na fotelu obok, Luiza już wkrótce zaczęła się domyślać, dokąd dziewczyna się kieruje. Do domu w Nyhavn, o którym mówił Kellerman.

Już po kilku minutach wiedziała, że ma rację. Jadąca przed nią taksówka skręciła w prawo, pośrodku ulicy pojawił się basen portowy z lasem masztów zacumowanych przy nabrzeżach łodzi. Luiza podjęła szybką decyzję. Nacisnęła klakson, dodała gazu i wyprzedziła taksówkę, niemal się o nią ocierając. Nikt, komu zależałoby na ukryciu swej obecności przed pasażerem taksówki, nie postąpiłby w ten sposób. I w rzeczy samej, Sonia Karnell nie zwróciła najmniejszej uwagi na Citroëna, zajęta szukaniem w torebce klucza do drzwi wejściowych. Zbliżywszy się do głównego nabrzeża, gdzie ciąg domów nagle się kończył, Luiza zaparkowała przy chodniku, obserwując nadjeżdżającą taksówkę we wstecznym lusterku.

— Jeśli się pomyliłaś, moja mała — mruknęła do siebie — to pełna kłapa. — Taksówka zatrzymała się kilkanaście jardów za nią. Luiza nie spuszczała wzroku z ciemnowłosej dziewczyny, która zapłaciła za taksówkę, wbiegła po schodkach, wsunęła klucz do zamka, weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Taksówka ruszyła dalej, minęła Citroëna Luizy i skręcała już w prawo, na główne nabrzeże, w stronę centrum Kopenhagi.

Luiza nie wahała się ani chwili. Każdy dom i mieszkanie najlepiej sprawdzać natychmiast po wejściu gospodarza. Nikomu nie przychodzi do głowy, że ktoś może mieć czelność podejść tak blisko, kiedy śledzona przez niego osoba właśnie weszła do budynku.

W niecałe dwadzieścia sekund od zamknięcia się drzwi szła już chodnikiem w ich stronę, czując intensywny zapach morskiej wody i ryb. Dotarła do pierwszego z kilku schodków, ujrzała mosiężną tabliczkę po prawej stronie masywnych drzwi i bezszelestnie wspięła się po stopniach.

Dr Benny Horn. To samo nazwisko wymienił Max Kellerman. To w tym do-

mu zniknął Serge Litow po swojej ucieczce z Brukseli. Czy to był punkt docelowy podróży Rosjanina? Mocno w to powątpiewała. Spojrzawszy w dół, dostrzegła za-
rośnięte brudem okna ciemnej sutereny i prowadzące do niej zaśmieczone schody.
Widok ten silnie kontrastował ze świeżo odnowionym frontem domu.

Bez chwili zwłoki wróciła do Citroëna, usiadła za kierownicą, zablokowała
wszystkie drzwi od wewnątrz, wyjęła czapkę z daszkiem i nałożyła ją lekko na
bakier. Przy jej wyraźnie zarysowanych szczękach czapka nadała jej męski wy-
gląd; w słabym świetle — a Citroën stał dokładnie pomiędzy latarniami — z ła-
twością można ją było wziąć za mężczyznę. Wcisnęła się w głąb fotela, jakby
ucinała sobie drzemkę, i ze wzrokiem wbitym w lustro zaczęła czekać.

* * *

Beaurain odczuwał dużą satysfakcję, która w pewnym stopniu łagodziła
ogromny niepokój o Luizę. Wypił następną filiżankę kawy obserwując Maxa Kel-
lermana chodzącego w tę i z powrotem po pokoju, nie mogącego sobie znaleźć
miejsca z powodu tej wymuszonej bezczynności. Postanowił choć trochę pocie-
szyć Niemca, dzieląc się z nim swoim zadowoleniem.

— Przynajmniej miałem rację kierując „Burzę Ognia” do Kattegatu. Gdy tylko
Litow uznał, że pozbył się ogona, natychmiast przyznał do Kopenhagi.

— Gdzie „Burza” jest w tej chwili?

Beaurain spojrzął na zegarek i zastanowił się: — Kilka minut po północy. Po-
winna już stać na kotwicy koło Helsingoru. To najwęższe miejsce cieśniny między
Danią a Szwecją.

— A Henderson?

— Powinien być już na pokładzie „Burzy” ze wszystkimi swoimi ludźmi
z Brukseli. Wsiadli do samolotu do Kopenhagi jeszcze przed nami, natychmiast
po otrzymaniu przeze mnie informacji, że Litow nie poleciał dalej do Sztokholmu,
tylko wysiadł tutaj.

— A jak dostali się stąd na pokład „Burzy Ognia”?

— Korzystając z usług Duńskich Kolei Państwowych. Prosto z lotniska przy-
jechali do miasta i z dworca centralnego, który znajduje się naprzeciwko naszego
hotelu, złapali ekspres do Helsingoru. To godzina jazdy pociągiem, na północ,
wzdłuż wybrzeża. Powiedziałem Buckminsterowi przez radio, czego ma się spo-
dziewać i kiedy. W odludnym punkcie wybrzeża, odrobinę na północ za Helsing-
gorem grupa Hendersona wymieniła z brzegu świetne sygnały z „Burzą Ognia”,
która natychmiast wysłała po nich małą flotyllę motorowych pontonów.

— Jak to się panu udało? — Kellerman przestał kręcić się tak nerwowo po

pokoju, usiadł na krześle obok Beuraina i dolał im obu jeszcze trochę kawy.

— Mam szczęście — uśmiechnął się poważnie Beurain. — Bardzo ułatwia sprawę, jeśli pionowy na szachownicy stoją w odpowiednim momencie na odpowiednich polach. W tym zwłaszcza przypadku — „Burza Ognia”. Goldschmidt z Brugii stanowczo obstawał, że spotkanie Syndykatu odbędzie się gdzieś w Skandynawii. Wspomniano o tym także na naradzie u Voisina, tej, na którą musiałem się wdrzeć. — Zmarszczył czoło. — Wtedy też po raz pierwszy próbowali porwać Luizę. Do diabła, gdzie ona się tyle czasu podziewa?

— Strasznie mi przykro — powiedział Max, rozkładając ręce.

— Och, siedź cicho! Już ci mówiłem, że to nie twoja wina. Oboje podjęliście słuszną decyzję.

* * *

Czekali na furgonetkę. Doktor Benny Horn, w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym i miękkim kapeluszu z szerokim rondem, znowu stał w korytarzyku z walizką zawierającą partię heroiny wartości czterdziestu milionów koron szwedzkich. Zakończył właśnie serię rozmów telefonicznych.

— Załatwił pan wszystko w sprawie Beuraina i spółki? — spytała Sonia, która przebrała się w inny strój.

— Günther Baum jest teraz w Kopenhadze. W odpowiednim momencie złoży im wizytę.

Sonia Karnell wzdygnęła się na wzmiankę o Baumie. — Myślałam, że on jest w Brukseli.

— Był. Domyślając się, że Beurain trafi śladem Litowa do Kopenhagi, poleciłem mu stawić się tutaj. Właśnie z nim rozmawiałem. Dobrze mieć służbę pod ręką wtedy, kiedy jest potrzebna — dorzucił Horn.

— Czy to rozsądne, żeby punkt docelowy naszej podróży, Helsingor, był wymalowany wielkimi literami na obu bokach furgonetki?

— Owszem. W ten sposób wtopimy się w ruch uliczny w Helsingorze — odparł Horn pogardliwym tonem. — To prowincjonalne miasteczko podejrzewa nieustannie kosmopolityczną Kopenhagę, że ta traktuje je z góry.

Urwał na dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych, naciskanego w szczególny sposób — kilkakrotnie raz za razem. Karnell wyjęła z torebki swój rewolwer, wyłączyła światło w korytarzu i otworzyła drzwi. To była furgonetka, już z wnętrza domu widziała piekielnie wielki napis, przeciw któremu protestowała: *Helsingor*.

Kierowca, krępy, barczysty mężczyzna, w granatowym kombinezonie i berecie na głowie, podał jej kluczyki i wszedł do środka. Kątem oka Sonia Karnell

dostrzegła, że Horn nakazuje mu szybkim ruchem głowy wejść do pokoju z żaluzjami, w którym Litow wciąż czekał na nowe polecenia.

* * *

Helsingor. Szekspirowski Elsynor, z zamkiem Kronborg łączonym z imieniem Hamleta. Legenda ta nie miała silnych historycznych podstaw, ale znakomicie sprzyjała rozwojowi turystyki w tym mieście. Luiza dostrzegła kątem oka furgonetkę, ruszającą wzdłuż Nyhavn w stronę głównego nabrzeża, gdzie będzie musiała skręcić. W lewo albo w prawo.

Z powrotem do centrum Kopenhagi? W lusterku przedtem widziała, jak z domu wychodzi ciemnowłosa dziewczyna i mężczyzna z walizką i oboje wsiadają do furgonetki podstawionej przez kierowcę w granatowym kombinezonie.

Zobaczyła, że dziewczyna siada za kierownicą, a mężczyzna obrzuca szybkim spojrzeniem ulicę, potem jeszcze spojrzenie przez ramię i, nie wypuszczając z ręki walizki, sadowi się na fotelu obok. To spojrzenie przez ramię skierowane było w stronę najbliższej łodzi rybackiej zacumowanej w basenie pośrodku ulicy. Na jej pokładzie jakiś rybak wiązał węzły na linie, choć trudno byłoby powiedzieć po co.

Czy to był strażnik, który miał pilnować domu pod nieobecność mieszkańców? Kto by spojrzał dwa razy na jakiegoś tam marynarza? Była zupełnie pewna, że towarzysz ciemnowłosej dziewczyny i marynarz wymienili jakiś sygnał. Odechnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że w tym samym momencie, w którym furgonetka odbiła od krawężnika, marynarz zszedł pod pokład łodzi. Stamtąd nie mógł widzieć, jak rusza w ślad za furgonetką.

Ruszyła natychmiast, gdy tylko furgonetka zniknęła za rogiem. Napis *Helsingor* służył oczywiście wyłącznie do zmylenia ewentualnych obserwatorów; do kądkolwiek trafi śladem furgonetki, na pewno nie będzie to Helsingor. O tej porze na ulicach nie było już prawie żadnego ruchu, mogła więc trzymać się daleko w tyle, byle tylko widziała czerwone światelka furgonetki. Czy pasażerem, który tak kurczowo zaciskał w ręce walizkę, był doktor Benny Horn? Wzruszyła ramionami; Jules już dawno ją nauczył, że jałowe spekulacje to zwykła strata czasu i energii.

Przejechali dzielnicę zamożnych willi i rezydencji i wyjechali na szosę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Po prawej ręce ciemne wody Sundu marszczyły się drobną falą w poświęcie księżycy. Ponad nimi błyskały tu i ówdzie kolorowe światelka nawigacyjne statków płynących w górę i w dół cieśniny.

Furgonetka i uczeplony jej jak cień Citroën kierowały się na północ. Luiza

wiedziała, że mając po prawej morze mogą zmierzać tylko w jednym kierunku — do Helsingoru! Czy ten napis na boku furgonetki mógł być elementem podwójnego blefu? Czy też doktor Benny Horn prowadził dla kamuflażu jakieś przedsiębiorstwo, które miało swe oddziały w Kopenhadze i Helsingorze? Jules nieustannie powtarzał, że jałowe rozważania to czysta strata czasu. . .

Wielki Boże, Jules! Przecież on tam, w tym Royal Hotel musi odchodzić od zmysłów! Nie zdołała go zawiadomić, gdzie jest ani co robi. Nic na to nie mogła poradzić. Jadąca przed nią furgonetka była niemal ostatnią nicią, po jakiej Teleskop mógł dotrzeć do Syndykatu.

— Z Julesem to jakoś później załatwisz, moja mała — znów mruknęła do siebie. — Teraz módl się tylko, żeby śledzenie tej furgonetki okazało się tego warte. Wtedy nie będzie mógł pisać nawet słówka.

* * *

Była pierwsza w nocy, kiedy zadzwonił telefon w sypialni Beauraina. Kellerman zasnął w fotelu, zamiast wrócić do własnego pokoju. Beaurain zajrzał do dzbanka na kawę i ujrawszy w nim dno, odstawił go właśnie z wyrazem rozczarowania na twarzy. Złapał za słuchawkę z takim pośpiechem, że omal nie zrzucił telefonu na podłogę. To była Luiza.

— Muszę mówić szybko, Julesie. — Beaurain natychmiast zrozumiał, o co jej chodziło: telefonistki w hotelach bywają nocą znudzone i z braku lepszego zajęcia zdarza im się podsłuchiwać prowadzone rozmowy. — Jestem w Helsingorze, słyszysz mnie?

— Tak — odparł krótko.

— Dziewczyna sprzed recepcji zaprowadziła mnie w to samo miejsce, gdzie Max był kilka godzin temu. W Nyhavn.

— Rozumiem.

— Przywiozła stamtąd tutaj furgonetką, z wielkim napisem *Helsingor* — nic więcej, tylko to jedno słowo — jakiegoś faceta. Facet tuli do piersi jakąś walizkę, jakby to była sztaba złota. Zatrzymali się przed domem na peryferiach miasta. Na tyłach tego domu biegną tory kolejowe. Zaraz obok jest dworzec i sporo załadowanych wagonów towarowych. W dwóch z nich jest coś, co wygląda na prasowany papier pakowy.

— Dobrze, mów dalej.

Trzepała dalej, zarzucając go najprzeróżniejszymi szczegółami bez względu na to, czy wydawały się istotne, czy nie. Doskonale rozumiał, co robiła; już wielokrotnie posługiwali się tą metodą.

— W miejscu, w którym stoje, jestem trochę narażona na ludzkie spojrzenia. To samo centrum Helsingoru i o tej porze nie ma tu żywego ducha. Jedyne hotel, jaki widziałam, był zamknięty.

Jestem narażona. Sygnalizowała grożące jej niebezpieczeństwo. Beurain przypomniał sobie prezesa Banque du Nord, który ostrzegł go o hasle ZENIT. Kazał jej się przez chwilę nie rozłączać. Rzucił szybko okiem na mapę Danii i podniósł z powrotem słuchawkę.

— Jesteś tam jeszcze? Czy możesz pojechać kilka mil za miasto, w kierunku północy?

— Tak, wróciłabym do Kopenhagi, ale kończy mi się benzyna. Podał jej nazwę maleńkiej miejscowości na wybrzeżu i wyjaśnił, jak się tam dostać. — Odrobine wcześniej zjedziesz na samą plażę, Luizo, i zaczekasz z reflektorami wycelowanymi w morze. Dokładnie co piętnaście minut, poczynając od pełnej godziny, zamrugasz nimi sześć razy w pięciosekundowych odstępach. Zjawi się tam po ciebie Henderson.

— Z morza?

— Małą motorówką z „Burzy Ognia”. No jak, wszystko rozumiałaś?

— Już tam jadę.

Luiza odłożyła słuchawkę. Żadnego przeciągania rozmowy, żadnych pytań, które kłębiły jej się w zmęczonej głowie. Po prostu wykonywać rozkazy. Ale coś w tonie głosu Beuraina mówiło: zabieraj się stamtąd natychmiast!

W swojej sypialni, na jednym z wyższych pięter hotelu Royal, Beurain też odłożył słuchawkę i spojrzał na Kellermana, który nadal siedział w fotelu sztywno wyprostowany.

— Pojechała do Helsingoru tropem dwojga ludzi — tej dziewczyny, „Czarnego Hełmu”, i jakiegoś faceta z walizką, którym może być Benny Horn. Zgaduję, bo nie miała czasu podać rysopisu. Podejrzewam, że grozi jej niebezpieczeństwo. Mam tylko nadzieję, że Henderson w porę do niej dotrze.

Wykręcił numer telefoniczny bazy w pobliżu dworca Brussels Midi, skąd Henderson kierował przedtem tropieniem Litowa. Tak jak się spodziewał, telefon odebrała Monique, która przejęła dowództwo punktu operacyjnego w Brukseli. W paru słowach polecił jej przekazać informację dla Jocka Hendersona, znajdującego się obecnie na pokładzie „Burzy Ognia” stojącej na kotwicy odrobinę na północ od Helsingoru. Ponownie odłożył słuchawkę i głośno ziewnął.

— Pora, żeby pan nadrobił zaległości snu — odezwał się Kellerman. — Niech pan weźmie mój pokój, a ja zaczekam na telefon z potwierdzeniem od Monique.

— Dzięki, ale i tak nie usnę, póki się nie dowiem, że Luiza znalazła się bezpiecznie na pokładzie „Burzy Ognia”. Ty idź się prześpij.

— Myśli pan, że ja mógłbym usnąć, nim się dowiem, że ona jest bezpieczna? — spytał z wyrzutem Niemiec.

Beaurain mruknął coś zmęczonym głosem i uśmiechnął się. A potem westchnął.

— Chodzi o to, że nie wiem, jak daleko sięgają macki tej ośmiornicy, Syndykatu. Rozmowa z de Graerem po prostu mną wstrząsnęła. Zagrozili, że zabiją mu siostrzenicę, więc jak bardzo możemy mu właściwie ufać? Czy w ogóle komukolwiek możemy jeszcze ufać? Dlatego właśnie pierwszą rzeczą, jaką zrobimy jutro rano, będzie złożenie wizyty mojemu staremu przyjacielowi, nadinspektorowi Bodelowi Markerowi z departamentu rozpoznania duńskiej policji. Swoim wywiadem kieruje z komendy głównej. Dziesięć minut drogi stąd. To facet, na którym można polegać.

— Oczywiście wiedzą już, że tu jesteśmy. Ta dziewczyna na pewno zauważyła pańskie nazwisko w księdze gości.

— Dlatego też uważamy na dwóch mężczyzn, jednego ubranego z amerykańska, a drugiego z neseserem. Neseserem z bronią dla mordercy.

* * *

W domu na przedmieściu Helsingoru doktor Benny Horn przecierał chusteczką okulary, przyglądając się, jak Sonia Karnell poprawia makijaż. Pokój był elegancko i nowocześnie urządzone i świeżo odnowiony na biało. Ciężkie story były szczelnie zasunięte na oknach.

— Czy musi pan bez przerwy bawić się tymi okularami? — spytała z irytacją Sonia Karnell. — Co z tą dziewczyną w Citroënie?

— Właśnie o niej myślę — odparł łagodnym tonem Benny Horn. — Karl ma ją na oku, a skoro do tej pory nie wrócił, to znaczy, że ona nadal dzwoni z tej budki.

— Ale czy to nie szaleństwo? — rzuciła gwałtownie Sonia Karnell. Spokój Horna coraz bardziej ją rozjątrzał. — Przecież ona dzwoni do Teleskopu, powiedziec im, gdzie jesteśmy.

— Mam szczerą nadzieję, że tak jest naprawdę. Cały mój plan zniszczenia Teleskopu zasada się na informacji, że dotarli tropem Litowa do Kopenhagi. Ty zlokalizowałaś nasz pierwszoplanowy cel, czyli Beauraina, który zostanie usunięty w chwili, gdy opuści hotel Royal. Litow odkrył główną bazę Teleskopu gdzieś w Anglii, w pobliżu Guildford; nasi ludzie przeszukują już ten teren. I ta dziewczyna może nas teraz zaprowadzić do reszty ich sił na terenie Europy.

Urwał na widok wchodzącego do pokoju chudego mężczyzny, ubranego niepozornie na ciemnognatowo. — Jak się sprawy mają, Karl?

— Dziewczyna skończyła dzwonić. Wraca do swego samochodu.

— Tak więc teraz ty pojedziesz za nią — powiedział Horn, zwracając się do Soni Karnell. — Weź Porsche'a, który stoi z tyłu domu. W ten sposób nie będzie mogła cię rozpoznać. Karl włożył ci do bagażnika pudełko z materiałem wybuchowym.

— Dlaczego nie zabijemy jej tu, na miejscu? — Karnell przytuliła się przymilnie do jego aksamitnej marynarki.

— Bo nie chcę brukać krwią tego domu. Jestem szanowanym obywatelem. Znają mnie tu od lat.

— Szanowany obywatel, śmiechu warte — mruknęła ironicznie po francusku, w języku, którym oboje się posługiwali, choć nie był to język ojczysty ani jej, ani jego. Horn odepchnął ją szorstko. Oczy za szklami okularów bez oprawek utraciły całą swoją łagodność, pociemniały od gniewu i nabrały twardości stali. Pod spojrzeniem tych oczu, w swoim czasie, truchlały dziesiątki ludzi.

— Nigdy więcej nie będziesz sobie żartować z takich spraw. Nigdy więcej nie będziesz dyskutować, kiedy wydaję ci rozkaz. — Karnell naciągnęła niezdarnie kurtkę: reakcja Horna przyprawiła ją o drżenie rąk. — Pojedziesz za nią, bo może się zdarzyć, że zaprowadzi cię do kolejnej bazy Teleskopu na terenie Danii. Wykorzystaj ją do zebrania tylu informacji, ile się da, a potem użyj zawartości pudełka. I wracaj jak najszybciej. Jutro czeka nas pracowity dzień. Jasne?

— Oczywiście.

— Powodzenia, i pośpiesz się, nie wolno ci jej stracić z oczu.

* * *

Luiza Hamilton rozejrzała się wokół i przez pełne pięć minut nasłuchiwała odgłosów w ciemności nocy. Nikt nie zdoła tak długo czaić się w absolutnym bezruchu. Następnym środkiem ostrożności było wyjęcie z torby małej, kieszonkowej latarki i skierowanie jej w pewien punkt na masce. Ledwie widoczna zapalka tkwiła tam, gdzie ją wetknęła. Pod jej nieobecność nikt nie zaglądał do silnika.

Wsiadła do samochodu, rozłożyła na siedzeniu mapę drogową Danii i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Przed upływem dwóch minut wiedziała już, że jest śledzona. Wcale jej to nie dziwiło. „Nigdy nie lekceważyć przeciwnika” było jedną z ulubionych maksym Jocka Hendersona. Już wkrótce po opuszczeniu Kopenhagi przyjęła założenie, że para w furgonetce podejrzewa, iż ich furgonetkę śledzi jej Citroën.

Żeby nie ryzykować wykrycia, musiałyby trzymać się daleko w tyle, a wtedy pojawiał się ogromne prawdopodobieństwo, że furgonetka zdołałaby ją zgubić.

Alternatywą było podporządkować wszystkie inne względy, w tym własne bezpieczeństwo, nadrzędnemu celowi — za wszelką cenę utrzymania się za śledzoną parą. Wybrała drugie wyjście i musiała zostać zauważona w ciągu dziesięciu minut od wjazdu na szosę wylotową z Kopenhagi.

Teraz role się odwróciły. Wyjeżdżając z Helsingoru na północ, w kierunku odludnego punktu na wybrzeżu, gdzie Beaurain wyznaczył jej spotkanie z Hendersonem, Luiza doskonale zdawała sobie sprawę z obecności Porsche'a, który trzymał się dyskretnie z tyłu. Nie na tyle jednak dyskretnie, by istniało jakiegokolwiek ryzyko, że Citroën mu umknie.

* * *

Sonia Karnell wpatrywała się w skupieniu w czerwone światła z przodu, odrywając od nich wzrok tylko po to, by zachować zdolność widzenia w ciemności. Citroën był dla niej prawdziwą zagadką — z powodu obranego kierunku jazdy. Chwilę później prowadząca go dziewczyna jeszcze bardziej wytrąciła ją z równowagi, gdy ni z tego, ni z owego zmieniła sposób jazdy. Citroën nagle przyśpieszył i zniknął za zakrętem drogi. Karnell nacisnęła na pedał gazu, ścięła zakręt i jeszcze mocniej wdepnęła na hamulce.

— Ty głupia cwaniaro!

Zupełnie nie przejęła się wewnętrzną sprzecznością tej inwektywy. Wypadając zza zakrętu, ujrzała czerwone światła tuż przed sobą; Citroën toczył się powoli, jakby jego kierowca szukał odpowiedniego miejsca, by zjechać z drogi.

Karnell doskonale wiedziała, że wcale tak nie jest. Dziewczyna przyśpieszyła. Gdy tylko zniknęła za zakrętem, gwałtownie zahamowała. Wystarczająco daleko za zakrętem, żeby Porsche nie wjechał jej w kufer, ale na tyle blisko, że ostro hamując mógł wypaść z drogi.

— Dziwka! — Karnell zgrzytnęła zębami.

Citroën znów nabierał szybkości. Karnell rzuciła okiem na pudełko leżące na fotelu obok, wypełnione gumową pianką kartonowe pudełko z nazwą znanej kopenhaskiej kwiaciarni. O ile nie lubiła posługiwać się plastikiem, o tyle teraz zaczynała cieszyć się na myśl, że już wkrótce przymocuje do jadącego przed nią samochodu pewne dodatkowe urządzenie.

Nie przyśpieszyła, kiedy Citroën zniknął z piskiem opon za następnym zakrętem. Kiedy sama go pokonała, ujrzała, że oczywiście znów jedzie niedaleko przed nią. Prowadząca go dziewczyna jeszcze raz wyhamowała gwałtownie tuż po wyjściu z zakrętu na prostą.

— Raz ci się, małpo, udało mnie nabrać. Dwa razy — nigdy!

Wszystko rozegrało się mniej więcej dwa kilometry dalej. Bez najmniejszego ostrzeżenia. Karnell zobaczyła, że czerwone światła gwałtownie maleją i znikają za kolejnym zakrętem szosy. Także i tym razem drzewa i gęste krzaki zasłaniały jej dalszy odcinek drogi. Zmniejszyła szybkość i pokonała zakręt z największą ostrożnością. Wysunęła się zza niego powoli i wytrzeszczyła ze zdumienia oczy. Jej osłupienie było tak wielkie, że zjechała na pobocze i stanęła.

Droga była zupełnie pusta. Żadnych czerwonych światełek. W ogóle żadnych pojazdów. Citroën po prostu rozpląnął się w powietrzu.

ROZDZIAŁ 10

Henderson osobiście dowodził szalupą „Burza Ognia”, sunącą w świetle księżyca przez spokojne morze w kierunku odludnej plaży, gdzie dostrzeżono miganie reflektorów Citroëna Luizy. Prócz niego płynęło jeszcze dwóch szturmowców, wszyscy uzbrojeni w pistolety maszynowe i ręczne granaty.

Fortel Luizy, którego celem było zgubienie Porsche’a, okazał się skuteczny, przynajmniej na jakiś czas. Na jak długo — to już zależało od determinacji i pomysłowości jego kierowcy. Kluczem do powodzenia było przyzwyczajenie kierowcy Porsche’a do ostrożnego i powolnego pokonywania zakrętów. Zbliżając się do kolejnego zakrętu, Luiza po raz trzeci przyśpieszyła i ścięła go. Aż do następnego zakrętu droga była zupełnie pusta. Wcisnęła gaz do deski. Tylko liczyła w ciemności zjazdu w prawo, właściwie ledwie przetarte ścieżki.

Tuż przed trzecim zakrętem jeszcze raz rzuciła szybko okiem we wsteczne lusterko i nie dostrzegłszy w nim żadnych świateł reflektorów, przyhamowała i gładkim ślizgiem wyprowadziła samochód z szosy na obsadzoną drzewami boczną zwirowaną drogę. Znowu maksymalnie przyśpieszyła i gnała tak przed siebie aż do pierwszego ostrego zakrętu drogi, za którym nie widać jej już było z autostrady. Teraz pozostało tylko trzymać kciuki, żeby drogą, którą wybrała, dało się dojechać do odludnej plaży na samym brzegu morza, w miejscu gdzie czekała na nią „Burza Ognia”. Pięć minut później, stojąc obok Citroëna i obserwując nadpływającą szalupę, wiedziała już, że dobrze wybrała.

Szelest kroków w ciemności — skradających się polną drogą gdzieś za jej plecami. Była zupełnie pewna, że poprzez terkot silnika szalupy dobiegł ją twardy chrzęst powolnych kroków kogoś, kto bardzo uważa, gdzie je stawia, ale kogo gęste krzaki po obu stronach zmuszają do posuwania się żwirem drogi.

Obejrzała się na morze i zobaczyła, że na szalupie wyłączono już motor. Wyskoczył z niej Henderson, a za nim jeszcze ktoś, kto uczepił się boku łodzi i przytrzymał ją na płyciźnie, gotową do natychmiastowego odbicia. Luiza ruszyła brzegiem wody w kierunku Szkota, który biegł już ku niej, przykulony do ziemi, z pistoletem maszynowym w rękach.

— Coś nie tak? — Henderson mówiąc to, przeczesywał wzrokiem las i wylot zwirowanej drogi.

- Wydawało mi się, że słyszę kroki. Ale to chyba tylko nerwy.
- Śledził cię ktoś z Helsingoru?
- Jedna osoba, Porsche'em.
- Wsiadaj do łodzi. Powiedz Adamsowi, żeby zapalał.

Skradające się kroki. Nim silnik szalupy zadudnił na pełnych obrotach, Henderson usłyszał je zupełnie wyraźnie. Zgrzyt żwiru pod stopami, tuż obok zaparkowanego Citroëna. Wrócił biegiem do łodzi, przykulony jak przedtem, i drapiąc się przez burtę w swych podbitych gumą butach do kostek rzucił rozkaz:

- Założyć maski! Jesteśmy obserwowani.

Luiza obejrzała się na wynajętego Citroëna, który wydał jej się na tej samotnej plaży smutny i porzucony. Ale przecież nie zostawiała go na długo. Już wkrótce wróci, by pojechać z powrotem do Helsingoru.

* * *

Sonię Karnell ogromnie irytował chrzęszczący pod stopami żwir, gdy posuwała się z pistoletem w wyciągniętej ręce. Normalnie poruszałyby się bezszelestnie jak kot, zmuszona jednak do korzystania z tej drogi, robiła mnóstwo hałasu.

Ale właśnie to, że zjazd w stronę plaży wysypano drobnymi kamykami, ogromnie jej pomogło. Kiedy straciła z oczu dziewczynę w Citroënie, pierwotne osłupienie szybko minęło, a jego miejsce zajęła świadomość, że została wyprawiona w pole.

Na tym odcinku szosy odchodziło w bok kilka zjazdów w prawo, w stronę pobliskiego morza. Cały problem polegał na tym, żeby ustalić, który z nich tamta wybrała. Karnell była pewna, że Citroën nie uciekł dalej na północ — stąd tak daleko widziała pustą szosę — a nie mógł tak po prostu rozpuścić się w przedzie. Nie, musiał zniknąć w jednej z tych leśnych przecinek wiodących ku morzu. Problem tylko — w której?

Wlokąc się na drugim biegu i tracąc cenny czas — wiedziała jednak, że nie ma innego wyjścia, musi zabrać się do sprawy metodycznie — zatrzymywała się u wylotu każdej przecinki, wysiadała i przy świetle latarki badała nawierzchnię drogi. Za trzecim razem natrafiła na ślady poślizgu w miejscu, gdzie jakiś samochód skręcił raptownie z szosy. Przeszła tym śladem ledwie kilka jardów, gdy snop światła jej latarki wyłonił z mroku bardzo wyraźne odciski opon samochodu. Kiedy wracała do swego Porsche'a, zobaczyła, że impet poślizgu wyrzucił ziemię i kamyki aż na asfalt szosy.

Zapuşciła się w las i podjechała do miejsca, którego z szosy już nie można było zobaczyć. Tylko tego brakowało, żeby zatrzymał ją patrol duńskiej policji

i odkrył bombę, której posiadanie raczej trudno byłoby wytłumaczyć. Dalej poszła już na piechotę, przemykając się chyłkiem ku plaży z odbezpieczonym Waltherem w ręce.

— Psiakrew, powinnam się była tego domyślić!

Zaskoczył ją nagły hałas zapalnego silnika. W prześwicie między drzewami przy końcu drogi ujrzała malejącą w oczach, odpływającą w kierunku cypla na północy sporą motorówkę. Wyszarpnęła z torby noktowizyjną lornetkę i wprawnie nastawiła ostrość.

— Teleskop! Szczwane z nich dranie!

Czwórkę ludzi siedzących w motorówce widziała wprawdzie zupełnie wyraźnie, ale wszyscy czworo mieli na głowach kominiarki przesłaniające dokładnie całe twarze. Nawet przy największym zbliżeniu można było zobaczyć tylko oczy błyskające w otworach czarnych masek.

Nigdzie w polu widzenia nie było żadnego statku, ku któremu mogliby się kierować. Sonia Karnell nie mogła wiedzieć, że natychmiast po spuszczeniu szalupy za burtę, kapitan Buckminster — na rozkaz Hendersona — wycofał „Burzę Ognia” za zasłonę cypla.

— Na wszelki wypadek, gdyby Luizę śledzono, proponuję, żeby natychmiast po naszym odpłynięciu w stronę brzegu schował pan „Burzę Ognia” za ten cypel — powiedział Henderson do byłego kapitana floty wojennej.

— Wtedy nie będę wam mógł udzielić żadnego wsparcia — zaprotestował Buckminster.

— Na tym etapie ważniejsze jest, żeby ukryć przed Syndykatem naszą główną i najbardziej morderczą broń, „Burzę Ognia”.

Tak oto Sonia Karnell pozostała sama na brzegu, klnąc w żywy kamień na widok znikającej w oddali motorówki. Dała upust swej wściekłości przez następne kilka minut przykładając się z niezwykłą starannością do wszystkich swoich czynności.

I tak zrobiłaby to dokładnie — z bombami nie ma żartów. Cały dodatkowy wysiłek włożyła w umieszczenie jej pod Citroënem w taki sposób, aby najdrobniejszy nawet ślad nie zdradził obecności bomby. Skończywszy robotę, uruchomiła wszystkie systemy, wyturlała się spod Citroëna, wsadziła latarkę z powrotem do kieszeni i jeszcze raz obeszła wokół cały samochód, sprawdzając, czy na pewno nie pozostały jakieś ślady.

Zapalnik bomby działał na zasadzie przekaźnika drgań. Gdyby Citroën jechał z rozsądną prędkością i musiał nagle z jakiegokolwiek powodu gwałtownie zahamować — bum! Gdyby napotkał na swej drodze spadek lub wzniesienie, przekraczające dwadzieścia stopni, to choćby nie wiadomo jak wolno je pokonywał — bum! Przed odejściem od Citroëna zmienionego teraz w pułapkę popatrzyła po raz ostatni na morze, w stronę, w której zniknęła motorówka z Luizą Hamilton.

— Tylko nie zapomnij po niego wrócić, kochanie. Aż żal serce ściska, że mnie tu wtedy nie będzie.

* * *

W pasażu przy hotelu Royal dwóch mężczyzn studiowało plan Kopenhagi. Była 8.30 następnego dnia, rano niósł zapowiedź wspaniałej pogody. Na nieskazitelnie czystym, błękitnym niebie świeciło jasne słońce, w powietrzu czuło się leciutką słonawą bryzę.

Rozpoczęła się godzina porannego szczytu, ulice zapchane były samochodami, chodniki przechodniami i dwaj mężczyźni zupełnie zniknęli w tym tłumie. Byli ludźmi cierpliwymi — stali tak już od ponad godziny, zmieniając tylko co jakiś czas miejsce, zawsze jednak na takie, by mieć otwarty widok na główne wejście do hotelu.

Postronny obserwator mógłby wyciągnąć wniosek, że nie po raz pierwszy ze sobą pracują — przez cały czas zamienili ledwie kilka słów. Jeden z nich ubrany był z amerykańską, drugi trzymał w ręku czarny neseser.

* * *

Tego samego ranka doktor Henri Goldschmidt przyleciał do Kopenhagi samolotem z Brukseli. Na lotnisku czekała na niego limuzyna z szoferem, który zawiózł go do hotelu d'Angleterre.

Kiedy bawił w stolicy Danii, zawsze zatrzymywał się w tym właśnie hotelu; kierownik czekał już w recepcji, by powitać znakomitego gościa i odprowadzić go do jego apartamentu. Sprawdząwszy, czy gościowi niczego nie brakuje, kierownik przekazał recepcji tę samą co zawsze instrukcję: gdyby ktokolwiek dopytywał się o doktora Goldschmidta, to nikt o takim nazwisku się u nich nie zatrzymał.

Numizmatyk z Brugii doskonale zdawał sobie sprawę, że Jules Beaurain i Luiza Hamilton przebywają w tym samym mieście. Po ich ostatniej wizycie wezwał natychmiast do siebie Fritza Dewulfa, Flamanda, który obsługiwał aparat fotograficzny w kamieniczce naprzeciwko Hoogste van Brugge 285.

— Fritz — powiedział — pojedziesz zaraz na lotnisko w Brukseli i znajdziesz sobie, że tak powiem, odpowiednie lokum.

— Na kogo czekam?

— Na Julesa Beauraina i, być może, Luizę Hamilton. Znajdziesz ich fotografie w naszych aktach.

Za jedno z najważniejszych narzędzi w swoim fachu Pośrednik uważał obszerną kolekcję zdjęć ludzi, którzy byli absolutnie pewni, że nigdy i nikomu nie udało się ich sfotografować. Zaopatrzony w odbitki Dewulf pojechał na lotnisko w Brukseli.

Musiał czekać wiele godzin. W tym czasie mógł sobie pozwolić tylko na króciutką przekąskę w bufecie i pod wieczór powieki szczypały go od nieustannego wpatrywania się w ludzkie twarze. Wreszcie dostrzegł ich oboje, odprawiających się na samolot do Kopenhagi.

— Kopenhaga? — powtórzył Goldschmidt, kiedy Dewulf zadzwonił do niego z tą informacją. — To naprawdę piękne miasto. Chyba pora znów je odwiedzić.

* * *

Beurain zamówił duże śniadanie dla dwóch osób, po czym wezwał do siebie Kellermana. Promienie słońca wlewały się przez szerokie panoramiczne okna do zawieszonego wysoko ponad miastem pokoju, gdy obaj szybko pochłaniali posiłek i pili filiżankę za filiżanką parującą kawę. Ogrody Tivoli zdawały się rozciągać tuż pod nimi, choć w rzeczywistości zaczynały się dopiero kilka ulic dalej.

— Rozmawiałem z Monique — Beurain poinformował Kellermana natychmiast po jego wejściu. — Potwierdziła, że Henderson rozmawiał z nią przez radiostację „Burzy Ognia”. Znaleźli Luizę na brzegu i zabrali szczęśliwie na pokład. Wysadzą ją z powrotem jeszcze dzisiaj rano po skontaktowaniu się ze mną. Najpierw jednak odwiedzimy nadinspektora Bodela Markera w komendzie głównej policji.

— Nie bardzo rozumiem, co ma jedno z drugim wspólnego — powiedział Kellerman z ustami pełnymi jajeczniczy na bekonie.

— Nie mogę się zdecydować, czy Luiza ma czekać na nas w Helsingorze, czy też wracać do Kopenhagi i dołączyć tutaj. Ten Helsingor może służyć wyłącznie do odwrócenia naszej uwagi, odciągnięcia od miejsca, gdzie rzeczywiście coś się dzieje.

— Nie wydaje mi się — odparł Kellerman. — Kiedy Luiza dzwoniła wczoraj wieczorem, powiedziała, że dojechała do Helsingoru tropem tamtej dziewczyny sprzed recepcji. Wspomniała także o pasażerze, którym z powodzeniem mógł być doktor Benny Horn, Duńczyk wymieniony przez Goldschmidta wśród trzech osób kierujących Syndykatem. Już chyba tylko tych dwojga wystarczy, żeby tam pojechać.

Beaurain wytarł usta serwetką, rzucił ją na stolik i podszedł do okna.

— Furgonetka, Max — powiedział po chwili, przesuając wzrokiem po panoramie miasta. — Furgonetka z wielkim napisem *Helsingor* na bokach. Nic więcej, tylko nazwa miasta. To zbyt oczywiste, jak palec wskazujący nam drogę. W złym kierunku.

— Ale przecież Luiza pojechała śladem tej furgonetki i jednak tam właśnie dotarła.

— Niby tak. No, pora ruszać na spotkanie z moim starym przyjacielem Bodelem Markerem.

— Sądziłem, że on jest z wywiadu — powiedział Kellerman, dopijając kawy.

— Rozmyślny kamuflaż. Jest tam doskonale zabezpieczony. Nikt nie zwraca uwagi na to, co robi. I ma własną sekcję z odrębnym i niezależnym systemem łączności.

Zbierali się właśnie do wyjścia z pokoju, kiedy zadzwonił telefon. Był to Ed Cottel, dzwonił ze Sztokholmu. Rozmowa była krótka.

— Jules, nadal nie mogę wytropić Norlinga. Jestem przekonany, że nie ma go tutaj, ale spodziewają się go. Wiktora Raszkina chyba także tu nie ma. Pewne źródła, które musiałem wyciskać jak cytrynę, sugerują, że obaj zjawią się lada chwila.

— Czy coś nie tak, Ed?

— Dziwna atmosfera panuje w tym mieście. Zauważyłem to natychmiast, jak tylko zacząłem rozglądać się za starymi znajomymi. Nie pomyśl sobie, że zupełnie upadłem na głowę, ale na samą wzmiankę o Syndykacie w powietrzu roznosi się smród strachu, nieopanowanego, potwornego strachu. I otrzymałem dziwaczne ostrzeżenie od pewnego Szweda, którego znam od lat i któremu uratowałem nawet kiedyś życie. Och, sam już nie wiem.

— Mów dalej, Ed — powiedział spokojnie Beaurain, zaciskając słuchawkę mocniej w rękę.

— Powiedział mi, że rozesłano jakieś hasło, w którym zostałem wymieniony. Użył przy tym słowa zenit. Nie wiesz, co to może znaczyć?

— Znaczy to, że znalazłeś się na liście Syndykatu. Że będziesz nieustannie śledzony, a Syndykat informowany o każdym twoim kroku. Znaczy to, że grozi ci ogromne niebezpieczeństwo, Ed. Słuchaj, nie wolno ci się nigdzie ruszać bez broni. Jest takie jedno miejsce w Sztokholmie, gdzie możesz kupić...

— Ucz swoją babcie cmoknąć sugusy — przerwał mu szybko Cottel. — Co, u diabła, jest z tym zenitem? Ludzie patrzą na mnie, jakbym miał dżumę.

— I tak będziesz przez wszystkich traktowany, nawet przez władze, chyba że z całej siły walniesz pięścią w stół. Właśnie idę sprawdzić, czy hasło ZENIT trafiło za mną już do Kopenhagi. Więc od tej chwili nie ufaj absolutnie nikomu. A im wyżej dotrzesz, tym bardziej może się to okazać niebezpieczne.

— Wspaniale, po prostu wspaniale. Coś jeszcze, nim będziesz mi życzył miłego dnia?

— Tak. Masz jakieś rozeznanie, skąd wyszło to hasło?

— Z Waszyngtonu.

Kiedy Beaurain odkładał słuchawkę, jego oczy nabrały dziwnie szklistego wyrazu. Do głowy przyszła mu pewna myśl. Kellerman wyglądał oknem na ulicę w dole, gdzie do samochodów dołączyły chmary rowerzystów, a chodnikami płynęły tłumy pędzących przed siebie przechodniów. Wyglądało na to, że w Danii ludzie bardzo śpieszą się do pracy. Beaurain ponownie chwycił za słuchawkę i niemal natychmiast został połączony z Monique w Brukseli.

— Monique? Sprawdź coś dla mnie, dobrze? Skontaktuj się z Goldschmidtem i spytaj go, czy od czasu, kiedy byliśmy z Luizą w Brugii, widziano tam — właściwie tam albo w Brukseli — doktora Berlina. Zadzwoń jeszcze raz nieco później.

Założył marynarkę i odwrócił się do Kellermana. — Zostawimy drugi z wynajętych samochodów na parkingu i wyjdziemy głównym wyjściem. To tylko kilka minut drogi stąd, a krótki spacerek dobrze nam zrobi.

Korzystając z głównego wejścia do Royal Hotel, można wyjść na jedną z bocznych uliczek. Znalazłszy się na chodniku, Beaurain skreślił z Kellermanem w prawo, w stronę głównej ulicy prowadzącej na pobliski Radhuspladsen, największy plac w samym centrum Kopenhagi. Po przeciwnej stronie ulicy od hotelu Royal, który pnie się w niebo z narożnej posesji, znajduje się dworzec główny. Budynek dworcowy stoi cofnięty nieco od ulicy, oddzielony od niej obszerną studnią głębokości około trzydziestu stóp, której dnem przebiegają tory kolejowe.

Właśnie tę dziwną konfigurację terenu oglądał z okna sypialni Kellerman, podczas gdy Beaurain rozmawiał z Monique. Doszedłszy do głównej ulicy, zatrzymali się przy przejściu dla pieszych.

— Przechodzimy na drugą stronę — powiedział Beaurain. — Skręcimy w tamtą ulicę i do kompleksu budynków komendy mamy dziesięć minut drogi albo nawet mniej. Co się stało, Max?

Nadal mieli czerwone światło. Stali w grupie przechodniów czekających na zmianę. Kellerman włożył rękę do kieszeni marynarki, a na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia. Beaurain przesunął wzrokiem za jego spojrzeniem, ale nie zobaczył niczego poza tłumkiem przechodniów po drugiej stronie ulicy, również czekających na zmianę świateł.

— Dwóch mężczyzn — odparł Kellerman. — Jeden z neseser zawierającym broń. Czy nie tak tamten mały chłopiec opisał morderców Fransa Darrasa i jego żony, Rosy?

Günther Baum uznał, że zarówno Belg, Beaurain, jak i Niemiec Kellerman, muszą być zawodowcami. Jako tacy, największą czujność powinni okazywać w pozbawionych przechodniów zaułkach odludnych wiejskich okolicach; i na od-

wrót, najmniejszą — na zatłoczonej ulicy w godzinach szczytu, z samego rana po dobrym śniadaniu, gdy jasne słońce niesie obietnicę kolejnego pięknego dnia.

Baum był wyjątkowo dobrym psychologiem, ale nie pojął jeszcze, że stając oko w oko z Teleskopem zmierzył się z wyjątkowymi ludźmi. Byłby zdruzgotany, gdyby się dowiedział, iż jego rodak odkrył już fałszywą nutę w zachowaniu dwóch mężczyzn studiujących bez końca wielki plan Kopenhagi. Kellermanowi wydało się ono dziwne już wówczas, kiedy po raz pierwszy dostrzegł ich z okna sypialni na dziesiątym piętrze Royal Hotel. Wtedy jednak, czekając, aż Beaurain skończy rozmawiać przez telefon, odnotował tylko w pamięci miejsce w którym stali dwaj nieznanymi. *Jeden z neseserem zawierającym broń. . .*

Zmiana światła. Przejście zaroilo się od przechodniów. Beaurain i Kellerman zostali porwani przez śpieszący tłum. Beaurain natychmiast zrozumiał, kogo Kellerman miał na myśli, i błyskawicznie zlustrował wzrokiem nadciągającą ludzką falę. ZENIT! Desperacko zaczął przeczesywać spojrzeniem zbliżające się twarze, widząc kątem oka, że Kellerman wyprzedza go o krok czy dwa, jakby nagle zaczął się dokądś śpieszyć. Beaurain powstrzymał się od zrobienia czegokolwiek, co mogłoby go rozproszyć. Nauczył się, że w sytuacjach kryzysowych musi zostawiać swoim ludziom całkowicie wolną rękę. Dotarł już niemal do chodnika, tłum rozdzielił się na dwie strony i zaczął rzednąć i wtedy nagle ich zobaczył. . .

Mężczyznę średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała, w garniturze amerykańskiego kroju, dużym słomkowym kapeluszu — odpowiednim na tę pogodę — i ciemnych okularach. Wsuwał rękę do uchylonego nesesera, który trzymał przed nim jego kompan. Wyłonili się zza planu miasta rozpiętego między dwoma drewnianymi słupami. Właśnie w przerwie między chodnikiem a dolną krawędzią planu Kellerman dostrzegł dwie pary nóg i nagle je sobie skojarzył z dwoma dziwnymi osobnikami, których widział z okna sypialni. Nie odrywał od nich wzroku i zobaczył, jak wychodzą spoza mapy, dosłownie na sekundę czy dwie przed ruszeniem tłumy przez przejście. Zostało mu tylko tyle czasu, by zaalarmować Beauraina.

Baum, jak zawsze, idealnie rozplanował sobie wszystko w czasie; znany był z tego, że plany dokonywanych przez siebie morderstw opracowuje ze stoperem w rękę. Wsunąć się zza tablicy z planem miasta tuż przed zmianą światła. Wycełować w momencie, gdy ofiary postawią nogi na chodniku. Dwa strzały z Lugera z tłumikiem w porannym ulicznym zgiełku i upłyną całe minuty, nim ktokolwiek zorientuje się, co zaszło.

Beaurain był nie uzbrojony. Wiedział, że Kellerman też nie ma przy sobie rewolweru. Zobaczył, jak Baum, w cienkich brązowych rękawiczkach, wyjmując z nesesera prawą rękę i zaciska ją na kolbie Lugera z tłumikiem. Znajdował się najwyżej trzydzieści stóp od swego podwójnego celu.

Kellerman nadal szedł z przodu i teraz, kiedy tłum zniknął mu z drogi, coraz bardziej wydłużał krok. Jego długie nogi pokonywały odległość w niewiarygod-

nym tempie, choć wcale nie wyglądało na to, żeby się śpieszył. Szedł dokładnie na Bauma, który składał się już do strzału, zaginając lewą ręką pod kątem prostym, by posłużyła mu za podpórkę. Jeszcze sekunda i Max zostanie z zimną krwią zamordowany, a Beaurain nie może nic na to poradzić.

Nagle Kellerman wyszarpnął z kieszeni prawą rękę. Błysnął zaciśnięty w niej nóż. Jednym, tak szybkim, że niemal niedostrzegalnym ruchem Max zamachnął się do tyłu i nóż poszybował w powietrzu, ciśnięty z całą jego ogromną siłą. W ułamku sekundy utkwiał w prawym ramieniu Bauma, poderwał mu do góry łokieć i całą rękę. Baum mimowolnie nacisnął spust.

W samą dziesiątkę! Kula z Lugera z tłumikiem trafiła w latarnię uliczną, zawieszoną wysoko nad skrzyżowaniem. Na przechodniów posypały się odłamki szkła, wokół rozległy się okrzyki zaskoczenia i oburzenia. Baum nadal zaciskał Lugera w dłoni i nieopatrznie strzelił jeszcze raz. Pocisk minął Kellermana o miłe i strzaskał przednią szybę w przejeżdżającym Volvo. Samochód raptownie skręcił, przejechał przed samym nosem kolumny pojazdów z naprzeciwka i zarył w wystawę sklepu jubilerskiego. I wtedy dopiero rozległy się prawdziwe krzyki.

Baum wyszarpnął sobie nóż z ramienia, wrzucił Lugera do walizeczki, którą jego pomocnik nadal trzymał otwartą, po czym obaj odwrócili się na piętach i zaczęli uciekać. Kellerman poderwał się do biegu, żeby ich zatrzymać, wpadł na jakiegoś francuskiego turystę, który nie wiadomo skąd nagle się przed nim pojawił, i obaj runęli na ziemię. Kellerman zasypał go przeprosinami i stał już z powrotem na nogach, kiedy dogonił go Beaurain.

— Dokąd oni pobiegli?

— Na dworzec — odparł Beaurain i obaj rzucili się w pogoń, w samą porę, żeby zobaczyć, jak Baum i jego towarzysz — nadal z neseserem w ręku — znikają w głównym wejściu starego budynku dworca. Zostawili za sobą ulicę zakorkowaną w obu kierunkach kilkoma samochodami, które zderzyły się ze sobą w chwili, gdy Volvo przecięło im drogę, i rosnący tłum turystów i mieszkańców Kopenhagi, którzy nie mając najmniejszego pojęcia, co zaszło, otaczali miejsce wypadku coraz grubszym kordonem gapiów.

— W tych amerykańskich ciuchach nie zniknie nam w tłumie. Ale drań ma tupet, żeby się tak wystroić.

— Tak rzuca się w oczy, że nikomu nie przyszłoby do głowy, że może nie być zwykłym amerykańskim turystą. Tylko bądź ostrożny, teraz nie masz już noża.

Wbiegli do wielkiej poczekalni z barami, kioskami z książkami, rzędami budek telefonicznych i długim ciągiem okienek kasowych. Beaurain omiótł poczekalnię jednym szybkim spojrzeniem, po czym skierował się ku schodom prowadzącym na perony, na których panował ogromny tłok.

— Tam są, Max!

— Biegiem! Dopadniemy łajdaków!

— Za późno.

Ścigani wsiedli właśnie do czerwonego pociągu ruszającego w stronę studni, którą oglądali z okien Royal Hotel. Bezsilność doprowadzała Kellermana do wyraźnej wściekłości, widocznej zwłaszcza w porównaniu z zewnętrznym spokojem i rezygnacją Beauraina.

— Ten pana przyjaciel, z którym mamy się spotkać, ten Bodel Marker! Niech pan do niego zadzwoni! Niech policja przeszuka ten pociąg!

— Sprawdźmy, czy to byłoby do zrobienia, Max.

— Jak to można sprawdzić?

— Rzucając okiem na rozkład jazdy.

Podszedł z Niemcem do rzędu ściennych rozkładów jazdy. Sprawdził dokładnie, która godzina, przebiegł wzrokiem jeden z nich i pokazując palcem którąś kolejną pozycję od góry, potrząsnął głową.

— Wsiądą już lada sekunda. Tu masz ten pociąg, jak widzisz — miejski. Następny przystanek ma ledwie o krok, dosłownie po drugiej stronie hotelu Royal. Nie ma mowy, żebyśmy zdążyli tam na czas, zresztą po tym, co zaszło tam, na ulicy, wcale nie mam ochoty rozmawiać z miejscową policją.

— A właśnie! Wydaje mi się, że słyszę syreny policyjne.

— Dlatego idziemy spokojnie do wyjścia, jakbyśmy dopiero co przyjechali do Kopenhagi. Ktoś mógł zauważyć, jak tu wbiegaliśmy.

I dokładnie w chwili, kiedy wychodzili na ulicę przerzuciwszy sobie przez rękę zdjęte marynarki, przy chodniku zatrzymały się z piskiem opon dwa wozy patrolowe i do budynku dworca wbiegło kilku umundurowanych policjantów.

* * *

Komenda główna policji w Kopenhadze znana jest pod nazwą Politigarden. Posępny, zbudowany na planie trójkąta, szary, betonowy budynek wychodzi na plac zwany Polititorvet. Beaurain i Kellerman dokładnie go sobie obejrzeni, nim weszli do środka.

— Wygląda jak więzienie — mruknął Kellerman. — Aż korci, żeby tam wejść.

— Oni tam nie zajmują się wynajmem bud campingowych na lato — odparł Beaurain.

— Widzę, że na dachu mają maszt radiostacji.

— Właśnie na ten maszt liczę. Na ten maszt i nadinspektora Bodela Markera z departamentu rozpoznania. Przez telefon był bardzo miły, ale też jeszcze nie wiedział, o co go poproszę.

Podeszli do wspartego na pięciu arkadach wejścia o płaskim dachu. Kiedy przecinali plac, podjechał pod nie radiowóz i do środka wbiegł z niewielką pa-

czuszką policjant w mundurze, zostawiając swego kolegę za kierownicą.

Beurain poprowadził Kellermana do bocznych drzwi opatrzonych napisem *Kriminal Politiet*. Otworzył je jednym pchnięciem i znaleźli się w skromnym pokoju z jedynym biurkiem, za którym siedział policjant w koszuli z krótkimi rękawami.

— Nazywam się Jules Beurain... Do nadinspektora Markera... Starał się mówić półgłosem, bo kręcił się tu jeszcze jakiś facet w mundurze, który wśliznął się tuż przed nimi. Policjant za biurkiem zdawał się rozumieć potrzebę zachowania dyskrecji.

— A osoba towarzysząca? — spytał cicho.

— To mój asystent, dowodzi sekcją specjalną. Marker jest szczególnie zainteresowany jego relacją z pewnych wydarzeń, których był świadkiem. Nazywa się Foxbel.

Po tej wymianie zdań policjant krótko rozmawiał przez wewnętrzny telefon. Beurain nie zrozumiał ani słowa, jako że rozmowę prowadzono po duńsku. Kiedy policjant opuścił wzrok na biurko, Kellerman szturchnął Beuraina w plecy. Odwróciwszy się szybko, Beurain zobaczył, że Niemiec wskazuje mu wzrokiem człowieka, który wszedł tuż przed nimi — stał przy ścianie i studiował jakąś wywieszkę. Policjant skończył rozmowę, odłożył słuchawkę i dopisał coś w wypełnianym formularzu.

— Nadinspektor czeka na panów — poinformował Beuraina.

Facet, który tak zawzięcie oglądał wywieszki, ruszył do drzwi.

Kellerman znakomicie wyliczył czas. Odwrócił się w ostatniej chwili, wysuwając nieco do przodu jedną nogę. Wychodzący runął jak długi, chwytając się rozpaczliwie brzegu biurka. Natychmiast się jednak poderwał.

— Za chwile wrócę — powiedział spieszenie, jakby się nic nie stało. — Gania mnie do toalety. Musiałem rano coś zjeść.

Mały człowieczek o szczurzej twarzy i ziemistej cerze, zwinny jak małpa. Nim ktokolwiek zdążył coś odpowiedzieć, już go nie było. Kellerman otworzył drzwi i wypadł na Polititorvet. Zdążył jeszcze zobaczyć odjeżdżający radiowóz, ten sam, który ledwie chwilę wcześniej zatrzymał się przed komendą. Po szczurku nie było nawet śladu. Facet po prostu rozpląnął się w powietrzu. Kellerman rzucił okiem w górę zakręcających schodów. Tu go zastał Beurain po wyjściu z dyżurki z przepustką w ręku.

— Po prostu wyparował, cholera. Nie mógł uciec przez plac — za szybko za nim wybiegłem. Musiał wbiec na te schody.

Kellerman wskazał na granitowe schody, które zakręcały łagodnie i wyżej zniknęły z oczu patrzącym. Ze swych wcześniejszych wizyt w Politigarden Beurain wiedział, że prowadzą do wszystkich głównych wydziałów policji. Wiedział także, iż przed wejściem do nich trzeba było się wylegitymować strażnikom sprawdzającym przepustki. Gość o twarzy łasicy musiał być zatem pracownikiem któ-

regoś z tych wydziałów. Beaurain szybko wyjaśnił to Kellermanowi.

— Jeśli tu pracuje, to musi zajmować jakieś dość eksponowane stanowisko. Czy to znaczy, że Syndykat przemknął i tutaj? — zastanowił się Kellerman.

— Dlaczego mielibyśmy go podejrzewać? — spytał Beaurain.

— Ponieważ specjalnie podstawiłem mu nogę, a facet nawet się nie oburzył, tylko prysnął stamtąd najszybciej, jak się dało.

— Chyba masz rację. Chodźmy zobaczyć się z Markerem. Weszli po schodach na pierwsze piętro. Dalszą drogę rzeczywiście zagradała barierka i siedzący za biurkiem strażnik. Przepustka okazała się niezbędna. Po dokładnym jej sprawdzeniu zostali poinformowani, że mają wejść na drugie piętro, skręcić w prawo i przejść korytarzem do pokoju numer 78.

— Co pana niepokoi? — spytał przyciszonym głosem Kellerman, kiedy wchodzili na kolejne schody, biegnące, tak jak i pierwsze, między dwiema spiralnymi ścianami kamiennych płyt.

— Syndykat wiedział, że tu przyjedziemy — odparł pośpnie Beaurain. — Ich sprawność i metodyczność działania jest wprost niewiarygodna. Nigdy do tej pory nie zetknęliśmy się z czymś takim. Łatwość, z jaką przenikają na najwyższe szczeble władzy, jest wręcz przerażająca. Jedyne, co nam pozostało, to przejść do natarcia i wytrącić ich z równowagi.

Reakcja Beauraina była dlań bardzo charakterystyczna. Kellermana zaintrygowała jednak przyczyna, skłaniająca szefa do wygłoszenia tej uwagi.

— Dlaczego uważa pan, że sprawność i metodyczność ich działania jest aż niewiarygodna? Czy coś przeoczyliśmy?

— Po pierwsze, co już powiedziałem, czekał tu na nas ich człowiek. Ale przecież myśmy wcale nie mieli tu dotrzeć. Mieliśmy zostać zabici, zastrzeleni przed dworcem przez tamtych dwóch z neserem. A to oznacza, że ten facet na dole był tylko rezerwą, odwodem wystawionym wyłącznie na okoliczność tej zupełnie minimalnej szansy, że przeżyjemy zamach. Po drugie, skąd mogli wiedzieć, że idziemy spotkać się z Markerem? Tu istnieją jedynie dwie możliwości: albo mają kogoś w centralce telefonicznej Royal Hotel, albo — co gorsza — w centrali telefonicznej tutaj, w Politigarden. Ten piekielny ZENIT zaciska się wokół nas coraz ciaśniejszą pętlą.

Doszli na drugie piętro. Beaurain pchnął masywne drzwi i znaleźli się na otwartym powietrzu, na długim korytarzu-tarasie, z biegnącą wzdłuż poręczą od strony dziedzińca. Kellerman uznał, że architekt dziwnie to zaprojektował. Z zewnątrz budynek wydawał się trójgraniasty, tymczasem wewnątrz wydrążono w nim ogromny dziedziniec pod gołym niebem, dokładnie okrągły i całkowicie odizolowany od świata.

Na dziedzińcu, który przypominał arenę amfiteatru, nie było żywego ducha. Skręcili w prawo i poszli wzdłuż łukowato wygiętej ściany, mijając rozmieszczone w równych odstępach kolejne masywne drzwi.

— Dziwaczny budynek — zauważył Kellerman.
— Jedyne w swoim rodzaju, a mam duże doświadczenie — odparł Beaurain.
— Znikajmy szybciej z tego cholernego balkonu. Można tu do nas walić jak do kaczek, a obaj nie mamy broni.
— Pokój 78. Spokojnie, Max, Marker ci się spodoba. — Beaurain przekreślił klamkę w drzwiach. Weszli do dużego gabinetu i dokładnie w tym samym momencie obaj spojrzeli przez otwarte drzwi do sąsiedniego pokoju. Na stojącym wewnątrz pod ścianą wielkim biurku leżał jeden jedyny przedmiot. Nóż.

* * *

— Heroina wartości czterdziestu milionów koron.
Mężczyzna, który wypowiedział te słowa i umilkł, był średniego wzrostu, miał pięćdziesiąt kilka lat, zaokrąglony brzusek oraz krzaczaste i siwiejące brwi i włosy. Rumiana cera, pucołowate policzki i żywy błysk intensywnie niebieskich oczu zdradzały zapalonego piechura lub rowerzystę. Wydawał się uosobieniem dobroduszości. To był właśnie nadinspektor Bodel Marker, szef departamentu wywiadu, człowiek, którego zasługą było kilka najbardziej udanych akcji kopenhaskiej policji.

Jego goście, Beaurain i Kellerman — przedstawiony jako Foxbel — siedzieli w wygodnych fotelach przy znakomitych cygarach i równie znakomitej kawie. Kellerman siłą powstrzymywał się przed nieustannym spoglądaniem na nóż, który wciąż zajmował centralną pozycję na biurku Markera, choć nikt jeszcze nie uczynił najmniejszej wzmianki na ten temat. Drzwi do przechodniego pokoju zostały zamknięte i w gabinecie Markera poza nimi trzema nie było nikogo więcej.

— Jedna z największych partii heroiny, jakie kiedykolwiek przerzucono w tej części świata — podjął Marker znakomitą angielszczyzną. — Mam informacje, że właśnie w tej chwili wędruje tą samą trasą co zawsze.

— Czy heroina wartości czterdziestu milionów koron zmieściłaby się w walizce takich mniej więcej rozmiarów? — Kellerman zwinnymi rękami nakreślił w powietrzu z grubsza wymiary walizki, którą — według Luizy — miał przy sobie mężczyzna jadący furgonetką z Nyhavn do Elsinoru.

Marker zawahał się z odpowiedzią i spojrzął na Beauraina.

— To mój bliski współpracownik i przyjaciel, Bodelu. Zaufałbym mu, nawet gdyby chodziło o moje życie.

— Tak jak to zrobiłeś dziś rano?

— Słucham? — Beaurain zdołał nadać swemu głosowi ton odpowiedniego zaskoczenia.

— To chyba pańska własność, panie Foxbel.

Marker ujął nóż i rzucił go ponad blatem biurka. Spadłby na podłogę, gdyby Kellerman w porę go nie chwycił. Niemiec popatrzył na nóż z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, po czym przeniósł spojrzenie kolejno na Duńczyka i Beauraina. Dobroduszość Markera zniknęła bez śladu.

— Niecałą godzinę temu! — ryknął tubalnym głosem. — Cieszymy się tu ciszą i spokojem, po czym nagle zjawiacie się wy dwaj i... — Urwał i rąbnął pięścią w stół. — Nie upłynęły nawet dwadzieścia cztery godziny od waszego przyjazdu, a tu donoszą mi, że na lotnisku Kastrup dokonano morderstwa!

— Kto został zamordowany, Bodelu? — Beaurain nie przejął się zbytnio tonem Markera.

— George Land. Według Interpolu to zawodowy morderca. Dużego formatu. Z brytyjskim paszportem. Znaleziono go zabitego jego własną ulubioną bronią — parasolką z ukrytym wewnątrz sprężynowym nożem. — Marker przechylił się przez biurko i świdrującym spojrzeniem zmierzył kolejno obu swoich gości. — Panie Foxbel... bo tak się pan nazywa, prawda?... Czy po przylocie do Kopenhagi nie zauważył pan na lotnisku niczego dziwnego?

— Nie — odparł krótko Kellerman.

— Musiało cię to mocno wzburzyć — powiedział ze współczuciem Beaurain. — Kastrup to w końcu próg twojego miasta.

— To nie wszystko — odparł Marker ponuro. — Niecałą godzinę temu, w czasie, kiedy jechaliście tu do mnie z hotelu Royal, w samym centrum naszej pięknej Kopenhagi, para zawodowych morderców omal nie zabiła dwóch mężczyzn. Psiakrew! I w jaki sposób niedoszłe ofiary się ratują? Oto jeden z nich rzuca z niezwykłą precyzją tym właśnie nożem i morderca chybia.

— A rysopis niedoszłych ofiar zdumiewająco pasuje do nas dwóch? — zasugerował Beaurain.

— Mamy wasze rysopisy — przyznał Marker. — Ale, jak do tej pory, nikt nie jest w stanie podać nam jakiegokolwiek sensownego rysopisu niedoszłych morderców. — Uśmiechnął się szeroko. — Cieszę się, że udało wam się wyjść z tego cało. — Podniósł nóż, który Kellerman odłożył był na biurko, podał go Niemcowi i powtórzył: — To chyba pańska własność, panie... hm... Foxbel.

— Weź go, Max — powiedział szybko Beaurain. — Przyszedłem zapytać, co wiesz o pewnym mieszkańcu Nyhavn, niejakim Bennym Hornie.

— To ogólnie szanowany księgarz i antykwariusz — odparł równie szybko Marker. — Dom w Nyhavn to jego mieszkanie i zarazem sklep. Jak nam donoszą, wiele podróżuje po świecie w poszukiwaniu bibliofilskich cymeliów. Wydaje mi się, Julesie, że powinieneś bardzo, bardzo na siebie uważać, jeśli aż tak cię interesuje... Sztokholmski Syndykat.

ROZDZIAŁ 11

Rozmowa, która się potem toczyła, była tak przerażająca, że jeszcze wiele lat później Beaurain mógł ją słowo w słowo powtórzyć z pamięci.

— Skąd ci przyszedł do głowy Syndykat? — spytał.

— Stąd, że wspomniałeś o doktorze Bennym Hornie. Niczego nie da się udowodnić, ale jestem przekonany, że doktor Benny Horn jest członkiem dyrektoriatu, rządzącego tą paskudną organizacją. Już dwa razy próbowali mnie zabić — dorzucił swobodnym tonem.

— A co z twoją rodziną? — spytał powoli Beaurain, uważnie szukając w twarzy Markera jakiegoś drgnienia czy mimowolnego grymasu.

— Zagrozili, że wylupią oczy mojej żonie i odrąbią nogi w kolanach mojemu dziesięcioletniemu synkowi. Wysłałem ich oboje z kraju w miejsce, którego nie zdradzę nawet tobie.

Beaurain był wstrząśnięty. Znał Markera od kiedy został nadinspektorem i wiedział, że należy do odważnych ludzi, ale to było przerażające. Wstał, zapalił papierosa i przyniósł sobie popielniczkę; dało mu to chwilę czasu do namysłu.

— Jacy „oni”? — spytał w końcu.

— Anonimowi rozmówcy telefoniczni, często jakaś dziewczyna. To ona podała mi szczegół po szczególe, co czeka moją rodzinę.

Beaurain spojrział na zamknięte drzwi do przejściowego pokoju.

— Rozumiem, że tu można spokojnie rozmawiać?

— Od chwili, kiedy weszliście do mojego gabinetu, po drugiej stronie tych drzwi stoi uzbrojony strażnik. Ja mam na sobie kuloodporną kamizelkę, którą nakładam codziennie rano przed opuszczeniem mieszkania. Nowy system działania Syndykatu polega na potajemnym zastraszaniu najbardziej okrutnymi metodami. Weź mój własny przykład.

— Tym groźbom musiały towarzyszyć jakieś żądania, prawda?

— Oczywiście! — Oczy Markera rozbłyły dziką wściekłością. — Daj mi, na miłość boską, jakiegoś papierosa! Dziękuję. — Umilkł na chwilę, wpatrując się w Belga, jakby właśnie podejmował ważną decyzję, po czym zaczął mówić z niezwykłą gwałtownością. — Nie oczekuję od ciebie komentarza do tego, co ci powiem, ale słuchaj: Syndykat musi zostać zniszczony, a dokonać tego może

jedynie Teleskop. Żadna ze znanych mi agend rządowych nie jest w stanie tego zrobić i nie robi. Są jak stado spętanych kóz dygocących przed atakiem tygrysa.

Na twarzy Beuraina pojawił się wyraz oszołomienia.

— Jak to, żadna? — spytał.

— Żadna. — Marker wyjął z kieszeni mały notes, napisał w nim szybko jakieś nazwisko, wyrwał kartkę i podał ją Beurainowi, tak by Kellerman nie mógł jej przeczytać. — Ten człowiek wypadł pewnej nocy z balkonu na dziesiątym piętrze. Wyłącznie dla twoich oczu — powiedział z pozbawionym wesołości uśmiechem — jak podobno mawiają w takiej sytuacji najwięksi szpiedzy. Tylko że to się stało naprawdę.

Beurain rzucił okiem na nazwisko, złożył na powrót kartkę i zwrócił Markerowi, który schował ją do kieszeni. Było to nazwisko jednego z najbardziej znanych przywódców politycznych Europy. Przed „wypadkiem” liczył się z jego głosem cały Wspólny Rynek.

— Skąd wiesz, że to była robota Syndykatu?

— Stąd, że kiedy mnie grozili, zarazem zapowiedzieli, że zabiją go w ciągu siedmiu dni. Większość ludzi roześmiałaby się w głos. Ja to potraktowałem poważnie. Zadzwoiłem do mojego odpowiednika w stolicy kraju, o który chodziło. Uznał, że zwariowałem. Tak przynajmniej powiedział.

— Co to ma znaczyć? — spytał Beurain.

— Zaraz ci wyjaśnię. Stałem na głowie i przebiłem się telefonicznie do samego faceta. Ostrzegłem go i zasugerowałem, żeby natychmiast otoczył się jak najściślejszą ochroną. On też uznał, że zwariowałem. Czterdzieści osiem godzin później wypchnęli go z balkonu na dziesiątym piętrze i zmienili w krwawą miążgę na chodniku. Bydlaki! — Marker był niemal purpurowy na twarzy. Beurain nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie.

— Człowiek, o którym on mówi, zostawił żonę i kilkoro dzieci — rzucił półgłosem do Kellermana.

— Tylko tajna, nieformalna organizacja, taka jak Teleskop, może zniszczyć Syndykat — powiedział po chwili milczenia Marker. Po raz drugi nawiązał otwarcie do Teleskopu.

— Czy oni stosują wyłącznie zastraszanie? — spytał Beurain.

— Te dranie zaproponowały mi fortunę w żywej, brzęczącej gotówce, jeśli przystanę na współpracę. Cały, liczący się przerzut narkotyków z Dalekiego Wschodu do Sztokholmu przechodzi przez Danię. Mógłbym na to przymknąć oko — to jeden z przykładów.

— Co to znaczy „ta sama trasa, co zawsze”? — spytał Kellerman. — Bo tak się pan chyba wyraził, mówiąc o tej wielkiej przesyłce heroiny.

— Z Amsterdamu do Kopenhagi — odparł natychmiast Marker. — Dalej pociągiem do Helsingoru, promem kolejowym przez Sund do Szwecji i tym samym pociągiem aż do miejsca przeznaczenia, czyli Sztokholmu. Te promy kole-

jowe z Helsingoru to nasze utrapienie. Gdyby korzystali z rejsowych samolotów, a choćby i samochodów osobowych czy ciężarowych, to wcześniej czy później szczęście musiałyby się do nas uśmiechnąć. Ale przecież nie sposób przeszukać cały pociąg! A te ogromne promy kolejowe z Helsingoru zabierają na pokład całe pociągi.

— Dziękuję — powiedział Kellerman i od tej chwili nie wziął udziału w rozmowie.

— Powiedziałeś, że twój odpowiednik, którego ostrzegłeś o niebezpieczeństwie grożącym temu politykowi, uznał, że zwariowałeś. A przynajmniej tak powiedział — dodałeś. Co to miało znaczyć?

— Jestem absolutnie pewien, że facet zaprzedał się już Syndykatowi. — Marker wstał z fotela i obszedł powoli swoje biurko. — To takie proste, nie? Bierzesz ogromną łapówkę, upychasz na hasło w jakimś banku na koncie i w jednej chwili oddalasz wszystkie niebezpieczeństwa, jakie groziły twojej żonie, rodzinie, ko-chance czy komu tam jeszcze. Dają ci do wyboru piekło albo raj. Czy w tej sytuacji należy się dziwić, że tak wiele ludzi w przeróżnych krajach wybiera to drugie i staje się trybikiem w maszynie Syndykatu? Czy choćby tylko donosicielem? Postąpili tak już nawet członkowie rządów. Owszem, panie Foxbel. Niech pan nie patrzy na mnie z takim niedowierzaniem. Czytam to w ich oczach, kiedy porusza się pewne tematy.

— To zupełnie jak trąd — mruknął Beaurain. — I jak trąd trzeba to wypalić rozgrzanym do czerwoności żelazem.

— Nie próbuj ich nie doceniać — ostrzegł go Marker.

— Proszę cię, zrób coś dla mnie. — Beaurain zdołał otrząsnąć się z szoku, jakim było dla niego odkrycie, że Marker, Bodel Marker, jest bliski desperacji, i jego zachowanie uległo nagłej zmianie. — Zbierz wszystko, co się da, na temat przeszłości doktora Horna. Skąd pochodzi, jak doszło do tego, że zamieszkał w tym domu w Nyhavn, i tak dalej.

— Już teraz mogę ci to powiedzieć. Urodził się w Helsingorze albo tuż pod miastem. Wziął się do handlu rzadkimi książkami, rozwinął interes i dwa lata temu przeniósł się do Kopenhagi.

— Ja muszę wiedzieć więcej, Marker! — odparł szorstko Beaurain. — Chcę, żebyś wysłał ludzi do Helsingoru, tylu, ilu będzie trzeba, niech przeprowadzą rozmowy z każdym, kto go zna lub znał.

— Facet jest raczej samotnikiem, a do tego ciągle wyjeżdża w interesach.

— Bodel, jego trzeba przyszpilić! Jak motyla w kolekcji! Masz jakieś jego zdjęcie?

— Tylko jedno — ten facet raczej nie pcha się przed aparat. I do tego słabe. Zrobiono je z daleka, przez silny teleobiektyw. — Marker otworzył stalową szafę, wyjął z jednej z szuflad kopertę, a z niej fotografię. Beaurain przyjrzał się twarzy na zdjęciu, po czym wręczył je Kellermanowi.

— Pokaż to zdjęcie wszystkim, którzy kiedykolwiek zetknęli się z Hornem w Helsingorze. Dowiedz się, czy w ciągu ostatnich dwóch lat, to jest od czasu, kiedy mieszka w Kopenhadze, widział go, albo może z nim rozmawiał ktoś, kto go znał jeszcze z Helsingoru. Mam po prostu pewne dziwne przeczucie. Moge dzwonić do ciebie tu, do biura?

— Lepiej dzwonić do mnie do domu, po ósmej wieczorem. Tu jest numer. Przedstaw się jako Krantz i podaj mi numer telefonu, z którego dzwonicz. Zawsze dzwonić z budki. Ja też oddzwonię z budki przed domem.

Beurain zastygł w bezruchu. ZENIT. Terror tego hasła był przerażający, rozciągał się na cały kontynent, a jego skala przerastała wszelkie wyobrażenie. Ilu było ludzi kalibru Bodela Markera, ludzi, którzy zdecydowaliby się żyć w obwarowanych niczym fortece własnych mieszkaniach, samotnie, bez rodzin wysłanych dla bezpieczeństwa do miejsc odległych o tysiące mil? Władza i przemoc wykorzystywane potajemnie, by zawładnąć i sekretnie kierować całymi państwami. A najbardziej przerażające było to, że na powierzchni życie toczyło się jak co dzień, jakby zupełnie nic się nie działo.

— Odłóż wszystko na bok, Monique, i skontaktuj się natychmiast z Hendersonem. Powiedz mu, że aktualnym celem jest Helsingor. Za dwie godziny całe miasto ma się roić od jego ludzi. Niech wyrócą je do góry nogami, ale mają znaleźć pewnego faceta z dziewczyną. Oto rysopisy.

Oparty o drzwiczki w budce telefonicznej w pobliżu hotelu Royal, Beurain w kilku słowach odtworzył mało czytelny wizerunek Horna, ze zdjęcia obojętnego u Markera. Drugi rysopis był bardziej precyzyjny, opierał się bowiem na dokładnej słownej charakterystyce „Czarnego Hełmu” uzyskanej od Kellermana. Jock Henderson miał jak najszybciej znaleźć oboje, wziąć ich pod całodobową obserwację, ale za wszelką cenę nie dopuścić, żeby się o tym dowiedzieli.

— Teraz następna sprawa, Monique. Zadzwoń do Goldschmidta w Brugii i poproś go, żeby pilnie dostarczył mi wszelkich możliwych informacji o pochodzeniu i przeszłości doktora Ottona Berlina. Potem zadzwoń w moim imieniu do inspektora Willy’ego Flamera, z wydziału do spraw zabójstw, i poproś go dokładnie o to samo — wszystko, czego zdoła się dokopać na temat pochodzenia Berlina i jego przeszłości, począwszy od najwcześniejszego dzieciństwa. Aha, kiedy będziesz dzwoniła do Flamera, koniecznie użyj słowa „Leuven”. Okay? Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mógł. Zaczynamy się ruszać, więc możesz zapomnieć o hotelu Royal.

Wyszedł z budki i dołączył do Kellermana, który przechadzał się przed nią, jakby czekał w kolejce do telefonu. Przekazał mu w kilku słowach treść przeprowadzonej rozmowy i obaj szybkim krokiem wrócili do hotelu.

— Monique natychmiast skontaktuje się z Hendersonem przez radiostację na pokładzie „Burzy Ognia”.

— Która nadal stoi na północ od Helsingoru? Wygląda na to, że planujesz

inwazję na jeden z głównych portów Danii.

— Prawie — potwierdził z ożywieniem Beaurain. Jego poprzednie rozdrażnienie i frustracja minęły jak ręką odjął. Nareszcie mógł zacząć działać.

* * *

Dwie motorowe szalupy przybiły do brzegu na północ od Helsingoru, w miejscu, gdzie poprzedniej nocy Luiza zostawiła swego Citroëna. Pierwszą z nich płynęła Luiza, Henderson i dwóch ludzi z obstawy, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Czterech mężczyzn tak samo uzbrojonych i zaopatrzonych w inne jeszcze narzędzia obserwowało z drugiej łodzi samochód, który nadal stał dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej zostawiła go Luiza, z reflektorami skierowanymi w stronę morza.

Był piękny ranek, dochodziła jedenasta, jasne słońce przygrzewało już mocno z nieskazitelnie błękitnego nieba i lśniło oślepiająco na zmarszczonej drobnymi falami powierzchni morza. Luiza podeszła do Citroëna z torbą przerzuconą przez ramię i kluczykami w ręku. Henderson nie odstępował jej ani na krok. Obstawa, z pistoletami gotowymi do strzału, zniknęła w lesie po obu stronach drogi.

— Jedziesz prosto do Helsingoru pilnować tych dwojga z Nyhavn? — spytał Henderson, kiedy podeszli do samochodu.

— Owszem, Jock. — Obejrzała się i stwierdziwszy, że Henderson stoi dosłownie o pół kroku od niej, dodała: — Ale dopiero wtedy, gdy weźmiemy ten samochód pod lupę i sprawdzimy, czy nie przybyło mu jakieś dodatkowe, mocno wybuchowe wyposażenie.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Stąd, że od samego Helsingoru śledził mnie jakiś Porsche; że sprawdzwszy kolejno wszystkie boczne drogi kierowca Porsche'a musiał wcześniej czy później znaleźć mojego Citroëna; i że od tej chwili było dość czasu, żeby przerobić go na śmiertelną pułapkę.

— Bravo! — Jock odwrócił się do załogi drugiej szalupy. Uśmiechając się pod nosem czekali w pobliżu z podręcznymi torbami pełnymi sprzętu. — Do roboty — polecił. — Tylko, na miłość boską, ostrożnie!

Luiza pozwoliła Hendersonowi odprowadzić się pod ramię na bezpieczną odległość, po czym sekcja saperów przystąpiła do pracy, sprawnie montując z części cały potrzebny sprzęt, nie zapominając nawet o okrągłym lusterku na długiej rączce do zaglądnienia pod podwozie. Luiza spojrzała na Szkota z rozbawieniem na twarzy.

— Ty chyba naprawdę myślałeś, że wsiądę do tego samochodu i zapalę sil-

nik! Przecież kiedy podchodziliśmy do drzwiczek, praktycznie trzymałeś mnie za rękę!

— Bo o mało mnie nie nabrałaś! Z taką pewnością siebie wyciągnęłaś te kluczyki! Nie będę ukrywał — rzeczywiście gotów byłem natychmiast odciągnąć cię do tyłu, gdybyś próbowała włożyć je do zamka.

— To dlaczegoś nie zatrzymał mnie wcześniej?

— Nigdy nie marnuję okazji do sprawdzenia czujności naszych ludzi, zwłaszcza podczas większej akcji. A coś mi się zdaje, że bomba idzie w górę i najbliższe derby zaczną się już tu, w Helsingorze.

— Udało ci się uniknąć służby ochrony kolei? Jesteś pewna, że nikt nie widział, jak umieszczalaś przesyłkę? — spytał doktor Benny Horn, przecierając okulary i starannie wkładając je z powrotem na nos.

Rozmawiał z Sonią Karnell, która właśnie wróciła do jego nowego helsingorskiego punktu dowodzenia, pokoju w hotelu Skandia. „Czarny Hełm” ubrana była po męsku, całkowicie na czarno, i tylko na głowie miała białą marynarską czapkę. Z papierowej torby na zakupy wyjęła czapkę kolejarzkę i rzuciła ją na łóżko.

— Od tego cholerstwa rozboleła mnie głowa, jest ze dwa numery za ciasna. A skąd bym się tutaj, do licha, wzięła, gdybym nadziała się na strażników? A co do przesyłki, to cała heroina znajduje się w wagonie z papierem.

— Nie trzeba się tak zaraz denerwować, moja droga — powiedział łagodnie Horn. — Ja tylko...

— Pan siedział sobie w pokoju, popijał kawę i, ogólnie rzecz biorąc, wypoczywał, podczas gdy ja narażałam się na, Bóg raczy wiedzieć, ile lat więzienia, latając jak głupia z walizką po stacji rozrządowej, żeby upchnąć ją cichcem w odpowiednim wagonie. Tu jest jego numer.

Odpięła suwak kieszeni na piersi, wyjęła z niej złożoną karteczkę, rzuciła nią w Horna i odwróciła się. Horn chwycił ją za łokieć, jednym szarpnięciem okręcił i pchnął z całej siły. Upadła plecami na łóżko. W następnej chwili przyspilił ją do niego kolanami, wpatrując się w nią wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu, jakby oglądał jeden z okazów w swojej kolekcji białych kruków, który nagle wydał mu się falsyfikatem.

— Jeszcze raz odezwij się do mnie tym tonem, a niejaki Günther Baum skręci ci kark.

* * *

— Pędź na złamanie karku do Helsingoru. Na dworzec główny. Włącz syrenę, niech zjeżdżają do rowów!

Umundurowany policjant, który woził Bodela Markera, szefa wywiadu, dał nura za kierownicę samochodu podstawionego przed główne wejście do Politigarden. Marker ulokował się już na tylnym siedzeniu, wciąż jeszcze z czerwoną od wściekłości pucołowatą twarzą. Zerknąwszy w lusterko, kierowca wyczytał w jego wzroku jawną żądzę mordu. Czym prędzej pochylił się nad kierownicą i skupił na wyprowadzeniu samochodu na szosę wylotową ze stolicy do Helsingoru, gdzie wreszcie mógł docisnąć gaz do deski.

Wszystko wydarzyło się tuż po przybyciu Markera do biura. Ku swej ogromnej irytacji zastał w gabinecie swego bezpośredniego szefa, który wszedł pod jego nieobecność używając zapasowego klucza. Marker obszedł wokół własne biurko, usiadł we własnym fotelu i spojrzał na człowieka, który naruszył spokój jego sanktuarium. Nie odezwał się ani słowem, zmuszając swego nieproszonego gościa do wykazania inicjatywy.

— Przepraszam za to — że się tak wyrażę — włamanie, Marker.

— Tak czy inaczej, skoro pan już tu jest... — Marker z rozmysłem opuścił służbowe „sir”.

— Ta wielka partia heroiny, która wedle krążących plotek idzie właśnie przez Danię do Szwecji... Wie pan, o co mi chodzi, Marker?

— Zapewne zaraz się dowiem — odburknął tak dobroduszny zazwyczaj szef wywiadu.

— Niech pan zapomni, że kiedykolwiek pan o niej słyszał.

— Proszę mi to dać na piśmie. Załatwimy sprawę od ręki. Już wzywam swoją sekretarkę.

— Zaraz, zaraz... — Chudy mężczyzna o wywiniętych wargach i wyniosłych manierach wyciągnął rękę powstrzymującym gestem. Ręka Markera zawiśła w połowie drogi do interkomu łączącego go z sekretarką. — To nie jest sprawa do protokołu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Nie rozumiem. Skąd pochodzi to zalecenie? Chcę znać jego pierwotne źródło.

— To naprawdę nie pańska sprawa, Marker. — Ten ostry ton był próbą wyrwania podwładnemu inicjatywy.

— Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to moja sekretarka właściwie wcale nam nie jest potrzebna. — Marker rozsiadł się wygodniej w fotelu i po raz pierwszy od wejścia do swego gabinetu uśmiechnął się — uosobienie poczciwości. — Widzi pan, kiedy siadałem za biurkiem, odruchowo dotknąłem przycisku uruchamiającego magnetofon.

— Ty...! — Nieopanowana wściekłość czy odruch druzgocącego strachu? Pomimo uwagi, z jaką obserwował reakcję swego szefa, Marker nie mógł się zdecydować, które z tych uczuć przeważało. Jednego był pewien — trwało dobrą minutę, nim facet zdołał coś z siebie wykrztusić. Wyciągnął z kieszonki marynarki jedwabną chusteczkę i zupełnie otwarcie otarł czoło, które pokryły mu grube

krople potu.

— Nie da pan się przekonać, żeby. . .

— Skasować taśmę? — wszedł mu w słowo Marker. — Wręcz przeciwnie. Pierwsze, co zrobię, to wręczę tę kasetę pewnej osobie z poleceniem, by w przypadku, gdyby powiódł się trzeci zamach na moje życie, przekazała ją pewnemu dziennikarzowi z niemieckiego czasopisma „Der Spiegel”. Wątpię, czy Syndykat zdążył już opanować ten konkretny magazyn — dodał.

— Nie rozumiem pana, Marker. Teraz muszę już iść. Jeśli o mnie chodzi, to tej rozmowy w ogóle nie było — zakończył szef lodowato i wyszedł z pokoju.

Siedem minut później Marker także opuścił swój gabinet i zszedł do samochodu, który polecił postawić przed wejście. Nie było żadnej kasety; nikt nie uruchamiał żadnego magnetofonu. Ale Marker miał na całe życie zapamiętać wyraz twarzy swego rozmówcy, gdy ten usłyszał jego blef.

* * *

Wszyscy korzystający z pociągu wysiadają w Helsingorze, chyba że podróżują międzynarodowym ekspresem do Szwecji — bo Helsingor jest stacją końcową tej linii. Dalej biegnie już tylko krótka bocznicą na nabrzeże, przecina drogę i po wysokiej rampie znika w czeluściach jednego z gigantycznych promów kursujących nieustannie tam i z powrotem przez Sund.

W czerwcu cała cieśnina — w najwęższym miejscu do szwedzkiego portu Halsingborgu jest nie więcej niż cztery mile — roi się od olbrzymich promów kolejowych i samochodowych, przybijających do różnych terminali rozsianych po całym helsingorskim porcie. Tego ranka, kiedy Beurain przyjechał tam z Kellermanem, tłok w cieśninie powiększały dodatkowo stadka jachtów halsujących zwinnie, by zejść z drogi ociężałym promom.

Mercedesa 280E, bez którego Jules zawsze czuł się trochę zagubiony, przyprowadził z Brukseli do Kopenhagi angielski kierowca, Albert, mający zwyczaj pojawiać się w miejscu przeznaczenia dosłownie w ostatniej chwili. Do hotelu Royal zajechał dokładnie piętnaście minut przed planowanym przez Beuraina wyjazdem.

— Dlaczego do Helsingoru? — spytał Albert, dopijając trzecią filiżankę herbaty przyniesionej przez służbę hotelową do pokoju Beuraina. — To zdaje się szekspirowski Elsynor z zamkiem Hamleta, prawda?

— Prawda — potwierdził Beurain, kończąc pakowanie. — Jedziemy tam, ponieważ jeden z szefów duńskiej policji, z którym się dopiero co widzieliśmy, potwierdził, że wielka przesyłka z heroiną Syndykatu idzie właśnie do Sztok-

holmu tą samą trasą co zwykle. Jaka? Z Amsterdamu do Kopenhagi, potem do Helsingoru i stąd morzem do Szwecji.

— Kruche ogniwo łańcucha, ten przerzut morzem — zauważył Albert między dwoma łykami mocnej herbaty. — To znaczy, że przesyłka musi płynąć promem. . . A w którym miejscu tej trasy trafia do pociągu?

— Albert jak zwykle dotknął newralgicznego punktu — zauważył Beaurain. Opowiedział Anglikowi pokrótce o walizce, przewiezionej, wedle słów Luizy, z Nyhavn do pewnego domu w Helsingorze, na którego tyłach biegła bocznicą kolejowa.

Albert Brown, szczupły, niezmordowany, czterdziestodwuletni mężczyzna o twarzy stale ściągniętej w wyrazie koncentracji, dawny kierowca wyścigowy, był rodowitym londyńczykiem i nigdy nie brał niczego za dobrą monetę. Wstąpił do Teleskopu, kiedy jego żonę zamordował bestialsko wielokrotny recydywista zwolniony z zakładu w Broadmoor.

— Wynika z tego — powiedział wysłuchawszy Beauraina — że Syndykat może jeszcze nie umieścić tej ogromnej partii towaru w żadnym z międzynarodowych ekspresów do Szwecji.

— Jeżeli w tej walizce rzeczywiście jest heroina — zauważył Beaurain.

— Jeśli jest, a nam uda się zlokalizować miejsce jej ukrycia, będzie to dla Syndykatu cios prosto w szczękę.

— I pójdziemy za tym ciosem — odparł Beaurain, zbierając się do wyjścia. — Narobimy takiego zamieszania, że wymusimy na nich jakąś reakcję, spowodujemy ich do uderzenia, a właśnie o to mi chodzi. O czołowe zderzenie, jak to ujął Goldschmidt. Wtedy zetrzemy to plugastwo z powierzchni ziemi.

— Może już tylko my możemy to zrobić — powiedział grobowym głosem Albert, tak grobowym, że Beaurain odstawił z powrotem walizkę, którą trzymał już w rękę, i spojrzał na niego zaskoczony. Nigdy jeszcze w mowie Anglika, zazwyczaj tryskającego dobrym humorem, nie dźwięczały tak poważne tony. — Przed wyjazdem do Kopenhagi rozmawiałem z Monique — ciągnął Albert. — Przesyła informację, której wolała nie przekazywać przez telefon. Rozmawiała z jakimś doktorem Goldschmidtem z Brugii. Facet, który rządzi Syndykatem, posługuje się imieniem Hugo.

— Goldschmidt mówił mi o tym Hugonie. . . To jeden z trzech członków dyrektoriatu rządzącego Syndykatem.

— Chyba właśnie o to chodzi. Wydaje mi się, że Goldschmidt dopiero w tej chwili otrzymał tę informację. Monique mówi, że zwijał się jak w ukropie, żeby dowiedzieć się wszystkiego, o co pan go prosił. No więc, według najświeższych informacji Goldschmidta, ten Hugo — nikt nie ma pojęcia, kto nim jest — może wcale nie być jednym z trzech członków dyrektoriatu. Goldschmidt uważa, że to może być ktoś c z w a r t y.

* * *

Beurain usiadł za kierownicą, Kellerman obok niego, a Albert położył się na tylnym siedzeniu, żeby odespać podróż. Wypadli na autostradę do Helsingoru i już wkrótce dogonili samochód policyjny z Bodelem Markerem.

Marker słyszał o Mercedesie 280E i o tym, jak Beurain go prowadzi; słyszeli o tym wszyscy szefowie policji zachodniej Europy. Czujny w obawie przed trzecim zamachem na swe życie, obejrzał się przez ramię i zobaczył Beuraina, który pomachał mu przez przednią szybę. Kręcąc głową z niedowierzaniem, odwrócił się i odetchnął z ulgą.

— Co Marker robi na tej samej szosie? — spytał Kellerman.

— Musiało mu coś przyjść do głowy już po rozmowie z nami albo coś się stało. W ten sposób znacznie szybciej zajedziemy do Helsingoru. Siądź wygodniej i zrelaksuj się.

To była ostatnia rzecz, na jaką Kellerman miał teraz ochotę. Radiowóz policyjny z Markerem gnał na złamanie karku, ani na chwilę nie wyłączając przeraźliwie wyjącej syreny. Beurain docisnął gaz i podczepił się z tyłu, wykorzystując radiowóz jako pilota.

Na dźwięk zbliżającej się syreny policyjnej wszystkie samochody zjeżdżały potulnie na bok, zostawiając wolne całe lewe pasmo ruchu. Samochód Markera mknął tym pasmem z szybkością znacznie przekraczającą wszelkie dozwolone limity, a tuż za nim pędził Mercedes Beuraina, jakby w dwupojazdowej kolumnie. I za każdym razem, kiedy Marker oglądał się i piorunował go wzrokiem przez tylną szybę, Beurain odpowiadał mu spojrzeniem pełnym niewzruszonego spokoju.

Oba pojazdy zatrzymały się z piskiem opon na skwerze przed wejściem do dworca głównego w Helsingorze. Nim Beurain zdążył wyłączyć silnik Mercedes, Marker wyskoczył ze swego samochodu i podszedł do niego energicznym krokiem z miną nie wróżącą nic dobrego. Belg nacisnął klawisz opuszczający automatycznie szybę w drzwiczkach i uśmiechnął się do niego.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz?! — spytał Marker. — Mogłem cię kazać spisać za niebezpieczną jazdę!

— Chyba do spółki z twoim własnym kierowcą.

— Psiakrew! To sprawa nie cierpiąca zwłoki!

— Jeśli chodzi o tę heroinę, to chyba możemy ci pomóc. Nie oglądaj się za siebie, Bodel. Przynajmniej nie otwarcie. Przy wejściu na dworzec stoi młoda brunetka, ubrana na niebiesko, z torbą przez ramię, i obserwuje wpływający właśnie do portu prom. To jest Luiza. Ona może coś wiedzieć o miejscu ukrycia heroiny. A skoro jesteśmy przy zadawaniu pytań, co cię skłoniło do przejawienia nagłego zainteresowania pięknym starym portem w Helsingorze?

— Heroina — odparł przez zęby Marker, prawie nie poruszając wargami. Oparł się łokciami o krawędź okna Mercedesa i zerknął od niechcienia na Luizę Hamilton, która uważnie obserwowała sznur wielkich promów kursujących zawzięcie tam i z powrotem przez Sund i stadka barwnych jachtów uwijających się między gigantami. Szwecja wyglądała jak odległa piaskowa łąka z miniaturowymi zbiornikami ropy i pióropuszem dymu.

— Dlaczego Helsingor? — spytał Beaurain sięgając po papierosa. Marker wyjął mu go z ręki. — Myślałem, że dałeś za wygraną — dodał, wytrząsając z paczki nowego papierosa.

Na puciołowatej twarzy Duńczyka malowało się napięcie. Zacisnął wargi w wąską kreskę, a jego niebieskie oczy nabrały zimnego, twardego połysku. Pa-lił papierosa obserwując na zmianę Luizę Hamilton i portowe nabrzeża. Kilkanaście jardów za Mercedesem stanęło przy krawężniku Volvo combi. Beaurain nie odrywał wzroku od wstecznego lusterka. Wydawało się, że Marker spogląda w zupełnie inną stronę, gdy nagle powiedział:

— Facet, który siedzi za kierownicą tego Volvo, to doktor Benny Horn, księgarz i antykwariusz, właściciel sklepu w Nyhavn w Kopenhadze. I, jak ci mówiłem, chyba jeden z trzech najpotężniejszych dziś ludzi w całej zachodniej Europie. Ciekawe, dlaczego tam stanął. Na widok mojego policyjnego samochodu czy twojego Mercedesa?

— „Czarny Hełm”!

Słowa te wyrwały się Kellermanowi niemal mimowolnie. Rzucił okiem w boczne lusterko po swojej stronie i ujrzał ją jak na zdjęciu, dziewczynę, którą widział przed recepcją hotelu Royal.

„Czarny Hełm”. Kellermanowi przebiegło przez myśl, że określenie to pasuje do niej jak ulał i że dziewczyna wygląda piekielnie seksownie — czarny hełm krótko przyciętych włosów, bez żadnego nakrycia, czarne spodnie i czarna wiatrówka. Ubrana była dokładnie tak samo jak Luiza Hamilton, miała nawet podobną torbę na ramieniu. Różniły się tylko kolorem swoich strojów.

— Słucham? — Marker zareagował natychmiast na jego okrzyk. — Czarne co? Pan zna tę panią, panie Foxbel?

— Przypuszczamy, że jest blisko powiązana z Hornem — odparł Kellerman. — Nie widzieliśmy ich razem, ale jeden z naszych ludzi obserwował wczoraj w nocy dwie osoby, przewożące do Helsingoru jakąś walizkę i podał nam ich rysopis.

— Walizkę, której wymiary nakreślił pan z grubsza w moim gabinecie? — wszedł mu w słowo Marker.

— Właśnie. Rysopis tych dwóch osób znakomicie pasuje do Horna i dziewczyny. Przechodzi teraz obok stojącego za nami Volvo.

— Horn dał jej znak, żeby się nie zatrzymywała, tylko szła dalej — zauważył Duńczyk. Od chwili, kiedy Volvo zaparkowało kilkanaście jardów za Mercede-

sem, ani razu nie obejrzał się w tamtą stronę. Wydawało się, że ma oczy z tyłu głowy. I wcale dobrze nimi widzi — pomyślał Kellerman. „Czarny Hełm” rzeczywiście miała zamiar wsiąść do Volvo, kiedy Horn krótkim, ostrzegawczym ruchem dłoni nakazał jej iść dalej.

„Czarny Hełm” przyspieszyła kroku, minęła Mercedesa, nawet nań nie spojrzawszy, i doszła do rogu budynku. Z tego miejsca widać już było wyjście z dworca i stojącą przed nim Luizę Hamilton. A więc jednak dziewczyna, którą śledziła tej nocy, wróciła do Helsingoru. Do tej chwili „Czarny Hełm” była zupełnie pewna, że dziewczyna skorzystała z Citroëna zmienionego w samochód-pułapkę. Wyciągnęła stąd oczywisty wniosek, że tamta musiała zginąć. Jej reakcja na widok żywej Luizy Hamilton była zupełnie instynktowna. Ruszyła szybkim krokiem wzdłuż frontonu dworca, jakby śpieszyła się do kas. W odpowiednim momencie skręciła nagle w bok i stanęła bezszelestnie za plecami Angielki.

Jej prawa ręka znieruchomiała wzdłuż boku, potem dłoń się rozprostowała, napięty twardo mięśnie jej krawędzi. Miała zamiar przejść obok Angielki, niemal się o nią ocierając, po kilku krokach odwrócić się gwałtownie i krzyknąć na cały głos: „Złodziejka! Ukradła mi portfel!” Jeden szybki cios podczas szamotaniny, która by potem nastąpiła, powinien pozbawić dziewczynę przytomności.

— Co tu się, u diabła, dzieje?! — zawołał Marker. Zobaczył, jak Volvo ruszyło, odrywając się od krawężnika tak raptownie, że zabrakło czasu, żeby choćby spróbować je zatrzymać. Sekundę później „Czarny Hełm” skręciła w stronę dworca, po czym nagle zmieniła kierunek, żeby znaleźć się tuż za dziewczyną Beauraina. Marker poczuł się zupełnie zdezorientowany.

Wszyscy zainteresowani byli zupełnie pewni, że Luiza pochłonięta obserwowaniem przybijającego promu po prostu nie mogła zauważyć Soni Karnell, która poruszała się z szybkością kobry. Mylili się. Dokładnie w chwili, kiedy Karnell otarła się o nią i odwracała, by krzyknąć: „Złodziejka!”, Luiza okręciła się nagle na pięcie i syknęła: — Mam cię, ty dziwko! — Jej prawa noga wystrzeliła niczym tłok silnika do przodu prosto w kolano Karnell. Gdyby ten cios dotarł do celu, Szwedka runęłaby na ziemię i nie była w stanie się podnieść. Karnell spostrzegła się w porę i w ostatniej chwili sparowała uderzenie półobrotem całego ciała. Czubek buta przeorał jej udo, ale rana była tylko powierzchowna i nie wyeliminowała jej z walki.

Cofając się chwiejnie do krawężnika, prawą ręką sięgnęła po rewolwer do torby. W tym momencie rozległ się ryk silnika potężnego motocykla. Maszyna stała przy przystani promowej, a siedzący na niej mężczyzna, w kasku, goglach i skórzanej kurtce, na pozór wodził wzrokiem po zatłoczonym statkami Sundzie. Teraz poderwał motocykl, przeciął drogę i tory kolejowe i podjechał z hukiem do Karnell.

Luiza spróbowała ich dopaść i przewrócić maszynę na bok, ale Karnell była o sekundy szybsza. Pomimo zranienia dopadła krawężnika, przerzuciła nogę

przez tylne siodełko motocykla, chwyciła kierownicę w pasie i z rykiem silnika pomknęli w ślad za Volvo, znikając z oczu.

Beurain nawet nie sięgnął do kluczyków w stacyjce; obserwował uważnie, co zrobi Luiza. Patrzyła teraz w zupełnie inną stronę, w kierunku bocznic dla ekspresów międzynarodowych, które czekały tu na przetoczenie po wysokiej rampie do wnętrza promów.

— Bodel, mam wrażenie, że oni próbowali odwrócić naszą uwagę — a przynajmniej ta dziewczyna na motocyklu. Jej reakcja wynikała ze strachu. Zobaczyła, że jeden z moich współpracowników, którego zna z widzenia, obserwuje promową przystań i musiało ją to mocno wystraszyć. Nie będziemy gonić czterocyndrowych motocykli po mieście. Właśnie tego by chcieli.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — spytał z irytacją Marker.

— Ta próba odwrócenia naszej uwagi — odparł z zatroskaniem Beurain, starannie odmierzając słowa — nasuwa mi myśl, że to, czego szukasz, może się znajdować tuż pod naszym nosem. — Wysiadł z Mercedesa i zatrzasnął energicznie drzwiczki.

— Obstawiliby wszystko dokoła, byłoby ich tu pełno — zaprotestował Marker.

— Bo i było — zwrócił mu uwagę Beurain. — Sam szef osobiście w tamtym Volvo, dziewczyna patrolująca dworzec i gość na motocyklu. A to jeszcze nie wszyscy, na pewno jest ich więcej.

— Prawdę mówiąc, rzeczywiście czuję się tak, jakbym był obserwowany — powiedział Marker, wpychając ręce do kieszeni marynarki.

— Bo jesteś. Mam tu kilkunastu ludzi w zasięgu strzału od tego miejsca.

— Mówiłem już, że tylko Teleskop jest w stanie zniszczyć Sztokholmski Syndykat — mruknął pod nosem Marker. Znaleźli się tuż obok Luizy.

— Czy mogę mówić? — spytała, zasłaniając usta przy zapalaniu papierosa, a paliła je bardzo rzadko. Patrzyła wcale nie na nich. Zdziwiony Marker zerknął szybko w tamtą stronę. Nie dostrzegł niczego poza dwiema załadowanymi platformami towarowymi. Z tyłu podjeżdżała do nich lokomotywa. Jakiś kolejarz nakierowywał chorągiewką maszynistę. Wszystko to wydawało się Markerowi najzupełniej normalne.

— Tam — powiedziała Luiza, kiedy Beurain potwierdził, że może swobodnie mówić przy Markerze, który nadal nie mógł się połapać, o co jej chodzi. Rozejrzał się uważniej i nagle spostrzegł, że niemal zupełnie wyludniony do tej pory placyk przed dworcem zaczął się zapełniać. Z poczekalni wyszło na dwór kilku pasażerów, turystów z plecakami i składanymi wędkami w pokrowcach na plecach.

Kilku innych przechodziło niespiesznie w stronę przystani promowej. Jeden z nich, wysoki blondyn z podłużną torbą turystyczną, trzymał się bardzo prosto i wyraźnie miał w postawie coś z żołnierza.

Znalazłszy się po drugiej stronie drogi, mężczyzna ten minął przystań i poszedł jeszcze kawałek dalej. Postawił na ziemi torbę i zaczął z zapalem rozglądać się po porcie, niczym fotoamator polujący bez końca na nowe obiekty. Kiedy podniósł do oczu niewielki przedmiot przypominający z daleka aparat fotograficzny, Markerowi zwężyły się oczy. Przyszło mu do głowy, że taki aparat może z łatwością kryć w sobie walkie-talkie. Twarz Beauraina pozostała bez wyrazu, ale on także nie spuszczał wzroku z Jocka Hendersona, zajmującego najlepszą strategiczną pozycję do obserwacji przystani promowej, dojścia do niej, stacji kolejowej i dwóch wagonów towarowych czekających na najbliższy prom, który wpływał właśnie do portu i łagodnym zakolem kierował się ku przystani. Wszystko wyglądało tak naturalnie. Słońce prażące z nieskazitelnie błękitnego nieba. Rytmiczny stukot kół lokomotywy podjeżdżającej do dwóch wagonów, które miała przepchnąć przez drogę do wnętrza promu, gdy ten tylko przycumuje i przygotowuje się na przyjęcie nowego ładunku.

— Powiedziała pani „tam”. To znaczy gdzie? — spytał Marker. — Dla mnie wszystko wygląda tu zupełnie normalnie.

— I o to właśnie im chodzi. Ten facet z chorągiewką naprowadzający lokomotywę — powiedziała Luiza. — Kręci się tam od piętnastu minut. I bez przerwy spoglądał na tamtego motocyklistę, który zabrał „Czarny Hełm”.

Tocząca się powoli lokomotywa stuknęła z głośnym brzękiem w zderzaki pierwszego z dwóch wagonów, kolejarz opuścił chorągiewkę, dając znak, że pojazdy się zetknęły. Trochę się z tym spóźnił, pomyślał Beaurain. Kolejarz zwinął powoli chorągiewkę. Zza pleców dobiegł ich potężny chlupot mas wody przemieszczanych przez przybijający prom, którego śruby pracowały już całą wstecz, by wyhamować i zapewnić łagodne zetknięcie z duńską ziemią. Celnicy i pracownicy urzędu imigracyjnego kręcili się niecierpliwie wzdłuż nabrzeża. Wszystko działo się najzupełniej normalnie.

— Wzięłeś ze sobą jakichś ludzi? — spytał nagle Beaurain.

— Nie — przyznał z ociąganiem Marker. — Wiesz przecież, że miało mnie tu wcale nie być. — Spojrzał spod oka na Luizę, ale dziewczyna patrzyła w stronę bocznicy i wydawało się, że nie słucha. — Nie mogłem zabrać ze sobą całej grupy, to by zaalarmowało mojego szefa. Jeśli więc Syndykat dysponuje tu jakąś większą siłą. . .

— Damy sobie z nimi radę — rzucił szorstko Beaurain. — A ty znikniesz. Oficjalnie wcale cię tu nie było.

— Właśnie, że byłem — i jestem! Gdyby doszło do strzelaniny, może wam się przydać jakieś oficjalne wsparcie. Gdzie jest ta heroina?

— W pierwszym wagonie — odparła półgłosem Luiza. — Na samym końcu, w stercie wielkich arkuszy papieru pakowego. Ten kolejarz z chorągiewką kręcił się przedtem cały czas tylko przy pierwszym wagonie. A oba wagony dzisiaj w nocy stały na tej bocznicy nieco dalej, dokładnie za domem, do którego dotar-

łam śledząc Horna. Niech pan to sobie sam złoży w całość.

— Papier pakowy? — powtórzył Marker.

— Idealne miejsce do wycięcia skrytki na walizkę z heroiną. A wczoraj wieczorem widziałam, jak Horn wynosił ze swego domu w Nyhavn taką właśnie walizkę. Jeśli facetem, który siedział za kierownicą Volvo, był Horn.

— Owszem, to był Horn — potwierdził Marker. — Ta walizka. . .

— Do Helsingoru przywiozła ją i Horna tamta brunetka, która próbowała mnie skosić.

Była najwyższa pora się pośpieszyć. Na promie kolejowym ze Szwecji wyłączono już silniki i opuszczano rampę, po której wtaczały się do jego wnętrza pociągi czekające na nabrzeżu.

— Próbowала mnie skosić — ciągnęła szybko Luiza — bo stałam dokładnie w miejscu, z którego najlepiej widać wagon z heroiną. Musiało tak być, skoro podjęła ryzyko i zrobiła to, co zrobiła. Innego wytłumaczenia nie ma. — Widząc, że Marker nadal robi wrażenie nie do końca przekonanego, straciła cierpliwość. — Cholera jasna, czy mam to panu narysować?! Po co, u diabła, ten Horn zjawiałby się w takim miejscu? Po to, żeby osobiście dopilnować wyprawienia przesyłki. On za to odpowiada. Zainwestowali w to mnóstwo forsy i wysiłku. Jeśli uda nam się ją odebrać, będzie to dla nich potężny cios.

— W dodatku tuż przed pierwszym walnym zgromadzeniem wszystkich udziałowców Syndykatu — mruknął Beaurain, po czym już głośno spytał: — Więc od czego zaczynamy, Luizo?

— Od przyciśnięcia kolejarza z chorągiewką — odparła natychmiast Luiza. — Jestem pewna, że on wie, gdzie ukryta jest heroina. Jego zadaniem jest dopilnować, żeby wyruszyła szczęśliwie w drogę do Szwecji. A możemy mieć na to dosłownie kilka minut. Masz jakieś propozycje, Max? — Spojrzała na Niemca, który kiwnął w odpowiedzi głową i ruszył z miejsca.

Beaurain odszedł nieco na bok i skinieniem przywołał do siebie Luizę. Stanęli obok siebie, przyglądając się nieuważnie mrowiu żaglówek pstrzących rozmigotany Sund, jakby rozgrywano właśnie jakieś regaty.

— Przyjechaliśmy do Helsingoru w zupełnie innym celu: spotkać się z naszym człowiekiem w Sztokholmie, Peterem Lindahlem. Od ponad roku zajmuje się wyłącznie ustaleniem, kto rzeczywiście rządzi Syndykatem. Wczoraj w nocy zadzwonił do mnie do hotelu; był gdzieś na trasie Sztokholm-Helsingborg. Udało mu się ustalić, kto kryje się pod pseudonimem Hugo.

— Dlaczego ci tego nie powiedział?

— Musisz być przemęczona — fuknął Beaurain. — Przez telefon? Łączony przez centralę hotelową? Rozmawialiśmy oczywiście szyfrem, ale to właśnie chciał mi przekazać. W tej chwili jest w drodze do Helsingborgu i lada chwila będzie się przeprawiał. Powiedział, że ma zarezerwowane miejsce na „Delfinie II”, na kurs o 12.15.

— To znaczy, że za niecałą godzinę poznamy nazwisko potwora, który kieruje tą machiną terroru, szantażu i mordów.

ROZDZIAŁ 12

— Bodelu — rozpoczął jowialnie Beaurain, obejmując Duńczyka za ramiona — powiedziałaś, że tylko Teleskop ma szansę pokonać Syndykat. Stań sobie gdzieś z boku, ale nie w jakimś barze, tylko gdzieś tutaj, w pobliżu, żebyś mógł nam pomóc, gdyby zjawiła się miejscowa policja.

— Dobrze, zostanę. — Na wspomnienie zwierzchnika, który włamał się do jego gabinetu w Politigarden w Kopenhadze, na wspomnienie jego „dobrej rady”, żeby zapomniał o sprawie heroiny, na wspomnienie gróźb Syndykatu pod adresem jego żony i synka puciołowata twarz Markera przybrała wyraz gniewu i zaciętości. — I mam przy sobie broń — dodał.

— Prawie wszyscy ludzie, których tu widzisz, ją mają — zapewnił go Beaurain.

Marker rozejrzał się z niedowierzaniem. Zanim obszedł dworzec do miejsca, gdzie stały wagony, Kellerman dał Hendersonowi ledwie dostrzegalny znak: „potrzebne mi ubezpieczenie”. Szkot ponownie podniósł do oczu aparat fotograficzny z ukrytym walkie-talkie i wydał rozkaz:

— Kryć Maxa, natychmiast otoczyć cały teren akcji.

Marker przyglądał się z zafascynowaniem, jak kilku „autostopowiczów” z wielkimi plecakami wraca pozornie bez celu do budynku dworca. Domyślił się, że muszą tam być wyjścia na teren wokół bocznic, gdzie zniknął Foxbel. Pozostali „turyści” rozsypali się pomiędzy przystanią promową a bocznicą. Henderson podniósł z ziemi swoją torbę i odpiął suwak. Teraz mógłby użyć swojego pistoletu maszynowego dosłownie w kilka sekund. Obawiał się jedynie, że lada chwila ujawni się ukryta gdzieś w pobliżu grupa uderzeniowa Syndykatu. Wszystko było w rękach Kellermana.

Duński kolejarz, który naprowadzał lokomotywę, chodził w tę i z powrotem wzdłuż pierwszego wagonu, kiedy przy bocznicę pojawił się Kellerman. Niemiec natychmiast się zorientował, że główną przeszkodą jest maszynista w kabine lokomotywy czekający, żeby przetoczyć wagony na pokład promu. Odetchnął z ulgą, widząc z tyłu za lokomotywą nadchodzących od strony dworca dwóch „autostopowiczów” Hendersona. Nieznacznym ruchem ręki wskazał im maszynistę i ruszył dalej, w kierunku kolejarza z chorągiewką, który zaczął coś do niego

krzyczeć.

— Nie rozumiem po duńsku! — odkrzyknął po angielsku, nie przestając iść i uśmiechając się od ucha do ucha. To zdumiewające, jak taki uśmiech zbija ludzi z tropu, choćby tylko na kilka cennych sekund. Kolejarz odezwał się znowu, tym razem po angielsku.

— To teren prywatny! Proszę natychmiast stąd odejść! Niech pan wraca! Niech pan zawraca, bo wezwę ochronę kolei!

— To świetny pomysł. Niech pan ich wzywa! Tylko szybko, nim te wagony odjadą!

Grupa ubezpieczeniowa wkroczyła do akcji jak zwykle błyskawicznie. Jeden z ludzi Hendersona wdał się już w rozmowę z maszynistą, podczas gdy drugi zniknął za lokomotywą, po czym bezszelestnie pojawił się na stopniach do kabiny, tuż za plecami zajętego rozmową maszynisty. W pół słowa na ustach maszynisty zacisnęła się dłoń z tamponem nasączonym chloroformem i w niespełna trzydzieści sekund nieprzytomny mężczyzna legł na podłodze swojej kabiny.

— Niech pan natychmiast opuści ten teren! — Chudy kolejarz wsunął rękę pod marynarkę i w tejże chwili Kellerman jednym susem przebył ostatnie dwa kroki. Chwycił w nadgarstku rękę Duńczyka i wyszarpnął ją zza pazuchy. W zaciśniętej dłoni błysnął rewolwer.

— Służbowy? — zaciekawiał się Kellerman. Jednym raptownym ruchem wykręcił rękę w nadgarstku, aż chrupnęły łamane kości, i rewolwer upadł na ziemię. Kolejarz otworzył usta do krzyku, który zdusiła druga ręka Kellermana. Niemiec naparł na niego całym ciałem, wygiął do tyłu i nagłym kopnięciem, podciął nogi. Kolejarz runął na plecy i tylko mocny chwyt Kellermana uratował mu czaszkę przed roztrzaskaniem. Max opuścił go delikatnie na ziemię uważając, by szyja Duńczyka spoczęła na szynie. Kolejarz próbował poderwać głowę, poczuł jednak na grdyce ukłucie czegoś ostrego — czubka noża Kellermana.

— Spróbuj krzyknąć, a poderżnę ci gardło — syknął Kellerman.

— Wagon...

— Ruszy lada chwila. Odetnie ci głowę równiutko jak gilotyna. Przy samym karku. Głowa potoczy się między szyny, a reszta ciała zostanie po tej stronie — ciągnął dalej Kellerman, rozwodząc się nad brutalnymi szczegółami.

— Nie zrobiłby pan tego!

— Zrobiłbym i zrobię. A jeśli spróbujesz podnieść głowę i zdjąć ją z szyny, poderżnę ci gardło. Właściwie to na jedno wychodzi, prawda? Gdzie jest heroina?

— Jaka hero...

Ukłucie noża przerwało pytanie w połowie. Leżał rozciągnięty na ziemi, czując na karku ucisk stali, a kiedy spojrzał z ukosa w lewo — w kierunku, z którego miała nadejść śmierć — ujrzał krawędź koła rosnącego w jego wyobraźni do potwornych rozmiarów.

— Heroina, którą wysyłacie do Szwecji — powiedział ze znużeniem w głosie Kellerman. — Zaczynam naprawdę podejrzewać, że jesteś na tyle głupi, żeby mi tego nie powiedzieć. No cóż, w takim razie jeszcze kilka sekund i — chrup!

— Zabijają mnie, jeżeli powiem.

— Kto? Syndykat?

— Na miłość boską, niech pan ma litość!

— Mam mieć litość i pozwolić, żeby ta heroina zalała ulice Sztokholmu? To już wolę pozbawić głowy pewnego półgłówka.

Pomimo zubożenia, w jakie Kellerman popadł po śmierci swojej żony, przerażenie kolejarza, strach przed Syndykatem nie opuszczający go nawet w tak rozpaczliwej sytuacji zrobił na nim spore wrażenie. Zaszczuta twarz kolejarza postarzała się w oczach od chwili, kiedy usłyszał groźbę Kellermana; w powietrzu cuchnęło potem, potem strachu, spływającym mu strużkami z twarzy na szyję i kark, usmarowane już rdzą z szyny. Mimo to nadal nie chciał nic powiedzieć i Niemiec nie bardzo wiedział, co robić. I w tej właśnie chwili, od strony przystani promowej, dobiegł ich dźwięk dzwonu bijącego powolnym, jednostajnym rytmem.

— Heroina... jest tuż nad panem... w drugiej stercie... Niech pan mnie puści, pociąg rusza!

Szarpnął gwałtownie głową, w panicznym strachu wybałuszając oczy na ostrą krawędź koła.

Gdyby Kellerman nie cofnął błyskawicznie swego noża, byłby się nadział na jego ostry jak igła szpic. — ... pociąg rusza! — Kellerman zupełnie odruchowo chwycił go za krawat i odciągnął w bok, poza szynę. I dopiero wtedy, sam zlany potem, uświadomił sobie, co się stało. Dzwon wciąż bił monotonicznie, ostrzegając zbliżające się do przejazdu samochodu, że pociąg zaraz ruszy. Ale ten pociąg nie mógł ruszyć, bo jego maszynista leżał uśpiony chloroformem. Gdy dzwon rozpoczął swój jazgot, Kellerman zapomniał o tym na jeden przerażający ułamek sekundy. Nic dziwnego, że Duńczyk zemdlał i leżał bezwładnie obok torów. Kellerman usłyszał za sobą tupot nóg i pomodlił się w duchu, żeby to były nogi przyjaciół.

— Powiedział?

Głos Hendersona. Kellerman podniósł głowę. Na jego twarzy widać było ogromne napięcie. Po prawej dwaj „autostopowicze”, którzy zajęli się maszynistą, przemykali niepostrzeżenie w kierunku dworca. Szturmowcy w przebraniu turystów blokowali dojście od strony przystani.

— Wyłączcie ten dzwon! Ten pociąg nie odjedzie.

— Gdzie heroina?

Głos Markera. Mieszanka podniecenia i niepokoju. Kellerman wytarł rękawem ściekający mu z czoła pot. Był roztrzęsiony i wcale nie usiłował tego ukrywać. Przez kilka sekund widział przed oczami głowę toczącą się między szyny.

— Mamy ją — wykrztusił. — Jeśli facet powiedział prawdę. A chyba tak. Ja bym powiedział. Jest w tym wagonie nade mną. Z tyłu... W jakiejś drugiej „stercie”...

Podniósł się z ziemi i stanął w rozkroku, żeby się nie zatoczył. Tylko Luiza zauważyła, jak ukradkiem wyciera o spodnie mokre od potu dłonie. Mrugnął do niej porozumiewawczo, a ona odpowiedziała mu takim samym uśmiechem. Potworne napięcie ich roboty dawało o sobie znać zawsze w najmniej spodziewanym momencie, zwałało z nóg jak cios młota, najczęściej wtedy, gdy zupełnie nie byli na to przygotowani.

Dalej wszystko potoczyło się z typową dla Teleskopu sprawnością. Henderson przeszedł szybko wzdłuż toru, by ustawić swoich ludzi w ochronny kordon. Beaurain wspiął się z Markerem do wagonu i zażądał noża od Kellermana.

— Ten z chorągiewką siedzi w tym po szyję — powiedział Kellerman do Luizy i urwał nagle, uświadomiwszy sobie, jak bardzo niefortunne w zaistniałej sytuacji było to określenie. — Maszynista może mieć z tym coś wspólnego — podjął po chwili — albo może nie mieć o niczym zielonego pojęcia. Na razie facet...

Przyłożył rękę do ust w geście wskazującym, że maszynista został wyłączony z akcji. I w tym momencie, gdzieś w pobliżu, rozległ się narastający z każdą sekundą dźwięk, którego Beaurain tak bardzo nie chciał usłyszeć — wycie policyjnej syreny.

Sytuacja wydawała się groźna. Zostawiając Beaurainowi szamotaninę się z rykami papieru, Marker bez chwili namysłu wyskoczył z wagonu i ruszył spiesznym krokiem na spotkanie trzem umundurowanym policjantom, biegnącym wzdłuż składu pociągu. Wymachiwał im przed nosami służbową legitymacją i niecierpliwym ruchem nakazywał się cofnąć. Pucółowaty Duńczyk bez zarzutu opanował kryzysową sytuację, zasypując trzech policjantów lawiną słów i zaganiając ich z powrotem w stronę terminalu niczym stado owiec.

— Znikajcie mi stąd, ale już! Cały teren obstawiają moi tajniacy! Ten wasz najazd i ta cholerna syrena mogły mi zrujnować międzynarodową operację planowaną od miesięcy! Skąd się tu w ogóle, do jasnej cholery, wzięliście?

— Dostaliśmy wiadomość, że w okolicy przystani promowej dokonano napadu terrorystycznego.

— I ten, kto dzwonił, podał oczywiście swoje nazwisko i adres? — spytał z sarkazmem Marker.

— No... nie, sir — przyznał kierowca radiowozu, wraz z dwoma kolegami cofając się spiesznie przed napierającym Markerem. — To ten dyżurny inspektor. Przez radio kazał nam gnać tutaj na sygnale. Myśmy w ogóle nie byli w komisariacie. Patrolowaliśmy ulice.

Dyżurny inspektor! Czasem nawet strzał na oślep trafia w dziesiątkę — pomyślał Marker, czując nagły przyptyw podniecenia. Takiego rozkazu nigdy nie

wydałby dyżurny inspektor. Sztokholmski Syndykat zapuścił korzenie i tu, w Helsingorze, sięgając mackami korupcji do miejscowego komisariatu policji. Marker był tego zupełnie pewien — radiowóz wysłano po to, by rozproszyć ludzi Teleskopu i przeszkodzić im w poszukiwaniu wielkiej partii heroiny.

— Czy zdarzyło wam się już kiedyś otrzymać rozkaz bezpośrednio od inspektora, przez radio? — spytał pewien, że i tym strzałem w ciemno trafił bez pudła.

— Jeszcze nigdy, od kiedy jestem policjantem — odparł kierowca. — A prowadzę radiowóz od pięciu lat. Nawet mówiłem koledze, że to dziwne.

— Zaraz usłyszycie, co macie zrobić — powiedział Marker groźnie spoglądając na policjanta. — Wykonacie mój rozkaz aż do najdrobniejszego szczegółu albo możecie się pożegnać z pracą w policji. Zaczekacie w samochodzie. Gdyby ten inspektor wydał wam jakiś nowy rozkaz albo o coś pytał, powiecie, że radiowóz się zepsuł i że przeszukaliście dokładnie cały teren przystani, ale tu się nic nie dzieje. A potem, za kilka minut, zawieziecie mnie na komisariat. — Obejrzał się przez ramię na wagon, który przeszukiwał Beaurain. Nic. Boże, ależ ryzykował!

— Jak się nazywa ten inspektor? — spytał.

Kierowca podał mu nazwisko i trzech policjanci wrócili do radiowozu. Teraz wszystko zawisło na jednym cieniutkim włosku — Beaurain po prostu musiał znaleźć tę heroinę! Marker wrócił do wagonu strzeżonego przez dziewczynę i człowieka znanego mu jako Foxbel. Spojrzał ku górze na Beauraina, któremu ledwie wystawał czubek głowy zza wielkich stert papieru.

— Włóż tu szybko, Bodel! — zawołał Beaurain.

— Jeszcze nie. . .

— Włóżże tutaj, na miłość boską! — przerwał mu Beaurain.

— Nie ma chwili do stracenia!

To było takie proste, że Marker aż zaniemówił na chwilę z wrażenia. Z mieszaniną niedowierzania i ulgi ujrzał w ciemnym końcu wagonu to, co wyłonił z mroku snop światła latarki Beauraina. A potem przypomniał sobie, że niecałe trzy godziny wcześniej jeden z najwyższych funkcjonariuszy całej duńskiej policji rozkazał mu przerwać dochodzenie w tej sprawie, i na to wspomnienie znowu ogarnęła go nieopanowana wściekłość.

Walizka stała w wąskiej szczelinie między pryzmami papieru. Beaurain pożyczonym od Luizy pilniczkiem do paznokci otworzył jej zamki. Wewnątrz znajdowała się cała kolekcja przezroczystych woreczków z proszkiem. Wypełniały walizkę po same brzegi. To był ogromny transport.

— Tu? Tak po prostu?

— Tak po prostu. Uważałem, żeby niczego nie uszkodzić. Szczelinę wydlubano starannie w drugiej stercie papieru pakowego, dokładnie tam, gdzie powiedział kolejarz. Obok sterty stała oparta o nią gruba płyta maskująca, wsuwana w wyłobienia i mocowana plombami z bezbarwnej substancji uszczelniającej.

— Proste, ale skuteczne — rzekł Beaurain. — Rodzaj tej substancji zgadza się z rzekomym miejscem przeznaczenia tego ładunku. Bodel, przyjacielu, musimy podjąć natychmiastową decyzję. Tylko ty, ja i ta dwójka moich ludzi pilnujących wagonu wiemy, że jednak udało nam się znaleźć tę przesyłkę.

— Która dla wszystkich podróżuje już do Szwecji. Czy jeśli ją przepuścimy, twoi ludzie będą w stanie jej upilnować?

— Potrzebna nam będzie pomoc Harry'ego Fondberga, szefa Säpo.

Säpo to szwedzka służba bezpieczeństwa, organizacja działająca niemal zupełnie niezależnie od pozostałych służb strzegących porządku i przestrzegania prawa. W wagonie zaczynało być duszno, w powietrzu coraz wyraźniej czuło się jakiś nieprzyjemny zapach, jakby jakiegoś bardzo silnego kleju. Beaurain pomyślał, że to żywica w materiale pakowym.

— Kto skontaktuje się z Fondbergiem, ty czy ja? — spytał po prostu Marker.

Potrwało chwilę, nim Beaurain pojął w pełni wagę jego słów. Sekundę później opuszczał już ostrożnie wieko walizki, zamykał z powrotem zamki, zarazem przywołał do wagonu Luizę, żeby wydać jej odpowiednie instrukcje.

— Wolę nie słyszeć tego, co macie sobie do powiedzenia — mruknął Marker. — Gdyby coś się nie powiodło, będziecie pewni, że to nie ja was zdradziłem. Sami wiecie, że dziś zdrada stała się sposobem na życie.

— Naprawdę chcesz to tu zostawić? — spytała Luiza, kiedy szef wywiadu zostawił ich samych. — To potwornie wielka partia. — Beaurain wsunął zamkniętą walizkę z powrotem w szczelinę, wstawił na swoje miejsce płytę maskującą i przymocował ją samoprzylepnymi plombami, których tak pieczołowicie starał się nie uszkodzić. — Skąd wiesz, że Markerowi można zaufać? — dodała szeptem.

— Nie wiem. Musimy ryzykować.

— Nie dopuścił tu tych policjantów z radiowozu. Może chodziło mu o to, żeby uchronić przesyłkę.

— Dlatego też nie zdradzimy mu całości naszych planów. A teraz słuchaj uważnie i natychmiast przekaz to Hendersonowi. — Zaczął szybko wydawać polecenia, nie przerywając swego wymagającego sporej precyzji zajęcia. Walizkę należało umieścić w skrytce tak, by nawet najmniejszy ślad nie wskazywał na to, że ktoś ją ruszał.

— Niech Henderson skontaktuje się przez radio z „Burzą Ognia”. Anderson ma Sikorskim polecić śladem ekspresu, do którego podczepią te dwa wagony, aż do Sztokholmu. Musi zabrać ze sobą dwóch ludzi, których w razie potrzeby wysadzi na ziemię. I trzeba go uprzedzić, że walizka zostanie pewnie wyrzucona z pociągu gdzieś na trasie Halsingborg-Sztokholm.

— A jak on to po ciemku zobaczy?

— Najprawdopodobniej nastąpi to w jakimś odludnym miejscu, i ten, kto będzie czekał przy torach na walizkę, musi dać jakiś sygnał człowiekowi w pocią-

gu — flarą, mruganiem reflektorów samochodowych czy czymś w tym rodzaju. W każdym razie Anderson z helikoptera też to zobaczy.

— To wszystko?

— Skądże znowu! Anderson musi mieć możliwość komunikowania się z Fondbergiem z Säpo. Sam zadzwonię do Fondberga, jak tylko wydostaniemy się z tego cholernego wagonu. Fondberg ma silną radiostację. Dowiem się, jak można się z nim łączyć, i prześlemy to Andersenowi. No, teraz już chyba nikt się nie zorientuje, że włamaliśmy się do skrytki. O co chodzi, Max?

— Mam propozycję. Pojadę tym wagonem — odparł Kellerman, do tej pory słuchający z ziemi ich rozmowy, i wdrapał się do środka, wagonu. — Jest tu mnóstwo miejsc do ukrycia się — powiedział rozglądając się po mrocznym wnętrzu — a w ten sposób przesyłka pozostanie cały czas pod ścisłą obserwacją Teleskopu. Henderson dał mi manierkę z wodą.

— Sam jeden? — mruknął z powątpiewaniem Beaurain. — To może się okazać niebezpieczne.

— Nigdy nie uważałem, że Teleskop to nazwa żłobka — odparł z kamienną twarzą Kellerman.

— Masz rację. I właśnie o tym nie powiemy Markerowi — postanowił Beaurain.

— Chcesz broń, Max? — spytała Luiza, podając mu rewolwer, w który zaopatrzyła się na pokładzie „Burzy Ognia”. Kellerman potrząsnął przecząco głową, podciągnął prawą nogawkę i pokazał zatknięty za skarpetkę nóż. — Jeśli rzeczywiście okaże się, że będę czegoś potrzebować, to raczej czegoś cichego, nie robiącego hałasu. Co jest ważniejsze? — spytał zwracając się do Beauraina. — Nie zdradzam swojej obecności, ryzykując nawet, że przesyłka się wymknie, czy też za wszelką cenę próbuję dotrzeć do Syndykatu?

— Przede wszystkim, Max — odparł cicho Beaurain — pilnuj własnej skóry. Będziesz pracować w pojedynkę, bez żadnego wsparcia.

— Jeszcze jakieś instrukcje dla Hendersona? — spytała Luiza.

— Niech spisze z mapy na dworcu dokładną trasę tego pociągu. Według mnie to: Hassleholm, Nassjö, Mjolby, Norrköping i Sztokholm, ale trzeba to sprawdzić. I niech ją przedyktuje Andersenowi razem z godzinami przyjazdów. A my tymczasem załatwimy kilka zaległych spraw.

— Ale już bez Maxa.

Beaurain odwrócił się, żeby życzyć Niemcowi powodzenia, ale Kellerman zniknął już bez śladu w przepaścistym wnętrzu wagonu. Beaurainowi przemknęło jeszcze przez myśl, że nie ma pojęcia, jak Max wytrzyma smród tej żywicy, i zeskoczył na pobocze torów. Marker wracał właśnie od radiowozu, który stał nadal w pobliżu przystani promowej.

— Wszystko ustalone? — spytał Duńczyk.

— Twoja heroina jest ciągle w wagonie.

Dzwon ostrzegający samochody, by trzymały się z dala od przejazdu, klekotał bez przerwy, a postoje promów kolejowych w portach są bardzo krótkie. Beaurain żądał od Markera niemało. Niecałe dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie stali, leżała ukryta największa partia heroiny, jaką kiedykolwiek przerzucono przez Danię. Gdyby Marker ją skonfiskował, jego akcje w Kopenhadze poszłyby ogromnie w górę, mógłby spokojnie stawić czoło swemu zwierzchnikowi, a może nawet — prawdopodobnie — zająć jego miejsce.

— Ale gdzieś na trasie może nam zniknąć — zasugerował Marker tytułem próby, bacznie obserwując reakcję Beauraina.

— Podjąłem pewne środki bezpieczeństwa.

— O których nic nie chcę słyszeć.

— O których ja nie mam zamiaru ci powiedzieć — zapewnił go Beaurain.

— Myślisz, że jest jakaś szansa, by to się udało?

— Jeśli osobiście aresztujesz kolejarza i maszynistę, i przez trzy dni nie pozwolisz im się z nikim kontaktować. Czy możesz przetrzymać ich gdzieś w Kopenhadze, byle nie tu, w Helsingorze? No i będzie potrzebny inny maszynista.

— Jasne — zgodził się z entuzjazmem Marker. — Ci z radiowozu chętnie nam pomogą. Zakują ich w kajdanki i zawiozą na komisariat. A stamtąd po prostu znikną na potrzebne ci trzy dni. Powiadomisz mnie, jaki jest docelowy punkt przetrzutu tej heroiny? Aha, potrzebny mi będzie oficjalny raport szefa Säpo, Fondberga. Jak najszybciej.

* * *

Beaurain i Luiza usiedli w Mercedesie, obserwując moment doczepiania wagonu do ekspresu. Za kilka minut miał się znaleźć na pokładzie promu, w drodze do Halsingborgu, gdzie ekspres wjedzie na szwedzką ziemię i rozpocznie swą podróż do odległego Sztokholmu.

— Myślisz, że Max tam jakoś wytrzyma? — spytała Luiza, zaciągając się kilka razy papierosem Beauraina. — Ten wagon wydaje się zamknięty na siedem spustów.

— Ryzyko jest ogromne — przyznał Beaurain — ale to jedyny pewny trop wiodący do Syndykatu. Max musi się dowiedzieć, kto odbierze przesyłkę i dokąd ten ktoś go zaprowadzi. Jeśli mu się poszczęści, to idąc jej śladem, może dotrzeć nawet do samego Hugona.

— Czy nie ma sposobu, żeby zapewnić Maxowi jakąś ochronę?

— Robimy wszystko, co w naszej mocy — odparł Beaurain z nutą zniecierpliwienia w głosie. — Mnie też to niepokoi, że on tak sam jest zamknięty w tym

wagonie. A istnieje spore prawdopodobieństwo, że Horn rozegra tę sprawę w jakiś zupełnie nietypowy sposób. Tak jak to zrobił w Helsingorze.

— Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli — powiedziała Luiza. — O jaki nietypowy sposób ci chodzi? Przecież Syndykat miał tu, w Helsingorze, swoich ludzi.

— Ale nie cały pluton, a wydawałoby się, że do przeładunku i pilnowania tak wielkiej przesyłki Horn użyje tylu ludzi, ilu będzie mógł. Jeśli zastosuje tę samą metodę — a jest to rzeczywiście metoda skuteczniejsza — to w odpowiednim momencie przesyłkę odbierze z ekspresu minimalna grupa ludzi, może nawet tylko jedna osoba. To, co traci na liczebności i sile, z nawiązką rekompensuje ograniczeniem niemal do zera ryzyka, że ktokolwiek coś zauważy. Zresztą, taką właśnie metodę stosuje się zazwyczaj przy przekazywaniu wszelkich znacznie-szych przesyłek. Organizacyjnie wszystko dopięte na ostatni guzik i jak najmniej ludzi.

— Na jaką pomoc może właściwie liczyć Max? Słyszałam, jak rozmawiałeś z Jockiem Hendersonem, nim się zwinął ze swoimi.

Beaurain spojrział na zegarek, a na jego twarzy, pokrytej ze zmęczenia gęstą siecią zmarszczek, pojawił się wyraz napięcia. — Jego szansę wzrastają z każdą godziną, którą spędza sam w tym wagonie i gdy nic się nie dzieje. Henderson sprowadzi ze Sztokholmu ludzi, którzy będą wsiadać do tego ekspresu na każdej stacji, na której się zatrzyma. Anderson będzie go pilnował z powietrza, ze swego Sikorsky'ego. Rzecz w tym, że przesyłka — obaj z Harrym Fondbergiem tak przypuszczamy — zostanie wyładowana z tego pociągu przed jego przybyciem do Sztokholmu, gdzieś jeszcze na trasie.

— Ale to chyba właśnie Sztokholm jest jej punktem docelowym. Tam przecież musi być centrum całej sieci dystrybucyjnej.

— Owszem, ale międzynarodowe ekspresy przyjeżdżające do stolicy Szwecji, zwłaszcza te przez Danię, są uważnie obserwowane i sprawdzane zarówno przez celników, jak i wydział do spraw narkotyków. Znacznie łatwiej odebrać przesyłkę gdzieś po drodze i dalej wieźć ją samolotem czy samochodem.

Harry Fondberg, Säpo, do wszystkich jednostek strefy południowej. Kanałem powietrznym wzdłuż osi Helsingborg-Sztokholm leci w stronę Sztokholmu helikopter Sikorsky, określany od tej chwili kryptonimem Ważka. Umożliwić swobodny przelot i pod żadnym pozorem, powtarzam, pod żadnym pozorem nie zatrzymywać. Przesyłać regularne meldunki o ruchach Ważki do mojego biura, osobiście do mojej wiadomości i szyfrem pierwszego stopnia tajności. O wszelkich obcych próbach zakłócenia lotu Ważki informować natychmiast osobiście Fondberga. W przypadku nagłej potrzeby wszystkie jednostki

Säpo użyją wszelkich stojących do ich dyspozycji środków, by chronić i ratować Ważkę. Fondberg. Dowództwo Säpo. Sztokholm. Godz. 16.40.

Depesza wzbudziła sensację wśród dowódców lokalnych oddziałów Säpo w południowej Szwecji, z grubsza przeciętej na pół linią kolejową, którą poruszał się ekspres z ukrytą przesyłką heroiny. Później, kiedy kopię rozkazu stawiającego na nogi wszystkie siły Säpo na tym terenie pokazano Beaurainowi, uznał go za typową zagrywkę Fondberga — sprytną, pomysłową i zwodniczą. Istotne było bowiem nie to, co zawierał, lecz to, co w nim pominięto.

Nadinspektor Harry Fondberg był jednym z najbliższych przyjaciół Julesa Beauraina z czasów jego pracy w brukselskiej policji, znał osobiście wszystkich wyższych funkcjonariuszy policji i służb bezpieczeństwa całej zachodniej Europy, nie mówiąc o kontrwywiadzie i kontaktach w Stanach Zjednoczonych;

Miał dokładnie czterdzieści lat. Gdyby wśród czołowych postaci szwedzkiej sceny politycznej rozpisano plebiscyt na najmniej popularnego człowieka roku, Fondberg bez wątpienia zająłby pierwsze miejsce. W kraju, który chlubi się tradycją zachowywania neutralności w każdej dziedzinie, Harry Fondberg rzadko kiedy ją zachowywał.

— Ludzie, z którymi mam do czynienia, nie są dżentelmenami — powiedział kiedyś. — A ja muszę swoje metody działania dostosowywać do swoich klientów.

— To mnie nie interesuje — odparł na to szwedzki minister sprawiedliwości i tuż przed opuszczeniem gabinetu szefa Säpo dodał: — Jedyne, co mnie interesuje, to rezultaty.

I teraz, dokładnie w chwili, kiedy Beaurain i Luiza wyglądali rychłego przybycia Petera Lindahla ze Sztokholmu, Fondberg zasiadł w swoim gabinecie do długiego czuwania. Gotów był nie ruszać się z niego choćby i do rana, byle natychmiast dowiadywać się o każdej zmianie sytuacji. Patrzył właśnie na mapę ścienną południowej Szwecji, na której jako człowiek metodyczny kazał nanieść za pomocą szpilek i kolorowej taśmy dokładną trasę ekspresu, a co za tym idzie — przelotu Sikorsky'ego, czyli Ważki, kiedy zadzwonił telefon. Był to jeden z jego bliskich współpracowników, Erik Lebert.

— Amerykanin znów odwiedził Gamla Stan. To samo mieszkanie. I znów nikogo nie zastał. Obserwował dłuższą chwilę dom, po czym wrócił do hotelu. Dzwonię z automatu obok recepcji. Czy mam go dalej śledzić?

— Tak, później cię ktoś zmieni.

Fondberg odłożył słuchawkę, podparł brodę rękami i zapatrzył się w przestrzeń, co czynił zawsze, ilekroć próbował się skoncentrować. Przekazana starannie dobranymi słowami informacja znaczyła, że Ed Cottel, Amerykanin z CIA,

po raz kolejny udał się do pewnego mieszkania w pobliżu kościoła św. Gertrudy na sztokholmskim Starym Mieście, położonym na wyspie, którą łączy z resztą stolicy Szwecji most koło Grand Hotelu.

Cottel usilnie starał się skontaktować z doktorem Theodorem Norlingiem, księgarzem i antykwariuszem, a przede wszystkim członkiem trzyosobowego dyrektoriatu, rządzącego rozrastającą się z dnia na dzień przestępczą organizacją, Sztokholmskim Syndykatem.

— Waszyngton na linii, sir — zgłosiła telefonistka z centrali. Chciał właśnie wydać jej polecenie, by spytała, kto dzwoni, gdy przyszło mu na myśl, że może wreszcie chcą go oficjalnie zawiadomić o przybyciu Eda Cottela. Zgodził się więc przyjąć telefon i uzyskawszy połączenie rzucił do słuchawki swoje nazwisko.

— Tu Joel Cody, panie Fondberg. Czy pan wie, kim jestem? Najbliższy doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych!

Zadawszy swe pytanie zawiesił dziwnie głos, jakby oczekiwał, że Fondberg stanie na baczność i uniżonym tonem głosu okaże, jak bardzo mu schlebia, że taki człowiek zechciał poświęcić kilka minut swego jakże cennego czasu na rozmowę z kimś tak maluczkim jak on.

— Czego pan chce, Cody? — spytał obojętnym tonem, włączając wolną ręką magnetofon.

Zapadła chwila milczenia, bez wątpienia Cody przez ten czas kurował swoją urażoną godność. Szybko jednak przyszedł do siebie, używając przyjacielskiego, wręcz kumpłowskiego tonu, jakby znali się od lat. W rzeczywistości rozmawiali ze sobą po raz pierwszy w życiu.

— Przede wszystkim chciałbym panu szczerze podziękować za doprawdy znakomitą współpracę z Waszyngtonem, którą ogromnie sobie cenimy. Mogę dodać, że jest to odczucie naszych najwyższych postawionych osobistości, jeśli rozumie pan, kogo mam na myśli.

Ten palant miał na myśli prezydenta. Używał dwudziestu słów tam, gdzie wystarczyłoby pięć. Po każdym zdaniu zawieszał irytująco głos, pewnie po to, żeby Fondberg miał czas należycie odczuć swoje poniżenie.

— Panie Cody, w jakiej konkretnie sprawie pan do mnie dzwoni? — spytał obcesowo.

— Zawsze staramy się przestrzegać wszelkich kanonów dyplomacji i wbrew temu, co utrzymuje prasa pewnych krajów, jakobyśmy nie dowierzali swoim sojusznikom i nie informowali ich o swoich działaniach na terytorium ich własnych krajów. . .

— Panie Cody. . .

Fondberg miał już tego serdecznie dość. Wolną ręką otworzył dolną szufladę biurka, wyjął paczkę papierosów, wygrzebał z niej zębami jednego i przypalił go sobie zapalniczką z tejże szuflady.

— Uznaliśmy, że powinien pan wiedzieć zawczasu. . . — Głos w słuchawce

przybrał twardy ton. — ... a nie ponieważ, że do pańskiego kraju przybędzie wkrótce jeden z naszych ludzi.

Fondberg pojął natychmiast, że coś tu jest nie tak. Skupił uwagę na prowadzonej rozmowie, wsłuchując się czujnie we wszystkie odcienie znaczeniowe słów prezydenckiego pomagiera.

— Osoba, o której mówię, cieszy się naszym poważaniem i bylibyśmy ogromnie zobowiązani, gdyby okazał jej pan jak najdalej idącą chęć współpracy i umożliwił korzystanie ze wszelkiego rodzaju normalnych w takich wypadkach udogodnień. Człowiek ten nazywa się Harvey Sholto i działa w ramach Agencji do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego.

— Który wydział?

— Jestem pewien, panie Fondberg, że zdążył się pan już przekonać, iż w czasach, w jakich przyszło nam żyć, telefon nie jest, niestety, tak bezpiecznym środkiem porozumiewania się, jakbyśmy sobie tego życzyli. Jeśli wolno mi coś zaproponować, Harvey Sholto zadzwoni do pana po przyjeździe i wówczas ustalicie dogodny dla was obu termin i miejsce spotkania, na przykład w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Sztokholmie.

— Może zadzwonić i umówić się ze mną w moim biurze. Proszę mi podać numer lotu tego pana Sholto i termin jego przybycia.

— Mogę tylko powiedzieć, że wylądował w Sztokholmie w ciągu najbliższych trzech dni i że przekażę mu pańską prośbę o telefon natychmiast po rozlokowaniu się w hotelu. A teraz zechce mi pan wybaczyć, panie Fondberg. Na moim biurku mruga pewne światełko i jestem pewien, że pan mnie zrozumie, jeśli powiem, że tego akurat światełka nie mogę zignorować.

Po kilkuminutowym namyśle Fondberg zażądał pilnego połączenia ze swoim najlepszym znajomym w Interpolu. Czekał na rozmowę, polecił swoim ludziom na lotnisku Arlanda, by uważnie wypatrywali pasażera legitymującego się amerykańskim paszportem wystawionym na nazwisko Harveya Sholto. Zapytany, od kiedy obowiązuje ich to pogotowie, odparł: — Od zaraz. — Po panu Codym można się było spodziewać wszystkiego, a już na pewno tego, że sprytnie rozegrał swoją kartę. W ciągu najbliższych trzech dni — mogło też znaczyć: za pół godziny.

Kiedy połączono go z Interpolem, podał nazwisko Harveya Sholto i uzyskał obietnicę, że jeszcze przed końcem dnia otrzyma wyciąg z kartoteki. Odchylił się w fotelu i spojrzał na mapę z trasą pociągu wiozącego przesyłkę z heroiną. Ciekawe, pomyślał, czy istnieje jakiś związek między tym pociągiem i dziwną informacją o przybyciu Harveya Sholto.

Znajomy z Interpolu zadzwonił do Fondberga z Paryża o dziesiątej wieczorem. Szef Säpo wciąż czuwał w swoim gabinecie, przekonany, że coś musi się wydarzyć, że wydarzy się lada chwila, że wreszcie znajdzie punkt zaczepienia, aby dobrać się do Syndykatu. Od tak dawna niemal o to się modlił.

— Harvey Sholto — poinformował Szweda lakonicznie Francuz — jest znakomicie wyszkolonym mordercą. Amerykanie klasyfikują go w kategorii X-1. Znaczy to, że ja osobiście nie chciałbym się znaleźć na celowniku jego karabinu.

— Masz jego rysopis? Poczekaj chwilę, muszę to sobie zapisać. — Fondberg świadomie nie włączył magnetofonu, bo wiązała ich niepisana umowa, że przed rozpoczęciem nagrywania jeden musi spytać drugiego o pozwolenie. Ponadto w tej sprawie lepiej było nie mieć żadnych nagrań, które mogłyby wpaść w niepowołane ręce lub niechcący zostać przez kogoś odtworzone. Nagryzmołił na kartce rysopis Harveya Sholto znaczkami, które tylko sam potrafił odcyfrować.

— Mam tu o nim coś jeszcze — ciągnął Francuz. — Waszyngton zlecał mu dokonywanie zabójstw w Wietnamie, Afryce i Ameryce Środkowej, ale nie udało nam się ustalić, czy jest na stałe związany z którąś z ich agencji bezpieczeństwa. Ma ogromne wpływy w Waszyngtonie, co w znacznej mierze ułatwia mu wykonywanie zleconych zadań.

— Dzięki — odparł Fondberg, machinalnie pozdrowił swego kolegę i odłożył słuchawkę. Objął podbródek dłonią i zapatrzył się w przestrzeń z ponurym wyrazem twarzy. Zawsze ten sam problem: działa się za dużo naraz. Ale najbardziej ze wszystkiego niepokoiło Fondberga pewne pytanie, wciąż kołające mu się po głowie.

Kogo tym razem wziął na celownik Harvey Sholto?

ROZDZIAŁ 13

— Ogłoś natychmiast hasło NADIR. Obiekt to ten inspektor policji i kolejarz. NADIR. To więcej niż ZENIT. To hasło przyprawiało o drżenie rąk każdego, kto brał udział w jego przekazaniu. Nie sposób było zapomnieć, że pewnego dnia Syndykat może wysłać hasło NADIR, w którym wymienione zostanie ich własne nazwisko. I wtedy na całym świecie nie znajdzie się takie miejsce, gdzie można by się ukryć, gdzie można by się schronić przed mackami ośmiornicy ze Sztokholmu.

Rozkaz ten wydał Benny Horn siedzącej obok niego Soni Karnell. W kilka minut po odjeździe sprzed dworca w Helsingorze z Volvo przesiedli się do BMW. Horn przestrzegał pilnie zasady, by nigdy nie przebywać w tym samym pojeździe dłużej niż dwie godziny. Limuzyna stanęła przy nabrzeżu, w części miasta odległej od przystani promowej i dworca. Sonia Karnell weszła na kładkę z desek łączącą nabrzeże z dużym kutrem rybackim. Jak na łódź, którą trudno byłoby określić mianem nowoczesnej, był zdumiewająco wyposażony.

Na dachu sterówki sterczał radar najnowszego typu, a w kabinie, do której schodziła po drewnianych schodach, ukryty był potężny nadajnik radiowy. Ukryty za boazerią, w sposób niezwykle podobny to tego, jaki zastosował na swojej barce w pobliżu Brugii Frans Darras.

— Pani sobie czegoś życzy? Ta łódź jest własnością prywatną.

Duńczyk Arnold Barfred, właściciel kutra, zadał to pytanie umyślnie głośno i po angielsku, na wypadek, gdyby przysłuchiwał się jakiś przechodzień.

Kiedy Sonia Karnell podała mu hasło i kazała się pośpieszyć, spojrzął na nią wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu i odparł: — To jest NADIR. Z wysłaniem takiego hasła nikt z nas nie zwleka ani minuty. Każdy chce jak najszybciej mieć to z głowy i... zapomnieć.

Karnell nic na to nie odpowiedziała i pośpiesznie wróciła na brzeg. Zza pleców dobiegło ją trzaśnięcie kłapy luku, odcinającej wejście do kabiny, i zgrzyt zasuwanego rygla. Barfred nie rzucał słów na wiatr.

Równie ściśle zastosował się także do innego rozkazu: czekał pod pokładem na przyjazd samochodu. Tak jak Darrasowie na swojej barce w Brugii nigdy nie widzieli doktora Ottona Berlina, podobnie i on nie miał pojęcia, jak wygląda doktor Benny Horn.

Sonia Karnell wskoczyła do BMW i natychmiast przekręciła kluczyk w stacyjce, by jak najszybciej odjechać z tego miejsca. Benny Horn spojrzął przez ramię na kuter, by sprawdzić bez wątpienia, czy Barfred nie wychyli przypadkiem głowy na pokład jeszcze przed ich odjazdem.

— Dopilnujemy tylko załatwienia tego człowieka ze Sztokholmu, który jedzie do Beauraina, i będziesz mnie mogła zawieźć z powrotem do Nyhavn. Zabierzemy kilka drobiazgów i polecimy prosto do Sztokholmu.

— Lindahla? On tu jedzie?

— Owszem, moja droga, jedzie do Helsingoru i ma nadzieję już wkrótce tu przybyć. Pędzi ze Szwecji sportowym samochodem, jakby go goniły wszystkie moce nieczyste. Nie wie, biedaczek, że one go nie gonią, tylko na niego czekają.

* * *

Spokojne fale Sundu prawie nie kołysały wielkim promem samochodowym, który stał przycumowany do szwedzkiego brzegu w Halsingborgu. Równy strumień aut zmierzających do Helsingoru wjeżdżał po pochylni i znikał w jego trzewiach.

Pasażerowie „Delfina II” zajmowali dogodne pozycje na górnym pokładzie, skąd dobrze widać było Danię oddaloną jedynie o kilka mil szerokości cieśniny. Jakiś szwedzki turysta oglądał przez silną lornetkę zamek Kronborg, mrowie małych dzieci oblepiło reling statku.

Trudno sobie wyobrazić pogodniejszą scenę, atmosferę mającą mniej wspólnego z przemocą i gwałtem. Na rozmigotanych grzbietach zielonkawych, zalanych słońcem fal tańczyły nieprzeliczone stada jachtów, trzepocących trójkątami barwnych żagli w podmuchach bryzy wiejącej środkiem cieśniny.

Szare Volvo zniknęło w przepaścistej ładowni promu, agent Beauraina ustawił je na miejscu wskazanym przez ładowacza. Wyłączywszy silnik, opadł z ulgą w głąb fotela i odruchowo sięgnął po papierosa, lecz w tej samej chwili dostrzegł napis *Palenie wzbronione*.

Właściwie nawet mu to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy od ładnych kilku dni mógł się wreszcie odprężyć. Jeszcze kilka minut i opuści Szwecję. Za godzinę spotka się w Helsingorze z Beaurainem.

Wysiadł z samochodu, zamknął go starannie, sprawdzając, czy przypadkiem nie zostawił opuszczonej którejś szyby, i wszedł na schody prowadzące na wyższe pokłady. Tak, dzięki Bogu już wkrótce będzie po wszystkim — przekaze Beaurainowi zakodowaną w mózgu informację, której posiadanie groziło mu w każdej chwili śmiercią. I znów będzie bezpieczny.

* * *

Karl Woltz pracował ze swoją grupą trzech płetwonurków pod kilem „Delfina II” szybko i sprawnie. Nie minęło jeszcze dziesięć minut, od kiedy opuścili swoją dużą motorową łódź, kołyszącą się teraz na kotwicy kilkaset jardów od promu. Karl Woltz wbił swoim ludziom do głowy, że czas odgrywa kluczową rolę. Podróż promem trwa krótko, cała zaś akcja musi się rozegrać tuż przed jego przybiciem do przystani w Helsingorze.

— Dlaczego akurat wtedy? — spytał któryś.

— Nie wiem i głównie mnie to obchodzi! — warknął niecierpliwie Woltz. — Wiem tylko, że płacą nam kupę forsy!

Nim wysliznęli się za burtę swojej łodzi, odczekali zgodnie z poleceniem, aż „Delfin II” przyplynie z Helsingoru, wyładuje ludzi i samochody, które przywiózł z Danii, i zacznie przyjmować na pokład zmotoryzowanych pasażerów czekających w Halsingborgu. Woltz osobiście obserwował przez polowę lornetkę kierowcę niebieskiego Mercedesa, który z kolei przyglądał się uważnie kawalkadzie pojazdów wpełzających po pochylni do wnętrza „Delfina II”.

Woltz nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek ani kogo wypatruje. I nigdy później by go nie rozpoznał. Stojący obok Mercedesa mężczyzna miał na sobie obszerny jasny płaszcz z postawionym kołnierzem i nasunięty głęboko na oczy kapelusz z szerokim rondem. W końcu dał znak. Ciasno zwiniętą gazetą, wyglądającą z tej odległości jak policyjna pałka, zastukał pięć razy, niby z roztargnieniem, w maskę samochodu. Woltz policzył starannie, ile razy gazeta unosi się i opada, po czym odjął od oczu lornetkę i odwrócił się ku czekającym w łodzi.

— Ruszamy! Tylko, na miłość boską — ostrożnie!

Woltz nie mógł wiedzieć, zresztą zupełnie go to nie interesowało, na co czekał kierowca Mercedesa z daniem sygnału. Na moment, kiedy szare Volvo Petera Lindahla wpełźnie po rampie załadowniczej „Delfina II” i zniknie w czeluści jego ładowni.

* * *

— Cały prom ma zatonąć w ciągu pięciu minut. Żadnych rozbitków, nikt nie może przeżyć.

To mrozące krew w żyłach polecenie Woltz otrzymał w pustym dwupiętrowym domu na dalekich peryferiach Malmö. Ludzie, z którymi miał do czynienia, choć nie bardzo wiedział, kim są, budzili w nim skryty podziw. Posunęli się nawet

do tego, że zainstalowali w domu polowy telefon. Tak jak mu polecono, odebrał go w pokoju na parterze, wiedząc, że jego rozmówca znajduje się w tym samym domu, tylko piętro wyżej. I za żadne skarby świata Woltz nie uległby pokusie, by wdrapać się chyłkiem po schodach i rzucić na niego okiem.

— Dlaczego nie można go zatopić pośrodku Sundu? Po co czekać, aż znajdzie się przy duńskim brzegu? — zaprotestował.

— To nie twoja sprawa. Po prostu rób, co mówię. Oczywiście będziemy cię mieli na oku. Jeśli nie chcesz dostać kulki w kark, tylko resztę pieniędzy, rób wszystko zgodnie z poleceniem.

Miał wrażenie, że to jakiś upiorny sen — ten głos, ta atmosfera opuszczonego domu. Kiedy wreszcie znalazł się znów na dworze, odetchnął z prawdziwą ulgą. Teraz, ukryty pod dnem promu, obserwując swoich ludzi przez pleksiglasową szybkę maski do nurkowania, odczuwał jedynie zawodową satysfakcję z dobrze wykonanej roboty.

W różnych miejscach podwodnej części kadłuba przyssało się jak pijawki sześć okazałych min. — I pamiętaj, że trzy ładunki wybuchowe masz umieścić dokładnie pod podkładem samochodowym — upomniał go głos w domu w pobliżu Malmö. Pod rozmazanym zarysem kadłuba „Delfina II” Woltz starał się skoncentrować raczej na tym, co robi, niż na potwornym skutku swej działalności, który miała już wkrótce pociągnąć za sobą.

Ładunki wybuchowe zaopatrzone były w zaczepy magnetyczne, toteż przymocowanie ich do kadłuba nie nastęczało żadnych kłopotów.

Wystarczyło ustawić minę w odpowiedniej pozycji i nacisnąć guzik, by w tej samej chwili wyskoczyły z niej magnetyczne chwytaki i przylgnęły do kadłuba jak przyssawki. Teraz pozostało tylko odczekać, aż do kadłuba przywrą wszystkie ładunki, szpecąc go niby sześć paskudnych metalowych wrzodów. Chwilę później Woltz osobiście przepłynął wzdłuż kila promu, zatrzymując się przy każdej minie, aby własnoręcznie przekręcić wyłącznik uruchamiający miniaturowy odbiornik radiowy.

Gdy tylko ostatni z jego ludzi znalazł się bezpiecznie na pokładzie łodzi, Woltz z miejsca nakazał jednemu z obsługujących ją marynarzy wysłać sygnał-potwierdzenie, że miny zostały umieszczone, ich radio-mechanizmy uruchomione i że do zdetonowania starczy teraz jedynie, by ten, kto trzyma w ręku nadajnik zdalnego sterowania, nacisnął odpowiedni guzik.

Sygnałem było opuszczenie duńskiej flagi przy sterze. Woltz pożyczył polową lornetkę i nastawił ją na niebieskiego Saaba, który zaparkował tymczasem dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przedtem stał Mercedes. Ku jego rozczerowaniu kierowca samochodu miał na głowie kask i wielkie gogle.

Nie był świadomy, że patrzy w złym kierunku, gdyż Saab służy wyłącznie do odwrócenia jego uwagi od niezwykle szybkiego białego jachtu motorowego, kołyszącego się w pewnej odległości za jego plecami. Jacht oddalał się na południe

od promu samochodowego, dryfując na fali przyptywu tak powoli, iż wyglądał jak zakotwiczony. Stojący na jego mostku brodaty mężczyzna w marynarskiej czapce opuścił lornetkę, nastawioną na łódź Woltza.

— Jest sygnał — powiedziały.

— Taaak... więc Lindahl jest na pokładzie... a „Delfin” stał się pływającą bombą — odparł stojący obok kapitana doktor Benny Horn.

* * *

„Delfin II” pokonał już dwie trzecie swojej drogi przez Sund. Oprócz niego cieśninę przemierzały jeszcze trzy promy; dwa z nich płynęły do Szwecji, trzeci zawijał do przystani promowej przed dworcem kolejowym w Helsingørze.

Peter Lindahl zszedł do wnętrza statku i usiadł za kierownicą swego Volvo. Nie mógł się doczekać przybicia do portu. Pomimo uczucia ulgi, że udało mu się bezpiecznie wydostać ze Szwecji, bacznie przyglądał się wszystkim pozostałym kierowcom. Żaden z nich nie przejawiał jakiegoś niestosownego zainteresowania jego osobą.

Stojący na przystani promowej Jules Beaurain obserwował smukły biały jacht stojący w dryfie dobrze na południe od portu. Właśnie ten dryf zwrócił jego uwagę; rzadko się widuje podobny jacht unoszący się po prostu bezwładnie na wodzie. Podał Luizie lornetkę.

— Rzuć okiem na tamten biały jacht. Na jego mostku stoi dwóch ludzi. Im też się przyjrzyj.

Luiza wyostrzyła nieco okulary i wyteżyła wzrok. Po chwili lornetka leciutko drgnęła i Beaurain usłyszał oddech zachłystującej się powietrzem dziewczyny.

— Co się stało?

— Ten drugi, w czapce! Jest bardzo podobny do człowieka, którego widziałam przed domem w Nyhavn, jak wsiadał do furgonetki z tamtą walizką. To chyba jest doktor Benny Horn!

Na mostku jachtu Horn nie odrywał wzroku od promu wiozącego do Danii Petera Lindahla, szacując nieustannie odległość jednostki od duńskiego brzegu.

— Teraz!

Brodaty kapitan, trzymający w ręku maleńki radiowy nadajnik, nacisnął jeden jedyny umieszczony na nim guzik i równocześnie otworzył przepustnicę. Chowając nadajnik do kieszeni, otworzył ją jeszcze szerzej. Dziób jachtu wychynał z wody jak pysk rekina i zaczął pruć fale.

— Ty głupcze! — zawołał doktor Benny Horn. — Zwrócisz na nas uwagę! — Ale kapitan nie usłyszał jego słów. Zagłuszył je huk potwornej eksplozji.

* * *

Kiedy brodaty kapitan nacisnął guzik, wysłany przez nadajnik impuls radiowy w ułamku sekundy dotarł do odbiorników wbudowanych w sześć min magnetycznych przyczepionych do kadłuba „Delfina II”. Tak jak wiele innych ofiar, Peter Lindahl niczego nie usłyszał. Siedząc w swym samochodzie dokładnie nad jedną z min, zginął w ułamku sekundy.

— O Boże, Jules!

Luiza chwyciła Beauraina za ramię i przycisnęła dłoń do ust. Ogromny prom wyleciał w powietrze. Fala uderzeniowa wtoczyła wody morskie do portu i zanim roztrzaskała się o ścianę nabrzeża, zatopiła po drodze nieprzeliczone zacumowane w nim mniejsze łodzie.

Luiza skamieniała z przerażenia. Odniosła koszmarnie wrażenie, że w ogromnej chmurze czarnego dymu zasnuwającej w szybkim tempie całe niebo widzi wirujące szczątki samochodów, kół i podwozi. Obejrzała się za siebie: nie było człowieka, który by nie zamarł w bezruchu jak posąg. Śmiertelną ciszę przerwał warkot silnika samochodu Bodela Markera. Chwilę później zawtórowało mu odległe wycie syren, a u wyjścia z portu zaroilo się od wypływających na ratunek łodzi.

— Rany boskie, co tam się stało?!

Beaurain odwrócił się do Markera, obserwując uważnie jego twarz, gdy twarzym głosem odpowiadał na pytanie.

— Syndykat wysadził właśnie w powietrze prom samochodowy. Liczba ofiar będzie przerażająca — mężczyzn, kobiet i dzieci. Wątpię, by ktokolwiek z pasażerów przeżył. Jutro trafi to na czołówki wszystkich gazet świata, zapewne jako „Masakra w Helsingorze”. A wszystko po to, żeby usunąć jednego — jednego! — człowieka.

Luiza wiedziała, że ten zrównoważony ton i niezwykle staranna wymowa, rodem z ekskluzywnej szkoły średniej, zdradzają kipiącą w Beaurainie straszliwą, nieopanowaną wściekłość. Jego spojrzenie, którego nie spuszczał z Markera, zawsze przenikliwe, nabrało teraz niemal hipnotyzujących właściwości. Odpowiedź Duńczyka wprawiła Luizę w kompletne zadziwienie.

— Myślałem, że tylko ja miewam złe wieści. Syndykat wykorzystał po prostu konieczność zlikwidowania jednego z waszych ludzi — i za niego przyjmijcie ode mnie wyrazy szczerego współczucia — do zademonstrowania swojej siły.

Wiatr przyniósł od morza — i zarazem miejsca masakry — słaby zapach benzyny i jeszcze jakiś wyjątkowo nieprzyjemny odór. Wszyscy troje odruchowo cofnęli się od nabrzeża. Marker ciągnął dalej:

— Siły i bezwzględności. Ta demonstracja wyrze skutek nie mniejszy niż

zamordowanie komisarza Wspólnego Rynku.

— Mówisz tak, żeby nas pocieszyć... .

— Nie, przyjacielu — przerwał stanowczo Marker. — Nie próbuję złagodzić twego bólu z powodu wydarzenia, za które niesłusznie obarczasz się winą. Nie mówiłem o tym wcześniej, bo dotychczas nie byłem was zupełnie pewien — oto jak działanie Syndykatu zabija wszelkie zaufanie w każdym, kto stanie mu na drodze. Ale dziś rano ktoś do mnie zadzwonił.

— Dziewczyna? — spytała Luiza.

— Tak, moja droga, tak jak przedtem — dziewczyna. Jeszcze raz ostrzegła mnie, że wcześniej czy później trafią na ślad mojej żony i synka, że już są bardzo bliscy odkrycia, dokąd ich wysłałem. W tej ostatniej informacji chodziło im oczywiście o to, żebym wpadł w panikę i spróbował się z nimi w jakiś sposób porozumieć, co ogromnie ułatwiłoby Syndykatowi ich odnalezienie. Na zakończenie oznajmiła, że jej organizacja lada chwila ponownie zademonstruje swoją siłę, a ja zrozumieję, o czym ona mówi, kiedy przeczytam nagłówki jutrzejszej prasy.

Beaurain wepchnął ręce do kieszeni marynarki w dość charakterystycznym dla siebie geście, znamionującym burzę gwałtownych uczuć.

— Wiele innych wysoko postawionych osób także otrzymało telefon z tą informacją. Tak przypuszczam.

— A ja to wiem. Zanim zjawiłeś się z panną Hamilton w moim gabinecie, zdążyłem wykonać kilka dyskretnych telefonów.

— Biały jacht kabinowy — powiedział beznamiętnie Beaurain — widziany po raz ostatni pod duńską flagą i płynący szybko kursem na południe, w stronę Kopenhagi, mniej więcej milę od brzegu. Wyrwał stad jak nietoperz z piekieł, dokładnie w chwili eksplozji. Wydaje nam się, że na jego pokładzie widzieliśmy Benny'ego Horna.

— W takim razie — odparł Marker — do tej pory wysadzono go już pewnie na brzeg w którejś z kilkunastu przystani na tej trasie, gdzie już czekał na niego samochód — chyba że jacht, znalazłszy się poza zasięgiem wzroku, przepłynął już Sund do Szwecji. Mimo to ogłoszę alarm. Przepraszam was na chwilę.

Odszedł do swego samochodu, wyciągnął przez okienko mikrofon i oparłszy się o dach zaczął szybko coś mówić. Kierowca przyglądał się ludziom, którzy przybywali nie wiadomo skąd; tłum gęstniał z każdą chwilą, wpatrzony w morze, gdzie prowadzono daremną akcję ratunkową.

— Uważasz, że to rzeczywiście był Benny Horn? — Luiza przerwała trwające kilka minut milczenie.

— Sądzę, że to on był głównym wykonawcą. Czy był też inspiratorem całego przedsięwzięcia, to już inne zagadnienie. — Odwrócił się do powracającego Markera. — Bodel, kiedy tu przyjechałeś, powiedziałeś, że wydawało ci się, iż to ty masz złe wieści. Jakbyś w momencie, kiedy prom wyleciał w powietrze, miał

zamiar nam coś zakomunikować.

— Zanim... tutaj — Marker machnął z rezygnacją ręką w stronę szczątków unoszących się na falach — wydawało mi się to potworne. Mówiłem wam, że ja-
dę pogadać sobie z inspektorem, który wysłał do przystani promowej koło dworca
tamten radiowóz. Okazało się, że przyjechałem za późno. Zdarzył mu się wpa-
dek.

— Jaki wypadek?

— Otrzymał telefon, rzekomo od swojej żony, i natychmiast wyjechał z ko-
misariatu do domu. Sam. Właśnie wyciągnięto jego samochód z morza. Z inspek-
torem zamkniętym w środku. Został zamordowany. Wiem, że to morderstwo, bo
jednocześnie ten sam los spotkał tych dwóch kolejarzy, których kazałeś na trzy
dni odseparować od świata. Nie dojechali nawet do komendy.

— Jak to? — spytała Luiza, czując, że włos jej się jeży na głowie. Beaurain
nie spuszczał wzroku ze swego starego znajomego, który ciągnął dalej:

— Jechali do komisariatu pod strażą tamtych policjantów. Z mijanego po dro-
dze garażu wybiegł im przed maskę jakiś człowiek. Rozpaczliwie wymachiwał
rękami. Zatrzymali się. Pewna kobieta przypadkiem to wszystko widziała z od-
ległości pięciuset metrów — miała szczęście, że z tak daleka. Ten gość wbiegł
z powrotem do garażu, jakby po kogoś drugiego, a w następnej chwili nastąpił
potworny wybuch. Radiowóz po prostu przestał istnieć — zupełnie jak tutaj... —
Jeszcze jedno zrezygnowane machnięcie ręki w stronę morza.

— Mordują wszystkich, którzy wiedzieli cokolwiek o heroinie — powie-
dział zwodniczo obojętnym tonem Beaurain. — Najpierw tego inspektora, które-
go przekupili albo zastraszyli. Potem kolejarzy, bo obaj musieli choćby z grubsza
wiedzieć, gdzie ukryto przesyłkę. W taki sposób Syndykat chroni swoje inwesty-
cje. Trzeba przyznać, że to bardzo skuteczna metoda.

— Przesadzają z szafowaniem śmiercią.

— Spójrz prawdzie w oczy, Marker. Syndykat wprowadził w ruch jedną z naj-
bardziej skutecznych machin śmierci, jakie zna historia. I każdą z tych śmierci
wykorzystuje do sterroryzowania maksymalnej liczby osób, które mogą mu się
okazać przydatne w przyszłości. Ktoś wpadł na pomysł zupełnie niezawodnego
systemu. Luiza i ja musimy już iść — zakończył chłodno.

— Podwiozę was do dworca.

Po drodze Beaurain odezwał się tylko raz. Siedział z tyłu obok Luizy, która
z głową odwróconą w stronę szyby nie odrywała wzroku od morza. Kiedy fale
zaczęły przynosić do portu strzępy zwłok, poprosił ją o papierosa. Jak na jeden
dzień miała już dość wstrząsających przeżyć. Marker zapadł w ponure milczenie,
wpatrując się bez słowa w przednią szybę. Beaurain odetchnął z ulgą, kiedy Duń-
czyk kazał kierowcy wysadzić ich w pewnej odległości od dworca i zaczekać. We
trójkę ruszyli w stronę miejsca, gdzie wszystko się zaczęło — wejścia na dworzec
w Helsingorze.

— To takie piękne miasto — powiedziała Luiza. — Same stare domy, wszystkie świeżo odnowione. . .

Urwała w pół zdania, a Beaurain ścisnął ją pocieszająco za ramię. Miała zamiar dodać coś w rodzaju: „I właśnie tu dokonano tak potwornej zbrodni”. Beaurain zauważył, że i Marker, i Luiza starannie unikają patrzenia w lewo, na morze za przystanią. Wszyscy pozostali ludzie przed dworcem patrzyli w tym właśnie kierunku, ale i oni zachowywali się nienaturalnie cicho. Pewnie wielu z nich wyprawiało się od czasu do czasu na drugą stronę Sundu, do Szwecji. Promem samochodowym.

— Będąc w komisariacie, zapytałem przy okazji, co z moją prośbą o informacje na temat Horna — odezwał się Marker matowym głosem. — O jego pochodzeniu, przeszłości, o tym, jaki był, kiedy mieszkał tu, w Helsingorze. Muszę przyznać, że szybko się z tym uwinęli. Pokazali już w całym sąsiedztwie tamto zdjęcie, które kazałem mu zrobić w Kopenhadze. Wysłałem je przez kuriera, zanim wyjechałem z miasta.

— I czego się dowiedziałeś?

— Część osób, które znały go w czasie, kiedy mieszkał w Helsingorze, rozpoznała go na tym zdjęciu, inni nie.

— W jakiej proporcji?

— Pół na pół — odparł bezbarwnym głosem Marker. — Jak to zwykle bywa. — Luiza uzmysłowiła sobie, że wciąż był w stanie szoku, zdruzgotany potęgą i bezwzględnością Syndykatu.

— Horn prowadził tu dokładnie taki sam pustelniczy tryb życia jak w Kopenhadze — ciągnął Marker. — Nie miał żony ani żadnych krewnych, wiele czasu spędzał na podróżach, rzekomo w celu zakupu lub sprzedaży rzadkich egzemplarzy książek.

— Jak długo mieszkał w Helsingorze? — nie dawał za wygraną Beaurain.

— Około dwudziestu lat. W domu tuż za miastem, w bardzo spokojnej okolicy. — Marker przystanął nagle i odwrócił się do Beauraina z czołem pobrużdżonym zmarszczkami oszołomienia. — To wszystko zupełnie się nie trzyma kupy! — wybuchnął.

— Nie trzyma — przyznał Beaurain.

— Co się nie trzyma kupy? — spytała Luiza. — Nic już nie rozumiem. Chyba jestem jakaś przygłupia.

— Nie jesteś — uspokoił ją Beaurain. — Moim zdaniem Bodel chciał powiedzieć coś takiego: oto mamy człowieka, który przez dwadzieścia lat wiódł żywot statecznego, szanowanego obywatela. Zgoda — trzyma się trochę na uboczu, coś jak Silas Marner. Po czym nagle ten sam człowiek przeprowadza się do Kopenhagi. Mówiłeś, że kiedy, Bodel?

— Mniej więcej dwa lata temu.

— Dwa lata temu przeprowadza się do Kopenhagi — ciągnął dalej Beaurain — i co się dzieje? Niemal z dnia na dzień zostaje członkiem trzyosobowego dyrektoriatu, który — naszym zdaniem — rządzi Sztokholmskim Syndykatem.

— Teraz rozumiem, o co wam chodzi — powiedziała powoli Luiza. — Tak, to rzeczywiście nie trzyma się kupy.

Dotarli do skweru przed dworcem, gdzie zostawili swego 280E.

— No i co teraz, Julesie? — spytał z wymuszonym ożywieniem Marker. — Co masz zamiar robić? Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Zjemy lunch i wrócimy do Kopenhagi. Muszę się porządnie zastanowić. Dzięki za pomoc, gdyby co, wiem, gdzie cię szukać. Pewnie posiedzisz tu parę dni.

Beaurain wskazał ruchem głowy flotyllę statków ratowniczych i łodzi policyjnych krążących przed wejściem do portu wśród szybko roznoszonych przez fale na wszystkie strony szczątków promu. Marker odparł, że owszem, pozostanie w Helsingorze, wymienił z obojgiem poważny uścisk dłoni i odszedł w stronę czekającego nań samochodu.

— No więc, co naprawdę robimy? — spytała Luiza. — Wiem, że nie powiedziałaś Markerowi prawdy. I gdzie jest Henderson ze swoimi ludźmi?

— Już z powrotem na pokładzie „Burzy Ognia”. Kazałem mu wracać, jak tylko zobaczy, że prom z heroiną odbija od przystani. A kapitan Buckminster otrzymał nowe instrukcje. Ma przepłynąć Sund i czekać na kotwicy przed Kopenhagą. Co do nas, to oczywiście masz rację. Nie byłem z Markerem zupełnie szczerzy i to nie dlatego, żebym mu nie ufał. Ale założmy, że Syndykat odkryje jednak, gdzie ukrył swoją rodzinę. Co wtedy? Jak długo, twoim zdaniem, będzie się wówczas opierał ich żądaniom ujawnienia im wszystkiego, co wie?

— A czy w takiej sytuacji można w ogóle czegoś wymagać? — Luiza wzdrygnęła się i zmusiła do odwrócenia wzroku od morza, gdzie cała chmara statków kręciła się w kółko bez wyraźnego celu. Z dużej łodzi motorowej wybierano przez burtę coś, co wyglądało jak szeroka i płytka sieć. — Co to jest, Jules? Ta łódź z megafonem, przez który zabraniają innym podpływać bliżej?

— Policja. Zabezpieczają wszelkie możliwe dowody, zbierają szczątki do późniejszej analizy laboratoryjnej. Mają nadzieję ustalić w ten sposób, jakiego środka wybuchowego użyto.

— Wracajmy do Kopenhagi. Dokąd potem?

— Do Sztokholmu.

Beaurain przystanął i po raz ostatni powiódł spojrzeniem po kręcącej się przed wejściem do portu flotylli, jakby chciał wyryc sobie ten widok w pamięci. Na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia i zawziętości. Wydawało się, że w jakiś dziwny sposób nie tylko się nie postarzał, ale nawet jakby odmłodził: w jego młodzieńczym spojrzeniu czaiło się bezwzględne okrucieństwo.

* * *

Podczas gdy Luiza rezerwowała miejsca w kasie biletowej SAS, w holu przylegającym do parteru hotelu, Beaurain nakręcił jeszcze jeden numer telefonu. Był to numer nadinspektora Flamena z wydziału do spraw zabójstw komendy głównej policji w Brukseli.

Flamen przygotował informacje, o które prosił Beaurain; w bardzo krótkim czasie dokładnie zbadał pochodzenie i przeszłość doktora Berlina, antykwariusza specjalizującego się w bibliofilskich rarytasach.

Berlin urodził się w Liege, jednym z większych miast Belgii, gdzie dorobił się małego, ale najwyraźniej znakomicie prosperującego sklepiku filatelistycznego, specjalizującego się w rzadkich i cennych okazach. Swoją sukces zawdzięczał w znacznej mierze temu, że w przeciwieństwie do niektórych swoich europejskich konkurentów gotów był się udać na drugi koniec świata dla dokonania opłacalnej transakcji.

— Filatelistycznego, Willy? — zdziwił się Beaurain. — Przecież teraz zajmuje się książkami.

— Zgadza się. Przerzucił się ze znaczków na książki natychmiast po przeprowadzeniu się do Brugii, mniej więcej dwa lata temu.

Tym kilku osobom, które znały Berlina, kiedy mieszkał w Liege, pokazano jego zdjęcie dostarczone przez Goldschmidta. Osób tych było bardzo niewiele, bo — jak wyjaśnił Flamen — Berlin był kawalerem, na pozór całkowicie zaprzętym prowadzeniem interesu, i nie miał żadnych bliskich przyjaciół. Przyjrząwszy się fotografii, osoby te podzieliły się z grubsza na dwie grupy — tych, którzy stanowczo twierdzili, że mężczyzną na zdjęciu jest Otto Berlin, i tych, którzy go nie rozpoznali.

W dalszym ciągu rozmowy Flamen wyjaśnił, że Otto Berlin mieszkał w Liege ponad piętnaście lat, zanim przeprowadził się do Brugii. To było wszystko, co do tej pory udało mu się zdobyć. W tonie Flamena dźwięczała nuta przeprosin, ale wyczuwało się jeszcze coś innego, jakby nie wypowiedzianą głośno wątpliwość. Beaurain zapytał o to prosto z mostu.

Było coś jeszcze, o czym Flamen dowiedział się podczas rozmowy telefonicznej z pewnym dawnym znajomym Berlina. Otóż, Berlin był ogromnie podekscytowany przeprowadzką do Brugii, do tego stopnia, że ujawnił swoje podniecenie przed owym znajomym w rozmowie telefonicznej, nie zdradzając jednak konkretnie jego przyczyny. Nie, człowiek, do którego Flamen dzwonił, nie widział się z Berlinem od tamtego dnia aż do dzisiaj.

Beaurain podziękował Flamenowi i wysłuchał jeszcze słów wyrażających szok i przerażenie, jakie ogarnęło cały zachodni świat na wieść o masakrze w Hel-

singorze. Fakt, że nikt nie pozostał przy życiu, jeszcze bardziej zwiększał dramatyzm sytuacji, czego nie omieszkaly podkreślać wszystkie stacje radiowe i telewizyjne. Dokładnie w chwili, kiedy odkładał słuchawkę, wróciła Luiza z biletami na samolot. Zrelacjonował jej w kilku słowach, czego dowiedział się Flamen.

— To znaczy niczego — orzekła wysłuchawszy jego sprawozdania.

— Nie dostrzegasz schematu? — zdziwił się Beaurain.

— Niemal jota w jotę historia Benny'ego Horna. Żadnych bliskich przyjaciół, żadnej rodziny, wiele czasu poza domem, długie podróże w interesach. Jules, to wygląda zupełnie tak, jakby ci ludzie nigdy nie istnieli!

— Właśnie! — Beaurain zawahał się na chwilę. — A przecież istnieli. . . istnieją nadal. Mamy na to dowody zebrane przez dwóch najbystrzejszych policjantów w Europie — Markera tutaj i Willy'ego Flamera w Brukseli. Jeden z nich, Otto Berlin, mieszkał przez piętnaście lat w Liege. W Helsingorze są ludzie, którzy bez cienia wątpliwości twierdzą, że Horn mieszkał tam przez lat dwadzieścia. Po czym nagle obaj zmieniają adres i lądują — jeden w Kopenhadze, drugi w Brugii.

— I to niemal dokładnie w tym samym czasie — podkreśliła Luiza. — Obaj zaczynają swoje nowe życie dopiero dwa lata temu. Czy różnica w schemacie ma jakieś znaczenie? Willy Flamen powiedział, że Otto Berlin handlował w Liege znaczkami, a na książki przerzucił się dopiero po przyjeździe do Brugii.

— Może mieć.

— Kto, według ciebie, kryje się za tym potworem? — spytała Luiza siadając na brzegu łóżka, by poprawić pończochy. — Człowiek ma wrażenie, że nikomu już nie może ufać, bo każdy może się okazać członkiem Syndykatu, obojętne — dobrowolnym czy nie.

— Podejrzewam, że to skalkulowany efekt ich metody działania. Terror zatacza coraz szersze kręgi, oplata jak pajęczyną coraz więcej kluczowych postaci zachodniego świata. A co do tego, kto stoi za tym potworem. . . Wydaje się, że chyba Hugo, ktokolwiek kryje się pod tym pseudonimem. — Podniósł wzrok i oddał jej folder z biletami. — Jestem przekonany, że tylko w jeden sposób można się tego dowiedzieć — robiąc to, co właśnie mamy zamiar zrobić. Musimy lecieć do Sztokholmu i wytropić miejsce, gdzie ma się odbyć to walne zgromadzenie Syndykatu. A po naszej stronie jest Harry Fondberg z Säpo. To może o wszystkim zadecydować.

— Można mu zaufać? — spytała Luiza.

Beaurain bardzo starannie zapanował nad wyrazem swojej twarzy. Nie chciał, by się domyśliła, że dotknęła właśnie istoty sprawy i zadała kluczowe pytanie, na które sam jeszcze nie znał odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 14

Ekspres stał już ponad godzinę. Kellerman nie miał żadnych wątpliwości, że to bocznicą stacji Sztokholm Centralny. Gdy pociąg stanął, przetoczono wagony i gdzieś z oddali dobiegł tupot nóg pasażerów na płytach peronu. A po heroine ciągle nikt się nie zjawiał.

Kellermanowi zeszytniały wszystkie mięśnie i usychał z pragnienia. Odkręcił manierkę, upił niewielki łyk z tej resztki wody, która jeszcze pozostała, starannie zakorkował manierkę z powrotem i zastygł w bezruchu. Dobiegł go dziwny syk, którego w pierwszej chwili nie potrafił zidentyfikować. Nagle poczuł mdłący zapach i dostrzegł kłęb białawej mgiełki wpływającej do wagonu przez szparę w drzwiach. Tłoczyli, dranie, do wagonu jakiś gaz.

Wyszarpnął z kieszeni chusteczkę do nosa, znów odkręcił szybko manierkę i nasączył chusteczkę wodą. Zaczynało mu się już kręcić w głowie, kiedy przycisnął mokry tampon do ust i nosa, by zminimalizować skutek działania gazu. Przecież nie mogli wiedzieć, że ktoś jest w środku; był to tylko jeszcze jeden przykład drobiazgowej skrupulatności Syndykatu, zabezpieczenie na wypadek, gdyby ktoś tam był.

Wszystko zaczęło mu się rozmazywać przed oczami. Wklinowany między tylną ścianę wagonu a stertę sprasowanego papieru, był zupełnie niewidoczny, kiedy wreszcie otwarto drzwi i do środka wdrapało się dwóch ludzi w maskach przeciwigazowych. Przez zasnuwającą mu oczy mgłę zdołał ujrzeć tylko zarysy masek, a był to widok jak z upiornego snu. Wcisnął się głębiej w szparę, zdolny wyłącznie do trwania w bezruchu.

Dobiegł go odgłos darcia i domyślił się, że użyli noża, by dostać się do skrytki z walizką heroiny. A on nie mógł zrobić nic, absolutnie nic, żeby im przeszkodzić. Czuł, że lada chwila może stracić przytomność. Gdyby tak się stało, przewróciłby się na podłogę i narobił hałasu. Tamci dwaj dopilnowaliby, żeby już nigdy jej nie odzyskał.

Zza sterty papieru wyłonił się jeden z mężczyzn z walizką w ręku, stanął w wąskim przejściu i zerwał z twarzy maskę. Kellerman widział to jak przez sen. Mężczyzna zeskoczył z wagonu na ziemię. Na chwilę zapadła cisza. W tle słychać było tylko stłumiony poszum pobliskiego ruchu ulicznego. Naraz ciszę rozerwał

potężny ryk motocyklowego silnika, który ucichł nagle, jakby maszyna skrzyła za róg. Kellerman odsunął powoli chusteczkę od nosa i stwierdził, że może normalnie oddychać. Gaz ulotnił się przez otwarte drzwi wagonu. Zaczął przychodzić do siebie, odzyskiwał już zdolność działania i jasnego myślenia, gdy raptem znów znieruchomiał. Uświadomił sobie, że coś tu nie gra. Drugi mężczyzna nadal znajdował się w wagonie.

Wepchnął chusteczkę do kieszeni i zaczął krok za krokiem przeciskać się wąskim przejściem między dwoma ścianami arkuszy sprasowanego kartonu. Powietrze było znośne. Z przerażającą jasnością zdał sobie sprawę, że posuwając się zaczepia rękawami o krawędzie arkuszy i robi hałas. Dźwięk sam w sobie nie był głośny, ale wystarczał aż nadto, by zaalarmować pozostałego w wagonie osobnika. Facet musiał przecież być profesjonalistą. Na co on, do cholery, jeszcze czeka?

Znalazł go rozciągniętego na podłodze tuż przy otwartych drzwiach. Był niski, barczysty, nadal miał na twarzy maskę. Ubrany był w mundurową kurtkę z czerwoną, coraz szerzej rozlewającą się plamą na piersi. Jaki to był mundur, Kellerman nie był pewien — wyglądał na mundur policyjny. Jednym ruchem zerwał maskę gazową i spojrzał w nalaną twarz i szeroko otwarte oczy. Znajomą twarz! Na Boga, twarz Serge'a Litowa! Strzelono do niego z bliskiej odległości z pistoletu z tłumikiem, ale tliła się w nim jeszcze iskierka życia.

— Heroina... Norling... zdrajca — wyszeptał z ostatnim tchnieniem.

Pasażer, który wylądował na lotnisku Arlanda, lot SK 407 z Kopenhagi, zidentyfikowany na podstawie załączonej fotografii jako Günther Baum. Pochodzi z Niemiec Wschodnich. Pozuje na biznesmena, w rzeczywistości jest niezależnym, zawodowym mordercą. Cieszy się reputacją człowieka, który zawsze wykonuje zlecenie, za co każe sobie niezwykle słono płacić. Aktualne miejsce pobytu nieznane.

Nadinspektor Harry Fondberg z Säpo przeczytał uważnie depezę, nadesłaną właśnie z Interpolu. Nie zdołał jeszcze zapanować nad wściekłością, która go ogarnęła na wiadomość o wypadku na dworcu centralnym. Ktoś przebrany za policyjnego kuriera sprzątnął mu sprzed nosa przesyłkę heroiny i na dokładkę zamordował swojego współnika. W tym momencie zadzwonił telefon i zawiadomiono go, że przyszedł pan Jules Beaurain.

Wprowadził swego gościa i usadził w fotelu. Przy wymianie uścisków dłoni Belg przyglądał się uważnie Szwedowi: żadnych oznak zdenerwowania. Jego gospodarz wyglądał dokładnie tak samo, jak podczas ich ostatniego spotkania.

Przerzedzone włosy zaczesane do góry na kształtnej głowie. Niebieskie oczy o hipnotyzującym spojrzeniu. Mocny nos, stanowcze usta i wydatne szczęki, znamionujące siłę woli. Szef Säpo miał nad sobą tylko dyrektora podległego bezpośrednio ministrowi sprawiedliwości. Fondberg pokazał swemu gościowi depeszę z Interpolu. Załączono do niej błyszczącą odbitkę.

— To jest kopia zdjęcia, które przesłaliśmy im drogą radiową — wyjaśnił Fondberg.

Fotograf uchwycił swoim obiektywem grupę osób, wyraźnie nie zdających sobie sprawy, że ich przyłot jest przez kogoś utrwalany. Beaurain oddał zdjęcie Fondbergowi.

— Ten facet próbował mnie zabić w Kopenhadze. W biały dzień, tuż obok Tivoli. Jest tu ze swoim współnikiem.

— Wspólnikiem?! — Fondberg chwycił zdjęcie z biurka i spojrzał na nie rozpalonym wzrokiem. — Ci durnie z Interpolu nie piszą o tym ani słowa! A przesłaliśmy im całe zdjęcie. Zrobiliśmy je na lotnisku Arlanda. Który to ten współnik?

— Ten niepozorny człowieczek za prawym ramieniem Bauma. Widać akurat, że ma w ręku czarny neseser. W nim właśnie trzyma zwykle broń. Nosi ją za Baumem i przypuszczam, że wręcza mu ją dopiero w ostatniej chwili. Baum zawsze dopina wszystko na ostatni guzik. Kiedy tu przyleciał?

— Dziś rano, pierwszym lotem z Kopenhagi. Nazywamy ten lot biznesmeńskim. To tak blisko, że wiele osób przylatuje tylko na jeden dzień, załatwia swoje interesy i na noc wraca do Kopenhagi.

— I opierają się wszystkim atrakcjom Sztokholmu?

Fondberg uśmiechnął się.

— Nie zawsze dobrowolnie. Widzisz, ich żony też nasłuchały się o tych atrakcjach. Więc jeśli któryś nie wróci do swego przytulnego duńskiego domku przed północą — łup!

— W jaki sposób zrobiliście to zdjęcie? — spytał Beaurain wskazując przesłaną przez radio fotografię Bauma i jego współnika.

— Jak wiesz, mamy na Arlandzie ludzi, rejestrujących przybycie każdego znanego kryminalisty. Jeśli dyżur pełni ktoś gorliwy, to zdarza mu się zrobić zdjęcie pasażera, który w jakiś sposób zwróci na siebie jego uwagę. Tak właśnie było w przypadku Bauma. Wysłałem to zdjęcie do Interpolu i oto widziałeś ich odpowiedź.

— Wiesz, gdzie się zatrzymał?

Szwed drgnął i zapalił cygare, nim odpowiedział. — Mówiłem ci już, że to był strzał w ciemno. Kiedy nadeszła ta odpowiedź, rozesłałem ludzi po wszystkich hotelach, ale jeszcze za wcześnie na jakieś rezultaty.

— I tak niczego nie znajdują. Gdziekolwiek się zatrzyma, zamelduje się pod fałszywym nazwiskiem. Jak wiesz, to profesjonalista ekstraklasy. Więc to jest ten człowiek, który według ciebie przybył tu, żeby jak najszybciej mnie zabić?

— Nie wiem — odparł uprzejmie Fondberg. — Są jeszcze inni potencjalni kandydaci do wykonania tej roboty. Na przykład ten.

Znów było tak, jak za dawnych czasów, kiedy ze sobą współpracowali — za lub bez zgody swoich przełożonych. Beurain spojrział zdumiony na błyszczącą odbitkę, którą Fondberg rzucił mu przez biurko. Znów lotnisko, znów bez wątplenia Arlanda. Tym razem jednak zdjęcie było znakomite, zrobione świetnym aparatem przez najwyższej klasy fotografa. Człowiek, którego przedstawiało, nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go fotografuje.

Był wysoki i barczysty, miał pewnie co najmniej sześć stóp i cal wzrostu, dużą krągłą głowę i zimne oczy. Jak Fondberg zaciesywał do góry kilka pasemek rzadkich włosów, lecz w przeciwieństwie do niego był niemal zupełnie łysy. Nawet wtedy, gdy sądził, że nikt na niego nie patrzy, w jego postawie było coś agresywnego; pozbawione wszelkiego wyrazu oczy zdradzały kompletny brak uczuć, a wąskie, mocno zaciśnięte usta zdawały się to potwierdzać. Jego sylwetka świadczyła, że ten pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna znajduje się w znakomitej kondycji fizycznej. Pewnie każdego ranka przed śniadaniem grał godzinę w squasha — i jeśli nie wygrał, miał zepsutą całą resztę dnia.

— Kto to jest, kiedy tu przyleciał i skąd? — spytał Beurain, notując starannie w pamięci rysy twarzy i sylwetkę człowieka ze zdjęcia.

— Ten facet jest oczywiście Amerykaninem. Widać to po ubiorze. Używa nazwiska Harvey Sholto. Przyleciał nocnym lotem z Waszyngtonu. O jego rychłym przybyciu zawiadomił mnie — ni mniej, ni więcej — sam Joel Cody. I próbował mnie, sukinsyn, wykiwać.

— Cody? Ten doradca prezydenta? Facet, który myśli, że „finezja” to gatunek francuskich pasztecików? W jaki sposób ktoś taki mógł choćby próbować cię wykiwać?

— Informując mnie oficjalnie, że Sholto przybędzie w ciągu kilku najbliższych dni, gdy tymczasem facet już tu był. Nie wziął w rachubę, że my bardzo pilnie przyglądamy się wszystkim pasażerom lądującym na Arlandzie. Wygląd Sholto obudził czujność jednego z naszych ludzi, więc zrobił mu zdjęcie. Ci, którzy w tej chwili przeglądają księgi hotelowe w poszukiwaniu Günthera Bauma, rozglądają się także za Harveyem Sholto. To już drugi płatny morderca, który przybył do Sztokholmu tuż przed tobą — dodał, jakby od niechcienia, Fondberg i wydmuchnął pod sufit kłęb dymu z cygara.

To była ta sama gra, którą tyle razy zabawiali się w przeszłości. Właśnie dlatego, między innymi, Jules Beurain tak bardzo polubił Fondberga, podobnie jak wielu innych zagranicznych kolegów, z którymi zaprzyjaźnił się na przestrzeni lat.

— Jesteś pewien, że to jest Harvey Sholto? — spytał Beurain, pukając palcem w błyszczącą odbitkę. — A więc on także jest mordercą. . .

— Jednym z najgroźniejszych. Nasz agent w Bangkoku mógłby to poświad-

czyć. Tylko że już nie żyje. A był bardzo dobry i miał ogromne doświadczenie. — Na krótką chwilę Fondberg zapomniał o swej pozie twardziela. — Zostawił po sobie w Szwecji żonę i trójkę wspaniałych dzieci. Znaleźli go w jednym z klonogów, czyli ichnich kanałów. Z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Syndykat jak już coś robi, mój drogi, to gruntownie.

Po raz pierwszy Fondberg nawiązał otwarcie do Sztokholmskiego Syndykatu. Z cygarem w ręku spojrzął twardo na swego gościa i spytał przez zaciśnięte zęby: — Czy masz w stosunku do nich jakieś plany?

— Tak. Mam zamiar ich zniszczyć.

— Za mało wiesz, brak ci odpowiednich sił i środków. Ale przede wszystkim za mało wiesz. W jaki sposób się komunikują? No, powiedz mi. Organizacja, która omotała znaczną część Skandynawii i Beneluxu, a teraz w błyskawicznym tempie opanowuje Niemcy, musi mieć znakomity system łączności.

— Wodny.

— Że co proszę?

— Wodny — powtórzył Beaurain. — Dotarło to do mnie wreszcie, kiedy z tarasu Grand Hotelu patrzyłem na Strommen. Harry, czy w ostatnich miesiącach zanotowaliście wzrost nielegalnych przekazów radiowych?

— Tu, w Sztokholmie? Owszem. — Fondberg spojrzął uważnie na Beauraina. — Nie byliśmy w stanie namierzyć żadnego z nadajników, a podejrzewamy, że muszą być dość potężne.

— Od kiedy to się dzieje?

— Zaczęło się podobno jakieś dwa lata temu.

— W momencie powołania do życia Sztokholmskiego Syndykatu — zauważył ponuro Beaurain. — Czy ktoś próbował dokonać ogólnych zestawień, na jakich obszarach działają te nadajniki?

— Tak, choć nie bardzo wiem, do czego mogłoby się to przydać. — Fondberg przerwał na chwilę, rzucił coś po szwedzku do interkomu i ciągnął dalej: — Naszym wozom radiolokacyjnym nigdy nie udało się namierzyć żadnej stacji. Przypuszcza się, że muszą być umieszczone na ciężarówkach lub furgonetkach, które podczas nadawania sygnału znajdują się w ruchu.

Umilkł, gdyż do pokoju weszła dziewczyna ze zrolowanym kartonem, położyła go na biurku szefa Säpo i bez słowa zostawiła ich ponownie samych. Beaurain podniósł się z fotela i stanął za Fondbergiem, który rozwijał dokładny plan Sztokholmu z naniesionymi czerwonymi kręgami. Fondberg prychnął z irytacją.

— To kompletnie nic nikomu nie mówi!

— Nie nikomu, tylko tobie — poprawił go Beaurain. — Dla mnie jest to ostateczne potwierdzenie, że mam rację. Przyjrzyj się tym wszystkim czerwonym kółkom.

— W tylu różnych dzielnicach? Nic ich ze sobą nie łączy.

— Chyba się starzejesz. Przecież to z tego planu aż krzyczy. Każdy z zakreślonych obszarów ma dostęp do wody — powiedział dobitnie Beaurain. — Willy Flamen pokazał mi w Brukseli podobną mapę z obszarami nasilonej nielegalnej działalności nadawczej. On też nie dopatrył się żadnego schematu. Zresztą w owym czasie ja sam go nie dostrzegałem, chociaż wszystkie zaznaczone na niej rejony przylegały do belgijskich kanałów. To samo w Kopenhadze, kiedy Marker z wywiadu pokazał mi swoje mapy. Za każdym razem nadawano z rejonu Sundu.

— Chcesz powiedzieć...

— Dranie nadają z wody! Dlatego nigdy nie udało się ich namierzyć. W Belgii — z barek, które przed uruchomieniem nadajnika wypływają na kanały. W Danii — z kutrów rybackich albo dużych jachtów, które także odbijają od brzegu, kiedy mają wysłać jakiś sygnał. W Sztokholmie — stąd... — Uderzył pięścią w czerwone kółko na planie, na który Fondberg spojrział teraz nowym okiem.

— Czy ty wiesz, że możesz mieć rację? — powiedział powoli. — Gdyby nam się udało rozwalić system ich łączności, zadalibyśmy im cios w najczulsze miejsce.

— Trzeba to idealnie zgrać w czasie. Przeprowadzić błyskawiczną akcję równocześnie w całej Europie, dokładnie w momencie, kiedy nadajniki pracują pełną parą. W jednej chwili i koniecznie wszędzie naraz. W tym także w Belgii, gdzie, nawiasem mówiąc, zamordowano ostatnio pewne małżeństwo, które obsługiwało nadajnik Syndykatu umieszczony na ich barce. Oboje zostali zabici strzałem w tył głowy.

— Co takiego?! — Fondberg poderwał się z fotela z wyraźnym błyskiem w oczach. — To stara nazistowska metoda. Sugeruje potworną możliwość — że za tym piekielnym Syndykatem stoją neonaziści! Wielki Boże, ależ byliśmy ślepi!

* * *

Harry Norsten pewnie ścisnął drążek sterowniczy swojej Cessny, gotów do lądowania w centrum Sztokholmu. Właśnie otrzymał zezwolenie i jego pasażerowie poruszyli się w swych fotelach, jak to czynią podróżni tuż przed przybyciem do celu swej podróży. Norsten nie lądował na Arlandzie, wielkim lotnisku międzynarodowym, położonym wiele mil za miastem. Prowadził swoją maszynę na lotnisko Bromma, kilka minut samochodem od Grand Hotelu.

Mężczyzna, którego wioził do Sztokholmu, wyjrzał przez iluminator, niezbyt ciekawy znajomego widoku. Był średniego wzrostu, miał długie baczki, grzywę jasnobłond włosów sięgającą mu aż do karku i wielkie okulary w rogowej oprawie. Doktor Theodor Norling ścisnął swą towarzyszkę za rękę i odezwał się do

niej po francusku:

— Cieszysz się, że wracasz do domu? Miałaś ostatnio mnóstwo roboty.

Mnóstwo roboty. Dziewczyna o przyszczyżonych króciutko kruczoczarnych włosach wzdrygnęła się na te słowa. Przypomniała sobie nagłówki porannych gazet krzyczące o tym, co już na całym świecie określano mianem „masakry w Helsingorze”. I natychmiast się wystraszyła, bo dotarło do niej, że Norling nadal trzyma ją za rękę i musiał poczuć jej drgniecie.

Jasnowłosa głowa odwróciła się powoli ku niej. Sonia Karnell wbiła wzrok przed siebie, prosto w pędzącą im na spotkanie panoramę Sztokholmu, ze wszystkich sił usiłując nad sobą zapanować. Cokolwiek by robiła, cokolwiek czuła, pod żadnym pozorem nie mogła okazać zatrwożenia, strachu czy odrazy. Jej towarzysz niechętnym okiem patrzył na wszelkie tego rodzaju odczucia, uważając je za nieistotne w obliczu zadania, które stało przed nimi.

— Mam na państwa zaczekać na Brommie, czy jechać do domu? — spytał Norsten, wprawnie operując sterami, by podprowadzić Cessnę do wzorowego lądowania. Spytał także po francusku. Mrukliwy doktor Theodor Norling powiedział mu kiedyś, że lubi wprawiać się w mowie Gallów.

— Proszę jechać do domu i czekać na mój telefon. Niebawem może mi pan być znowu potrzebny.

I to wszystko. Typowe polecenie Norlinga. Tak zwięzłe, niemal oschłe, bez jednego zbędnego słowa. Psiakrew, kim właściwie jest ten facet? Po roku pracy w charakterze jego pilota Norsten wiedział o nim niewiele więcej niż w dniu, kiedy został zatrudniony. Tyle tylko, że ma być do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę i że Norling znakomicie płaci za jego usługi. I milczenie. Rzecz w tym, że na widok pryncypała Norstena ogarniał paraliżujący lęk.

— I jeszcze jedno, panie Norsten — powiedział mu szef na odchodnym, kiedy po raz pierwszy spotkali się na lotnisku Bromma, i uzgodnili szczegóły dotyczące jego pracy. — Byłoby niezwykle nierozsądne z pana strony, gdyby rozgłaszał pan na lewo i prawo, co robię, a nawet, gdyby w ogóle wspomniał pan komukolwiek o tym, że jestem pańskim klientem.

Urwał wtedy, zastygł w półobrocie i wbił w Norstena nieruchome spojrzenie przesłoniętych ciemnymi okularami przenikliwych oczu.

— Trzeba panu wiedzieć, panie Norsten, że w moich interesach jest rzeczą absolutnie nieodzowną, aby konkurencja nie wiedziała nic o moich ruchach, aby często nie wiedziała w ogóle, że jestem w Sztokholmie. . . Tak, tak, to naprawdę mordercza praca. . .

Mordercza praca. . . Niby zwykłe, potoczne określenie, ale przy tym Norling tak dziwnie wpatrywał się pilotowi w gardło, że Norsten poczuł w tym miejscu nieprzyjemne mrowienie. Co za absurd! Ale właśnie tak zareagował owego dnia, kiedy zgodził się na współpracę — strachem.

Ta para lata jak kot z pęcherzem — ciągnął dalej swe rozważania, zniżając

coraz bardziej maszynę i mrużąc oczy przed odbłaskami słońca w płataninie wodnych kanałów. Zawsze między Sztokholmem i Kopenhagą! I często o dziwacznej porze, nocą z lądowaniem przed świtem.

Był niemal zupełnie pewien, że co jakiś czas ta para wyruszała z Kopenhagi do Stanów. Raz, kiedy podchodzili do lądowania w Kopenhadze, Norling upuścił na podłogę Cessny folder linii lotniczych. Norsten zdążył rzucić okiem na bilety, które z niego wypadły, nim dziewczyna szybko zgarnęła je z powrotem. Bilety były do Nowego Jorku. Dlaczego nie lecieli tam prosto ze Sztokholmu zwykłym samolotem rejsowym, tylko pierwszy etap podróży do Kopenhagi pokonywali Cessna?

To nie miało większego sensu. Ale Norsten, człowiek roztropny, już dawno temu porzucił wszelką myśl o dociekaniu przyczyn różnych działań księgarza, czy w ogóle o próbach dowiedzenia się czegokolwiek więcej na jego temat.

Po wylądowaniu zobaczył wielką beżową limuzynę, czekającą na jego pasażerów. Pustą. Jak zwykle. Bardzo skrupulatny facet z tego doktora Norlinga. Kto podstawiał limuzynę na lotnisko, Norsten nie miał pojęcia, ale ktokolwiek to zrobił, dobrze się pilnował, żeby zdążyć się zwinąć jeszcze przed wylądowaniem Cessny. Zupełnie jakby nikt nie miał prawa wiedzieć, jak wygląda doktor Theodor Norling, jeśli nie było to zupełnie nieodzowne. Świadomość, że on wie, budziła czasem Norstena w środku nocy, zlanego zimnym potem.

* * *

— Ten pilot, Harry Norsten, zaczyna przejawiać niebezpieczne zainteresowanie moją osobą i moim stylem życia — powiedział doktor Theodor Norling do Soni Karnell, kiedy usiadła za kierownicą Volvo i ruszyła z lotniska Bromma w kierunku centrum miasta. Zdjął przyciemnione szkła i zastąpił je okularami w złotych oprawkach. Wyjął z walizki filcowy kapelusz i pomimo ostrego słońca, które zmuszało Sonię Karnell do mrużenia oczu, nałożył go na głowę. Ta niewielka zmiana nadała mu wygląd człowieka interesów. Dopełniając przeistoczenia, wyciągnął z kieszeni fajkę i wetknął ją między zęby.

— Czy robimy coś w tej sprawie? — spytała Karnell.

— Załatwiłem już wszystko, co trzeba, żeby w odpowiednim momencie został usunięty.

* * *

Obserwatorzy rozstawieni na lotnisku ruszyli śladem Volvo z największą ostrożnością, przekazując je sobie kolejno w krótkich odstępach czasu, czyli stosując metodę sztafetową. Norling, ekspert w dziedzinie technik śledczych, nieustannie spoglądał we wsteczne lusterko, ale nie zdołał zauważyć niczego, co by wskazywało na inwigilację.

Jak na ironię, Szwed wypatrywał raczej Harry'ego Norstena. Choć doskonale znał metodę sztafetową, nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Prawdę mówiąc, była to technika wprost idealna do stosowania w gęstym ruchu ulicznym, gdzie użycie trzech samochodów osobowych i jednej furgonetki zmniejszało ryzyko wykrycia niemal do zera.

Był jeszcze drugi czynnik uniemożliwiający wiecznie podejrzliwemu Norlingowi odkrycie, co się dzieje — odległość, dzieląca Brommę od punktu docelowego jego podróży, była stosunkowo niewielka. Gdyby odcinek ten był dłuższy, to pewnie nawet w najgęstszym ruchu ulicznym Norling zorientowałby się w końcu, że jadące za nim cztery samochody uprawiają swoistą sztafetę.

— Mam cię wysadzić z tej strony budynku? — spytała Sonia.

— Oczywiście, jak zawsze.

Wjechali w Radmansgatan, ekskluzywną ulicę cztero- i pięciopiętrowych domów, w których wszystkie mieszkania przerobiono na luksusowe apartamenty. O tej porze panowały tu spokój i cisza. Kiedy Sonia Karnell stanęła przy krawężniku, dobre dwie minuty spacerem od swego mieszkania przy Radmansgatan 490, w okolicy nie było żywego ducha. Norling wymknął się z walizką z samochodu, a Sonia natychmiast odjechała, by odstawić Volvo do garażu. Po drodze minął ją statecznie sunący Saab.

Nie odwracając głowy, Norling zarejestrował wszystkie szczegóły. Numer rejestracyjny; dwóch mężczyzn na przednim siedzeniu, z których jeden ziewał, a drugi patrzył wprost przed siebie, skupiony na prowadzeniu; obaj ubrani jak zwykli Szwedzi na co dzień. W samochodzie, który zniknął za rogiem, Norling nie dostrzegł niczego podejrzanego.

— Sonia będzie wiedziała, czy pojechali za nią do garażu, czy nie — mruknął do siebie, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i spokojnym krokiem ruszył w stronę wejścia.

* * *

— Tu cię wysadzę — powiedział Stig Palme. — Wielki Boże, ależ nam się poszczęściło na tej Brommie.

Luiza Hamilton leżała na tylnym siedzeniu, zwinięta w ogromnie niewygodnej pozycji i zupełnie niewidoczna dla każdego, kto obserwowałby przejeżdżający samochód z poziomu ulicy. Teraz usiadła normalnie i rozprostowała nogi, czekając, aż Palme przystanie przy krawężniku.

— To nie było szczęście, Stig — odparła, poprawiając włosy w lusterku puderniczki. — Po prostu Jules jest genialnym organizatorem. A ja wiem, jak wygląda „Czarny Hełm”. Po tym, co zaszło w ciągu ostatnich kilku dni, powinnam chyba móc rozpoznać tę dziwkę, nie sądzisz?

— Tylko bądź ostrożna — ostrzegł ją Palme.

Chwilę później już jej nie było. Wracała wolnym krokiem przez Radmanskatan, kołysząc torbą na zakupy z wielkimi literami NK, reklamówką jednego z większych sztokholmskich domów towarowych.

Przez ramię miała przewieszoną torebkę na długim pasku, a w niej automat, który jej wręczono po wylądowaniu na Arlandzie. Boże, w jakim potwornym pośpiechu pędziła na Brommę! Skręciła za narożnik zasłaniający przed nią pozostałą część ulicy... i stanęła twarzą w twarz z blondynem w złotych okularach, który wysiadł z beżowego Volvo.

To akurat zdołali przewidzieć — że wpadnie wprost na niego. Dlatego właśnie zrobiła, co mogła, żeby zmienić swój wygląd. Pozbyła się spodni i wiatrówki, zamiast tego założyła bladożółtą letnią sukienkę. Włosy ukryła pod jedwabną apaszką, twarz przesłoniła zaś wielkimi jak gogle okularami przeciwsłonecznymi. Norling stał przed wejściem do budynku, ledwie kilka stóp od niej. W wolnej ręce trzymał pęk kluczy, z których jeden miał właśnie wsunąć do zamka. Zimne oczy za szklami w złotych oprawkach patrzyły prosto na nią.

Po swojej stronie wejścia do budynku dostrzegła kątem oka jakiś sklep. Modląc się w duchu, żeby był otwarty, nacisnęła klamkę i, nie oglądając się za siebie, weszła do środka.

Norling otworzył drzwi wejściowe starej kamienicy, po czym ukradkiem zerknął przez szybę do wnętrza sklepu. Dziewczyna w absurdalnie wielkich okularach stała przed ladą tyłem do niego i jakby prosiła o coś sprzedawczynię. Zmarszczył brwi, cofnął się szybko w podcienie bramy i wszedł do budynku, zamykając za sobą drzwi. Na klatce schodowej panowała zupełna cisza, wydawało się, że w całym budynku nie ma żywego ducha. Norling postawił nogę na pierwszym stopniu schodów i zastygł w bezruchu przechylając głowę w bok. Nasłuchiwał najdrobniejszego szmeru.

Uspokojony, wbiegł lekko na górę, nie czyniąc przy tym prawie żadnego hałasu. Na pierwszym piętrze znów przystanął, tym razem wyrzwał przez podwójne okno, wychodzące na coś w rodzaju dziwnego, zamkniętego ze wszystkich stron dachu. Wiedział, że na ten dach istnieje wejście z innej klatki schodowej.

Powtórnie uspokojony, otworzył drzwi z dwoma osobnymi patentowymi zamkami, wszedł do ładnego, przestronnego mieszkania i zamknął drzwi za sobą.

Lakierowany parkiet w salonie — którego okna wychodziły na Radmansgatan — pokrywały wzorzyste dywany. Z sufitu zwieszał się przedziwny wschodni lampion dający przyćmione nocne oświetlenie. Norling usiadł w jednym z foteli, podsunął sobie telefon i nakręcił pewien sztokholmski numer.

Odkładał właśnie słuchawkę, kiedy w zamkach zazgrzytały klucze Soni Karnell. Norling nie pozwalał sobie na żadne domniemania.

Kiedy otworzyła drzwi, stał dokładnie na wprost niej z Lugerem zaciśniętym w wyciągniętych rękach.

— Co się stało? — spytała.

— Arlanda zgłosiła, że do Sztokholmu przyleciał Jules Beaurain z tą swoją kochanicą.

* * *

W cukierni, do której wśliznęła się, żeby uniknąć rozpoznania przez blondyna, Luiza z namysłem zamawiała ciasta i ciastka. Cukiernia była bardzo elegancka i kobieta za ladą wyraźnie oczekiwała, że jej klienci będą starannie dokonywać swych wyborów. Luiza chciała zostawić blondynowi jak najwięcej czasu na wejście do budynku, nim ponownie sama znajdzie się na ulicy.

I wtedy ją zobaczyła. Za oknem wystawowym na chodniku przed sklepem pojawiła się Sonia Karnell. Przystanąła i sięgnęła do torebki po klucze. Luiza widziała ciemnowłosą dziewczynę równie dobrze, jak przedtem zagląającego do sklepu blondyna — w lustrach na ścianie za ladą.

Tyle tylko, że tej dziewczynie wystarczyłby jeden rzut oka do wnętrza sklepu, by natychmiast rozpoznać jedyne go klienta; Luiza czuła instynktownie, że po prostu musiałyby zostać rozpoznana. W samą porę zdążyła zastygnąć w bezruchu. Najmniejsze drgnienie wewnątrz cukierni musiałyby przykuć wzrok stojącej przed wystawą brunetki. Czy tym gorączkowym przetrząsaniem torebki w poszukiwaniu klucza próbowała zatuszować fakt, że już ją rozpoznała? Luiza uświadomiła sobie nagle, że sprzedawczyni dziwnie jej się przygląda. Jej klientka od pół minuty nie powiedziała ani słowa.

— Poproszę kawałek tortu czekoladowego, tego z wiśniami. Mniej więcej

ćwiartkę. Widzę, że jest już odkrojona. . .

Jeden bezpośredni rzut oka na odbicie „Czarnego Hełmu” w lustrze powiedziałby jej dokładnie, jak sprawy stoją, ale właśnie tego w żadnym wypadku nie mogła zrobić. Stała z głową pochyloną nad ladą, oglądając wystawione wypieki i czekając, aż sprzedawczyni zapakuje zamówione ciasta. „Czarny Hełm” zniknęła sprzed wystawy, odeszła w stronę wejścia do kamienicy. Luiza udała, że ma kłopoty z odliczeniem należności, co dało jej pewność, iż dziewczyna zdaży wejść do budynku, po czym opuściła sklep.

Jeszcze w sklepie zadbała, aby pudełko z zakupionymi słodyczami wziąć w lewą rękę; prawą położyła na odpiętej klapie torebki, nad przegródką, w której był rewolwer. I dopiero wtedy wyszła na ulicę.

Ulica była pusta. Zupełnie pusta.

Podeszła spieszenie do bramy kamienicy. Przebiegła wzrokiem małe metalowe tabliczki z nazwiskami mieszkańców. Tylko jedna kobieta: *Apt. 2. Sonia Karnell*. Wróciła do miejsca, gdzie stał zaparkowany Saab ze Stigiem Palme za kierownicą.

— Jedziemy z powrotem do Grand Hotelu — powiedziała gramoląc się na sztywnych nogach na tylne siedzenie i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Psiakrew, sztywnych z napięcia!

Stigowi Palmemu nie trzeba było mówić, że ma pojechać inną drogą i ominąć kamienicę; nie wolno było dopuścić, żeby ktoś wyglądający właśnie przez okno zobaczył po raz drugi tego samego Saaba przejeżdżającego dołem. Sonia napotkała we wstecznym lusterku wzrok Stiga; Szwed puścił do niej oko. Wyczuł napięcie, nad którym usiłowała zapanować. Luiza zwróciła się do Palmego i jego kolegi, jakby składała raport.

— Gdyby mi się coś przytrafiło, to jest to dom pod numerem 490. Jestem przekonana, że chodzi o mieszkanie numer 2, niejakiej Soni Karnell. To jedyna kobieta na liście lokatorów. Ale może być i tak, że mieszkanie wynajęto na nazwisko jakiegoś mężczyzny.

— To ona odstawiła Volvo do garażu — zauważył Stig. — To też żaden dowód, ale chyba masz rację. Zaczynamy się do nich dobierać.

— Albo oni pozwalają nam się do siebie dobrać. — Cholera jasna, wciąż jeszcze mówiła przez zaciśnięte zęby. Ten epizod w cukierni zupełnie ją wykończył. Wciąż nie panując nad głosem, podjęła „raport” dla Beauraina. — Pasażer: mężczyzna, włosy blond, gęste, do ramion, długie baczki, okulary w złotej oprawie. Nieco wyższy od doktora Horna czy Berlina. Może to być właśnie Theodor Norling, ale tylko zgaduję. To mieszkanie trzeba wziąć pod stałą obserwację.

* * *

W tym samym czasie, kiedy Luiza Hamilton ze swymi dwoma towarzyszami jechała śladem Volvo z lotniska Bromma, Beaurain przebywał nadal w keniez-dzie głównej policji, w gabinecie szefa Säpo, Harry'ego Fondberga. Dzwonił stąd właśnie do Londynu, do inspektora Swifta ze Special Branch.

Swift znał Beauraina od lat i, jak większość jego kolegów w całej Europie, traktował Belga tak, jakby nadal dowodził brukselską brygadą antyterrorystyczną. Wieści, jakie miał do przekazania, podziały niby balsam na duszę Beauraina. Na jego to prośbę wysłał przed kilku dniami swoich ludzi do Guildford w hrabstwie Surrey, z dość dziwnym zadaniem: mieli jeździć w kółko autobusem z Guildford do Woking i rozglądać się za podejrzanymi wyglądającymi obcokrajowcami.

— Do tej pory, Julesie, wynik jest piętnaście zero dla nas. Wszyscy na fałszywych paszportach i każdy miał przy sobie ukrytą broń. Wśród nich parę prawdziwie ciemnych typów.

Podstęp z Litowem miał dwa ostrza. Zaplanowano go pierwotnie z myślą o trafieniu śladem Litowa do kwatery głównej Syndykatu. Żywiono jednak ukrytą nadzieję, że wywabi on do Anglii najgroźniejszych zbirów Syndykatu, którzy w ten sposób zostaną wyłączeni z gry, gdy przyjdzie do głównego starcia. Special Branch zwinęła całe towarzystwo.

— Wszystko jest zupełnie na opak! — Fondberg dolał im obu kawy, potrząsając z irytacją głową. — Dzwoni do mnie ten śliski drań, Joel Cody, i rozmawia, jakby ofiarowywał mi wstęp do jakiegoś ekskluzywnego klubu. Informuje, że Harvey Sholto jedzie do Sztokholmu, gdy tymczasem facet już tu jest. Mówiłem ci, że moi ludzie na Arlandzie go przyuważyli.

— Co cię właściwie niepokoi, Harry?

— Nasze stosunki z CIA układają się zazwyczaj całkiem poprawnie. Aż tu nagle Ed Cotel przyjeżdża do Sztokholmu bez jednego słowa uprzedzenia z Waszyngtonu. Mówię ci, coś tu śmierdzi. Natomiast informują o przybyciu Sholto, bardzo podejrzanego i groźnego typu. Po co ściągają moją uwagę na Sholto, a próbują kryć Cottela?

— Zakładasz, że wiedzą, gdzie jest Cotel — zauważył Beaurain.

— Chcesz powiedzieć...

— Sam jeszcze nie wiem, co chcę powiedzieć, Harry. Masz jakieś zdjęcie tego Sholto? To znaczy jakieś wcześniejsze, z czasów, kiedy pracował na Dalekim Wschodzie?

Fondberg sięgnął do szuflady, wyjął jakąś teczkę i wyciągnął z niej dwa zdjęcia. Jedno zrobiono na Arlandzie chwilę po przylocie. Przedstawiało wysokiego, barczystego mężczyznę o wielkiej, okrągłej, niemal zupełnie łysej głowie i zim-

nych oczach.

Beauraina zainteresowało jednak drugie z nich, pognieciona fotografia o wystrzępionych brzegach, przedstawiająca jakiegoś mężczyznę stojącego na tle chaty w dżungli. Tej samej budowy ciała i tego samego kształtu głowy, ale aż trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek. Przede wszystkim dlatego, że miał wąsy i gęstą, ciemną czuprynę.

— Kiedy i kto zrobił to zdjęcie, Harry?

— Dwa lata temu, z ukrycia, nasz człowiek w Bangkoku. Mógł być jednym z głównych europejskich łączników z siecią handlarzy narkotyków, biorącą swój początek w Złotym Trójkącie. Narkotyków, które trafiają ostatecznie na ulice Sztokholmu, Malmö, Göteborga i tak dalej.

— Ten facet w dżungli to na pewno Sholto?

— Takie nazwisko podał nasz człowiek z Bangkoku. Ale myśl o tym, że Harvey Sholto grasuje swobodnie po moich ulicach, nie daje mi spokoju jeszcze z innego powodu. Mówiłem ci, że tego naszego człowieka z Bangkoku znaleźniono w jednym z klongów?

— Tak.

— No więc zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, zadzwoniłem do kogoś innego w Bangkoku, kto zna wszystkie tamtejsze plotki. Ale pamiętaj — zastrzegł się Fondberg — że użyłem tu słowa „plotki”. Otóż krążyły słuchy, że człowiek, który zabił naszego agenta, przyleciał do Bangkoku z Manili. Był jednym z łączników Harveya Sholto, kiedy ten bawił na Filipinach.

— Chyba nie sugerujesz, że Amerykanie. . .

— Nie jestem pewien. Ale jedynym człowiekiem, który może wiedzieć, co tu się dzieje, jest Ed Cotel.

— Czy możesz mi dać te zdjęcia Sholto? Masz więcej odbitek? To dobrze. — Beaurain wziął kopertę, do której Szwed wsunął fotografie, i czym prędzej schował ją do kieszeni, żeby Fondberg się nie rozmyślił. Dopiero wtedy poruszył temat ogromnie krępujący dla szefa Säpo. — Dziękuję, żeś tak szybko zwolnił mojego człowieka na dworcu centralnym. Ta przesyłka heroiny z Helsingoru była. . .

— Psiakrew, aleśmy to spieprzyli! — Fondberg walnął pięścią w stół, by podkreślić swoje rozgoryczenie. — Obstawiam cały teren dworca policją. Chcę być sprytny, więc każę trzymać się z daleka od wagonu z narkotykami. A Syndykat przysłała dwóch ludzi w mundurach szwedzkich policjantów. Jules, pozwoliłem, żeby mi to sprzątnęli sprzed samego nosa — czterdzieści milionów koron! I co mam w zamian?

— Całkiem niemało, Harry — zapewnił go uspokajająco Beaurain. — Powiązanie Norlinga z narkotykami, a co za tym idzie, z Syndykatem. Pamiętasz ostatnie tajemnicze słowa Litowa? „Heroina. . . Norling. . . zdrajca. . .” Wreszcie masz pewność, że Norling tkwi po uszy w tej haniebnej organizacji.

— Ale nie mam żadnych dowodów — odparł z niezwykłym u niego rozgoryczeniem Fondberg. — Co mi po ostatnich słowach jakiegoś nieżyjącego już Rosjanina? I skąd tu w ogóle, u diabła, Rosjanin? A na dobitkę przepadła cała partia narkotyków.

— Harry, czy masz jakieś — jakiegokolwiek — informacje o Norlingu?

— Tak. Pozuje na antykwariusza zajmującego się handlem rzadkimi książkami.

— Pozuje?

— Może nawet rzeczywiście nimi handluje, żeby zamaskować w ten sposób swoją prawdziwą działalność. Tłumaczyłoby to jego długie nieobecności w Sztokholmie, bo przecież międzynarodowy pośrednik musi dużo podróżować. Ma mieszkanie w Gamla Stan, czyli na naszym Starym Mieście. Tuż obok kościoła św. Gertrudy. — Fondberg wyjął z innej szuflady plan Sztokholmu. — O tu, zobacz. — Postawił na planie mały krzyżyk. — Obiło mi się też o uszy, że prawdziwym szefem tej parszywej organizacji jest jakiś tajemniczy Hugo.

— Hugo?

— Tak, kompletnie nie wiadomo, co to za jeden. Mówi się tylko, że nawet członkowie Syndykatu trzęsą przed nim portkami.

Zadzwoił telefon. Flegmatyczny zazwyczaj i rozważny w ruchach Fondberg tym razem aż rzucił się na czarny aparat. Słuchał przez chwilę, kilka razy powiedział coś po szwedzku, po czym trzasnął słuchawką o widełki i wyprostował się za swym biurkiem.

— Widziano Norlinga. Jedzie Renaultem w kierunku ulicy, zwanej przez nas Aleją Ambasad, przy której znajdują się wszystkie przedstawicielstwa obcych krajów. Trochę dalej jest spora przystań jachtowa z całą flotyllą łodzi. Samochód już na nas czeka.

* * *

W salonie mieszkania Soni Karnell, na pierwszym piętrze kamienicy przy Radmangatan 490, blondyn w złotych okularach sprawdzał mechanizm Walthera 0.765. Dziewczyna przyglądała się temu uważnie. Przewrotnym zbiegiem okoliczności była to broń policyjna. Blondyn po raz trzeci zatrzasnął magazynek, po czym wsunął rewolwer do kabury pod pachą.

— Jak ci już mówiłem, moja droga, Beaurain i ta Hamilton zjawili się w Sztokholmie. Dokładnie w chwili, kiedy nasi pierwsi znakomici goście ze Stanów zaczynają zjeżdżać się na konferencję.

— Co w tej sprawie zrobimy?

— Dopilnujemy, żeby w ciągu najbliższych kilku godzin złożono tej parze wizytę. Bez względu na to, gdzie w tym czasie będą przebywać.

— Tyle krwi...

— Czyżby twoją ulubioną sztuką był „Makbet”? — spytał dobrotliwie Norling. Widząc, że dziewczyna zbiera się, by wyjść razem z nim, podniósł rękę. — Tym razem pójdę sam. W czasie naszego pobytu w Sztokholmie nie powinniśmy się pokazywać razem, prócz sytuacji, kiedy jest to zupełnie nieodzowne. W San Francisco nie będziemy już musieli podejmować takich środków ostrożności, ale póki to znajduje się w moim posiadaniu, jestem trochę nerwowo. — Podniósł walizkę, która czekała na niego w mieszkaniu Soni Karnell. — W końcu, moja droga, czterdzieści milionów koron to nie byle co.

— I dokąd się wybierasz?

— Najpierw po Renaulta. Stoi w garażu, tam gdzie Volvo, prawda? To dobrze. Nadeszła pora, i tym razem osobiście się tym zajmę, nadać NADIR z nazwiskiem Beauraina i tej Hamilton. Mają zostać z miejsca zlikwidowani.

Sonia Karnell złożyła szybko na piersiach ręce i narzuciła sobie spokój, żeby nie okazać narastającego napięcia. Ujawnianie napięcia oznaczało dla Norlinga, że nerwy zaczynają człowieka zawodzić, o co nie tak dawno zaczął podejrzewać tego pilota, Harry'ego Norstena. Ale dla zapewnienia bezpieczeństwa Syndykatomu nie zawahałby się ani chwili przed wysłaniem kolejnego hasła NADIR. Wymieniona w nim osoba nie miała najmniejszych szans przeżycia. Często najgorszym wyjściem z sytuacji było szukanie ochrony policji.

— Zatankowałam Renaulta do pełna — zapewniła go, kiedy kładł lewą rękę na klamce drzwi wyjściowych. — Ale nadal nie wiem, dokąd się wybierasz.

— Oczywiście na przystań jachtową. Tę koło Alei Ambasad.

ROZDZIAŁ 15

Z chwilą, gdy Fondberg otrzymał informację o pojawieniu się doktora Theodora Norlinga za kierownicą Renaulta, w wielu rejonach Sztokholmu zaczęła nabierać impetu zakrojona na szeroką skalę akcja.

Nie oznakowane samochody, wiozące Beauraina, Fondberga i pozostałych policjantów, wyjechały z komendy głównej i pomknęły przez miasto, lawirując w gęstym ruchu ulicznym przy akompaniamencie pisku hamulców pozostałych pojazdów i przekleństw ich kierowców. Pędziły w stronę Królewskiego Klubu Motorowodnego, przystani jachtowej w dzielnicy Djurgardsbron. Fondberg prowadzący osobiście pierwszy z wozów wyjaśniał Beaurainowi:

— Mamy pisemny rysopis Norlinga i jego zdjęcie zrobione teleobiektywem. Oba zostały rozdane wszystkim policjantom, którym, mam nadzieję, mogę zaufać.

— Nie masz zaufania do wszystkich zatrudnionych w policji? — spytał półgłosem Beaurain.

— Nie bądź dzieckiem — odparł Fondberg. — Oczywiście, mój wydział podlega ostatecznie ministrowi sprawiedliwości. Żeby wymusić dla siebie jakąś swobodę działania, musiałem przeskoczyć swego bezpośredniego zwierzchnika. Czy wiesz, o co poprosił mnie minister w zamian za przyzwolenie na ciche śledztwo w sprawie Syndykatu?

— Nie.

— O ochronę domu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, i to wyłącznie ludźmi z Säpo. Po ulicach porusza się tylko kuloodporną limuzyną z obstawą Säpo na motocyklach. Taką cenę musiałem zapłacić za zachowanie swego stołka.

— To samo dzieje się w innych krajach.

Panujący zwykle nad swoim głosem Fondberg aż zapiał ze wściekłości: — Nic mnie to nie obchodzi! Najwyższa pora położyć temu kres!

— Po to właśnie tu przyjechałem. Licz się z tym, że może będziesz musiał przymknąć na niejedno oczy. Czy zbliżamy się do Grand Hotelu? To dobrze. Zatrzymaj się tu na chwilę. Chciałbym kogoś zabrać, jeżeli już jest w hotelu.

* * *

Doktor Theodor Norling posuwał się swoim Renaultem wolniej, niż się spodziewał, ale też jechał znacznie ostrożniej, niż pędząca przez miasto kawalkada Fondberga. Nie miał najmniejszej ochoty, żeby jakiś radiowóz zatrzymał go za łamanie przepisów ruchu; biorąc pod uwagę zawartość walizki spoczywającej na siedzeniu obok niego, byłaby to prawdziwa katastrofa.

Mimo to zbliżał się już do Diplomatstaden, dzielnicy ambasad położonej tuż obok docelowego punktu jego podróży — przystani jachtowej, gdzie na kotwicach kołysała się cała flotylla większych i mniejszych łodzi. Spojrzał na zegarek. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziesięć minut i będzie na miejscu.

* * *

Siedząc na tylnym siedzeniu Saaba, którego Stig Palme prowadził z powrotem do Grand Hotelu, Luiza spoglądała niespokojnie pod nogi na przyrzuconą kawałkiem koca broń. Była to ulubiona broń Stiga, znajdująca się na standardowym wyposażeniu szwedzkiej armii. Pistolet maszynowy model 45 kalibru 9 mm ze składaną kolbą przystosowany do oddawania pojedynczych strzałów — przy lekkim naciśnięciu spustu — lub morderczych ciągłych serii trzydziestu sześciu pocisków w sześć sekund.

Teleskop rozbudował sobie stopniowo w całej Europie sieć ukrytych składów broni i amunicji. Przekraczanie granic państwowych z bronią było zbyt niebezpieczne. Tylko „Burzę Ognia”, zakupioną od pewnego greckiego milionera, przebudowano w przemyślny sposób, konstruując tak wiele skrytek, schowków i kryjówek, że zmieniła się w pływający arsenał. W Szwecji skład broni Stiga Palmego znajdował się w piwnicy pewnego wiejskiego domu, stojącego przy autostradzie E3 do Strängnäs.

— Jesteśmy na miejscu! — zawołał radośnie Palme. — Oto i Grand Hotel.

— Stań tutaj!

Szwed zareagował natychmiast i płynnie zatrzymał samochód przy krawężniku, nie podjeżdżając pod samo wejście. Po prawej stał ten sam co zwykle sznur zaparkowanych Mercedesów i Citroënów, połyskujących nieskazitelnie wywoskowanymi karoseriami. Po lewej tryskały plamami jaskrawej czerwieni skrzynki pelargonii, które zupełnie bezlitośnie przycinał jakiś ogrodnik.

— Beaurain na nas czeka — powiedziała Luiza.

Ledwie zdążyła wymówić te słowa, gdy Belg otworzył tylne drzwiczki Saaba,

wetknął głowę do środka i powiedział szybko:

— W hotelu powiedzieli, że was nie ma, ale miałem przecucie, że wróćcie lada chwila. Musimy natychmiast jechać — mamy wiadomość, że zauważono doktora Theodora Norlinga we własnej osobie.

— Wiemy — odparła Luiza. — Przyleciał małą Cessna na lotnisko Bromma — z „Czarnym Hełmem”! Ta baba pojawia się dosłownie wszędzie! Być może nazywa się Sonia Karnell. Mieszkanie numer 2 przy Radmansgatan 490. Norling trzymał w ręku walizkę — kurczowo ją ścisnął.

— Jezu! Czy to znaczy, że jednak nas wykiwał? Czy ta walizka była mniej więcej tej samej wielkości, co... .

— Tamta w wagonie ekspresu do Sztokholmu? Tak, tej samej.

— Stig, widzisz tego Saaba, którego kierowca starannie nas nie zauważa? To Harry Fondberg. Nie strać go z oczu. Przypuszczamy, że Norling jedzie do przystani jachtowej koło Alei Ambasad.

— Znam tę przystań.

Beaurain zmusił się, żeby krótką odległość do samochodu Fondberga pokonać spacerowym krokiem, choć nogi same podrywały mu się do biegu. Wsiadł do Saaba, zatrzaskał drzwiczki i zapalił papierosa. — Norling ma walizkę, której opis dokładnie odpowiada tamtej z wagonu na dworcu centralnym. Przyleciał skądś samolotem i wylądował na Brommie.

— Rany boskie! — Fondberg uruchomił silnik, co było sygnałem dla pozostałych wozów, żeby zrobiły to samo. — Chcesz powiedzieć, że to może być ta sama wielka przesyłka narkotyków, przez którą zginął mój człowiek w Bangkoku? Zapnij mocno pasy i dobrze się trzymaj!

* * *

Siedzący w wynajętym Citroënie Amerykanin miał na głowie szwedzką czapkę marynarską. We wstecznym i bocznych lusterkach samochodu widział wszystkie najdrobniejsze szczegóły: Beauraina wbiegającego na chwilę do hotelu, po czym czekającego niepozornie na chodniku nie opodal wejścia; przyjazd Saaba z Luizą Hamilton na tylnym siedzeniu i dwoma nieznanymi mężczyznami z przodu. Widział szybką wymianę zdań między Beaurainem i Luizą; powolny powrót Belga do innego Saaba, za którego kierownicą siedział Harry Fondberg. Odczekał, aż kawalkada samochodów — zamykana przez drugiego Saaba z Luizą Hamilton — odjedzie, po czym odbił od krawężnika i ruszył w ślad za nią. Ed Cotel z CIA potrafił rozpoznać sytuację alarmową, kiedy się na nią natknął.

* * *

Od momentu opuszczenia komendy zachowywali ciszę radiową. Fondberg zabezpieczył się na wszelki wypadek, przesyłając wiadomość człowiekowi, który zauważył Norlinga, żeby użył radia, ale tylko w przypadku, gdyby się okazało, że Norling nie kieruje się jednak do przystani jachtowej.

Do momentu odjazdu „konwoju” sprzed Grand Hotelu taki sygnał nie nadszedł. Samochody ruszyły dalej, najpierw dwa nie oznakowane wozy policyjne, potem Saab Stiga Palmego i Luizy Hamilton, a blisko za nimi z kolei Citroën Cottela — wyposażony w radiostację z ręcznie zamontowaną po wynajęciu samochodu. Za jej pomocą utrzymywał kontakt ze swymi, jak to nazywał Fondberg, „oczami”. Trzymając się o jeden pojazd za Saabem Stiga Palmego, uruchomił ją teraz.

— Tu Karmel. Słyszycie mnie? Dobra. Czy Ozark się pojawił?

— Tu Monterey, Karmel. Nie, powtarzam, nie pojawił się. Do tej pory ani śladu Ozarka. Prowadzę dalej nadzór i czekam na dalsze instrukcje.

— W porządku.

Z wyrazem rezygnacji na twarzy Cottel odwiesił mikrofon i skupił się na tym, żeby nie zgubić w ruchu ulicznym Saaba. Ciągnęło się to już wiele dni i nie pozostało mu nic innego, jak trwać w uporze. Wcześniej czy później musi nastąpić przełom.

„Ozark” był kryptonimem Wiktora Raszkina. Rzecz w tym, że facet jakby zapadł się pod ziemię.

* * *

— Podaj mi pistolet, połóż go na fotelu obok mnie — poprosił Luizę Stig Palme, z ręcznie lawirując za dwoma nie oznakowanymi wozami policyjnymi. Dojeżdżali już do Alei Ambasad, co oznaczało, że są bardzo blisko przystani jachtowej. Nie zadając żadnych pytań,

Luiza podniosła z podłogi zawiniętą w naoliwione płótno broń i położyła delikatnie na pustym siedzeniu przed sobą.

— Krystynka może mi się przydać — dorzucił Palme tonem wyjaśnienia. W typowy dla siebie sposób nadał ulubionej broni żeńskie imię. Kiedy wprowadzał ją do akcji, zwykł używać dość pikantnego języka. — Ktoś nas śledzi. Nie oglądaj się. Jedzie kremowym Citroënem.

— Wiesz choć z grubsza, od kiedy?

— Stał zaparkowany tyłem do nas przed Grand Hotelem. I od tamtej pory stosuje normalną technikę trzymania się o jeden pojazd za nami. Wygląda na to, że Syndykat obstawił Grand Hotel całą grupą swoich ludzi.

— Mówisz, że tylko jeden człowiek?

— Jeśli to zawodowy morderca najwyższej klasy, to wystarczy jeden. Jednemu łatwiej się ulotnić po wykonaniu roboty. Może mu chodzić o Beauraina — dodał i umilkł.

Luiza przyglądała się zafascynowana, jak Palme, prowadząc samochód jedną ręką, drugą odwija natłuszczony materiał i wyjmuje Krystynkę. Pistolet maszynowy był już załadowany.

— Dojeżdżamy do newralgicznego obszaru — ostrzegł Palme Luizę i zatrzymał Saaba.

* * *

Doktor Theodor Norling zaparkował samochód w pobliżu pomostu. Przystań była ogromna. Od wody ciągnęła lekka bryza orzeźwiająca powietrze i łagodząca żar słońca prażącego z bezchmurnego nieba. Zamknął Renaulta i na kilka sekund zastygł w bezruchu z walizką w ręce.

Arne, solidny jak zawsze, szedł już w jego stronę. Przed zejściem na wodę Norling próbował znaleźć w tej scenie coś, co choć trochę odbiegałoby od normy. Na kotwicach kołysała się cała flotylla łodzi najróżniejszych typów i wielkości, rój barw wibrujących w jaskrawym słońcu. Już teraz czuł na karku jego palące promienie. Były wśród nich luksusowe jachty pełnomorskie, wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia elektroniczne, a także małe i duże motorówki i cała gama żaglówek, najczęściej z kolorowymi żaglami.

— Szalupa czeka, żeby zabrać pana na „Ramsö” — poinformował Arne swego pryncypała.

— Śpieszę się — powiedział lakonicznie Norling.

Za jego plecami, za gęstą zasłoną drzew i krzewów, po przeciwnej stronie niewidocznej drogi, wznosiły się budynki ambasady amerykańskiej z prowadzącym do nich ciągiem schodów. Z masztu powiewała na wietrze flaga w pasy i gwiazdy. Nim doktor Theodor Norling wszedł do łodzi, którą przytrzymał mu Arne, odwrócił się i krótko jej zasalutował. Przypadkowy widz nie byłby w stanie określić, czy był to gest ironiczny, czy najzupełniej poważny.

* * *

— Wielki Boże, to on! Ucieknie nam!

Trzy samochody zajęły przed przystań jachtową. To Luiza, która podbiegła do miejsca, gdzie stał Beaurain z Fondbergiem, potwierdziła ich najgorsze przypuszczenia. Zanim wyskoczyła z Saaba Stiga Palmego, który przezornie zaparkował w sporej odległości od samochodów policyjnych, rzuciła się przez oparcie przedniego siedzenia, omal nie zwalając się przy tym Stigowi pod nogi, i porwała ze skrytki pod deską rozdzielczą silną lornetkę. Kiedy nastawiła ją na malejącą motorówkę, aż nazbyt wyraźnie ujrzała jej dwóch pasażerów.

Tego, który prowadził motorówkę w stronę kołyszącego się na kotwicy wielkiego jachtu, nie znała, natomiast rysy twarzy drugiego z nich, trzymającego w objęciach walizkę, wryły jej się w pamięć z przerażającą wyrazistością — już wtedy, gdy natknęła się na niego przed sklepem na Radmansgatan i napotkała spojrzenie zimnych oczu, które wpatrywały się w nią bez ruchu zza szkieł w złotych oprawkach. Teraz patrząc przez lornetkę dostrzegła króciutki błysk słońca na złotych oprawkach tych samych okularów.

— To on — rzuciła Stigowi i podbiegła do Beauraina, żeby powtórzyć to ostrzeżenie.

— Jesteś tego pewna? — spytał Beaurain, spoglądając niezdecydowanie na Stiga Palmego.

— Cholera jasna, myślisz, że jestem ślepa?! — krzyknęła na niego. — Stał przede mną nie dalej niż ty teraz!

— Harry, czy możesz zatrzymać ten jacht? Jeśli rzeczywiście do niego płyną?

Fondberg pokręcił głową z powątpiewaniem, wyraźnie zasepiony. — Po pierwsze, nikt mi na to nie pozwolił, a i niby jaki miałbym podać powód do podjęcia takiej akcji? Mógłbym co prawda zawsze argumentować, że nie wiedziałem, że to Norling, ale... Po drugie, ten jacht wyciąga kupę węzłów, a policji rzecznej nigdy nie ma tam, gdzie jest potrzebna.

— W takim razie właśnie teraz, Harry, popatrzysz sobie w przeciwną stronę albo zamkniesz oczy.

Motorówka wioząca doktora Norlinga przybiła właśnie do burty jachtu. Luiza zobaczyła przez lornetkę, jak Szwed zwinnie wspina się na pokład z walizką w lewej ręce. Na mostku jachtu pojawili się członkowie załogi, szykujący się najwyraźniej do zapuszczenia silników.

— Heroina wartości czterdziestu milionów koron — powiedział dobitnie Beaurain. — Już wkrótce zaleje ulice Sztokholmu, niosąc nowe niewypowiedziane nieszczęścia.

— Na miłość boską! — zawołał wyprowadzony z równowagi Szwed. — I tak

już czuje się dość bezradny!

Luiza obserwowała przez lornetkę rzekomego antykwariusza, Beaurain stał obok niej, tyłem do Fondberga. Kątem oka dostrzegła, że nieznacznym ruchem rąk rysuje w powietrzu walizkę. Tknięta jakimś nagłym przeczuciem, obejrzała się przez ramię w prawo, gdzie stał zaparkowany Saab Stiga Palmego.

Palme stał oparty o samochód dla zachowania lepszej równowagi. Na wysokości ramienia trzymał swoją Krystynkę. Wylot lufy pistoletu maszynowego skierowany był ku wodzie i kołyszącemu się na niej jachtowi. I nagle ciszę poranka rozdarł potworny grzechot.

Trwał sześć sekund, tyle, ile Stig Palme potrzebował do wystrzelenia trzydziestu sześciu kul kalibru dziewięć milimetrów. Palme był znakomitym strzelcem. Luiza przywarła oczami do swej polowej lornetki. Norling nie zdążył nawet wypuścić walizki z ręki, gdy seria z pistoletu maszynowego rozpruła ją wzdłuż i wszerz, zmieniając w sieczkę ją samą i jej zawartość. W następnym momencie szczątki walizki dosłownie wymiotło za burtę jachtu; usłały powierzchnię wody na przestrzeni wielu metrów i natychmiast zaczęły się rozpląwać na wszystkie strony. A cała salwa była tak celna, że — na ile widziała Luiza — żadna kula nawet nie drasnęła Norlinga.

— Cholera jasna, co tu się...

Fondberg wsunął już rękę pod marynarkę i sięgał do kabury pod pachą, gdy poczuł na ramieniu silny uścisk Beauraina.

— Mówiłem ci, Harry, żebyś patrzył w inną stronę!

— Przepraszam. To odruch. Mam nadzieję, że ten twój człowiek umie szybko zniknąć.

Rzucił krótki rozkaz swoim ludziom, którzy znieruchomieli na swoich miejscach, po czym odwrócił się, żeby spojrzeć na jacht. Palme siedział już za kierownicą swego Saaba. Pistolet maszynowy zniknął. Bez pośpiechu zawrócił i odjechał. Stado ptaków spłoszonych kanonadą poderwało się z ziemi i z łopotem skrzydeł pomknęło nad wodę. W ciszy, która nagle zapanowała, zupełnie wyraźnie słychać było, jak wzbijają się w powietrze. Chwilę później zagłuszyło je odległe, wibrujące dudnienie zwiększających obroty silników jachtu.

— Ależ on musi być wściekły — mruknął Beaurain.

Na pokładzie „Ramsö” Norling wydał rozkaz: ruszać!!! Jeszcze raz spojrzął na rękę, w której trzymał walizkę, w dalszym ciągu nie mogąc uwierzyć, że nie został nawet draśnięty. Kiedy kule zaczęły nadlatywać, poczuł mocne szarpnięcie, walizka wyrwała mu się z dłoni, jakby obdarzona jakąś nadprzyrodzoną mocą, po czym zmieniła się w kaskadę szczątków, chmurę cennego proszku. Wszystko przepadło! W chwili, gdy jacht zaczął nabierać szybkości, wodę pokryła gruba warstwa białego pyłu. Pośpiesznie zszedł pod pokład do swojej kabiny i rzucił się na krzesło. Cały dygotał z niepohamowanej wściekłości. Siedział sam w luksusowo urządzonej kabinie, zaciskając kurczowo ręce na oparciach krzesła.

— Beaurain! Najpierw w Brukseli, potem w Kopenhadze, w Helsingorze, a teraz tu, w samym Sztokholmie! — zawołał sam do siebie. Był to nawyk, z którego w pełni zdawał sobie sprawę i któremu czasami folgował, wykorzystując go jako wentyl bezpieczeństwa. Nabył go dawno temu, w poprzednim życiu, jakże daleko od Szwecji. Oczy za szklami w złotych oprawkach nabrały zimnego i okrutnego wyrazu. Podniósł wzrok na człowieka, który zszedł po schodach i stanął w drzwiach kabiny. Był to Olof Konvall, radiooperator.

— Przepraszam, sir. — Konvall, mały nerwowy człowieczek o ziemistej cerze, cofnął się o krok napotkawszy spojrzenie Norlinga. Zawarty w nim jad mroził krew w żyłach. — Nie chciałem panu przeszkadzać... Ale kiedy zjawia się pan na jachcie, ma pan zazwyczaj do nadania jakiś sygnał.

— Na miłość boską, niech pan się zajmie swoimi sprawami! — Taki wybuch u Norlinga był czymś zgoła niezwykłym; zwykle cechował go lodowaty spokój. — Proszę powiedzieć kapitanowi, że muszę jak najszybciej przesiąść się na inną łódź.

— Już mu mówię.

— Niech pan nie odchodzi! Jeszcze nie skończyłem. — Norling urwał, wysiłkiem woli zdusił w sobie wściekłość i zmusił się do oderwania rąk od drewnianych poręczy krzesła. Powoli odzyskiwał swoje absolutne opanowanie. W jego głosie zabrzmiała chłodna, beznamiętna nuta jak u szachisty, który powziął już decyzję co do następnego ruchu. — Nada pan natychmiast NADIR i wymieni w nim Julesa Beauraina i jego kochankę, Luizę Hamilton. Niech to zaraz dotrze do wszystkich naszych ludzi. Na pierwszy ogień sama Hamilton — zlikwidować przy użyciu metod trzeciego stopnia. Teraz może pan odejść.

* * *

O Boże, to straszne! Luiza zamarła w pół kroku z kluczem do sypialni w ręku, nie panując nad szokiem i odrazą. Jak większość ludzi zatrzymujących się w hotelach, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi w złudnym przekonaniu, że to bezpieczne schronienie, przynajmniej czasowo.

Jezu, chyba zaraz zwymiotuje! Oparła się o drzwi i nakazała sobie wziąć się w garść. Żołądek usłuchał, lecz w tej samej chwili dostrzegła swoje odbicie w lustrze, co przyprawiło ją o nowy wstrząs: ściągnięte wargi odsłaniały zęby zaciśnięte w wyrazie morderczej furii. Poczuli, że gdyby ten, kto odpowiada za ten koszmar, znajdował się jeszcze w pokoju, mogłaby go w tej chwili zabić. Rozległo się pukanie do zamkniętych na zatrask drzwi.

Odstąpiła w bok i przekręciła gałkę. W drzwiach stanął Stig Palme. Wytrzesz-

czył oczy na wycelowaną w siebie broń, po czym przeniósł wzrok na pokój. Powoli zamknął drzwi za sobą.

— Nie uważasz, że to obrzydliwe? — spytała najłżejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć, wrzucając rewolwer z powrotem do torebki, ale nie zdołała go nabrać. Palme wypowiedział jedyne słowa, które mogły choć trochę rozładować atmosferę:

— Chyba w recepcji zgodzą się zamienić ci pokój.

Rozległo się ponowne pukanie do drzwi. Palme nakazał jej ruchem, żeby przeszła do łazienki, co zresztą okazało się błędem, bo łazienka przedstawiała sobą widok jeszcze potworniejszy niż sypialnia. Zaciśnęła zęby. Odetchnęła z ulgą, słysząc głos Beauraina.

— Gdzie Luiza? — spytał ostrym tonem. — Czy ona to widziała?

— Jest w łazience. Kazałem jej się tam schować, kiedy...

Beaurain kilkoma susami dopadł drzwi łazienki. Luiza siedziała na sedesie, nogę założyła na nogę, jedną ręką podparła łokieć drugiej, w której trzymała zapalonego papierosa; tylko ten papieros zdradzał wstrząs właśnie doznany.

— Tylko zupełnie chory umysł... — zaczęła.

Łazienka rzeczywiście — jeśli to w ogóle możliwe — przedstawiała sobą jeszcze gorszy widok. Bronią, którą się posłużono, była farba w sprayu. Użyto jej z tak diaboliczną wprawą, że Beaurain zaczął podejrzewać, iż sprawcą musiał być jakiś uzdolniony artysta. Cała łazienka była dokładnie pokryta obscenicznymi malowidłami przedstawiającymi kobietę w najbardziej perwersyjnych sytuacjach, jakie można sobie wyobrazić. I za każdym razem starannie odrysowana twarz była karykaturą — lecz rozpoznawalną na pierwszy rzut oka — Luizy Hamilton.

Ściany pokoju i wszystkie inne płaszczyzny apartamentu potraktowano w podobny sposób. Beaurain przyglądał się przez chwilę, jak pali papierosa, po czym zareagował dokładnie tak, jak trzeba.

— Musimy natychmiast wynająć inny apartament, na innym piętrze, o zupełnie innym rozkładzie. I dopóki pozostaniemy w tym hotelu, będziesz nocowała w moim pokoju. Mojego łóżka starczyłoby dla czterech osób, nie tylko dla dwóch.

— Dzięki — odparła z wdzięcznością.

— Mogę z panem zamienić słówko? — spytał Stig Palme.

— Jak tylko załatwimy sprawę z pokojem.

— Ale co powiesz w recepcji? — spytała Luiza.

Beaurain natychmiast zorientował się, co ją niepokoi — że kierownik hotelu zacznie się zastanawiać, w jakim to środowisku Luiza się obraca, skoro ktoś mógł jej zrobić coś takiego. Sama czuła się zbrukana tym perwersyjnym wyuzdaniem. Tym razem także dokładnie wiedział, co odpowiedzieć. — Powiem, że moja była żona jest obłąkańczo zazdrosna i że już kiedyś była karana za czyn podobnego typu. I że... — urwał z uśmiechem — na pewno odleciała już jakimś samolotem ze Szwecji, żeby nie mieć do czynienia z policją.

Piętnaście minut później ukryli Luizę w innym apartamencie, tym razem na drugim piętrze. Z oknami wychodzącymi na ulicę, którą przejeżdża gwardia konna po zmianie warty przed Pałacem Królewskim — zapewniał zastępca kierownika hotelu, który wyraźnie wychodził z siebie, żeby zatrzeć w Luizie niemiłe wrażenie. Wychodząc przystanął jeszcze na chwilę w korytarzyku.

— Jak rozumiem, Madame nie podpierała niczym drzwi, żeby były otwarte na ten krótki czas jej nieobecności w pokoju?

— Nie, z całą pewnością nie podpierałam niczym drzwi, żeby były otwarte. — Na kredowobiałej twarzy Luizy pojawił się nikły uśmiech.

— Ależ oczywiście! Mam nadzieję, że Madame nie ma mi za złe, że o to zapytałem? Dziękuję. O, jest szampan. Proszę go potraktować jako drobny prezent od kierownictwa hotelu.

* * *

Stig Palme odbył swą rozmowę z Beurainem w Saabie zaparkowanym przed hotelem. Sam wybrał to miejsce. W ten sposób miał pewność, że nikt ich nie podsłuchuje.

— Widział pan, jak zamykają się drzwi tamtego apartamentu? Żeby je otworzyć z zewnątrz, trzeba przekreślić klucz. Zdaje się, że Syndykat popełnił pierwszy poważny błąd. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że jeśli ruszę tym śladem, uda mi się wreszcie rozpracować ich siatkę.

— To będzie wyścig z czasem — uprzedził go Beurain. — Mam silne przeczucie, że Hugo rzuci teraz przeciw nam wszystkie swoje siły.

— Z powodu tej partii heroiny, którą przez nas stracił?

— Po części. Ale chyba jeszcze bardziej z powodu tego. — Beurain wskazał ruchem głowy ogromnego Mercedesa, który zajechał właśnie przed Grand Hotel. Z jego przepastnego wnętrza wyłonił się niski, krępy mężczyzna z neseserem, gdy tymczasem dwóch innych mężczyzn, którzy kilka sekund wcześniej wyskoczyli z drugiego samochodu, zajęło pozycje na pierwszym stopniu schodów i bacznie rozglądało się na wszystkie strony.

— Kim jest ten grubasek, że potrzebuje obstawy dwóch uzbrojonych goryli? — spytał Stig Palme.

— Leo Gehn, prezes International Telecommunications and Electronics Corporation of America. Jeden z najbogatszych i najpotężniejszych przemysłowców w Stanach. Mówi się, że wyłożył milion dolarów na kampanię wyborczą obecnego prezydenta. Może jeszcze większymi sumami zasila kasę Syndykatu?

— Nie nadażam za panem.

— Z przystani jachtowej wróciliśmy do komendy głównej policji dowiedzieć się, czy ludzie Fondberga nie mają jakichś nowych informacji. Mieli. Do Sztokholmu przybywa cała europejska i amerykańska elita władzy. Jedni własnymi samolotami, inni samolotami rejsowymi siadającymi na Arlandzie. Wszyscy zatrzymują się tylko w dwóch hotelach — w Saltsjöbaden Hotel i tu, w Grandzie. Poza Leo Gehnem do tej pory przylecieli prezesi lub szefowie rad nadzorczych pięciu największych amerykańskich korporacji, nie mówiąc już o takich jak Eugene Pascal z Paryża i wielu, wielu innych. Fondberg podejrzewa, że zjechali się tu na tajne zebranie Syndykatu; że są to wszystko ludzie, którzy albo dobrowolnie zainwestowali spore sumy pieniędzy w tę przestępczą organizację w zamian za ogromne zyski, jakie mają zamiar czerpać ze zbrodni na skalę międzynarodową, albo też zostali w najpotworniejszy sposób zastraszeni. Potrzeba mi, Stig, tylko jednej osoby, która by pękła. Tylko jednej...

Wyjął papierosa z ust i znieruchomiał wpatrzywszy się przez szybę w kolejną osobę, wysiadającą przed Grand Hotelem z prowadzonej przez szofera limuzyny. Z ciemnego wnętrza samochodu wyłoniła się jedna z najpiękniejszych i najbardziej eleganckich kobiet, które Palme widział w swoim życiu.

— Mówiłem, Stig — tylko jednej! To jest hrabina d'Arlezzo.

— Ale przecież ich interesy prowadzi na pewno jej mąż.

— Erika d'Arlezzo kupiła sobie swego męża, Luigiego, wyłącznie dla jego arystokratycznych koligacji. Sama osobiście rządzi imperium bankowym, które odziedziczyła po ojcu. Zaczekaj tutaj.

Hrabina zwlekała z wejściem do hotelu, napawając się widokiem Pałacu Królewskiego i Parlamentu i zbywając niedbałym gestem smukłej dłoni wszelkie pognaglenia. Dostrzegłszy ten gest, Beaurain uśmiechnął się do siebie — cała Erika. Był już o kilka stóp od niej, gdy drogę zastąpił mu wysoki, barczysty mężczyzna w czarnym garniturze.

— Cofnij się i nie ruszaj — warknął.

— Zejdź mi z drogi, bo ci złamię rękę — odparł z grzecznym uśmiechem Beaurain.

— Jules! — Kruczowłosa kobieta tuż po czterdziestce odwróciła się na pięcie na dźwięk jego głosu i podeszła o krok. Impulsywnie rzuciła mu się w objęcia na oczach zdezorientowanego goryla.

— Musisz wejść do mnie na górę — ciągnęła biorąc go pod ramię. — Luigi? Och, na pewno zabawia się gdzieś z butelczyną. Nie wiedziałeś? Ostatnio już prawie w ogóle nie trzeźwieje.

Kiedy wniesiono jej bagaże i zostali wreszcie sami, ujęła go za rękę i pociągnęła w stronę sypialni. Beaurain potrząsnął przecząco głową, nastawił głośno radio na użytek ewentualnych ukrytych mikrofonów, stanął przed hrabiną i rzucił jej w twarz swoje pytanie:

— Rozumiem, że twoje konsorcjum bankowe zasila finansowo kasę Syndykatu?

— Kilkoma milionami funtów — odparła bez cienia wahania. — Ma to być rzekomo pożyczka, ale Hugo mi nie wygląda na zbyt solidnego dłużnika.

Przyjrzał się jej uważnie. Stała wyprostowana jak struna i odpowiadała na jego pytanie wkładając papierosa do długiej cygarniczki. Podał jej ogień. Ze wszystkich ludzi omotanych pajęczyną Syndykatu chyba tylko ona miała dość cywilnej odwagi, żeby bez namysłu powiedzieć prawdę. Ale w takim razie, dlaczego w ogóle uległa Syndykatomu?

— Byłam jedną z osób, które poinformowano telefonicznie o śmierci głównego komisarza Wspólnego Rynku. Na tydzień przed tak zwanym wypadkiem, w którym zginął. Tak to się zaczęło.

— A jaki był ciąg dalszy?

— Opisano mi w szczegółach, co mnie czeka, jeśli odmówię zgody na przeniesienie do Sztokholmu odpowiednich sum. Mord na głównym komisarzu przekonał mnie, że Syndykat nie rzuca słów na wiatr. Jestem tchórzem, więc się zgodziłam.

— Czym konkretnie ci zagrozili? — spytał Belg.

— Że znajdą mnie — pamiętam słowo w słowo — „wiszącą i wijącą się jak świńska tusza na wietrze”. Ta perspektywa nie bardzo przypadła mi do gustu, Julesie.

— W jakim celu tu przyjechałaś?

— Jak to, w jakim? Oczywiście na zebranie. Czy też walne zgromadzenie Syndykatu, jeśli wolisz. Przypuszczam, że Hugo — albo jego przedstawiciel — chce dokonać podziału łupów. Przydzielili różnym grupom obszary wpływów, z których zyski będą rozłożone między inwestorów, w proporcji do wyłożonego kapitału. Tym właśnie mianem nas określa — dodała z goryczą w głosie. — Inwestorów. Zupełnie, jakbyśmy zajmowali się czymś jak najbardziej legalnym.

— A zajmujecie się...

— Prostyucją, hazardem, przemytem i rozprowadzaniem narkotyków, szantażem, wymuszaniem — czym tylko chcesz. Tkwimy w tym po same cholerne uszy. — Z narastającym rozgoryczeniem rozgniotła papierosa w popielniczkę i natychmiast włożyła do cygarniczki następnego, czekając, aż Beaurain jej go zapali. Nadal stali obok siebie w komfortowo urządzonego pokoju, a powaga tematu rozmowy zdawała się nie dopuszczać do nich nawet myśli, żeby usiąść.

— Dziękuję — powiedziała, kiedy Beaurain podał jej ogień, i ciągnęła dalej półgłosem i z zaskakującym wzburzeniem. W przeszłości Beaurain zawsze podziwiał jej umiejętność zachowania dystansu do wszelkich problemów. — A jedno przestępstwo tak sprytnie zazębia się z drugim, że nawzajem się wspomagają.

— To znaczy?

— Och, ekskluzywne prostytutki — a te nasze należą do najszykowniejszych i najdroższych w Europie — wykorzystuje się do kompromitowania przywódców

politycznych, którzy muszą potem tańczyć, jak im Syndykat zagra, bo inaczej ich kariera zakończy się kompromitującym krachem. Był taki jeden człowiek w Mediolanie. . .

— Wiem, kogo masz na myśli, Eriko. Był to ktoś bardzo ci bliski.

— Nie tak bliski jak ty, ale owszem, byłam z nim mocno związana, Julesie. Na tydzień przed wybuchem skandalu otrzymałam telefon z zapowiedzią, że zostanie publicznie skompromitowany. Oczywiście natychmiast go ostrzegłam, ale było już za późno. Mieli już zdjęcia, których odbitki rozesłali do wszystkich gazet i stacji telewizyjnych. Zastrzelił się — tak to przynajmniej wyglądało.

— Co to ma znaczyć? — spytał ze zdumieniem w głosie Beaurain.

Do tej pory był najzupełniej pewien, że mediolański polityk popełnił samobójstwo.

— Został zamordowany z polecenia Syndykatu, a jego śmierć upozorowano na samobójstwo. W kręgach władzy w Rzymie odebrano tę sprawę jako jeszcze jedną „demonstrację siły” Syndykatu. Taką samą, jak wypadnięcie z balkonu głównego komisarza. Możesz sobie wyobrazić potworność tej sytuacji? Nawet my, którzy mamy tyle pieniędzy i kontrolowaliśmy kiedyś prawie całą gospodarkę światową, staliśmy się marionetkami podrygującymi na sznurkach, pociąganych przez to plugastwo, Sztokholmski Syndykat.

— Kto się z wami kontaktuje? Hugo?

— Nie. Nie mam pojęcia, kto nim jest. W tych rzadkich przypadkach, kiedy się ze mną kontaktują, robi to zawsze członek dyrektoriatu odpowiedzialny za sektor śródziemnomorski, niejaki doktor Otto Berlin.

— I ostatnia sprawa — gdzie ma się odbyć to tak zwane walne zgromadzenie?

— Jeszcze nas o tym nie poinformowano, ale mam być gotowa do lotu na południowe wybrzeże Szwecji natychmiast, gdy tylko nadejdzie takie polecenie. — Znów ta sama gorzka nuta w głosie. — Tak, to właśnie nam wydają — polecenia. Ja przynajmniej w Rzymie próbowałam oporu. . .

— Nie możesz czynić sobie wyrzutów. Czy Luigi. . .

— Coś wie? Skądże znowu! Czy możesz sobie wyobrazić, jaką pomoc mogłabym uzyskać od tego pieczeniara? W kilka godzin po usłyszeniu czegokolwiek paplałby o tym na lewo i prawo w pijackim zamroczeniu. Jules. . . — Podeszła do niego tak blisko, że owionął go delikatny zapach jej perfum. — Jules, czy możesz temu jakoś zaradzić?

— Owszem, ale najpierw muszę cię wziąć pod swoją ochronę. Założysz płaszcz i natychmiast opuścisz ze mną ten hotel. Na ulicy mam swoich ludzi. Ukryjemy cię do czasu, kiedy będzie po wszystkim.

— Nie mogę, Julesie.

— Do cholery, dlaczego?! — Irytacja Beauraina nie była udawana. To zupełnie nie pasowało do Eriki.

— Z powodu Luigiego. Jeśli zniknę, oni go zabiją. Jest w Rzymie.

— Jeden telefon i w kilka godzin zostanie wywieziony poza granice Włoch.

— Nie, Julesie! — Położyła mu rękę na ustach, gdy umilkł, pocałowała. Beaurain uzmysłowił sobie, że nadal pamięta smak jej warg. — Muszę zachowywać się, jakby nigdy nic, wziąć udział w zebraniu. Ale jeśli dasz mi numer telefonu, zadzwonię i powiem ci, gdzie ma się odbyć to zebranie. Jak tylko sama się dowiem.

Beaurainowi nie bardzo przypadło do gustu to rozwiązanie. Miał nieczyste sumienie, że ją tak zostawia, ale przecież nie mógł jej do niczego zmuszać. W końcu dał jej prywatny numer Harry'ego Fondberga i hasło „Szampan” na wypadek, gdyby nie była w stanie złapać go osobiście. Po użyciu tego hasła mogła zostawić wiadomość. Kiedy wychodził z pokoju i zamykał za sobą samozatraskujące się drzwi, minął go na korytarzu ktoś z personelu ze służbowym wózkiem na kółkach. Nie widać było zawartości, bo cały wózek przykrywała płachta białego płótna. Przypomniawszy sobie tego człowieka dopiero później. Za późno.

* * *

Stig Palme poprowadził swój samochód stromą uliczką wzdłuż Pałacu Królewskiego, a następnie skręcił na Stortoret, czyli rynek, z liczącą sobie wiele wieków cembrowaną studnią, stojącą w otoczeniu chroniących ją kamiennych pachółków. Kilka minut później zaparkował Saaba u wylotu jednego z licznych zaułków tej średniowiecznej dzielnicy Sztokholmu.

Małeńki sklepik, do którego się udawał, znajdował się w połowie wyludnionej uliczki, brukowanej i tak wąskiej, że rozłożywszy ręce z łatwością dotknąłby ścian kamieniczek, stojących po obu jej stronach. Wszedł bez żadnych ceremonii, jednym rzutem oka zorientował się, że poza właścicielem w sklepie nie ma nikogo, zamknął drzwi za sobą i odwrócił wiszącą na nich tabliczkę z napisem *Zamknięte do zewnątrz*.

Nad wejściem do warsztatu wisiał wykuty w żelazie wielki klucz i jeśli ktoś w Sztokholmie umiał dorabiać wytrychy, to właśnie jego właściciel, Tobiasz Seiger. Ceny wahały się w zależności od klasy hotelu i tego, ile można było zdaniem Seigera wydusić z kupującego. W zamian gwarantował jednak całkowitą dyskrecję. Właśnie przez ten mur zawodowej dyskrecji Palme musiał się teraz przebić.

Zadania nie ułatwiał mu fakt, że Seiger go znał i nie pałał do niego sympatią. Kiedy Palme stanął w drzwiach, niski, patrzący spode łba mężczyzna miał w oczodole jubilerską lupę. Przyglądając się bez słowa, jak Palme zamyka mu sklep, powoli wyjął ją i włożył do otwartej szuflady, poniżej zasięgu wzroku Palmego. Stig zareagował natychmiast. Lewą ręką sięgnął błyskawicznie ponad ladą,

chwycił pistolet, który próbował namacać Seiger, i schował go do kieszeni. Nim Tobiasz Seiger się połapał, w oczy zajrzała mu lufa własnej broni Palmego.

— Ja nie trzymam w sklepie żadnych pieniędzy — zaczął.

— Pogadamy sobie, Tobiaszu.

Ślusarz ustawicznie się garbił, przygięty latami ślęczenia nad imadłem i dorabianymi kluczami. Ton jego głosu był na wpółnapastliwy, a na wpół służalczo przymilny. Seiger posiadał osobowość właściciela burdelu. — Grand Hotel. . .

— Powiedziałaś, Grand?

Sklepek zastawiony był szafkami i szafeczkami, wszystko pokrywała gruba warstwa brudu i kurzu, w tym także szyby w oknach, toteż we wnętrzu panował głęboki półmrok. Mimo to bystre oko Palmego dostrzegło przelotny skurcz na obwisłej twarzy Seigera, który już zniknął, zanim jeszcze się pojawił. Strach? Panika? Zanosilo się na to, że sprawa będzie trudniejsza, niż przypuszczała.

Zęby przełamać strach Seigera, zmusić do gadania tę służalczą gębę, musiał stworzyć atmosferę bezgranicznego terroru. Wcisnął mu lufę rewolweru do lewego ucha.

— Mogę dorobić panu klucz uniwersalny — wybełkotał Seiger.

— Nie próbuj mnie kołować, Tobiaszu. Wiesz dokładnie, o co mi chodzi — zobaczyłem to w twoich oczach. Kto zamawiał u ciebie uniwersalny klucz do wszystkich pokoiów Grand Hotelu?

Palme i Beaurain podczas narady doszli do wniosku, że istnieje tylko jedno możliwe wytłumaczenie potwornego wandalizmu w pokoju Luizy. Ten, kto się tego dopuścił, musiał zdobyć duplikat uniwersalnego klucza hotelowego i zapewne dorobił go sobie gdzieś w pobliżu. A gdzież miałby bliżej niż do zakładu Tobiasza Seigera na Starym Mieście, tylko przez most od Grand Hotelu?

— Nie powiem! Zapłaciłbym za to życiem! Ludzie, o których chodzi, nie wiedzą, co to litość!

Panika biła z oczu Seigera, z tonu jego głosu, ze sposobu, w jaki skulił się przed Stigiem Palmem i cofnął gwałtownie, aż ściana zastąpiła mu drogę. Palme chwycił go lewą ręką za kołnierzyk koszuli i zacisnął mocno dłoń, wbijając mu knykcie w grdykę.

Seiger zawyłby z bólu, gdyby przez zaciśniętą grdykę był w stanie wydobyć z siebie choćby szept. Palme przyłożył mu wylot lufy do prawego oka i pochyliwszy się zawisł nad nim, niemal o głowę wyższy od przygarbionego ślusarza.

— Zawsze możesz wybyć ze Sztokholmu, aż będzie po kłopotach — powiedział z ujmującym uśmiechem. — Kiedy ostatni raz miałeś prawdziwy urlop? Pewnie w zamierzchłych czasach. Przecież zapracowany, uczciwy rzemieślnik, taki jak ty, zasługuje na urlop.

Puścił nagle krawat i Seiger osunął się bezwładnie na podłogę, z nogami rozrzuconymi pod absurdalnym kątem. Zaczął rozmasowywać sobie gardło, podniósł wściekły wzrok na napastnika i wtedy zobaczył, co robi Palme. Wyras jego twarzy

uległ gwałtownej zmianie, szarpnął się, żeby wstać, i stwierdziwszy, że to przekracza jego siły, podniósł obie ręce, jakby zasłaniając się przed ciosem. Gestem wyraził to, czego nie był w stanie wyrazić słowami.

Stig Palme stał nad skulonym Seigerem, całkowicie pochłonięty swym zajęciem. Nawet nie spojrzął na leżącego ślusarza. Z niezwykłą starannością, wręcz pieczołowicie, przykręcał tłumik do swojego Lugera.

Atmosfera w maleńkim sklepiku przyprawiała o mdłości. Już w drzwiach Palme poczuł wilgoć i stęchliznę, ten nieprzyjemny zaduch, kojarzący się nieodłącznie z pomieszczeniami, gdzie nigdy nie zagląda słońce i wentylacja pozostawia wiele do życzenia. Do tego doszedł teraz odór potu ściekającego po całym ciele Seigera, plamiącego mu odzież pod pachami, perlącego się na twarzy. Smród, z którym Palme stykał się nie po raz pierwszy w życiu — smród strachu.

— Oni mnie zabiją!

— Zdajemy sobie sprawę, że chodzi o Syndykat. Podasz mi konkretne nazwisko i adres — odparł niewzruszenie Palme.

Na to drugie nawet nie liczył. W najlepszym razie mógł uzyskać nazwisko, w najgorszym rysopis, który dałoby się rozesłać w światku przestępczym Sztokholmu z nadzieją, że coś z tego wyniknie.

— W przeciwnym razie odstrzelę ci łeb.

I Tobiasz Seiger, który większość swego życia spędził w tej mrocznej norze, odkrył przed nim żyłą złota.

— Blondyn, nie wiem, jak się nazywa. Płaczone było oczywiście z ręki do ręki... Blondyn z bakami i włosami do ramion... W okularach w złotych oprawkach. Nieco niższy od pana, ale nie malutki... Jakieś pięć stóp, jedenaście cali. Rozmawialiśmy po francusku. Widziałem go już przedtem. Dwa razy. Wiem, gdzie mieszka.

Stig Palme bacznie się pilnował, żeby zachować beznamiętny wyraz twarzy. Ta pozorna obojętność przy nakręcaniu tłumika wzmagała grozę sytuacji. Wielki Boże, Seiger opisywał przecież doktora Theodora Norlinga, jednego z trzech ludzi rządzących Sztokholmskim Syndykatem! Dlaczego taki facet nie przysłał po wytrych jakiegoś pomagiera? W tym momencie przypomniał sobie słowa Beau-raina, że Norling ma mieszkanie tuż obok, w wytwornym otoczeniu kościoła św. Gertrudy. Kiedy Seiger doszedł do „wiem, gdzie mieszka”, Palme siłą woli opanował się, żeby mu nie przerwać. Sztuka przesłuchiwania polega często na tym, żeby wiedzieć, kiedy milczeć.

— ... to był dziwny zbieg okoliczności — bełkotał dalej Seiger. — Sam nie bardzo mogłem uwierzyć, kiedy zobaczyłem go w drodze do pracy... Często nocuję u mojej siostry, która mieszka w Strängnäs. Wracając kiedyś od niej szosą E3, poczułem naturalną potrzebę. Zjechałem na pobocze... Czy mogę się czegoś napić?

— Nie!

Wszystko ważyło się jak na szalach jubilerskiej wagi; najmniejsza przerwa mogła wystarczyć, żeby Seiger się opamiętał i przestał płynąć potok słów. Co to za brednie o E3 i jakiejś tam wsi? Norling mieszkał przecież w Gamla Stan! Pogodziwszy się z tym, że nie dostanie nic do picia, Seiger ciągnął dalej coraz bardziej ochryplym głosem:

— Kiedy stałem przy drzewie, zobaczyłem, jak ten człowiek wychodzi z domu spory kawałek dalej... Zawsze noszę przy sobie małą lornetkę... To moje hobby — obserwuję ptaki. No więc, to był on! Odczekałem chwilę, a on wyprowadził samochód i odjechał w stronę Sztokholmu, czyli w tę samą co ja. Ruszyłem za nim, a kiedy na szosie się trochę zagęściło, podciągnąłem bliżej. W ogóle mnie nie zauważył! Jechał Volvo z tabliczkami korpusu dyplomatycznego amerykańskiej ambasady.

Spadło to na Palmego jak grom z jasnego nieba, ale nie stracił głowy. Wypranym z emocji głosem spytał o dokładne położenie domu. Okazało się, że wymaga to dość szczegółowych wyjaśnień, mimo iż Palme dobrze znał drogę do Strängnäs. Musiał ustalić wszystkie znaki orientacyjne, dom bowiem, choć widoczny z szosy, stał od niej z dala, na zupełnym odludziu.

— To jeden z takich starych domów — wyjaśniał pośpiesznie Seiger. — No, wie pan, spiczaste dachy i wystające okna, tak jak to kiedyś budowano. Musi mieć z pięćdziesiąt lat.

— Nie ruszaj się z miejsca!

Palme rzucił swój rozkaz tak zimnym tonem, że Seiger nawet nie próbował podnieść się zza lady. Palme podszedł powoli do drzwi, przekręcił po cichu klucz i wysunął się na zewnątrz, prześlizgując się od razu w lewo, wzdłuż wystawy, co było ostatnią rzeczą, jakiej mógłby się spodziewać ktoś, kto by na niego czekał. Istotnie, czekano na niego. Było ich dwóch. Średniego wzrostu, barczyści, w ciemnych okularach, na pewno nie Szwedzi. Tylko coś było nie w porządku z ich butami...

Ten po lewej rzucił się w przód z nożem w wyciągniętej ręce. Popełnili tylko dwa błędy. Nie zorientowali się, że od wewnątrz widać było sylwetkę jednego z nich przesuwającą się z wolna pod oknem i że klamka zamkniętych drzwi, nacisnięta delikatnie przez jego kolegę, cichutko zgrzytnęła.

Drugim błędem było niezwrócenie uwagi na opuszczoną i przyciśniętą do boku dłoń Palmego, dłoń zaciśniętą nadal na kolbie Lugera z tłumikiem. Kiedy zabójca dał nura do przodu, Palme poderwał rękę i strzelił. Na czole mordercy, dokładnie między oczami, pojawiła się mała dziurka. Drugi z nich, pewien, że kompan poradzi sobie z Palmem, wtargnął do sklepu. Szwed wpadł tuż za nim przez otwarte drzwi w samą porę, by zobaczyć, jak bandzior przechyla się ponad ladą.

Gdyby Seiger nie sprowokował Palmego do zabrania mu z szuflady Walthera, byłby się uratował. W tej samej chwili, kiedy Palme przeskoczył przez próg,

morderca wbił Seigerowi nóż w pierś po samą rękojeść. Rozległ się charkocący jęk, któremu zawtórował odgłos upadku Seigera na podłogę. Palme przycisnął wylot tłumika swego Lugera do karku mordercy. Potworne, ale sprawiedliwe — te dranie uwielbiały stosować stare nazistowskie metody egzekucji.

Mężczyzna zamarł w bezruchu i zaczął coś mówić... po niemiecku! Palme nacisnął spust. Paf! W ciszy ohydnie cuchnącego sklepiku zabrzmiało to niewiele głośniej niż wydech powietrza. Morderca rozpostarł ręce na ladzie, jakby chciał się podźwignąć w górę, a kiedy Palme cofnął się o krok, złożył się wpół i zwałił ciężko na podłogę. Palme wyciągnął z kieszeni rewolwer Seigera, szybko wytarł wszystkie odciski palców i wrzucił go do nadal otwartej szuflady.

Ostrożnie wyśliznął się ze sklepu, wycierając po drodze obie klamki. W mrocznym zaułku nadal nie było żywego ducha. Jedynym świadkiem był trup pierwszego mordercy zwinięty w kłębek pod wystawą sklepu Tobiasza Seigera. Wsunął Lugera pod marynarkę, za pasek spodni. Przemknął szybko do miejsca, gdzie zaparkował swojego Saaba, wskoczył za kierownicę i odjechał — już zupełnie spokojnie.

ROZDZIAŁ 16

Kompleks nowoczesnych budynków w kolorze ochry i żółci, należących do ambasady Związku Radzieckiego w Sztokholmie, jest zupełnie odcięty od zewnętrznego świata wysokimi murami z drutem kolczastym. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę patrolują tu strażnicy dostarczani — żeby było dziwniej — przez ABAB, jedną z dwóch wielkich sztokholmskich agencji ochrony miasta. Od wewnątrz sprawa wygląda inaczej. Wszystkich wejść strzegą pracownicy KGB, a ściany kompleksu naszpikowane są wizjerami kamer obserwujących bacznie każdego przybysza, kamer wycelowanych w otaczający świat jak lufy karabinów.

Tylko najbardziej uprzywilejowanym wolno w ogóle opuszczać teren ambasady. Z zewnątrz można czasami zobaczyć jakąś Rosjankę z kokiem na głowie, przechadzającą się za siatką z drutu; to żona któregoś z pracowników ambasady. Po kilku latach spędzonych na placówce powróci do Rosji nie mając pojęcia, jak wygląda szwedzka stolica. Żadne z tych ograniczeń nie obejmowało oczywiście Wiktora Raszkina.

— Witamy po powrocie, towarzyszu sekretarzu — powitał swego szefa Grigorij Siemionow, gdy Raszkin wszedł do swego biura.

— Są jakieś sprawy? — spytał sucho Raszkin siadając w obszernym, obitym skórą obrotowym fotelu za imponujących rozmiarów biurkiem. Nawet jednym spojrzeniem nie zaszczycił wspaniałego widoku, jaki rozciągał się za witrażowymi oknami z kuloodpornego szkła za jego plecami. Wiszące w nich gęste firanki chroniły wnętrze gabinetu przed oczami mieszkańców pobliskiego bloku. Witrażowe okna wychodziły na przepięknie utrzymany trawnik, za którym iskrzyły się w słońcu wody Riddarfjärden. Raszkin był napięty. Siemionow to wyczuwał.

— Mamy iskrówkę wzywającą was pilnie do Leningradu. Wróciliście do Sztokholmu, towarzyszu sekretarzu, w samą porę. Towarzysz sekretarz generalny przybędzie jutro do Leningradu i korzystając z tej okazji życzy sobie spotkania z wami.

Siemionow podał szefowi odszyfrowaną depezę, przyglądając się, jak Raszkin czyta ją spod na wpół opuszczonych powiek.

Wiktor Raszkin miał dopiero czterdzieści lat, był średniego wzrostu i średniej

budowy ciała, strzygł ciemne włosy na króciutkiego jeża i był zawsze starannie ogolony. Zaliczył już dwa lata studiów aktorskich, zanim jakiś wyszukiwacz talentów z KGB odkrył w nim niezwykle zdolności analityczne. Został natychmiast zwerbowany do elitarnej sekcji KGB, gdzie szybko nauczył się, że mądrzej będzie powściągać swe talenty mimiczne.

Mimo że jego chłonny umysł szybko przyswajał ukierunkowany indywidualnie na niego potok informacji i szkoleń, Raszkin nie czuł się najlepiej w KGB. Ale do czasu, kiedy na jakimś kremłowskim przyjęciu poznał osobiście Leonida Breżniewa, zdążył także opanować biegle sześć obcych języków. To spotkanie było przełomowym momentem w życiu Wiktora Raszkina, okazją, która, przegapiona, mogła się już nigdy nie powtórzyć.

Większość ludzi na jego miejscu rozegrałoby sytuację w bezpieczny sposób, siląc się, żeby wyrzucić na władcy sowieckiej Rosji jak najlepsze wrażenie i gorliwie przytakując każdemu jego słowu. Raszkin postawił wszystko na jedną kartę. Wyzwolił się z umysłowego gorsetu, jaki nałożono mu w KGB, i po raz pierwszy od trzech lat stał się znowu sobą. Stojący najbliżej świadkowie tego spotkania zaniemówili z grozy.

Raszkin popuścił wodze swoim wrodzonym talentom naśladowczym i zaczął parodiować członków Biura Politycznego, którzy we własnych osobach stali nie opodal pod kryształowymi żyrandolami. W wielkiej kremłowskiej sali, gdzie wydawano przyjęcie, powoli zapadła grobowa cisza. Słyszał tylko dwa głosy: Raszkina, błyskotliwie naśladowającego znane w całym świecie postaci z obu stron „Żelaznej Kurtyny”, i Leonida Breżniewa, ryczącego i trzęsącego się ze śmiechu, rozbawionego tak wspaniałą parodią ponuraków z Biura Politycznego.

Tym wieczornym występem Raszkin zapewnił sobie przyszłość. Z obiecującego, lecz mało znaczącego rekruta KGB stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi Leonida Breżniewa, jego człowiekiem do specjalnych poruczeń. Wrodzone zdolności lingwistyczne i predyspozycje aktorskie, czyniące z niego wręcz niezastąpionego dyplomatę, pomogły mu wzbić się szybko na niebotyczne wysokości.

Waszyngtońskie dossier Wiktora Raszkina stawało się coraz grubsze, ale kilka osób, które miały do niego dostęp, uskarżało się, że przy ogromnej ilości zawartych w nim informacji ich jakość pozostawiała wiele do życzenia. — To wszystko jest takie nieuchwytnie — gderał prezydent Stanów Zjednoczonych. — Raz widzisz faceta, a raz ci znika z oczu.

*Kwiecień... Nie potwierdzona trzydniowa wizyta w Addis Abebie.
Cel: przypuszczalnie rozmowy na temat dalszej wojskowej pomocy dla obecnego reżimu.*

Maj... Doniesienie o kilkugodzinnej wizycie w Angoli. Dokładnego terminu nie udało się ustalić. Cel: według pogłosek podpisanie umowy z reżimem w Luandzie.

Lipiec... Widziany podobno w Hawanie. Brak pewnych doniesień o tej wizycie. Solidna zazwyczaj kubańska agentka, kryptonim Dora, sygnalizowała przybycie do stolicy Kuby jakiejś ważnej osobistości. Silne podejrzenie, że gościem Fidela Castro był Wiktor Raszkin.

*Grudzień... Pewne doniesienie o pojawieniu się Wiktora Raszki-
na w Sztokholmie, gdzie objął funkcję pierwszego sekretarza radziec-
kiej ambasady. Uważa się, że jest to przykrywka dla jakiejś innej dzia-
łalności. Widziano go na przyjęciu w Pałacu Królewskim. Nazajutrz
prawdopodobnie wyjechał ze Sztokholmu w nieznanym kierunku.*

Analityków CIA i Agencji do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego doprowadzało to do szału. Po przeczytaniu powyższych wyjątków z doniesień agentów i całych stert innych materiałów jeden z nich powiedział: — Nie mam żadnej pewności nawet co do tego, czy ktoś taki jak Wiktor Raszkin w ogóle istnieje. Podobno... przypuszczalnie... jakoby... brak potwierdzenia... według pogło-
sek... silne podejrzenie... Co to w ogóle jest?

Ten człowiek był jak błędny ognik, jak cień przemykający nocą. Dla swego asystenta, Grigorija Siemionowa, wyższego rangą oficera KGB, był wprawdzie postacią realną, ale niemal równie nieuchwytną jak dla analityków z Waszyngtonu. Zdający Raszkinowi sprawozdanie w jego gabinecie w ambasadzie radzieckiej w Sztokholmie przysadzisty Ukrainiec nie miał pojęcia, skąd jego szef właśnie wrócił.

— Zarezerwowałem wam miejsce na lot SK 732 z Arlandy do Leningradu ju-
tro o 13.30. Pasażerów tego samolotu odprawia się zwykle przy stanowisku numer
sześć — ciągnął pedantyczny Siemionow. — Bilet włożyłem do górnej prawej
szuflady biurka.

— Mam nadzieję, że powrotny?

Raszkin właśnie przeglądał zawartość teczki z szuflady, do której tylko on
jeden miał klucz. Jak można się było tego spodziewać, do tego durnego wieśniaka
Siemionowa zupełnie nie dotarł ironiczny podtekst tego pytania.

— Gdzie dokładnie znajduje się w tej chwili wodolot „Komet”?

— Kapitan Liwanow czeka w Sassnitz na wasz rozkaz dopłynięcia do wyzna-
czonego punktu na wprost szwedzkiego portu Trelleborg. Z tego, co zrozumiałem,
narzeka, że wasza sugestia przepłynięcia Bałtyku naraża jego wodolot na poważne
niebezpieczeństwo.

— To nie jest sugestia, tylko rozkaz. Trzeba mu przypomnieć, że ma trzy-
mać statek za linią horyzontu, żeby nie było go widać z brzegu. A „Sylwia”, ten
szwedzki liniowiec, zajął już swoją pozycję?

— Tak jest, towarzyszu sekretarzu. — Siemionow urwał, a Raszkin nie odzy-
wał się, czekając na jakiś następny służbisty idiotyzm. Nie spotkało go rozczaro-
wanie. — Nie mogę zrozumieć, po co wynajęliśmy tę „Sylwię” i obsadziliśmy ją

tylko szczątkową załogą. Przy takiej obsadzie ona nie jest w stanie nigdzie popłynąć.

— Nie musicie rozumieć, bylebyście tylko dokładnie wykonywali moje polecenia. Możecie odejść.

Raszkin nie miał zamiaru zdradzać swych planów temu chłopkowi, który był w końcu tylko pacholkiem Jurija Andropowa, szefa KGB i mocnego człowieka Biura Politycznego. Doskonale zdawał sobie sprawę, że głównym zadaniem Siemionowa jest donoszenie Andropowowi o wszystkich posunięciach Wiktora Raszkina i nigdy nie szczędził zachodów, by pokrzyżować mu szyki, nie zdradzając Ukraińcowi niczego, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

Siemionow, ostrzyżony tak krótko, że Raszkin nazywał go w duchu „Szczoła”, nie był nawet w stanie opuścić gabinetu bez dorzucenia kilku swoich groszy. Już w drzwiach odwrócił się i niespiesznie, jak to on, ważąc każde słowo, powiedział:

— Wyślę do Leningradu potwierdzenie, że mają się tam spodziewać waszego przybycia jutro lotem SK 732 z Arlandy.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Raszkin zatrzasnął teczkę z małą złotą gwiazdą, wskazującą na najwyższy stopień tajności zawartych w niej dokumentów, odepchnął się na fotelu od biurka i zaklął głośno. — Pięć minut w tym biurze i chce mi się wyć. Żeby jak najszybciej znów się stąd wyrwać! „Szczoła” staje się po prostu nie do zniesienia.

* * *

— Nic więcej nie mogę zrobić, Julesie. Otrzymałem wyraźny rozkaz, że nie wolno w żaden sposób zakłócać pobytu naszym znamienitym gościom; wręcz przeciwnie, podczas ich wizyty w naszym kraju należy im okazywać jak największe względy i świadczyć wszelkiego rodzaju grzeczności. Problem w tym, że Szwecja, udzielając gościny tej konferencji, ma nadzieję zyskać wiele dla swej gospodarki.

— Przyznają, że w ogóle coś wiedzą o tej konferencji?

Beaurain i Fondberg znajdowali się znów w gabinecie szefa szwedzkiej służby bezpieczeństwa, w komendzie głównej policji. Ale tym razem atmosfera rozmowy uległa wyraźnej zmianie. Ku zaskoczeniu Beauraina, Fondberg odnosił się do niego oschle i oficjalnie, jakby próbował pokryć głębokie zażenowanie.

— Owszem, czyniono o niej wzmianki — potwierdził Fondberg.

Beaurain wstał.

— Rozumiem, że w tej sytuacji nie mogę liczyć na twoją dalszą współpracę. Bo to właśnie chciałeś mi dać do zrozumienia, prawda?

Szwed zwlekał z odpowiedzią, wyraźnie nie miał ochoty pozwolić staremu przyjacielowi odejść. — Byłbym zapomniał — powiedział. — Ktoś zostawił dla ciebie wiadomość. Tuż przed twoim przyjściem. Nie udało mi się jej przekonać, żeby podała swoje nazwisko.

— Jej?

— Tak, dzwoniła kobieta. Wiadomość brzmi po prostu: Na wprost wejścia do Trelleborga. Wodolot. Szampan.

W tym momencie zadzwonił telefon, Fondberg urwał i przeprosił na chwilę Beauraina. Słuchał, rzucił do słuchawki kilka słów i odłożył ją z ponurą miną.

— Śmierć w Grand Hotelu — mruknął wyjaśniająco. — Pewna bardzo ważna dama.

— Hrabina d'Arlezzo.

Beurain powiedział to tonem stwierdzenia, a wyczułone ucho Fondberga nie przeoczyło intonacji jego głosu. Wstał zza biurka z czujnym błyskiem w oczach i zaciśniętymi ustami i spojrzał na przejętego Beauraina.

— Dziś po południu rozmawiałem z Eriką — to znaczy hrabiną d'Arlezzo — w jej apartamencie w Grand Hotelu. Znamy się od lat. Powiedziała mi, że Syndykat groził jej śmiercią. Ta wiadomość dotyczy miejsca, gdzie odbędzie się zebranie Syndykatu. Ustaliliśmy, że dla identyfikacji poda hasło „Szampan”. Wydaje mi się, że na korytarzu minąłem kogoś, kto z polecenia Syndykatu miał na nią oko — kelnera ze stolikiem na kółkach.

— Jednego z pracowników Grand Hotelu, właśnie kelnera, znaleziono związanego w szafie na szczotki.

— Jak ona umarła?

Czekając na odpowiedź, Beurain podszedł do okna, założył ręce za plecami i spojrzał na słońce, którego Erika miała już nigdy nie oglądać. W jego wzroku malował się zupełny spokój.

Fondberg poczuł się bardzo nieswojo. Odchrząknął kilka razy, nim zdobył się na odpowiedź. — Znaleziono ją powieszoną na prysznicu w łazience. Użyła paska od szlafroka, powszechnego. . .

— *Znajdą mnie powieszoną i wijącą się jak świńska tusza na wietrze.* — Beurain powtórzył na użytek Fondberga słowa Eriki. Szwed opadł na krzesło i zapatrzył się wzrokiem bez wyrazu w przestrzeń, pukając palcami prawej ręki w blat biurka, co było nieomylnym znakiem, że jest głęboko poruszony. Wysłuchał w milczeniu pełnej relacji Beauraina z jego rozmowy z kobietą, będącą jedną z najbardziej wpływowych postaci zachodniej Europy. W miarę zbliżania się do końca opowieści, Beurain mówił coraz bardziej szorstkim głosem.

— I tym właśnie ludziom masz okazać największe względy i świadczyć wszelkiego rodzaju grzeczności — bo tak to chyba ująłeś, prawda? Tymczasem to właśnie oni — wszyscy członkowie Sztokholmskiego Syndykatu — są tak samo winni morderstwa Eriki d'Arlezzo, jak gdyby osobiście owinęli jej szyję paskiem od

jej własnego szlafroka i powiesili ją na tym prysznicu.

— Wcale nie powiedziałem, że to było morderstwo. — Fondberg wiercił się niespokojnie za biurkiem, pierwszy raz w dziejach ich długiej przyjaźni nie mogąc spojrzeć Beaurainowi w oczy.

— Na rany boskie! — Beaurain wałnął pięścią w blat biurka. — Nie ponizysz się chyba do tego stopnia, żeby puścić im płazem pozorowane samobójstwo?!

— Nie! — Fondberg ocknął się z umysłowego odrętwienia i spojrzał Beaurainowi prosto w twarz. — Pewnie, że wiem, że to nie było samobójstwo! Gdybyś znał szwedzki, wiedziałbyś, że rozmawiałem z ekspertem grupy dochodzeniowej, która jest już w Grandzie. Powiedziałem mu, żeby przesłał swój raport bezpośrednio do mnie najszybciej, jak to możliwe. Nikomu innemu nie pozwolę do niego nawet zajrzeć. I sam osobiście podam zawarte w nim wnioski do wiadomości dziennikarzy, którzy zjechali się tu tłumnie z całego świata w nadziei na informacje z „konferencji gospodarczej”. To dopiero będzie bomba!

— Syndykat dobierze ci się do skóry — ostrzegł Beaurain, przyznając się w duchu sam przed sobą, że jednocześnie wystawia przyjaciela na próbę. Taką to atmosferę zdrady i strachu wytworzyła wokół siebie ta niewidzialna organizacja. Odpowiedź Fondberga zawstydziła go.

— Mylisz się, przyjacielu! To ja dobiore się do skóry Syndykatowi! Dopuszczając się tego morderstwa popełnili wielki błąd. Wydawało im się, że mają dość wpływów, aby zgnieść w zarodku każdą próbę oficjalnego dochodzenia. Przeoczyli fakt, że jednak ktoś może wkroczyć. Ja.

* * *

W ciągu następnych kilku dni wydarzenia toczyły się w oszłamiającym tempie. Otrzymałszy pilną depezę Beauraina, którą Stig Palme wysłał przez nadajnik ukryty w piwnicy pewnego domu w Strängnäs, kapitan „Bucky” Buckminster podniósł kotwicę i wypłynął z Kopenhagi na Bałtyk kursem na południowy wschód.

— Mamy czekać w pobliżu Trelleborga — powiedział do Andersona, pierwszego pilota ogromnego Sikorsky’ego, którego wieźli ze sobą na płycie lądowiska. — Tuż poniżej linii horyzontu, żeby nikt nas nie wypatrzył ze szwedzkiego brzegu.

— Ćwiczmy coś po przybyciu na miejsce? — spytał Anderson.

— Tak. Intensywny trening na motorówkach i pontonach z silnikami. Właściwie na wszystkim, co pływa, a co mamy w ładowni. Płetwonurkowie dopinają zaś na ostatni guzik techniki walki podwodnej.

* * *

— Hrabina d'Arlezzo, prezeska rady nadzorczej znanego konsorcjum bankowego, którą znaleziono martwą w łazience jej apartamentu w Grand Hotelu, została, zdaniem światowej sławy patologa, profesora Edwina Jacoby. . .

Harry Fondberg, przemawiający na konferencji prasowej, zwołanej niemal bez uprzedzenia — do zatłoczonej sali wciąż przeciskali się nowi dziennikarze — miał spory zmysł dramatyczny, który teraz w pełni wykorzystywał. Beaurain obserwował go ze swego miejsca w końcu sali. Kiedy Fondberg zawiesił głos, wszystkie głowy wyciągnęły się w jego stronę. Głowy reporterów najpoczytniejszych międzynarodowych gazet i magazynów, największych stacji radiowych i telewizyjnych.

— . . . Zamordowana!!!

Powstał galimatias nie do opisania. Niski, zażywny szef Säpo czekał, aż tłum w sali przestanie się kłębić — część dziennikarzy pędziła już do telefonów, żeby zdążyć z sensacyjną wiadomością przed oddaniem do druku najbliższego wydania. Pod względem urody hrabinę d'Arlezzo porównywano z Sophią Loren, pod względem wpływów finansowych z Onassisem. Kiedy pierwszy rozcgardiasz przychcił, Fondberg bez najmniejszych skrupułów dalej podgrzewał nastrój na sali aż do wrzenia. . . Teraz było już za późno, już nikt nie był w stanie zatuszować sprawy. To był pierwszy z ciosów, jakie obiecał zadać Syndykatowi.

— Za chwilę profesor Jacoby wyjawi państwu powody, dla których uważa, że to rzekome samobójstwo zostało sfingowane, że nie można go było popełnić tak, jak to upozorowano, chcąc wprowadzić policję w błąd. A może powinienem państwu powiedzieć, że pewna potężna grupa przestępcza, o międzynarodowych powiązaniach, była tak zadufana w swoje wpływy, że ani przez chwilę nie dopuszczała do siebie myśli, aby ktokolwiek poważił się dochodzić prawdy?

— Wielki Boże! — szepnęła Luiza do Beauraina. — To się nazywa robienie szumu wokół sprawy! Hugo dostanie szału.

— O to właśnie chodzi — odmruknął Beaurain. — Harry ma nadzieję, że wyprowadzi go z równowagi i sprowokuje do popełnienia następnego błędu. Ale słuchaj, co się dzieje!

Reporterzy prześcigali się nawzajem, by zwrócić na siebie uwagę Fondberga, zasypując go gradem pytań. Ze swego podwyższenia wybierał pytających według rangi reprezentowanych przez nich czasopism i stacji telewizyjnych. Ktoś podbiegł z kartką papieru — bez wątpienia zapytaniem od któregoś z ministrów. Fondberg wsadził nie przeczytaną notatkę do kieszeni i machnięciem ręki odprawił posłańca.

— Czy chce pan powiedzieć, że hrabina była zamieszana w działalność prze-

stępczą? — spytał ktoś z „Der Spiegla”.

— Chcę powiedzieć, że była szantażowana i straszona w sposób, jaki stosować mogą tylko bestie. Mam niepodważalnego świadka, że grożono jej zadaniem śmierci dokładnie w taki sposób, w jaki została zamordowana.

— Kto jest tym świadkiem?

— Czy były nadinspektor Jules Beaurain z brukselskiej brygady antyterrorystycznej, a wcześniej szef tamtejszego wydziału do spraw zabójstw, wystarczy państwu?

— Dziękuję, oczywiście! — odparł „Der Spiegel”.

— Jezu! — szepnęła Luiza. — Naprawdę idzie na całość!

— Jedyne, czego Syndykat nie zniesie — odszepnął Beaurain — to szumu i rozgłosu wokół jego spraw. To nocna bestia żerująca w ciemności i mroku.

— Czy nie zechciałby pan powiedzieć czegoś więcej na temat struktury tej potężnej grupy przestępczej, o której pan wspomniał? — „The Times” z Londynu.

— Niech pan się rozejrzy wśród wybitnych osobistości przebywających w chwili obecnej w Sztokholmie.

— Nazwiska! Chcemy nazwisk! — to „The New York Times”.

— Przecież jesteście na miejscu! Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście przeprowadzili małe śledztwo na własną rękę.

— Podobno do Sztokholmu przybył właśnie Leo Gehn. — „The New York Times”.

— Ja też o tym słyszałem — odparł ze złośliwym uśmiechem Fondberg. — Następne pytanie, proszę.

— Kto kieruje tą międzynarodową grupą przestępczą, o której wspomniał pan w odpowiedzi na wcześniejsze pytanie? — „Le Monde” z Paryża.

Zapadła przedłużająca się cisza. Fondberg podparł jedną ręką łokieć drugiej i zaczął gładzić podbródek, jakby się zastanawiał, udzielić odpowiedzi na to pytanie, czy nie. Napięcie rosło z sekundy na sekundę, aż atmosfera stała się wręcz elektryzująca. Jedno było zupełnie jasne — szef Säpo tę odpowiedź znał. . .

— Trzyosobowy dyrektoriat — odparł powoli, niezwykle starannie dobierając słowa. Znowu umilkł i w tej samej chwili ktoś jednym mocnym szarpnięciem otworzył drzwi obok Beauraina. Wpadł przez nie jakiś człowiek, zrobił naprzód trzy kroki, stanął w rozkroku i wyciągnął przed siebie wyprostowane ręce, a w nich Smith and Wessona wycelowanego prosto w Harry’ego Fondberga.

Luiza zdążyła tylko dostrzec, że chyba jest niski, krępy i ma na sobie kombinizon, bo w tymże ułamku sekundy Beaurain skoczył! Chwycił go jedną ręką za nadgarstek, a drugą za łokieć. Rozległ się huk pojedynczej eksplozji. Kula wystrzelona w trakcie szarpaniny, zamiast zwalić Fondberga z nóg, utkwiała w suficie. Szok i niedowierzanie spowiły całą salę tak głęboką ciszą, że przez kilka sekund słychać było jedynie szuranie nóg obu mocujących się ze sobą mężczyzn. Beaurainowi udało się wreszcie obezwładnić swego przeciwnika. Dopiero wtedy w holu

za otwartymi drzwiami pojawili się pierwsi umundurowani strażnicy. Beaurain z całych sił pchnął niedoszłego zabójcę prosto w ich ramiona.

— Sprawdźcie, czy nie ma innej broni! — warknął. — Czy też może i to mam za was zrobić?! O mały włos nie zamordował wam szefa.

Dźwięk jego głosu rozpętał w sali istne pandemonium. Zakotłowało się od reporterów szturmujących otwarte drzwi. Beaurain odciągnął Luizę z drogi wezbranego tłumu i przycisnął ją do ściany. W trzydzieści sekund w sali pozostały tylko trzy osoby: Beaurain, Luiza i Harry Fondberg.

Szwed zeskoczył zwinnie z podwyższenia i podbiegł do Belga z wyciągniętą ręką. — Za uratowanie mi życia mogę tylko powiedzieć — dziękuję.

— Wyreżyserowaliśmy to zupełnie nieźle — szepnął mu na ucho Beaurain. — Może powinniśmy otworzyć teatr. . .

* * *

— Mam już te informacje o działalności doktora Theodora Norlinga przed jego osiedleniem się w Sztokholmie — powiedział Fondberg bez entuzjazmu przeglądając raport. — Ale nic z tego nie wynika.

Beaurain i Luiza siedzieli przy okrągłym stole w gabinecie szefa Säpo i pochłaniali kolejne dania obiadu zamówionego przez Fondberga i dostarczone z pobliskiej restauracji. Beaurain skinął więc tylko głową na słowa Szweda.

— To normalne, kiedy trzeba korzystać z usług lokalnych oddziałów policji. Oni tam myślą, że my tu prowadzimy światowe życie, i nie potrafią spełnić żadnej grzecznej prośby bez wypominania, jacy to są zapracowani.

— Powiedz nam lepiej, czegośmy się dowiedzieli o Norlingu — zaproponował Beaurain.

— Urodził się w Göteborgu. Kiedy miał siedem lat, jego rodzice przeprowadzili się do Ystad. — Fondberg spojrzał na Luizę. — To stary średniowieczny port w Skanii, na południowym wybrzeżu. Ludzie w Skanii są zupełnie inni.

Zupełnie jakby mówił o końcu świata — pomyślała Luiza — jak niektórzy nowojorczyki nazywają Głębokie Południe. Może Skania to takie Głębokie Południe Szwecji.

Fondberg powrócił do czytania notatki. — Mówiąc Ystad, mam na myśli maleńką miejscinę tuż obok. Pierwszą rzeczą, jaką zrobili rodzice Norlinga wyniósłszy się z Göteborga, było przeprowadzenie separacji. Matka rychło uciekła z jakimś konstruktorem ze stoczni, a kilka tygodni później ojciec dał się zabić w wypadku samochodowym. Młodym Norlingiem zaopiekowała się ciotka, kobieta najwyraźniej zamożna, skoro na kilka lat wysłała go do szkół za granicą.

Powrócił do Skanii w wieku dwudziestu lat, wziął udział w pogrzebie ciotki, która właśnie umarła, i korzystając ze spadku, jaki mu zostawiła, szybko został kolekcjonerem.

— Pozwól mi zgadnąć — wtrącił się Beaurain. — Kolekcjonerem białych kruków?

— A właśnie że nie, jeden zero dla mnie! — powiedział Fondberg i zachichotał z zadowoleniem na widok miny Beauraina. — Kolekcjonerem i handlarzem numizmatów!

— I w ramach swego zajęcia bardzo wiele podróżował — Beaurain nie dał za wygraną.

— Zgadza się — potwierdził Fondberg.

— I większość interesów prowadził za granicą, a w miejscu zamieszkania cieszył się opinią odludka i nigdy się nie ożenił?

— Tak — potwierdził Fondberg prawie niechętnie. — Czytanie tego raportu to zwykła strata czasu, skoro sam wszystko wiesz. To prawda, że był odludkiem i nie cieszył się z tego powodu sympatią, gdyż dawał miejscowym odczuć, że nie dorastają mu do pięt. — Ponownie zachichotał. — Najzabawniejsze jest to, że chyba rzeczywiście nie dorastali. Strzelasz dalej?

— Jeszcze tylko raz. Jakies dwa lata temu przeprowadził się niespodziewanie do Sztokholmu i równie niespodziewanie przerzucił się z monet na książki.

— Strzał w dziesiątkę! — Fondberg nie zadał sobie nawet trudu, żeby zajrzeć do raportu.

— A więc podsumujmy — zaproponował Beaurain. — Theodor Norling nie ma żadnych żyjących krewnych. Zgadza się? Czy twoi ludzie tam, w tej zabitej dechami Skanii, natrafili na jakichś jego bliskich przyjaciół, którzy mogliby go zidentyfikować na zdjęciu?

— Tak i nie. Jak sugerowałeś, posłałem im zdjęcie Norlinga, zdjęcie, które z powodu wytycznych moich przełożonych trzeba było zrobić z ukrycia. Policja z Ystad pokazała je tym kilku nielicznym osobom, które znały Norlinga z czasów, gdy tam prowadził swoje interesy. Jedni natychmiast go zidentyfikowali, inni nie rozpoznali w nim człowieka, którego znali jako Theodora Norlinga.

— Człowieka, którego znali jako Theodora Norlinga... — ostatnie słowa Fondberga Beaurain powtórzył powoli, jakby smakując każdą ich sylabę. Szefer Säpo spojrział na niego z wyrzutem, zupełnie zdezorientowany. Po uwadze, którą dorzuciła Luiza, nie czuł się wcale mądrzejszy niż przedtem.

— Cholerny świat, to wręcz niesamowite — powiedziała niezupełnie tak, jak przystało na damę.

— To znaczy co?! — Fondberg rzucił się na nią jak jastrząb.

— To, że już taką historię słyszeliśmy. Dokładnie rzecz biorąc, dwa razy. — Spojrzała na Beauraina, który skinieniem głowy przyzwolił jej mówić dalej. — To, co nam pan powiedział o pochodzeniu i przeszłości doktora Theodora Norlin-

ga, jest niemal wierną repliką — z kilkoma nieistotnymi różnicami — życiorysów pozostałych dwóch członków tak zwanego dyrektoriatu rządzącego Sztokholmskim Syndykatem.

— Chce pani powiedzieć, że to ludzie, którzy po latach uśpienia przystąpili nagle do działania?

— Nie — odezwał się Beaurain. — Najdziwniejsze, że wręcz na odwrót.

— Jak to na odwrót? Wymyślono nie istniejących ludzi?

— Nawet nie to, Harry. Doktor Berlin z całą pewnością istniał, wychował się w Liege i tam założył swój antykwariat. Żyją jeszcze ludzie, którzy go pamiętają. Choć mgliście.

Fondberg zapalił cygaro i potrząsnął głową. — Zupełnie się zgubiłem. I podejrzewam, że o to właśnie, skurczysynu, ci chodziło. — Odwrócił się do Luizy z przesadnym półukłonem. — Proszę mi wybaczyć mój język, ale skoro pani z nim pracuje, musi się pani ze mną zgodzić. . .

— Zgadzam się najzupełniej — zapewniła Luiza.

— Skoroś się zgubił, Harry — odparł z niezmaconym spokojem Beaurain — to spróbujmy cię odnaleźć. Przeszłość Theodora Norlinga przedstawia się mgliście z kilku powodów. Dlatego że rodzice bardzo wcześnie zniknęli z jego życia, dlatego że wiódł żywot pustelnika, dlatego wreszcie, że wiele podróżował w interesach i przed przeprowadzką do Sztokholmu mało kto go widywał. Przeprowadzką, która nastąpiła dwa lata temu.

— Wszystko to mam w tym cholernym raporcie — wytknął mu Fondberg.

— Przeszłość doktora Ottona Berlina przedstawia się równie mgliście z podobnych powodów. Dlatego że Liege jest dużym miastem, dlatego że nie miał żadnych krewnych i tylko niewielu znajomych, dlatego że wiele podróżował w interesach. On także wiódł pustelniczy tryb życia. Może to taki zawód. Więc i w jego przypadku, tak jak w przypadku Norlinga, starzy znajomi widząc fotografię mówią: tak, to on, albo: nie, ten człowiek jest zupełnie do niego niepodobny. Berlinowi zdołaliśmy zrobić tylko jedno zdjęcie. Obaj panowie nie lubią obiektywów.

— W dalszym ciągu się nie znalazłem — burknął Fondberg.

— Trzecim człowiekiem — zwróć uwagę, że używam czasu przeszłego — był doktor Benny Horn, który obecnie mieszka w Kopenhadze, ale pochodzi z Helsingoru. Aha, póki nie zapomnę. Jak sądzisz, kiedy doktor Otto Berlin przeprowadził się do Brugii? Dwa lata temu!

— To zaczyna być interesujące — musiał przyznać Fondberg. Spojrzał na Luizę. — Ten nieuczciwy i nieszczerzy facet, z którym zdecydowała się pani współpracować, bawi się tak ze mną za każdym razem, kiedy tylko nadarzy mu się do tego sposobność. W Anglii nazywa się to chyba zabawą w ciuciubabkę.

— Przeszłość Horna rysuje się równie mgliście, jeśli spojrzeć na nią krytycznym okiem — ciągnął Beaurain. — Przez piętnaście lat prowadził antykwariat z książkami w Helsingorze, po czym nagle przeprowadził się do Kopenhagi. Od

tamtej pory nikt w Helsingorze nie widział go na oczy i, szczerze mówiąc, nikogo to specjalnie nie zmartwiło.

— Jeszcze jeden odludek? — zaciekawiał się Fondberg.

— Jak już mówiłem, wydaje się, że w tym zawodzie to normalne. Jednym słowem, pomimo że jego przeszłość solidnie dokumentuje piętnastoletni okres zamieszkiwania na obrzeżach Helsingoru, trudno znaleźć kogoś, kto by go rzeczywiście znał, a jeśli nawet kogoś takiego się znajdzie, to okazuje się, że znajomość ta była bardzo powierzchowna. Miejscowa policja pokazywała jego zdjęcie dokładnie z takim samym skutkiem jak w przypadku pozostałych dwóch panów. Proszeni o zidentyfikowanie Horna, jedni sąsiedzi mówią: tak, to on, inni: nie, nie znam tego człowieka. Jak wiesz, przy tego rodzaju identyfikacjach jest to najzupełniej normalne.

— Nadal nic nie rozumiem — mruknął z urazą w głosie Fondberg. — Ani uśpieni, ani sfabrykowani. . .

— Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, Harry, żeby znaleźć tych ludzi w Belgii, Danii i tu, w Szwecji. Cała sprawa wydaje się diabolicznie złowróźbna, znać w niej błyskotliwy zamysł i piekielną precyzję wykonania. I płynie z niej jeden wniosek: trzeba znaleźć tego czwartego.

— Czwartego?!

— Tego, którego sam dźwięk imienia sieje terror, nieopanowany terror. Niejaki Hugo.

ROZDZIAŁ 17

Temperatura była dość znośna, 42°F, wschodni wiatr hulający po płycie lotniska szczypał w policzki, obsługa miała ponure miny; nieprzychylnie nastawiony obserwator mógłby nawet powiedzieć — odpychające. Jak daleko sięgnąć okiem, krajobraz i zabudowania robiły przygnębiające wrażenie. Samolot Skandynawskich Linii Lotniczych, lot SK 732 ze Sztokholmu, wylądował właśnie na lotnisku w Leningradzie.

Nie zwracając żadnej uwagi na stojącą przy wyjściu stewardesę, Wiktor Raszkin wysiadł z samolotu i podszedł szybkim krokiem do czekającej na niego limuzyny, wielkiego czarnego Ziła. Strażnik z KGB zasalutował, przytrzymał otwarte drzwi wsiadającemu Raszkinowi, zamknął je za nim i skinął kierowcy, który natychmiast ruszył. Raszkin znany był ze swej niecierpliwości.

Kolumna pojazdów — z przodu i z tyłu dołączyły Wołgi z obstawą z KGB — opuściła z piskiem opon lotnisko. Raszkin bez entuzjazmu wodził wzrokiem po przemykających obok ulicach. Co temu Breżniewowi odbiło, żeby żądać od niego osobistego raportu z postępów operacji „Śnieżny Ptak”? Raszkin zaczął podejrzewać, że otoczonemu stetryczalymi emerytami staruszkowi chodziło po prostu o spędzenie kilku godzin w jego towarzystwie. Zawsze kazał mu się wcielać w swoje ofiary i ryczał ze śmiechu na widok parodystycznych popisów Raszkina.

Rozparłszy się wygodnie na miękko wyściełanym siedzeniu, wyjrzał przez bursztynowożłote firanki zaciągnięte w oknach limuzyny. Ludzie na ulicach okazywali zaciekawienie i niechęć. Jakiś aparatczyk jedzie dokądś, nie wiadomo dokąd, i milicja zatrzymuje ruch uliczny, żeby umożliwić mu szybki przejazd. Kierowca jednego z samochodów, którym nakazano zjechać do krawężnika, odczekał starannie, aż minie go druga Wołga z agentami KGB, po czym splunął na jezdnię.

— Aroganckie skurwiele — mruknął. — Jak to sobie używają naszym kosztem.

Było to odczucie na tyle powszechne, że Raszkin wyczytałby je w oczach wszystkich gapiących się na jego Ziła przechodniów, gdyby podniósł na nich wzrok. Ale Raszkin nie zadał sobie tego trudu. Dobrze wiedział, co by zobaczył. Pewnego dnia miarka musi się przebrać. Każda cierpliwość ma swoje granice,

nawet cierpliwość tych tępych chłopów pańszczyźnianych.

Wcześniej tego dnia, w hotelu Europa przy Newskim Prospekcie, dało się słyszeć głośniejsze wyrazy niezadowolenia; bez słowa uprzedzenia czy wyjaśnienia wszystkich gości usunięto z ich pokoi i przeniesiono do innych hoteli. Cały personel hotelu zastąpiła grupa specjalnie przeszkolonych agentów KGB.

Godzinę później Europa przypominała bardziej fortecę niż zwykły hotel. Jeden oddział strażników legitymował każdego, kto zbliżył się do wejścia do hotelu, inny patrolował wszystkie klatki schodowe i korytarze; uzbrojeni agenci agresywnie demonstrowali swoją obecność. Do miasta przybył sekretarz generalny KPZR, Leonid Breżniew. Oficjalnym celem jego podróży była wizyta w Leningradzie. Prawdziwym — odbycie narady ze swym pupilkiem, Wiktorem Raszkinem.

— A więc można powiedzieć — ciągnął Leonid Breżniew — że Sztokholmski Syndykat kwitnie?

— Więcej — Raszkin odparł z pewnością siebie, tonem, w którym brak było zwykłej służalczości okazywanej przez wszystkich władcy Związku Radzieckiego. — Mogę powiedzieć, że umieściliśmy swoje marionetki na większości kluczowych stanowisk w całej zachodniej Europie: przewodniczących rad nadzorczych znanych koncernów, szefów wielkich przedsiębiorstw transportowych, zarządców kilku potężnych banków, a przede wszystkim — ministrów i członków rządów. Zostali wciągnięci, w ten czy inny sposób, do udziału w pracach Syndykatu, i już tylko to tak ich kompromituje, że pozostaje im wyłącznie posłusznie wykonywać nasze rozkazy.

— Podbój bez wojny, podbój dokonany zupełnie niepostrzeżenie! — W głosie Breżniewa zabrzmiała nuta ogromnego zadowolenia z tego wielkiego sukcesu. — Masy nie zorientują się w ogóle, że go dokonaliśmy!

— To coś na kształt hitlerowskiej piątej kolumny, tyle że na znacznie większą skalę — zauważył Raszkin.

— A ci ludzie, których wyszukałeś, żeby stworzyć z nich dyktoriat — Berlin w Brugii, Horn w Kopenhadze, Norling w Sztokholmie? Do czego są ci potrzebni?

Raszkinowi o mało nie wyrwało się westchnienie bezsilnej irytacji. Ten doprowadzający do szału nawyk przeskakiwania z tematu na temat, na pozór bez żadnej przyczyny, to skutek mocno zaawansowanego wieku sekretarza generalnego. Zarazem jednak towarzyszyła temu zdolność zapamiętywania zdumiewającej ilości szczegółów każdego z całej masy projektów. Trzeba było stale mieć się przed staruszkami na baczności. Wystarczyło go raz nie docenić i już cię miał, szybciej, niż koń machnie ogonem. A następnego razu już nigdy nie będzie, upomniał się ponuro w duchu Raszkin. Odpowiedział na pytanie jak najzwężlej, pilnując się, żeby nie zabrzmiało to protekcjonalnie.

— Ci trzej ludzie są nam nieodzownie potrzebni. Każdy z nich kontroluje pewien sektor geograficzny. Berlin — śródziemnomorski aż do ujścia Renu, Horn — Stany Zjednoczone...

— Tak, tak, to pamiętam.

— W ten sposób każdy członek Syndykatu w danym sektorze kontaktuje się wyłącznie z dowódcą sektora, który jest rodowitym mieszkańcem Europy Zachodniej. Idealnie maskujemy fakt, że prawdziwe kierownictwo całej organizacji spoczywa w naszych rękach.

— Jak im wszystkim wytłumaczysz, że konferencja odbywa się na pokładzie radzieckiego wodolotu „Kometa”?

Istotne pytanie. Ale, na Boga, wszystko to już przerabialiśmy! Raszkin uśmiechnął się, żeby zapanować nad rozdrażnieniem. — Już teraz wierzą, że znaczna część zysków Syndykatu pochodzi z tajnych udziałów w dochodach z przestępczej działalności na terenie Związku Radzieckiego, że członkami Syndykatu są także Rosjanie.

— Dobrze, bardzo dobrze! — Breżniew uśmiechnął się przebiegle, pochylił i poklepał Raszkiną po ramieniu. Raszkin domyślał się, co teraz nastąpi i nie spotkało go rozczarowanie. — Nie pocieszyłyś kilkoma parodiami starego bolszewika, który całymi dniami musi oglądać gęby starych ponuraków? Na początek może nasz szacowny minister obrony, Dmitrij Ustinow. . .

Chwilę później rozległ się jego tubalny śmiech. W te kilka sekund aktorski geniusz Raszkiną pozwolił mu się przeistoczyć w zupełnie innego człowieka. Przed Breżniewem stał teraz marszałek Dmitrij Ustinow.

* * *

Nieudana próba zamachu na szefa służby bezpieczeństwa. Psiakrew, co za psychopata popełnił ten szczytowy idiotyzm?! Jak mógł zrobić coś takiego bez mojego rozkazu?! Zawsze byłoby to nam nie na rękę, ale zwłaszcza teraz! Teraz! Teraz! Słyszysz? No, nie stój, jak ta cipa, powiedz coś! — zażądał Raszkin.

Sonia Karnell zerwała ze ściany ozdobny talerz i cisnęła w niego. Talerz rozbił się tuż obok głowy Raszkiną, a na rękę, którą się zasłonił, pojawiła się krew.

Raszkin spojrział na Sonię Karnell i drugą ręką wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa. Starł krew z dłoni, odzyskując nagle panowanie nad sobą. Darł się na tę dziewczynę jak obłąkany, zupełnie jakby to była jej wina.

— Miałem fatalny lot z Leningradu — powiedział. — Samolotem rzucało, jakbyśmy przechodzili przez tajfun.

— Burza, którą rozpętałeś po swoim powrocie, to gorzej niż tajfun — odparła ze złością. — To nie do zniesienia! Słyszysz? Nie do zniesienia! — krzyknęła nagle na cały głos. — A ten talerz, który roztrzaskałam ci nad tym twoim głupim łbem, to był prezent od ciebie.

— Wiem.

— To bardzo dobrze, że wiesz, bo chcę ci powiedzieć, że się cieszę! Słyszysz? Cieszę się, że zniszczyłam prezent od ciebie!

Wydatne piersi falowały jej w pasji, a z pobludłej twarzy biła wściekłość. Jego reakcja była jak zwykle nieoczekiwana i rozbrajająca. Usiadł na sofie i zapalił dwa papierosy, jednego dla siebie, drugiego dla niej.

— Te nagłówki w gazetach wytrąciły mnie z równowagi — powiedział łagodnym tonem. — Coś takiego w samym przededniu konferencji, kiedy jak nigdy chodzi nam o ciszę i spokój! Nasi wpływowi goście należą do ludzi, którzy wolą unikać rozgłosu. Jest tylko jedno wyjście, Soniu.

Karnell, czekając na ciąg dalszy, zaczęła bawić się pierścieniem z wielkim brylantem, który jej podarował. Postawiła się ostro i dowiodła swojej niezależności; Wiktor gardził pochlebami i im nie ufał. Zdążyła już się nauczyć, jak sobie radzić z tym błyskotliwym i dziwnym człowiekiem.

— Likwidujemy po cichu organizację Beauraina — postanowił Raszkin. — Zaczynamy od zaraz. Mamy w Sztokholmie dość swoich ludzi, między innymi Günthera Bauma.

— Ale jak ich znajdziesz? Wiemy, że Beaurain i ta jego flądra zatrzymali się w Grandzie, ale reszta?

— Roześlemy ludzi do wszystkich większych hoteli w mieście.

Sprawdzą dyskretnie każdego z gości, którzy zameldowali się w ciągu ostatniego tygodnia. Z identyfikacją nie powinno być kłopotów — szukamy ludzi w typie komandosa, z których większość należała przypuszczalnie do SAS, tej brytyjskiej bandy terrorystów.

— Bandy znacznie oczywiście gorszej — wtrąciła sarkastycznie — od oddziałów egzekucyjnych KGB.

— Muszę już iść. Postawisz wszystkich naszych ludzi w stan alarmu, niech natychmiast rozpoczną poszukiwania. Mianujesz Günthera Bauma odpowiedzialnym zarówno za poszukiwanie ludzi Beauraina, jak i następnie za ich likwidację. Wszystko, co się da, niech upozoruje na wypadki. Jadę do domu na wieś zabrać wszystkie teczki przed rozpoczęciem konferencji na pokładzie „Komety”.

* * *

— Jeden z takich starych domów... spiczaste dachy i wystające okna, tak jak to kiedyś budowano... musi mieć z pięćdziesiąt lat...

Stig Palme powtórzył słowo w słowo opis domu na wsi, przed którym zamordowany ślusarz widział doktora Theodora Norlinga.

— Bo zakładam, że to był Norling — dodał na zakończenie. Beurain, Harry Fondberg i Luiza Hamilton słuchali go uważnie, jedząc lunch w restauracji w operze. Było to dobre miejsce na spotkanie — blisko do Grand Hotelu i zacisznie. Nikt nie zajmował żadnego z sąsiednich stolików.

— I słusznie, Stig — poparł go Beurain. — Jestem zupełnie pewien, że to był Norling. Osobiście czuwał nad przeprowadzeniem kolejnej „demonstracji siły” Syndykatu. Nie zapominaj, że choć biedna Erika miała rzekomo popełnić samobójstwo, pozostali członkowie Syndykatu nie będą tacy naiwni, żeby w to uwierzyć. No więc jak, Harry? Kiedy możesz zorganizować nalot na ten dom na wsi, którego położenie wskaże nam Stig? Oczywiście przy udziale moich ludzi. Taka mała nieoficjalna współpraca między nami i Säpo.

— Choćby dziś! — zadeklarował Fondberg i zaciągnął się głęboko cygarem, by okazać zadowolenie z perspektywy rychłego działania.

* * *

Sześć samochodów przemknęło autostradą E3 przez przedmieścia Sztokholmu i wypadło poza miasto. Zdecydowano, że kawalkadę pojazdów grupy szturmowej poprowadzi Stig Palme, jako że był Szwedem i znał położenie domu opisanego przez Tobiasza Seigera. Tuż za nim, za kierownicą Mercedesa przyprowadzonego do Sztokholmu przez Alberta, jechał Jules Beurain.

— Rzeczywiście sądzisz, że ten dom może być kwaterą główną Syndykatu? — spytała Luiza, wyglądając w napięciu przez okno.

— Tylko zgaduję, ale z tego, co mówił Stig, byłoby to miejsce spełniające podstawowe wymogi takiej kwatery. Hugo nie zgodziłby się na żaden dom w mieście. Co innego Norling — on może mieć mieszkanie w Gamla Stan. Myślę zresztą, że służy mu ono wyłącznie za miejsce spotkań, tak jak Berlinowi jego mieszkanie w Brugii.

— Pierwsza zasada bezpieczeństwa: nie zagrzewać zbyt długo jednego miejsca?

— Coś w tym rodzaju — odparł po chwili namysłu Beurain. — Ale stary dom w szczerym polu, dość daleko od drogi, by nie zwracać na siebie uwagi, a jednocześnie na tyle blisko, żeby można z niego było błyskawicznie dojechać do Sztokholmu. . . Jak mówię, na dwoje babka wróżyła, ale wszystko mi tu pasuje. . .

Luiza odwróciła się w fotelu i obejrzała przez tylną szybę na wijącą się za nimi szosę. W zasięgu wzroku miała stale przynajmniej dwa z czterech ciągnących za nimi samochodów, a w każdym z nich Henderson umieścił świetnie zgraną czteroosobową drużynę, zaprawioną we wspólnych akcjach. Przemknęło jej przez

myśl, że gdyby Harry Fondberg wiedział, jaką bronią naszpikowano te auta, to pewnie dostałby zawału. Sierżant Jock Henderson, jadący trzecim samochodem, przygotował się na małą wojnę. Zapewnił sobie także stały kontakt radiowy ze wszystkimi pozostałymi pojazdami, stosując umówiony szyfr, uniemożliwiający przypadkowym słuchaczom zrozumienie treści prowadzonych rozmów.

— Oczywiście może się okazać, że cała ta nasza eskapada na nic — powiedziała po dłuższej chwili milczenia. — A gdzie Harry Fondberg? Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że zauważyłeś już ten helikopter kontroli ruchu drogowego, który leci wzdłuż szosy?

— Owszem, zauważyłem — zapewnił ją jak najpoważniej Beurain. — Wiem także przypadkiem, że Harry Fondberg znajduje się właśnie na jego pokładzie. I, jak to radośnie przepowiedziałaś, może się okazać, że to wszystko na nic.

* * *

Cessna czekała już na Wiktora Raszkina — widział ją z daleka. Rzucił czapkę na tylne siedzenie i chwycił leżący obok hełmofon pilota. Wsiadł spokojnie z samochodu, zamknął go, zostawił na parkingu i wyszedł na płytę lotniska.

Jeden z pracowników wieży kontrolnej podniósł lornetkę, nastawił ją na postać sunącą sprężystym krokiem i przeprosił kolegów mówiąc, że musi wyjść do toalety. Zamiast tego podążył spieszenie do najbliższego automatu i nakręcił numer telefonu Eda Cottela. W słuchawce rozległ się głos Cottela podający numer swego telefonu w pokoju w Grand Hotelu.

— Tu Westerberg — przedstawił się jego rozmówca. — Ozark właśnie wylatuje. Oficjalny punkt docelowy jak zwykle Kjula.

— Zrozumiałem — odparł lakonicznie Cotel. — Do widzenia. Miejmy nadzieję, że nam się poszczęści.

Kjula to małe wojskowe i cywilne lotnisko, leżące około piętnastu kilometrów od miasteczka Strängnäs, do którego prowadzi szosa E3 — ta sama, którą jechał Beurain ze swą grupą szturmową.

Przed opuszczeniem hotelu Beurain wstąpił do pokoju Cottela, by poinformować go o swych planach i położeniu intrygującego starego domu, z którego wychodził blondyn z baczkami. Beurain opuścił w swej opowieści tylko jeden szczegół — że człowiek widziany przez ślusarza wyjechał do Sztokholmu limuzyną Volvo na numerach rejestracyjnych amerykańskiej ambasady.

Dwie minuty później Ed Cotel wskoczył za kierownicę swego wynajętego Renaulta, zaparkowanego przed hotelem. Musiał mocno wdepnąć na gaz, żeby dogonić kawalkadę Beuraina.

Jechali autostradą E3 przez prowincję Södermanland. Luizę zachwyciło piękno krajobrazu. — Nie miałam pojęcia, że tuż pod Sztokholmem są tak piękne okolice.

— Tak, rzeczywiście, ładnie tutaj — przyznał Beurain.

Słońce przygrzewało z krystalicznie przejrzystego nieba, szosa przemykała niewielkimi parowami, gdzie z obu stron napierały na nią strome, granitowe skały, by znów wypaść na otwartą przestrzeń pomiędzy falujące, zielone wzgórza, porośnięte jodłowym lasem, pocięte polami złocącego się w słońcu rzepaku, tu i ówdzie upstrzone plamą drewnianych, wiejskich zabudowań, pomalowanych na kolor rdzawej czerwieni, jaskrawo kontrastujący z otaczającą zielonością. Wodząc oczarowanym spojrzeniem po obu stronach drogi, Luiza kątem oka dostrzegła odbicie w bocznym lusterku i zeszywniała.

Wyjęła ze schowka lornetkę, odwróciła się na fotelu i nastawiła ostrość na pędzącego za nimi Renaulta. Za przyciemnionymi szklami ujrzała rosnącą w szybkim tempie twarz Eda Cottela.

— Jesteśmy śledzeni — powiedziała z napięciem. — Tuż za nami jedzie Ed Cotel. Lada chwila przywali nam w kufer.

— Wiem.

Renault był już piekielnie blisko, o wiele za blisko jak dla Luizy. Beurain ręką dał Cottelowi znak, żeby wyprzedził Mercedesa. Kilka minut później, na szerokim zakręcie, Beurain zobaczył znak drogowy — wielkie białe „M” na niebieskim tle. Pokazał go Luizie.

— To oznacza zatoczkę. Zatrzymamy się tam i dowiemy, co tak bardzo poruszyło Eda. Powiedziałem mu, dokąd jedziemy.

Nacisnął klakson i zasygnalizował, że zjeżdża do zatoczki. Zatrzymawszy samochód nie ruszył się z miejsca czekając, aż Cotel, który stanął nieco dalej, wysiądzie ze swego Renaulta i podejdzie do nich.

— Czy nie byłoby sympatyczniej, gdybyś wysiadł, żeby się z nim przywitać?

— Dopiero, jak się dowiemy, co kombinuje — odparł Beurain.

Odjechali już spory kawałek od Sztokholmu i ruch na E3 wyraźnie zmalął. Wszędzie dokoła falowały wzgórza z ciemnymi czapami jodłowych lasów, jakby nie było im końca. Kiedy Cotel podszedł, dach Mercedesa zaczynał już się nagrzewać od palącego słońca.

Zamiast zwykłego, tradycyjnego i dobrze skrojonego garnituru miał na sobie stare dżinsy, trampki i znoszoną wiatrówkę. Schylił się do okienka, przywitał uprzejmie z Luizą i powiedział:

— Moi ludzie donieśli mi, że Wiktor Raszkin wystartował jakiś czas temu z Brommy, podając jako punkt docelowy swojego lotu Kjulę. Leci swoją Cessna i sam ją prowadzi.

— Skąd wyciągasz wnioski, że...

— Że gdybym chciał kogoś nabić w butelkę, to może poleciałbym samolotem do Kjuli i stamtąd samochodem cofnął się do Strängnäs, jakbym jechał nie, z, tylko do Sztokholmu. Tak mi to przyszło do głowy. Masz coś przeciwko temu, żebym podczepił się do was?

— Ależ skądże, Ed.

Kiedy Cattel wracał do swego Renaulta, Beurain ruszył z zatoczki i wcisnął gaz, żeby dopędzić Saaba Stiga Palmego. We wstecznym lusterku zobaczył doganiający go samochód z Hendersonem za kierownicą. Pozostałe trzy wozy trzymały się tuż za nim.

— Potraktowałaś Eda dość ozięble — zauważyła Luiza.

— Staralem się tylko maksymalnie skrócić naszą rozmowę. W razie gdybyś już zapomniała, przypomnę ci, że działamy według ścisłego harmonogramu czasowego, uzgodnionego z Harrym Fondbergiem.

— No dobrze, a teraz proszę o prawdziwy powód.

— Gdybyś chciała odwrócić czyjaś uwagę od pewnego kierunku, jaki byłby najskuteczniejszy sposób, żeby to osiągnąć?

— Skierować go w zupełnie inną stronę. Na miłość boską, chyba nie chcesz powiedzieć, że Ed Cattel wskazuje nam uparcie na Wiktora Raszkina, żeby odciągnąć naszą uwagę od Waszyngtonu?!

* * *

Harvey Sholto, człowiek z Wietnamu, człowiek, którego przeszłość i terażniejszość spowijał gęsty mrok, człowiek, o którego rychłym przyjeździe poinformował Harry'ego Fondberga sam osobisty doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych, Joel Cody, zatrzymał się w hotelu Reisen.

Wybrał go sobie bardzo starannie. Hotel znajduje się na tej samej wyspie co Gamla Stan i stoi frontem do odnogi Strommen. Przez połowę lornetkę wysoki, mocno zbudowany, łysy Amerykanin wyraźnie widział z okna swojej sypialni główne wejście do Grand Hotelu po drugiej stronie pasa wody, parkujące przed hotelem samochody i każdego, kto wchodził lub wychodził. Siedział właśnie okrakiem na krześle z lornetką przy oczach, kiedy Beurain z Luizą wyszli z hotelu i wsiedli do swego Mercedesa.

Zbiegł szybko na dół, wskoczył za kierownicę wynajętego Volvo i popędził nabrzeżem, a potem mostem, na drugą stronę wodnego przesmyku. Minął Grand Hotel w samą porę, by włączyć się w ruch uliczny w odległości pozwalającej na śledzenie Mercedesa.

Słomkowy kapelusz — zakrywający całkowicie łysinę — i para wielkich

ciemnych okularów zmieniały go tak bardzo, że nawet dobry znajomy mógłby go rozpoznać dopiero zderzywszy się z nim twarzą w twarz. Rzuciwszy okiem w lewo, ujrzał Renaulta jadącego przez krótką chwilę tuż obok. Oba samochody jechały bok w bok tylko przez kilka sekund, ale to wystarczyło Harveyowi Sholto, żeby rozpoznać jastrzębi profil agenta CIA, Eda Cottela.

Domyślając się, że Cotel jedzie w ślad za Beaurainem, Sholto przerzucił się z pilnowania Mercedesa na pilnowanie Renaulta. Widział formowanie kawalkady samochodów z jakimś Saabem na przodzie i Mercedese Beuraina tuż za nim, widział, jak ruszyła, oddalając się od centrum miasta, i w kilka minut wypadła na E3 w kierunku Strängnäs.

To Sholto tworzył niewidzialną, tylną straż kawalkady; przypalając papierosa od papierosa i mrużąc oczy lśniące od skupienia jak paciorki, pilnował się, żeby nie zgubić ostatniego jej pojazdu. Kiedy dociskał pedał gazu i wpatrywał się zza ciemnych szkieł w pędzącą mu naprzeciw autostradę, czuł pod pachą krzepiącą wypukłość kabury z tkwiącym wewnątrz niej Coltem 45. Na siedzeniu obok leżał zawinięty w koc wielostrzałowy karabin. Zanosiło się na to, że pilna misja, zlecona mu przez Waszyngton, zostanie szybko wykonana.

* * *

Na długich odcinkach płaskiego terenu autostrada E3 nie ma barier, chroniących leżące obok niej tereny rolnicze; po prostu zlewa się z szerokimi łąkami i pastwiskami. Palme ukrył swego Saaba w ten sposób, że zjechał z pustej szosy na taki właśnie kawałek łąki i ustawił go za kępą drzew. Kiedy na autostradzie pojawił się Beaurain, Palme machnięciem ręki nakazał mu zrobić to samo, po czym stanął na poboczu, czekając na następne wozy grupy szturmowej.

— Patrz na Eda! Co on robi? — spytała Luiza, kiedy Beaurain powoli i z wielką wprawą poprowadził półtonowej tony metalu tą samą drogą co Palme i zatrzymał je za tą samą kępą drzew.

— On zawsze chadza własnymi drogami — odparł lakonicznie Beaurain.

Amerykanin nie zatrzymał się, popędził drogą dalej i już po chwili zniknął im z oczu za zakrętem. W górze pojawił się znowu helikopter kontroli ruchu drogowego z Harrym Fondbergiem na pokładzie.

— Zejdź niżej — polecił Fondberg siedzący w fotelu obok pilota. Wcisnął łokcie w oparcia, żeby zyskać na stabilności, i nastawił swoją potężną lornetkę na Renaulta, który jakiś czas wcześniej przystanął na chwilę na konsultacje z Beaurainem.

— Mam cię. — Zanotował numer rejestracyjny Renaulta i kazał pilotowi po-

nownie nabrać wysokości. Następnym obiektem jego zainteresowania stała się kolumna pojazdów, zjeżdżająca właśnie z szosy, torująca sobie drogę przez wysoką trawę i ustawiająca się w czworobok za kępą drzew. Szefowi Säpo przebiegło przez myśl, że zanosí się na coś bardzo interesującego.

Zaprzątnięty ruchami znikającej mu z oczu za drzewami kolumny, nie zauważył przejazdu beżowego Volvo, prowadzonego przez mężczyznę w słomkowym kapeluszu. Harvey Sholto zanotował w pamięci miejsce, gdzie pojazdy zjechały z drogi, spostrzegł terkocący w górze helikopter drogówki i pociągnął statecznie dalej szosą, aż skrył go najbliższy zakręt.

* * *

Jeden z tych starych domów... spiczaste dachy i wystające okna, tak jak to kiedyś budowano... Musi mieć z pięćdziesiąt lat...

Ukryty wraz z innymi za drugą kępą drzew, Palme poskrobał się w ostrzyżoną na języka głowę. Zamordowany ślusarz niewiarygodnie precyzyjnie opisał zarówno dom, jak i jego położenie. Dom stał dokładnie tam, gdzie spodziewał się go znaleźć. Wyglądał jak dekoracja do jakiegoś psychologizującego horroru.

Nawet Palme, który nie należał do osób przesadnie ulegających nastrojom, czuł, że z całym tym miejscem jest coś mocno nie w porządku.

— Nie podoba mi się to wszystko — powiedział do Beauraina, który stał tuż obok niego, o pół kroku przed Jockiem Hendersonem. Belg lustrował okolicę za pomocą lornetki. Skłonny był zgodzić się ze Stigiem Palmem. W domu panował nieco za duży spokój. Zastony we wszystkich oknach zaciągnięto do połowy, tak jak to się robi, kiedy mieszkańcy chronią przed zbyt silnym słońcem dywany i kilimy albo gdy wyjeżdżają na dłużej.

Schody wiodące na otwartą werandę wyglądały na rozklekotane, łuszczyła się z nich farba, ale reszta domu była w dobrym stanie. Asfaltowy podjazd prowadził do samych schodów, po czym zakręcał do prawego skrzydła domu. Po tej samej stronie, zasłonięty częściowo drzewami, majaczył zarys starej przybudówki.

— Widzisz jakiś ślad mieszkańców? — spytała szeptem Luiza. Coś w atmosferze tego dziwnego domu, w ciężkiej, rozpalonej ciszy, spowijającej go jak gęsta chmura, skłaniało do mimowolnego mówienia szeptem.

— Nawet najmniejszego — odparł Beurain opuszczając lornetkę, ale w jego głosie nie słychać było przekonania. — I co o tym myślisz? — spytał.

— Nie podoba mi się to wszystko — powtórzył Palme i znowu poskrobał się lewą ręką po głowie; w prawej trzymał odbezpieczony pistolet maszynowy.

— Proponuję go najpierw okrążyć, sir — powiedział Henderson. — A potem

w uzgodnionym momencie wkroczyć ze wszystkich stron naraz. Kilka kroków z tyłu mamy rów melioracyjny zarośnięty wysoką trawą. Moglibyśmy się nim przeczołgać. To jest idealne podejście na tyły domu. A stamtąd już łatwo go będzie otoczyć.

— Niedaleko stąd jest jezioro — zauważył Palme. — Tu wszędzie jest ich mnóstwo, ale to akurat wydaje się dość duże. — Pokazał je Beurainowi na mapie.

— To bez znaczenia — odparł Beurain. Miał tego później bardzo żałować. — Dobrze, Jock, podchodzimy z najwyższą ostrożnością. Otoczyć dom i wkroczyć ze wszystkich stron jednocześnie. Jock, zorganizuj to wszystko — i do roboty!

Helikopter drogówki z Harrym Fondbergiem na pokładzie odleciał już spory kawałek dalej i kiedy Luiza osłoniła oczy przed oślepiającym słońcem i spojrzała w niebo, zobaczyła tylko dużą kropkę. Fondberg z rozmysłem usuwał się poza pole walki, żeby nie zaalarmować przeciwnika. Luiza stanęła za drzewami zasłaniającymi ich od strony autostrady i znów zaczęła obserwować dom przez lornetkę.

Henderson zniknął już w rowie melioracyjnym ze swoją grupą dwunastu uzbrojonych szturmowców wyposażonych w walkie-talkie. Obserwując trawę, wyrastającą ponad krawędź rowu, Beurain nie potrafił wypatrzeć najmniejszego śladu ruchu. Mógł mieć tylko nadzieję, że z żadnego z okien domu, zwłaszcza tych na piętrze, nie widać było dna rowu. Usłyszał głośny okrzyk Luizy, która oddaliła się o kilka jardów i lustrowała sąsiedztwo domu.

— Co tam? — spytał.

— Czy Stig nie mówił, że ten ślusarz widział Volvo na numerach rejestracyjnych amerykańskiej ambasady?

— Owszem, próbował śledzić to Volvo w drodze do Sztokholmu, ale stracił je z oczu. Dlaczego pytasz? — W głosie Beuraina zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

— Dlatego, że za domem stoi właśnie takie Volvo, tyle że na numerach rejestracyjnych ambasady nie amerykańskiej, tylko rosyjskiej!

— Seiger musiał być tak przerażony, że próbował ukryć część prawdy. A ten samochód oznacza, że jednak tam ktoś jest!

ROZDZIAŁ 18

Doktor Theodor Norling wyglądał zza firanki okna na pierwszym piętrze. W morzu trawy, rosnącej wzdłuż rowu melioracyjnego, było kilka prześwitów i w jednym z nich zobaczył nadciągających szturmowców, pełzających na brzuchach dnem rowu jak węże.

Właśnie przed chwilą zabrał to, po co przyjechał — plik czerwonych teczek, schowanych pod klapą w podłodze na parterze. Leżały teraz bezpiecznie w jego neseserze i pozostało mu tylko wymknąć się z domu. Doktor Theodor Norling miał na sobie luźną kurtkę myśliwską z pojemnymi kieszeniami. Sięgnął prawą ręką do jednej z tych kieszeni i namacał twarde, metalowe, jajowate przedmioty — ręczne granaty.

Opuścił pośpiesznie pokój i zbiegł po kręconych schodach. Dom był niemal zupełnie pusty, stało w nim ledwie kilka mebli, toteż stuk obcasów jego butów odbił się echem od nagich ścian.

Te nieliczne meble, które zachowano, były dość osobliwe. Pod każdym oknem stała duża skrzynia, którą można by wziąć za staromodny kaloryfer. Nic bardziej mylnego. Przed opuszczeniem domu widma Norling nie zapomniał zabrać ze sobą maleńkiej skrzyneczki z czerwonym przyciskiem i przesuwным przełącznikiem. Wyciągnął z niej miniaturową antenkę i przesunął przełącznik na pozycję „Gotowość”. Teraz musiał się dobrze pilnować, żeby przez nieuwagę nie dotknąć czerwonego przycisku zbyt wcześnie.

Na dworze przypadł za samochodem do ziemi i przebiegł pod osłoną kilku drzew do miejsca, gdzie rów zakręcał na tyły domu. Tak jak się spodziewał, rów był pusty; pierwszy z pełzających nie dotarł jeszcze do zakola. Za nim pozostał dom zmieniony w beczkę prochu.

Nisko przykulony oddalał się teraz w linii prostej od domu i autostrady, wykorzystując każdą naturalną osłonę: kępę krzaków, kilka drzew, sterczący z ziemi ciąg granitowych skał. Dotarłszy do nich przystanął, zsunął się do niewielkiego parowu i wyrztał ostrożnie przez jego krawędź.

Za jego plecami marszczyły się w słońcu błękitne wody jeziora, mieniając się i lśniąc niczym żywe srebro. Tego właśnie jeziora, które Beaurain uznał za bez znaczenia. Ze swej chwilowej kryjówki u szczytu skalnego wyniesienia Norling

mógł akurat dojrzeć miejsce, gdzie między porastającymi brzeg trzciniami stał ukryty wodnopłat.

Skupił uwagę ponownie na domu, doskonale stąd widocznym — domu, zaparkowanym Volvo i tyralierze ludzi, którzy okrążyli już budynek i podnosili się z rowu, lecz na razie tylko obserwowali cel swego ataku, nie ruszając się z miejsca. Norling zacisnął mocno w prawej ręce mały nadajnik, przysuwając wskazujący palec do czerwonego przycisku. Jedno dotknięcie i naszpikowany ładunkami wybuchowymi dom wyleci w powietrze.

* * *

Minąwszy drogę dojazdową do domu, który przypominał mu stare domostwa, jakie zachowały się jeszcze gdzieś w dalekim San Francisco, Ed Cotel nie odsadził się zbyt daleko.

— Pochodzą pewnie z tego samego okresu — osądził na głos i natychmiast uzmysłowił sobie, że to mówienie do samego siebie jest oznaką najwyższego napięcia. Chcąc skorzystać ze swego nadajnika, zjechał z autostrady i ustawił Renaulta za kępą przydrożnych zarośli.

Opuścił klapkę przesłaniającą skalę i pokręta, pomanipulował przy nich i wywołał swego człowieka w Kjuli, na wojskowym i cywilnym lotnisku odległym o piętnaście kilometrów od Strängnäs. — Tu Perkoz... Tu Perkoz...

— Słyszę cię, Perkoz, słyszę cię. Ozark wylądował. Powtarzam: Ozark wylądował.

Cotel potwierdził odbiór wiadomości i rozłączył się. Powiódł wzrokiem po rozedrganych i rozmigotanych w słońcu polach. Jak na Szwecję robiło się cholernie gorąco. A więc tak, Wiktor Raszkina jak zwykle wylądował w Kjuli. Schemat się powtarzał.

Obserwatorzy ustalili ponad wszelką wątpliwość, że Rosjanin odbywa regularne loty na tej trasie. Zostawiał swoją Cessnę — pilotowaną osobiście — w Kjuli, wsiadał za kierownicę czekającego tam na niego Volvo kombi i odjeżdżał autostradą E3, jakby wybierał się do Sztokholmu, czyli tam, skąd właśnie przyleciał. To nie miało żadnego sensu.

Problem tkwił w tym, że Cotel zawsze tracił Volvo z oczu na długo przedtem, nim dotarło do drogi dojazdowej do starego domu, gdzie Beaurain miał właśnie rozpocząć swą własną małą wojnę.

Pozostawioną na lotnisku w Kjuli Cessnę odprowadzał na Brommę wynajęty pilot, czekający zawsze w pogotowiu na jej przylot ze Sztokholmu.

Nagle Cotel dostrzegł kątem oka błysk w miejscu, gdzie nic nie powinno

błyskać. Jednym pchnięciem otworzył drzwi, wtulił głowę w ramiona, rzucił się na ziemię i wturlał pod samochód.

Pierwsza kula strzaskała przednią szybę Renaulta, wybijając w niej dziurkę dokładnie w miejscu, gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdowała się głowa Cottela. Druga i trzecia dosięgły swoich celów, rozrywając na strzępy obie przednie opony. Spod osłony samochodu Cotel oddał raz za razem trzy strzały, starając się postać je jak najbliżej punktu, gdzie błysnął promień słońca odbity od lunety karabinu. Po krótkiej chwili usłyszał odgłos zapalania silnika samochodu. Nim zdołał dopaść autostrady, pojazd niedoszłego mordercy zniknął bez śladu.

Harvey Sholto był wściekły na siebie, że chybił — było to coś niemal niespotykanego w jego karierze. Gdzieś w pobliżu kręcił się helikopter drogówki, pewnie ten sam, który widział już wcześniej. Tego tylko brakowało, żeby w sprawę wtrąciły się miejscowe burki. Pod kocem, na tylnym siedzeniu Volvo, leżał snajperski karabin z lufą jeszcze ciepłą od trzech strzałów, jakie z niego oddał. Kiedy się zorientował, że nie trafił Cottela pierwszym pociskiem, natychmiast przesunął celownik na opony.

Prowadząc samochód jedną ręką, zdjął słomkowy kapelusz i otarł pot z tysej głowy. To była pora robienia porządków, zacierania wszystkich zbędnych śladów. Tak dobrze mu poszło na dworcu Sztokholm Centralny. W mundurze szwedzkiego policjanta i na policyjnym motocyklu prześliznął się przez szczelny kordon z walizką heroiny przywiązaną do tylnego siodełka i dostarczył przesyłkę do mieszkania przy Radmangatan.

To także Sholto użył rewolweru z tłumikiem, by po wydobyciu heroiny ze steru papieru zabić Serge'a Litowa. Pozbycie się go było ważnym elementem tego zacierania śladów. Wcisnął znowu na głowę słomkowy kapelusz i wydał mięsiste wargi. A więc Cotel nadal figurował na jego liście. Ale Sholto nie powiedział jeszcze swego ostatniego słowa.

* * *

— Tam ktoś jest, Jules — powiedziała nagle Luiza.

— Gdzie?

— Przy tych wielkich skałach za domem.

Beaurain musiał natychmiast podjąć decyzję. Założył, że Luiza rzeczywiście kogoś tam zobaczyła. Czuł instynktownie, że ledwie sekundy dzielą ich od chwili, kiedy coś się stanie... człowiek albo kilku ludzi obserwujących dom zza skały... mając jak na dłoni okrążających go ludzi Hendersona... kilka serii z pistoletów maszynowych i wykoszą ich co do jednego...

— Odwrót! Odwrót! Henderson, natychmiast się wycofuj!

Żeby jego głos zabrzmiał donośniej, Beaurain złożył dłonie w prowizoryczną tubę. Ryzykował, że spali całą akcję; ryzykował życiem połowy swoich ludzi, gdyby się pomylił — gdyby Luizie coś się przywidziało. Jego rozpaczliwy krzyk mógł zrujnować całą operację, pozbawić Hendersona jego najważniejszej broni — elementu zaskoczenia.

Henderson zareagował bez chwili wahania, wykazał się jednak ogromnym rozsądkiem.

— Padnij! Kryć się! Natychmiast kryć...

Ze swego odległego punktu obserwacyjnego Beaurain i Luiza widzieli wszystko jak w koszmarnym śnie.

Potworna siła wypchnęła wykuszowe okna na zewnątrz, zmieniając je w grad strzaskanego szkła i drzazg, który zasłał ziemię na przestrzeni wielu metrów. Schody przed werandą wystrzeliły w powietrze jak rakieta; podminowane potężnym ładunkiem wybuchowym stanowiły śmiertelną pułapkę na każdego, kto próbowałby się tędy dostać do środka. Ściany domu rozprysły się niczym odłamki szrapnela, prując powietrze dzidami połupanego drewna. Dach uniósł się w górę, jakby poderwany ogromną szponiastą łapą. A wszystkiemu towarzyszył rozdzierający bębniący huk, który na długą chwilę zupełnie ich ogłuszył.

Zawracający helikopterem w pobliże domu Harry Fondberg ujrzał ten widok z lotu ptaka i po prostu skamieniał z grozy. Otrząsnął się dopiero, kiedy maszyna zadygotała w podmuchu fali uderzeniowej i natychmiast wydał pilotowi naturalny w tej sytuacji rozkaz:

— Siadaj na autostradzie przy wylocie drogi do domu! — rzucił do mikrofonu. — Ale migiem!

Teraz przyszła kolej na ogień. Jak znaczna część szwedzkich domów tak i ten zbudowany był z drewna. Spomiędzy kłębow czarnego dymu wystrzelił w górę ognisty jęzor żółtego płomienia, zatańczył na wszystkie strony, okrzepł i buchnął ze zdwojoną siłą. Pożar rozprzestrzenił się błyskawicznie, pochłaniając z upiornym trzaskiem wszystko, co jeszcze zostało z domu, który stał na tym odludziu od tylu, tylu lat.

Doktor Theodor Norling nie czekał za grzbietem skały, by zobaczyć skutki naciśnięcia czerwonego guzika. Natychmiast zjechał z niej na piętach po przeciwnej stronie od domu i to uratowało mu życie. Na podwórzu za domem leżał stos polan i kłód do palenia w kominku, zapas na nadchodzącą zimę. Eksplozja porwała te gotowe pociski, odrzucając je z impetem kul armatnich. Norling usłyszał za plecami dudniące bębnienie polan bombardujących przeciwległą stronę skały. Poderwał się na nogi i na wpół biegnąc, na wpół pełznąc, by skryć się przed wzrokiem przeciwnika, ruszył ku swemu celowi.

Przy lądowaniu pilot uszkodził helikopter. Był to przypadek jeden na tysiąc, spowodowany zapewne jego szokiem na widok całego domu rozrywającego się

na kawałki jak jeden wielki granat. Kiedy lądował u zbiegu autostrady i drogi podjazdowej, tył maszyny znalazł się odrobinę za blisko Mercedesa Beauraina. Właściwie otarł się tylko o samochód, nie czyniąc mu większej szkody niż zadrapanie na dachu, ale otarł się łopatką tylnego śmigła. Wirujące śmigło wyprysło w powietrze i przemknęło ze świstem na drugą stronę szosy.

— Maszyna jest niezdatna do lotu — poinformował Fondberga pilot. — Strasznie mi przykro, ale bez tylnego śmigła nie będzie słuchała sterów.

— Trudno. — Szef Säpo odwrócił się, żeby wyskoczyć z helikoptera. — Proszę się przygotować do wezwania pomocy medycznej, ale dopiero — powtarzam — dopiero, kiedy zbadam sytuację.

W połowie drogi dojazdowej ujrzał Beauraina, który biegł z zaciętą miną do szosy, podczas gdy Luiza pozostała przy pogorzeliisku, lustrując przez lornetkę okolicę. Beaurain machnięciem ręki wstrzymał go i Fondberg stanął w miejscu, czekając, aż Beaurain do niego podbiegnie.

— Harry, podnoś swój helikopter w powietrze i zacznij się rozglądać!

— Tylny śmigło nam poszło. Pilot zawadził przy lądowaniu o twojego Mercedesa. Co tam się stało?

— Cały dom był jedną gigantyczną beczką prochu — odparł Beaurain. — Mówi ci to coś?

— A powinno?

Beaurain wyrzucał z siebie słowa jak karabin maszynowy, chcąc jak najszybciej wprowadzić Fondberga w sytuację. — Ile czasu upłynęło od masakry w Helsingorze? I znowu ktoś zdalnie detonuje całą górę ładunków wybuchowych. Ta sama ręka naciska guzik i obraca ten dom w perzynę. Chciałem, żebyś szukał helikopterem masowego mordercy, rzeźnika, maniaka, który z dnia na dzień jest coraz bardziej obłąkany.

— Twoi ludzie... — powiedział Fondberg półgłosem i spojrzął na koniec drogi, gdzie rozgrywały się sceny jak podczas krwawej bitwy. — Co z nimi? Mogę natychmiast wezwać dziesiątki karet.

— Nie są potrzebne, ale dzięki. Henderson był o ułamek sekundy szybszy od mordercy, kazał wszystkim się kryć, więc przypadli do ziemi. W rezultacie fala uderzeniowa i wszystkie odłamki przeleciały nad nimi. Kilku ma powierzchowne rany i siniaki, ale sami dadzą sobie z tym radę. Gdyby było inaczej, Luiza nie stałaby tam tak bezczynnie i nie udawała miłośniczki dzikich ptaków.

— Coś mi się zdaje, że wypatrzyła chyba jakiś ciekawy okaz — zauważył Fondberg. — Zostanę przy helikopterze na wypadek, gdyby zjawił się patrol drogowy. Oni lubią się włóczyć po E3.

Beaurain odwrócił się, zobaczył, że Luiza przywołuje go gestem i pobiegł z powrotem w stronę domu. Śwąd zwęglonego drewna przybierał na sile. Kłęby czarnego dymu wałyły pod niebo, płomienie w tym gnieździe utkanym z dymu rozszalały się w huczące, tryskające snopami iskier piekło. Kiedy podszedł do

Luizy stojącej w miejscu, skąd widać było tyły domu, ujrzał znajomą sylwetkę Hendersona pędzącą w stronę sterczących skał.

— Co się stało? — spytał nagle.

— Norling.

— Gdzie?

— Na miłość boską, zamknij się na dziesięć sekund, to ci powiem!

— Milczę jak grób.

— Na prawo od tej wielkiej skały, do której biegnie Henderson z kilkoma swoimi ludźmi. — Podała mu lornetkę. — Wydawało mi się, że widzę w trawie jakiś ruch, potem pomyślałam, że mi się przywidziało, ale znów to zobaczyłam. Kłopot w tym, że jego jasne włosy zlewają się z tłem. Stig jest zupełnie zdezorientowany.

Stig Palme stał kilka kroków dalej od nich z twarzą umorusaną od sadzy, z jasnymi włosami osmalonymi żarem bijącym od płonącego domu, z odbezpieczonym pistoletem maszynowym wycelowanym w pole. Henderson dotarł właśnie do podstawy skały. Beaurain przesunął lornetkę na żółty łan rzepaku, który pokazywała Luiza. Nie było mowy, żeby ktokolwiek zdołał się w nim ukryć, a tym bardziej niepostrzeżenie go przebiec. I wtedy zobaczył, o co jej chodziło. Niemal w tej samej chwili wydarzyło się coś jeszcze. Palme odebrał wiadomość przez swoje walkie-talkie.

Pole rzepaku przecinało głębokie koryto wyschniętego strumienia i tym właśnie korytem biegł równym truchtem przykulony do ziemi blondyn. Nie tak szybko, żeby łatwo go było zauważyć, ale wystarczająco, by zostawił już daleko za sobą stary dom, który dopiero co stał z powierzchni ziemi.

— Dlaczego Stig jest zupełnie zdezorientowany?

— Stig mówi, że ten blondyn... Do diabła z blondynem, przecież to musi być Norling!... No więc Stig mówi, że Norling biegnie w stronę jeziora, które zastąpi mu drogę.

— Wiadomość od sierżanta Hendersona, sir — przerwał im Palme, podając Beaurainowi swoje walkie-talkie. — Mówi, że widzi jakiegoś blondyna, biegnącego w stronę jeziora, do którego dotrze w ciągu dwóch minut. Z wierzchołka skały ma go jak na dłoni, ale odległość jest zbyt duża na otwarcie ognia. Proponuje rozsypać ludzi w tyralierę i okrążyć uciekiniera, ale najpierw chce porozmawiać z panem.

— Beaurain — rzucił do aparatu Belg. — Muszę mieć tego człowieka, i to za wszelką cenę. Najlepiej żywego, ale może być i martwy, byle tylko nie zdołał uciec.

— Już ruszamy, sir — potwierdził Henderson. — Przy tej skale znalazłem coś dziwnego. Pokażę panu później.

Palme zacisnął mocniej w dłoni kolbę swego pistoletu maszynowego i powiedział z pełnym przekonaniem: — Dostaniemy go. Trzymał się tego strumienia,

żeby być niewidoczny, ale to koryto zakręca — tak mam na mapie. Więc my pójdziemy po przekątnej. Zgoda?

— Zgoda — przyzwolił Beaurain. Nim zdążył dokończyć, Palme oddalał się już równym biegiem od zwęglonych ruin z bronią przewieszoną ukośnie przez pierś, gotową w każdej chwili do użycia. Beaurain i Luiza pobiegli za nim.

Palme wiedział, co mówi. Z uwagi na miejsce, z którego wyruszyli, i aktualną pozycję Norlinga, mieli znaczne fory w stosunku do Hendersona i jego tyraliery. Trzyosobowa grupa prowadzona przez Palmego musiała pierwsza dopaść uciekającego blondyna. Dotarłszy do strumienia, zeskoczyli na wyschnięte dno, przecięli je na ukos, wdrapali się na przeciwnie leżące zbocze i wtedy Luizie zaparło dech.

Do tej pory nie zdawali sobie sprawy, że od samego domu aż do tego miejsca teren leciutko się wznosi. Pokonawszy dolinkę, znaleźli się nagle na niewielkim garbie, od którego pole zaczynało znowu łagodnie opadać. W dole rozlewało swe wody jezioro w kształcie bumerangu, nie zmaczone najłżejszym nawet tchnieniem wiatru, rozmigotane w promieniach słońca — jaskrawa plama błękitu wśród złotych łąków rzepaku. Norling wyprzedzał ich ledwie o kilkaset metrów. Mieli go!

— Samolot! Hydroplan! Tam, w tych trzcinach!

Beaurain zrozumiał, na czym polega plan ucieczki Norlinga i jak blisko jest — na skutek uszkodzenia helikoptera Fondberga — powodzenia. Daleko w tyle i po lewej szturmowcy Hendersona rozsypali się wachlarzem w przepisową wojskową tyralierę. I to Beaurain pierwszy pojął ogromne zagrożenie.

— Padnij! Padnij, na miłość boską!

Chwilę wcześniej blondyn obejrzał się, dostrzegł ścigającą go trójkę i natychmiast zareagował. Przystanął, sięgnął do kieszeni, pomanipulował przy czymś obiema rękami, wziął zamach, szerokim wyrzutem cisnął to coś przed siebie i znowu sięgnął do kieszeni. Pierwszy granat szybował w powietrzu dokładnie w kierunku miejsca, gdzie stał Beaurain z Palmem i Luizą.

Przypadli do ziemi i rozpląszczyli się wśród łądek rzepaku. Rozległ się ogłuszający wybuch. Grad odłamków zasypał ich skulone ciała. Norling miał ich w zasięgu rzutu. Beaurain ledwie zdążył z następnym ostrzeżeniem: — Leżeć, nie ruszać się, nie zdradzać, gdzie jesteśmy! — gdy eksplodował drugi granat. Znowu zasypały ich odłamki, kamienie i grudy wyrwanej ziemi.

Trzecie ostrzeżenie było zbyteczne. Tak Palme, jak i Luiza pozostali w zupełnym bezruchu. Kilka sekund później nastąpił trzeci wybuch. Potem czwarty... piąty... szósty...

Granaty padały coraz dalej od miejsca ich ukrycia. Norling biegł do brzegu jeziora, zatrzymywał się tylko, by rzucić następny pocisk i biegł dalej. Beaurain podniósł się ostrożnie z ziemi. Jego ostrożność okazała się zbyteczna.

Norling dopadł już hydroplanu, zdążył wskoczyć do kabiny i zapuszczał właśnie silnik. Nim Palme i Luiza poderwali się na nogi, Beaurain chwycił w obie ręce swego Smith and Wessona, wymierzył i dwukrotnie nacisnął spust. Był to

czyn zupełnie rozpaczliwy — Norling był poza zasięgiem strzału z rewolweru.

— Strzelaj! — Beaurain krzyknął do Palmego, uzbrojonego w pistolet maszynowy.

Palme przyciskał już kolbę swojej broni do ramienia, ale w tej samej chwili wodnopłat pomknął po powierzchni jeziora; nie warto było nawet naciskać spustu. Na pytające spojrzenia nadbiegającego Hendersona i dwóch jego kolegów Beaurain wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Hydroplan oderwał się od wody i, trzymając się na bardzo małej wysokości, zniknął za grzbietem pierwszego wzniesienia.

— Helikopter Fondberga! — zawołał Henderson. — Byle zaraz wystartował!

— Ani zaraz, ani później. Wcale. Przy lądowaniu stracił tylne śmigło. — Beaurain zaciągnął się dymem i spojrzał na pasmo trzciny przy brzegu jeziora, gdzie ukryty był hydroplan. — Stig, on pryskał w cholernym pośpiechu. Przejdź się tam, gdzie stał ten samolot, i zobacz, czy czegoś nie znajdziesz. Spotkamy się na drodze.

Kiedy dotarli do autostrady, Beaurain przekazał Fondbergowi niepomyślną wieści, a szef Säpo rozkazał wszcząć poszukiwania hydroplanu. — Tylko za bardzo na to nie licz — uprzedził Beauraina. — Tutaj wszędzie kręci się mnóstwo takich maszyn, zwłaszcza dalej na południu, gdzie aż roi się od jezior. No więc, co takiego właściwie odkryliśmy?

— Ty mi to powiedz — zaproponował Beaurain.

— Magazyn ładunków wybuchowych Syndykatu, przypuszczalnie zgromadzonych do użycia przy napadach na banki, i przejściową kwaterę główną, z której została teraz kupa dymiących zgliszcz. To by było tyle.

— Niby tak, tylko spójrz, kto to nadchodzi drogą.

Szosa zbliżał się Ed Cotel. Szedł nią od chwili, gdy nie zidentyfikowany snajper przestrzelił mu obie przednie opony. A Ed Cotel ogromnie nie lubił chodzić; zupełnie nie pojmował sensu tej czynności. Istniało przecież coś takiego jak samochód. W obecności przysłuchującej się Luizy zdał Beaurainowi i Fondbergowi zwięzłe sprawozdanie z tego, co mu się przytrafiło, po czym sam wysłuchał krótkiej opowieści Beauraina o wypadkach, które zaszły wokół domu na odludziu.

— Powiadasz, że za domem stało Volvo kombi? — upewnił się, kiedy Beaurain umilkł. — Nic z tego nie rozumiem. Jeden z moich obserwatorów doniósł, że Wiktor Raszkin wyleciał z Brommy pilotowaną przez siebie Cessna i podał jako lotnisko docelowe Kjulę. Tam wsiadł do Volvo kombi i pojechał w tym kierunku. A tu się okazuje, że za tym domem, w miejscu niewidocznym z autostrady, stało właśnie jakieś Volvo kombi. Tylko że, według was, facetem, który nasypał wam na ogon granatów, nim odleciał sobie hydroplanem, nie był Raszkin, tylko doktor Theodor Norling. Czy coś wam się nie pomyliło?

— Jeszcze wiem, na co patrzę — odcięła się dotknięta do żywego Luiza.

— Daj spokój, Ed — wtrącił się Beaurain. — Mnie bardziej interesuje, kto

mógł chcieć cię sprzątnąć, kiedy siedziałeś w wynajętym Renaultcie kilka metrów w bok od autostrady.

— Nie mam pojęcia — odparł szorstko Cotel.

— I co to za armia obserwatorów, którą zapędziłeś do śledzenia każdego kroku Wiktora Raszkina? — nie dawał za wygraną Beaurain. — Ty chyba masz obsesję na punkcie Rosjan.

— Tylko na punkcie jednego Rosjanina, bo dam sobie głowę uciąć, że on w jakiś sposób wiąże się z Syndykatem. Dostarczę ci zapis wszystkich jego ruchów i zobaczymy, czy nie rzuci ci się w oczy pewien schemat. A co do obserwatorów — Bóg jeden wie, ile czasu zajęło mi stworzenie tej siatki. Rozciągnąłem ją na całą Skandynawię, na wszystkie porty i lotniska, i utkałem z ludzi, którzy zadowolają się braniem pieniędzy, jakie im płacę, i nie pytają, kto ich zatrudnia. — Jego opaloną twarz zmarszczył cierpki uśmiech. — Harvey Sholto dostałby pewnie szału, gdyby się dowiedział, na co wydaję pieniądze otrzymywane z Waszyngtonu. Nie macie pojęcia, jakiej wprawy nabrałem w dziedzinie, którą nazywamy twórczą buchalterią.

— A my księgowymi machlojkami — mruknęła Luiza.

— Więc mam nadzieję, że teraz już zrozumiałeś — ciągnął Amerykanin z nutą sarkazmu pod adresem Beauraina — moją obsesję na punkcie Rosjan.

— Szczerze mówiąc, nie. Chyba zapominasz, że jeden z ludzi Syndykatu z premedytacją zamordował Serge'a Litowa, kiedy ten spełnił już swoje zadanie. I tu się zgadzam, rzeczywiście jakiś Rosjanin miał coś wspólnego z Syndykatem.

— Idź do diabła — odparł pogodnie Cotel.

— Jakie wpływy ma ten Sholto w Waszyngtonie? — spytał ni z tego, ni z owego Beaurain.

— Nikt, kto chce zachować rządową posadę, nie wymawia w ogóle jego nazwiska, nawet w życzliwym kontekście. Oficjalnie taki człowiek w ogóle nie istnieje.

— Rozumiem, to ciekawe... — odparł z namysłem Belg.

Luiza spojrzała na niego spod oka. Ciekawe niby co — pomyślała.

Dalszą wymianę zdań przerwał Harry Fondberg sugerując, by cała grupa szturmowa Teleskopu zabrała się do Sztokholmu, nim nadjadą wozy patrolowe, które wezwał przez radio. On sam miał odegrać rolę przypadkowego świadka, który udając się helikopterem w zupełnie innej sprawie, dostrzegł z powietrza wybuch i pożar domu.

W drodze powrotnej Palme odczekał, aż stracili Fondberga z oczu, i dopiero wtedy wyjął coś zza pazuchy wiatrówki. — Miał pan rację, kiedy kazał mi pan rozejrzeć się wokół miejsca, gdzie stał hydroplan Norlinga — powiedział do Beauraina. — Musiało mu to wypaść przy wchodzeniu do kabiny, a nie miał już czasu, żeby po to wrócić. — W rękę trzymał cienką czerwoną teczkę.

— Norling uciekał z czarnym neserem — przypomniał sobie Beaurain. — Wygląda na to, że ten neser otworzył mu się w nieodpowiednim momencie, a Norling w pośpiechu w ogóle tego nie zauważył. Neser sprawiał wrażenie dość ciężkiego, pewnie był napchany tymi teczkami.

— Znalazłeś coś interesującego? — spytała Luiza.

— Daj mi chwilę czasu, dopiero ją otworzyłem. O proszę, mamy niespodziankę. Napisano to po angielsku, a dokładniej — po amerykańsku. Pisownia jest amerykańska. Wszędzie, gdzie po angielsku powinno być „ou”, piszą samo „o”.

— Chwała Bogu, że Ed Cottel jedzie innym samochodem — zauważyła Luiza. — Gdyby to usłyszał, trafiłby go szlag.

— Na tym etapie możesz nie zdawać sobie z tego sprawy, ale może byłoby nam to na rękę — odparł tajemniczo Beaurain. Zmarszczył czoło i szybko przebiegł wzrokiem wpięte w teczkę kartki maszynopisu. — Nie sądzicie, że to dość podejrzany uśmiech losu? Wcale nie wiem, czy nie podrzucił nam tego z rozmysłem. Jak to możliwe, żeby coś, co rzekomo wypadło mu przy wsiadaniu do hydroplanu, stojącego kilka metrów od brzegu, nawet się nie zamoczyło?

— Możliwe — zapewnił go z zadowoloną miną Palme. — Tak się złożyło, że znalazłem to w jakimś starym ptasim gnieździe. Takim wielkim, uplecionym z trzciny i Bóg wie czego jeszcze. Tylko niech mnie pan nie pyta, jakiego ptaka! Dzikie ptaki nie są moim hobby.

— W porządku, Stig. Przyjmijmy, że zgubił to rzeczywiście niechcący.

— Przy znalezisku Stiga mój własny wkład w historię odkryć Teleskopu wygląda dość skromnie — odezwał się przepaszającym tonem Henderson. — Znalazłem to po drugiej stronie skały za domem, w miejscu, z którego Norling wysadził w powietrze ten swój skład ładunków wybuchowych.

Henderson podał znaleziony przez siebie przedmiot. Beaurain jak urzeczony wyciągnął rękę, wziął go ostrożnie od Hendersona i podniósł na wysokość twarzy na otwartej dłoni. Wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Co w tym takiego niezwykłego? — spytała Luiza.

— Dziękuję, Jock — powiedział powoli Beaurain, ważąc przedmiot w dłoni, jakby to była bryłka czystego złota. — Dałeś mi właśnie klucz i ostateczny dowód na to, czym właściwie jest Sztokholmski Syndykat.

— Przecież to tylko odłamany obcas buta na koturnie — zaprotestowała Luiza. — I to wszystko.

— I to wszystko — zgodził się z ironicznym uśmiechem Beaurain.

* * *

Ze swego pokoju w hotelu Reisen, z widokiem na Strommen i leżący po jego drugiej stronie Grand, Harvey Sholto kazał się połączyć z domowym numerem osobistego doradcy prezydenta, Joela Cody'ego. Tak ustalili przed jego odlotem z Waszyngtonu do Sztokholmu. Gdyby kazał się połączyć z Białym Domem, żadna siła nie oderwałaby telefonistki od tej właśnie linii. Któż oparłby się pokusie podsłuchania takiej rozmowy? A tak Sholto mógł dzwonić do jakiegokolwiek zwykłego śmiertelnika.

— Tu Appalachy — zaczął ostrożnie.

— Tu Rushmore.

Joel Cody osobiście odebrał telefon i był sam, więc mogli rozmawiać. Sholto mówił tak cicho, że Cody dwukrotnie kazał mu mówić głośniej.

— Coteal... — wyrzucił to nazwisko z siebie jednym tchem, z rozmysłem je przekręcając — ...podchodzi coraz bliżej. Kilka godzin temu pomogłem mu zachować pewien dystans, ale i tak depce nam po piętach.

— Aż tak? — spytał z niedowierzaniem Cody. — Jesteś pewien, że nie popadasz przypadkiem w panikę? Sytuacja jest bardzo delikatna, niedobrze byłoby coś sparać.

— Mówię panu, że Cottel jest o splunięcie od czegoś, czego nie chciałby się pan dowiedzieć od najbliższego przyjaciela. Nie mówiąc już o facecie, dla którego pan pracuje. Ale to jeszcze nie wszystko! Miał pan kiedyś teleskop? Taką lunetę, przez którą można zobaczyć, jak dziewczyna w oknie po drugiej stronie ulicy zdejmuje biustonosz? No więc oni także depcą nam po piętach. To znaczy przepraszam — depcą panu po piętach. A coś mi się obilo o uszy, że przygotowuje się pan do wyborów.

— W porządku, w porządku — odparł pośpiesznie Cody. — Ty jesteś na miejscu, do ciebie należy decyzja. Oczywiście masz nasze całkowite poparcie.

— To mnie dopiero podbudowało na duchu! Harvey Sholto robi swoje, choć prezydenci przychodzą i odchodzą, więc może się pan wypchać swoim poparciem. Zobaczę, co da się zrobić.

Rzucił słuchawkę na widełki, nim jego waszyngtoński rozmówca zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Dobry karabin albo rewolwer i następnym razem Sholto postrzela sobie naprawdę. W krótkim czasie trzeba załatwić wcale nie tak mało osób. Zupełnie jak za starych dobrych czasów w Wietnamie. Spojrzał na odbicie swojej łysej głowy w lustrze nad toaletką. A jednak w Sajgonie zabił kiedyś w ciągu jednego dnia, w różnych dzielnicach miasta, dwudziestu ludzi, każdego z osobna. I tylko po to, żeby zadowolić Waszyngton. Poprawka — żeby uratować Waszyngton.

* * *

Informacji, które ostatecznie określiły jego strategię działania, dostarczył Beaurainowi stary przyjaciel, który właśnie przybył do Grand Hotelu. Zdenerwowanie, jakie Beaurain wyczuwał w baronie de Graer podczas odwiedzin w jego gabinecie w Banque du Nord, zniknęło. Tym razem baron, siedzący w fotelu przysuniętym do drzwi do łazienki, w której Beaurain odkręcił wszystkie kurki, by uniemożliwić użycie ewentualnego podsłuchu i wychwycenie treści ich rozmowy, wydawał się zupełnie opanowany. Lecz mimo tego zewnętrznego spokoju Beaurain ujrzał w jego oczach żelazną determinację.

— Musimy — to znaczy ty, Julesie, musisz zniszczyć Syndykat — powiedział obcinając koniuszek cygara, po czym zapalił je i z wyraźną przyjemnością zaciągnął się dymem. — Można by powiedzieć, że odzyskałem zimną krew.

— A czy kiedyś ją pan stracił?

— Ostatnim razem, kiedy widzieliśmy się w Brukseli, byłem kłębkim nerwów. Od tamtej pory miałem czas, żeby sobie wszystko dobrze przemyśleć. Mam informację, jakiej ci potrzeba. Oto ona: jako pomniejszy członek Syndykatu zostałem zaproszony na to, co uważają za stosowne nazywać swoim walnym zgromadzeniem. Męty!

— Damy sobie z nimi radę.

— Miejscem zebrania ma być rzekomo pasażerski statek „Sylwia”, stojący obecnie na południu Szwecji, kilka mil od brzegu, w okolicy portu Trelleborg. Ale to nieprawda. W rzeczywistości konferencja odbędzie się na pokładzie rosyjskiego wodolotu „Komet”. Wszyscy czołowi finansiści, przemysłowcy i politycy Europy, którzy zostali członkami Syndykatu, zostaną przewiezieni na jego pokład łodziami motorowymi z Trelleborga. Tam spotkają się ze swymi amerykańskimi odpowiednikami. W tej właśnie chwili opuszczają Sztokholm.

— Jak?

— W większości samolotami. Rejsowymi z Arlandy do Malmö i dalej samochodami albo małymi, prywatnymi maszynami, które dowiozą ich bezpośrednio do pasa startowego leżącego nieopodal punktu docelowego podróży. — Wstał z fotela i zaczął krążyć niecierpliwie po pokoju. — Tego Hugona trzeba koniecznie zidentyfikować i dopaść, Julesie. To on jest prawdziwym szefem Syndykatu, a jednak nikt nigdy nie widział jego twarzy.

— Ale sporo się o nim nasłuchaliśmy — odparł uspokajająco Beaurain. — Kiedy ma się odbyć ta konferencja?

— Hugo — ktokolwiek nim jest — wybrał sobie dość osobliwą porę. Po znalezieniu się na pokładzie „Komety” wszyscy goście odbędą krótką przejażdżkę. Dokładnie od 20.50 do 2.43, co ściśle odpowiada długości nocy.

— I nie ma pan najmniejszego pojęcia, choćby najogólniejszego, kim może być ten Hugo? — naciskał Beaurain.

De Graer rozłożył ręce w geście rezygnacji. — Czy pan myśli, że sam nie zadawałem sobie tego pytania tysiące razy?

— Od kiedy zna pan te szczegóły dotyczące konferencji? — spytał Beaurain.

— Niecałą godzinę temu otrzymałem telefon. Tak krótkie wyprzedzenie na pewno nie jest przypadkiem. Nie zostawili czasu na żadne działania.

— Kto do pana dzwonił? Kobieta czy mężczyzna?

— Kobieta. Jestem zupełnie pewien, że ta sama, która kontaktowała się ze mną telefonicznie w Brukseli. Ta, którą nazwałem Madame.

— Zawsze to samo, za każdym razem dzwoni jakaś kobieta czy dziewczyna — powiedział w zamyśleniu Beaurain. Spojrzał na barona. — Nie mam słów podziękowania za informację, którą pan mi przekazał. Czy mam rozumieć, że w żadnym przypadku nie weźmie pan udziału w tej konferencji na pokładzie „Komety”?

De Graer przestał krążyć po pokoju i chwycił Beauraina za ramię. — Przyjechałem tylko po to, żeby zobaczyć, czy nie mógłbym wam jakoś pomóc. Teraz łapię pierwszy samolot z Arlandy i wracam do Brukseli. Ale ostrożność nie zawadzi — miejsce zarezerwuję dopiero na lotnisku. W ten sposób, poza panem, nikt nie będzie wiedział, że wyjechałem.

— Bardzo mądrze. Proszę na siebie uważać — Beaurain uścisnął dłoń staremu wojownikowi. — Wkrótce pojedziemy z Luizą do Trelleborga. To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

Zjeżdżając wspaniałą hotelową windą z czerwonymi skórzanymi obiciami i lustrami w połączonych ramach, która tak bardzo pasowała do świata de Graera, Beaurain nie przestawał powtarzać w myślach pytania, jakie zadał baronowi. Kto naprawdę kryje się pod pseudonimem Hugo?

ROZDZIAŁ 19

Krótki czas do wyjazdu do Trelleborga Beaurain spędził niezwykle pracowicie. Do ostatecznego starcia między Teleskopem i Syndykatem postanowił przygotować się bardzo starannie.

Swój punkt dowodzenia przeniósł czasowo do furgonetki zakładu pralniczego, ruchomej kwatery głównej, trzymanej przez Palmego w odwodzie w pewnym sztokholmskim garażu. Furgonetka wyposażona była w potężny nadajnik radiowy z odpowiedniej długości wysuwaną anteną, komplet map wszystkich ważniejszych rejonów i wód przybrzeżnych Szwecji oraz spore zapasy żywności. Stała zaparkowana w bocznej uliczce niedaleko Grand Hotelu.

Beaurain zajął odkładane siedzenie z tyłu furgonetki i zabrał się do czytania depesz z „Burzy Ognia”; Luiza nie odstępowała go ani na krok. Chwilę wcześniej Palme pojechał swoim Saabem na Radmansgatan 490. Rozkaz Beauraina był prosty i niedwuznaczny.

— Jeśli nikogo tam nie zastaniesz, przewróć wszystko do góry nogami. Nie wiem, czego szukamy. Czegoś niezwykłego, czegoś, co na twoje wyczucie nie będzie pasowało do stylu życia normalnej średniozamożnej Szwedki — czegoś, co Norling przechowuje w tym mieszkaniu.

— „Burza Ognia” stanęła na kotwicy na wprost Trelleborga — zauważyła Luiza.

— Bucky Buckminster robi dokładnie, co mu kazałem. Trzyma się za linią horyzontu i wysyła na zwiady helikopter.

— Widzę, że znaleźli zarówno „Sylwię”, jak i ten rosyjski wodolot, „Kometę”.

— Owszem, istotne przy tym jest to, że „Kometę” znajduje się kilka mil dalej w głąb morza i na południe od „Sylwii”. W ten sposób, kiedy łodzie motorowe zaczęną przewozić VIP-ów z Trelleborga na „Kometę”, z brzegu będzie to wyglądało tak, jakby woziły ich na „Sylwię”.

— Czy to będzie brutalne starcie? — spytała cicho Luiza.

— Spodziewam się brutalnej i krwawej konfrontacji, gdzie nikt nikomu nie będzie okazywać cienia litości. To organizacja, za którą stoją miliardy dolarów i niezwykle wpływowe osobistości. Ci ludzie żyją we własnym świecie, gdzie jedyną rzeczą, która się liczy, jest maksymalny zysk. Spójrz na koszmar masa-

kry w Helsingorze. Dokonali rzezi, straszliwej rzezi, i to tylko po to, żeby jeden człowiek — jeden człowiek! — nie przekazał nam informacji. Szczerze mówiąc, perspektywa tej konfrontacji wcale mnie nie cieszy.

— Dlaczego? — spytała Luiza. Przyglądała się uważnie, jak zapala papierosa i już po kilku pociągnięciach, zdążywszy dymem napełnić wnętrze, rozgniała go w popielniczkę. Ujemna strona spotykania się w szczelnie zamkniętej furgonetce.

— Obawiam się, że Hugo może się zagalopować. . .

— To znaczy?

— To facet błyskotliwie inteligentny i jego mózg nadal funkcjonuje idealnie sprawnie, co do tego nie ma dwóch zdań. Rzecz w tym, że kompletnie przestał się liczyć z ludzkim życiem.

— I co się może stać?

Jakby w odpowiedzi rozległo się umówione pukanie do tylnych drzwiczek, oznajmiające, że Palme wrócił z mieszkania przy Radmansgatan. Luiza wyjrzała przez jednostronnie przejrzyste okienko w drzwiczkach, otworzyła je i wpuściła Szweda do środka. Trzymał w ręku niebieską płócienną torbę.

— Mam coś wielce osobliwego — powiedział bez żadnych wstępów.

— To znaczy? — ponaglił go Beaurain.

— Tę torbę. Ukryta była w miejscu wybieranym przez wszystkie kobiety, bo wydaje im się, że nikt tam nigdy nie zajrzy. Z tyłu na szafie, wysoko nad poziomem oczu. Jej zawartość jest bardzo interesująca.

Beaurain wziął od niego torbę i sięgnął do środka. Na dnie spoczywały starannie zawinięte w plastikowe torebki dwa przedmioty — amerykańskie paszporty. Kiedy Beaurain pokazał je Luizie, stwierdzili, że oba mają puste miejsca na zdjęcia, nazwiska i rysopisy posiadaczy. — Ostateczny dowód. . . a sprawa staje się coraz bardziej tajemnicza — mruknął Beaurain z doprowadzającą do szału enigmatycznością.

— Może zechciałbyś oświecić. . . — zaczęła Luiza.

— Musimy złożyć jeszcze jedną wizytę Harry'emu Fondbergowi — przerwał jej Beaurain — potem Cottelowi, i ruszamy do Trelleborga. Różnymi trasami i różnymi środkami transportu — rejsowymi samolotami, samochodami, część ludzi może popłynąć łodzią bezpośrednio na „Burzę Ognia”. Ta furgonetka pojedzie jako nasz przenośny punkt dowodzenia. Powiadom Jocka — zwrócił się do Stiga Palmego — o tym przetrzucie ludzi na południe. Niech się bierze do roboty. Natychmiast.

* * *

W komendzie głównej policji Beaurain skorzystał z telefonu Fondberga, by połączyć się Willym Flamenem i Bodelem Markerem. Fondberg i Luiza siedząc w fotelach przysłuchiwali się jego rozmowom, a szef Säpo, paląc kolejne cygaro, potakiwał głową z aprobatą. W końcu Beaurain odłożył słuchawkę na widełki.

— Będziecie musieli ściśle ze sobą współpracować i dokładnie zsynchronizować czasy akcji w całej zachodniej Europie — uprzedził Fondberga. — Słyszałeś, jak ustalałem z Flamenem, że wciągnie Wiesbaden do współpracy na terenie Niemiec i Paryż do współpracy na terenie Francji, a Bodel Marker Amsterdam do współpracy w Holandii. Czego jak czego, ale wody tam nie brakuje.

— To dopiero będzie fala aresztowań, największa, jaką kiedykolwiek widziała Europa — zapewnił Beauraina Fondberg. — I nastąpi wszędzie dokładnie o tej samej porze, w chwili, gdy znowu zaczną nadawać. Czyli, jak przewidujesz, jutro około północy.

Beaurain wstał z fotela. — Luiza i ja musimy się już zbierać. — Zawahał się, po czym dodał: — Mamy spotkanie dotyczące amerykańskiego łącznika.

— Amerykańskiego łącznika? — powtórzył ze zdumieniem Fondberg.

— Tak właśnie. To klucz do całej tej piekielnej organizacji.

* * *

Spotkanie z Edem Cottelem odbyło się późnym wieczorem w odludnym miejscu, niedaleko autostrady E3 prowadzącej do Strängnäs. Beaurain wybrał boczną drogę do starej kopalni rudy żelaza, nieczynnej od wielu lat. Kopalnia nosiła nazwę Skottvangs Gruva, a spotkanie odbyło się głęboko w jodłowym lesie, ściśle przylegającym do obu stron drogi.

Miejsce to, zaproponowane przez Palmego, zaznaczono na mapie, którą dostarczono Cottelowi do jego pokoju w Grandzie dosłownie w ostatniej chwili, tak by musiał natychmiast wyjechać, żeby w ogóle zdążyć. Ta niezwykła atmosfera, spotęgowana jeszcze godziną spotkania — dziesiątą w nocy — stanowiła element planu Beauraina, którego szczegóły wyjaśnił Luizie, kiedy wyjechali na E3. Stig Palme siedział bez słowa na tylnym siedzeniu, trzymając na kolanach płócienny pokrowiec z pistoletem maszynowym.

— Próbuje zagrać mu na nerwach — tłumaczył Luizie — napiąć mu je do ostatnich granic w nadziei, że nie wytrzyma i sypnie się.

— Myślałam, że Ed jest twoim przyjacielem.

— A kto jak nie przyjaciel ma najwięcej szans, żeby cię wykiwać? Poczytaj sobie historię. Zawsze okazuje się, że to przyjaciel, i to ten najbliższy. Juliusz Cezar podałby ci tylko jedno imię — Brutusa.

— Ale przecież znacie się dziesiątki lat.

— Pamiętaj o tym domu, z którym o mało nie wylecieliśmy razem w powietrze, gdy tymczasem Ed Cottel trzymał się od niego na odpowiedni dystans. I to jego ciągle naprowadzanie mnie na Rosjan, byle dalej od Waszyngtonu. Może być nawet tak, że Harvey Sholto przyleciał do Sztokholmu zbadać, kim naprawdę jest Ed. Tylko w dalszym ciągu nie mam jeszcze żadnej pewności. Po tym spotkaniu mam nadzieję już ją mieć.

Po tym niejasnym stwierdzeniu Beaurain zapadł w milczenie. Zjechał z autostrady na drogę porośniętą po obu stronach lasem, kompletnie pustą i dość niesamowitą w zapadającej ciemności.

— Przepraszam za ten błąd w recepcji Grand Hotelu — powiedział z tylnego siedzenia Palme.

Beaurain zbył jego przeprosiny niedbałym potrząśnięciem głowy. W pośpiechu, z jakim dostarczał Cottelowi zawiadomienie o spotkaniu, Palme skorzystał z bloczku papeterii hotelowej, by dołączyć do mapy krótką, pisemną instrukcję dojazdu. Wyszedłszy z pokoju Cottela, zbiegł szybko po bloczek, na którym mogła się odcisnąć treść jego wskazówek, ale bloczek zniknął. . .

Mercedes posuwał się teraz z szybkością nie większą niż trzydzieści mil na godzinę, omiatając snopami świateł ciągnącą się po obu stronach palisadę pni drzew. Palme pochylał się co chwila do przodu, żeby rzucić okiem na licznik i sprawdzić odległość dzielącą ich od skreću z autostrady. Beaurain utrzymywał stałą prędkość jazdy, obserwując zegar na tablicy rozdzielczej, który wskazywał godzinę 21.50. — Jesteśmy dziesięć minut za wcześnie — powiedział. — Zaplanowałem tak. — Luizie nie podobało się to wszystko. Beaurain nie powiedział jej, co ma się wydarzyć. A teraz w całym Sztokholmie pozostało już tylko ich troje.

Główny przerzut na południe już się rozpoczął i nabrał rozmachu. Wszyscy szturmowcy Jocka Hendersona wycofywali się ze szwedzkiej stolicy i różnymi trasami i różnymi środkami transportu przedostawali się w kierunku Trelleborga, by wzmocnić i tak już potężny oddział Teleskopu, znajdujący się na pokładzie szybkiej i uzbrojonej jak krążownik „Burzy Ognia”.

— Niech pan mnie tu wysadzi — odezwał się Stig Palme, rzuciwszy po raz ostatni okiem na licznik odległości. Beaurain zmienił światła, przejechał jeszcze kilka jardów, po czym zgasił światła zupełnie i zatrzymał samochód.

— Niech pan się nie martwi, będę pod ręką — szepnął na odchodnym Palme, otwierając drzwiczki.

— Dobrze móc na tobie polegać, Stig. Ale uważaj, nie mamy całkowitej pewności.

Pewności czego? Luiza zagryzła palce, żeby powstrzymać się od zadawania

pytań. Siedząc sztywno w ciemności, którą rozjaśniały tylko światełka deski rozdzielczej, zauważyła coś jeszcze. Wsiadłszy z samochodu Palme nie zamknął za sobą ciężkich drzwiczek z normalnym trzaśnięciem. Zadał sobie trud, żeby zamknąć je jak najciszej.

Beurain włączył ponownie światła i pojechali dalej. Kolejny zakręt i w świetle reflektorów wyłonił się kolejny prosty odcinek drogi i napierające z obu stron nieprzeniknione ściany lasu. Czasem pojawiała się przepastna czeluść wylotu leśnej przecinki, sądząc po głębokich koleinach służąca ciężkim lorom do zwózki drewna. Pokonali tylko niewielki odcinek drogi za zakrętem, gdy naprzeciwko rozbłysły dwa reflektory, oślepiły ich na równo trzy sekundy — Beurain zerknął na zegarek — i zgasły.

Beurain zatrzymał Mercedesa. Luiza wyczuła jego ogromne napięcie, mimo iż w panującej ciemności zupełnie nie widziała jego twarzy. Reflektory jeszcze dwukrotnie powtórzyły sygnał — zapalały się i gasły na równo trzy sekundy. Luiza zdążyła się zorientować, że mrugający światłami samochód musiał stać nieco pod kątem do drogi, pewnie u wylotu jednej z przecinek. Wszystko razem wydawało się groteskowe, a jednak stwarzało nastrój niesamowitości i grozy. Nie wytrzymała i zachichotała nerwowo.

— Zupełnie jak Checkpoint Charlie — wiesz, punkt wymiany między Wschodem i Zachodem.

— Tyle tylko, że tym razem to wymiana między Zachodem i Zachodem.

— Jaka znowu wymiana, na miłość boską?

— Wymiana poglądów. To powinien być Ed Cottel w swoim nowym samochodzie.

— To znaczy, że wszystko w porządku — jeśli to jest Ed.

— Skoro tak mówisz...

Luiza zatrzęsała się z wściekłości. — Do jasnej cholery, dlaczego musimy się z nim spotykać na tym piekielnym zadupiu?

— Już ci to wyjaśniałem.

— Żeby wystawić na próbę jego nerwy? Co za idiotyzm.

— To był jego pomysł — odparł Beurain. — Przyjechaliśmy tu na jego prośbę. Chciał się ze mną spotkać gdzieś z dala od Sztokholmu.

— Nie podoba mi się tutaj. Coś mi w tym wszystkim fatalnie śmierdzi.

— Bo rzeczywiście coś w tym wszystkim śmierdzi. Nim pojedziemy do Trelborga, musimy spróbować dowiedzieć się, co i kto naprawdę rządzi Sztokholmskim Syndykatem, czyli kto to jest Hugo.

— A co to za mruganie reflektorami?

— To sygnał uzgodniony, kiedy umawialiśmy się na to rendez-vous. Ma jakoby pomóc wzajemnie nam się zidentyfikować.

— Jakoby?

— Po wymianie sygnałów mamy podjechać prosto do samochodu Cottela i tam się zatrzymać. Toteż tak właśnie zrobimy.

Przez cały ten czas Beaurain trzymał silnik chodzący na luzie, teraz zwolnił więc tylko hamulec i powolutku ruszył do przodu. Samochód ledwie się toczył, kiedy Beaurain zjechał z drogi na sprężystą trawę pod ścianą lasu. Renault, do którego się zbliżali, pozostał ciemny, nadal nie zdradzał żadnych oznak życia.

Beaurain skręcił lekko kierownicą, tak by Luiza znalazła się po przeciwnej stronie od Renaulta. Staął, ale nim wyłączył silnik, szepnął jej do ucha: — Otwórz drzwiczki i wymknij się cicho na drogę. Nie zamykaj drzwiczek, tylko je lekko dopchnij. Jeśli usłyszysz strzały, schowaj się i czekaj, aż cię zawołam.

Nie miała najmniejszej ochoty wykonać tego rozkazu i zostawić Beauraina samego, ale przeszkolenie, jakie przeszła w Château Wardin, wzięło górę. Bez słowa zrobiła, co jej kazano, i wymknęła się z powrotem przez las na drogę, kryjąc się za Mercedesem zasłaniającym ją przed Renaultem.

Beaurain wyjął z kabury pod pachą swego Smith and Wessona, przycisnął go do boku i wysiadł z samochodu.

— Mam cię na muszce pistoletu maszynowego! Rzuć broń, Hugo!

Hugo?!

Beaurain był podwójnie zszokowany. Po pierwsze, użyciem imienia Hugo, a po drugie, faktem, że groźny głos, który je wymówił, należał bez wątpienia do Eda Cottela. Do tego Amerykanin włączył potężną latarkę, która niemal zupełnie go oślepiła, pozwalając jednak dojrzeć lufę pistoletu maszynowego. Na tyle, na ile Beaurain widział, wymierzona była prosto w jego brzuch. Przy tej odległości i z tego rodzaju broni nawet najgorszy strzelec świata nie mógłby chybić. A Ed Cotel zdobywał medale na strzelnicach Langley. Beaurain rzucił na ziemię swój rewolwer.

— To już lepiej, Hugo. A teraz spleciemy rączki i położymy je na głowie, dobrze? Właśnie tak. — Światło latarki przygasło, ponownie zmuszając Beauraina do zmruczenia oczu. Ale Amerykanin nie potrzebował światła. Miał wystarczająco dobrą widoczność.

Beaurain zaczął odzyskiwać swoją kocią zdolność widzenia po ciemku. Od różnił już wyraźnie sylwetkę Amerykanina i zarys pistoletu maszynowego, który ani na milimetr nie odchylił się od swego celu. Zadał pytanie, wymawiając słowa tak wyraźnie, że odbiły się echem w zalegającej las ciemności. Czuł w powietrzu silny zapach jodłowej żywicy.

— Kto cię tak nabrał, Ed? Komu dałeś się wystrychnąć na takiego dudka? Mam wrażenie, że dajesz się komuś wodzić za nos jak niemowlę.

Groźny głos Eda Cottela zabrzmiał teraz beznamiętnie i zimno. Zaczął monotonicznie recytować litanie zdarzeń. — Byłeś w Brugii w tym samym czasie co doktor Otto Berlin, szef południowego sektora Syndykatu. Czysty zbieg okoliczności? Byłeś w Kopenhadze, kiedy z jedną ze swych rzadkich wizyt bawił tam

doktor Benny Horn, szef sektora centralnego. Znów czysty zbieg okoliczności? Nie mówiąc już o twojej obecności w Helsingorze, kiedy dla zamknięcia ust jednemu człowiekowi zmasakrowano na tamtym promie, Bóg jeden raczy wiedzieć ilu, niewinnych ludzi.

— Uważaj, Ed, bo wepchnę ci te słowa z powrotem do gardła — powiedział bardzo cicho Beaurain.

— O nie, draniu, lepiej ty uważaj! Przyjeżdżam do Sztokholmu i próbuję namierzyć nieuchwytnego doktora Theodora Norlinga, szefa skandynawskiego sektora Syndykatu. Facet jakby się pod ziemię zapadł. Po czym nagle się pojawia. I jak ci się zdaje, kto wyskakuje dokładnie w tym samym momencie? Były nadinspektor Jules Beaurain, psiakrew!

— Jeśli jeszcze raz zapytasz, czy to czysty zbieg okoliczności, przykopię ci w jaja. Kto ci wsączył w ucho tę truciznę?

— To bardzo sprytne zagranie, Julesie — to udawanie, że za wszelką cenę próbujesz wytropić Hugona. No, bo kogo to czyniło ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o to, że właśnie nim jest? Ciebie. A teraz podam cię na tacy Waszyngtonowi — chyba żebym musiał nacisnąć spust.

— Co byłoby dla ciebie niezwykle dogodnym rozwiązaniem całej tej skomplikowanej sprawy, prawda?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Głos Beauraina zabrzmiał dziwnie ostro, kiedy zadawał swoje pytanie, i Amerykanin wyczuł jakąś subtelną zmianę w jego psychicznym nastawieniu. Dostrzegł także pewną zmianę fizyczną: Belg przestał nagle ściągać do tyłu barki, jakby próbował rozruszać zastałe mięśnie. Wiele lat doświadczenia w przesłuchiowaniu ludzi wyculiło Cottela na tego rodzaju zmiany. Nadal próbował rozgryźć, na czym polegało to przeobrażenie Beauraina, kiedy poczuł na karku dotyk twardego, zimnego metalu.

— Masz trzy sekundy, żeby rzucić broń — rozległ się głos Stiga Palmego. — Potem odstrzelę ci głowę. Dostałem rozkaz pociągnąć za spust, nawet jeśli otworzysz ogień do Julesa Beauraina. Zaczynam liczyć.

Beaurain starannie i z wczesną opracowaną tą szokową taktykę, opierając się na swojej znajomości psychiki Amerykanina. Cotel był realistą i już dawno nauczył się, że walka w beznadziejnej sytuacji nie ma żadnego sensu, zwłaszcza jeśli istnieje jakieś inne wyjście, dające szansę przeżycia i podjęcia tej walki na nowo za dzień czy dwa. Nie wahał się ani chwili. Rzucił pistolet maszynowy na ziemię.

— Dwa kroki do przodu — rozkazał Palme.

Amerykanin usłuchał, a Palme bezszelestnie przesunął się krok w bok, nim schylił się po jego broń — na wypadek, gdyby Cottelowi przyszło do głowy zadać mu cios do tyłu kopniakiem wymierzonym w czułe miejsce,

— A zatem wreszcie spotkaliśmy Hugona — powiedział Beaurain — i rozgryźliśmy amerykańskiego łącznika.

— O czym ty, u diabła, mówisz? — wybuchnął Cotel.

— Zamknij dziób, Ed, choć na dziesięć sekund. Luizo! — zawołał Belg. — Chodź tu i posłuchaj tych bredni. — Odczekał, aż Luiza Hamilton stanęła u jego boku. — Poznaj niejakiego Hugona — powiedział tonem prezentacji.

— Hugo?!

— Żeby pozacierać za sobą ślady, miał zamiar rzucić mnie na pożarcie swoim szefom w Waszyngtonie — podać na tacy, tak to chyba ujął. Kto jest tym szefem, Ed? Komu naprawdę składasz sprawozdania ze swych poczynań? Joel Cody wydaje mi się rozsądną sugestią.

— Staram się nie wysyłać do Stanów żadnych sprawozdań — odparł cicho Cotel. — Migam się od tego, jak tylko mogę. Jeśli już muszę wysłać jakiś raport, to sprowadzam go do nic nie znaczącego bełkotu.

— A to dlaczego?

— Sam to powinienesz wiedzieć. Dlatego, że nie wiem, komu jeszcze mogę ufać. Ten twój Syndykat przeniknął na najwyższe szczeble władzy.

— Miałem rację, ktoś jednak ci powiedział, że to ja jestem Hugo. — Beurain nabrał nagle pewności, że Amerykanin nie kłamie. Ale przecież powiązanie ze Stanami musiało istnieć. Miał na to dowód. — Kto to był?

— Jeden z moich obserwatorów. Nie, nie podam ci jego nazwiska. Możesz kazać swojemu gorylowi nacisnąć spust, ale i tak się tego nie dowiesz.

— Mimo że facet został przekupiony? — spytał cicho Beurain. — Przekupiony, żeby przeinaczyć fakty w sposób, jaki tylko Hugo mógł mu podsunąć, bo tylko on jeden wiedział dość, żeby odpowiednio je przekręcając zbudować ciąg wydarzeń dokładnie przeciwny do prawdziwego? Masz w samochodzie radiostację? Tak? No to połącz się z tym swoim człowiekiem, który wskazał ci palcem na mnie.

— Po co? — spytał Cotel.

— Żebyś się przekonał, że facet stał się nagle nieuchwytny. A stał się nieuchwytny po prostu dlatego, że nie żyje. Spełnił swoje zadanie, a człowiek, który spełni swoje zadanie, staje się dla Hugona balastem i jest likwidowany. No dalej, Ed, idź do samochodu i połącz się z tym swoim obserwatorem. O tej porze powinienesz chyba go złapać, prawda?

— O każdej porze — odparł Amerykanin, ale w jego głosie nie brzmiała już poprzednia pewność siebie. — Wszyscy moi obserwatorzy mają w tej chwili pełne pogotowie. Miałem nadzieję zakończyć całą tę sprawę w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

— I zacząłeś ode mnie? Dałeś się nabrać, Ed. Jak dziecko.

— Daj mi kilka minut. Nie mam innej broni, ale ten twój człowiek może to sprawdzić. — Odczekał, aż Palme dokładnie go zrewiduje. — Przez cały czas może mnie trzymać na muszce.

Wsunął się za kierownicę swego samochodu, pomacał ręką w ciemności, podłączył słuchawki i sięgnął po mikrofon. Beaurain odniósł wrażenie, że rozmowa miała charakter czysto jednostronny. Nie upłynęły nawet dwie minuty, gdy Amerykanin powoli wysiadł ze swego Renaulta i przyjął papierosa, którym go poczęstował Beaurain.

— Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć, Jules — powiedział matowym głosem. — Połączenie ze Stanami rzeczywiście istnieje. Do Europy wysłano głupiego Eda Cottela, bo Waszyngton sądził, że całkowicie pochłonie go tropienie Teleskopu. Dochodzenie w sprawie, cytuję: „rzekomego istnienia organizacji, zwanej Sztokholmskim Syndykatem”, koniec cytatu, miało być dla niego zadaniem zupełnie pobocznym. Po moim przyjeździe do Europy Waszyngton musiał się chyba jednak zorientować, że wszystkie swoje siły poświęcam na tropienie Syndykatu. Zacząłem mieć kłopoty ze skontaktowaniem się z kimkolwiek po tamtej stronie Atlantyku.

— Łączyłeś się przed chwilą z człowiekiem, który powiedział, że to ja jestem Hugo — który przekonał cię, że nim jestem. I co?

— Nic. Żadnej odpowiedzi. A miał czekać na sygnał ode mnie, nawet całą noc, gdyby się to okazało konieczne.

— Do tej pory leży już pewnie na dnie Riddarfjärden. Widzisz, Ed? Spełnił już swoje zadanie, więc Hugo niezwłocznie się go pozbył. Do tej pory ty też powinieneś być już spełnić swoje zadanie...

— To znaczy?

— Do tej pory powinieneś już mnie zastrzelić, a następnie usiąść i napisać swój ściśle tajny raport dla Waszyngtonu. Kładąc kres wszelkim pogłoskom na temat istnienia i działalności Syndykatu, zapobiegając szerzeniu się pojawiających się już w amerykańskiej prasie spekulacji na temat tego, kto go finansuje, wreszcie zapobiegając wybuchowi potwornego skandalu, który mógłby zaprzepaścić wszelkie szanse prezydenta w nadchodzących wyborach.

— Chyba rzeczywiście sprawa przedstawia się inaczej, niż myślałem. — Ed Cotel świadomie omijał wzrokiem Beauraina, kiedy to mówił. — Zostałem wystrychnięty na dudka, i to w najlepszym stylu. Jules, czy wiesz coś o tym, kto finansuje Syndykat?

— Jednym z większych udziałowców jest Leo Gehn, prezes kartelu ITE, a jednocześnie hojny sponsor prezydenckiej kampanii wyborczej. Wyobraź sobie, co by to było, gdyby te dwie informacje pojawiły się obok siebie w nagłówkach gazet.

— Jesteś pewien, że ta nić prowadzi aż do samego Białego Domu? — spytał krótko Cotel.

— Kilka dni temu przybył do Sztokholmu prosto z Waszyngtonu Harvey Sholto — strzelił Beaurain. — Joel Cody zadzwonił do szefa Säpo, żeby go poinformować o jego rychłym przyjeździe. Tyle tylko, że Sholto już był wówczas

w Sztokholmie. Na szczęście ludzie Fondberga na Arlandzie wypatrzyli go, kiedy wysiadał z samolotu. Na nieszczęście nie zdecydowali się go śledzić. No bo ni-
by i dlaczego mieliby to robić? I od tamtej pory nikt go nigdzie nie widział. Nie
skontaktował się ani z Fondbergiem, ani z nikim innym. Po prostu zapadł się pod
ziemię.

— Sholto! Chryste Panie!

— W dodatku ani Cody, ani nikt inny — ciągnął Beaurain — nie zawiadomił
nikogo o twoim przyjeździe do Sztokholmu.

— Jak to? — W głosie Cottela zabrzmiało niekłamane zdumienie. — Nie
afiszowałem się, żeby lepiej wykonać swoją robotę, ale byłem zupełnie pewien,
że Säpo wie o moim pobycie w mieście. Nie podoba mi się to wszystko, Julesie.
Kto będzie następny?

— Ty.

Beaurain wyciągnął przed siebie Smith and Wessona, którego podniósł z zie-
mi, i nacisnął spust.

* * *

Nieco dalej, na drodze do starej kopalni rudy żelaza Skottvangs Gruva, potęż-
ny mężczyzna w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i przesadnie wielkich
okularach przeciwsłonecznych siedział bez ruchu za kierownicą swego wynajęte-
go Audi. W obawie, by nie zdradzić swojej obecności, nie próbował nawet podje-
chać bliżej. Właśnie dobiegł go wyraźny odgłos trzech strzałów.

Odczekał jeszcze dwadzieścia minut. Nieco wcześniej tego dnia zajął stano-
wisko za filarem w holu Grandu. Widział, jak ten szwedzki wieśniak z łbem jak
melon pisał coś na bloczku hotelowej papeterii. Kiedy zniknął w windzie, zwinął
z lady bloczek i wyszedł na ulicę. W swoim pokoju w hotelu Reisen ostrożnie
zamalował miękkim ołówkiem kartkę bloczka i odczytał wyraźnie odcisnięte na
niej słowa „Skottvangs Gruva”. A więc plan się powiódł. Przekupiony obserwa-
tor Cottela z Brommy sprzedał swoje informacje Sholto, który z kolei polecił mu
przekazać Cottelowi fałszywą wiadomość, z której niezbitnie wynikało, że Hugo
to Beaurain.

Po dwudziestu minutach uruchomił silnik i ruszył w stronę opuszczonej ko-
palni, by szeroką pętlą wrócić na E3. Harvey Sholto był człowiekiem ostrożnym.
Nie miał najmniejszej ochoty natknąć się w drodze powrotnej do Sztokholmu na
któregoś z pozostałych przy życiu świadków strzelaniny w lesie. Śpieszył się do
Trelleborga.

ROZDZIAŁ 20

Nazajutrz rano ta wiadomość znajdowała się na pierwszym miejscu we wszystkich serwisach informacyjnych. Przyczyna tkwiła w tym, kim byli — a konkretniej, czym się zajmowali — dwaj cudzoziemcy, którzy zastrzelili się nawzajem poprzedniej nocy. Wedle roboczej hipotezy pierwszy strzał oddał ze Smith and Wessona kalibru 0,38 Jules Beaurain, Belg, w swoim czasie wysoki funkcjonariusz policji w Brukseli, szef tamtejszego pionu do walki z terroryzmem w randze nadinspektora. Tylko ten jeden szczegół wystarczył, żeby każdy redaktor wydania zaklasyfikował tę informację jako bombę.

Bawiący przejazdem w Sztokholmie Amerykanin — którego nazwisko, jak ustalono, brzmiało Edward Cotel — oddał do Beauraina jeden strzał z Walthera kalibru 0.765, broni znajdującej się dziwnym trafem na wyposażeniu policji. W zwłokach Amerykanina znaleziono jeszcze jedną kulę ze Smith and Wessona, a zwłoki te Beaurain przetransportował prawdopodobnie z miejsca strzelaniny wynajętym Renaultem.

Makabrycznym miejscem ostatniego spoczynku Cottela stała się głęboka sztolnia w pobliżu kopalni. Metalowa barierka, która chroniła zwiedzających kopalnię przed wpadnięciem do sztolni, została mocno wgnieciona, zapewne podczas taszczenia ciała z samochodu i spychania go do dołu.

Zwłoki Belga znaleziono tuż obok, rozciągnięte na ziemi, kilka kroków od samochodu, do którego nie zdążył już wrócić. Koniec historii. Policjant udzielający wywiadu zakończył swą wypowiedź niezwykle stanowczo: — Śledztwo trwa. To wszystkie informacje, jakie na tym etapie dochodzenia możemy państwu podać.

Harvey Sholto w drodze na lotnisko Bromma wstąpił do automatu, nakręcił pewien numer w Trelleborgu i, usłyszawszy znajomy głos, podał swój identyfikator.

— Udało się — powiedział z ledwie skrywaną satysfakcją. — Oglądał pan wiadomości?

— Kilka razy. Klasyczny przypadek techniki lustrzanego odbicia. Pokazujesz facetowi to, czego się spodziewał, a jego reakcja jest już tylko czysto logicznym następstwem.

— Tyle tylko, że logiki nie ma w tym żadnej.

— A czy od czasu, kiedy zaczęliśmy, w ogóle jakaś była? — spytał jego rozmówca. — Do zobaczenia w Trelleborgu. Morze jest spokojne jak na zamówienie.

* * *

Korzystając z furgonetki, która służyła im za czasowy i przenośny punkt dowodzenia w Sztokholmie, zasadzili się w ukryciu za kępą drzew, i obserwowali, jak zaproszeni goście lądują na małym pasie startowym pod Trelleborgiem. Jednocześnie zapisywali w notesie dane tych kilku osób należących do najbogatszych i najpotężniejszych ludzi zachodniego świata.

— To jest Leo Gehn — powiedział siedzący obok kierowcy Stig Palme, nie odrywając lornetki od oczu. — Gehn jest prezesem. . .

— International Telecommunications and Electronics, w skrócie ITE — wszedł mu szorstko w słowo Albert, zapisując kolejne dane: nazwisko, godzinę przylotu, typ samolotu i czy przybywający ma ze sobą obstawę.

— Przywiózł ze sobą pasażera. Hrabiego Luigiego d'Arlezzo, męża tej biedaczki powieszanej w Grandzie.

— Czy wygląda na przybitego? — spytał Albert.

— Drań wydaje się odprężony i zadowolony. Pewnie teraz, kiedy dogodnym zbiegiem okoliczności żona nie stoi mu już na przeszkodzie, będzie mógł przejąć jej bankowe imperium. Stąd zainteresowanie Gehna kimś, komu normalnie nie poświęciłby pięciu minut. Stawiam, co chcesz, że Gehn z kolei ma zamiar przechwycić pakiet kontrolny. — Patrzcie, kto to przyleciał tą drugą Cessna, zupełnie sam — powiedział Palme. — Zabawne, że postawił samolot całkiem na uboczu, jakby nie miał z tamtymi nic wspólnego. Doktor Henri Goldschmidt z Brugii we własnej osobie.

Antykwariusz wszedł do czekającego nań samochodu. Dopiero później dowiedzieli się, że pojechał prosto do hotelu, że odbył krótką przechadzkę po porcie, jakby ciekaw, kto bierze udział w konferencji, i pozostał w Trelleborgu. Nawet nie zanocował. Późnym wieczorem tego samego dnia odleciał do Kopenhagi.

Na nabrzeżu portu w Trelleborgu inna grupa Teleskopu w podobny sposób rejestrowała pasażerów wysiadających z limuzyn kursujących nieustannie między portem a lotniskiem. Dwie osoby w niepozornym Peugeotzie wyposażonym w radiostację, umożliwiającą stały kontakt z Hendersonem, tworzyły własny rejestr pasażerów umieszczanych w łodziach motorowych, które natychmiast odbijały od brzegu.

Henderson wrócił ze swej drugiej tego dnia wizyty na „Burzy Ognia”, wziął taksówkę i wysiadł z niej sto jardów od Savoya. Zapłacił za kurs, odczekał chwilę,

by mieć pewność, że nikt go nie śledzi, po czym resztę drogi do hotelu przeszedł pieszo.

Chodziło mu o pokój numer 12. Zamienił kilka słów z recepcjonistą, który zadzwonił na górę i poinformował Hendersona, że pan Chavet prosi, by gość natychmiast wszedł na górę. Szkot nie skorzystał z windy, wbiegł lekko po schodach. Przystanął pod drzwiami pokoju numer 12, a potem zapukał kilkakrotnie w nieregularnych odstępach czasu. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

— Wchodź, Jock — powiedział Beurain. — Czekaliśmy właśnie z Luizą na wiadomości od ciebie. A to jest Ed Cotel — przedstawił Hendersonowi Amerykankę. — Oficjalnie zajmuje pokój numer 14, zameldował się jako Waldo Kramer. Możesz przy nim mówić swobodnie.

Cała trójka — Beurain, Luiza i Cotel — wysłuchiwała w skupionym milczeniu sprawozdania Hendersona z ożywionego ruchu pasażerskiego na lotnisku, a następnie w porcie. Szkot wręczył Beurainowi listę wszystkich osób, które przybyły na walne zgromadzenie Syndykatu. Cotel zajrzał Beurainowi przez ramię, przebiegł ją wzrokiem i aż zagwizdał.

— Wielki Boże, tu są nazwiska ludzi, co do których mógłbym przysiąc, że stoją poza wszelkimi podejrzeniami!

— Dlatego właśnie Syndykat jest taki groźny — mruknął Beurain. Były dwie listy. Jedna sporządzona przez Stiga i Alberta oraz druga, kontrolna, zestawiona przez dwóch ludzi obserwujących z nabrzeża przesiadanie się VIP-ów z limuzyn do motorówek.

Właśnie po przeczytaniu tej drugiej listy Beurain wyraźnie się zasepił; tam, gdzie obserwatorzy nie byli w stanie ustalić czyjejś tożsamości — a przypadków takich było ledwie kilka — podali krótki rysopis przybyłych. Jeden z nich brzmiał: Dwóch mężczyzn. Jeden ubrany w amerykańską, w słomkowym kapeluszu. Drugi mały, chudy, z czarnym neseserem. Beurain pokazał listę Hendersonowi, palcem wskazując tę notatkę.

— To musi być Günther Baum ze swym pomocnikiem, tym, co to do ostatniej chwili przed użyciem nosi za nim Lugera.

— Günther Baum? — zainteresował się Cotel. — To facet uważany za jednego z najlepszych na świecie płatnych fachowców od mokrej roboty. Z Niemiec Wschodnich, ale według naszych informacji nie ma nic wspólnego z tamtejszym komunistycznym reżimem. Choć to, oczywiście, w żaden sposób nie powiększa jego aktywów.

— Musi być szefem ochrony „Komety”. Jestem tego pewien. — Beurain spojrzął na Hendersona. — Kiedy uderzycie na wodolot, nie lekceważcie Bauma.

— A co teraz, kiedy już wiemy, gdzie się spotykają?

Henderson spojrzął na Beuraina, który otworzył szufladę toaletki, wyjął z niej mapę morską i rozwinął ją na wielkim podwójnym łożu. Na jego polecający gest Luiza przytrzymała drugi brzeg planu. — Uzyskaliśmy to od pewnego

Polaka z załogi „Komety”, który szuka pomocy, żeby wydostać swoją żonę z Niemiec Wschodnich. Jak wam wiadomo, kapitan Buckminster już od kilku dni stoi w okolicy Trelleborga. W tym czasie wysyłano na brzeg szturmowców, by w przebraniu turystów zadomowili się w portowych knajpach. Tak właśnie natrafiono na tego Polaka. Jest dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebujemy do cichej współpracy na pokładzie „Komety” — obserwuje i obsługuje urządzenia radarowe. Nawet tobie nie podam jego nazwiska, Ed.

— Pytałem, co teraz zrobimy — powtórzył Cottel.

— Zniszczymy ich.

— Tak po prostu?

— Tak. Za pomocą tej mapy z kursem „Komety”, zaplanowanym na cztery godziny nocy, w czasie których odbędzie się właściwa konferencja.

Cottel podszedł do Beauraina i pochylił się nad mapą patrząc, jak Belg przesuwając palcem wzdłuż naniesionej na nią linii kropek.

* * *

Spotkali się z Harrym Fondbergiem w umówionym wcześniej miejscu pod Trelleborgiem. Beaurain zapuścił się Mercedese w pewną wiejską drogę i z jednego z jej zakrętów zabrał szefa Säpo. Samochodu Fondberga nigdzie nie było widać, a jedyną osobą, jaka im towarzyszyła, była Luiza, siedząca samotnie z tyłu Mercedesa. Fondberg usadowił się w fotelu obok Beauraina, który natychmiast ruszył w stronę przeciwną do Trelleborga.

— Wczoraj i dzisiaj promami z Sassnitz przyplývają agenci Stasi, wschodnioniemieckiej służby bezpieczeństwa — powiedział Fondberg. — Jest ich tylu, że zaczyna to przybierać rozmiary inwazji. Kilku z nich kręci się po mieście i próbuje udawać turystów. Można boki zrywać ze śmiechu.

— Dlaczego? — spytała Luiza.

— Wiesz, jaką mamy pogodę. Upały w ciągu dnia i jeszcze o dziesiątej wieczorem jest zupełnie ciepło. A ci idioci z Sassnitz łążą w ciemnych skórzanych kurtkach i filcowych kapeluszach! Moi ludzie mówią, że muszą się gryźć w język, żeby nie wybuchnąć śmiechem na ich widok. Ale większość z nich popłynęła łodziami na „Kometę”, pewnie jako obstawa.

— Którą dowodzi Günther Baum — poinformował go Beaurain.

— Ten psychopatyczny morderca? Co to wszystko ma znaczyć? On nie jest ze Stasi.

— Zastanawiające, prawda? Coś mi się wydaje, że to znów jakiś sygnał Hugona. A ty zrobiłeś świetną reklamę temu „podwójnemu morderstwu” wczoraj

wieczorem w opuszczonej kopalni żelaza Skottvangs Gruva. Hugo powinien się poczuć nieco zbyt pewny siebie na wieść, że Ed i ja nie żyjemy.

— Byle tylko dziennikarze nigdy nie dowiedzieli się, jak było naprawdę — mruknął ponuro Fondberg. — Miałbym z nimi prawdziwy krzyż pański. Jeśli masz zamiar dziś w nocy przypuścić totalny szturm „Burzą Ognia” na „Kometę” — a ja oficjalnie nigdy nawet nie słyszałem o żadnym z tych statków — to czemu ci tak zależy, by uważano cię za zmarłego? Żeby osłabić czujność Hugona — to rozumiem, ale...

— Żeby przysporzyć go o szok i konsternację, kiedy w końcu stanę z nim twarzą w twarz — odparł ponuro Beaurain. — I wcale nie musi to nastąpić właśnie dzisiaj. Przyszła mi do głowy zabawna myśl. Hugo może wydać przyjęcie, ale wcale nie musi na nie przybyć, mimo iż wszyscy uważają go za gospodarza.

— Nie, to mi nie pasuje — odparł Fondberg. — To mi zupełnie nie pasuje. A gdybyś chciał wiedzieć, to w tej chwili jestem w Göteborgu — i mam na to świadków.

Tego dnia, dnia ostatecznej rozprawy Beauraina ze Sztokholmskim Syndykatem, słońce zaszło dokładnie o godzinie 20.50. Bałtyk spowiła ciemność maskująca obecność „Burzy Ognia”, jachtu motorowego o wyporności dwóch i pół tysiąca ton. Dowódca statku, kapitan „Bucky” Buckminster, wbrew ustaleniom międzynarodowym nie włączył żadnych świateł nawigacyjnych. Gdyby pojawił się jakiś statek idący kursem kolizyjnym, radar w porę by go o tym ostrzegł. W głównej kabine Beaurain po raz ostatni omawiał szczegóły ataku.

— Mam nadzieję, że każdy z was w pełni rozumie złożoność podstępu, jaki mamy zamiar zastosować?

Dwudziestu szturmowców w gumowych kombinezonach, z butlami tlenu na plecach oraz pełnym asortymentem uzbrojenia i ładunków wybuchowych, popatrzyło bez mrugnięcia okiem na Beauraina i nic nie odpowiedziało. Beaurain wyczuwał normalne napięcie, nieuniknione przed poważniejszą akcją.

— Teraz mogę wam powiedzieć, że na pokładzie „Komety” mamy sprzymierzeńca. — Beaurain odwrócił się, żeby pokazać na planie schemat wszystkich pokładów radzieckiego wodolotu. — To właśnie dzięki niemu weszliśmy w posiadanie tego szkicu, który ogromnie zwiększa szansę powodzenia naszego ataku.

— I porzucimy biedaka na pastwę losu? — spytał buntowniczo Albert. — Jeśli pozostanie na pokładzie...

— Właśnie do tego zmierzam — przerwał mu Beaurain, wskazując drewnianą strzałką jedną z kabin. — Znajdziecie go tutaj, będzie na nas czekał przy swojej aparaturze. Jest Polakiem, nazywa się Peter Sobieski i obsługuje sonar. Mówi po angielsku, a potwierdzeniem jego tożsamości ma być dwukrotne powtórzenie słowa „Waterloo”.

— Hasło jak uła! — skomentował Albert — biorąc pod uwagę, że mamy zamiar jednym uderzeniem kompletnie rozpruć tę piekielną bandę.

— Więc proszę nie zapominać, co Wellington powiedział po bitwie — że wszystko wisiało na włosku. A ja pochodzę z Belgii. Czy są jakieś pytania?

— Sonar Sobieskiego to jedyne, co nas może zdradzić — zauważył Palme. — Facet będzie widział, jak nadpływamy.

— Sam zatem widzisz, jak to miło mieć sprzymierzeńca, który jest jedynym operatorem sonaru na całym statku. Następne pytanie?

Było niezwykle ważne, żeby umiejętnie rozładować napięcie przed akcją, a jednocześnie nie dopuścić, by szturmowcy popadli w samozadowolenie i nadmierną pewność siebie. Trudna kombinacja. Kolej na ostrzeżenie przed zadufaniem we własne siły.

— Ale mimo że to Sobieski obsługuje sonar, musicie pamiętać, że przeciwnik jest... Jak byś to określił, Henderson?

— Znakomity! — Jock Henderson wstał szybko na ten sygnał i odwrócił się do swoich szturmowców. — Sobieski szacuje, że konferencję będzie obstawiać trzydziestu uzbrojonych po zęby typów z jednostki specjalnej wschodniemieckiej służby bezpieczeństwa. Z jakiegoś powodu żaden z nich nie mówi słowa po angielsku.

— Zapewne chodzi o to — wtrącił się Beurain — żeby nie rozumieli, o czym będzie się rozmawiać na konferencji, która bez wątpienia będzie prowadzona po angielsku. Na przykład Leo Gehn, szef ITE, nie mówi w żadnym języku poza amerykańskim.

— Zawsze mi się zdawało — wtrącił siedzący w ostatnim rzędzie obok Luizy Ed Cotel — że to jeden i ten sam język.

— Każdy z nas żyje w świecie złudzeń — odparował z zadowoloną miną nieposkromiony Albert.

Rozległ się ryk nieco przesadnie hałaśliwego śmiechu. Przynajmniej rozładowało to atmosferę — pomyślał Beurain i skinął na Hendersona, żeby kontynuował przemowę.

— Ci faceci są znakomicie wyszkoleni, mogli zostać uczuleni na możliwość ataku z zewnątrz, a Sobieski ostrzega, że mają granaty uderzeniowe.

Przez kabinę przebiegł głośny jęk, tylko na wpół udawany, i Beurain uznał, że jeśli któryś ze szturmowców popadał w zadufanie, to przeszło mu to, jak ręką odjął. Siedzący w pierwszym rzędzie Palme wzruszył ramionami. Był najwzszestronniejszym komandosem z obecnych.

— Mają także broń maszynową — ciągnął Henderson. — Spodziewamy się, że będą patrolować pokłady. Mimo to naszym głównym zadaniem jest opanowanie statku w taki sposób, żeby do ostatniej chwili uniknąć wszelkich zbędnych hałasów.

— Żadnych świateł, nóż i to — skwitował lakonicznie Albert, podnosząc w górę dłoń naprężoną do zadania śmiertelnego ciosu karate.

— Po stronie plusów — dodał dziarsko Henderson — mamy tę kompleksową i siejącą zamieszanie akcję dywersyjną, opracowaną przez Julesa Beauraina. Przy odrobinie szczęścia facet dowodzący ochroną „Komety” powinien połapać się w tym, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy będzie już za późno.

Do pokoju wszedł cicho jeden z członków załogi, przepchnął się do Beauraina i podał mu jakąś kartkę. Beaurain przeczytał wiadomość, przekazał kartkę Hendersonowi, który rzucił na nią okiem i ponownie zabrał głos.

— Panowie, „Kometa” ruszyła zaplanowanym kursem na południe. Przystępujemy do wykonania naszego własnego planu — punkt po punkcie, dokładnie według ustaleń.

ROZDZIAŁ 21

— Spuścić na wodę „Regulę”!

Tym rozkazem Beaurain rozpoczynał realizację pierwszego etapu akcji. Wielką łódź motorową opuszczono do poziomu morza i odczepiono. Włączono silniki — znacznie większej mocy, niż można by się spodziewać po takiej łodzi — i „Reguła” rozplynęła się w ciemności, podążając w ślad za „Kometą” kursem i z szybkością, dzięki którym już wkrótce miała się znaleźć po zawietrznej radzieckiego wodolotu. Nie przypadkiem także wielkością, sylwetką i kolorem łudzaco przypominała kuter duńskiej straży przybrzeżnej.

— Spuścić Smithy’ego.

Polecenie to Beaurain wydał w momencie, gdy radar „Burzy Ognia” wskazał, że „Łódź straży granicznej” lada chwila dogoni „Kometę”. Wydobyty z tej samej przepastnej ładowni co „Reguła” wodnopłat opuszczono łagodnie dźwigiem na spokojne, czarne wody Bałtyku. Beaurain obserwował przez lornetkę z mostka, jak Smithy wzbija się w powietrze i naprowadza maszynę na kurs, który miał go zaprowadzić dokładnie między rufę „Kometry” a dziób „Burzy Ognia”. Beaurain rozpracował cały plan na odwrocie starej koperty. Teraz wydał swój trzeci rozkaz.

— Anderson, start!

Kapitan Buckminster wydał natychmiast własny rozkaz; „Burza Ognia” zwolniła nieco, by umożliwić Anderszenowi, pilotowi ogromnego helikoptera firmy Sikorsky, podniesienie maszyny z płyty lądowiskowej za sterówką. Obok Andersona siedział drugi pilot, trzydziestojednoletni Francuz z Reims, Pierre Cartier. Niski, szczupły, z cieniutkim wąsikiem, trzymał na kolanach pistolet maszynowy i nawet nie drgnął, kiedy maszyna wzbija się pionowo w powietrze i szerokim zakolem odleciała na wschód. Tak jak Smithy w swoim hydroplanie Anderson kierował się na rufę „Kometry”.

— Jak myślisz, będę miał okazję użyć broni? — spytał Cartier.

— Nie bądź taki krwiożerczy — odparł Anderson, nie spuszczać wzroku z zegarów kontrolnych. — To tylko na wypadek nie przewidzianych sytuacji.

— No to mam nadzieję, że zdarzy się coś nie przewidzianego!

Kapitan Buckminster nie odstępował ekranu radaru. Beaurain odszedł kilka kroków i wyjrzał w noc przez wielkie okno sterówki. Po starcie Sikorsky’ego

znów nabrali szybkości; w oddali już jakby majaczyły światła wodolotu.

— Myśli pan, że nam się uda? — spytał Buckminster.

— Gdybym to ja dowodził „Kometą”, przez następne piętnaście minut nie miałbym pojęcia, co się dzieje. A Henderson i jego sekcja podwodna potrzebują tylko dziesięciu minut, żeby uderzyć na „Kometę”.

— Trzymajmy kciuki, żeby nie nabrali prędkości i nie podnieśli się na płatach. Henderson wtedy nie miałby co marzyć o dostaniu się na pokład.

— Dlatego właśnie mamy w etapie pierwszym przekonującą łódź duńskiej straży granicznej — odparł Beaurain.

* * *

Na widok Wiktora Raszkin kapitan Andriej Liwanow zaklął pod nosem. Raszkin miał na sobie granatowy blezer ozdobiony złotymi guzikami i jasnoszare spodnie. Szedł sprężysto, tryskał animuszem. Już w pierwszych słowach dał wyraz poczuciu swej absolutnej władzy.

— Nasi goście zostali już wygodnie rozlokowani w głównej jadalni, więc łada chwila rozpoczniemy konferencję. Proszę zgodnie z planem przejść na pełną szybkość i kurs wokół Bornholmu. I niech pan podniesie ten swój wodolot na płoży, czy jak tam wy to nazywacie.

— Płaty wodne.

Liwanow, pięćdziesięcioletni mężczyzna o zaszuszonej twarzy, z najwyższym trudem znoszący obecność tylu Niemców na pokładzie własnego statku, patrzył w lewo, gdzie jego pierwszy oficer, Głasow, robił notatki. Raszkin poszedł za jego wzrokiem i prawie w tej samej chwili jego uwagę przykuło coś w oddali. Światła jakiegoś innego statku i rozbłyśki lampy sygnalizacyjnej.

— Psiakrew, co to jest?

— Kuter patrolowy duńskiej straży przybrzeżnej — odparł Liwanow, ograniczając liczbę słów do niezbędnego minimum. Tylko w ten jeden sposób mógł bezpiecznie okazać Raszkinowi swoją ogromną niechęć.

— Każcie mu odpłynąć.

— Kutrom straży granicznej nie wydaje się takich poleceń.

— Skąd tu, u diabła, Duńczycy? — wybuchnął z irytacją Raszkin.

— Tak się składa, że wyspa Bornholm, do której się właśnie zbliżamy, należy do Danii. Czego oni chcą, Głasow?

— Mamy stanąć i podać swoje dane.

Raszkin zorientował się, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy poczuł, że pokład pod jego stopami przestał wibrować, statek zwolnił i ucichły maszyny. Kiedy Gła-

sow zaczął nadawać lampą sygnalizacyjną odpowiedź, Raszkin eksplodował jak wulkan.

— Kto wydał rozkaz zatrzymania silników?! Natychmiast zamelduje o tym sabotażu Moskwie!

— To meldujcie! — odparował Liwanow. — Jeśli nasza przejażdżka ma nie zwrócić na siebie uwagi, to musimy respektować prawo międzynarodowe. Wpłynęliśmy już na wody terytorialne Danii i, chcemy czy nie, musimy się podporządkować poleceniom straży...

Urwał w pół zdania i podszedł szybko do okna z lewej burty. Z ciemności nocy wyłonił się nagle hydroplan — nie, nie wyłonił się, zdążył już usiąść na spokojnych falach atramentowego morza, dokładnie między wodolotem a duńskim kutrem. Z włączonymi światłami pozycyjnymi wyglądał jak wielki robaczek świętojański i zachowywał się zupełnie przedziwnie. W chwili, gdy Głasow skończył nadawać Duńczykom odpowiedź, ich lampa ponownie ożyła wysyłając „Komecie” nowy sygnał.

— Co tam wylądowało? — spytał Raszkin.

— Hydroplan. Pilot jest pewnie kompletnie pijany. Miejmy nadzieję, że nie strzeli mu do głowy podpłynąć do nas.

Mały samolocik rzeczywiście wydawał się prowadzony przez kogoś, kto nadużył trunków. Pchana wiatrem po ciemnej płachcie wody maszyna kręciła się w kółko, jakby nikt nad nią nie panował. A działo się coraz więcej naraz.

W tym bowiem momencie Andersen zaczął opuszczać swego Sikorsky’ego nad mostkiem „Komety”. Jego przybycie obwieścił narastający ryk rotorów. Liwanow przycisnął twarz do szyby i spojrział w górę, w ciemność nocy. To, co zobaczył, wprawiło go w zupełne osłupienie.

— Rany boskie, patrzcie, co jest nad nami! — krzyknął do Raszkina.

Brzuszisko helikoptera, które w ciemności nocy wydawało się wręcz ogromne, ocierało się niemal o szczyt sterówki. Nie sposób było się zorientować, ilu ludzi znajduje się na jego pokładzie. Liwanow wiedział tylko, że gdyby pilot opuścił maszynę choćby jeszcze o kilka stóp, rozgniótłby mostek na miazgę. Na domiar wszystkiego łoskot, z jakim młóciły powietrze śmigła Sikorsky’ego, był zupełnie ogłuszający. Poczuł na ramieniu czyjaś dłoń — jego pierwszy oficer, Głasow, odciągał go delikatnie ku tyłowi sterówki, skąd lepiej było widać kuter duńskiej straży przybrzeżnej. Na jego pokładzie rozbłysnął potężny reflektor i zaczął powoli przeczesywać powierzchnię morza. Głasow nachylił się do ucha kapitana.

— Oni tam, na tym kutrze, szukają miny pływakowej! — krzyknął.

— Wielkie nieba!

W drugim uchu usłyszał inny głos, głos Wiktora Raszkina, ale po raz pierwszy uchwycił w nim nutę niepewności. — Zapuścić silniki! Natychmiast!

— Widzicie, towarzyszu, co się tam dzieje, dokładnie na wprost nas, na naszej drodze?

Raszkin powiódł wzrokiem za wyciągniętym palcem Liwanowa. Dopiero w tej chwili zauważył, że pilot tego cholernego hydroplanu zmienił taktykę. Trzymając się pod kątem prostym do wodolotu, pływał w poprzek linii kursu, jaki musiałyby obrać „Kometa”, gdyby uruchomiła silniki.

— A ten szperacz — dodał Liwanow, z największą przyjemnością informując o tym tego partyjnego dęciaka — szuka miny pływakowej. Chcecie, żebyśmy ruszyli, nim ją zlokalizują? Spieszno wam, towarzyszu, zobaczyć, co z tego wyniknie? Ja wam powiem — jedno wielkie bum!

Raszkin ogarniała coraz większa podejrzliwość. Działo się za dużo naraz. Ale w koszmarnym huku śmigieł helikoptera trudno było jasno myśleć. Co to wszystko ma znaczyć? Śledził wzrokiem pełzający po powierzchni wody snop światła, próbując z całych sił zdystansować się do zaistniałej sytuacji, odciąć się od ogłuszającego łoskotu i zamieszania, które wciskały mu się we wszystkie zakamarki mózgu. *Nigdy nie daj się wrogowi dezorientować.* W czasie szkolenia w KGB jego mentor, weteran w tej służbie, wbił mu tę radę do głowy. Tylko gdzie ten wróg?

* * *

Na łodzi „straży przybrzeżnej”, „Regule”, włączono bardzo niewiele świateł — nic ponad nieodzowne minimum. Dowodził nią trzydziestoletni Harry Johnson, ten sam, który w Trelleborgu obserwował przybycie z Sassnitz w Niemczech Wschodnich jednostek ochrony KGB.

Szczupły i skupiony, stał na mostku obok sternika i z napięciem na twarzy wpatrywał się we wskazówki swego zegarka, który trzymał w zaciśniętej dłoni. Chronometr w sterówce „Reguli” chodził, rzecz jasna, bez zarzutu, ale to według swojego zegarka zsynchronizował od siebie zależne elementy akcji ze wszystkimi pozostałymi, biorącymi w niej udział, nim opuścił „Burzę Ognia”.

Obok niego stał Jock Henderson, w gumowym kombinezonie, z aparatem tlenowym na plecach, maską podciągniętą na czoło, przypiętym pistoletem maszynowym w wodoszczelnym pokrowcu. Materiały wybuchowe miał w osobnym pojemniku przywiązany z tyłu do pasa.

— Zaraz ruszasz, Jock — powiedział Johnson.

— Wiem — odparł Henderson obserwując sekundnik swego wodoszczelnego zegarka. Podniósł wzrok i jeszcze raz wszystko sprawdził: światła Sikorsky’ego wisiły tuż-tuż nad sterówką „Komety”, jakby Andersen go tam posadził, Smithy nadal halsował przed dziobem radzieckiego wodolotu, by odwieść go od ewentualnego pomysłu włączenia silników. I w tym momencie z rufy „Reguli” wystrzelił

oślepiający snop światła szperacza.

— Twoja kolej, Jock! — zawołał Johnson.

Droga Hendersona i jego dwudziestoosobowego oddziału wiodła przez lewą burtę „Reguli”. Znalazłszy się w wodzie, Jock Henderson nasunął maskę na oczy, zanurkował pod dnem kutra i skierował się w stronę „Komety” płynąc kilka stóp pod wodą. Kompas magnetyczny przymocowany do lewego nadgarstka precyzyjnie wskazywał mu drogę — a było to niezwykle ważne, biorąc pod uwagę, co w najbliższym czasie miał zrobić Johnson. Właśnie ten element całej akcji najbardziej niepokoił Johnsona, kiedy wcześniej omawiał go z Hendersonem.

— Fala ciśnieniowa będzie potworna — ostrzegwał.

— Dlatego trzeba tak precyzyjnie wszystko zgrać w czasie — odparł Henderson. — Musimy znaleźć się na tyle daleko, żeby jej nie odczuć — albo bardzo słabo.

— Piekielnie ryzykowne. Ja bym się z wami nie zabrał.

— Zabrałbyś się, zabrał, i dałbyś sobie radę.

— Jest jeszcze problem baniek powietrza z waszych butli — dwudziestu butli. Tych cholernych bąbelków będzie tyle, że każdy wartownik na pokładzie wodolotu po prostu musi je zauważyć.

— Scenariusz Julesa Beauraina uwzględnia i to. W krytycznym dla nas momencie odwróci się ich uwagę, przyciągając ją w inne miejsce czy też miejsca.

— Zawsze jest jakiś nie przewidziany czynnik — obstawał Johnson. — Na przykład kabina sonaru tego pieprzonego wodolotu.

* * *

W kabinie sonaru na pokładzie „Komety” Peter Sobieski, Polak, który zgodził się na współpracę z Teleskopem, samotnie obserwował ekran, pokazujący wyraźnie zbliżanie się grupy uderzeniowej Hendersona. W taką spokojną noc było wprost niemożliwe, żeby któryś z ekranów ich nie pokazał.

Peter Sobieski, szczupły, nerwowy, inteligentny mężczyzna tuż po czterdziestce, zaczynał się coraz bardziej denerwować. Przedsięwziął wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa. Drzwi do kabiny zamknął na zasuwę, żeby nikt nie zaskoczył go swoim wejściem. Kiedy tak wpatrywał się z napięciem w ekran sonaru, jedno nade wszystko nie dawało mu spokoju. Obecność na pokładzie „Komety” Günthera Bauma jako szefa ochrony. Sobieski wiedział, że może uruchomić filtr, który zamgli skaner, usuwając z ekranu wszelkie ślady tego, co z sekundy na se-

kundę coraz bardziej zbliżało się do wodolotu. Ale choć starał się jak mógł, nie zdołał zdusić w sobie strachu przed Güntherem Baumem.

Günther Baum był człowiekiem podejrzliwym. Patrolując otwarty pokład przy lewej burcie, starał się rozgryźć łamigłówkę, złożoną z niedorzecznego hydroplanu, kutra duńskiej straży granicznej i ogromnego helikoptera, wiszącego nad mostkiem wodolotu jak bomba zegarowa. Zaproponował Wiktorowi Raszkinowi, że sześciu jego ludzi weźmie maszynę w krzyżowy ogień z broni maszynowej.

— Znakomity pomysł — odparł Raszkin. — Wręcz genialny.

Baum rozpromienił się na tę rzekomą pochwałę. Dalsze słowa Raszkina zupełnie go zaskoczyły. — A jeśli ten helikopter także należy do straży granicznej, co wydaje się dość prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że na Bornholmie jest lotnisko? Tylko tego nam trzeba, żeby nasi goście zostali wmieszani w jakiś zatarg międzynarodowy! A gdybym wyraził zgodę, to gdzie ten helikopter by spadł? Prosto na naszą sterówkę! Więc niech pan lepiej wraca do swoich obowiązków, patroluje statek i czuwa nad jego bezpieczeństwem!

Przy opracowywaniu swego planu Beaurain uwzględnił taką możliwość — jeśli helikopter zawisnie dostatecznie nisko, to nikt nie odważy się do niego strzelać w obawie przed wzniesieniem pożaru na pokładzie wodolotu. Gotując się ze złości, Baum wrócił na pokład, a z nim nieodstępny pomocnik, nie wypuszczający z ręki nesesera z Lugerem.

Upewniwszy się, że jego ludzie zachowują pełną czujność, ruszył powoli wzdłuż burty wpatrując się w atramentową czerń wody. Po kilku krokach natknął się na opartego o barierkę pierwszego oficera, Głasowa, faceta o lisiej twarzy, który we wszystkich swych działaniach kierował się tylko jednym motywem — zwiększeniem szans ewentualnego awansu.

— Coś nie wygląda na to, żeby wszystko toczyło się zgodnie z planem — zagał Baum.

— Gdybyś pan miał za sobą tyle lat na morzu co ja, mógłbyś się pan tego spodziewać — odparł opryskliwie Głasow.

Baum odniósł wrażenie, że ta opryskliwość była zamierzona, że oficer chce się go pozbyć. Wzruszył ramionami i przeszedł na prawą burtę, żeby i tam sprawdzić posterunki. Głasow odprowadził go spojrzeniem, po czym powrócił do wpatrywania się w fale. Nieco dalej szperacz kutra straży granicznej szukał czegoś na powierzchni morza, ale znacznie bliżej burty „Komety”, dokładnie poniżej stojącego bez ruchu Głasowa, ciemność rozjaśniała padająca na wodę plama światła z bulaja.

Zacisnął mocniej ręce na poręczy i wyteżył wzrok, niepewny, czy coś mu się nie przywidziało. I wtedy znów to zobaczył. Krąg baniek powietrza. . .

Wpadł jak bomba do kabiny sonaru — a przynajmniej miał taki zamiar. Nie spodziewanie jednak drzwi, zamknięte od wewnątrz, nie ustąpiły, skutkiem czego poczuł się tak, jakby całym impetem rąbnął w ceglany mur. Kiedy otrząsnął

się z oszołomienia wywołanego zderzeniem z drzwiami, zaczął łomotać w nie pięściami. Sobieski nie śpiesząc się odsunął po cichu zasuwę, przekreślił ostrożnie gałkę, po czym jednym szarpnięciem otworzył drzwi na oścież i stanął nagle przed Głasowem, który zamarł w bezruchu, z pięściami uniesionymi w górę do następnego uderzenia.

— Czy pan oszalał? — spytał cicho.

Głasow po prostu osłupiał. Przewyższał znacznie rangą operatora sonaru, a do tego Sobieski był Polakiem, to znaczy z punktu widzenia Głasowa człowiekiem drugiej kategorii.

— Jak śmiecie tak do mnie mówić! — ryknął i przepchnął się obok Sobieskiego do kabiny. Polak przepuścił go, zamknął drzwi i ponownie cicho zasunął zasuwę. Oficer odwrócił się na pięcie. — Dlaczego drzwi były zamknięte?

— Ze względów bezpieczeństwa — odparł Sobieski z twarzą bez wyrazu. — Polecenie Günthera Bauma — skłamał.

— Do diabła z Baumem! Do wodolotu podpływają właśnie nurkowie, a wy musieliście to wykryć swoim sonarem!

Sobieski wrócił na swoje miejsce przed rzędem ekranów i pulpitych kontrolnych i usiadł z założonymi rękami, przesłaniając nimi na wpół wysuniętą szufladę. Trzeba grać na zwłokę, pomyślał.

— Ci nurkowie — powiedział z drwiną w głosie — pędzili zapewne na skutekach i dęli w klaksony?

— Widziałem pęcherzyki powietrza, które wydostają się na powierzchnię z aparatów tlenowych — odparł przez zaciśnięte zęby Głasow. — Więc i wy musieliście ich widzieć na swoim sonarze. — Po raz pierwszy spojrzął na ekran urządzenia. — Co się z nim stało?

Było to pytanie, na które Sobieski czekał i którego tak bardzo się obawiał. Ponieważ z rozmysłem rozregulował ostrość odbioru, na ekranie nie widać było nic poza błyskami zakłóceń. Rosjanin podszedł bliżej i stanął przed sonarem. Na widok nic nie znaczącej kaszki mina mu zrzędła. Ale wystarczająco znał się na obsłudze sonaru, żeby wiedzieć, którą gałką należy w takiej sytuacji pokręcić. Sobieski ukradkiem zerknął na zegarek. Dokładnie w tej chwili ekran za żadną cenę nie mógł działać. Cały statek nadal dygotał od huku śmigieł Sikorsky'ego.

— Mamy zakłócenia — wyjaśnił Sobieski.

— Zakłócają nas! Zagłuszają nam sonar!

— Nic podobnego, nikt nas nie zagłusza — odparł Sobieski ze znużeniem w głosie. — Żadne urządzenie nie jest bez wad i w każdym czasie coś nawala. Najprawdopodobniej...

Lecz w tym momencie Głasow pokręcił gałką, zakłócenia znikły i zupełnie ostry obraz ukazał całą ławicę płetwonurków docierających właśnie do „Komety”.

— Ty zdrajco! Zostaniesz rozstrzelany! A twoja rodzina... Sobieski wyszarpnął z na wpół otwartej szuflady dłoń z zaciśniętym w niej Waltherem i z odległo-

ści kilku stóp oddał dwa strzały. Głosow zachwiał się, zatoczył i runął na podłogę. Polak chwycił go za nogi, przeciągnął do szafy w ścianie i upchnął w skulonej pozycji na jej dnie. Podniósł z podłogi czapkę pierwszego oficera, wcisnął mu ją na zwisającą bezwładnie głowę, zatrzasnął i zamknął na klucz drzwiczki szafy, po czym podbiegł do sonaru i ponownie rozregulował ostrość — na wypadek jakichś kolejnych odwiedzin. Grupa szturmowa powinna wtargnąć na pokład w ciągu najbliższych minut; pod warunkiem, że nie wypatrzą jej ochroniarze Günthera Bauma.

W wielkiej jadalni „Komety” pojedyncze stoliki zestawiono w jeden długi, imponujący stół, przy którym zasiadło całe międzynarodowe towarzystwo. Nawet na pokładzie „Titanica” nie zebrano się tylu tak potężnych ludzi co teraz na pokładzie radzieckiego wodolotu pośrodku Bałtyku.

U szczytu stołu, co odpowiadało zajmowanej przez niego pozycji w świecie, siedział jeden z największych przemysłowców amerykańskich, Leo Gehn. Od czasu do czasu wypijał odrobinę wody mineralnej, podczas gdy pozostali goście raczyli się znacznie większymi ilościami znakomitego szampana, gorąco zachęceni przez Wiktora Raszkińskiego co chwila schodzącego z mostka wodolotu, by uspokoić gości.

— Drobne zakłócenie ze strony jakiegoś nadgorliwca z duńskiej straży granicznej. Bez wątpienia wie, kogo gościmy na naszym pokładzie. . . To jego chwila w życiu. . . Jakiś tam prowincjonalny urzędniczym daje odczuć swą ociupinę władzy tak prominentnemu zgromadzeniu. . .

Dalszy ciąg jego słów zagłuszył huk wybuchającej miny.

I od tej chwili zapanował terror. Tym razem jego ofiarą padli ci, którzy sami tak długo wykorzystywali swoje pieniądze i władzę, by terrorem wymuszać posłuszeństwo tak wielu ludzi w tak wielu krajach.

* * *

— Odpalić minę!

Wydając ten rozkaz z pokładu „Reguli”, Johnson nadal nie spuszczał oczu ze swego zegarka. Przez mały mikrofon zawieszony na szyi polecenie dotarło nie tylko do człowieka, który zdetonował dryfującą minę, ale także do członków załogi obsługujących reflektor i umieszczony na obrotowej platformie karabin maszynowy.

Ci trzej ludzie doskonale znali kolejność działań, jakie musieli teraz podjąć. Po pierwsze, skierować światła szperacza prosto na minę. Nie było to zadanie zbyt trudne, jako że obsługujący go człowiek korzystał z noktowizora.

W chwili, gdy mina została oświetlona, drugi z nich — ten za karabinem maszynowym — obrócił się na swoim stanowisku, bacząc pilnie, by nie wycelować prosto w minę, tylko trochę obok. Otworzył ogień. Strzelał pociskami smugowymi, które rozjaśniły nagle noc nad Bałtykiem miniaturowym pokazem ogni sztucznych.

Ten, którego zadanie polegało na zdalnym odpaleniu miny, odczekał, aż jego koledzy zrobią, co do nich należy. Dopiero gdy snop światła reflektora wydobył z mroku minę, dopiero gdy noc przeszła łukiem seria smugowych pocisków, przesunął wyłącznik małego nadajnika radiowego. Skutek był niezwykły.

Mina eksplodowała z głuchym rezonującym dudnieniem, sugerującym potężny ładunek wybuchowy. W świetle reflektora znakomicie było widać fontannę wody, która trysnęła w górę niczym gejzer w parku Yellowstone. Karabin maszynowy umilkł. Reflektor zgasł. Na pokładzie „Komety” wszyscy skamienieli na dłuższą chwilę. I w tym właśnie momencie — zgodnie z planem — sierżant Jock Henderson przepłynął ze swym oddziałem pod dnem kołyszącego się nadal bezwolnie wodolotu.

* * *

„Kometa” była „wodolotem o płatach wodnych niecałkowicie zanurzonych” — typem statku wymyślonego w Messynie na Sycylii, choć fakt ten w sowieckiej Rosji najczęściej pomijano milczeniem. Była dużą jednostką o wyporności dwóch tysięcy ton i maksymalnej prędkości trzydziestu węzłów, którą osiągała jedynie w ślizgu po powierzchni wody, kiedy przestawał działać współczynnik oporu. Zasadniczo wystarczyło przestawić na mostku jedną dźwignię, aby cały statek unióś się nad powierzchnię wody na potężnych stalowych skrzydłach.

Nieustannie pilnując wskazówek swego wodoszczelnego zegarka, Henderson zaplanował wtargnięcie na pokład „Komety” dokładnie w momencie odpalenia przez Johnsona miny, czyli w chwili największego zamieszania na radzieckim wodolocie. Kiedy mina wybuchła, znaczna część jego drużyny płetwonurków znajdowała się nadal w wodzie, ukryta pod kadłubem statku. Ze względu na odległość falę uderzeniową odczuli tylko jako mocne pchnięcie w plecy. Sam Henderson zdążył już wdrapać się na prawy rufowy płat nośny.

Tuż za nim, zanurzony jeszcze do pasa w wodzie, Stig Palme wpatrywał się w nawis burty nad ich głowami, zaciskając w prawej ręce karabinek harpunnicy. Henderson zwinął jak łąso linkę z małą kotwiczką, zakręcił nią młynka nad głową, aż kotwiczka nabrała odpowiedniego impetu, wyrzucił w górę i usłyszał stłumione stuknięcie, z jakim powleczone gumą zęby kotwiczki wczepiły się mocno

w reling.

Pech chciał — Henderson uważał, że i tak wykorzystali już swój przydział szczęścia — że w momencie zarzucania sznurowej drabinki jeden ze wschodnio-niemieckich ochroniarzy Günthera Bauma patrolował akurat rufę. Kiedy nagle z ciemności wyprysnęła mu przed samym nosem czarna kotwiczka, na kilka sekund osłupiał, ale już w następnej chwili zdjął z ramienia pistolet maszynowy i wyjrzał przez reling. Henderson w swym kombinezonie płetwonurka stanowił znakomity cel. Ochroniarz Bauma płynnym ruchem podniósł broń do oka.

Rozległ się syk sprężonego powietrza, tylko jeden cichy syk w absolutnej ciszy. Strzała z karabinka Palmego utkwiała w piersi Niemca. Ochroniarz osunął się bezwładnie na poręcz i przewieszony w pół wypuścił z rąk broń, która ze stłumionym pluskiem wpadła do wody. Henderson wspiał się błyskawicznie po drabince, dosięgnął relingu i rozejrzał się po pustym pokładzie. Trzymając się jedną ręką poręczy, ściągnął ciało Niemca za burtę. Palme wisiał już na drabince, ledwie kilka stóp niżej, a z wody wyłaniał się łańcuszek głów kolejnych szturmowców, prychnących niczym jakieś morskie monstra. Henderson podciągnął się szybko na rękach, zeskoczył na pokład i spojrzął na zegarek.

— Zostały nam niecałe dwie minuty, nim Johnson da sygnał rosyjskiemu kapitanowi, że może ruszać dalej — powiedział do Stiga Palmego, który stał już obok niego.

— Zdążyliśmy prawie na styk.

Nim pod stopami poczuli wibrację silników „Komety”, cała dwudziestka znalazła się na pokładzie wodolotu. Henderson wysłał kilku z nich naprzód na wypadek pojawienia się innego wartownika. Jego instrukcje, dotyczące realizacji tego etapu planu, były zupełnie jasne.

— Według Sobieskiego, tego Polaka, który obsługuje sonar, ochroniarze Bauma mają nad nami liczebną przewagę. A te typki są pierwszorzędnie wyszkolone. Ma ich tu być trzydziestu. Dlatego jak długo się da stosujemy bezgłośnie metody likwidacji.

Rozstawione w przedzie czujki — przy lewej burcie dowodzone przez Stiga Palmego, przy prawej przez Maxa Kellermana — uzbrojone były w noże i kawałki cienkiego, elastycznego drutu. Broni palnej i granatów mieli użyć tylko w ostateczności i najlepiej dopiero uzyskawszy zgodę dowódcy drużyny.

Tkwiący przy lewej burcie drugi wartownik w skórzanej kurtce zrobił krok do przodu i stanął jak wryty, wytrzeszczając z niedowierzaniem oczy. Wciąż jeszcze się zastanawiał, czy rzeczywiście widzi ludzkie sylwetki w kombinezonach płetwonurków, gdy jedna z nich wyłoniła się spomiędzy dwóch łodzi ratunkowych za jego plecami i wbiła mu z całej siły pod lewą łopatkę skierowany ku górze, ostry jak brzytwa sztylet. Niemiec wydał z siebie tylko ciche sieknięcie. Wyzionął ducha, nim osunął się na deski pokładu.

Jego zabójca zameldował o tym, po czym ostrożnie wrócił w stronę sterówki.

Zliczanie wyeliminowanych wartowników było niezwykle ważne. Zarówno Palme, jak i Kellerman mieli w ten sposób dokładne rozeznanie, ilu przeciwników jeszcze żyje. Hendersonowi pozostało do wykonania pewne zadanie, wyjątkowo ryzykowne.

Jules Beaurain kilkakrotnie podkreślał niebezpieczeństwo, na jakie narażała Hendersona misja, którą sam sobie wybrał. — Jeśli podniosą wodolot w momencie, kiedy wciąż jeszcze będziesz pracował na głównym płacie, będą cię mieli jak na dłoni — ostrzegał.

— Biorę to pod uwagę — zapewnił swego szefa Henderson. — To ryzyko, które muszę podjąć. Tylko w ten sposób mogę umieścić ładunki wybuchowe w najczulszym miejscu „Komety”.

Chodziło o ładunki wybuchowe z zapalnikiem czasowo-udarowym, najnowsze cacko wynalazców z laboratoriów Château Wardin. Urządzenie działało w zasadzie jak zwykła bomba zegarowa. Udoskonalenie polegało na uwzględnieniu ewentualności, że mechanizm nie zadziała.

Niezależnie od zegara ładunek eksplodował także w chwili zderzenia z jakimkolwiek przedmiotem, przy czym siłę uderzenia potrzebnego do jego zdetonowania można było regulować ustawieniem odpowiedniego licznika, stanowiącego istotną część całego urządzenia.

Henderson miał teraz dotrzeć w jak najkrótszym czasie do dziobu „Komety”, w jak najkrótszym czasie przymocować ładunki wybuchowe do ogromnych płyt wodolotu i — zakładając, że przeżyje tę swoistą „rosyjską ruletkę”, jak to nazwał Beaurain — przygotować się do ostatecznego uderzenia na mostek kapitański.

* * *

Sikorski wzbił się wysoko w noc. Pilot hydroplanu jakby nagle wytrzeźwiał i zaczął prostą linią oddalać się od radzieckiego statku, prując wody Bałtyku i nabierając szybkości do startu. Morze było wolne — „Kometa” mogła wznowić swój rejs. Na mostku kapitańskim odebrano sygnał z kutra straży granicznej informujący, że minę zniszczono i że można bezpiecznie ruszać dalej.

Zarówno Liwanow, jak i Raszkin nabrali przekonania, że wszystko jest w porządku, że niezwykle zachowanie pilota helikoptera należy po prostu tłumaczyć gorliwością Duńczyków, ich chęcią dopilnowania, by „Kometa” usłuchała rozkazu do momentu, aż minie niebezpieczeństwo.

— W końcu — zauważył Liwanow — na własne oczy widzieliśmy wybuch tej miny. Ciarki mi chodzą po grzbiecie na myśl, że mogliśmy na nią wpaść.

— Oczywiście macie rację, kapitanie — zgodził się Raszkin. — A teraz proszę ruszyć pełną parą wokół Bornholmu, niech nasi goście poczują dreszczyk emocji ślizgania się po grzbietach fal. Ja muszę już wracać do jadalni.

Liwanow wydał rozkaz zwiększenia szybkości i „Kometę” skoczyła do przodu — strzała jarzącego się światła, mknąca w stronę mrugającego lampionu latarni morskiej na przylądku Hammeren na Bornholmie. Kapitan Liwanow nie użyłby zwrotu „ślizganie się po grzbietach fal”, ale dość dobrze oddawał on uczucie, jakiego doznaje pasażer wodolotu płynącego z maksymalną prędkością. Liwanow wyciągnął rękę i osobiście przesunął dźwignię uczyniającą płaty. Statek zaczął się unosić, aż cały jego kadłub wynurzył się ponad powierzchnię Bałtyku, wspierając się na niej tylko swymi gigantycznymi stalowymi skrzydłami.

Kiedy Raszkin opuszczał sterówkę, obie drużyny szturmowe — jedna dowodzona przez Stiga Palmego, druga przez Maxa Kellermana — bezgłośnie usunęły pięciu z trzydziestu Niemców strzegących statku. Jednocześnie wprowadzono w życie drugą część planu Beauraina — obstawiono swoimi ludźmi wszystkie zejścia na pokład główny. Każdy, kto próbowałby wspiąć się na schody prowadzące z niższego pokładu, dostałby natychmiast strzałę z karabinka harpunniczego w pierś. Stig i Max opanowali już obie burty rufowej części statku. Tylko jeden człowiek nie uporał się jeszcze ze swoim zadaniem — wciąż jeszcze w każdej chwili groziła mu śmierć.

Henderson wisiał na ogromnym stalowym płacie, przyczepiony do niego za ręce i nogi magnetycznymi klamrami, i za wszelką cenę próbował wykonać swoje zadanie. Został zupełnie wyniesiony ponad wody Bałtyku, które śmigały tuż pod nim z nieprawdopodobną prędkością. Pęd wodolotu wytwarzał silny wiatr, który dął mu prosto w twarz, zalewał pianą i bryzgami wody maskę, szarpał niemiłosiernie całym jego ciałem, próbując je oderwać od płata i cisnąć w dół, do wody, prosto pod rufowe płaty „Komety”, które zmieniłyby go w krwawą miazgę.

Miał nadzieję zakończyć mocowanie ładunków wybuchowych, podciągnąć się do barierki i zdążyć wrócić na pokład, nim wodolot wznowi swą podróż. Podróż? Psiakrew, to wyglądało bardziej na jakiś wściekły wyścig! Otarł maskę z piany i zobaczył w oddali mrugające światło. Latarnia morska Hammeren nad zdradliwymi klifami północnego przylądka Bornholmu, do którego szybko się zbliżali.

Kiedy umieścił drugi ładunek — pod płatem, w miejscu niewidocznym dla patrzących z pokładu — od wibracji silników cały dygotał, jakby obsługiwał pięć młotów pneumatycznych naraz. Dosłownie, trzął się jak galareta. Tylko z najwyższym wysiłkiem zdołał przyłożyć ładunek w odpowiednim miejscu, uruchomić przyssawy magnetyczne, które przytwierdziły go do płata, a następnie naciśnąć wyłącznik, uruchamiający zarówno zegar, jak i czujnik udarowy.

Żeby pokonać stromą ścianę płata, musiał jeszcze raz powtórzyć wszystkie czynności, jakie wykonał przy schodzeniu w dół. Wyłączył magnetyczne przyczepy na lewą rękę i nogę, zawisł tylko na pozostałych dwóch i z ogromnym

wysiłkiem podciągnął się w górę wolną lewą ręką i nogą. Potem należało powtórzyć to samo z zaczepami prawej strony ciała, prawą ręką i nogą podciągnąć się jeszcze wyżej, bliżej kadłuba. Wspinaczki nie ułatwiał wiatr szarpiący nim z furją, ryk wodolotu pędzącego przez noc jak burza, wibracje, które w błyskawicznym tempie pozbawiały go resztki sił, jaka mu jeszcze pozostała.

Nie poddawaj się, bo koniec z tobą!

Po raz pierwszy w życiu Henderson poczuł się zmuszony rozważyć tę niemiłą możliwość i uzmysłowił sobie, że mądrzej będzie nie spoglądać w dół. Z ogromnego wyczerpania świat zaczynał mu wirować przed oczami. Widok spienionych płacht wody przemykających bez końca w dole przyprawiał o zawrót głowy. Na każdy ruch zdobywał się wyłącznie nakazem siły woli. Przestało go już obchodzić, czy mu się uda, czy nie, lecz świadomość tego zobojętnienia napawała go pogardą dla samego siebie i pobudzała do życia.

Po upływie miliona lat podciągnął się, przedostał przez poręcz i osunął na pokład. Leżał bez ruchu czekając, aż wrodzona żywotność pozwoli mu przyjść do siebie. I w tej właśnie chwili rozległy się serie z pistoletów maszynowych przerywane łoskotem granatów ogłuszających i odłamkowych.

* * *

— Podaj mi broń, Oskar.

Günther Baum nie oglądając się wyciągnął do tyłu rękę, a Oskar natychmiast podał mu Lugera. Niemiec stał przy lewej burcie i nie miał właściwie żadnych powodów, by cokolwiek podejrzewać. Przed nim rozciągał się otwarty pokład. W ciemności majaczyły zarysy łodzi ratunkowych huśtających się na linach żurawików od pędu „Komety”, demonstrującej swym znamienitym gościom, na co ją stać. Za plecami Bauma jego pomocnik, Oskar, zacisnął mocniej w rękę kolbę swego własnego automatu. Neserer przestał go już teraz obchodzić.

— Czy coś się stało? — zawołał przekrzykując świst wiatru.

I były to ostatnie słowa w jego życiu. Ledwie zdołał je wymówić, gdy z ciemności wyprysnął pocisk. Pomocnik Bauma krzyknął przeraźliwie i zatoczył się do tyłu z harpunem Palmego sterczącym mu z piersi. Korzystając z osłony mroku, Baum odwrócił się błyskawicznie, wycelował do przemykającego cienia i strzelił. Cień runął.

— Wszyscy na mostek! — Baum ryknął co sił w płucach. — Wycofać się z pokładu! — Po czym odkręcił tłumik i dwukrotnie wystrzelił w powietrze.

Palme uświadomił sobie, że teoretycznie jest to sensowna strategia. Baum chciał zebrać swoich ludzi na okrętowym odpowiedniku wzniesienia — na most-

ku, skąd mogli zasypać gradem kuł próbujących wdrzeć się z dołu napastników.

Baum dotarł na mostek wyłącznie dzięki swej szybkości. Wbiegł skulony po schodkach i przywarł plecami do tylnej ściany nadbudówki. Z tego miejsca znakomicie widział, co się dzieje. Stał się naocznym świadkiem masakry — masakry swoich własnych ludzi.

Od lewej burty Palme oświetlił schodki potężną latarką; Kellerman zastosował tę samą taktykę od prawej. Schwytani w krzyżujące się snopy światła ochroniarze Bauma zbili się w ciasną gromadę, stanowiąc cel, którego nie sposób było chybić. Rozległ się nie milknący grzechot pistoletów maszynowych Teleskopu. Baum ujrzał, jak jego ludzie walą się na pokład i jeden przez drugiego staczają bezwładnie ze schodów. Poderwał Lugera i wycelował w latarkę. Jakby w przeczuciu, że zbyt długo już kusił лихо, dokładnie w tym samym momencie Palme ją wyłączył i odskoczył w bok. Dwie kule z Lugera utkwily nieszkodliwie w deskach o krok od niego.

To Henderson, wyłoniwszy się z tyłu mostka od prawej burty, dostrzegł niemal niewidocznego Günthera Bauma, wciśniętego w załamanie ściany sterówki. Jednym rzutem oka, kiedy Niemiec oddawał swoje dwa strzały, ustalił jego kryjówkę. Wydobył z kieszeni granat, wyjął zawleczkę, odliczył i poturlał go po pokładzie. Granat przestał się toczyć kilka cali od stóp Günthera Bauma. Nastąpił błysk, który oświetlił całą tylną część mostka i ukazał stojącego samotnie Bauma, a potem łoskot wybuchu. Baum wyrzucił w górę rozpostarte ramiona, przeleciał ponad barierką i runął na pokład.

Teraz tylko pozostało szybko zaatakować sam mostek kapitański, przejąć pełną kontrolę nad statkiem — i zniszczyć go.

ROZDZIAŁ 22

— Zwolnić do pięciu węzłów! — rozkazał Raszkin wbiegając do sterówki wąskimi schodkami, które łączyły mostek z jego kabiną i główną jadalnią.

— Zwolnić? — spytał zdezorientowany Liwanow.

— Kapitanie, wydajcie rozkaz! Zostaliśmy zaatakowani!

Przerwał mu huk eksplozji gdzieś tuż za tylną ścianą. Raszkin nie wiedział, że od tego granatu zginął Baum, ale natychmiast zorientował się, że napastnicy odnieśli zwycięstwo — dotarli na poziom mostka kapitańskiego. Rezygnując z wszelkich dalszych rozkazów, zbiegł po tych samych wąskich schodach, przystanął ostrożnie na dole, stwierdził, że korytarz jest zupełnie pusty, i z odbezpieczonym Waltherem w rękę popędził do swojej kabiny.

Już wcześniej ostrzegł swoich gości, by pozostali w jadalni, zapewniając ich, że to najbezpieczniejsze miejsce na całym statku, napastnicy zaś zostaną natychmiast unieszkodliwieni. Teraz czuł instynktownie, że ochrona Bauma została przełamana i następnym etapem będzie zniszczenie „Komety” i likwidacja wszystkich jej pasażerów. Ktoś brał srogi odwet za zamordowanie Julesa Beauraina. Teleskop wkroczył do akcji.

Nim znalazł się w swojej kabynie, „Kometa” wyraźnie zwolniła. Z niezwykłą zwinnością w kilka sekund zrzucił wierzchnie ubranie i naciągnął na siebie kombinezon płetwonurka, który przemycił na pokład w zwykłej torbie podróżnej. Raszkin doszedł do swojej obecnej pozycji i zdołał przeżyć tylko dzięki temu, że zawsze był przygotowany na wszelką ewentualność — i nigdy nie zaniedbywał zapewnienia sobie drogi ucieczki.

Kiedy odkręcił śruby pokrywy iluminatora, jego uzbrojenie składało się z noża i wodoszczelnego zegarka zapiętego na przegubie dłoni. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności kabina znajdowała się po prawej burcie. Po otwarciu bulaja ujrzął wyraźnie ostrzegawcze błyski latarni morskiej nad klifami północnego cypla Bornholmu. Obliczył, że wodolot nie może być dalej od brzegu duńskiej wyspy niż kilka mil.

Wysunął się tyłem przez iluminator i opuścił na rękach po ścianie kadłuba, aż zawisł całym ciałem w powietrzu. Zwolnił chwyt bez wahania i strachu, wiedząc, że w tej pozycji nie ryzykuje uderzenia w zanurzony płat — wodolot wytracił

prędkość do pięciu węzłów i poruszał się teraz jak normalny statek. Jedyne ryzyko polegało tylko na tym, że mógł wpaść w prąd podrufowy i dać mu się wciągnąć w śrubę napędową, która poszarpałaby go na kawałki.

Wymacał palcami stóp ledwie poruszający się kadłub wodolotu, odepchnął się od niego ze wszystkich sił i poczuł, że odbija w bok i do tyłu od sunącego statecznie statku. Potem, wciąż leżąc na plecach, zaczął płynąć silnymi, zdecydowanymi wyrzutami rąk. Za nim przesuwiał się powoli cały kadłub „Komety”. Ujrzał nad sobą światła jadalni. Wodolot wydawał się dziwnie wymarły.

* * *

Wnętrze sterówki zmieniło się w jatkę. Tych kilku ochroniarzy Bauma, którym udało się przeżyć ostrzał na schodach, wycofało się do środka i połączyło z Liwanowem na kilka sekund przed rzuceniem przez Hendersona sygnału do końcowego ataku. Henderson użył tylko jednego słowa.

— Granaty!

Trzy minuty później, w towarzystwie Palmego i kilku innych szturmowców, wszedł do śmiertelnej pułapki. Przede wszystkim sprawdził urządzenia sterownicze. W ostatniej chwili ktoś włączył automatycznego pilota — bez wątpienia Liwanow. Ogromny wodolot sunął powoli przez Bałtyk niczym robot albo statek widmo. Henderson natychmiast zaczął organizować ewakuację swoich ludzi. Trzech zginęło, siedemnastu — dzięki zaskoczeniu i współpracy Petera Sobieskiego — przeżyło. Palme osobiście odszukał Polaka i sprowadził go na mostek. Henderson rozmawiał z Maxem Kellermanem, który właśnie także tu ściągnął.

— Jak tam te międzynarodowe szumowiny w jadalni? Śmietanka Sztokholmskiego Syndykatu?

— Zamknięci w pułapce. Sekcja specjalna przebiła się na dół, zlikwidowała wartowników i zaspawała drzwi. Mogliby się stamtąd wydostać, gdyby spróbowali wybić iluminatory, ale wątpię, czy zdążą się do tego zabrać. Strzelanina raczej ich zniechęciła do wyściubiania nosa na zewnątrz.

— Podłożyć bomby pod drzwi i wycofać się. Wszyscy, co do jednego. Przez wybite bulaje. Ja zostanę, dopóki nie uda mi się rozpędzić tego piekielnego statku.

— Jeśli rozwiniesz pełną szybkość, będzie ci go trudno opuścić — zaprotestował Palme. — A łodzie ratunkowe już płyną.

— Powiedziałem: podłożyć bomby.

* * *

To zielona raca, którą Henderson wystrzelił w nocne niebo, była sygnałem wzywającym łódzie ratunkowe. Kiedy rozprysła się niczym pęk sztucznych ogni, sunący szybko za „Kometą” brytyjski jacht motorowy, z Luizą i Beaurainem na pokładzie, natychmiast zwolnił.

— Wielki Boże! Udało im się!

Luiza poczuła tak ogromną ulgę, że uściskała Beauraina publicznie na mostku „Burzy Ognia”. Spuszczone łódzie motorowe pędziły już przez noc w stronę wlokącej się „Komety”, przeczesując szperaczami powierzchnię morza w poszukiwaniu szturmowców Teleskopu.

W kilwaterze „Komety”, która nadal płynęła z szybkością pięciu węzłów, zaczął rozbłyskać łańcuszek maleńkich światełek, podskakujących na wodzie jak korki. Wysłane z „Burzy Ognia” motorówki zwalniały, kierując się na te światełka.

Rzekomy kuter straży granicznej, „Regula”, powrócił do swego macierzystego statku. Właśnie wciągano go na pokład, ociekającego morską wodą, przed opuszczeniem do przepaścistej ładowni „Burzy Ognia”. A na mostku „Komety” nie było już nikogo poza Hendersonem, obserwującym przez wyrwane wybuchami okna odwrót ostatnich swoich ludzi. Stał w sterówce, otoczony trupami niemieckich ochroniarzy Bauma i przymocowanymi do wszystkich drzwi wejściowych specjalnymi ładunkami wybuchowymi. Ładunkami, które eksplodowały tylko w jedną stronę — na zewnątrz. Chodziło o pewność, że nawet jeśli ktoś zdoła wydostać się z jadalni, to i tak nigdy nie dotrze żywy do urządzeń sterowniczych wodolotu.

* * *

Wiktor Raszkin miał zamiar spokojnie sobie przepłynąć te dwie mile dzielące go od brzegu Bornholmu, ale kiedy zobaczył motorówkę z jednym człowiekiem obsługi kierującą się w jego stronę, podjął szybką decyzję. Łódź płynęła takim kursem, że musiała go minąć w odległości najwyżej dwudziestu jardów. Zaczekał na odpowiedni moment, po czym silnym odbiciem nóg wypchnął się na chwilę nad powierzchnię wody i zamachał rękami.

Marynarz z „Burzy Ognia” spostrzegł go, zmienił kurs i zwolnił. Miał rozkaz zebrać tylu ludzi, ilu się da, i w jak najkrótszym czasie. To że napotkany pływak nie miał mrugającego światełka, nie wydało mu się dziwne, a w panującej ciemności nie zauważył, że jego kombinezon ma inny kolor. Wciągnął swego pierwszego

rozbitka do łodzi.

— Jak poszło? — spytał, nim znowu włączył silnik. Spojrzał na wyłowionego, który lewą ręką zdejmował maskę, a prawą manipulował za plecami. Obaj siedzieli zwrócenii twarzami do siebie.

— W porządku, zgodnie z planem — odparł Raszkin.

— Beaurain się ucieszy... — Marynarz urwał w pół zdania. Zobaczył twarz Raszkina, przez którą na wzmiankę o Beaurainie przemknął cień strachu, i zorientował się, że siedzący naprzeciwko niego człowiek nie jest jednym ze szturmowców Hendersona. W tym momencie prawa ręka Raszkina wyprysnęła łukiem zza pleców i w piersi marynarza utkwiał po rękojeść ostrego, długiego noża.

Marynarz zacharczał, oczy wyszły mu z orbit i zwałił się bezwładnie do przodu. Raszkin wypchnął go oburącz za burtę, po czym rozejrzał się wokół. Wyłączył reflektorek na dziobie łodzi, otworzył szerzej przepustnicę i skierował motorówkę w stronę zachodniego brzegu Bornholmu. Zadał sobie wcześniej trud, żeby poczytać trochę o tej wyspie, wiedział więc, gdzie znaleźć najspokojniejszy zakątek wybrzeża. Zawsze opłacało się brać pod uwagę każdą ewentualność. Teraz próbował sobie przypomnieć rozkład lotów z miejscowego lotniska Ronne do Kopenhagi.

* * *

W wielkim salonie jadalnym „Komety” członkowie Sztokholmskiego Syndykatu wydawali się porażeni obezwładniającym strachem, pozbawieni zdolności podejmowania jakichkolwiek decyzji. Leo Gehn, jeden z najpotężniejszych ludzi Zachodu, siedział u szczytu stołu jak Budda, na pozór pochłonięty obliczaniem przyszłych zysków z sektora północnoeuropejskiego, który przydzielono mu we wcześniejszej części konferencji. Ale kiedy hrabia d'Arlezzo, szczupły Włoch, który z kolei nie mógł usiedzieć na miejscu, zajrzał mu przez ramię, ujrzał ku swemu przerażeniu, że Amerykanin wypisuje na swej kartce w kółko te same cyfry.

Większość z obecnych trzydziestu osób trzymała się z dala od drzwi. Stali przy iluminatorach z twarzami przyciśniętymi do szyb i wpatrywali się w błyskające światło latarni morskiej na przylądku Hammeren. Jak na ironię, ci mistrzowie nieograniczonego szantażu, mordów i terroru wykazywali kompletny brak zdecydowania.

Na mostku kapitańskim Henderson opuszczał statek tą samą drogą co inni, ale w odmiennych okolicznościach. „Kometa” uniosła się już na gigantycznych płatach i mknęła przed siebie ze swą maksymalną prędkością trzydziestu węzłów.

Weszła na kurs wytyczony przez Hendersona i nadzorowany przez automatycznego pilota. Szkot przecisnął się na zewnątrz przez jedno z wybitych okien i szarpany wiatrem dotarł do relingu. Przytrzymując się jakiegoś wspornika, ugiął nogi, czekając na chwilę, kiedy statek choć przez kilka sekund będzie płynął równo. Teraz!

Skoczył do przodu i w dół, daleko poza tylny płat, i zanurkował pionowo w wody Bałtyku. Miał nadzieję, że dość daleko i głęboko, by ominąć śmiertelny wir ssący śruby napędowej. Kiedy wypłynął na powierzchnię, zdumiał się, jak bardzo „Kometa” zdążyła się oddalić — znikająca garstka świateł. Nacisnął guzik, który włączył czerwone światełko na czepku jego kombinezonu. Kiedy złapał oddech po głębokim skoku pod wodę, ujrzał tuż obok siebie motorówkę wysłaną z jednym tylko zadaniem — wyłowienia Jocka Hendersona.

* * *

Pionowe urwiska północnego cypla Bornholmu są chronione przed morzem przez pojedyncze skalne słupy, sterczące z wody niczym gigantyczne kamienne sztylety. Tej nocy i o tej porze Bałtyk był tak spokojny, że fale u podnóża tych lewiatanów natury tkwiły prawie w miejscu obmywając je łagodnie. Uniesiona na płatach „Kometa” gnała przed siebie jak pocisk, zbliżając się pod kątem prostym do klifów. Dla tych, którzy mieli zamiar skupić całe zło zachodniego świata w jednej wielkiej zbrodniczej organizacji, jej ostatnie chwile musiały być czymś potwornym.

Zderzenie szybującego metalowego kadłuba z niewzruszonym skalnym bastionem przeszło noc hukiem gromu. Ułamek sekundy później zawtórowały mu wybuchy ładunków, które Henderson przymocował do płatów wodolotu. Nastawione były na piętnaście minut, ale także na zderzenie z jakimś większym przedmiotem. Urwiska Hammeren w zupełności do tego wystarczyły. Statek dosłownie rozprysnął się na kawałki. Eksplozja wyrzuciła jeden z płatów wysoko w powietrze, gdzie zawisł na chwilę, nim runął z powrotem do morza. Sam kadłub złożył się jak teleskop, sprasowany impetem zderzenia w harmonię, dziobem w dół, tak że rufa uniosła się na kilka sekund w powietrze, nim zatonał.

Od podnóża urwisk wzbił się w górę pióropusz czarnego dymu, rozwłóczony po niebie lekką bryzą. Nie zostało zupełnie nic. Żadnego śladu, że „Kometa” kiedykolwiek istniała. Głęboką ciszę zakłócał tylko warkot silnika motorówki wracającej do „Burzy Ognia”.

Siedzący bez ruchu przy jej sterze Beaurain był nienaturalnie cichy. Wskazał ruchem ręki jakby jakiemuś nieobecnemu świadkowi coś, co właśnie zobaczył —

cieniutki jak nitka ślad motorówki płynącej równym tempem na południe od nich ku zachodniemu wybrzeżu Bornholmu. Kiedy później powiedziano mu, że jedna z łodzi tajemniczo zniknęła, był już pewien, że Wiktor Raszkin zdołał uciec.

ROZDZIAŁ 23

Beurain nadał depesze z „Burzy Ognia” dokładnie o północy. Rozesłał umówione hasła do Fondberga, niecierpliwącego się w Sztokholmie, Markera, czekającego w komendzie głównej policji w Kopenhadze, i do Flamena w Brukseli.

Dziesięć minut po północy zarządzono największą obławę w dziejach Europy; wozy radiolokacyjne i flotyle radiowozów czekały tylko na pierwszy sygnał z nadajników Syndykatu. Radiostacje zaczęły nadawać punktualnie o trzeciej rano. Chwilę później Fondberg połączył się z Beurainem przez radiotelefon „Burzy Ognia”.

— Dlaczego nadałeś hasło dokładnie o północy? — spytał. — Czy to miało jakieś znaczenie?

— Dlatego, że właśnie o północy pewien człowiek musiał dotrzeć do Bornholmu. I pierwszą rzeczą, jaką zrobił, musiało być nadanie do niedobitków Syndykatu ostrzeżenia o katastrofie.

— Jakiej katastrofie?

— Poczekaj na poranne wiadomości.

— Tak czy inaczej, dobrze to sobie skalkulowałeś! Działa!

Fondberg był wyraźnie podekscytowany. W całej Europie wozy radiolokacyjne z łatwością namierzały jedno po drugim źródła tajemniczych transmisji, bo po raz pierwszy nie interesowali się drogami, tylko szlakami wodnymi. I z uwagi na alarmową sytuację tym razem radiostacje nadawały dłużej niż trzy minuty.

W Belgii, Francji i Holandii funkcjonariusze wdarli się na pokłady łodzi i zaskoczyli operatorów Syndykatu w trakcie nadawania. W Danii ludzie Flamena dostali się na pokłady statków na Sundzie. W Szwecji zajęli jachty i motorówki na wodach Sztokholmu. W Niemczech barki na Renie. I przy pełnej synchronizacji obławy żadna sekcja Syndykatu nie miała szansy ostrzec innych. Za jednym zamachem unicestwiono cały system łączności, bez którego Syndykat nie mógł działać.

* * *

— Jasna blondynka opuściła mieszkanie przy Radmansgatan 490 i pojechała autobusem linii lotniczych na Arlandę. W Kopenhadze powinna wylądować o . . .

Fondberg ponownie zadzwonił do Beauraina na „Burzę Ognia”, która pełną parą oddalała się od Bornholmu w stronę Sundu i Kopenhagi. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami wziął mieszkanie przy Radmansgatan pod całodobową obserwację. Dwóch jego ludzi śledziło blondynkę do Arlandy, gdzie przy stanowisku Skandinavian Airlines zarezerwowała miejsce na najbliższy lot do Kopenhagi.

— . . . o 8.30 — ciągnął. — A pierwsze połączenie Danairu z lotniska Ronne na Bornholmie to lot SK 262 o godzinie 8.10. W Kopenhadze ląduje o 8.40. Kto według ciebie ma nim przylecieć?

— Lepiej, żebyś nie wiedział, Harry — odparł Beaurain. — I dzięki za informacje o tej blondynce. Będziemy w kontakcie.

Rozłączył się i spojrzał na Luizę, która przysłuchiwała się całej rozmowie z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Blondynka? — spytała. — Czy to może być Sonia Karnell?

— Może być i jest — zapewnił ją Beaurain i przetarł zaczerwienione oczy. Kiedy ostatni raz spał? Nie mógł sobie przypomnieć. — Peruka — wyjaśnił.

— No jasne! Boże, chyba zaczynam gonić w piętę. Ale jestem kompletnie rozbita. Nim zadzwonił Harry Fondberg, powiedziałaś, że musimy zerwać amerykańskie połączenie. Co to miało znaczyć? I kto leci z Bornholmu do Kopenhagi?

— Odpowiem ci na oba pytania, kiedy sam będę tego pewien. — Beaurain podjął nagłą decyzję. — Chyba polecimy na lotnisko Kastrup przed wszystkimi innymi. Każemy się tam zawieźć Andersenowi jego Sikorskym. I weźmiemy jakąś obstawę, w tym Stiga.

Spojrzał na zegarek. Czwarta rano. Od ponad godziny było już jasno i wszelkie znaki na niebie wskazywały, że zanosi się na kolejny piękny, bezchmurny i upalny dzień. Na Kastrupie powinni być przed piątą; o tej porze panuje tam bardzo mały ruch i przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy ich przybycia do stolicy Danii.

Przeszli pobieżną odprawę celną i paszportową i wchodzili właśnie do głównej hali przylotów, gdy Luiza nagle przystanęła i chwyciła Beauraina za ramię. Delikatnie odciągnęła go za filar i ruchem głowy wskazała na nieczynny kiosk z książkami. Beaurain wyjrzał ostrożnie zza słupa, a Palme i jego trzech ludzie zastygli w bezruchu. Beaurain przyjrzał się profilowi człowieka, który stał pod kioskiem. Trzymał w ręku jakieś czasopismo i wydawał się pogrążony w lekturze.

— Ed Cottel — mruknął.

— Amerykański łącznik — powiedziała Luiza.

Wycofali się z hali przylotów i zapuścili w głąb zabudowań lotniska. Palme przeprowadził zwiad i wrócił z wiadomościami.

— Obstawili całe lotnisko — zameldował. — Wszystkie wejścia i wyjścia, I mają nad nami pokaźną przewagę liczebną. Kilku siedzi w samochodach, niby to czekając na czyjś przylot, kilku w taksówkach. Nawet na autostradzie dojazdowej mają dwóch ludzi, którzy udają monterów naprawiających zepsutą latarnię.

— Skąd wzięłeś ten kombinezon, Stig? — spytała Luiza.

— W toalecie trafiłem na sprzątacza — wyjaśnił przepaszającym tonem Palme.

— Ogłuszyłeś go i wepchnąłeś do szafy na przybory toaletowe — dopowiedziała Luiza.

— Tak. Ale w tym kombinezonie mogłem swobodnie łązić po całym lotnisku, zwłaszcza z tym wiaderkiem. Kto zwraca uwagę na faceta w kombinezonie roboczym z wiaderem i szczotką?

Tylko Beaurain wydawał się zupełnie nie poruszony tymi wiadomościami. Palme rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, po czym wyjął spod kombinezonu trzy rewolwery: Colta kalibru 0.45, Lugera i małą dziewiątkę. Luiza szybko wzięła dziewiątkę, zostawiając Lugera Beaurainowi.

— Mechanik, który zajął się naszym helikopterem — wyjaśnił Palme — to mój stary kumpel. Zawsze trzyma dla mnie broń, żeby mi ją podrzucić już po przejściu tego, co się pompatycznie nazywa urzędowymi odprawami.

— Ed Cottel osobiście przeprowadzi nas przez kordon swoich ludzi — powiedziała Luiza. Zaczęła rewolwer w prawej ręce i przykryła go złożonym płaszczem. — Masz coś przeciwko temu? — spytała Beauraina.

— Bierz się do roboty.

Szybkim krokiem weszła z powrotem do hali przylotów, a Beaurain, już znacznie wolniej, podążył kilka metrów za nią. Nawet nie próbowała ukryć swojej obecności. Podeszła wprost do Cottela, który nadal stał w tym samym miejscu udając, że czyta gazetę. Nie po raz pierwszy Beaurain podziwiał zuchwałość jej taktyki i tupet. Stała przed Cottelem, który podniósł wzrok znad gazety i powiedział:

— Na miłość boską, Luizo, niech nikt z was nie próbuje opuścić lotniska. Jest szczerze otoczone przez niezwykle groźnych zawodowców.

— Pod tym płaszczem mam rewolwer. Z tej odległości nie mogę chybić. A teraz, z czysto akademickiej ciekawości — do kogo należą ci niezwykle groźni zawodowcy?

— Do amerykańskiego łącznika — odparł Cottel. — Ale to nie ja nim jestem. Chyba muszę wam jeszcze to i owo wytłumaczyć.

Za plecami Luizy stanął Beaurain. Położył jej rękę na ramieniu i lekko uściśnął.

— Mam zamiar skorzystać z tamtego automatu — powiedział. — Możecie w tym czasie wymienić się doświadczeniami, ale chyba bezpieczniej będzie, jeśli przejdziecie dalej w głąb budynku do Stiga i całej reszty.

Usiedli sami na ławce i Cotel zaczął składać Luizie wyjaśnienia. Palme stanął na straży kilka kroków dalej.

Wszystko zaczęło się w momencie, gdy Waszyngton poprosił Eda Cottela, by na krótko zrezygnował z emerytury i wykonał dla nich jeszcze jedną robotę — wyszedł Teleskop. Zgodził się, po czym w ostatniej chwili, kiedy było już za późno, żeby go kimkolwiek zastąpić, poinformował zwierzchników, że łączy zadanie wytropienia Teleskopu z przeprowadzeniem własnego śledztwa w sprawie Sztokholmskiego Syndykatu.

— Kiedy Harvey Sholto zapytał, co to takiego, w obecności kilku najbliższych doradców naszego prezydenta, którzy robili takie miny, jakby nie mieli pojęcia, o czym ja, do cholery, gadam, zrozumiałem, że coś tu jest nie tak. Od tego momentu byłem naznaczonym celem z limitowanym rozkładem jazdy.

— Co to znaczy? — spytała Luiza.

— Pozwolili mi przyjechać do Europy w nadziei, że rozpracuję Teleskop, choć diabli wiedzą, co to takiego. — Uśmiechnął się krzywo. — A po wykonaniu tego zadania miałem zostać natychmiast zlikwidowany. Pewnie osobiście przez Harveya Sholto. Na szczęście ludzie szefa Säpo wypatrzyli jego przybycie do Szwecji, więc w porę podjąłem dodatkowe środki ostrożności i zapadłem się pod ziemię. Kiedy zorientowali się, że całą swoją energię poświęcam na rozpracowanie Syndykatu, mój limit się wyczerpał. Nadali NADIR z moim nazwiskiem. Do natychmiastowej likwidacji.

— Czego Waszyngton tak się obawia?

— Większość funduszków prezydenckiej kampanii wyborczej pochodzi z wpłat tych samych amerykańskich korporacji przemysłowych, które są członkami Syndykatu. — W głosie Cottela słychać było wzburzenie. — Jak wiesz, nasz prezydent ma skłonność do unikania kłopotliwych tematów. Po prostu odwraca wzrok i udaje, że sprawa w ogóle, nie istnieje.

— W dalszym ciągu nie do końca to wszystko rozumiem, Ed. Ten Harvey Sholto... Co on właściwie może? Jakie oficjalnie zajmuje stanowisko?

— Oficjalnie już żadnego. A może więcej niż ktokolwiek w całym Waszyngtonie, poza samym prezydentem. Z powodu tego, co wie. A niech tam, Luizo, powiem ci: ten facet zrobił sobie fotokopie całej kartoteki Edgara J. Hoovera! Każdy, kto się w ogóle liczy w tym kraju, miał w niej swoje akta, w których odnotowano wszystkie brudy, jakie na jego temat udało się zebrać. Powoli Sholto rozbudował tę kartotekę, aż stała się tak groźna, że nikt w całym Waszyngtonie nie śmie go tknąć. Ale jaki sens ma samo trzymanie ludzi w strachu? Wpadł więc na pomysł stworzenia Syndykatu. Skontaktował się z Wiktorem Raszkinem, którego pewnie poznał już wcześniej gdzieś na Dalekim Wschodzie.

Urwał na widok powracającego Beauraina. Po zmęczeniu Belga nie zostało ani śladu; podchodząc do ławki spojrzął na zegarek.

— Wydostaniemy się stąd w ciągu pięciu minut, może nawet szybciej — powiedział.

— Ciekawe jak? — spytał sceptycznie Cottel.

— Dzięki uprzejmości nadinspektora Markera z departamentu rozpoznania duńskiej policji. W tej chwili kilkanaście radiowozów z uzbrojonymi po zęby ludźmi pędzi już na lotnisko. Powiedziałem mu, gdzie Sholto rozlokował swoich ludzi — bo to Sholto, prawda, Ed? Tak myślałem. Ci dwaj, co naprawiają tamtą latarnię, przeżyją prawdziwy szok.

— Będzie strzelanina? — spytał Cottel.

— Według mnie nie padnie nawet jeden strzał. Wiktor Raszkin ma przylecieć Danaiem z Ronne, więc nie będą chyba chcieli, żeby roiło się tu od policji. Zdaje się, że słyszę już syreny.

— Nie wolno ci tknąć Raszkina — ostrzegł go Cottel. — Skurwysyn może się zawsze powołać na immunitet dyplomatyczny.

— Toteż odczekamy kilka godzin i coś mi się zdaje, że sam Raszkin rozwiąże nam ten problem. Tak, słysząc już syreny. Powiem wam na ucho — musi ich być cała chmara.

Strzelaniny nie było. Bodel Marker wysłał na lotnisko siły mocno przewyższające liczebnością tych, którzy zasadzili się tu na Beauraina, i żaden z nich nie stawiał oporu. Fakt, że wszyscy byli uzbrojeni, w zupełności wystarczył, by wsadzić ich za kratki. Następnie Beaurain przedstawił Markerowi, jednemu z głównych organizatorów obławy, która unicestwiła system łączności Syndykatu, szczegóły finałowego posunięcia. Uzyskał od Duńczyka pełną aprobatę dla swego planu, którego nie wszystkie elementy pozostawały w idealnej zgodzie z prawem. I właśnie Marker dostarczył środków transportu w postaci nie oznakowanych wozów policyjnych, które przewiozły Beauraina i towarzyszące mu osoby do miasta.

— O co w tym wszystkim chodziło? — spytała Luiza, kiedy odjeżdżali sprzed lotniska.

Marker zaopatrzył ich w trzy samochody. Pierwszym, Citroënem, pojechał Beaurain z Luizą, zabierając Palmego i Andersena, małomównego pilota helikoptera. Do dwóch pozostałych, obu marki Audi, wsiadł Max Kellerman i pięciu szturmowców Hendersona. Henderson prowadził trzeci samochód, osłaniając tyły.

— Poprowadzę was do składu broni — oświadczył Palme.

— Tu, w Kopenhadze? — zdziwiła się Luiza.

— Tym mostem na drugą stronę, a potem w prawo — powiedział spokojnie Palme. — W Prinsesse Gade. — Wszystkie trzy samochody wjechały w obskurny zaułek i stanęły przy krawężniku. Kilka minut później Palme wrócił z jakąś walizką i ruszyli dalej, kierując się z powrotem do głównej szosy.

— I dokąd teraz, kiedy Stig nas... oprzyrządował, jak by to on powiedział?
— spytała Luiza.

— Do domu w Nyhavn, gdzie cały ten koszmarny ciąg wydarzeń dobiegnie końca, chyba że pomyliłem się w swych rachubach.

— Nie miałbyś ochoty rozwinąć tej myśli? — Wjechali przez Knippels Bro do centrum Kopenhagi.

— Amerykańskim łącznikiem jest Harvey Sholto. Ed opowiedział ci o kartotece Edgara Hoovera. Za pomocą tej kartoteki i swoich kontaktów na najwyższych szczeblach Sholto zorganizował amerykański sektor Syndykatu. Kontaktuje się z Raszkinem, który organizuje sektor europejski. Podejrzewam, że Raszkin dyrygował jednoosobową orkiestrą.

— Przy pomocy trzyosobowego dyrektoriatu?

— Zobaczymy, co się wydarzy w domu w Nyhavn — odparł Beaurain.

* * *

Ed Cotel pozostał na lotnisku i obserwował właśnie przez silną lornetkę przylot odrzutowca DC-9 Danairu, lot SK 262 z Ronne. W miarę, jak pasażerowie wysypywali się z samolotu, Cotel zaczął się niepokoić. Żaden z nich nie przypominał Wiktora Raszkina. Nagle doznał olśnienia. Pobiegnął do głównego wyjścia, gdzie na pasażerów czekał rząd taksówek.

Jego przebłysk inteligencji został nagrodzony — a przynajmniej tak mu się wydawało — kiedy zobaczył parkującego przy krawężniku Mercedesa na numerach rejestracyjnych radzieckiej ambasady. Podeszedł do niego szczupły mężczyzna z torbą Danairu, szofer otworzył tylne drzwiczki, zamknął je i limuzyna natychmiast odjechała. Cotel dał znak jednemu z „cywilnych” wozów Markera, by ruszył za nią. Spocony z podniecenia, odczekał jeszcze chwilę, obserwując uważnie opuszczających lotnisko pasażerów, po czym przeszedł szybko wzdłuż hali przylotów do samochodu, który stanowił przenośny punkt dyspozycyjny operacji i miał radiostację. Wśliznął się na fotel obok kierowcy.

— Chciałbym się połączyć z Julesem Beaurainem.

— Proszę bardzo — odparł Duńczyk, wręczając mu mikrofon. — Jeśli uda się panu połączyć, to będzie istny cud. W taki bezchmurny dzień zakłócenia są po prostu koszarne. Wszystko przez ten obszar wysokiego ciśnienia nad Skandy-nawią.

— Coś jakby i mnie się ono dawało we znaki. — Cotel otarł mokre od potu czoło i wywołał Beauraina. Belg zgłosił się natychmiast. Słyszalność była znakomita.

— Na pana R. — zaczął Cotel mając na myśli Wiktora Raszkina — czekał Mercedes na numerach dyplomatycznych. Nasi przyjaciele pojechali jego śladem. Zabawne, że kiedy patrzyłem przez lornetkę, nie widziałem go między wysiadającymi pasażerami.

Była to jedna z tych uwag, które rzuca się mimochodem, zwłaszcza w ogromnym napięciu, po wielu nie przespanych nocach, kiedy człowiek już myślał, że spartaczył robotę, ale w końcu okazało się, że jednak nie. Belg zareagował gwałtownie, niemal wybuchnął.

— Posłuchaj mnie, podaję rysopis, Ed. Siwy mężczyzna, średniej budowy ciała. Pewnie modnie ubrany, może nawet w aksamitną marynarkę ze złotymi guzikami. Okulary bez oprawek. Na głowie może mieć jarmużkę, taką jakie noszą ortodoksyjni Żydzi.

Cotel popatrzył na mikrofon z otwartymi ustami i dopiero po chwili wziął się w garść. — Dokładnie taki facet wsiadł do rozklekotanego Volkswagena już po odjeździe tamtej limuzyny. Nie zwróciłem na niego większej uwagi, nie miał torby Danairu.

— Bo i wołał jej nie mieć — odparł Beaurain. — Oczywiście nie mogłeś go rozpoznać, bo nie wiesz, jak wygląda, ale do Kopenhagi przybył właśnie doktor Benny Horn. Czekasz teraz na samolot ze Sztokholmu z Sonią Karnell? To dobrze. Sądzę, że wszyscy spotkamy się w domu w Nyhavn. I uważaj na siebie — do tej pory nikt nie zlokalizował Harveya Sholto.

— Myślisz, że on także tu jest? — spytał ponuro Cotel.

— Bez wątpienia.

* * *

Kiedy zbliżali się do Nyhavn, po raz pierwszy od tygodni pogoda uległa zmianie. Niebo się zachmurzyło, znad morza nadciągnęła delikatna mgiełka i w chwili, gdy dotarli do znajomego basenu — z portowymi barami po lewej i sklepami pamiętkarskimi po prawej — zaczęło mżyć. Drobniutkie kropelki wilgoci spadły na płataninę masztów w basenie, na ulice i chodniki. Kolumna trzech pojazdów minęła koniec basenu i zaparkowała kawałek dalej, w miejscu niewidocznym z Nyhavn.

— Dom Horna może być pod obstawą — ostrzegł Beaurain — więc naszym pierwszym zadaniem będzie zlokalizowanie i zlikwidowanie ochrony.

— Może? — zdziwiła się Luiza. — Syndykat zawsze i wszędzie ma obstawę.

— Tak było do dzisiejszego ranka.

— Ale na Kastrupie nadal aż się od nich roiło — nie dawała za wygraną. —

Żeby ich usunąć, musiałeś dzwonić do Markera po całą armię.

— To dlatego, że przyjeżdżał sam Raszkin. Na pewno zadzwonił z Bornholmu do Kopenhagi i po tym, co się stało z „Kometą”, kazał sobie dać ochronę, bardzo silną ochronę. Ale Syndykat w Europie goni resztkami sił, jego potęgą została złamana, jego przywódcy poszli na dno razem z wodolotem.

— Więc kogo właściwie spodziewamy się zastać w domu w Nyhavn?

— Hugona.

Palme znowu otworzył walizkę za składu broni przy Princesse Gade i rozdzielił pozostałą broń i zapas amunicji. Wszystkie rewolwery zaopatrzone były w tłumiki. Naradził się krótko z Maxem Kellermanem.

— Jeden jest tam, w domu prawie naprzeciwko. Ja się nim zajmę. Drugi na pokładzie tej łodzi rybackiej, na wprost domu Horna. Ten, co tak pedantycznie układa zwoje liny. Jest twój.

Siąpiący deszcz wytłumił wszystkie odgłosy miasta. Palme i Kellerman ruszyli każdy swoją stroną basenu, naśladowując do złudzenia chód marynarzy i mieszając się z bywalcami tutejszych barów, którzy jeszcze teraz wyłaniali się chwiejnym krokiem po schodkach z knajp w suterrenach budynków. Palme wszedł do domu, w którym wypatrzył „swojego” obserwatora, i wbiegł cicho na pierwsze piętro. Jednym kopniakiem otworzył odrapane drzwi i przeleciał rozpędem przez skąpo umeblowany pokój. Mężczyzna, który chwilę wcześniej wyglądał przez okno, leżał rozwalony na wersalce. Zaskoczony próbował chwycić leżący obok automat. Palme strzelił dwa razy i wyjrzał przez okno.

Rybak, cackający się ze zwojami liny, zniknął z pokładu kutra. Na jego miejscu przykucnięty Max Kellerman oddawał się dokładnie temu samemu zajęciu. W ten sposób zajmował pozycję idealnie na wprost drzwi wejściowych domu doktora Benny’ego Horna.

Kilka minut później dał znak Beaurainowi i Luizie, którzy oglądali wystawę jakiegoś antykwariatu. Teren był czysty. Palme, stojący na ostatnim schodku przed drzwiami domu Horna, trafił na właściwy wytrych do skomplikowanego zamka. Z Lugerem w ręce wszedł do środka tuż przed Beaurainem i Luizą, obrzucił szybkim spojrzeniem wąskie schody i wąski przedpokój, nastawiając wyczulone ucho na najdrobniejszy szmer. Dom pachniał mu pustką; nie tak dawno jeszcze ktoś tu mieszkał, ale teraz nie było żywego ducha.

Gładką powierzchnię wody w basenie zmaciły niezliczone cętki drobniutkich kropelek deszczu. Max Kellerman pracowicie rozwijał i zwijał liny na pokładzie kutra. Luiza przestąpiła próg domu doktora Benny’ego Horna, a Beaurain zamknął drzwi.

— Dom jest czysty.

W niewiarygodnie krótkim czasie Palme sprawdził parter, wbiegł po schodach na górę, sprawdził pierwsze piętro, wrócił do holu, zniknął na schodach za drzwiami do piwnicy i pojawił się ponownie, by obwieścić rezultat przeszukania. Taki

wielki chłop, pomyślała Luiza, a potrafi się poruszać z szybkością i wdziękiem gazeli.

— Od frontu jest coś w rodzaju biblioteki — wyjaśnił Palme, wskazując na odpowiednie drzwi. — Półki od podłogi do sufitu, gęste koronkowe firanki w oknach. . . Kuchnia i jadalnia po drugiej stronie, a na pierwszym piętrze drzwi wychodzące na schody przeciwpożarowe. Schody prowadzą na małe podwórko, z którego jest wyjście na boczną uliczkę. Jeden z chłopaków już je odkrył i zajął tam pozycję. Nikt nie może dostać się do środka, żebyśmy o tym nie wiedzieli.

— To może zaczekamy na naszych gości w bibliotece? — zaproponował Beaurain.

Na dworze deszcz nie przestawał siąpić, Max Kellerman z chwili na chwilę coraz bardziej ociekał wodą, ale nie zwracał na to uwagi.

* * *

Pierwsza w Nyhavn zjawiała się Sonia Karnell. Przyjechała taksówką z lotniska Kastrup, zapłaciła za kurs i wbiegła po schodkach. Kruczoczarne włosy pokryła jej pajęczyna kropelek wilgoci. W lewej ręce trzymała już klucz, a w prawej — walizkę. Przez ramię przewieszoną miała torebkę na długim pasku.

To właśnie tej torebki nie spuszczała z oczu Luiza Hamilton, obserwująca Sonię Karnell z głębi biblioteki przez zasłonięte gęstymi firankami okno. Beaurain przywarł płasko do ściany tuż obok zamkniętych drzwi, po stronie klamki.

— Zaczęła coś podejrzewać — syknęła Luiza.

Szwedka obejrzała się przez ramię na zacumowany na wprost domu kuter. Zobaczyła, że linę zwija jakiś obcy człowiek. Zobaczyła Maxa Kellermana!

Kellerman zareagował zupełnie instynktownie. Spod sieci rybackiej wysunął lufę pistoletu maszynowego, dostarczonego przez Palmego ze składu przy Princesse Gade. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Ale Sonia Karnell zobaczyła zupełnie wyraźnie. Przekręciła klucz, wpadła do środka, zatrzaśnęła drzwi za sobą i w odruchu ulgi oparła się na chwilę o ścianę. Z biblioteki wyszła Luiza.

— Dzień dobry, Soniu. Zrobiłaś kawał drogi z Radmansgatan. Luiza trzymała w ręku pistolet. Z tej odległości nie mogła chybić, ale Szwedka albo miała skłonności samobójcze, albo zakładała, że ci ludzie woleliby uniknąć hałasu strzelaniny. Wypuściła walizkę i rzuciła się na Angielkę niczym tygrysyca, z palcami rozczapierzonymi jak szpony drapieżnego ptaka. Mierzyła w oczy. Luiza uderzyła ją lufą rewolweru w skroń. Sonia złapała się za twarz i zobaczyła między palcami krew. Jej lakier do paznokci był dokładnie tego samego koloru.

— Połóż torebkę na podłodze — rozkazała Luiza. — Powoli, powoli... Spróbuj tylko złapać za broń, a wsadzę ci kulkę w brzusek.

Obserwowała uważnie, jak torebka opada na podłogę obok walizki. Były w holu same; Beaurain pozostał niewidoczny w bibliotece, a Palme nie zdradził swej obecności u szczytu wąskich schodów. Łatwiej było napędzić Karnell strachu, utrzymując ją w przekonaniu, że jest sam na sam z Luizą. I nagle Luiza doznała olśnienia. Oczywiście! Sygnał, że droga wolna, że Horn, kiedy już się zjawi, może bezpiecznie wejść do domu. Przecież to jasne!

— Sygnał — rzuciła przez zęby, podchodząc coraz bliżej, tak że Karnell oparła się plecami o ścianę.

— Jaki sygnał?

— Ty głupia dziwko! — Luiza zamachnęła się rewolwerem. — A miałaś taką ładną buźkę! Ta lufa tak ci poprzestawia kostki w twarzy, że już żaden facet na ciebie nie spojrzy, nie mówiąc już o...

Luiza rozchyliła wargi, zza których błysnęły zaciśnięte zęby; jej ręka z rewolwerem zaczęła zataczać łuk, który miał sprowadzić lufę na nasadę nosa Soni. Szwedka nie wytrzymała.

— Pokój od frontu! — krzyknęła przeraźliwie. — Kartka w oknie! To znak, że wszystko w porządku. Że można wchodzić.

— Jaka kartka?

— Z szuflady... — W panice przepchnęła się obok Luizy, wbiegła do biblioteki i otworzyła szufladę. Luiza nie odstępowała jej na krok, ale jedyną rzeczą, jaką tamta wyjęła z szuflady, była pocztówka z widokiem starej Kopenhagi. Podbiegła do okna, podniosła firankę, zatknęła kartkę za szybę i opuściła firankę. Dopiero wtedy zobaczyła Beauraina.

— Pan wie... prawda? — powiedziała.

— Wiem — potwierdził Beaurain. — Więc teraz po prostu czekamy.

Luiza zrewidowała Szwedkę, ale jedyną bronią, jaką przy niej znalazła, była para nożyczek do obcinania paznokci. Gdyby Sonia Karnell miała czas, gdzieś w domu znalazłaby pewnie coś groźniejszego.

* * *

Harvey Sholto przyjechał do Nyhavn nie zauważony i niezauważenie zajął swoją pozycję. Przyleciał do Kopenhagi tym samym samolotem co Sonia, na lotnisku Kastrup wmieszał się w tłum podróżnych, wziął taksówkę, podał kierowcy szczegółowe instrukcje, obiecał mu hojny napiwek, po czym opadł na tylne siedzenie przyciskając torbę tenisową, którą wyjął ze schowka na lotnisku.

Wielką łysą głowę ukrył pod czarnym beretem i miał na sobie znoszony płaszcz przeciwdeszczowy z walizki, którą zostawił w schowku. Gdyby zapytać o jego narodowość, większość ludzi wzięłaby go za Duńczyka lub Francuza.

— Tu pan wysiada? — upewnił się taksówkarz.

— Tak. I proszę nie zapomnieć, gdzie ma pan za chwilę podjechać. Jak mówiłem, chciałbym sprawić niespodziankę narzeczonej.

— Jasne.

Taksówka zatrzymała się przed rogiem, za którym otwierał się widok na Nyhavn, kierowca zgasił silnik i Harvey Sholto wysiadł.

Siąpiący deszcz był mu bardzo na rękę — znakomicie uzasadniał jego płaszcz przeciwdeszczowy. Minął basen i skręcił w ulicę po lewej, a nie prawej stronie basenu, tę z licznymi knajpami dla marynarzy. Przygarbił się mocno, przez co wydawał się znacznie niższy, niż był naprawdę.

Szedł z opuszczoną głową, jak ktoś zatopiony w rozmyślaniach, ale oczy biegały mu na wszystkie strony. W całej okolicy musiało się roić od ludzi tego drania Beauraina. No tak, jeden siedzi na tej łodzi przycumowanej na wprost domu Horna. Taksówka zjawiła się w samą porę; jakby niepewna, gdzie ma się zatrzymać, przetoczyła się powoli obok Sholto, nim facet zdążył podnieść wzrok i zobaczyć go.

Na pokładzie kutra Max Kellerman wsunął rękę pod sieć, maskującą pistolet maszynowy. Nie podobała mu się ta taksówka. Obserwował bacznie, jak przejeżdża powoli obok niego, dociera do końca basenu i staje. Nikt nie wysiadł. Po prostu zatrzymała się, a kierowca obrzucił wzrokiem basen. Kierowca!

Kellerman kątem oka śledził każdy ruch kierowcy, który nie śpiesząc się zapalił papierosa i pstryknął zapalniczkę do wody. Po chwili zrewidował swoją ocenę. Facet był zamówiony, przyjechał za wcześnie i postanowił odpocząć kilka minut i wypalić w spokoju papierosa. Taksówka odjechała i zniknęła Maxowi z oczu.

Właśnie w trakcie tej dywersji Harvey Sholto przemknął się do bramy domu, w którym Palme zabił jednego z ochroniarzy Syndykatu. Wbiegł na pierwsze piętro i wszedł przez wyłamane drzwi. Widok trupa przyprawił go o wstrząs, ale tylko chwilowy.

Podciągnął do okna wersalkę, żeby mieć oparcie dla pleców, z torby na rakiety tenisowe wyjął wszystkie części karabinu i uważnie go złożył. Z tej odległości luneta, którą przymocował, była właściwie zbyt precyzyjna, ale Harvey Sholto lubił chuchać na zimne.

Wszystko jeszcze raz sprawdził i zadowolony z wyniku usadowił się wygodnie. Czekał. Wszyscy zjeżdżali się do tego domu w Nyhavn. Kiedy Ed Cotel stanie na schodach, załatwi go jednym strzałem. Potem wystarczy obniżyć kąt strzału o kilka stopni i, nim facet na łodzi otrząśnie się z szoku, będzie po nim. Zapalił cygaro i nakazał sobie spokój.

* * *

Volkswagen także przetoczył się powoli wzdłuż basenu Nyhavn, ale po stronie z pamiątkami dla turystów. Na jego widok Kellerman jednym nurem schował się za burtą. Doktor Benny Horn minął schodki prowadzące do swego domu i zaparkował przy chodniku kawałek dalej. Wygramolił się z rozklekotanego pojazdu, poprawił na głowie jarmułkę, skrzywił się na mżawkę i cofnął się kilka kroków do domu z tabliczką ze swym nazwiskiem. Tak jak Sonia Karnell, kiedy wszedł na najwyższy schodek, trzymał już klucz w ręku. Otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął je za sobą. W przejściu do biblioteki stanął Beaurain z Lugerem wycelowanym prosto w nowego przybysza.

— No, wreszcie! Witamy, panie Wiktorze Raszkin.

* * *

Ed Cattel bardzo się spóźniał. Śledził Sonię Karnell od lotniska, ale wpadł w uliczny korek, w którym ją zgubił, na dokładkę złapał gumę w jednym z najruchliwszych punktów miasta. Następne kilka minut stracił na rozmowy z drogówką, nim zdołał ich przekonać, żeby skorzystali z radiostacji w jego wozie i połączyli się z komendą. W końcu udało mu się złapać taksówkę.

W mieszkaniu na pierwszym piętrze domu w Nyhavn Harvey Sholto był przekonany, że uda mu się wykonać robotę. Uznał, że będzie to łatwiejsze niż odebranie dziecku cukierka. Cały czas trzymał się w głębi pokoju. Zogniskował lunetę karabinu na drzwiach wejściowych do domu Horna i zobaczył taksówkę jadącą przeciwną stroną basenu. Przycisnął mocniej kolbę.

Kiedy Cattel płacił za kurs, taksówka przesłoniła widoczność, więc Sholto zaciągnął się jeszcze raz dymem z cygara i rozgniół je wielką stopą. Taksówka odjechała, Cattel rozejrzał się i zaczął wchodzić po schodkach. Sholto wyostrzył celownik na środek jego pleców, teraz punkt między łopatkami, odrobinę w lewo... Przyłożył palec do spustu.

— Trwało to kupę czasu, bydlaku — mruknął pod nosem, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy — ale w końcu dostaniesz.

Harvey Sholto dostał w sam środek piersi. Poderwany z podłogi i wyrzucony pod sufit, zamachał rękami i nogami jak pajac na sznurku, zawisł na chwilę w powietrzu i złożył się wpół. Siła przyciągania ściągnęła go z powrotem na podłogę; jego potężne ciało rąbnęło o nią z głośnym łoskotem i znieruchomiło z rozrzuconymi rękami i nogami jak jeden z tych kredowych policyjnych obrysów

wskazujących, w jakiej pozie znaleziono zwłoki.

To dym z cygara przyciągnął uwagę Maxa Kellermana do otwartego okna. Niewiele więcej niż para oddechu splukiwana przez mżawkę, gdy tylko wydostała się na otwarte powietrze. Ta mgiełka dymu w zupełności mu wystarczyła. Ktoś czekał w pokoju, w którym powinien się znajdować tylko martwy ochroniarz Syndykatu. Na widok karabinu wycelowanego w Eda Cottela plunął w otwarte okno krótką serią ze swego pistoletu maszynowego.

Beurain pchnął mężczyznę w jarmułce pod ścianę holu i przytknął mu do gardła Luger. Do domu wśliznął się Cottel, a u szczytu schodów pokazał się Stig Palme. Luiza zamknęła drzwi na zasuwę, a Beurain, z Edem Cottelem tuż za plecami, wprowadził Horna do jego własnej biblioteki.

— Snajper w domu naprzeciwko — wyjaśnił Palme zszedłszy ze schodów. — Jego celem był pan Cottel. Max go zlikwidował.

— Wiktor Raszkin?!

Kiedy wszyscy znaleźli się w bibliotece, Luiza z niedowierzaniem w głosie powtórzyła nazwisko, którego użył Beurain. Beurain lewą ręką zdjął z głowy swego więźnia jarmułkę i siwą perukę, ściągnął mu z nosa okulary bez opravek i rzucił je na podłogę.

— Wcale nie są mu potrzebne. Pozwólcie, że wam przedstawię doktora Benny'ego Horna, znanego lepiej jako Wiktor Raszkin, pierwszy sekretarz ambasady radzieckiej w Sztokholmie. Nie wolno nam także zapomnieć, że inni znają go jako doktora Ottona Berlina z Brugii, jeszcze inni jako doktora Theodora Norlinga ze Sztokholmu. Trzech wybitnych handlarzy białymi krukami i morder.

W bibliotece panował półmrok. Z powodu gęstych koronkowych firanek zawsze musiało tu być ciemnowo, ale tego pochmurnego ranka, z mgłą mżawki za oknami, było tu tak ciemno, że Luiza nie wiedziała, czy ma wierzyć własnym oczom. Mężczyzna, na którego patrzyła szeroko otwartymi oczami, pozbawiony charakterystyki Benny'ego Horna, wyglądał na czterdzieści kilka lat, miał oczy o bystrym spojrzeniu, wydatne słowiańskie kości policzkowe i nawet z pistoletem Beuraina przytkniętym do gardła emanował władzą i pewnością siebie. Bez drgnienia powieki wytrzymał jej spojrzenie. Wtedy Beurain dodał coś jeszcze i Luizie wydało się, że w oczach Raszkina po raz pierwszy błysnęła iskierka strachu.

— Jest to także Hugo, człowiek, który rządził Sztokholmskim Syndykatem i zabawiał się obmyślaniami krwawych jatek, takich jak na przykład masakra w Helsingorze.

— Jesteś tego pewien? — spytała Luiza. — Po co ta potrójna czy poczwórna maskarada?

— Dawła mu trzy różne szyldy do kontaktów z rekrutowanymi członkami Syndykatu. W pierwszym odruchu mało kto chciałby dobijać targu z rosyjskim komunistą. Ale przede wszystkim pozwalała mu wystawiać do wiatru Kreml,

a zwłaszcza towarzysza Leonida Breżniewa, jego patrona.

Luiza, która nie spuszczała wzroku z twarzy Raszkina, ujrzała, że tym razem zaszła w niej zaskakująca zmiana, zupełnie jakby ktoś pozbawił ją całej mimiki — przestała w ogóle cokolwiek wyrażać. Beaurain trafił blisko dziesiątki.

— A po co miałby to robić? — spytała Luiza.

— Bo po założeniu Syndykatu miał zamiar prysnąć z Rosji! — rzuciła zjadliwym tonem Sonia Karnell, która aż do tej pory zachowywała milczenie. — Obiecywałeś nam miliardy dolarów, a teraz patrz, dokąd nas to zaprowadziło!

— Zamknij się — powiedział Raszkin. Spokojny, beznamiętny ton, jakim wymówił te słowa, sprawił, że Luizie przeszły po plecach ciarki strachu. A Raszkin nie wydawał się przestraszony. Beaurain szepnął coś na ucho Stigowi Palmemu, który szybko wyszedł z pokoju, zabierając Eda Cottela. Zostali sami z Raszkinem i jego szwedzką kochanką, Sonią Karnell. Skąd u Rosjanina ta pewność siebie?

— Miał zamiar prysnąć — powtórzyła Sonia Karnell. — Wiedział, że nigdy nie uda mu się dostać do Biura Politycznego. Za dużo konkurentów musiałby przeskoczyć po drodze. Wmówił członkom Biura, a przede wszystkim samemu Breżniewowi, że utworzył trzyosobowy dyrektoriat, a sam rządzi nim na odległość jako Hugo. Po zorganizowaniu Syndykatu mieliśmy wyjechać do Ameryki i stamtąd nim kierować. Tak — Hugo to on. I zgadza się, współpracował po kryjomu z Harveyem Sholto, który za pomocą kartoteki Hoovera, systematycznie aktualizowanej, nakłonił czołowe postaci amerykańskiego życia gospodarczego do przyłączenia się do Syndykatu. Choć kiedy dotarło do nich, jakie to przyniesie zyski, zyski wolne od podatku, nikt z nich aż tak bardzo się nie opierał.

— Ale on nie wymyślił Berlina, Horna i Norlinga, prawda? — spytał cicho Beaurain. — Ci ludzie istnieli i zostali zamordowani, zgadza się?

— Ja nie miałam z tym nic wspólnego! — wybuchnęła Sonia Karnell. — Chodziło mu o samotników, ludzi, których nikt by nie szukał po nagłej „przeprowadzce”, ludzi, do których mógł się w miarę wiernie upodobnić.

— Jak do tego doszedłeś, Beaurain? — spytał Raszkin nadal tym samym spokojnym tonem.

— Życiorysy tych ludzi były bardzo podobne, zbyt podobne. Kiedy zniknąłeś bez śladu w ekspresie z Brugii do Brukseli, dotarło do mnie, że musiałeś zmienić przebranie. Ostatnie słowa Litowa na dworcu w Sztokholmie: heroina... Norling... zdrajca... wskazywały na jakiegoś Rosjanina. Bo inaczej, dlaczego Rosjanin miałby użyć słowa „zdrajca”? W przebraniu Norlinga wysadziłeś w powietrze dom pod Sztokholmem, ale zgubiłeś przy tym obcas od buta na koturnie.

Używałeś takich butów, żeby jako Norling różnić się wzrostem od swoich pozostałych dwóch wcieleń. Także wszystkie twoje podróże jako Raszkina zawsze zbiegały się w miejscu i czasie z pojawieniem się któregoś z tamtych trzech. — Lekkim ruchem ręki uniemożliwił Raszkinowi zadanie ciosu, jaki Rosjanin chciał wymierzyć Soni Karnell. Szturchnął go Lugerem w grdykę.

Raszkin zachłysnął się i skrzywił z bólu. A potem na jego ustach pojawił się uśmiech, dość groteskowy, bo grymas bólu nie zniknął jeszcze z jego twarzy, ale zdradzający ogromną siłę woli, tę siłę woli, dzięki której zaszedł tak daleko.

— Nie możecie mi nic zrobić — powiedział, z największym trudem wymawiając słowa. — Nazywam się Wiktor Raszkin, jestem pierwszym sekretarzem ambasady Związku Radzieckiego w Sztokholmie. Chroni mnie immunitet dyplomatyczny.

— Ma francuski paszport na nazwisko Louisa Carneta! — krzyknęła Sonia Karnell. — Mogę zeznawać przeciwko niemu. To morderca!

— Och, po wielokroć — zgodził się Beaurain. Zrewidował dokładnie Raszkiną, żeby sprawdzić, czy nie ma przy sobie broni, i wyjął mu z wewnętrznej kieszeni francuski paszport. Karnell mówiła prawdę. Wystawiono go na nazwisko Louisa Carneta. Włożył go Rosjaninowi z powrotem do kieszeni.

— Ale zgadzam się — dodał — że Wiktor Raszkin ma immunitet dyplomatyczny i w związku z tym jest nietykalny. — Nie spuszczać Raszkiną z muszki Lugera wyjrzał przez okno. Patrzył na drugą stronę basenu, gdzie Ed Cotel stał pod domem, w którym urządził sobie stanowisko strzeleckie Harvey Sholto. Beaurain odciągnął firankę i pokazał się w oknie. Cotel podniósł kciuk gestem mówiącym zarówno, że wszystko w porządku, jak i wskazującym na okno pokoju, w którym leżały zwłoki Sholto. Raszkin śledził czujnie jak kot każdy ruch Beauraina, ale nie mógł widzieć ani Amerykanina, ani jego gestu.

— Wiesz, jak stąd wyjść — powiedział Beaurain.

Raszkin nie wahał się ani chwili. Rzucił Soni Karnell spojrzenie, od którego aż ścierpła ze strachu, i opuścił bibliotekę. Usłyszeli otwieranie frontowych drzwi, zamykanie i bieg po schodkach. Beaurain gestem przywołał Luizę do okna. Karnell skorzystała z okazji, wymknęła się do holu i wbiegła na piętro. Dom miał tylne wyjście i metalową drabinę przeciwpożarową, którą można było się wydostać na brukowane podwórko. Beaurain przytrzymał Luizę za ramię.

— Niech sobie idzie.

— Ale ona ucieknie. To babsko próbowało mnie zabić.

— Nikt stąd nie ucieknie. Całe Nyhavn jest szczelnie otoczone. A z okna pokoju nad nami Stig doskonale widzi przez lornetkę, co się dzieje w pokoju po przeciwnej stronie basenu.

Wiktor Raszkin zbiegł po schodkach i ruszył szybkim krokiem do zaparkowanego Volkswagena. Był zupełnie pewien, że powołanie się na immunitet dyplomatyczny związało Belgowi ręce. Wskoczył za kierownicę, zapalił silnik, włączył wycieraczki, żeby przetrzeć z deszczu przednią szybę, i cofnął wóz do pierwszego mostka nad basenem.

Cofnął, bo przy końcu Nyhavn, gdzie miał zamiar skrócić w prawo, do centrum miasta, zobaczył kordon samochodów blokujących mu drogę. Przejechał zatem przez mostek i popędził drugą stroną basenu. Zatrzymał się przy domu, gdzie

Harvey Sholto zasadził się na Eda Cottela. Kiedy wysiadł z samochodu, znowu zobaczył wcześniej dostrzeżony we wstecznym lusterku drugi kordon, zamykający przeciwległy kraniec Nyhavn. Nie dostrzegł natomiast Eda Cottela, ukrytego w suterenie sąsiedniego domu. Cottel stanowił zabezpieczenie na wypadek, gdyby pierwotny plan Belga się nie powiódł.

Beurain i Luiza obserwowali to wszystko z okna biblioteki.

— Raszkin zobaczył, że oba wyloty ulic są zablokowane, więc, żeby zastanowić się, co dalej, schował się w mieszkaniu, które wynajmował dla swojej obstawy — wyjaśnił Beurain. Odwrócił się słysząc, że do pokoju wszedł Palme.

— Mielśmy wypadek — powiedział Szwed z kamienną twarzą. — Ta Karnell próbowała uciec schodami przeciwpożarowymi. Śpieszyła się bardzo i musiała się chyba pośliznąć, bo na pierwszym stopniu straciła równowagę i spadła na dół. Niestety, nie żyje. Skręciła kark. Co z Bennym Hornem?

— Nie wiem. — Nim Beurain wypowiedział te słowa, odwrócił już głowę do okna, żeby spojrzeć na dom naprzeciwko.

Wiktor Raszkin, który wszystko, co osiągnął w życiu, zawdzięczał niewzruszonej wierze we własne siły, głębokiemu przekonaniu, że jest w stanie przechrzyć każdego przeciwnika na świecie, wbiegł sprężystym krokiem po schodach domu naprzeciwko. Dopadł drzwi do pokoju, otworzył je jednym pchnięciem i zatrzymał się w progu.

Harvey Sholto żył jeszcze, mimo straszliwych spustoszeń, jakie poczyniła w jego ciele seria kul z pistoletu maszynowego Maxa Kellermana. Podczołgał się do wersalki, zdołał się na nią wciągnąć i, z chwili na chwilę tracąc coraz więcej krwi, czekał z karabinem wycelowanym w drzwi i palcem na spuście.

Kiedy drzwi odskoczyły na bok, ujrzał w nich sylwetkę mężczyzny, rozmazaną sylwetkę człowieka z kutra w basenie, człowieka, który opróżnił w niego pół magazynku. Nacisnął spust. Kula trafiła Wiktora Raszkina w pierś. Zatoczył się do tyłu, wyłamał rozchybotaną poręcz schodów i runął z piętra w dół. Nim roztrzaskał się o posadzkę w holu na parterze, był już martwy.

Później

Baron de Graer, prezes Banque du Nord, przyleciał do Kopenhagi po południu tego samego dnia, kiedy miały miejsce opisywane wydarzenia. Spotkał się z Julesem Beaurainem, Luizą Hamilton i Edem Cottelem w apartamencie w Hotel Royal. Na prośbę Beauraina wręczył Cotelowi fotokopie całej serii oświadczeń bankowych, wiele z nich dotyczyło bardzo poważnych firm z Bahamów, Brukseli i Luksemburga. Ujawniały one wszystkie szczegóły przerzutów, często bardzo skomplikowanymi i krętymi drogami, milionów dolarów przekazanych przez pewne amerykańskie korporacje Sztokholmskiemu Syndykatomu.

— Jeśli wolno, natychmiast to zabiorę — powiedział Cotel i wyszedł do innej części hotelu. Dziennikarz z „Washington Post”, z którym się wcześniej umówił, stawiał się już na spotkanie i chciał jeszcze tego samego wieczoru wrócić z fotokopiami za Atlantyk.

— Dokumenty robią na ludziach ogromne wrażenie, Julesie — powiedział baron, popijając kawę, którą podała Luiza. — Można je tak spreparować, żeby wynikało z nich dokładnie to, czego sobie życzysz, ale tylko je opublikuj w gazecie, a wszyscy uwierzą w nie jak w Pismo Święte.

— Liczy się końcowy rezultat — zgodził się Beaurain.

Ed Cotel także wrócił do Waszyngtonu tego samego wieczoru. Prócz obciążających oświadczeń bankowych wręczył dziennikarzowi fotokopie dokumentów z teczki, którą Wiktor Raszkin, występujący wówczas w przebraniu Norlinga, zgubił uciekając z domu pod Sztokholmem do hydroplanu. Dokumenty te zawierały nazwiska — nazwiska szefów koncernów, którzy aprobowali wypłaty na rzecz Syndykatu. Fatalnym zbiegiem okoliczności wielu z nich należało do grona sponsorów kampanii wyborczej aktualnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W Kopenhadze nadinspektor Bodel Marker uniknął skandalu na międzynarodową skalę, ponieważ Wiktora Raszkina pochowano w odpowiednim czasie jako nikomu nie znanego Francuza, Louisa Carneta, zgodnie ze znalezionym przy nim paszportem. Takie samo zgrabne rozwiązanie zastosowano w przypadku martwego snajpera. Nieco później Marker wyjawiał pewnemu niezwykle dociekliwemu reporterowi, że na podstawie informacji, otrzymanych z Paryża, skłonny jest uznać śmierć tych dwóch Francuzów za wynik porachunków między gangami

powiązanymi z korsykańską camorą. Reporter zrobił z tego krótką notatkę, która jednak nigdy nie ujrzała światła dziennego. Jej miejsce zajęło doniesienie o wielkiej katastrofie lotniczej, w której zginęli wszyscy pasażerowie.

Czwartego listopada urzędujący prezydent przegrał wybory przytłaczającą większością głosów. Jego rywal zawdzięczał swoje zwycięstwo w znacznej mierze dziennikarzowi „Washington Post”, który nie ustając w poszukiwaniach znalazł dowody, że wizerunek swej osoby, jaki chciał narzucić światu i Amerykanom świętoszkowaty lokator Białego Domu, był mocno na wyrost.